

Wizja Polski
na łamach
Kultury
1947-1976

Wizja Polski
na łamach
Kultury
1947-1976

Wizja Polski na łamach Kultury 1947-1976

*** ***

**Do druku przygotowała,
wstępem,
przypisami i indeksem opatrzyła
Grażyna Pomian**



**Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej
Lublin 1999**

Redakcja: Elżbieta Muszyńska, Irena Pielak
Projekt okładki i stron tytułowych: Jerzy Durakiewicz
Skład: „Bez Erraty” Joanna Dyszczyk
© Instytut Literacki, Paryż
Pozycja dotowana przez
Komitet Badań Naukowych
ISBN 83-227-1170-0
ISBN 83-86907-19-3
Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej
Pl. Marii Curie-Skłodowskiej 5, 20-031 Lublin
tel. (0-81) 537-53-02, 537-53-04
Internet: <http://press.umcs.lublin.pl>

Rozdział IV

Kościół a współczesność



Zainteresowanie „Kultury” religią było dwutorowe. Z jednej strony śledzono przemiany świadomości religijnej społeczeństwa zachodzące w następstwie rozwoju cywilizacji przemysłowej, w tym urbanizacji, z drugiej zaś analizowano pozycję Kościoła we współczesnym świecie, zwłaszcza w krajach pozostających pod rządami komunistycznymi.

Pierwszemu problemowi poświęcano szczególnie wiele miejsca w latach sześćdziesiątych. I nie było w tym nic dziwnego. Spadkowi religijności i zmianie jej charakteru w krajach uchodzących do tej pory za ultrakatolickie towarzyszyła świadomość narastającego kryzysu form i treści praktyk religijnych, która doprowadziła do II Soboru Watykańskiego. Pontyfikat Jana XXIII rozpoczął okres licznych i żywych dyskusji daleko wykraczających poza kler i wiernych. Próbowano nie tylko dyskutować. Mnożyły się inicjatywy, nie zawsze zresztą najszcześniejsze. Tak na przykład podejmowano próby pogodzenia katolicyzmu z marksizmem, przyjmowane przychylnie na Zachodzie i w krajach Trzeciego Świata, ale które większość katolików z krajów komunistycznych zdecydowanie odrzucała, w tym również autorzy „Kultury”.

Pismo Jerzego Giedroycia, jak czuła membrana, reagowało na zmiany zachodzące w zachowaniu młodzieży, wspominało o nowym zjawisku, jakim była krytyka celibatu księży i rozpowszechnianie się środków antykoncepcyjnych, opisywano radykalizację pewnych środowisk klerykalnych, pisząc między innymi o angażowaniu się księży francuskich po stronie Algierczyków walczących przeciw Francji, omawiano wyniki Soboru.

Zainteresowanie „Kultury” przemianami zachodzącymi w Kościele znalazło szczególny wyraz w ankiecie ogłoszonej w numerze 7–8 z 1965 roku. Już samo umieszczenie jej w rubryce pod tytułem: „O religii bez namaszczenia”, która utrzymywała się później przez wiele lat, wzbudziło krytyczne uwagi niektórych czytelników. Pytania, a raczej hasła wywoławcze obejmowały prawie wszystkie problemy, które pojawiały się w dyskusjach przedsoborowych. Uwzględniono również polską specyfikę zarówno krajową, jak i emigracyjną. Zestaw pytań (cytuję za omówieniem ankiety) przedstawiał się następująco: Zmierzch chrześcijaństwa? Wiedza i wiara; Racjonalizm, materializm, możliwości wiedzy; Chrześcijaństwo, komunizm, demokracja; Przyczyny odejścia od wiary i praktyk; Jan XXIII, II Sobór; Zmiany, reformy; Liturgia, łacina; Eklecyzm; Żydzi; Indeks; Życie płciowe, regulacja urodzeń; Dalsze reformy; Dogmaty; Kult maryjny; Pacyfizm; Pytania społeczne; Celibat; Dechrystianizacja i laicyzacja w Polsce; Prześladowanie, krępowanie, szykany; Powiązanie z patriotyzmem; Katoli-

cyzm na cenzurowanym; „Znak”, PAX, intelektualiści katoliccy w kraju; Katolicki ruch umysłowy na emigracji; Narodowa rola Kościoła na emigracji; Poziom duchowieństwa, rola w Kościele powszechnym; Wkład do II Soboru; Czy życzyć sobie mianowania nowych kardynałów polskich?

Nadeszły 92 odpowiedzi, niekiedy bardzo obszerne, od 103 osób, wśród których zdecydowana większość była katolikami, o różnym co prawda stopniu przestrzegania praktyk religijnych. Kler ankietę zbojkotował. Prawie jedna trzecia uczestników oceniła ankietę pozytywnie, ale było 46 głosów krytycznych, głównie ze strony osób określających się jako „wierzący i praktykujący”. Z tej grupy pochodziły osoby mające zastrzeżenia co do samej możliwości dyskusowania pewnych problemów, nawet takich, które nie miały nic wspólnego z dogmatami wiary, na przykład poziomem duchowieństwa. Inni, jeśli krytykowali pewne zjawiska występujące w Kościele, to jednak nie przekraczali granic określonych przez dyskusję soborową.

Odpowiedzi pozostałych katolików, samookreślających się jako wierzący, lecz nie przestrzegający wszystkich obowiązujących praktyk, były już mniej stereotypowe. Wyrażały wątpliwości dotyczące zarówno sposobu organizacji życia religijnego, jego niedostatecznego dostosowania do współczesnych warunków życia codziennego, jak również pewnych, ciągle obowiązujących dogmatów, sprzecznych z odkryciami naukowymi bądź ustaleniami historycznymi. Niektórzy nie tyle podważali sens istnienia dogmatów, ile krytykowali sposób ich przedstawienia, na ogół odwołujący się do przykładów pochodzących z cywilizacji rolniczej.

Publiczne ujawnienie wątpliwości nie było dla katolików polskich sprawą łatwą. Po pierwsze, trzeba było przełamać długoletnią tradycję, wedle której o Kościele się nie dyskutuje; po wtóre, pokonać obawę przed wykorzystaniem ujawnionych opinii przez propagandę komunistyczną. Świadomość politycznego rozbicia świata i trudnego położenia Kościoła w Polsce nie opuszczała katolików na emigracji. Dyskusja soborowa nadkruszyła dotychczasową dyscyplinę i przytłumiła wątpliwości. Stąd uznanie dla „Kultury” za zorganizowanie ankiety i stworzenie platformy do dyskusji.

Odpowiedzi na ankietę miały różną wagę intelektualną, w różnym stopniu wyrażały zaniepokojenie stanem Kościoła mimo istniejącego kryzysu, na ogół jednak na trwanie chrześcijaństwa zapatrywano się optymistycznie. Michał Chmielowiec, autor ankiety i opracowania, podkreślając jej niereprezentatywność wobec środowiska emigracyjnego, stwierdzał w zakończeniu: „Ankieta dla wielu bardzo dobrych piór stała się okazją do poruszenia ważnych zagadnień, nieczęsto przez nich poruszanych i również rzadko dotykanych w »Kulturze«. Już choćby dla szkiców Miłosza, Mackiewicza, Czapskiego, Jedlickiego i samego Horzelskiego – że wymienię tylko najbardziej znanych autorów – opłaciło się ją ogłosić. [...] To prawda, że 90, może 99 procent wypowiedzianych w ankiecie poglądów można znaleźć – i to lepiej wyrażanych, lepiej uzasadnianych, wmontowanych w systematyczne ujęcie – w publikacjach znawców poruszanych tu, dyletancko, tematów. Lecz próżno byłoby szukać takiego zbioru myśli w równie poręcznej i łatwo dostępnej postaci”.¹

¹ M. Chmielowiec: *Wyniki Ankiety*, nr 3/1966. W tym samym numerze są publikowane niektóre odpowiedzi, w tym autorów przez Chmielowca wymienionych.

Czy opinie wyrażone w ankiecie należą już wyłącznie do historii? Liczne uwagi i analizy są niewątpliwie naznaczone duchem epoki, niemniej jednak pewne tematy w niej poruszane pozostały nadal aktualne i ciągle są źródłem wątpliwości wielu katolików.

Dwie wypowiedzi wyraźnie odbiegały od pozostałych: Juliusza Mieroszewskiego² i Józefa Mackiewicza. Obydwaj zaatakowali Kościół jako instytucję, choć każdy z innych powodów. Pierwszy z pozycji naukowo-racjonalnych odrzucał większość dogmatów i sprowadzał Kościół do roli niezbędnego, lecz mało wymagającego nauczyciela. Mieroszewski był nadto przekonany, że autentyczna wiara może się rozwijać wyłącznie w państwie laickim, gdyż tylko w tych warunkach nie grozi religii przekształcenie się w powszechnie obowiązującą ideologię. Mackiewicz krytykował natomiast hierarchię kościelną, zwłaszcza watykańską, poczynając od Jana XXIII, za kompromisowe stanowisko wobec komunizmu. Stanowisko, które – jego zdaniem – prowadziło do sprzymierzenia się z wrogiem chrześcijaństwa i pozostawienia prześladowanych samym sobie. Mackiewicz potępiał polityczną dyplomację i niepotrzebnie – jego zdaniem – zawierane kompromisy, a zarazem upominał się o Kościół walczący, w którym każdy wierny, a przynajmniej kapłan powinien być żołnierzem antykomunistycznej krucjaty.

Stanowisko Józefa Mackiewicza mogło wzbudzać zastrzeżenia, lecz nie spowodowało gwałtownych replik, jakie wywołał artykuł Juliusza Mieroszewskiego. Polemizowało z nim osiem osób, w tym Antoni Pospieszalski, późniejszy długoletni współpracownik „Kultury”, którego wypowiedź jest w niniejszym wyborze. Mieroszewski miał jednak obrońców. Znamienny był pod tym względem list do redakcji Ewy Gieratowej³, skądinąd autorki obszernej odpowiedzi na ankietę. Jej gratulacje dla Mieroszewskiego nie były pozbawione akcentów polemicznych. Zdaniem Gieratowej, największą zasługą Mieroszewskiego było poruszenie problemów istotnych dla Kościoła i przedstawienie własnego punktu widzenia. „Nieraz mi się wydaje – pisała – że ci wszyscy biskupi nie dają Duchowi Świętemu żadnych szans, tak Go pętają swymi ciasnymi nawykami myślowymi, że On zupełnie nie ma którejdy przemawiać. A my też Mu nie dajemy szans, bo się nie interesujemy i nie gadamy na te tematy”.

Na ankiecie zaczęły się i zakończyły dyskusje na „te tematy”. Wkrótce też „Kultura” zaprzestała publikowania artykułów o religii, wykraczających poza sprawy polityczno-społeczne. W centrum zainteresowania Redakcji był i pozostał Kościół jako instytucja. Wiele miejsca, może najwięcej, poświęcano w „Kulturze” polityce komunistów wobec religii, wierzących i kleru. Warto przypomnieć, że już w numerze V Zeszytów Krajowych ukazał się obszerny tekst poświęcony Kościołowi.⁴ W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych zwracano baczną uwagę na prześladowanie z powodu wiary

² Artykuł J. Mieroszewskiego: *Religia i polityka* ukazał się w nr 10/1965, a więc przed omówieniem wyników ankiety, lecz był z nią merytorycznie związany, między innymi za sprawą polemicznych akcentów zawartych w odpowiedziach na ankietę.

³ E. Gieratowa: *List do Redakcji*, nr 3/1966.

⁴ J. Szuldrzyński: *Położenie Kościoła w Polsce*, V Zeszyt Krajowy „Kultury” 1953. Zeszyt zawierał ponadto następujące opracowania: *Organizacja młodzieży*, *Podręczniki dla dzieci i młodzieży*.

w PRL, nie tylko zresztą katolików, ale również grekokatolików i prawosławnych. Polityka Episkopatu była oceniana ostrożnie, choć nie wszystkim się podobała.

Po dojściu Gomułki do władzy Kościół przestał występować wyłącznie w roli prześladowanego, stał się instytucją, która coraz bardziej wypełniała przestrzeń społeczną i polityczną, niekiedy za przyzwoleniem władz komunistycznych, innym razem wbrew ich woli. Odpowiednio do tego następowały zmiany w publicystyce „Kultury”. Bacznie przyglądano się temu, w jaki sposób Kościół wypełnia swoje funkcje wychowawcze wobec narodu: uczy tolerancji i poszanowania innych przekonań, w tym religijnych. Przede wszystkim śledzono jednak relacje między klerem, szczególnie między Episkopatem a władzami komunistycznymi. Równie uważnie przyglądano się polityce watykańskiej, zwłaszcza tej, która dotyczyła polskich interesów narodowych. Decyzje podejmowane wspólnie przez Episkopat i rząd, przeważnie owoc kompromisu nie zawsze korzystnego dla wierzących, były często krytykowane. „Kultura” uważała się zawsze za rzecznika polskich interesów narodowych, toteż uważała, że ma nie tylko prawo, ale i obowiązek oceniania decyzji podejmowanych w imieniu narodu. Ta reguła dotyczyła wszystkich, także Kościoła w jego funkcji instytucji polskiej. Wbrew niektórym głoszonym opiniom, nie było jednak ataków na Episkopat, a tym bardziej na prymasa Wyszyńskiego. „Kultura” nigdy nie zapominała, że głównym przeciwnikiem w prowadzonej walce jest rząd komunistyczny.

Od momentu rozpoczęcia współpracy Dominika Morawskiego z „Kulturą” (jego pierwszy artykuł ukazał się w numerze 4. z 1973 roku), informacje o polityce Episkopatu nabierają innego charakteru. Analiza ulegnie pogłębieniu przez sam fakt informowania nie tylko o oficjalnej działalności Episkopatu, lecz również o zakulisowych potyczkach między nim a władzami komunistycznymi. Morawski demaskował również zakłamaną postawę komunistów: oficjalny język pełen rewerencji i zakulisową działalność torpedującą poczynania Kościoła. Wzbogaceniu uległy również informacje o polityce Watykanu, w tym wobec Polski i Kościoła polskiego. Na ogół były to wiadomości mało znane lub zgoła nie udostępniane czytelnikowi krajowemu ani emigracyjnemu. Morawski nie tylko informował, ale również interpretował politykę kościelną. Episkopat znalazł w nim rzecznika, jakiego przedtem w „Kulturze” nie miał.

Odsłanianie kulis stosunków między hierarchami a rządem komunistycznym nie wszystkich bynajmniej przekonywało do ówczesnej polityki Episkopatu. Były jeszcze inne, znacznie ważniejsze powody. Dla wielu przedstawicieli rodzącej się opozycji, której głos był słyszalny w „Kulturze”, najważniejszym zadaniem było spowodowanie wzrostu presji społeczeństwa na komunistów. A to znaczyło: przejść od biernego, cichego oporu do aktywnej działalności. Nic więc dziwnego, że polityka biskupów i zawierane przez nich kompromisy budziły niepokój i obawę, choć skądinąd prymas Wyszyński był przez wszystkich uważany za niekwestionowany autorytet moralny. Opozycja osądzała biskupów w imię celów prowadzonej walki: niepodległości i demokracji, które nie wyczerpywały wszystkich zadań Kościoła, daleko wykraczających poza doraźne cele polityczne. Wprawdzie Kościół polski nigdy nie zapomniał o swojej roli rzecznika i obrońcy narodu, ale musiało dochodzić i dochodziło do kolizji interesów świeckich z kościelnymi. Stąd nieporozumienia, zawiedzione nadzieje, pospieszne, nierzadko krzywdzące oceny, których echa można odnaleźć również na łamach „Kultury”.

Grażyna Pomian

Z.-W.

Droga krzyżowa*

Długa była droga i żmudna praca, zanim politbiuro rzuciło rosyjską Cerkiew prawosławną na kolana, zanim zamieniło ją w jeszcze jedną posłuszną agenturę, pracującą obok Kominformu, INU, EKU**, komitetów pokoju, związków przyjaciół ZSRR i innych niezliczonych ekspozytur bolszewickich dla „dobrobytu, szczęścia i sławy Ojczyzny”. Dziś – rzec można śmiało – Cerkiew prawosławna wewnątrz Rosji nie istnieje. Mizerna i nieszczęsna namiastrka jest już tylko coraz bardziej słabnącą klapą bezpieczeństwa dla skanalizowania resztek religijnych uczuć i uniesień dogorywającej dawnej Rosji.

Załatwiwszy się ze sprawą Kościoła wschodniego, Moskwa podjęła znacznie dla niej trudniejszą i bardziej skomplikowaną walkę z Watykanem. Można mówić śmiało o „podjęciu”, gdyż ta walka, którą stoczono w latach 1919–1941, była zaledwie słabiotką introdukcją. Prawdziwa walka zaczęła się dopiero wtedy, gdy Związek Sowiecki wyszedł ze swych przedwojennych granic, będących zarazem granicami moskiewskiego prawosławia. Katolicyzm obok socjalizmu zachodniego stał się głównym celem ideowo-politycznej agresji sowieckiej.

Walka ta poprowadzona została w dwóch płaszczyznach: bezpośredniej agresji w stosunku do Watykanu i światowej organizacji Kościoła katolickiego oraz likwidacji katolicyzmu na terenach nowo utworzonego bloku sowieckiego. Sam Watykan został potraktowany jako cel *par excellence* polityczny, równoznaczny i równorzędny Waszyngtonowi czy Londynowi, jako jeden z filarów kapitalistycznego otoczenia.

* Została opuszczona pierwsza część artykułu dotycząca Kościoła prawosławnego w ZSRR.

** W dniach 22–27 września 1947 roku przedstawiciele dziewięciu partii komunistycznych na spotkaniu w Szklarskiej Porębie utworzyli Biuro Informacji (Kominform). Skróków INU i EKU nie udało się rozwinąć.

Niszczenie katolicyzmu na terenie bloku nie jest sprawą łatwą. W bloku tym największe znaczenie polityczne, strategiczne i gospodarcze posiadają właśnie kraje katolickie: Polska, Węgry, Czechy i Słowacja. Do zagadnienia przystąpiono z całą ostrożnością, z uwzględnieniem wszystkich doświadczeń w walce z religią na terenach sowieckich, z całym arsenałem metod dyplomatycznych, administracyjnych i policyjnych. Jak każdy wielki proces polityczny nie może być ta walka łatwo oceniana z perspektywy dnia dzisiejszego. Jeszcze niedawno wydawało się, że bolszewicy będą zmuszeni w tej sprawie do dłuższego kompromisu i tolerancji. Ostatnie wypadki jednak zarówno w Polsce, jak i w Czechosłowacji każą patrzeć na sprawę bardziej pesymistycznie.

Groza sytuacji wystąpi w całej pełni dopiero wtedy, jeżeli zrobimy, po bieżny bodaj, przegląd ostatnich wydarzeń w Polsce na tym tle.

Wrocławski dziennik „Gazeta Robotnicza” przyniósł w dniu 22 stycznia sensacyjną wiadomość o nadużyciach w miejscowym „Caritasie”. Wiadomość rosła i rozszerzała się. W każdym mieście coś wynajdowano. Pisano o niesprawiedliwym rozdziale darów, o protekcyjnym nadużyciach finansowych, a nawet o popieraniu przez „Caritas” elementów podziemnych. Kampania stawała się powszechna i gwałtowna. Wiadomości prasowe uzupełniane były przez protesty, deklaracje instytucji społecznych, a nawet poszczególnych księży.

Być może, że niektóre z tych zarzutów w pewnym stopniu były uzasadnione. Nie ma na świecie dzieł doskonałych, mogły więc być usterki w pracy „Caritasu” – określił tę sprawę list pasterski Episkopatu.

Już następnego dnia po ogłoszeniu wspomnianego artykułu w „Gazecie Robotniczej” władze reżymowe powołały nowy, przymusowy zarząd „Caritasu”. Przewodnictwo powierzono księdzu Antoniemu Lempartemu, byłemu kapelanowi armii Berlinga. Do zarządu między innymi wszedł katolik reżymowy Frankowski i znakomity publicysta katolicki Paweł Jasienica.

Władze kościelne uznały zarówno fakt przeprowadzania rewizji i kontroli w poszczególnych zarządach „Caritasu”, jak i mianowanie nowego zarządu za bezprawne i niezgodne z obowiązującym prawodawstwem państwowym. Dnia 24 stycznia kardynał Sapięha jako przewodniczący „Caritasu” w Polsce wysłał do Bieruta telegram protestacyjny. Na 30 stycznia zostało zwołane do Krakowa posiedzenie Episkopatu polskiego.

W wyniku tych narad Episkopat wysłał dwa listy. List protestacyjny do władz reżymowych i list pasterski do duchowieństwa. W liście protestacyjnym Episkopat prostuje oszczerstwa i kłamstwa, wyjaśnia fakty, odpięra za-

rzuty. List jest odważny i robi wrażenie całkowitej obiektywności. List pasterski do duchowieństwa był utrzymany w tonie napomnienia i ostrzeżenia. Tych księży, którzy wzięli udział w kampanii przeciwko „Caritasowi”, przywołuje do porządku. Ostrzega przed konsekwencjami, jakie pociągnąć może postępowanie niegodne stanu kapłańskiego i niezgodne z prawem kanonicznym. Episkopat radzi tym księżom, którzy przez swój udział w akcji rządowej wywołali zgorszenie, by to zgorszenie naprawili.

Ale w tym samym czasie, gdy Episkopat obradował w Krakowie, do Warszawy zostało zwołane zebranie tak zwanych księży patriotów. Podobno przed tym zebraniem urządzono istne łapanki na księży. Zabierano z domów, porywano od ołtarza. W każdym razie w auli Politechniki Warszawskiej zgromadzono 1213 księży i zakonników. Obrady rozpoczęły się modlitwą, aby nie było wątpliwości, że chodzi o zebranie o charakterze kościelnym. Przemawiali niektórzy księża, przemawiał minister edukacji publicznej Wolski, przemawiał Cyrankiewicz. Po zebraniu odbyły się bankiety z udziałem Bieruta.

Ale na to zebranie w Warszawie nie wszyscy księża byli doprowadzeni podstępem lub siłą. Byli również i tacy, którzy zjawili się tam chętnie. Jest to sprawa ludzka, żadna społeczność najbardziej idealna nie jest monolitem. Przyznać trzeba, że w wielu wypadkach nie powołanie kapłańskie, lecz właśnie oportunizm decydował o wstępowaniu młodych ludzi do seminariów duchownych. Przed wojną stan duchowny pociągał wielu łatwością awansu społecznego. Wielu spośród księży przeszło przez niemieckie obozy koncentracyjne. Widmo tamtych przeżyć wywołuje w nich odruchy równe instynktowi samoobrony. Obawa znalezienia się z kolei w sowieckim obozie koncentracyjnym czyni ich łatwymi na podszepty propagandy, na pokusy i perswazje. Niektórzy znów byli w czasie wojny folksdojczami. Jak określa Episkopat: „Księża patrioci to są właśnie ci, na których stawiała propaganda niemiecka”. Ta kategoria oportunistów nie tylko wśród księży jest najłatwiejsza do zdobycia dla imprez reżymowych.

Wszyscy ci księża, uwikłani w błędy własnej przeszłości, często skłóceni z otoczeniem i własnym sumieniem, stają się bezwolnym narzędziem w rękach władz reżymowych. Raz podważone zasady spychają w dół jak głaz toczący się po pochyłości.

„Car blisko – Bóg daleko” mówi przysłowie powstałe w czasie poprzedniej niewoli. W obecnej rzeczywistości można by je strawestować: „Reżym blisko – Watykan daleko”. Ten mur nieprzenikniony stojący między Kościołem w Polsce a Watykanem ma też swoje znaczenie. Rzym staje się

w świadomości niejednego księdza coraz bardziej abstrakcją. Propaganda reżymowa przeciwko Watykanowi jest w tej walce z Kościołem elementem najłatwiejszym. Izolacja trwa przecież dziesięć lat, a Watykan przez ten okres nie umocnił swej pozycji, lecz ją osłabił. Jest przy tym o sprawach polskich nie zawsze właściwie informowany.

Jeśli o tym wszystkim piszemy, to po to, aby tym mocniej podkreślić, że mimo tak różnorodnych przyczyn liczba księży idących na współpracę z marksistami jest znikoma.

Ale wróćmy do faktów. Po ustanowieniu przymusowego zarządu, po zebraniu reżymowym w Warszawie władze kościelne rozwiązały „Caritas”, podkreślając w ten sposób, że instytucja o tej samej nazwie działająca pod opieką rządową jest fałszywa. Jednocześnie do wiadomości publicznej podany został fakt, że biskup chełmiński Kowalski pozbawił probostwa jednego z księży, który przyjął stanowisko przewodniczącego w miejscowym, reżymowym „Caritasie”. Podobne kary w stosunku do niektórych księży zastosowali biskup gnieźnieński i biskup tarnowski. Ksiądz biskup Kowalski został poddany aresztowi domowemu, przeciwko jego postępowaniu władze reżymowe rozpoczęły dochodzenie. Ataki prasowe starały się wytworzyć wokół całej sprawy atmosferę napięcia i podniecenia. Skończyło się jednak na przeprosinach. Ksiądz biskup Kowalski w liście do Bieruta poprosił o łaskę i o umorzenie dochodzenia. Bierut prośbie tej zadośćuczynił.

Na temat tego listu można snuć różne domysły. Można dopatrywać się oszustwa propagandowego. Ksiądz biskup Kowalski nie może przecież w żaden sposób tej wiadomości sprostować. Można również przyjąć ją w tej formie, jak została podana do publicznej wiadomości. To jest również możliwe.

W międzyczasie Episkopat polecił duchowieństwu odczytać z ambon list protestacyjny. W tę sprawę wkroczyła bezpieka. W większości parafii list nie został odczytany.

Dnia 16 lutego ksiądz kardynał Sapieha i ksiądz prymas Wyszyński wysłali list bezpośrednio do Bieruta. List ten jest pełen godności i pełen odwagi. Wspominają w nim o toczącej się od dawna wojnie przeciwko Kościołowi, „przerastającej dotychczasowe pojęcia o wojnie przeciwko Bogu”. Zarzucają rządowi tchórzostwo w określeniu swego stanowiska, krętowność w prowadzeniu wzajemnych rozmów i celowe przedłużanie pertraktacji. Piętnują metody, za pomocą których reżym szuka sprzymierzeńców wśród duchowieństwa. Na list kardynała Sapiehy i księdza prymasa Wyszyńskiego reżym odpowiedział komunikatem PAP.

Na posiedzeniu sejmu w połowie marca uchwalona została przez aklamację ustawa o konfiskacie dóbr zakonnych i biskupich oraz o stworzeniu Funduszu Kościelnego. Proboszczom zostawiono ich gospodarstwa, jeśli nie przekraczają 50 lub 100 hektarów. Ta konfiskata dóbr zakonnych i biskupich zamyka etap walki rozpoczętej sprawą „Caritasu”.

Poprzednie fakty walki przeciwko Kościołowi były raczej badaniem terenu i szukaniem metod. Ostatnie wydarzenia były uderzeniem godzącym w działalność Kościoła i jego podstawy materialne. Sukces był łatwy, bo dokonany za pomocą przewagi fizycznej. A używanie tego rodzaju środków prowadzić może do rezultatów innych niż zamierzone. Zresztą sam Wolski powiedział, że rząd warszawski chciałby uniknąć błędu podobnego jak z kardynałem Mindszentym i nie chciałby stosować nawet taktyki czechosłowackiej. Taktyka walki z Kościołem jest ostrożna, każdy krok przygotowywany jest z dużą dokładnością, z zastosowaniem zdobytych doświadczeń z poniesionych porażek. Najtrudniejszą do pokonania przeszkodą w tej walce jest jedność Kościoła. Wszystkie wysiłki reżymu idą w tym kierunku, aby tę jedność naruszyć.

Pierwszym celem uderzenia był Watykan. Chodziło o podważenie zaufania do Rzymu mas wiernych i duchowieństwa, rozluźnienie więzów i pozostawienie Kościoła w Polsce sam na sam z reżymem. Akcja ta na razie nie osiągnęła celu, ale pozostawiła wyraźne skazy. Potem przyszła kolej na Episkopat. Propaganda mówiła, że wszystkiemu są winni biskupi, którzy feudalnymi metodami zmuszają księży do posłuszeństwa. Początkowo ta kampania przeciwko Episkopatowi prowadzona była z dużym umiarkowaniem, dopiero sprawa „Caritasu” i konfiskata dóbr kościelnych świadczy, że przyjęła ona charakter niesłychanie ostry.

Pozostawienie proboszczom ziemi parafialnej i stworzenie Funduszu Kościelnego ma stanowić narzędzie stałego szantażu w stosunku do poszczególnych duchownych. „Będziesz grzeczny, to zostawimy ci ziemię – narazisz się nam, to fora ze dwora”. Jest to poza tym broń, za pomocą której reżym będzie pogłębiał rozbić wśród duchowieństwa, będzie łowił duszyczki „księży patriotów”, którym przewodzi ksiądz Lemparty z reżymowego „Caritasu”. Rozbijać jednolitą postawę Kościoła, dzielić na grupy, grupki, by tym łatwiej zgarniać do reżymowego saka – oto główny cel, ku któremu reżym zmierza w tej fazie walki.

Grupka „księży patriotów”, która opowiedziała się po stronie reżymu, a tym samym przeciwko Episkopatowi, ma nawet do swej dyspozycji pismo – „Głos Kapłana”. Kościół nie ma w tej chwili tego rodzaju środków obro-

ny. Pisma katolickie są likwidowane, a te, które jeszcze wychodzą, znajdują się pod stałym terrorem cenzury. „Tygodnik Powszechny” stał się pismem oderwanym od aktualnych spraw Kościoła w Polsce. Ambona jest pod stałym nadzorem policji, listy pasterskie przenikają do wiadomości społeczeństwa z niebywałym opóźnieniem. Trudności będą się mnożyć, system walki będzie coraz bardziej dotkliwy.

Episkopat określił w sposób jasny swoje stanowisko. W liście do Bieruta kardynał Sapieha i prymas Wyszyński napisali: „Tam, gdzie nie możemy ustąpić z pobudek doktrynalnych, nic nie pomogą nawet najdotkliwsze groźby i najdotkliwsze prawa”. W tym oświadczeniu była już jednak zapowiedź częściowej kapitulacji. W połowie kwietnia prasa podała do wiadomości tekst porozumienia między Episkopatem a reżymem. Porozumienie to jest wzajemnym kompromisem, niestety, wyraźnie przejściowym. Kościół ustąpił w sprawach organizacyjnych, utrzymał zaś swe stanowisko w sprawach doktrynalnych. Reżym zobowiązał się w tej umowie do utrzymania nauki religii w szkołach i w programach szkolnych. Szkoły prowadzone przez Kościół będą miały te same uprawnienia, co szkoły państwowe. Katolicki Uniwersytet Lubelski będzie mógł prowadzić swą działalność. Organizacja duszpasterska będzie utrzymana w wojsku. Podobnie w więzieniach i w szpitalach kapelani będą mogli sprawować opiekę religijną. Zakony i kongregacje religijne będą miały swobodę działania w zakresie swego powołania i obowiązujących ustaw. Organizacja „Caritas” przekształci się w zrzeszenie katolickie dla niesienia pomocy biednym. W zakresie potrzeb materialnych „rząd rozważy potrzeby biskupów i instytucji kościelnych celem przyścia im z pomocą”. Z Funduszu Kościelnego reżym zobowiązał się również do przekazywania pewnej sumy do dyspozycji ordynariuszów diecezji.

Tak w dużym skrócie przedstawiają się obietnice rządu warszawskiego poczynione w stosunku do Episkopatu.

Episkopat w zamian za to zobowiązał się, iż wezwie duchowieństwo, aby pouczyło wiernych o konieczności poszanowania praw państwowych i zwiększenia wysiłku dla odbudowy narodowej i wzrostu dobrobytu. Papież jest autorytetem tylko w sprawach wiary, moralności i jurysdykcji kościelnej. W innych wypadkach Episkopat kieruje się polską racją stanu. Kościół zobowiązuje się przeciwdziałać nadużywaniu religii do działalności antypaństwowej, jak również zwalczać będzie działalność wszelkiego podziemia. Episkopat wyjaśni duchowieństwu, aby nie sprzeciwiało się rozwojowi kolektywizacji wsi. Episkopat w granicach swoich możliwości przeciw-

stawi się wszelkiej akcji rewizjonistycznej duchowieństwa niemieckiego w stosunku do Ziemi Odzyskanych. Jednocześnie Kościół katolicki w Polsce zwróci się do Stolicy Apostolskiej, by zmieniła stan tymczasowy na Ziemiach Odzyskanych, mianując biskupów-ordynariuszy zamiast dotychczasowych administratorów apostolskich.

W tym miejscu, przypuszczalnie, zamknie się pierwszy etap walki Kościoła katolickiego w Polsce z bolszewizmem. Jest to etap heroicznego wysiłku hierarchii kościelnej, ogromnej większości duchowieństwa i mas wiernych. Etap ten zakończył się kompromisem, który w walce z Sowietami jest równoznaczny ze zwycięstwem bolszewików. W walce tej, której rezultaty mają znaczenie uniwersalne, kraj pozostawiony był samemu sobie, mimo iż chodziło o sprawę nie tylko międzynarodową, lecz wręcz ogólnoludzką. Nie wykonała swego obowiązku również i emigracja polska, cała emigracja polska. Pograżona w szóstorzędnych zagadnieniach, nic kraj nie obchodzących, nie zdobyła się nawet na głośniejszy apel, mało tego, nie przyczyniła się w niczym do stworzenia dokumentacji w tej niezwyklej wagi sprawie. Wszystko, co o tym zostało napisane za granicą, jest wyłączną zasługą samego duchowieństwa katolickiego w Polsce. Zwykle katolickie organizacje we Francji czy we Włoszech okazały się bardziej aktywne od rządu, przeróżnych rad i kierownictw stronnictw czy organizacji. Jedyne oświadczenie rządu w tej sprawie zawiera zdanie:

„Rząd wie, w jakich warunkach działa hierarchia kościelna w kraju i ocenia jako rozumne i słuszne ograniczenie wystąpień biskupów polskich wyłącznie do spraw wiary i obowiązków pasterskich”.

Zdanie to świadczy, iż rząd nie rozumie czy nie chce zrozumieć, jak dalece polityczna jest walka Sowietów z Kościołem i jakie pociąga już za sobą skutki. Wydaje się, iż rząd wciąż stoi na stanowisku, iż jedynym jego zadaniem i przeznaczeniem jest strzeżenie legalizmu. Legalizm dla legalizmu!

Z.-W.

[Stanisław Zadrozny

Ryszard Wraga – pseudonim Jerzego Niezbrzyckiego]

[5/1950]

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 10 (22 VII 1956) tygodnika „Kierunki” ukazał się artykuł Mieczysława Kurzyny *Gwarancje jedności*, w sprawie którego pragnę zabrać głos. P. Kurzyna, korzystając z „odwilży”, stwierdza najpierw niedwuznacznie, że wiara i Kościół są w Polsce prześladowane, jest to, o ile wiem, pierwsze tego rodzaju publiczne stwierdzenie od paru lat i chciałbym na nie zwrócić uwagę. Oczywiście, p. Kurzyna nie używa tego wyrażenia, ale przytacza dość szczegółów konkretnych, aby wolno było jego myśl tak sformułować. Następnie autor stawia postulaty, bez zrealizowania których nie może być, jego zdaniem, „jedności narodowej”, to jest koegzystencji wierzących z komunistyczną władzą w Polsce. Postulaty takie są trzy: 1) zrozumienie społecznej roli katolicyzmu, 2) uznanie, że jedność Kościoła powszechnego jest dogmatem, 3) zrozumienie, że istnieje tak zwany „prąd postępowy” wśród katolików polskich.

Cały artykuł pisany jest ze stanowiska ideologii tak zwanych „katolików postępowych”, która nie może być przyjęta przez wierzącego (nawet niezależnie od potępienia przez Stolicę Apostolską) i jako taki jest nieinteresujący. Daje mi on jednak sposobność do przypomnienia czegoś, co p. Kurzyna starannie przemilczał, a co jest niewątpliwie pierwszym i najważniejszym postulatem katolickim w tej sprawie: przywrócenie do władzy prawowitych biskupów.

Wydaje mi się, że wśród Polaków za mało jest zrozumienia ważności tej sprawy. Każdy wie, że jedność Kościoła polega na jedności z papieżem, ale mało kto zdaje sobie sprawę, że równie istotna jest jedność z prawowitym biskupem. To jest jeden z podstawowych dogmatów wiary katolickiej: gdzie biskup, tam Kościół. Ten dogmat jest właśnie systematycznie przemilczany w pismach „postępowców”. Oczywiście, znacznie wygodniej jest wyznawać

posłuszeństwo (mocno w dodatku ograniczone) tylko względem dalekiego Rzymu. Znacznie mniej wygodny jest biskup na miejscu. Praktyczniej jest mieć biskupa w więzieniu albo wydalonego, gdy diecezją rządzi jakiś agent partii, a ci panowie z „Kierunków” mogą robić własną teologię i własną politykę kościelną.

Tylko że to jest, nie waham się twierdzić, zupełne odstępstwo od wiary. Z jej stanowiska pierwszym warunkiem koegzystencji jest przywrócenie prawowitych biskupów z księdzem Prymasem na czele.

Pan Kurzyna wiele rozprawia o poniżaniu godności katolika, o przeczeniu jedności z Rzymem i tak dalej. Ale nie potrzeba nawet myśleć ze stanowiska nadprzyrodzonego, aby zrozumieć, że konkretnie ważniejsze jest co innego. Kiedy w *Potopie* wierne Rzplitej oddziały zbierają się przed pałacem zdrajcy Radziwiłła, Wołodyjowski nie słyszy wołania o poszanowanie godności ani nawet o uznanie króla. Poprzez kraty więzienia dolatuje jeden tylko krzyk: „Pułkowników! Pułkowników!” Genialną intuicją wyczuł Sienkiewicz pierwszą reakcję zdrowego społeczeństwa, zagrożonego przez nieprzyjaciela: tą reakcją jest żądanie przywódców. Przywódcami Kościoła w Polsce są biskupi polscy. Pierwszym warunkiem koegzystencji jest przywrócenie im wolności i możliwości sprawowania władzy. Bez tego nie ma o czym mówić. Racz Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Fryburg, 24.07.1956

[9/1956]

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

Religia a polityka*

„Only those who have the courage not to be certain are truly free”.

Frederic Morton

O religii nie można mówić obiektywnie, ponieważ teologia, nawet na najwyższym poziomie, nie jest nauką w tym sensie, jak matematyka, fizyka czy chemia. Dlatego podejmując dyskusję w tej sprawie, należy zacząć od przedstawienia własnego poglądu. W gruncie rzeczy bowiem – wbrew temu, co mówi kardynał Heenan – każdy z nas jest swoim własnym teologiem.

W moim przekonaniu ateizm jest fikcją. Nie spotkałem w życiu ani jednego prawdziwego ateisty. Przed kilku laty BBC nadało dialog pomiędzy Bertrande Russelliem a jednym z wybitnych angielskich jezuitów. Russell przyciśnięty do muru, wycofał się ze swojego ateizmu i oświadczył, że jest agnostykiem. Agnostyk nie jest ani teistą, ani ateistą i rezerwuje swój sąd.

Nie ma żadnych dowodów na to, że Bóg nie istnieje. Natomiast za Jego istnieniem przemawia „wiedza wrodzona”, której nikt w całości nie jest w stanie w sobie zniweczyć.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ateści odczuwają potrzebę bezustannego umacniania się w obranym poglądzie i w swych pismach ustawicznie powracają do centralnej tezy. „The Humanist” – organ „The British Huma-

* Artykuł J. Mieroszewskiego w sposób bardzo ciekawy i kontrowersyjny porusza jedno z najważniejszych zagadnień naszych czasów, zaktualizowanych ostatnią sesją soborową, obradującą obecnie w Rzymie. Mamy nadzieję, że artykuł ten ożywi zainteresowanie naszych czytelników ankietą, którą ogłosiliśmy w numerze lipcowym. Pragnąc, by rezultaty ankiety były najbardziej reprezentatywne, przedłużamy termin nadsyłania odpowiedzi do końca października br. [Redakcja].

nist Association” (prezes prof. A. Ayer) – połowę każdego numeru poświęca apologetyce ateizmu. Freud nazwał religię „neurozą ludzkości”. Doświadczenia kliniczne wykazały jednak, że uświadomienie sobie własnej neurozy nie prowadzi do jej uleczenia. Ateiści analizują i zwalczają swoją „neurozę”, lecz obsesja, z jaką to czynią, budzi wątpliwości, czy terapia jest w pełni skuteczna.

W rzeczywistości ateizm jest taką samą formą fideistycznego eskapizmu, jak zorganizowana religia. Akceptując bez zastrzeżeń katolicyzm – brzemie wątpliwości wyrzucamy na śmietnik. Eskapizm niestety jest iluzją, ponieważ nie można uciec przed samym sobą.

Gdyby ateizm był odpowiedzią na wszystkie wątpliwości i niepokoje – nie byłoby problemu. Ludzie podzieliliby się na dwa obozy – wierzących i ateistów – i wszyscy byłiby zadowoleni w ramach swojego poglądu na świat. W gruncie rzeczy jednak tak zorganizowana religia, jak i zorganizowany ateizm dostępne są dla mniejszości o fideistycznej dyspozycji psychicznej. Dla większości ludzi myślących ani zorganizowana dogmatyczna religia, ani zorganizowany dogmatyczny ateizm (marksizm) są nie do przyjęcia. I tu zaczyna się problem.

Pierwszym przykazaniem jest uczciwie myśleć – to znaczy myśleć zgodnie z sumieniem i rozeznaniem. Tylko człowiek mający odwagę uczciwie myśleć zdobędzie się na odwagę przeciwstawienia się złu.

Jeden z moich kolegów szkolnych – lekarz praktykujący na zapadłej prowincji – opowiedział mi klasyczny wypadek, jeden z tysięcy. U swej pacjentki, chłopki, matki trojga nieletnich dzieci, stwierdził w początkach ciąży nieomówioną nerek. Zaproponował przerwanie ciąży. Spowiednik pacjentki kategorycznie sprzeciwił się zabiegowi. W rezultacie kobieta umarła bezpośrednio po porodzie, osierocając troje małych dzieci.

Ów ksiądz nie miał odwagi zdobyć się na racjonalne, uczciwe myślenie i wskutek tego podpisał wyrok śmierci na matkę trojga dzieci. Katolicy w większości nie znają lub nie pamiętają słów św. Tomasza z Akwinu, że lepiej jest człowiekowi umrzeć w ekskomunie niż w niezgodzie ze swoim sumieniem. Większość katolików poczytuje sobie za „heroiczną cnotę” wbrew swemu sumieniu i rozeznaniu ugiąć się przed dogmatem. W moim przekonaniu człowiek czyniący oczywistą krzywdę nie może zasłaniać się dogmatem czy przepisem Kościoła ani na tym, ani na tamtym świecie.

Naczelną ludzką cnotą jest odwaga, bo tylko odważni bywają intelektualnie uczciwi sami z sobą – a trzeba być uczciwym samemu z sobą, by się zdołać na uczciwość wobec innych.

Ów *double thinking*, który akceptuje wielu katolików (pogląd naukowy – jedna szufladka, pogląd religijny – druga szufladka) działa intelektualnie deprawująco.

Dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości, że człowiek nie został stworzony – jak głoszą wszystkie wielkie religie – tylko wyewoluował stopniowo z niższych form zwierzęcych. Dla celów klasyfikacji i systematyki przyjmujemy, że osobnik człekokształtny, który zaczął wytwarzać prymitywne narzędzia – był już człowiekiem. Jest oczywiste, że gdy człowiek zaostriął pierwszy kamień – Bóg nie tchnął w niego duszy nieśmiertelnej, musielibyśmy bowiem przyjąć, że ludzie zostali wywianowani w nieśmiertelność w pewnym określonym pokoleniu. Wydaje się pewne, że duch, dusza, *mind* – ewoluowały w człowieku powoli i stopniowo i ów proces trwa nieprzerwanie po dzień dzisiejszy. Jeżeli człowiek wyewoluował z niższych form zwierzęcych – nie mógł popełnić grzechu pierworodnego. Jeżeli nie popełnił grzechu pierworodnego – nie ma powodu go chrzcić itd., itd.

Światły katolik odpowie na to, że biblijna relacja o stworzeniu świata i człowieka jest przypowieścią, pełną symbolicznych porównań i obrazów. Niemniej, w oparciu o owe parable wypracowano z biegiem stuleci szereg dogmatów, nakazów i zakazów.

Kościół katolicki do dziś podtrzymuje doktrynę o piekle, które jest Oświeceniem podniesionym do n-tej potęgi. Doktryna piekła przekreśla ideę chrześcijańskiego zbawienia. Osobiście nie reflektuję na niebo, jeżeli w niebie miałyby mi towarzyszyć świadomość, że w piekle cierpią potępieni niewypowiedziane męki bez kresu i nadziei. By uwierzyć w tego rodzaju porządek rzeczy, musiałbym wprawdzie całkowicie zwątpić w istnienie Boga, co w moim wieku – myślę – już mi nie grozi. Koszmarne absurdalności wymyślają tylko ludzie – nigdy Pan Bóg.

Od czasów Kopernika Ziemia przestała być centrum wszechświata. Lecz dopiero w ostatnich dekadach weszliśmy w epokę kosmiczną. Jest wielce prawdopodobne, że w naszym systemie słonecznym życie istnieje tylko na naszej planecie. Astronomowie zgodni są jednak w przekonaniu, że we wszechświecie istnieją setki milionów planet, na których mogło powstać i rozwinąć się życie – w wielu wypadkach być może w wyższych formach niż na Ziemi. Fred Hoyle, znakomity astronom i matematyk brytyjski, wyraził pogląd, że ani my, ani nasi ewentualni kosmiczni sąsiedzi nie przeżyjemy przestrzeni ze względów biologicznych. Nie można planować podróży międzyplanetarnych, które musiałyby trwać setki lat. Lecz kiedyś z cywilizacjami pozaziemskimi możemy nawiązać kontakt radiowy i telewizyjny.

zyjni. Ci, którzy w tym miejscu uśmiechną się sceptycznie, niech postawią sobie pytanie, jakby przyjęli 20 lat temu przepowiednię, że w roku 1965 na łamach prasy światowej ukażą się autentyczne fotografie powierzchni Marsa.

Chrześcijaństwo jest religią klasycznie ziemską i nie jest przygotowane do przyjęcia poglądu kosmicznego. Człowiek z innej planety nie mógłby zostać chrześcijaninem, ponieważ cała saga chrześcijańska jego nie dotyczy. Nie jego prarodzice popełnili grzech pierworodny, nie za niego umierał Chrystus na krzyżu, nie jemu obiecano zbawienie. A przecież prawdziwa religia musi być prawdziwa i uniwersalna wszędzie. Zarówno na Ziemi, jak i na milionach planet w kosmosie. Bóg nie przynależy do żadnej religii ani ziemskiej, ani pozaziemskej i jest jeden i ten sam w całym wszechświecie.

W mojej opinii nie ma żadnego kryzysu religijności. Kryzys dotyczy wyłącznie zorganizowanych religii. „Materia wyparowała”, jak mówi Koestler, klasyczna granica oddzielająca przyrodę organiczną od nieorganicznej traci na znaczeniu, duch, dusza, *mind* – nabierają nowego wyrazu w świetle teorii ewolucyjnych. Pomiędzy religijnością a nauką nie ma dziś żadnej podstawowej sprzeczności. Trzeba tylko uznać, że główną i najwspanialszą „księgą objawioną” jest nauka. Żadna doktryna religijna nie może być wyższa od prawdy. Bóg jest czystą prawdą i tylko poprzez naukę można poznać Jego dzieło, a poprzez dzieło Jego samego. Rozum ludzki jest ułomny, lecz wszystko inne jest niepomniernie bardziej ułomne. W gruncie rzeczy nie ma żadnej metafizyki – jest tylko fizyka. Nauki ściśle odkryły przed nami wszechświat i zbliżyły nas do prawdy w nieporównanie większym stopniu niż wszyscy mistycy i metafizycy ostatnich dwóch tysięcy lat.

Fatalną spuścizną mistyków jest pogląd, że w tych sprawach istnieje droga „na skróty”, droga „na przełaj”. Jeżeli ktoś nic nie wie o fizyce, matematyce, astronomii, biologii – w gruncie rzeczy nic nie wie o Bogu. Ignorancja jest drogą do bałwochwalstwa i praktyk kultowych, które mogą być „opium dla tłumów”, lecz o Bogu nie mówią niczego. Bóg jest czymś niepomniernie bardziej wspaniałym, niż sobie to wyobrażają teologowie.

Prawdziwą teologią są nauki ściśle, ponieważ poprzez wiedzę dokonuje się dzieło objawienia, to znaczy proces stopniowego poznania prawdy.

Każdy dogmat doktrynalny, który jest sprzeczny z udokumentowanym poglądem naukowym, jest w gruncie rzeczy herezją, ponieważ herezją jest wszystko to, co nie odpowiada prawdzie. Nie ma dwóch objawień – religijnego i naukowego, ponieważ nie może być dwóch różnych prawd. Zorganizowane religie, a Kościół katolicki w szczególności – nie chcą przyznać nauce statusu objawienia. Kościół zainteresowany jest nauką tylko o tyle, o ile dane odkrycie czy teoria naukowa jest zgodna z doktryną.

Ojciec Teilhard de Chardin pojmował naukę jako instrument objawienia. O. Teilhard był niewątpliwie naukowcem i prorokiem chrześcijaństwa, lecz nie dokonał rewolucji w Kościele, do którego należał.

Zorganizowane religie, jeśli mają przetrwać – muszą przyjąć pogląd, że objawienie nie jest rzeczą ostateczną i daną, lecz z woli Boga prawda musi być zdobywana ewolucyjnie krok po kroku. Nasz umysł podlega stałemu rozwojowi poprzez wiedzę. Nie każdy może być Teilhardem, lecz każdy może czytać jego dzieła. Trzysta lat temu największy mistyk nie mógł wyprodukować koncepcji Boga i systemu takiej głębi i horyzontów, ponieważ wówczas najświętsi ludzie nie dysponowali wiedzą, którą zdobył Teilhard de Chardin.

Sytuacja uległa odwróceniu. Dawniej nauka była podejrzana i Kościół dopatrywał się w niej źródeł herezji. Dziś triumf nauki jest całkowity i dogmaty doktrynalne uważane są często za źródło poglądów nie odpowiadających prawdzie – a więc w istocie swej stanowiących herezję.

W krajach Zachodu maleje procent ludzi uczęszczających do kościołów. Nie oznacza to bynajmniej, że maleje procent ludzi religijnych. Natomiast maleje procent ludzi, którzy są w stanie pogodzić akceptację dogmatów z intelektualną uczciwością. Bóg nie jest koncepcją fideistyczno-statyczną, lecz przeciwnie – jest koncepcją dynamiczną i otwartą. O planiście możemy się tylko dowiedzieć poprzez odszyfrowywanie jego planów. Fakt, że stale, choć mozolnie postępujemy na drodze ku odszyfrowaniu owego planu – jest zasadniczą cechą naszego człowieczeństwa. Ustawiczna ewolucja nauki i naszych umysłów wyodrębniła gatunek ludzki ze świata zwierzęcego i stanowi sens „boskiej przygody”, która jest wyłącznie udziałem człowieka.

Teilhard – którego dzieła nie znalazły uznania ani u jego zakonnych przełożonych, ani w kurii rzymskiej – wykazał, że chrześcijaństwo może nie tylko inkorporować w swój system cały dorobek nauki współczesnej, lecz pokusić się również o filozoficzno-religijną syntezę, której świecka filozofia nie dostarcza.

Wydaje mi się, że to jest jedyna droga otwarta przed chrześcijaństwem. Ludzie nie wyprą się nauki – raczej wyprą się chrześcijaństwa. Jeżeli zorganizowane religie nie uznają prymatu nauki jako głównego źródła poznania prawdy – co oczywiście pociągnąć by musiało za sobą daleko idące reformy – kościoły będą pustoszały. W jeszcze większym stopniu niż dotychczas upowszechni się przekonanie, że w dzisiejszym świecie tylko w ramach prywatnej religijności możliwe jest zharmonizowanie doświadczenia religijnego z poglądem naukowym.

W tych rozważaniach na czoło wybijają się dwa zagadnienia. Uczciwości w sensie intelektualnym i uczciwości w sensie etycznym.

Fundamentem każdej postawy religijnej jest uczciwość intelektualna i etyczna. Uczciwy intelektualnie jest człowiek, który daje świadectwo prawdziwości nawet wbrew doktrynie religijnej. Prawdą jest pogląd, który podlega sprawdzeniu i udowodnieniu. W wypadkach, w których badanie naukowe poparte sprawdzonymi faktami przeczy doktrynie religijnej – można zaakceptować tezę ortodoksyjną tylko poprzez *brain-washing*, co jest operacją intelektualnie nieuczciwą. Człowiek przyjmuje daną tezę religijną ze strachu, na skutek perswazji lub najczęściej z obawy przed wyłączeniem z Kościoła. Spotkałem wielu katolików, którzy mi mówili, że byłiby najchętniej agnostykami, gdyby mieli odwagę żyć i umierać poza ramami Kościoła.

Uczciwość intelektualna wymaga odwagi, lecz dopóki nie chcemy Boga identyfikować z Wielkim Bratem z powieści Orwella – uczciwość intelektualna stanowić musi podstawę naszego stosunku tak do Boga, jak i do ludzi. Nic bardziej nie deprawuje moralnie i intelektualnie jak akceptowanie tezy, w którą na dnie duszy się nie wierzy. To jest równoznaczne z zaparciem się człowieczeństwa.

Podstawą wszelkiej etyki jest zasada, że nikogo nie wolno krzywdzić. Jeżeli dany czyn nie przynosi krzywdy naszym bliźnim ani nam samym, uznać go można za etycznie neutralny.

Żaden dogmat czy teza religijna nie mogą powodować oczywistej krzywdy, bo wówczas dany przepis religijny należałoby uznać za sprzeczny z etyką.

W kraju, w którym śmierć z głodu jest zjawiskiem znanym, a chroniczne niedożywienie objawem powszechnym – przepis religijny zabraniający zabijania krów jest nie tylko nonsensem, lecz krzywdzącym nonsensem.

Zakaz przerywania ciąży nawet w umotywowanych wypadkach jest również krzywdzący, a tym samym nieetyczny. Przepis zabraniający stosowania środków antykoncepcyjnych w obecnej ludnościowej sytuacji świata jest absurdalny i społecznie szkodliwy.

Można by wymienić wiele innych przykładów, lecz ograniczam się do najbardziej jaskrawych. Kardynałowie sądzą, że laik nie powinien być swoim własnym teologiem. Jednak ci sami kardynałowie pragną być naszymi ginekologami i socjologami, pomimo że w tych dziedzinach są całkowitymi laikami.

Żadna etyka – chrześcijańska czy jakakolwiek inna – nie może sankcjonować krzywdy indywidualnej czy społecznej, powołując się na wskazania doktryny religijnej.

Pierwszym obowiązkiem człowieka wobec Boga i ludzi jest zachować bezkompromisową uczciwość intelektualną i etyczną. To, co się określa „spokojnym sumieniem”, jest wyłącznie na tej drodze do osiągnięcia.

*

Korespondenci pism zagranicznych zwracają uwagę na manifestację zbiorowego życia religijnego w Polsce. W przeciwieństwie do Anglii – religijność w naszym kraju jest zjawiskiem masowym. Neal Acherson, korespondent angielskiego tygodnika „The Observer”, napisał niedawno, że Polska jest bardziej katolicka niż Hiszpania i bardziej pobożna niż Irlandia.

Jednak większość obcych obserwatorów nie zdaje sobie w pełni sprawy z socjologicznych przemian zachodzących w Polsce. Nie zmienione pozostają formy tradycji, lecz treść ulega głębokim przeobrażeniom. By wymierzyć w pełni głębię owych socjologicznych przemian, wystarczy uzmysłowić sobie fakt, że ponad 50 procent ludności Polski żyje dziś w miastach. Ostoją tradycyjnego katolicyzmu była zawsze wieś. Polska wieś dostarczała w przeszłości – choć nie arcybiskupów i kardynałów – lecz księży, armii wiejskich proboszczów. Dziś w statystyce powołań Polska spadła w Europie niemal na ostatnie miejsce.

Socjologowie katoliccy podkreślają w swych studiach, że młodzież wiejska łądując w miastach, porzuca tradycyjną obyczajowość i skalę wartości. Młoda inteligencja polska – w przeważającym procencie pochodzenia robotniczo-chołopskiego – w opinii socjologów katolickich pozostawia wiele do życzenia. Młodzież wyznaje „ideologię konsumpcyjną”, co ją odcina zarówno od religii, jak i od marksizmu. Młodych fascynuje postęp technologiczny, dobrobyt i amerykańska „uroda życia”. Motocykl, barek w ścianie, płytoteka – według krakowskiego „Życia Literackiego” symbolizują *affluent society* w oczach młodego pokolenia.

Przyziemny materializm zarzucają u nas młodzieży nieodmiennie ci, którym materialnie doskonale się powodzi. Identyfikowanie ubóstwa z ideowością jest tradycyjnym rysem polskim i wschodnim. Gomułka, którego nieuctwo w sprawach gospodarczych kosztuje Polskę miliardy, jest „ideałem”, ponieważ żyje skromnie i co wieczór osobiście wystawia puste butelki po mleku za drzwi swego mieszkania. Dobrobyt wielu deprawuje – lecz nędza deprawuje znacznie bardziej i powszechniej („Jak się chce w Polsce żyć przyzwoicie..., nie można być przyzwoitym” – mówi współczesne porzekadło warszawskie).

Ksiądz A. Boniecki na łamach „Tygodnika Powszechnego” na podstawie badań katolickich socjologów stwierdził, że wśród młodej inteligencji uległ przemianom typ motywacji religijnej. Ci inteligenci, którzy są religijni, nie wiążą dziś religijności z lojalnością wobec norm grupy, do której należą, jak na przykład rodzina czy naród.

Jeżeli istotnie tak jest, należy uznać to za ewolucję w kierunku pożądanym. Nacjonalizm w sojuszu z fanatyzmem religijnym daje w rezultacie antytezę religii i patriotyzmu. Motywowanie polskości katolicyzmem i katolicyzmu polskością – prowadzi do fanatyzmu, totalizmu, nietolerancji, agresywnej reakcji w najgorszym wydaniu. Nacjonałści wychodzą zawsze z założenia, że co dobre dla nacjonalistycznych ambicji – to dobre i dla Kościoła, łącznie z biciem Żydów, masowym paleniem cerkwi itp., itp. Zarówno katolicy, jak i komuniści pragną uczynić z nacjonalizmu główny motyw wyznawczy swojej ideologii.

W Polsce nigdy nie było antyklerykalizmu. Określenie „katolicki antyklerykał” w języku polskim brzmi wręcz absurdalnie. Polak kojarzy antyklerykalizm automatycznie z „żydokomuną”, z masonerią, z... propagandą światomego macierzyństwa zmierzającą do „ludobójstwa”. (Jest rzeczą charakterystyczną, że w pewnych kołach katolickich w Kraju potępiono ograniczanie urodzin jako akcję sprzeczną z polskimi interesami w obliczu rewizjonizmu niemieckiego!)

Z tych samych przyczyn w Polsce nie było nigdy liberalizmu – tak jak się go pojmuje na Zachodzie. Człowiek o postawie liberalnej jest z definicji nastrojony antyklerykalnie. Liberalowie nie walczą przeciw religii, natomiast przeciwstawiają się politycznym ambicjom Kościoła, które w przeszłości często zagrażały wolności. Lecz w Europie Zachodniej to wszystko są dzieje starożytne. Liberalizm jest postawą kulturalną niemal powszechną i dzięki temu wielka dyskusja religijna zapoczątkowana przez Jana XXIII toczy się na Zachodzie w atmosferze swobody i powagi.

W interesie religii leży rozdział pomiędzy państwem a Kościołem. Religia państwowa – panująca i prawnie uprzywilejowana – z religii przemienia się w ideologię.

W gimnazjum, które ukończyłem, nasz młody i uczony katecheta był *de facto* politrukiem. Jednego z moich kolegów nie dopuścił do matury, ponieważ uważał, że jego poglądy religijne są nieprawomyślne. Tailiśmy przed nim wszystkie nasze wątpliwości, powtarzając jak papugi wyuczone lekcje. Praktyki religijne były przymusowe, a uczestnictwo pedantycznie sprawdzane. Tak usytuowana religia przemienia się w oficjalną ideologię z wszystkimi

deprawującymi konsekwencjami, znanymi nam z dziejów innych państwowych ideologii.

W szkołach państwowych nauka religii winna być przedmiotem dostępnym dla wszystkich, lecz nie obowiązującym. Z życia religijnego winien być usunięty wszelki przymus administracyjny. Obecnie „katecheci” marksizmu-leninizmu dysponują przymusem administracyjnym. Katecheci katolicy byliby gotowi zająć ich miejsce z władzą stosowania przymusu włącznie. Uczyniliby to jutro, gdyby mogli.

Osobiście ufam, że z owego okresu ucisku ideologicznego – który trwa w Kraju od lat dwudziestu – Polacy wysnują wniosek, że wolność i sprawiedliwość społeczną gwarantować może tylko państwo całkowicie laickie, wolne od serwitutów zarówno religijnych, jak i ideologicznych.

Źródłem ucisku nie jest ustrój, tylko monopol ideologiczny. Możemy mieć ustrój społeczno-gospodarczy jak najbardziej socjalistyczny – nie oznacza to jednak, by jedna partia wyznająca określoną ideologię decydowała o wszystkim; od długości sznurowadeł zaczawszy, a na literaturze i malarstwie skończywszy. Państwo rzetelnie demokratyczne nie może być konstytucyjnie ani katolickie, ani marksistowsko-leninowskie. Rzeczpospolita – jak głoszą wszystkie kolejne konstytucje – jest dobrem wszystkich obywateli. Ponieważ nie wszyscy obywatele są katolikami i nie wszyscy są marksistami – państwo winno stać ponad partiami, ideologiami i wyznaniem. Tym bardziej że prawdziwych katolików jest niepomrotnie mniej niż wykazują statystyki. Tylko w państwie laickim i w pełni demokratycznym mielibyśmy możliwość przekonania się, ilu mamy prawdziwych katolików i prawdziwych marksistów.

Nie można skutecznie zwalczać państwowej ideologii, proponując w zamian inną państwową ideologię. Katolicy polscy winni zdać sobie sprawę, że każda upaństwowiona religia przeistacza się w ideologię i staje się złem. Za swój ideał katolicy powinni uznać państwo chrześcijańskie w treści, a laickie w formie ustrojowej. Dysponujemy dziś olbrzymim materiałem historycznym i porównawczym. Dla nieuprzedzonego obserwatora jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że w aspekcie socjalnym działalność religijna podlega tym samym prawdom co działalność polityczna. Tylko w ramach państwa laicko-demokratycznego tak partie polityczne, jak i wyznania religijne mają możliwości swobodnego rozwoju.

Ponieważ mamy nieprzepartą słabość do wodzów – gen. Franco dla wielu Polaków na emigracji stanowi ideał katolika i antykomunisty. W rzeczywistości wygląda to jednak nieco inaczej. W jednym z ostatnich numerów „World Marxist Review” (vol. 8, no. 6) czołowy hiszpański ideolog komunistyczny Santiago Alvarez pisze dosłownie:

„Katolicy są dziś naszymi głównymi sojusznikami w walce przeciwko gen. Franco. I to jest fakt, który stanowi najbardziej charakterystyczny i pocieszający element obecnej sytuacji w Hiszpanii”.

Gdy Kuronia i Modzelewskiego po wyroku wyprowadzano z sali sądowej, tłum ludzi powitał ich *Międzynarodówką*. Ową pieśń śpiewali zgodnie komuniści i niekomuniści. Niekomuniści ci chcieli w ten sposób zmanifestować solidarność z młodymi ideowymi komunistami, których w kajdanach prowadzono do więzienia, jak w przedwojennej „pańskiej” Polsce. Owa manifestacja była przebłyskiem sojuszu niekomunistów z postępowymi komunistami przeciwko reżimowi, który jest doktryną totalistyczno-policyjną.

W Hiszpanii katolicy sprzymierzają się z komunistami w walce z dyktaturą. W Polsce katolicy i niekomuniści manifestują solidarność z młodymi ideowymi komunistami przeciwko dyktaturze. Dyktatura jest wrogiem zarówno katolicyzmu, jak i ideowego komunizmu. Dyktatura jest bowiem wrogiem nie tylko wolności słowa, lecz i wolności sumienia.

Nie można jednak domagać się liberalizmu od przeciwników ideowych, jeżeli samemu potępia się liberalizm. Nie można komunistom zarzucać, że dla swych celów wykorzystują nacjonalizm, jeżeli samemu eksploatuje się nacjonalizm w nie mniejszej skali. Nie można domagać się od przeciwników tolerancji, jeżeli samemu jest się tolerancyjnym tylko wówczas, gdy się jest bezsilnym.

Katolicy w Polsce mogliby odegrać wielką rolę w przebudowie ustroju. Lecz stosując sąd generalizujący – w odniesieniu do jednostek niesprawiedliwy – trzeba stwierdzić, że mamy dwie kategorie polskich katolików. Postępowi i „otwarcy” wykazują często skłonność nie tylko do kompromisu, lecz i do kolaboracji. Natomiast niezłomni w wierze i w obyczajach są ciasni, konserwatywni i reakcyjni.

Katolicy nie stanowią wyjątku. Takich się ma katolików, jaką się ma kulturę polityczną. Ponieważ jesteśmy politycznie niewyrobieni, nie umiemy łączyć niezłomności – z postępowością, wierności zasadom – ze zmysłem do kompromisu, umiłowania tradycji – z szerokim horyzontem intelektualnym. Postępowiec bez moralnego stosu pacierzowego jest jednostką ujemną. Człowiek niezłomny, lecz ciasny i parafiański, jest również jednostką ujemną.

Juliusz Mieroszewski

ANTONI POSPIESZALSKI

Dyskusja z Mieroszewskim

Czy wolno mi, zamiast odpowiedzieć na ankietę „Kultury”, odpowiedzieć krótko na artykuł J. Mieroszewskiego *Religia a polityka*? Na ankietę nie odpowiadam z tego prostego powodu, że odpowiedzenie choćby na wybrane pytania z jako takim uzasadnieniem wymagałoby napisania książki. W pewnym sensie również odpowiadanie na tę ankietę mija się z celem. Pytania same na nią odpowiadają: są one tak sformułowane, że skłaniają do odpowiedzi faworyzujących *aggiornamento*, rewizję sformułowań dogmatycznych, otwarcie Kościoła na świat, dialog wszelkiego rodzaju, prymat sumienia, a ze spraw szczegółowych na przykład rewizję sztywnych przepisów dotyczących regulacji urodzin itd. Wystarczy zatem powiedzieć, że z grubsza mówiąc, jestem za tym wszystkim.

Mieroszewski też jest za tym wszystkim. A jednak między stanowiskiem Mieroszewskiego i moim jako przeciętnego katolika istnieje oczywista przepaść.

Rzecz jasna, że dajemy inne odpowiedzi na pewne konkretne zagadnienia, chociaż nie to jest najważniejsze. Na przykład Mieroszewski nie może się pogodzić z istnieniem piekła, a ja akceptuję piekło. Akceptuję bardzo niechętnie: wołałbym oczywiście, aby każde indywidualne życie ludzkie mogło mieć tylko jeden ostateczny rezultat – pozytywny. Niestety, muszę się pogodzić z faktem, że moje życie, jak każde inne, może również mieć ostateczny rezultat diametralnie przeciwny, że mogę moje życie przegrać. W przeciwnym razie moje życie nie byłoby grą, w której o coś naprawdę chodzi – czyli nie miałoby sensu. Nie potrzebuję chyba dodawać, że akceptując możliwość ostatecznego przegrania życia, które nazywam piekłem, nie jestem bynajmniej zmuszony do akceptowania na przykład dantejskiej wizji piekła.

Autor artykułu podpisuje się pod bardzo rozpowszechnioną dziś tezą, że wszelkie zastrzeżenia Kościoła wobec antykoncepcji są tylko przestarzałym

nawykami zasuszonych teologów, nie wiedzących nic o życiu. Osobiście (i to nie jako posłuszny syn Kościoła, ale jako człowiek próbujący uczciwie myśleć w zgodzie ze swoim sumieniem) mam poważne obawy, że seks biegnący luzem, bez obciążenia, może być bardzo niebezpieczną bestią, która może się okazać równie trudna do opanowania jak eksplozja ludnościowa. Wobec tego w rewizji naszych dotychczasowych pojęć w sprawie moralności seksualnej (również w małżeństwie) opowiadałbym się za pewnym umiarkowaniem. Osobiście jestem za dopuszczeniem antykoncepcji w pewnych wypadkach na zasadzie mniejszego zła, przy równoczesnym uznaniu, że antykoncepcja jako taka nie przestaje być złem.*

Ale, jak powiedziałem, nie te różnice w konkretnych sprawach są najważniejsze. Najważniejszą różnicą między stanowiskiem Mieroszewskiego a stanowiskiem przeciętnego katolika jest to, że przeciętny katolik wierzy, natomiast p. Mieroszewski wie. Albo tak by przynajmniej wynikało z dogmatycznego tonu jego wypowiedzi. Mimo bardzo chwalebego motta, które mówi, że wolny jest tylko ten, który nie wie na pewno, p. Mieroszewski zdaje się wiedzieć na pewno. W rezultacie jest on (obawiam się) zamknięty na wszelką perswazję. W przeciwieństwie do tego stanowiska, pewnego swych wniosków, katolik jako człowiek wierzący nic nie wie na pewno – i dlatego właśnie jest otwarty na działanie Łaski i Objawienia. Zdaję sobie sprawę, że p. Mieroszewskiemu wyda się to odwróceniem kota ogonem. Zdaję sobie sprawę, że katecheci i kaznodzieje zbyt często podawali i podają prawdy wiary, jak gdyby wiedzieli, że są to prawdy na pewno. *Nostra culpa*. Choć równocześnie podkreślali też aż do znudzenia tę oczywistą różnicę między wiedzą a wiarą. Dla mnie – jeśli słowa znaczą to, co zdają się znaczyć – wiara jest przede wszystkim ufnym otwarciem siebie na wszystko, co jest poza mną i nade mną, co jest dobre, sensowne, wyższe i większe niż ja. Absolutnym prerekwizytem wiary jest ciemność, poczucie głębi i tajemnicy istnienia. Tylko w tej ciemności i w tym poczuciu jest możliwe autentyczne otwarcie siebie. Następnym zaś każdego autentycznego otwarcia jest absolutne zaangażowanie, rzucenie całego siebie na szalę otrzymanego objawienia.

Nikt z nas tak zwanych wierzących czy niewierzących nie potrafi doskonale wierzyć. Każdy z nas wierzy tylko więcej lub mniej. P. Mieroszewski też

wierzy, na przykład w ludzki rozsądek i w naukę, którą słusznie nazywa ludzkim objawieniem. Wierzy nawet w religię i w Boga. Ale stawia zapórę przed religią zorganizowaną. Rozumiem motywy, dla których Mieroszewski postawił sobie arbitralnie takie *thus far and no further* – przypuszczam, że katecheta z gimnazjum miał z tym wiele do czynienia i że biedny katecheta odpowie za to przed Bogiem. Katecheta widocznie potrafił skutecznie zamknąć autora artykułu (i nie jego jednego) na objawienie, jakie jest w stanie dać zorganizowane chrześcijaństwo. Jest to straszliwa strata dla autora artykułu (nie mówiąc już o stracie dla chrześcijaństwa), bo to zamknięcie zdaje się być odpowiedzialne za generalną płyciznę stosunku autora zarówno do religii, jak i do nauki i prowadzi go do absurdalnej tezy, że chrześcijaństwo, jeśli ma przeżyć, powinno uznać „prymat nauki jako głównego środka poznania prawdy”. Ślepy by zauważył, że gdyby tak miało być, to chrześcijaństwo jak i każda inna zorganizowana religia nie miałyby na świecie nic do roboty i powinny zamarzeć. To właśnie twierdzą marksiści – ze swego punktu widzenia (i Mieroszewskiego) słusznie. Na szczęście nauka ma inne zadania i religia ma inne zadania. Nauka potrafi nam powiedzieć bardzo wiele o świecie, zwłaszcza fizycznym, i jestem jak najbardziej za tym, by Kościół katolicki wyrzucił za burtę tę część swego metafizycznego bagażu, która wywodzi się nie z Ewangelii, ale z filozofii Arystotelesa. Tu Kościół powinien uznać „prymat nauki”. Ale to jeszcze nie robi z nauki „głównego środka poznania prawdy”. Bo nauka, jak wiadomo, nie wygłasza nigdy sądów wartościujących. Wszelkie poznanie wartości jest dla nauki, jako nauki, absolutnie niedostępne i dlatego wszelka „etyka naukowa” na przykład jest *contradictio in adiuncto*. Może nam coś o wartościach ludzkich i o sensie życia ludzkiego powiedzieć sztuka, wydaje mi się jednak, że ostatecznym źródłem wszelkich wartości ludzkich jest wiara, w znaczeniu, jakie starałem się powyżej określić, a taka wiara jest zawsze w swej istocie wiarą religijną. Taka wiara leży nawet u podstaw nauki i bez niej także działalność naukowa nie miałaby sensu.

Ale czy do tego potrzeba zorganizowanej religii? Sądzę, że tak. Wydaje mi się, że właśnie długoletni (jak przypuszczam) brak kontaktu autora ze zorganizowaną religią, brak owych głębokich intuicji, jakie daje kontemplacja dogmatu (np. w Piśmie Świętym albo w liturgii), jest odpowiedzialny za ten beztroski, „humanistyczny” galimatias, jaki nam Mieroszewski w swoim artykule zaprezentował. Jeśli w XX wieku uznawane są pewne wartości humanistyczne, to zawdzięczamy je w pierwszym rzędzie upartemu trwaniu zorganizowanego chrześcijaństwa – mimo wszystkich jego niedociągnięć

* Szczegółowsze uzasadnienie tego poglądu dałem w dwóch artykułach na łamach „Kontynentów” w ramach zainicjowanej przez to pismo dyskusji (nr 73–78, styczeń–czerwiec 1965) [przyp. autora].

i błędów. Śmiem twierdzić, że gdyby nie zorganizowane chrześcijaństwo, które poprzez wieki przekazało nam Ewangelię, nie byłoby dzisiaj ani Oxfamu*, ani ONZ.

Nie zgłaszam pretensji do drugiej części artykułu, gdzie autor mówi dużo słusznych rzeczy o wzajemnym stosunku religii i polityki w Polsce. Tylko nie bardzo widzę, jaki to ma związek z pierwszą częścią artykułu.

Antoni Pospieszalski

[3/1966]

* Akcja dobroczynności na rzecz państw Trzeciego Świata.

JÓZEF MACKIEWICZ

Dla „Dobra Kościoła”?

Zabierając głos o „religii bez namaszczenia”, jak do tego namawia ankietę „Kultury”, rozumiem to w sensie: bez faryzeizmu; bez lęku przed ściągnięciem brwi ze strony osób namaszczonych duchowną czy świecką predestynacją do przemawiania z religijnej czy patriotycznej *ex cathedra*.

Wydaje mi się, że aktualność zagadnienia dałaby się sprowadzić plastycznie do tego, co pospolici ludzie mają na myśli, gdy mówią: „Wszystko ma swoje granice”. Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli Kościół w swoim stosunku „do świata współczesnego” (XIII schemat obrad Soboru) pewną granicę przekroczy – a czasem zdaje się, że zbliża się do niej fatalnie – światu istotnie grozić może... nie wiem, czy dechrystianizacja, zmierzch chrześcijaństwa (co by stanowiło odpowiedź na pierwszy punkt pierwszego pytania ankiety) – natomiast dekatolizacja, zmierzch katolicyzmu. Bo wiara w Boga zapewne utrzyma się zawsze; ale autorytet Kościoła może być wstrząśnięty.

Widzialny Kościół katolicki, jak każda instytucja przez ludzi w doczesnym świecie kierowana, miał w ciągu swej bez mała dwutysiącletniej historii niejedną kartę ciemną. Nie wyrzekł się też, nazwijmy to szczerze: jednej z najniemoralniejszych tez wygłoszonych kiedykolwiek przez człowieka, że „każda władza pochodzi od Boga”. Poszczególne fakty niesłusznej, niesprawiedliwej i niemoralnej praktyki i postawy papieskiego Rzymu na przestrzeni wieków należą do historii powszechnej i są zbyt znane oczywiście, aby je tu przykładowo cytować. Bardzo liczne są może takie, których wykładnia wydaje się sporna, i sporna pozostaje po dzień dzisiejszy. Także w historii Polski notujemy liczne interpretacje, które oceniają ujemnie rolę tej lub innej ingerencji Kościoła. Dodajmy, że nawet interpretowane przez polską historiografię pozytywnie nie zawsze i niekoniecznie pokrywały się z moralnością chrześcijańską. Tak na przykład w polityce wobec pogan czy w sposobach zwalczania Kościoła wschodniego lub innowierców. W dawnych cza-

sach wierzono, że za zerwanie za sprawą papieża Eugeniusza IV zaprzysiężonego układu z sultanem Muradem II, Bóg pokarał młodego króla śmiercią i klęską warneńską w 1444 roku. W nowszej historii bądź z oburzeniem reagowano na zalecenia Grzegorza XVI z 1832 roku, który upominał do posłuszeństwa wobec cesarskiej władzy Mikołaja I; bądź z czcią przyjmowano *breve* tego samego papieża z 1842 roku, w którym potępiał prześladowania rosyjskie. Sporny można mieć pogląd na stanowisko Leona XIII w okresie pruskiego *Kulturkampf* itd., itd. Aż do dzisiejszej dyskusji, czy Pius XII nie powinien był bardziej stanowczo wystąpić wobec zbrodni hitlerowskich?

Jest wiele przykładów, których się używa, częściej nadużywa, dla podbudowania argumentów. Jak zawsze, przykłady ujemne łatwiej jest cytować niż dodatnie. Mogłbym je zilustrować i z własnych obserwacji i przeżyć, jeżeli chodzi o, niestety, prawie notoryczną tendencję Kościoła, do „trzymania” raczej z silnymi tego świata, a w tej liczbie i z władzą, której „pochodzenie od Boga” ośmielam się podać w wątpliwość.

*

Kardynał mediolański Schuster, przemawiając do młodzieży faszystowskiej 26 lutego 1937 roku, mówił:

„...Bóg, który od najdawniejszych wieków przygotowywał, utworzył i chronił imperium rzymskie, również Benito Mussoliniego, poprzez Jezusa Chrystusa, Syna Boga, Zbawiciela, obdarzył nagrodą, która zbliża jego historyczną postać do wspaniałych duchów Augusta i Konstantyna... Po marszu na Rzym i po pakcie laterańskim... Bóg odpowiedział z nieba, otaczając pomocą Duce...”

W kilka lat później, gdy tenże Mussolini utracił władzę i na Piazzale Loreto, nie tak bardzo odległym od Pałacu Arcybiskupiego w Mediolanie, wywieszony został razem z panią Claretą Petacci i kilku towarzyszami wysoko nad motłochem, za nogi, głową w dół, jak krwawe tusze w sklepie rzeźniczym... – tenże kardynał zachował się (a śmiem to twierdzić jako świadek nacowny) inaczej niż Piłat. Nie ograniczył się bowiem tylko do umycia rąk, ale tegoż dnia zarzucił miasto drukowanymi ulotkami, wielbiącymi „zasługi kardynała” dla sprawy włoskiego *Résistance* (notabene w 90 procentach złożonego z komunistów), która właśnie Mussoliniego powiesiła.

Zastanawia mnie i zapewne nie mnie jednego, dlaczego pokłon „złotemu cielcowi” ma być czymś zdrożnym, a pokłon cielcowi władzy czymś zbożnym? Tym bardziej gdy w praktyce kroczą one zazwyczaj w dosyć ścisłej parze...

W kilka dni później ten sam kardynał (przez żadną przecież instancję kościelną nigdy nie potępiony, a raczej wyniesiony później do wysokich wpływów), gdy grupa Polaków zwróciła się doń, aby zezwolił na uroczystą mszę św. 3 maja 1945 roku przed ołtarzem głównym katedry mediolańskiej – prośbę tę odrzucił. Zezwolił na mszę cichą i w najbardziej bocznej kapliczce. Odmowę swą uzasadnił (dowiedziawszy się, z jakiej strony pochodzi prośba), że byłaby to manifestacja wyzyskująca świątynię na rzecz polskiego Governo-Londra w sporze z Governo-Lublino, a Kościół „nie powinien być wciągany do polityki”. Odpowiedź zatem klasyczna.

Prośba garstki emigrantów zabłąkanych w obcym mieście to naturalnie nie „prośba” króla w złotej koronie wjeżdżającego na czele hufców do zdobytego przezeń miasta. Do tej różnicy ludzie przyzwyczaili się od wieków, i od wieków chylą przed nią kornie czoła, równie kornie wszelako wierząc od wieków, że gdy do bram Miasta zbliży się nie Król, lecz Wróg Boga na ziemi i Wróg każdej Wiary, to Kościół te bramy nakaże jednak zamknąć. Bo Kościół nie zamyka bram przed ludźmi i ich królami, lecz – jak piszą obrońcy św. Inkwizycji – walczy tylko przeciwko instytucjom opartym na błędzie.

Sceptycy byli, naturalnie, od zawsze innego zdania. Ale Kościół powszechny nie składa się, a tym bardziej nie opiera się na sceptykach.

*

„Obrona” Kościoła w kilku słowach, słusznie potraktowana by została nie tylko przez Ojców i teologów, historyków i filozofów, ale przez przeciętnego czytelnika za naiwność godną pobłażliwego uśmiechu. Dzieło Kościoła w rozwoju naszej cywilizacji i kultury jest bowiem tak olbrzymie w każdej dziedzinie, że trudno sobie wyobrazić, czym byłaby dziś ludzkość i podstawy jej moralności, gdyby nie Kościół i jego nauka. Ta wielkość sprawiła, że odchylenia i błędy, i najgorsze nawet wypaczenia *summa summarum* wychodziły dziwnym czy umyślnym zrządzeniem boskim ku korzyści i krzewieniu Prawdy.

Pobłażliwość leży w naturze człowieka, bo bez niej nie można by wychować dzieci na dorosłych ludzi. Cierpliwość i tolerancja są może bardziej wrodzone człowiekowi, niżby się to na pozór zdawać mogło. Stąd zapewne to głębokie wyrozumienie dla jawnych i ukrytych błędów Kościoła ze strony mas wierzących, nawet do tego wyrozumienia siłą nie zmuszanych. Parafrazy: „I ksiądz jest tylko człowiekiem...” (wybaczające mu i młodą gospodynię, i dzierstwę za śluby, chrzty, pogrzeby, i kłótnię o miedzę, i inne grzechy powszednie, z których się przecie spowiada jak każdy) – rozciąga

się niejako automatycznie na wybaczenie ludzkich słabostek świeckiej polityki i świeckiej dyplomacji Stolicy Apostolskiej.

Poza tym nie należy zapomnieć, o czym często zapomina się w programowych atakach na Kościół katolicki, że „reformatorzy”, „heretycy”, „sekcjarze” i inni odszczepieńcy dopuszczali się czasem tylko mniejszych, ale czasem gorszych rzeczy niżli Kościół rzymski. Protestant William Cobbett twierdzi na przykład, że rewokując 39. artykuł edyktu reformacji z 1571 roku, Elżbieta I i jej lord Burleigh stracili w jednym roku więcej ludzi niż inkwizycja katolicka w ciągu trzech wieków. Markiz Pombal Sebastian José de Carvalho e Mello, minister Józefa I, wróg jezuitów, wolterianin, wolnomyśliciel, „przyjaciel prawdy i oświecenia”, skazał w Lizbonie za konspirację Duque de Abeiro w roku 1759 na nie mniejszą karę, jak: łamanie kołem, wyklucie oczu, spalenie żywcem i wrzucenie popiołów do morza... Nie, reformatorzy wszelkich odłamów w żadnym wypadku nie byli „lepsi” i wiedza o tym rodziła nastrój tolerancji także dla nietolerancji i fanatyzmu Kościoła rzymskiego.

Wszędzie są tylko ludzie.

Poza tym nawiasem w stosunku do ludzi, do człowieka, jego spraw i jego kultury istnieje przecież nadrzędna rola Kościoła w jego stosunku do Boga, i pośrednictwa pomiędzy ziemią i niebem. Ta strona główna, strona wiary w boskie posłannictwo Kościoła (choć cel nie uświęca środków), stanowiła też główny argument dla zgięcia kolana przed: „Dobrem Kościoła powszechnego”, jego interesem. Co zresztą laik ma wiedzieć? U Mateusza (XXII, 21) czytamy odpowiedź Chrystusa daną faryzeuszom: *Redde Caesari quae sunt Caesaris, et quae sunt Dei Deo*. A laik, już z istoty swej notoryczna owieczka, nie jest powołany do komentowania, lecz do wierzenia. „Dla Dobra Kościoła” można więc nie tylko wiele wybaczyć, ale, bywa, wiele uznać za słuszne. Spowity świętymi tajemnicami Kościół powiada do parafian – w przeniesieniu na wykładnię proboszcza: „Nie waszego to rozumu sprawa”. I słusznie: „Nie nam grzesznym o tym sądzić”. Co należy robić „dla Dobra Kościoła” nie ludzie Kościołowi, lecz Kościół ludziom obwieszcza.

Stąd też, czasem z politycznym zgrzytem zębów, nawet z przykrym posmakiem podejrzenia, przecież bez ostatecznego buntu przyjmowała do wiadomości większość wiernych wiele z tych zaskakujących i na pozór niesprawiedliwych decyzji Stolicy Apostolskiej w jej postawie dziejowo-politycznej oraz jej skłonność do kompromisów względem licznych, byle silnych władz świeckich. „Dla Dobra Kościoła”. Niech będzie.

Ale, dla dobra kompromisu?...

✱

Świat i my na nim jesteśmy tak urządzony, że pojęcie: bez granic, nie przekracza wprawdzie naszej wiedzy, ale przekracza możliwość naszego pojmowania. U nas, na ziemi, wszystko ma swoje granice. Dlatego formuła kompromisu: „dla Dobra Kościoła”, nawet... ze szkodą Kościoła, tę granicę by przekraczała.

Gdybyśmy w sztuce Hochhutha *Der Stellvertreter* i we wszystkich zarzutach pod adresem papieża Piusa XII za jego zbyt łagodny stosunek do hitleryzmu zechcieli zastąpić ten hitleryzm – komunizmem, to jakże w świetle takich zarzutów wyglądałaby dopiero postać papieża Jana XXIII!

Naturalnie, laicka większość dzisiejszego świata nie dopuszcza do takiego porównania. A nawet jeżeli to czyni, to wynosi komunizm znacznie wyżej pod względem moralno-ideowym od hitleryzmu, faszyzmu i tak dalej. Nie zmieni to wprawdzie faktu, że komuniści wymordowali wielokrotnie więcej ludzi niż hitlerowcy zdążyli to zrobić, ale dyskusja na ten temat sprowadzi nas znowu na płaszczyznę polityczno-laicką. My zaś mówimy o Kościele. A Kościół nie jest instytucją laicką, lecz duchowną. I nikt rozsądny nie może chyba kwestionować, że nie wróg ludzi na ziemi, lecz wróg Boga na ziemi za głównego i za bardziej niebezpiecznego winien być uznawany. Nie wróg ciała, lecz duszy ludzkiej. Takich rzeczy uczy się już dzieci w początkowych szkołkach na godzinach religii.

Wprawdzie Hitler był też przeciwnikiem Kościoła, ograniczał go i tysiące osób duchownych wtrącał do kacetów. Był strasznym zbrodniarzem, na miarę większą niż Herod, jeżeli chodzi o liczbę wymordowanych dzieci żydowskich. Ale zniszczenie wszelkiej wiary w Boga i każdej religii na globie ziemskim nie stanowiło ani sztandarowego, ani nawet jednego z głównych punktów jego programu. Natomiast stanowiło i sztandarowy, i jeden z głównych punktów programu światowego komunizmu, i stanowi po dzień dzisiejszy.

Lenin nazywał Boga (w liście do Gorkiego) „śmierdzącym padłem, który zaduchem swego rozkładu zatruwa powietrze świata...” Lenin porównywał religię do „opium dla narodu”, czyli do najgorszej plagi. Dziś laicy wszystkich krajów cieszą się z nawrotu od „stalinizmu” do czystego „leninizmu”, który ma zapowiadać „ewolucję” ku lepszemu. Pozwólmy tej laickiej większości świata z tego się cieszyć, choć osobiście w tej ucieście nie biorę udziału. Ale dlaczego ma się cieszyć z tego Kościół katolicki? Z tego, że

w zwalczaniu religii zastosowano bardziej „postępowe” i bardziej skuteczne środki?

Kiedyś kpiono z tępoty Stalina, który miał zapytać: „Papież? A ileż papież ma dywizji...?” Bo dobry chrześcijanin wierzy w słowa Chrystusa, że Jego „królestwo nie jest z tego świata”. A papież jest namiestnikiem Chrystusa. W tych słowach przebiega ta linia graniczna, której Stalin nie dostrzegał.

Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy Federalne, Wielka Brytania i tak dalej, i tak dalej – to wszystko są „królestwa z tego świata”. I po świeckiej, po laickiej stronie granicy leży to, gdy prezydenci z wyboru politycznego, Kennedy i Johnson, de Gaulle czy kanclerz Erhardt, czy przedstawiciel koncernu „Kruppa”, czy wreszcie z bocznej linii królewska wnuczka bestialsko zamordowanego przez komunistów cesarza Wszechrosji Elżbieta II, ze świecko pojmowanej „realnej polityki” ślą serdeczności, pozdrowienia i najlepsze życzenia wodzowi międzynarodowego komunizmu i ateizmu. Ale po innej, po wiążącej duchowo stronie leży, gdy to samo czyni namiestnik Chrystusa. Nie chodzi tu więc o polityczną ocenę gestu, ale o sam fakt przekroczenia granicy dzielącej, której Jan XXIII zdaje się nie dostrzegał. Po raz pierwszy stajemy w obliczu aż tak rozciągle pojmowanego przez Stolicę Apostolską kompromisu dziejowego.

I tu dopiero rodzi się przynębiająca wątpliwość, że może wszystko: i to, co było, i wszystko to, co jest, to – jak powiada punkt 4. pierwszego pytania ankiety – tylko „deklamacyjna fasada”?...

„Dla Dobra Kościoła”?

Czy dlatego, że w wieku XX ateistyczny komunizm stał się potęgą bardziej dominującą niż monarchie Świętego Przymierza w wieku XIX?

*

Chruszczow powiedział w 1964 roku na zebraniu robotników węgierskiego kombinatu chemicznego:

„Jeżeli ktoś mnie uderzy w policzek, to trzasnę go na odlew tak, aż mu się głowa zakłama na szyi! To jest różnica pomiędzy mną i Jezusem Chrystusem”.

Papież Jan XXIII okazał doprawdy wiele dobroci, wymieniając z nim uprzejme depesze, przyjmując na ojcowskiej audiencji jego zięcia Adżubeja, komiwojażera propagandy komunistycznej w świecie. Katolicka propaganda tego sposobu postępowania papieża powołuje się na ewangeliczne

posłannictwo Kościoła nawracania grzeszników z ich błędnej drogi i otwierania na oścież serca i wrót dla największych nawet zbrodniarzy. Skoro jednak powrót na łono Sprawiedliwości co większego złoźcy szczególnie radować ma serca chrześcijańskie – zaś Chruszczow z jego otoczeniem uznani zostali, powiedzmy przykładowo, tylko za drobnych kieszonkowców w zestawieniu z hitlerowskimi złoźcami – to bardziej jeszcze o nawrócenie tych ostatnich zabiegać był winien Kościół w swym posłannictwie. Zastanawia przeto, dlaczego ta sama propaganda katolicka nie tylko nie powołuje się d z i ś na analogiczne dobrotliwe gesty, a wręcz przeciwnie, zapiera się ich i usilnie stara się podkreślić tylko nieprzejednane wobec hitlerizmu fragmenty z postawy Kościoła?

Oczywiście, pytanie jest retoryczne. Jesteśmy bowiem na każdym dziś kroku świadkami racji, które wychodzą z elastycznie pojętego założenia: *comparaison n'est pas raison*. Świat, powiadają, idzie naprzód, p o s t ę p u j e. Od tego są zatem „postępowcy”, żeby wiedzieli, co robić. Według nich nie pokój jest dla ludzi, lecz ludzie dla pokoju. I Kościół winien również przejść na status: „postępowy”...

Współczesny postęp wytworzył w czwartym co do wielkości mieście, w środku Europy, warunki bytu, w których możliwość nie wierzyliby zafańcy wstecznej epoki. Przez centrum miasta przeprowadzono mur. Z tego muru strzela się i zabija; na przykład osiemnastoletnią dziewczynę za to, że chciała odwiedzić swoją matkę o kilka ulic po drugiej stronie. Strzela się do młodych i starych, zabija kobiety i dzieci, mieszkańców tego samego miasta, jak dotychczas około dwustu osób; podobnie jak się strzela i zabija więźniów uciekających przez normalny mur więzienny. Dzieje się to w okresie tak ochranianego pokoju i „pokojoywej wymiany kulturalnej”. Więc życie postępuje naprzód i następuje niebywała w dziejach ewolucja w dziedzinie wynalazczości i pomysłów wydostania się na wolność. Buduje się lochy pod kamienicami miasta, przeprowadza tam elektryczność, zakłada windy, aby ułatwić ucieczkę kobietom i dzieciom. Buduje domowym sposobem wozy pancerne do przełamania bariery na ulicy. Konstruuje specjalne podwozia samochodów dla chowania w nich ludzi; odporne na kule bagażniki. Ucieka na rozpędzonych lokomotywach... Następuje ewolucja przestępstw, których nie mogły przewidzieć wsteczne kodeksy karne: mąż zdradza żonę po to, by wyszukać po wolnej stronie jej sobowtóra i wyłudziwszy od kochanki przepustkę, zostawia ją za murem więziennym, uprowadzając własną żonę na wolność z „republik demokratycznej” towarzysza Ulbrichta... Sędziowie w Berlinie łamią sobie głowy nad aspektami tego niewątpliwie ciężkiego i obrzydliwego przestępstwa.

W owym środku Europy ktoś odczytał w gronie znajomych skomponowany przez się wierszyk:

„Wielki Boże uczyni mnie ślepym,
Abym nie trafił do muru.
Wielki Boże uczyni mnie głuchym,
Abym nie wierzył radiom zachodnim.
Wielki Boże uczyni mnie niemym,
Abym nie trafił do więzienia.
Gdy będę ślepy, głuchy i niemy,
Będę Ulbrichta ukochanym dzieckiem”.

Za ten odczytany wierszyk skazany zostaje w roku 1965 na sześć i pół roku ciężkiego więzienia.

Dnia 3 stycznia 1965 roku papież Paweł VI wymienia z towarzyszem Ulbrichtem depesze gratulacyjne.

A wiadomość o tej depeszy wydzielą tłustym drukiem krakowski „Tygodnik Powszechny”, uchodzący za dobry – katolicki.

Ale bez złośliwości oceniając współczesną sytuację, każdy chyba przyznać musi, że „duch czasu” postępuje i zmienia się w tempie dla okresu sprzed pięćdziesięciu laty zgoła niewiarygodnym. Jeżeli przyjmiemy do wiadomości, że z wymienionej wyżej republiki „demokratycznej” Ulbrichta, w środku Europy, uciekło przed wybudowaniem muru 3 700 000 ludzi, a po wybudowaniu jeszcze 20 000, mimo najbardziej nowoczesnych i postępowych odrutowań, systemów sygnalizacyjnych i pół minowych, że w dalszym ciągu zza ogrodzenia więziennego, zwanego „żelazną kurtyną”, uciekają ludzie wszystkich narodowości, błagając o prawo pobytu w wolnym świecie, i że są państwa tego wolnego świata, jak na przykład Dania, które łamiąc chrześcijańską moralność, wydają tych ludzi z powrotem w niewolę, to zgodzimy się chyba, że ten niemiłosierny postęp rzeczy nie da się powstrzymać najbardziej nawet żarliwą encykliką pokojową Stolicy Apostolskiej.

Powtarzanie banałów nudzi. Stan, o którym wspominam, należy dziś do banału dnia powszedniego. Więc tylko pozwólmy sobie zwrócić uwagę, że od śmierci Piusa XII żaden z jego następców w swych licznych i pięknych wezwaniach przeciwko zbrojeniom i bombie atomowej nie uważał za stosowne napiętnować istniejącego stanu wprost ani wymienić z imienia tych „instytucji opartych na błędzie”, które winne są wywołania i tolerowania tego niechrześcijańskiego stanu.

Lakoniczna interpretacja brzmi: Kościół nie może i nie wtrąca się do polityki. Znamy ją bardzo dobrze. Oczywiście wezwanie o pokój na Kubie, w Kongo, w Wietnamie czy wszędzie, gdziekolwiek stawia się opór agresji

komunistycznej, nie jest bezpośrednim udziałem w polityce. Być może należy też do spraw ścisłego *forum internum* Kościoła, gdy papież udziela uroczystej audiencji i ofiarowuje zegarek po Janie XXIII czerwonemu bojownikowi Hiszpanii, laureatowi Nagrody Leninowskiej Pietro Nenniemu. Ale przecierając oczy na wieki ubiegłe, trudno oprzeć się wrażeniu, że Stolica Apostolska najbardziej czasem polityczne stanowisko zajmuje właśnie wtedy, gdy powstrzymuje się od „zajmowania stanowiska politycznego”...

*

Zarzucić mi można, że dobieram przykłady jednostronne, z pominięciem innych, i wykrzywiam przez to zwierciadło Prawdy. W ten sposób, jakoby Kościół katolicki godził się czy zgola pochwalał ateistyczny, totalitarny komunizm. Niech Bóg uchowa! Tego nigdy nie miałem i nie mogłem mieć na myśli. A jednostronność wynika po prostu ze skoncentrowania się na rzeczach, o których się przeważnie nie mówi, a częściej nie zna, znać nie chce lub zna tylko z urywków. Natomiast mam na myśli, że Kościół dał się wciągnąć we współczesny konformizm „postępowy”. Stąd rodzić się mogą słuszne podejrzenia, że wiele pięknych decyzji i uchwał Soboru Watykańskiego, jak na przykład o „wolności religii”, stosunku do Żydów i tak dalej, samych w sobie wzniosłych, uchwalanych jest może nie dlatego, że są piękne i wzniosłe, lecz dlatego, że są „postępowe”.

Tak na przykład inicjatywa pogodzenia i ponownego zjednoczenia Kościoła zachodniego ze wschodnim jest najpiękniejszą i najrozumniejszą inicjatywą, jaka w wieku XX podjęta została przez Kościół rzymski. Przypomnijmy, że ostatni w tej sprawie sobór we Florencji w 1439 roku orzekł, że istota dogmatyczna obydwu kościołów jest identyczna, a różni je tylko terminologia. Ale sytuacja obecna uległa pewnej deformacji.

Jeden z patriarchów tego Kościoła, mianowicie moskiewski, podpadł pod władzę bezbożnego komunizmu. Nie będziemy przytaczali tej tragicznej historii. Dziś liczne, poniżające godność Cerkwi i godność ludzką oświadczenia patriarchy moskiewskiego są tak dobrze znane, że wypominanie ich zabierałoby tylko zbyt wiele miejsca w druku. Z istoty swej Patriarsza Cerkiew Rosyjska przeistoczyła się w agenturę sowiecką, a jej przedstawiciele wysyłani za granicę spełniają rolę partyjno-rządowych agentów. To nie jest połajanka, lecz ustalenie stanu faktycznego. Wystarczy przypomnieć, że w lutym 1956 roku metropolita moskiewski Mikołaj na konferencji prasowej w Oslo na zapytania dziennikarzy odpowiedział: „W ZSSR nigdy nie

było prześladowań religijnych. Sytuacja ustabilizowała się z korzyścią dla Cerkwi prawosławnej już od roku 1918"(!!!). Ponieważ w Sowietach od 1918 roku wymordowano setki biskupów i tysiące księży, a większość świątyń została sprofanowana bądź zamieniona na muzea bezbożnicze, więc zdumieni dziennikarze zapytują, czy się nie przesłyszeli? – „Podkreślam – odpowiada twardym głosem ten metropolita – od roku 1918!”...

Jeżeli chodzi o nowsze czasy, pomiędzy 1960 i 1962, władze komunistyczne zamykają seminaria duchowne w Kijowie, Stawropolu, Saratowie, Mińsku i Łucku, otwarte za Stalina po drugiej wojnie światowej. Zamykają liczne cerkwie i klasztory. Tysiące „służebników kultu” znalazło się na bruku, a otrzymanie pracy zależne było w praktyce od wyrzeczenia się przez nich religii itd., itd. Ale Kościół prawosławny nie umarł w Rosji, tylko nie jest reprezentowany przez oficjalny Patriarchat. W tej chwili działają tam dwie cerkwie podziemne: tak zwana „Prawdziwa Cerkiew Prawosławna” i tak zwani „Prawdziwie Prawosławni Chrześcijanie”. Nawigują one do tradycji protestacyjnej przeciwko kompromisowi metropolity Sergiusza z bolszewikami z roku 1927, zapoczątkowanej przez metropolitów Józefa i Kyrila oraz biskupów Maksyma, Ilariona, Wiktora i Nektara.

Mniej więcej w czasie, gdy władze sowieckie, przy poparciu oficjalnym Patriarchatu, dokonują najazdu, masowych czystek i aresztów w Ławrze Poczajowskiej...

W jesieni 1962 roku papież Jan XXIII deleguje do Moskwy sekretarza Soboru *Monsignore* dr. J. Willebranda z osobistym pismem zapraszającym na Sobór Watykański delegatów „Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej” w charakterze obserwatorów. Ale *Monsignore* Willebrand zwraca się z pismem Jana XXIII nawet nie do oficjalnego patriarchy Aleksego, lecz najpierw do odnośnych władz sowieckich. Tam otrzymuje „pozwolenie na wyjazd delegatów”, które w warunkach sowieckich równoznaczne jest z nakazem. Dopiero po otrzymaniu tego „pozwolenia” udaje się do arcybiskupa Nikodema, który w rzeczywistości jest szefem sowieckiej agentury zagranicznej do spraw religijnych.

W ten sposób na II Sobór Watykański przybywają w charakterze „zaproszonych obserwatorów” delegaci Cerkwi moskiewskiej, a w istocie agenci sowieccy. W Rzymie zostają przyjęci ze wszystkimi oznakami przysługującymi reprezentantom istoty Kościoła chrześcijańskiego. W danym wypadku nie chodzi o „różnicę terminologii”. Chodzi o i s t o t ę rzeczy samej w sobie, usankcjonowaną przez decyzję Jana XXIII, może zgodnie z kanoniczną formą, lecz w jaskrawej sprzeczności z obiektywną i oczywistą treścią.

W konsekwencji tego smutnego paradoksu mógł się zrodzić taki paradoks w interpretacji prasy świeckiej, jak ten, iż „zezwoenie na wyjazd dane delega-

tom Cerkwi moskiewskiej było ze strony Związku Radzieckiego gestem pojednawczym w stosunku do Rzymu”... Jak gdyby wysłanie własnych agentów obleczonych w maskujące szaty mogło zaświadczyć o czyjejs dobrej woli!...

Paweł VI znacznie złagodził to wyróżnienie przez Jana XXIII agentury moskiewskiej. Pojechał do Jerozolimy i spotkał się tam z patriarchą ekumenicznym Atenagorasem. Z drugiej jednak strony przez niedwuznaczne i częste podkreślanie, że zamierza kroczyć drogą wytkniętą przez swego wielkiego poprzednika, staje się kontynuatorem akcesu do współczesnego Ducha Czasu.

Jest to atmosfera, której ilustracją być może do pewnego stopnia „List do wiernych” z 9 maja 1965 roku, podpisany przez wszystkich biskupów i ordynariuszy katolickich Czechosłowacji:

„Składamy dzięki Bogu... Ojczyzna nasza jest szczególnie wdzięczna Armii Radzieckiej, która jej przyniosła wyzwolenie... Jesteśmy świadkami wielkich osiągnięć etc. ... Wiemy również, że i przyszłość – nie tylko nasza, ale całej ludzkości będzie szczęśliwa, jeśli zachowany będzie pokój zbudowany na niezniszczalnych fundamentach, które określił św. pamięci Jan XXIII w swojej encyklice *Pacem in terris*...”

*

Jeżeli chodzi o stanowisko Kościoła polskiego, to pozycję jego najtrafniej sprecyzował świetny analityk współczesnej rzeczywistości polskiej Witold Jedlicki w swej pracy *Klub Krzywego Koła*:

„Jest absolutnym fałszem często spotykany w prasie zachodniej pogląd, że Kościół jest jedyną w Polsce siłą opozycyjną w stosunku do komunistycznego państwa: w rzeczywistości Kościół się tej roli dobrowolnie zrzekł”.

A więc znowu rola sprowadzająca rzecz całą do formalnej fasady: Kościół nie miesza się do polityki. Krytyka tej fasady ze stanowiska wolnej myśli polskiej (pozakomunistycznej) jest dziś niezmiernie utrudniona ze względu na odebranie tej myśli jej dawnej giętkości.

Jeżeli chodzi o Kościół w Polsce, prawda jest taka, że się tej prawdy nie chce znać albo jej unika, albo zastępuje swoistym pomieszaniem sloganów, taktycznych niedomówień, zbożnych życzeń, dobranych skrótów patriotycznych. Czasem trudno się nawet rozeznaczyć, co dominuje bardziej: rozmyślna niewiedza, szczerza ignorancja czy szczerza wola samookłamania.

Charakterystyczne jest, że chyba żadne pismo na emigracji nie podało nigdy pełnego tekstu z przemówień i kazań kardynała Wyszyńskiego, a zawsze tylko wyjątki i urywki. Absolutna większość nie zna nie tylko tekstu,

ale nawet nie słyszała o deklaracji Episkopatu polskiego z 28 września 1953 roku, podpisanej przez biskupów Klepacza i Choromańskiego.

Naturalnie nie chcemy w tym miejscu mówić o polityce świeckiej. Ale byłoby naiwnością lub rozmyślnym zamykaniem oczu, gdybyśmy przyjęli, że program polityczny świeckich sfer katolickich w Polsce pozostaje bez wpływu i znaczenia dla postawy Kościoła w warunkach komunistycznej rzeczywistości. Program ten w najbardziej szerokim ujęciu wskazał Kościołowi „Tygodnik Powszechny” jeszcze w 1959 roku (z dnia 17 kwietnia):

„Kiedyś... nazywano Polskę przedmurzem chrześcijaństwa... Obecnie powinniśmy zmienić rolę i z przedmurza stać się pomostem...”

Powtórzył to arcybiskup Kominek w wywiadzie telewizyjnym 10 stycznia 1966 roku; chwalać przy okazji układ poczdamski, za co pochwalony został z kolei przez Gomułkę 14 stycznia 1966 roku.

Naturalnie program sam w sobie nie jest sprzeczny z nauką Kościoła. Wszelako dalsze komentarze publicystyczne katolickiej grupy „Znak” i jej prezesa Jerzego Zawieyskiego, „członka Rady Państwa”, ujawniają, o jaki pomost chodzi i do czego ten pomost ma służyć: do wspólnej budowy socjalizmu przez komunistów i katolików..., do gwarancji pokojowych Związku Radzieckiego, do współpracy pokojowej z komunistami i tak dalej – aż do szczytowych może zaleceń w wystąpieniu Stanisława Stommy w sejmie w czerwcu 1965 roku. Świadczą one, że katolicka grupa „Znak” stoi dziś na pozycjach nie mniej kompromisowych w stosunku do komunistów niż grupa PAX-u, w każdym razie z okresu 1 lipca 1949 roku, gdy została potępiona przez dekret Kongregacji św. Oficjum. Dekret ten do dziś dnia nie został odwołany, ale stanowisko grupy „Znak” nie zostało potępione, choć za analogiczną współpracę z komunistami potępiony był PAX. Nigdy też nie potępił stanowiska „Znaku” Episkopat polski. Stąd można by wyciągnąć wniosek, że dziś Kościół w Rzymie i Episkopat w Polsce zalecenia „Znaku” i grupy „Tygodnika Powszechnego” nie uważa za złe.

Czy są dobre, czy złe z punktu widzenia politycznego, ze stanowiska „królestwa z tego świata”, pozostawmy na uboczu. Z punktu widzenia jednak „królestwa nie z tego świata”, to znaczy Kościoła, wydadzą się one przede wszystkim naiwne, jeżeli zechcemy je skonfrontować z doświadczeniem pięćdziesięcioletniej praktyki. A zwłaszcza z tym stanem, do którego doprowadzona została Rosyjska Cerkiew Patriarsza na drodze kompromisów.

Popularny wśród Polaków argument, że w Rosji możliwe to było wskutek nieporównanie z katolickim klerem niższego poziomu kleru prawosławnego, nie da się utrzymać. Przypomina zresztą przechwałki niejednego naro-

du przed rokiem 1939, że „komunizm dobry jest tylko dla Rosji”. (Opowiadał mi właśnie niedawno redaktor paryskiej „Russkoj Mysli” Sergiusz Wodow, jak przed wojną mówił mu w Pradze Benesz: „Nas pan bolszewizmem nie nastraszy! Czy może pan sobie w ogóle wyobrazić Czechosłowację komunistyczną!!!”). Otóż ten rzekomo tak dalece niższy poziom kleru prawosławnego to w dużym stopniu przesada na użytek narodowej propagandy. Zarówno wśród kleru katolickiego, jak i prawosławnego mieliśmy w okresach przełomowych moc świetlanych postaci. Z drugiej strony czytamy chociażby w *Pamiętnikach* Wacława Lednickiego, do jak pożałowania godnego upadku potrafili dochodzić niektórzy księża katoliccy po powstaniu 1863 roku. Doświadczenia z wieloma prałatami z PAX-u, „Komisji księży”, „Caritasu” i tak licznymi duchownymi w Polsce Ludowej pouczają nas bardziej plastycznie, że co najmniej niedaleko odbiegli oni od leninowskiej „Żywej Cerkwi”. A wspomniana wyżej, wiernopoddająca deklaracja Episkopatu polskiego z 28 września 1953 roku potęguje te analogie.

Zwróćmy też uwagę, że Cerkiew prawosławna w pierwszej fazie zetknięcia z bolszewizmem zdobyła się na anatemę rzuconą na bolszewików przez patriarchę Tichona 19 stycznia 1918 roku. I stoczyła się do dzisiejszego upadku dopiero po latach kompromisów, nie mając za granicą takiego oparcia, jakim jest Rzym dla hierarchii katolickiej. W Polsce zaczęło się od razu od kompromisów, ukoronowanych porozumieniem z 14 kwietnia 1950 roku. Następne prześladowania Kościoła i aresztowanie prymasa Wyszyńskiego wynikły nie z tego, że Kościół nie chciał kompromisów, tylko z tego, że komuniści nie chcieli kompromisów, a chcieli zupełnej kapitulacji Kościoła. Jak wiadomo, zreflektowali się w tych planach jeszcze przed Październikiem, gdyż zupełna kapitulacja Kościoła w Polsce nie jest możliwa bez usankcjonowania tego przez Rzym. Stworzenie „Kościoła polskiego” (państwowego) jest w każdej chwili możliwe, chociażby za pośrednictwem agentów z PAX-u. Ale wtedy rzymski Kościół przeszedłby do katakumb, czego się właśnie komuniści najbardziej w Polsce obawiają. (A czego nie obawiali się w Rosji, gdyż Cerkiew rosyjska nie jest zależna od żadnego ośrodka zagranicznego). Nastąpił więc nawrót do polityki kompromisów, który osiągnął swój szczytowy punkt w poparciu przez prymasa Wyszyńskiego w roku 1957 „wyborów” na jedyną komunistyczną listę Frontu Jedności Narodu.

To prawda, stało się to dla „Dobra Kościoła”. Ale czy na pewno z korzyścią dla Kościoła? Dyskusja na ten temat nigdy nie została podjęta przez wolną prasę polską na Zachodzie, która respektowała bez zastrzeżeń wszy-

stkie decyzje prymasa Wyszyńskiego w granicach jego jurysdykcji, pod rządami komunistycznymi.

W tej chwili sytuacja uległa zmianie. Ze śmiercią arcybiskupa Gawliny katolicka emigracja polska utraciła bezpośrednią zależność od Rzymu i niezależność od ośrodka znajdującego się pod władaniem komunistycznym. Przeszła pod jurysdykcję prymasa Wyszyńskiego, który ze swej strony wyznaczył na „opiekuna emigracji” biskupa Rubina. Nie wyznaczył na to stanowisko na przykład prałata Meysztowicza czy kogoś z ogólnie znanych na emigracji wybitnych osób duchownych. Wyznaczył osobę emigracji dotychczas dobrze nie znaną, a widocznie znaną dobrze sobie.

*

W masie zbrodni popełnionych w okresie minionej wojny dwie wyróżniają się najbardziej: 1) pod względem ilościowym, i jakościowym – zbrodnia wymordowania milionów cywilnej ludności żydowskiej, gazowania i palenia jej wraz z kobietami i dziećmi; 2) pod względem jakościowym – zbrodnia wymordowania 15 tysięcy internowanych oficerów polskich, zastrzelonych pojedynczo wystrzałem w tył głowy, w Katyniu i w dwóch nie ustalonych jeszcze miejscowościach w Sowietach.

W obydwu wypadkach mordowani byli ludzie nie za ich czynność, a za ich istnienie. W pierwszym wypadku z pobudek rasowych, w drugim z pobudek klasowych. Ponieważ nie ma takiego prawa boskiego ani moralnego, które by mordowanie za przynależność do pewnej rasy uważało za zbrodnię większą od mordowania za przynależność do pewnej klasy (względnie światopoglądu, religii i tak dalej), przeto pomiędzy obydwoma tymi zbrodniami w każdym wypadku z punktu widzenia Kościoła katolickiego powinien być postawiony jakościowy znak równania.

Zbrodnia katyńska w jej jakościowej wadze nie da się zrównać nawet ze zbrodnią leninowskich czasów, gdy to pełnomocnik Czecha, towarzysz Kedrow, wiosną 1920 roku załadował na przedziurawione statki 1092 oficerów rosyjskich i potopił ich w Morzu Białym. Tamci oficerowie byli bądź co bądź stroną walczącą w wojnie domowej. Oficerowie polscy nie byli stroną walczącą z Sowietami, zostali tylko przez nich „internowani”. Co to byli za ludzie, wiemy dokładnie nie tylko ze spisów imiennych, ale i ze świetnej książki Józefa Czapskiego *Wspomnienia starobielskie*. Gdybyśmy jednak ani tych spisów, ani tej książki nie znali, wiemy, że w każdym wypadku mieli dusze. Za dusze pomordowanych ofiar hitlerowskich odprowadzane są uroczy-

ste nabożeństwa w świątyniach całego świata. Za dusze Polaków pomordowanych w Katyniu, ze względu na polityczną sytuację, nie mogli odprowadzać uroczystych nabożeństw prymas i biskupi w Polsce. Odprowadzał je dotychczas tylko duszpasterz emigracji arcybiskup Gawlina i księża poza krajem. Arcybiskup Gawlina nie taił swego stanowiska, dając się nieraz unieść krewkim słowom, jak na przykład w „Odezwie” z 25 września 1954 roku:

„Bezbożny reżym komunistyczny... Szatańskie zamiary wrogów Boga i Polski... Wszystkich moich Drogich Rodaków gorąco zachęcam do udziału w modlitwach, które za wstawiennictwem Niepokalanej Maryi, Królowej Polski, uproszą zmiłowanie Boże dla naszej cierpiącej dzisiaj ojczyzny...”

Nowy duszpasterz emigracji mianowany przez prymasa Wyszyńskiego biskup Rubin unika wszelkich aluzji o „cierpiącej ojczyźnie”; reżymu komunistycznego nie przeżywa „szatańskim” ani „bezbożnym”; nie używa krewkich słów, które, być może słusznie, uważa za zbędne. Ale też i w innych rzeczach zajmuje stanowisko odmienne.

Wiosną tego roku, 1965, przypadła 20. rocznica wyzwolenia więźniów z hitlerowskich kacetów. Przypadła jednocześnie 25. rocznica masowego wymordowania Polaków w Katyniu. Ksiądz biskup Rubin udaje się do Dachau i odprawia tam głęboko wzruszające nabożeństwo uroczyste, w asyście licznych duchowieństw, za dusze ofiar hitlerowskich obozów. Ale nie odprawia nigdzie nabożeństwa w 25. rocznicę mordu katyńskiego za dusze pomordowanych przez komunistów Polaków. Owszem, nabożeństwa mniej okazałe odbyły się w licznych kościołach na Zachodzie, ale nie celebrowane przez samego biskupa. Naturalnie: „modlić się do Boga niekoniecznie trzeba z pompą i przy głównym ołtarzu. Wystarczy po cichu w bocznej kaplicy, bez przydawania temu akcentów politycznych” – pouczał nas w 1945 roku kardynał Schuster w Mediolanie...

Polityczna emigracja polska jest z pełnym respektem i zrozumieniem dla tych trudności, jakie wynikają z rozciągnięcia na nią jurysdykcji przez prymasa w Polsce Ludowej, i pragnie nie utrudniać mu ciężkiego zadania. Dla „Dobra Kościoła”, oczywiście. Przy głębszym jednak zastanowieniu budzą się niejaki wątpliwości. Jeżeli bowiem po to, by nie utrudniać „dialogu z komunistami” w kraju, zaczniemy i w wolnym świecie nawet liturgiczną formę modlitw za dusze pomordowanych przez komunistów ludzi dostosowywać do taktycznych względów, to dokądże taka droga zaprowadzić może i nas, i Kościół? I czy nie będzie to właśnie droga, przed którą przestrzegał papież Pius XII w liście apostolskim z 29 czerwca 1956 roku:

„...Lecz niestety, zdajemy sobie sprawę, że słabość i ułomność ludzka załamuje się... Wówczas to się zdarza, iż niejeden... dochodzi do wniosku, iż trzeba przykazania nauki Chrystusowej dostosowywać do nowych czasów i okoliczności. Wypaczają i zmieniają tym sposobem zasady religii katolickiej i tworzą pewnego rodzaju amalgamat pomiędzy nią a błędami fałszywego postępu...”

*

Łatwo zarzucić mi niekonsekwencję. Dostrzegam bowiem groźbę dekatolizacji świata w tym, co stanowi dziś właśnie o wzroście ogromnej popularności Kościoła. Dawno już bowiem żaden z papieży nie bywał do tego stopnia „kanonizowany” przez świecką opinię publiczną całego świata, łącznie z kierowaną przez komunistów, co Jan XXIII. To prawda. Także prawdą jest, jak już wspomnieliśmy powyżej, że żaden chyba w historii Polski prymas (nawet tamten z roku 1655, który pozostał wierny prawowitemu królowi i opuścił wraz z nim granice Rzeczypospolitej, aby nie być zmuszonym do uznania obcego uzurpatora) nie cieszył się tak jednolitym poparciem, jak dziś prymas Wyszyński. Będą to jednak względy świeckie i popularność świecka.

Jan XXIII miał za sobą doskonałą „prasę” laicką. Ale musimy przyznać, że w pierwszym rządzie prasę tak zwaną „postępową”, nawet ateistyczną, nawet doktrynalnie komunistyczną. Nie będziemy na tym miejscu rozstrząsać, czy te sfery, które udzieliły szczególnego poparcia „polityce niemieszania się do polityki” Jana XXIII, dążą do słusznych czy niesłusznych celów. Ale trudno uwierzyć, aby właśnie te sfery zainteresowane były szczególnie trwałością instytucji Kościoła; ażeby właśnie tym czynnikiem, łącznie z komunistami, leżało na sercu „Dobro Kościoła”! Gdyż takie założenie graniczyłoby z absurdem. Zainteresowane są one wyłącznie bieżącą polityką Kościoła. Jest to więc typowe poparcie koniunkturalne, ale nie – poparcie istotne.

Kościół jest instytucją patetyczną. Dlatego dobór patetycznych słów w ocenie jego postawy jest tu właściwy. W naturze człowieka drzemie tęsknota do słuszności i prawdy absolutnej, nawet pod najgrubszym popiołem koniunkturalnych namiętności i „realnych polityk”. I Kościół jeżeli ma trwać wiecznie, a takie jest jego boskie powołanie, nawet dla „Dobra Kościoła” nie może tej tęsknoty lekceważyć. Bo koniunktury się zmieniają, a natura ludzka pozostaje. Z tej zatem perspektywy powinien wystrzegać się zbyt angażowania w zmienną doczesność i nie szukać popularności w przejściowych oklaskach. Tolerancja jest jedną z najpiękniejszych rzeczy

tego świata; ale nie jest równoznaczna z hołdowaniem modzie. Oblatywanie figury Chrystusa na helikopterze, budowanie kościołów w stylu abstrakcyjnych łamańców, wprowadzanie jazzu do nabożeństw – to wszystko podważa powagę Kościoła. Nie dlatego, aby te rzeczy były złe, lecz dlatego, że w tym wyścigu Kościół zawsze pozostanie na końcu i wygrać go z laickim światem na tej drodze nie może, bo nie jest to właściwa droga Kościoła. Także w „robieniu demokracji” przez ustawianie zamiast ołtarza stolika pośrodku tłumu modlących. Także w przypochlebianiu instynktom nacjonalistycznym przez „unarodowienie” liturgii, co może doprowadzić nie do upragnionej jedności, lecz wręcz przeciwnie, do rozbicia tej jedności, a pogłębienia waśni i odrębności narodowych.

Tolerancja jest jedną z najpiękniejszych rzeczy tego świata; ale nie jest równoznaczna z kompromisem, z największą nietolerancją tego świata, którą stanowi dziś potęga międzynarodowego komunizmu. I zachodzi poważna obawa, aby tym razem pod sloganem tolerancji tylokrotnie w ciągu wieków naciągana struna kompromisu z silnymi tego świata nie została przez Kościół przeciągnięta...

Józef Mackiewicz

[3/1966]

Zapiski z kraju niewoli

Będę przysyłał do „Kultury” w Paryżu w miarę wydarzeń swoje obserwacje z kraju. Rzeczą Redakcji będzie łączyć te zapiski w artykuły odpowiednie dla miesięcznika, opuszczając czy nie opuszczając, według swego uznania, omawianie faktów zbyt znanych. Co do samego tytułu: kraj, w którym nie ma swobody myśli i swobody pracy, zasługuje niestety na nazwę kraju niewoli.

29 grudnia 1965 roku

Zaraz po oświadczeniu koła „Znak” w sejmie szerzono tendencyjne pogłoski, że ks. arcybiskup krakowski, Karol Wojtyła, główny dotychczasowy protektor organizacji „Znak”, „dystansuje się” od listu biskupów, że nawet kuria krakowska pod nieobecność swego pasterza zajęła wobec tego aktu stanowisko krytyczne. Robotnicy zakładów „Solvay” w Krakowie, w specjalnie im podyktowanej deklaracji wezwali arcybiskupa do wypowiedzenia się. Trzeba wiedzieć, że ks. Karol Wojtyła był kiedyś robotnikiem w tychże zakładach. Jego inteligencja i pobożność zrobiły wrażenie na księdzu Sapie-że, śp. księciu biskupie krakowskim, tak że polecił przyjąć go do krakowskiego seminarium duchownego bez żadnych egzaminów i dyplomów. Polska jest krajem, w którym nie wolno wydrukować ani słowa, które by się rządowi nie podobało, ale Kościół katolicki nie został jeszcze pozbawiony kazalnicy. Toteż arcybiskup Wojtyła kazał z ambon wszystkich kościołów krakowskich w czasie Bożego Narodzenia odczytać swoją wspaniałą odpowiedź swoim byłym kolegom z pracy. Ks. Wojtyła podkreśla, że robotnicy podpisujący list do niego nie znają „faktów w sposób właściwy”. Po drugie, że list biskupów był wypełnieniem wskazań Soboru, który stosując naukę Chrystusa, kazał najbardziej prześladowanym darować winy swoim najgorszym prześladowcom. Po trzecie, że biskupi polscy z całą stanowczością bronią granicy na Odrze i Nysie.

Potem ks. arcybiskup cytuję prawdziwą wersję listu biskupów niemieckich, a raczej ten jego ustęp, który przez rząd „ludowy” został sfałszowany. W ustępie tym biskupi niemieccy powiedzieli, że „chcą sobie uświadomić, że wyrasta tam teraz młoda generacja, która ziemie przekazane ich ojcom za swoje rodzinne strony uważa”.

Prasa krajowa, a w Polsce to znaczy tyle samo, ile rząd Rzeczypospolitej Ludowej, dopuściła się sfałszowania tego ustępu, skreślając w ogłoszonym przez „Forum” tekście biskupów niemieckich wyraz „tam”, co wywołało wrażenie, jakby biskupi niemieccy myśleli tutaj nie o młodzieży polskiej we Wrocławskim i Szczecińskim, lecz o młodzieży niemieckiej, która została zrodzona z byłych Ślązaków–Niemców i Pomorzan–Niemców i przebywa obecnie w Niemczech.

Zwróćcie uwagę na ten fakt: rząd „ludowy” zarzucający biskupom brak dbałości o polityczne interesy polskie sam fałszuje tekst lepszy dla Polaków na gorszy dla Polaków. Osobliwa obrona polskich interesów narodowych.

Wróćmy jednak do listu arcybiskupa Wojtyły.

Z dużym talentem polemicznym wzywa on robotników „Solvay”, aby spowodowali, żeby jego odpowiedź znalazła się na łamach prasy. Pisz:

„Mam nadzieję, że sami postaracie się o to, aby moja odpowiedź na wasz list znalazła miejsce na łamach prasy, by ci, którzy przeczytali wasz list, mogli teraz zapoznać się z odpowiedzią”.

Oczywiście to zdanie przekona wszystkich robotników. Każdy z nich zrozumie, że byli wykorzystani, lecz że nikt im nie pozwoli na lojalną dyskusję.

Odczytanie listu arcybiskupa Wojtyły jest wydarzeniem bardzo ważnym. Trudno, społeczeństwo polskie nie jest Izraelem, który od dawna już handluje z NRF, wbrew zasadzie „oko za oko, ząb za ząb”. Społeczeństwo polskie jest uczulone na wspomnienie okupacji niemieckiej. Demagogia przeciw listowi biskupów ma taki grunt, jakiego dotychczas komuniści ani przez chwilę nie posiadali. Toteż kolportowane pogłoski, że część biskupów z Wojtyłą na czele nie jest zadowolona z listu, znajdowały posłuch. List arcybiskupa Wojtyły przeczał możliwość takich pogłosek czy takich insynuacji.

9 stycznia 1966 roku

W dniu 9 stycznia 1966 roku ogłoszono w prasie warszawskiej komunikat Urzędu Rady Ministrów adresowany do sekretarza Episkopatu ks. biskupa Zygmunta Choromańskiego, a podpisany przez szefa Urzędu Rady Ministrów Janusza Wieczorka.

Komunikat ten ogłasza rzecz dotychczas niesłychaną nawet w państwach socjalistycznych, a mianowicie zapowiada, że prymas Polski nie otrzyma więcej paszportu za granicę.

Treść tego komunikatu przypomina sposób pisanego małego dziennikarza, bez większych ambicji.

Znów jako główny zarzut występuje oskarżenie, że list biskupów został napisany i wysłany samodzielnie, bez porozumienia się z rządem ludowym. Zawsze i na każdym kroku rosyjski sposób myślenia, tradycje rosyjskie, rosyjski, a nie europejski kąt patrzenia. To archiereje rosyjscy od czasów „pierwszego bolszewika”, bo Piotra Wielkiego, znajdowali się pod rozkazami oberprokuratora Synodu. Kościół katolicki zawsze był instytucją wolną, międzynarodową i samodzielną. Nie można żądać od Episkopatu jakiegokolwiek kraju katolickiego, by działał w porozumieniu ze swoim rządem. Gdyby Episkopat włoski, z biskupem Rzymu na czele, uzgadniał swe wystąpienia z Saragatem, Moro czy innym Fanfanim, to byłby oczywiście koniec Kościoła katolickiego jako Kościoła powszechnego. Uzgadnianie wystąpień Episkopatu z ateistami byłoby tylko oszukiwaniem ludzi wiernych.

Ale w komunikacie podpisanym przez p. Wieczorka jest mowa także o tym, że:

„ks. kardynał wykorzystał swój ostatni pobyt w Rzymie nie tylko dla celów religijnych, ale również dla działań politycznych szkodliwych z punktu widzenia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Dość trudno jest operować pojęciem: „interesy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Praktycznie bowiem polityka zagraniczna samodzielną rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie istnieje – powtarzam z naciskiem: nie istnieje. Rząd Polski Ludowej spełnia tylko pewną kartę wskazówek rządu Związku Radzieckiego. Powiedziałbym, że polityka rządu Polski Ludowej da się porównać do roli naganiaczy przy polowaniu. Panowie polują, naganiacze zajęci są przy napędzaniu zwierzyny. Porównanie to szwankuje o tyle, że naggonka idzie cicho, nasza polityka wyraża się w nieustannych hałasach.

Prasa chińska oskarża Związek Radziecki, że w sprawie Indie–Pakistan, a nawet w sprawie Wietnamu działa w cichym porozumieniu z kapitalistyczną Ameryką. Nie wiem, jak tam jest, ale rozumiem, że Rosja jest zaangażowana w całą Azję. Ale po co rząd polski wypina bohatersko swe piersi i woła: „nigdy z Amerykanami nie dojdziemy do porozumienia, dopóki potoki krwi leją się w Wietnamie”.

Czyż nie nagonka? Oczywiście, że wolno jest na słuszość czy celowość wojny w Wietnamie zapatrywać się tak czy inaczej. Nie znam tej sprawy. Wiem tylko, że narodowych polskich interesów ona nie dotyczy.

Aby zacząć granice na Odrze i Nysie, Niemcy muszą zająć NRD, która znaczy tyle samo, co terytorium rosyjskie. Rosjanie bynajmniej nie wrzeszczą kilka razy na dzień „nie damy NRD”, Rosjanie utrzymują stosunki dyplomatyczne z Niemcami Zachodnimi, gościli Adenauera itd., itd. U nas jest wręcz odwrotnie. Czyż nie nagonka?

2 lutego 1966 roku

Ciągle jeszcze trwa na łamach prasy krajowej atak na biskupów polskich, że wyrzekli w stosunku do biskupów niemieckich wyraz: „Wybaczymy”. Wobec uczulenia społeczeństwa w kraju na wspomnienie bestialstw hitlerowskich ten atak ma częściowe powodzenie. Ale jakże brak swobodnej prasy zezwala jednym, dopuszcza u drugich brak logicznego myślenia. Oto 1 lutego na pierwszych stronicach gazet warszawskich ukazały się wiadomości o zjeździe w Warszawie pomiędzy ZBoWiD-em polskim a „Antifą” wschodniemiecką. Wiadomości te zredagowane są w słodkawym tonie, stanowiącym obrzydliwą specjalność warszawskiej prasy. Oczywiście „Antifa” nazywana jest organizacją braterską. To chyba jest dalej idące określenie niż „wybaczymy”, a przecież „Antifa” to także Niemcy.

ZBoWiD cieszy się opieką ministra spraw wewnętrznych Mieczysława Mocza. W skład jego wchodzi zarówno dawni bojownicy z AK i innych polskich organizacji, które podjęły walkę z Niemcami z chwilą nastania okupacji, czyli w 1939 roku, jak i komuniści polscy, którzy wystąpili przeciwko Niemcom dopiero wtedy, kiedy Niemcy zaczęły zagrażać Rosji, a więc dopiero po napadzie Hitlera na Rosję w 1941 roku. Drugą różnicę pomiędzy partyzantami polskimi a polsko-komunistycznymi stanowi to, że pierwsi byli bardzo liczni, a drudzy reprezentowali liczbę stosunkowo niewielką.

„Antifa” to „antyfaszystowski związek bojowników oporu”. Kto się na tych bojowników składa i kiedy oni zbrojnie działali przeciw Hitlerowi, o tym nie możemy czytelnika poinformować. W każdym razie stawianie na równi ludzi ze ZBoWiD-u, i to tak samo niekomunistów, jak komunistów, z tymi rzekomymi bojownikami antyhitlerowskimi z Niemiec jest dla tego ZBoWiD-u nie tylko krzywdą, ale i zniewagą. Szkoda, że ta „Antifa” nie ogłosi personaliów swoich bohaterów i tego, kto z nich co robił podczas wojny.

A więc biskupom nie wolno jest powiedzieć, że wybaczą biskupom niemieckim, a tu należy nazywać Niemców z „Antify” braćmi, tak samo zresztą jak wszystkich Niemców z Niemiec Wschodnich.

*

Woła się tutaj o zniesienie cenzury, a raczej wołali o to niektórzy literaci w zeszłym roku. Istotnie, w Warszawie, nie mówiąc już o Krakowie czy Poznaniu, nigdy nie było takiej cenzury jak obecnie, za najgorszych carskich czasów, za Hurki i Apuchtina. Cenzura w Polsce nie jest żadną cenzurą, lecz redakcją, a nawet nie redakcją, lecz nauczycielem i dyrygentem tego, co pisać należy. Ale, znowuż, z ręką na sercu, czy zniesienie cenzury w obecnych warunkach jest w Polsce możliwe? – Przecież nie tylko polityczne, lecz może jeszcze bardziej gospodarcze stosunki w komunistycznej Polsce nie wytrzymałyby jednego roku swobodnej krytyki. Przecież ucisk myśli, zakneblowanie ust jest to *conditio sine qua non* utrzymania obecnego stanu rzeczy w Polsce.

Alle oto odbyło się 31 stycznia 1966 roku zebranie oddziału warszawskiego Związku Literatów. Mówiono głównie o obiadach zniżkowych, stypendiach, przydziale mieszkań, paszportów za granicę, przydziale dewiz, jednym słowem o wszystkich rzeczach uzależniających potulną brać piszącą od partii i rządu. Wystąpił jednak znany krytyk muzyczny p. Waldorff, zaznaczając na wstępie, że rozumie konieczność cenzury politycznej, a tylko protestuje, żeby Ministerstwo Kultury i Sztuki przy pomocy cenzury politycznej narzucało mu swoje zdanie w ocenie takich czy innych utworów i ich wykonawców, w ocenie muzyków. Waldorff pisze jedno, a cenzura przeinacza jego oceny. Waldorff jest krytycznie nastrojony do nowo zbudowanej opery w Warszawie i wysoko ceni dotychczasowego działacza muzycznego p. Wodiczkę i tak dalej. Cenzura wydała rozporządzenie, że Waldorffowi w jego artykułach muzycznych w ogóle nie wolno wymieniać wyrazów: opera czy też Wodiczko.

Czy naprawdę nie znajdzie się nikt, kto by się udał do współpracowników działu kulturalnego w „L'Humanité” i zapytał się ich, czy by lubili pracę w tych warunkach?

Stanisław Mackiewicz

[3/1966]

Kościół po rewolucji grudniowej

Zmiana warty na szczycie partii i państwa, wytargowana w grudniu 1970 roku krwawą ofiarą robotników, przyczyniła się do nieznacznego poszerzenia marginesu swobód na tak zwanym odcinku katolickim. Skłoniło to pochopnych komentatorów zachodnich do snucia idyllicznych perspektyw, otwierających się rzekomo przed rozwojem stosunków Kościół–Państwo. Czytaliśmy, nie dowierzając, pouczeni doświadczeniem, że dzięki Gierkowi powstał „nowy model stosunków kościelno-państwowych” i nastał „nowy okres w polityce partii wobec Kościoła i katolików”. Uciszyły się nieco te głosy, kiedy napływać zaczęły depesze agencji prasowych o demolowaniu baraków–kaplic, wzniesionych przez ludność zniecierpliwioną bezowocnym oczekiwaniem na zezwolenie na budowę murowanych świątyń. Akcja milicjantów i ubeków, brutalnie rozprawiających się z wiernymi kładącymi się pokotem, by nie dopuścić buldożerów do wyznaczonej im misji obrony „cywilizacji komunistycznej”, akcja zamazująca nieco wizerunek „nowego modelu stosunków”, nie natchnęła jednak większą dozą sceptycyzmu zachodnich poszukiwaczy koegzystencji za wszelką cenę. Znalaziono szybko argument: „nowa polityka wobec Kościoła jest torpedowana przez przeciwników Gierka w aparacie partyjnym, zwłaszcza na dolnych szczeblach”. Wniosek jasny: za zdarzające się incydenty nie można obciążać odpowiedzialnością Gierka i jego współpracowników, lecz wyłącznie nieuleczalnych dogmatyków i notorycznych aparatczyków, wrogo usposobionych do „nowej linii”. Relatywne uspokojenie, jakie zapanowało po czerwcowej decyzji papieskiej legalizującej administrację kościelną na ziemiach zachodnich, listopadowa misja dziękczynna biskupów w Wiecznym Mieście, kres misji ambasadora Papée, pogłoski na temat wznowienia rokowań pomiędzy Warszawą a Watykanem – przyniosły nową falę spekulacji związanych z tak zwaną normalizacją stosunków na dwóch płaszczyznach: Kościół–Państwo i Watykan–PRL.

Jak wygląda w rzeczywistości stan stosunków Kościół–Państwo i czy osiągnięto postępy w procesie tak zwanej normalizacji? Jaką koncepcję ułożenia tych stosunków reprezentuje Episkopat? Czy faktycznie zmieniło się stanowisko partii wobec Kościoła i jakie jest jej podejście do rokowań o nawiązanie stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską? Jakie stanowisko zajmuje Watykan? Pytania te wymagają możliwie wyczerpującej odpowiedzi opartej na analizie faktów i dokumentów.

I

Wobec skutków rewolty stoczniovców i grożącej zbrojnej interwencji sowieckiej (aczkolwiek mało prawdopodobnej – ryzyko jej istniało w odczuciu społecznym) Episkopat zajął postawę patriotyczną i realistyczną. W pierwszej chwili nie upominano się o naprawienie krzywd wyrządzonych Kościołowi. Kardynał Wyszyński nie chciał wykorzystywać sprzyjającej koniunktury w momencie kryzysu – stanął na stanowisku, że nowe władze powinny najpierw zaspokoić potrzeby bytowe robotników. W specjalnym memoriale Episkopat przedstawił szereg postulatów dotyczących realizacji żądań ludności robotniczej: „prawa do pracy, chleba i wolności, do słusznej zapłaty, godziwego wypoczynku i bezpieczeństwa warunków pracy”. Dopiero w następnej fazie przedłożono również postulaty dotyczące życia religijnego, przyjmując wyciągniętą rękę do współpracy w mniemaniu, że alternatywa reprezentowana przez Gierka otwiera perspektywę znośniejszych warunków dla działalności Kościoła. Z drugiej strony, nowa ekipa partyjna usiłując możliwie szybko rozładować napięte nastroje wśród robotników, podjęła próbę neutralizacji postawy Kościoła, podobnie jak intelektualistów i chłopów. Stąd pewne koncesje na rzecz Kościoła. Nie było mowy jednak o żadnej „nowej” koncepcji „uregulowania stosunków” z Kościołem. W marcowej rozmowie prymasa z premierem pewną nowość stanowiła jedynie propozycja skierowana do Episkopatu o współpracę na odcinku wychowania młodzieży. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że mimo ogólnej poprawy klimatu szeptana propaganda, inspirowana przez partię, zarzucała już wtedy prymasowi „maksymalizm” i „nierealistyczne postulaty”. Nowa ekipa była skłonna przywrócić pewne prawa, ograniczając je wyłącznie do sfery ściśle religijnej, co w zawężającej interpretacji partyjnej wyklucza nadal wszelkie formy oddziaływania społecznego Kościoła: duszpasterstwo akademickie i tak zwane stanowe, postulat wolnej prasy i dostępu do mass mediów, prawo do swobodnych zrzeszeń i udziału w formowaniu kultury na-

rodowej, apostołstwo świeckich. „Partia chce nas zamknąć w zakrystii, wszystko to, co odbywa się za murami Kościoła, napotyka wciąż przeciwdziałanie” – powiedział mi jeden z członków polskiego Episkopatu. Ale i „w murach” autonomia Kościoła nie jest szanowana, czego dowodzą naciski o wycofanie listów pasterskich niewygodnych dla partii. Charakterystyczny jest ostatni przykład interwencji o cofnięcie lektury „Listu o patriotyzmie chrześcijańskim”, wydanego przez Episkopat z okazji dwóchsetletniej rocznicy pierwszego rozbioru Polski. Episkopat nie uległ naciskowi. Kardynał Wyszyński w noworocznym przemówieniu do duchowieństwa powiedział między innymi:

„Nie mogliśmy pominąć Kalwarii rozdieranego państwa polskiego. Znaleźliśmy najbardziej strawną formę dotknięcia tej bolesnej sprawy, ale musieliśmy jej dotknąć. Gdybyśmy się wyrzekli wspomnień, choćby najbardziej bolesnych, o dziejach narodu – byłibyśmy zaprzańcami! Tego my, biskupi i kapłani katoliccy, nie uczynimy nigdy! Dla nas, po Kościele Bożym i jego nauce, najważniejszy jest na tej ziemi naród, służba narodowi, związek z narodem, ambitne, szlachetne i dumne trwanie przy tym narodzie. W żadnej koniunkturze ustrojowej biskupi i kapłani polscy nie zapomną, że pierwsza po Bogu miłość należy się ojczyźnie i pierwsza po Bogu służba należy się dzieciom narodu polskiego”.

Nie zapominając o lekcji popaździernikowej (złamane szybko zobowiązania Gomułki w sprawie nauczania religii, seminariów duchownych itp.), prymas domagał się, by decyzja o zwrocie tak zwanego mienia poniemieckiego na Ziemiach Zachodnich znalazła wyraz w akcie ustawodawczym (sejm istotnie zatwierdził odpowiednią ustawę). Prymas wychodzi z założenia, że realizacja pewnych zasadniczych postulatów Episkopatu winna przybierać postać legislacyjną. Lepiej uzyskać aprobatę sejmu, aczkolwiek nie jest to parlament z prawdziwego zdarzenia, niż zmieniających się ekip partyjnych, co oznacza zdanie się na podmuchy zmiennych „etapów”.

Rok 1971 upłynął względnie spokojnie, jeśli chodzi o kontakty „na górze”, nie brakło natomiast tarć i nieporozumień „na dole”. Administracja lokalna przyjmuje rzekomo opornie do wiadomości „nowe dyrektywy”. Sygnalizując trudności, niektórzy kapłani przypisują to nieraz „starym nawykom” i nieufności terenowych „kacyków” do nowej linii („bo kurs przecież może się szybko zmienić”). Prawdopodobnie jest w tym częśćka prawdy, rzecz jednak w tym, że należy wykluczyć świadomy sabotaż ze strony dolnych szczebli aparatu. „Nowe dyrektywy” na pewno niczego wręcz nie zakazują, lecz doradzają po prostu unikanie otwartego konfliktu. Skargi przekazywane przez biskupów czynnikom rządowym w przypadkach bardziej drastycznych przedtem odrzucano lub udawano głuchych – dziś Urząd do Spraw Wyznań „stara się wyjść naprzeciw” i wzywa biskupów do cierpli-

wości. Z tych pierwszych kontaktów odnieśli oni wrażenie, że zmienił się jedynie styl postępowania. Rejestrowano początkowo dobrą wolę. Jednak już pod koniec 1971 roku i w pierwszych miesiącach ubiegłego roku mechanizm „normalizacji” zaczął nie tylko zgrzytać, ale pojawiły się w nim zahamowania i sygnały nawrotu do dawnych stalinowskich praktyk. Wicepremier Kraśkę, który nadzorował dotąd sektor kościelny, „kopnięto w górę” na boczny tor do Rady Państwa pod zarzutem zbyt eleganckiego obchodzenia się z biskupami. Kraśko wziął widać na serio „nowe dyrektywy” i starał się o zachowanie *fair play*. Nadzór nad Kościołem przejął członek Biura Politycznego Szydłak, kierownik sektora ideologicznego.

O akcji demolowania prowizorycznych kaplic dużo pisała prasa zachodnia, choć na ogół zajmowała się jedynie incydentem w Zbrozynie Dużej pod Warszawą, ponieważ protestował osobiście prymas. Takich wypadków było jednak kilkanaście. Zezwolenia na budowę 30 kościołów (liczba ta dziś jest wyższa) obejmują przeważnie remonty, budynki administracyjne oraz parafie wiejskie. Biskupi natomiast kładą nacisk na budowę kościołów w nowych dzielnicach mieszkaniowych i osiedlach robotniczych, to znaczy w wielkich aglomeracjach miejskich, powstałych po wojnie w związku z industrializacją i szybką urbanizacją kraju. Priorytet ten rząd odrzuca, udzielając zezwoleń na budowę według własnych kryteriów oceny. Rząd argumentuje, że postulaty Episkopatu w tej dziedzinie (notabene mocno zredukowane w porównaniu z istniejącymi potrzebami) mogą być zaspokajane w miarę możliwości, w ścisłym powiązaniu z planem dostaw na rynek materiałów budowlanych określanych wciąż jako „deficytowe”. Argument ten upada – nie uzasadnia bowiem ani polityki selektywnej, uprawianej w odniesieniu do budownictwa sakralnego (celowe pozostawienie bez opieki duszpasterskiej ośrodków liczących nieraz ponad 50 tysięcy osób), ani tym bardziej konfiskowania materiałów, wygospodarowanych i zakupionych przez parafian, a gromadzonych w oczekiwaniu na decyzję zezwolenia na budowę. Zdarzają się wypadki, że parafianie, którzy tworzą spontaniczne komitety obywatelskie organizujące zbiórki podpisów i pieniędzy, odwołują się od odmownej decyzji władz lokalnych do Rady Państwa. Zamiast odpowiedzi następują rajdy policyjne, konfiskata materiałów i prześladowanie członków tych komitetów. Czytamy w pewnym dokumencie, denuncjującym podobne praktyki:

„Ci, którzy podpisują petycje w sprawie budowy nowych kościołów narażają się na duże przykrości, padają często ofiarą zastraszania wraz z ryzykiem utraty pracy”.

Drugi odcinek napięć, którym mniej zajmuje się prasa zachodnia, a który wstydliwie ukrywają różni krajowi komiwojażerowie katoliccy, zainteresowani głównie nienarażaniem na szwank własnych pozycji, dotyczy nauczania religii. Punkty katechetyczne otoczono opieką inwigilacyjną, polegającą na domaganiu się od dyrektorów szkół nie tylko nader szczegółowych danych odnoszących się do tych ośrodków nauczania, ale ponadto konkretnej akcji przeciwdziałania wpływom na młodzież dla zapobieżenia „niebezpieczeństwu klerykalizacji”. Przedmiotem nacisków jest administrowanie punktami katechizacji poprzez narzucenie urzędowej ich rejestracji i kontroli, jak również nałożenie na wykładowców religii obowiązku uzyskania autoryzacji władz oświatowych. Szczególnie groźne objawy nawrotu do metod stalinowskich wystąpiły na odcinku duszpasterstwa akademickiego. Ten fragment misji wychowawczej Kościoła znajduje się w takiej samej próżni prawnej jak punkty katechetyczne, które jednak tolerowane są od roku 1958, kiedy usunięto nauczanie religii z programów i budynków szkolnych. Duszpasterstwo akademickie natomiast jest częścią składową „zewnętrznej” działalności Kościoła, zwalczanej podobnie jak duszpasterstwo stanowe czy organizowanie kursów wiedzy religijnej i zjazdów byłych wychowanków przedwojennych organizacji katolickich. Tak jak poprzednio tandem Gomułka-Kłiszko, tak obecnie triumwirat Gierek-Szydłak-Szlachcic dokłada starań, by w żadnym wypadku nie dopuścić do swobodnego rozwoju tego typu działalności. W przeciwnym razie – rozumują przywódcy partii – „przesadny rozrost” stanu posiadania Kościoła podważyłby „podstawy socjalizmu w Polsce”. Stąd wypadki zastraszania i nacisków na studentów wyższych uczelni, uczęszczających na kursy prowadzone przez duszpasterzy. Ponieważ duszpasterze akademicy wyznaczani są przez ordynariuszy diecezji, ataki na tę akcję uderzają faktycznie w kurie biskupie. W jednym z licznych dokumentów, informujących o interwencji władz szkolnych i partyjnych oraz organów bezpieczeństwa w ten zakres działalności duszpasterskiej, czytamy:

„Uczęszczanie na kursy prowadzone przez duszpasterzy akademickich traktowane jest przez władze jako zajmowanie postawy antypaństwowej, ponieważ akcję duszpasterską na odcinku uniwersyteckim uważa się za organizację polityczną wymierzoną przeciw socjalizmowi... Dyrektor wyższej szkoły w mieście X powiedział do studentów: »kto chce pogłębić swą wiedzę religijną, niech się zapisze do seminarium duchownego«... Akcja zastraszania zwraca się także przeciw członkom personelu nauczającego. Zdarzają się wypadki grożenia zwolnieniem z pracy na skutek brania udziału w nabożeństwach i zebraniach związanych z akcją duszpasterską”.

Protesty biskupów do władz lokalnych w przypadkach szczególnie jasnego pogwałcenia obowiązujących ustaw, gwarantujących wolność kultu i nauczania religijnego, pozostały bez odpowiedzi. Zaniepokojenie budzi projekt reformy szkolnictwa, przewidujący rozszerzenie zajęć szkolnych na godziny popołudniowe i wzmoczoną indoktrynację ideologiczną. W praktyce oznacza to zamach na swobodę działania punktów katechetycznych oraz zredukowanie funkcji wychowawczej rodziny. Niebezpieczne akcenty odezwały się ponownie w ostatnim wystąpieniu Szydłaka („państwo nie może być neutralne w dziedzinie wychowania młodzieży”). Na szczeblu centralnym sprawa nauczania religii i pozaszkolnej akcji duszpasterskiej stanowi jeden z zasadniczych punktów rokowań pomiędzy sekretarzem Episkopatu a dyrektorem Urzędu do Spraw Wyznań. Episkopat domaga się uregulowania tej sprawy w taki sposób, by autonomia Kościoła w tej dziedzinie była zagwarantowana, a nie dowolnie naruszana, co umożliwiłaby obecny stan prowizorium. To samo odnosi się do pozostałych dziedzin, istotnych dla normalnego spełniania funkcji wychowawczych i duszpasterskich Kościoła (seminaria duchowne, apostołstwo świeckich, stowarzyszenia, wydawnictwa i prasa). Zachodzi konieczność uregulowania pewnych zasadniczych spraw nie tylko w akcie porozumienia bilateralnego, ale ponadto, jak wyżej zaznaczyłem, poprzez odpowiednie ustawy.

Panuje często przekonanie, że brak postępów bądź też zahamowanie w procesie normalizacji stosunków wynika z nacisków Moskwy. Do impasu miał przyczynić się też sławetny raport czeski Bilaka, przestrzegający Gierka przed za daleko idącymi koncesjami i wypominający mu tolerowanie „klerikalizacji”. Rozgłos nadany przez krajowe ośrodki masowego przekazu uroczystościom rzymskim beatyfikacji o. Kolbego i rok później rocznicowym obchodom w Oświęcimiu przy udziale trzech zachodnich kardynałów miały jakoby wywołać niezadowolenie w Moskwie. Wtajemniczeni dziennikarze i entuzjaści Gierka wyolbrzymiali te informacje, by dowieść „odwagi kierownictwa” i „liberalnego stanowiska wobec Kościoła”. Nie można oczywiście wykluczyć nacisków ze strony Wielkiego Brata – rzecz jednak w tym, że przejawy minimum respektu dla narodowych interesów i praworządności nie świadczą bynajmniej o jakiejś nadzwyczajnej śmiałości, którą partia nagle w sobie odkryła. Tak jak strach przed Moskwą – uzasadniony, ale tylko do pewnych granic – nadużywany jest często przez partię jako szantaż dla obezwładniania opinii publicznej, tak też rzekomo wykazywana „odwaga” ma pomóc partii w prolongacie kredytu społecznego zaufania. Sedno rzeczy tkwi w tym, że istnieją obecnie szanse rozszerzenia istniejących, a nie wyko-

rzystanych marginesów swobody ruchów wobec Moskwy, a więc umocnienia autonomii PRL w dziedzinie kultury, wychowania i stosunków Kościół–Państwo. To byłby oczywiście jedynie program minimum, mogący jednak stanowić o specyfice „polskiego modelu”, tak jak istnieje „model rumuński” czy „model węgierski” w odniesieniu do innych sektorów polityki bądź zagranicznej, bądź wewnętrznej. Partyjne kierownictwo polskie nie posiada oryginalnej koncepcji polityki narodowej – woli operować różnymi alibi, by ograniczyć się do czystego pragmatyzmu. Dotychczasowy przebieg procesu normalizacji stosunków Kościół–Państwo świadczy o pewnej zmianie stylu i nieco większych luzach w polityce partii, ale w żadnym razie nie o odmiennych celach i nowej „liberalnej” koncepcji.

II

Decyzja Pawła VI z 26 czerwca o normalizacji administracji kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych wzmocniła pozycję Episkopatu, stała się, jak powiedział prymas, „uwieńczeniem naszej wielkiej cierpliwości” i uniemożliwiła dalsze wygrywanie tej sprawy przez partię dla interesów partykularnych i antynarodowych, czego dowodem było stanowisko w sprawie budynków kościelnych na ziemiach zachodnich, uważanych za „mienie poniemieckie”, mimo że chodzi często o zabytki polskiego budownictwa sakralnego. Problem normalizacji administracji kościelnej na tych ziemiach był przez partię wykorzystywany jako instrument blokowania swobody ruchów Kościoła i jako argument przetargowy wobec Watykanu. Znaczenia tej decyzji nie można było negować – przyczepiono się więc do trybu samego załatwienia. Niezadowolenie partii wywołało notyfikowanie przez Watykan tej decyzji w telegramie prymasa do premiera. Watykan nie mógł inaczej postąpić. Warszawa była informowana przed podjęciem decyzji, próbowała ją jednak zablokować, ponieważ zgadzano się wyłącznie na potwierdzenie *status quo*, tymczasem, jak wiadomo, poza nominacją ordynariuszy Watykan erygował dwie nowe diecezje z historycznymi stolicami: Kamień–Szczecin i Kołobrzeg–Koszalin. Partia przeciwstawiała się podziałowi diecezji gorzowskiej, ponieważ pociągało to za sobą, niepożądane w jej pojęciu, wzmocnienie autorytetu i stanu posiadania Kościoła. Kiedy było już wiadomo, że Watykan nie ustąpi, domagano się uzgodnienia z rządem nominacji ordynariuszy obydwu nowych diecezji. Watykan odrzucił ten dezyderat, stojąc na stanowisku, że desygnowanie ordynariuszy tych diecezji w osobach sufraganów diecezji gorzowskiej nie wymaga konsultacji z rządem. Episko-

pat normalnie przestrzega trybu uzgadniania z rządem nominacji ordynariuszy (na podstawie listy trzech kandydatów, do której rząd może zgłosić *ve-to*), co wobec braku konkordatu jest uregulowane w porozumieniu z roku 1956. W ciągu kilku lat tłumaczono na odprawach partyjnych, że sprawę normalizacji kościelnej na ziemiach zachodnich wynegocjuje rząd w rokowaniach z Watykanem, że jest to sprawa o charakterze ogólnopolskim i w związku z tym Episkopat może ograniczyć się jedynie do nacisków na papieża, nie dających notabene rezultatów, jak radośnie konstатовano. Podjęcie tej historycznej decyzji w zakresie odpowiadającym postulatowi Episkopatu wytrąciło więc partii możliwość propagandowego jej zdyskontowania. Przeczenie prestiżowe nie stanowi w polityce elementu, na jakim można budować – szybko więc zaprzestano dąsów i okres prekluzyjny trzech miesięcy, przewidziany dla ewentualnego wniesienia zastrzeżeń, minął bez echa.

Decyzja papieska otworzyła drzwi do wznowienia rokowań z rządem. Trzecia runda tych rokowań nie doszła do skutku w kwietniu ubiegłego roku. Po dwóch poprzednich rundach – w Watykanie na wiosnę i w Warszawie w listopadzie 1971 roku – kolej wypada tym razem na inicjatywę rządową. Rok już minął, ale Warszawa nadal nie kwapi się. Wytworzyła się sytuacja paradoksalna. Mimo niesprzyjającej aury na początku ubiegłego roku Watykan prawdopodobnie nie odprawiłby z kwitkiem delegacji warszawskiej; o podpisaniu protokołu porozumienia nie było mowy, ale walkowano by nadal projekt tego porozumienia i warunki, jakie powinny być obustronnie spełnione dla nawiązania stosunków dyplomatycznych. W Watykanie nadal informują: „czekamy na znak z Warszawy o przybyciu delegacji”.

Trzeba sprecyzować istotny punkt: Rada do Spraw Publicznych Kościoła (odpowiednik Ministerstwa Spraw Zagranicznych), której przewodniczy arcybiskup Casaroli, ustaliła dla rokowań z Warszawą zasadę paralelizmu z postępami rozmów pomiędzy Episkopatem a rządem. Odpowiedzialni funkcjonariusze kurii rzymskiej zdają sobie doskonale sprawę, że klucz do powodzenia watykańskiej *Ostpolitik* posiada Moskwa, wiedzą również, że Moskwa dała Warszawie „zielone światło” na rozpoczęcie rokowań ze Stolicą Apostolską i nic absolutnie nie wskazuje na to, by z tego stanowiska miała się wycofać. Przeciwnie. Dla Breżniewa zagadnienie regulacji stosunków na linii Warszawa–Watykan stanowi fragment pojednawczej polityki zagranicznej, zwróconej ku Zachodowi. Moskwa spotyka Watykan nie tylko na europejskiej konferencji przygotowawczej w Helsinkach, ale również na innych płaszczyznach i kontynentach. Na naiwność lub ignorancję liczy zatem

Warszawa, puszczając w obieg pogłoski, że niby „Moskwa nie pozwala” lub „musimy się liczyć z reakcją Moskwy”. Jest to jeszcze jeden przykład, jak argument sowiecki zamiast spełniać funkcję stawki w poważnej grze politycznej, zmierzającej do stopniowego uniezależniania się od centrali moskiewskiej, stanowi jedynie chwyt na skalę powiatu. „Pies jest pogrzebany” tym razem nie w Moskwie. Warszawa po postępach w pierwszej fazie rokowań, zorientowawszy się, że normalizacja stosunków z Watykanem nie da spodziewanych korzyści, zdecydowała zwolnić tempo rokowań. Doszła mianowicie do przekonania, że obecność stałego delegata Watykanu w Warszawie zamiast osłabić pozycję Episkopatu, przyniesie wręcz odwrotny skutek. Trzeba przyznać, że jest to pewien postęp, jeśli się pamięta o zgoła surrealistycznych rachubach ekipy gomułkowskiej, stawiającej na szansę wbijania klina pomiędzy Watykan a Episkopat i wygrywania „nuncjusza” przeciw prymasowi. W Warszawie rozumiano, że Watykan podpisze protokół i pošle swego pełnomocnika do stolicy PRL (wobec braku konkordatu nie może być nim dyplomata w randze nuncjusza) jedynie w ścisłym porozumieniu z kierownictwem polskiego Episkopatu. Opieszałość Warszawy nie wynika z nacisków Moskwy, lecz z obsesyjnej wprost obawy o wzrost autorytetu prymasa i o dopuszczenie do dalszego wzmocnienia pozycji Kościoła. Partia nie ma żadnej wyraźnej koncepcji, również jeśli chodzi o stosunki z Watykanem – próbuje znaleźć rozwiązanie, które pozwalałoby na wzrost prestiżu PRL przy równoczesnej petryfikacji stanu rzeczy na odcinku kościelnym.

Watykan także nie spieszy się. Po optymistycznych nastrojach w pierwszym roku po Grudniu, nastąpiło otrzeźwienie. Zorientowano się prawdopodobnie, że zasada „paralelizmu” wymaga nie tylko konsultacji z Episkopatem, lecz również niewybiegania naprzód, aby nie narazić się na nieprzyjemne niespodzianki w rodzaju tych, jakie spotkały Watykan na Węgrzech. Stąd częste przyjazdy do Rzymu sekretarza Episkopatu i zbieżność jego misji informacyjnych z pobytem w Rzymie przedstawicieli rządu. Przestano też w Watykanie stawiać „model” jugosłowiański jako wzór dla Polski. W okresie rekonesansów *Monsignore* Casaroli w Polsce (trzy tury w latach 1967–1968) „model” ten wydawał się czymś optymalnie osiągalnym – nie brano pod uwagę, że jest on nieprzydatny wobec całkiem odmiennej, a więc nieporównywalnej, sytuacji narodowościowej i wyznaniowej w Jugosławii. Próbowano jednak wówczas uzyskać minimalne choćby rezultaty, zwłaszcza wobec niepowodzeń na innych odcinkach *Ostpolitik*. Ewolucja sytuacji w Polsce i przede wszystkim ewolucja sytuacji międzynarodowej doprowadziły do bardziej realistycznego spojrzenia na sytuację Kościoła w PRL, a za-

tem bardziej realistycznej oceny możliwości osiągnięcia zadowalającego rozwiązania sprawy stosunków Kościół–Państwo i wiążącej się z tym normalizacji stosunków Watykan–PRL. Watykan obecnie nie ogranicza się, tak jak ongiś, do uratowania istniejącego stanu posiadania (*salvare il salvabile*), nie zadowala się stabilizacją *status quo* – zmierza do rozwiązania wszechstronnego i długofalowego. Stąd mówi się o „rozłożeniu na etapy normalizacji stosunków z PRL”.

Do dyplomacji watykańskiej można mieć pretensje – mieliśmy niestety smutne doświadczenia – o to, że nieraz poświęca imponderabilia moralne, bardziej liczy się z mocarzami tego świata niż z maluczkimi. Polska *semper fidelis* – ta niewzruszona pewność skłaniała i może nadal skłaniać do posunięć wykluczających ryzyko utraty wpływów. Nic dziwnego, że w ostatnich latach pojawiły się obawy o „sprzedanie nas” w odniesieniu do watykańskiej *Ostpolitik*. Niespełnione marzenia o nawróceniu Rosji, stawka na ekumenizm, a więc coraz bardziej ożywione kontakty z Cerkwią Wschodnią, niedopuszczenie (by nie drażnić Moskwy) do ukonstytuowania się Synodu Cerkwi ukraińskiej obrządku bizantyjskiego – wszystko to prawda, ale jest i odwrotna strona medalu.

Krytycznej rezerwie winno towarzyszyć zachowanie umiaru i obiektywizmu.

Na ziemiach wschodnich istnieje prowizoryczna administracja kościelna w metropoliach wileńskiej i lwowskiej i w diecezji pińskiej, wcielonych do ZSRR, których skrawki pozostały w granicach PRL z siedzibami administratorów apostolskich w Białymstoku, Drohiczynie i Lubaczowie.* Warszawa do niedawna jeszcze unikała podnoszenia tej drażliwej sprawy, nie mając aprobaty Moskwy. Watykanowi stanowisko to było na rękę – utrzymanie bowiem *status quo* na polskich obszarach wschodnich jest ściśle związane z koniecznością znalezienia jakiegoś sposobu uregulowania sytuacji Kościoła na dawnych terenach polskich inkorporowanych do ZSRR, co wymaga negocjacji z Moskwą. Nie było więc mowy o tak zwanym globalnym rozwiązaniu, to znaczy o dostosowaniu organizacji kościelnej także na Wschodzie

* Według tegorocznego „Annuario Pontificio” administratorem apostolskim terenów metropolii lwowskiej w granicach Polski jest bp Jan Nowicki, Lubaczów (woj. rzeszowski), administratorem apostolskim terenów diecezji pińskiej w granicach Polski jest bp Władysław Jędruszek, Drohiczyn n. Bugiem (woj. białostockie), administratorem apostolskim dla terenów metropolii wileńskiej w granicach Polski jest bp Henryk Gulbinowicz, Białystok. Organ Watykanu używa terminu „w granicach Polski” (nie PRL) w stosunku do „szczytków” diecezji pińskiej i dwóch metropolii, przylegających do linii Curzona [przyp. autora].

do granic państwowych. Jakie nowe elementy spowodowały, że Warszawa wyciągnęła tę kartę w czerwcu ubiegłego roku, wyrażając swe niezadowolenie z braku „globalnego rozwiązania”? Usiłując powstrzymać, jak wyżej wspomniałem, decyzję papieską w sprawie normalizacji diecezji zachodnich, ambasador PRL w Rzymie K. Sidor przedłożył – ku zaskoczeniu dygnitarzy kurii – sprawę diecezji wschodnich. Ambasador wjechał dwukrotnie na teren Watykanu (jak zauważono za drugim razem już bez flagi państwowej), ale, jak się okazało, nie miał odpowiednich pełnomocnictw do negocjowania tej sprawy. Warszawa liczyła się prawdopodobnie z odmową tego postulatów po to, aby uzyskać gratis inną koncesję: dymisję ambasadora K. Papée, określaną od lat jako konieczne „oczyszczenie terenu” do negocjacji. Watykan, jak wiadomo, pospiesznie skorzystał z tej sposobności: należało jakoś ukontentować Warszawę. Nie znaleziono nic innego do zaofiarowania, a radość w Warszawie była duża. Doszło w ten sposób 19 października 1972 roku do likwidacji ostatniej ambasady Rzeczypospolitej Polskiej. Przybywający wkrótce potem do Rzymu biskupi zastali fakt dokonany i nie byli nim zbudowani. Fakt ten zresztą – jak się okazało – nie przyczynił się bynajmniej do przełamania impasu w rokowaniach. Dalsze trwanie misji dyplomatycznej ambasadora Papée jako *gerente* spraw ambasady (po nieprzedłużeniu listów uwierzytelniających za pontyfikatu Jana XXIII ambasador Papée pozostał jako *gerente*, to jest kierownik spraw ambasady) nie stanowiło przeszkody w „rokowaniach rozłożonych na czas dłuższy”. Epizod ten został ostatecznie zamknięty przez samego papieża w przemówieniu do polskiej kolonii w Rzymie na grudniowej audiencji specjalnej, w której uczestniczyli nowo mianowani biskupi ziem zachodnich oraz ambasador Papée. Na sali znajdowali się również przedstawiciele ambasady PRL. Brakowało natomiast dziesięcioosobowej delegacji katolików świeckich z kraju – władze odmówiły bowiem zezwolenia na ten wyjazd zgodnie z zasadami „nowej polityki paszportowej”, ponieważ zliberalizowanej, ale selektywnej, czyli dyskryminacyjnej. Papież wspominając „dawne czasy i troski wspólnie przeżywane” (aluzja do okresu, kiedy piastował urząd substytutu sekretarza stanu), zrobił gest w kierunku ambasadora Papée i prałata Meysztowicza, byłego radcy przy ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej i zaraz po tym *benservito* przeszedł do otwierającej się perspektywy „nowych czasów”.

Tymczasem raport o całokształcie stosunków Kościół–Państwo, przedłożony przez bp. Dąbrowskiego, był przedmiotem wnikliwych studiów i pracownych konsultacji w różnych dykasteriach kurii rzymskiej. Czas trwania misji sekretarza Episkopatu (z górą 7 tygodni) i kilkakrotne rozmowy kar-

dynałów z papieżem wskazują na wagę, jaką Watykan przywiązywał do podsumowania dotychczasowych wyników dwutorowych rokowań i uzgodnienia kierunku ich kontynuacji. Misja ta zakończyła się niewątpliwie sukcesem Episkopatu. Miał rację dobrze poinformowany dziennikarz włoski, kiedy pisał w rzymskim „Il Messaggero”:

„W spotkaniach kardynałów z papieżem i różnymi dygnitarzami kurii rozpatrzono skrupulatnie liczne i złożone problemy dotyczące życia religijnego w Polsce i rokowań z rządem warszawskim. Skonstatowano generalną zgodność poglądów. Biskupi polscy wyrażają zadowolenie, że ich stanowisko znalazło pełne zrozumienie w kurii. Jest to fakt o dużym znaczeniu, ponieważ nie zawsze w przeszłości stanowisko organów kurii rzymskiej było zbieżne ze stanowiskiem polskiej hierarchii katolickiej. Nie tak wiele lat minęło, kiedy kardynał Wyszyński był zmuszony stawiać czoło równocześnie komunistycznym władcom i rzymskiemu arcykapłanowi”.

Tym razem faktycznie stanowisko Episkopatu znalazło „zrozumienie” i co ważniejsze uzyskało *placet* osobisty papieża. „Watykan nie podpisze żadnego protokołu porozumienia z rządem ani tym bardziej nie nawiąże stosunków dyplomatycznych bez uprzedniej zgody polskiego Episkopatu” – ta wypowiedź miarodajnego przedstawiciela kurii rzymskiej dowodzi, że biskupi otrzymali istotne gwarancje chroniące przed niespodziankami ze strony Watykanu i otrzymali też „wolną rękę” w sprawie kontynuowania rozmów w Warszawie, zmierzających do znormalizowania sytuacji na „dowolnie ustalonych przesłankach”. Kiedy dojdzie do wymiany przedstawicieli dyplomatycznych między Warszawą a Watykanem? Przewidywania w tej materii są ryzykowne. Tak jak dziś wygląda ta sprawa, możliwe że jeszcze w ciągu bieżącego roku – nie jest jednak wykluczona dalsza zwłoka, może zajść bowiem konieczność nie jednej, lecz dwóch, trzech rund rokowań. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych może nastąpić bezpośrednio po parafowaniu protokołu porozumienia, może również nastąpić później, pozostawiając pewien okres na *rodaggio* (dotarcie) zawartego porozumienia. Treścią porozumienia (istnieje jakoby już jego *bozza*, to jest szkic) ma być z jednej strony uznanie przez Watykan suwerenności i rzeczywistości ustrojowej PRL (Warszawa domaga się uznania „systemu socjalistycznego”), z drugiej zaś respektowanie przez PRL autonomii Kościoła. Można sobie łatwo wyobrazić, że znalezienie formuły tego uznania, strawnej dla Watykanu, przysporzy pewnych trudności negocjatorom. Wysuwane są już hipotezy co do kandydatów na przyszłe stanowiska dyplomatyczne. Wymieniane są dwa nazwiska wytrawnych dyplomatów watykańskich, przy czym jedno z nich dotyczy dyplomaty, który kierował przez długie lata referatem wschodnim w Sekre-

tariacie Stanu. Warszawa natomiast znajdzie prawdopodobnie jakiegoś funkcjonariusza MSZ bez szczególnie obciążonej hipoteki partyjnej lub wysłużonego fachowca zasługującego na nagrodę. Wykluczone, aby nim został przedstawiciel tego czy innego katolickiego ugrupowania. Logika, a także praktyka watykańska wymagają, by taki dyplomata reprezentował adekwatnie reprezentowane państwo. W przypadku PRL chodzi przy tym o państwo rządzone przez partię komunistyczną i oparte na instytucjach przyznających uprzywilejowaną pozycję światopoglądowi materialistycznemu (reprezentuje też *sui generis* religię, tylko z przeciwnego bieguna). O tych realiach nie myślał nieboszczyk Jerzy Zawieyski, kiedy jako członek Rady Państwa i prezes sejmowego koła „Znak” w euforycznym nastroju po przyjęciu przez Jana XXIII odbywał przechadzki po Wiecznym Mieście w towarzystwie Krasickiego *vel* Szafrńskiego (autora znanych donosów antykościelnych) w poszukiwaniu obiektu dla przyszłej ambasady. Do roli „Znaku” jeszcze przejdę – przedtem jednak wypada zamknąć sprawę ostatecznie, tak udanej, wizyty prymasa i biskupów.

Nie sposób pominąć osobistego, w moim przekonaniu determinującego, wpływu Pawła VI. Znane jest jego gorące pragnienie odbycia pielgrzymki do Częstochowy – wygląda niecierpliwie warunków umożliwiających urzeczywistnienie tego projektu. Bardziej istotne znaczenie posiada ocena realizacji reform soborowych w Polsce. Zyskały uznanie papieża dotychczasowe rezultaty procesu stopniowego ich wprowadzania w życie („bez anarchicznych nalotów pseudopostępowych i kontestatorskich, które szybko wygasają”, jak się wyraził prymas). „Tkwi w tym sekret i mądrość polskiego Kościoła” – powiedział papież. Żywotność Kościoła, spoistość Episkopatu, optymizm biskupów, mimo wciąż piętujących się trudności, stanowiły dla Pawła VI „odświeżający i pocieszający powiew, nowe źródło siły”, jak się wyraził jeden z jego bliskich współpracowników, mając na myśli kryzys, jaki przeżywa Kościół na Zachodzie. Obcując na co dzień z raportami zawierającymi niepokojące dane dotyczące spadku powołań, rosnącej liczby księży rzucających sutannę, dewiacji niektórych teologów, „schizmy” holenderskiej, a w dodatku frondy tak zwanych integralistów (skrajnej, konserwatywnej prawicy, przekładając na język świecki) – papież musiał ulec wymowie prężności polskiego Kościoła. Wystarczy przytoczyć takie dane, jak: ponad 19 tysięcy księży w porównaniu z 13 tysiącami z pierwszych lat powojennych; rosnąca liczba powołań, także zakonnych (nawet w tak ekskluzywnym zakonie jak jezuici dwie prowincje polskie są jedynymi na świecie, które notują wzrost powołań); przygotowanie duszpasterskie młodych księży

znacznie lepsze od przeciętnej światowej; wyższy od średnich wskaźników na świecie procent wiernych przystępujących do sakramentów i biorących aktywny udział w życiu religijnym. *La Chiesa del Silenzio* (termin ten – zdaniem prymasa – nie jest ścisły, jeśli chodzi o Polskę, aczkolwiek warunki, w jakich działa Kościół, nie pozwalają mu na mówienie pełnym głosem) stanowi zatem jedną z nielicznych dodatnich pozycji w „buchalterii” Kościoła powszechnego.

III

Recepcja krajowej problematyki kościelnej nastrocza nieraz duże trudności, prowokując uproszczone sądy, zwłaszcza na emigracji (temat ten wymaga odrębnego potraktowania). Wypada natomiast zająć się nieco, ignorowaną i wywołującą nieporozumienia, rolą zorganizowanych ugrupowań katolickich w PRL, zainteresowanych, z takich czy innych względów, w przepuszczaniu tej problematyki i poszczególnych faktów przez własny filtr. W rzeczywistości społeczno-politycznej PRL brak, jak wiadomo, autentycznej reprezentacji katolików w życiu publicznym, podobnie jak nie posiadają jej socjaliści, ludowcy, liberałowie. W pierwszych latach po wojnie obok Polskiego Stronnictwa Ludowego działało w kraju Stronnictwo Pracy, zalegalizowane na zasadzie umów międzynarodowych. Kilku działaczy Stronnictwa Pracy z prezesem K. Popielem przebywa na Zachodzie, biorąc aktywny udział w międzynarodowych organizacjach ruchu chrześcijańsko-demokratycznego. Byli członkowie kierowniczych władz Stronnictwa Pracy, żyjący w kraju, skierowali przed wyborami w ubiegłym roku list do Gierka i Jaroszewicza, w którym czytamy między innymi:

„Jednym z najpilniejszych zadań w zakresie uzdrowienia życia publicznego w Polsce jest umożliwienie działania niezależnej opinii społecznej. Przedstawicielstwem politycznym katolików polskich nie są, i być nie mogą, działające obecnie organizacje katolickie ze względu na bardzo ograniczony zakres działania, brak łączności z szerszymi kręgami katolików w Polsce, a ponadto – jeżeli chodzi o niektóre z nich – głęboki rozdźwięk ze stanowiskiem zajmowanym przez Episkopat polski. Przypomnieć należy, że katolicy polscy posiadali po wyzwoleniu swoją reprezentację polityczną. Było nią zalegalizowane w roku 1945 zarówno na zasadzie umów międzynarodowych, jak i decyzji władz państwowych w kraju, Stronnictwo Pracy, zlikwidowane w roku 1946 drogą popartego siłą nakazu administracyjnego. Czołowym działaczom Stronnictwa wytoczono sfinansowane procesy polityczne, skazano ich na surowe kary pozbawienia wolności, niektórzy zmarli w więzieniu. Uważamy, że przeprowadzona w roku 1946 i utrzymana po 1956 likwidacja Stronnictwa Pracy była jednym z etapów wejścia na drogę, która doprowadziła do katastrofy grudniowej 1970 roku. W głębokim przekonaniu, że reprezentacja polityczna katolików polskich może i powinna przyczynić się do stabilizacji stosunków w kraju, umoc-

nienia praworządności i prawidłowej realizacji zasad sprawiedliwości społecznej – przez to służąc interesom ludzi pracy – zwracamy się do naczelnych władz państwowych z postulatem reaktywowania Stronnictwa Pracy...”

Sygnatariusze tego pisma zdawali sobie doskonale sprawę, że partia w żadnym wypadku nie zgodzi się na to reaktywowanie, sprzeczne z jej interesami zakładającymi posługiwanie się grupami fikcyjnymi, a w najlepszym razie niereprezentatywnymi. Uznali po prostu, że zachodzi konieczność przypomnienia nowemu kierownictwu PRL, kto i dlaczego posiada kwalifikacje i tytuł do reprezentatywności. Gierek, oczywiście, dobrze o tym wie. Kiedy na wiosnę ubiegłego roku chodziło o wywarcie nacisku na Watykan o przyspieszenie decyzji w sprawie normalizacji administracji kościelnej na ziemiach zachodniach w imieniu społeczności katolickiej w kraju, prymas powierzył tę misję byłym przywódcom Stronnictwa Pracy więzionym przez długie lata. Zjawili się wtedy w Rzymie, po raz pierwszy na Zachodzie, adwokat Władysław Siła-Nowicki (znany obrońca w procesach politycznych) i Konstanty Turowski, dyrektor wydawnictwa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Przyjęci zostali przez papieża i konferowali z przedstawicielami kurii watykańskiej.

Sytuacja demokratycznej opozycji socjalistycznej jest jasno określona: nie tylko nie posiada żadnych organizacyjnych form działania, lecz jest prześladowana za jakikolwiek przejaw niezależnego myślenia; na opozycję katolicką natomiast nałożono kaganiec w postaci dwóch grup koncesjonowanych i skompromitowanych (PAX i ChSS) oraz ugrupowania „Znak”, wyrzekającego się wprawdzie aspiracji politycznych, ale faktycznie rolę polityczną odgrywającego. Tego rodzaju mistyfikacja ułatwia partii kontrolę nad odcinkiem katolickim i próbę stwarzania za granicą fałszywych pozorów. Pozostawmy na boku PAX, bękarta stalinowskiego, którego rola jako agentury moskiewskiej została już po Październiku wszechstronnie naświetlona. Wtrąć tylko, że po przełomie 1956 roku jeden z najbliższych wówczas współpracowników Gomułki przyznał w poufnej rozmowie (w której uczestniczył piszący te słowa), że likwidacja PAX-u, zamierzona przez zwolenników odnowy, okazała się niemożliwa do przeprowadzenia wobec opozycji sowieckich organów bezpieczeństwa. Trudno się zatem dziwić, że i Gierek zmuszony jest tolerować nadal PAX, choć odrzucił żądanie „wodza” (Pia-seckiego) o status partii politycznej. Zajmijmy się raczej grupą „Znak”, korzystającą z ograniczonego poparcia moralnego Episkopatu. Episkopat nie uważa tej grupy za reprezentatywną – wyciąga po prostu wnioski z faktycznego stanu rzeczy. Biskupi lub poszczególni duchowni zmuszeni są nieraz korzystać z pośrednictwa posłów koła „Znak” w załatwianiu ludzkich po-

trzeb w tak prozaicznych, lecz istotnych kwestiach, jak przydział materiałów budowlanych czy interwencja o wydanie paszportu (w tego rodzaju akcjach zasłużył się szczególnie poseł K. Łubieński). Prymas zdaje sobie sprawę z uwarunkowań politycznych tego ugrupowania. W rozmowie z pewnym działaczem „Znaku”, mówiąc o przeciwnikach partii w środowiskach socjalistycznych rewizjonistów, powiedział: „oni są bardziej wolni od was”. Obecna degrengolada tej grupy jest rezultatem izolacji społecznej (nie ukrywanej już dzisiaj) i rozczarowania. W dniach jej narodzin, w październiku 1956 roku, panowały złudzenia co do możliwości spełniania społecznie pożytecznej funkcji i pomagania Kościołowi bez angażowania jego autorytetu. Klub Inteligencji Katolickiej, którego piszący te słowa był współzałożycielem, oraz kilka innych środowisk (w pierwszym rządzie zespół „Tygodnika Powszechnego”) powołały do życia koło poselskie „Znak”. Był to akt przede wszystkim moralny, politycznie jednak nie przemyślany i nastawiony na defensywę. W błędnym starcie tkwią przyczyny obecnego fiaska. Nie wszystko, co „Znak” zrobił czy nadal stara się robić, należy oceniać ujemnie. Istnieje „Tygodnik Powszechny”, najbardziej niezależne pismo w PRL, borykające się stale z cenzurą i ograniczeniami przydziału papieru, ale periodyk ten ukazuje się od 1946 roku (z przerwą trzech lat w okresie stalinowskim, kiedy bezpieka przekazała go PAX-owi) i nie jest organem grupy „Znak”, co J. Turowicz, redaktor naczelny tego pisma, zawsze podkreśla. Trzeba zanotować osiągnięcia w dziedzinie wydawniczej oraz trzy periodyki: miesięcznik „Znak” w Krakowie oraz „Więź” i „Chrześcijanin w Świecie” w Warszawie. Były odważne przemówienia „znakowców” w sejmie.

Ogólna polityczna wymowa działalności tej grupy i ocena jej funkcji społecznej wypadają jednak zdecydowanie negatywnie. Pretendowanie na przykład nadal do „dialogu” z marksistami stanowi nie tylko jedno wielkie nieporozumienie – jest świadomym wprowadzaniem w błąd. W pierwszych latach po październiku próbowano „dialogować” z zespołem marksistowskich intelektualistów zgrupowanych wokół pisma „Argumenty”. Był to dialog zawieszony w próżni, ale przynajmniej uczciwy. Zespół „Argumentów” został po kilku latach wysadzony z siodła, a rugi marcowe wykończyły do reszty tę grupkę otwartych marksistów. „Dialog” pomiędzy katolikami i marksistami w dzisiejszych warunkach zamrożenia wszelkiej swobodnej publicznej dyskusji służyć może jedynie partii do bałamucenia nieuświadomionej części opinii społecznej; nie nadaje się też na eksport, bo zachodni katolicy mają inne zmartwienia. Tak zwany polski eksperyment przestał już być interesujący. Pewni notoryczni dialoganci grupy „Znak” nie stracili jednak złudzeń i nadal usiłują serwować zachodnim partnerom odgrzewaną strawę

duchową. Nie powiódł się też zamiar „zintegrowania katolickiej bazy społecznej” przez „Znak”, który oddziałuje w najlepszym razie na krąg dwóch tysięcy osób (w tym połowę stanowią członkowie klubów dyskusyjnych); do kręgu tego nie można zaliczyć czytelników „Tygodnika Powszechnego”, którzy rekrutują się z dawnych wiernych sympatyków pisma, księży i zakonników, katolików obojętnych na „polityczne zaangażowanie” i akatolików. Działające kluby dyskusyjne „Znaku” są w rzeczywistości zamkniętymi kołami. Stan rzeczy, jaki partia ustanowiła na tak zwanym odcinku katolickim za czasów Gomułki, jest zachowany z całym przywiązaniem do rytuału antydemokratycznego. Partia nadal decyduje, kto zasługuje na mandat poselski (jedynie w pierwszych wyborach po październiku katolickie środowiska miały coś do powiedzenia przy wysuwaniu kandydatów). „Znak” nie potrafił przeciwstawić się nagonce na J. Zawieyskiego po jego pamiętnym marcowym wystąpieniu w sejmie, w którym złożył mandat członka Rady Państwa. Na miejsce opróżnione po śmierci Zawieyskiego przyszedł T. Myśliki, nie wybrany przez środowiska katolickie, ale za to dobrze widziany w krakowskiej organizacji partyjnej. W ostatnich wyborach na miejsce T. Mazowieckiego, redaktora naczelnego miesięcznika „Więź”, źle widzianego przez partyjną „grupę marcową” wciąż nader wpływową, przyszedł W. Auleytner, sekretarz klubu warszawskiego. Katolicka „baza” nie miała nic do powiedzenia. Zachował natomiast mandat S. Stomma, mimo że właśnie ta „baza” udzieliła mu *votum* nieufności. Oto smutny obraz kompletnego rozkładu. Po Grudniu obiecano grupie „Znak” legalizację dalszych dwunastu klubów obok pięciu powołanych do życia w 1956 roku – nic z tego nie wyszło. Brak dopływu nowych członków, co więcej, odejście wielu aktywnych jednostek znudzonych jałową gadaniną i nieumiejętność lub niechęć przyciągnięcia młodzieży, przekształciły „Znak” w towarzystwo wzajemnej adoracji. Zespół „Tygodnika Powszechnego” postanowił wyciągnąć wnioski z przegranej: zamierza mianowicie wycofać reprezentację „Znaku” z sejmu po upływie bieżącej kadencji, co już proponował kilka lat temu Stefan Kisielewski. Pozostanie wówczas na placu zespół kierowany przez posła J. Zabłockiego, stanowiący coś w rodzaju autonomicznej filii w ramach ugrupowania „Znak” (po secesji z zespołu „Więzi”, jaka nastąpiła w okresie pomarcowym). Zabłocki uzyskał wówczas koncesję na Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych (ODiSS), a ostatnio na wydawnictwo „Verum”, które wydało między innymi, rewelacyjną jak na warunki krajowe książkę A. Micewskiego o Romanie Dmowskim.

Reasumując: negatywny bilans działalności grupy „Znak” stanowi wynik degeneracji wszelkich form działania społeczno-politycznego w kraju, pozo-

stających w kręgu optyki partyjnej. Mimo kilku niezależnych gestów, ugrupowanie to znajduje się faktycznie pod ciśnieniem tej optyki, warunkującej i krępującej jego istnienie. Wielu katolickich intelektualistów i katolików o zainteresowaniach politycznych, jak również rosnąca liczba „katechumenów” (rozczarowani agnostycy i marksiści szukający dróg wyjścia) oceniają działalność „Znaku” jako bezużyteczną lub wręcz szkodliwą; dezorientuje ona bowiem społeczeństwo i zaciera jasno określone kontury odgraniczające rzeczywistość autentyczną i oficjalną. W warunkach pluralizmu systemu demokratycznego linia podziału światopoglądowego czy wyznaniowego nie pokrywa się z opcjami politycznymi. W systemie totalitarnym, a na domiar w kraju o przygniatającej liczbie katolików, narzucono wygodny dla monopartii schemat podziału na „wierzących i niewierzących” (mówi się naturalnie o ich „konstruktywnej współpracy”), przy czym „wierzący” mają do wyboru wyłącznie tak zwane „socjalistyczne” zaangażowanie i fałszywą alternatywę: zapisanie się do PAX-u lub do „Znaku”. Mało jest chętnych do skorzystania z tego typu oferty.

Jak wynika z powyższej analizy, nowe kierownictwo partii nie posiada żadnej koncepcji programowej w zakresie tak zwanej polityki kościelnej. „Nowy kurs” Gierka oscyluje pomiędzy koncesjami uzasadnionymi wymogami taktyki a nawrotem do metod stalinowskich. Ostatnio pewni emisariusze katolicki twierdzą, że partia podjęła rzekomo „październikową” koncepcję W. Bieńkowskiego. Były minister oświaty po powrocie Gomułki do władzy, znany czytelnikom „Kultury” z doskonałych esejów politycznych, propagował w swoim czasie pogląd, że władze powinny zaprzestać administracyjnej walki z Kościołem (co go niepotrzebnie wzmacnia) i starać się o zneutralizowanie jego atrakcyjności. Bieńkowski uważał, że otoczenie Kościoła klimatem obojętności i odjęcie Episkopatowi kompleksu „oblężonej twierdzy” zredukuje oddziaływanie duchowieństwa na społeczeństwo, natomiast wzmocni wpływy partii. Gomułka był zbyt tępy, by skorzystać z tych dobrych rad. Gierek – sugerując emisariusze – jest inteligentniejszy, powrócił zatem do tej koncepcji.

Po pierwsze: nie ma dziś absolutnie żadnych danych świadczących o takim „powrocie”. Obchodzą nas fakty – intencje zaś komunistycznego establishmentu mogą stanowić przedmiot abstrakcyjnych i mało interesujących rozważań, lecz nie analizy politycznej. Po drugie: koncepcja Bieńkowskiego, niewątpliwie sprytna i dość skuteczna, stanowiła ongiś pewien krok naprzód w zestawieniu z uprzednią „koncepcją” aparaczków; faktycznie jednak jest pozornie tolerancyjna, zakłada bowiem taktyczną giętkość przy

utrzymaniu tego samego celu. Po trzecie: minęło 16 lat od rzucenia „nowych” myśli Bieńkowskiego – dziś jego koncepcja nie wystarcza, chodzi bowiem o konfrontację poglądów, czego ta koncepcja nie implikuje. Indyferentyzm, pasywna koegzystencja i taktyczne wybiegi nie mogą sprostać wymagom dynamicznej ewolucji życia międzynarodowego w okresie, kiedy państwa bloku wschodniego muszą ustosunkować się między innymi do postulatów zachodnich w sprawie „wolnego krążenia osób, idei i informacji”. Zakładając nawet, że partia poweźmie decyzję odstąpienia od szturmowania „oblężonej twierdzy” (na co na razie nie zanosz się), Kościół pozostanie nadal jedynym czynnikiem integrującym społeczeństwo. Rozpiętość, co więcej antynomia, zachodząca pomiędzy *pays réel* i *pays légal* nie zniknie.

[Pisane w Rzymie w styczniu 1973]

Dominik Morawski

[4/1973]

Divide et impera

Obecny kryzys gospodarczo-polityczny w Polsce wydaje się cięższy i bardziej długotrwały niż wszystkie poprzednie. Partia doprowadziła kraj do załamania, tracąc jednocześnie wszelki kontakt ze społeczeństwem. Rządząca grupa Gierka ma przeciw sobie także większość aktywu partyjnego nastawionego nacjonalistycznie. Opiera się więc praktycznie tylko na Sowietach i infiltrowanych przez nich częściach aparatu partyjnego, policyjnego i wojskowego.

W tym stanie rzeczy kierownictwo partyjne czyni nadzwyczajne wysiłki w celu dezintegracji społeczeństwa, politycznego uśpienia mas i rozbijania elit intelektualnych. Głównym założeniem propagandowym w stosunku do społeczeństwa jest odwoływanie się do motywów narodowo-patriotycznych. Zważywszy, że ekipa Gierka jest od czasów stalinowskich najbardziej uległym wobec Sowietów kierownictwem partyjnym, szermowanie przez nią hasłami narodowymi stanowi jaskrawe oszustwo i szczególnie obłudny cynizm. Społeczeństwo doskonale zdaje sobie z tego sprawę i frazeologią propagandową jest rozdrażnione nie mniej niż trudnościami gospodarczymi.

Narzucenie Polsce z początkiem tego roku konstytucji otwierającej drogę do dalszej sowietyzacji kraju przyniosło bezprecedensowe ożywienie nastrojów opozycyjnych wśród inteligencji. Nastroje te uległy dalszej radykalizacji po czerwcowej podwyżce cen, proteście robotników, ich procesach i przesładowaniach. Zarysował się sojusz środowisk robotniczych i intelektualnych, który gdyby się pogłębił, byłby niewątpliwie najgroźniejszym dla partii kierunkiem ewolucji nastawień społeczeństwa. Powstanie Komitetu Obrony Robotników symbolizuje rzecz dla partii najniebezpieczniejszą, na którą bardzo długo czekaliśmy w Polsce, a mianowicie na solidarność robotników i inteligencji...

W tej sytuacji głównym zadaniem, jakie stawia sobie partia, jest rozbicie polityczne środowisk intelektualnych. Chodzi jej przede wszystkim o wbicie

klina między Kościołem i inteligencją katolicką a liberalne środowiska intelektualne, których aktywność wzrosła w walce z nową konstytucją i w obronie praw robotniczych. Kardynał Wyszyński, który przez 30 lat uważany był za głównego wroga PRL i zwalczany z całą bezwzględnością, stał się od pewnego czasu głównym obiektem umizgów i kokieterii partyjnej. Jaroszewicz posłał mu 75 róż na siedemdziesięciopięciolecie urodzin. Ekipa Gierka tak dalece stawia na kardynała Wyszyńskiego, że budzi to protesty wewnątrz partii. Wyrażają się one nie tylko w cichej krytyce, ale także w aktach dywersji wobec gierkowskiej polityki wyznaniowej. Jednym z nich było rozebranie przez milicję kościoła w Kampinosie, a drugim ujawnienie na Zachodzie tajnego referatu ministra Kąkole na zamkniętym zebraniu partyjnym w Polskiej Agencji Prasowej. Ten ostatni incydent, świadczący dobitnie o dwulicowości gierkowskiej polityki wyznaniowej, zmusił I sekretarza KC PZPR do równie gorączkowej, co czysto werbalnej deklaracji wobec Kościoła. To prawda, że tak korzystnej deklaracji wyznaniowej nie dał dotąd żaden rządzący przywódca komunistyczny, ale nikt z kardynałem Wyszyńskim włącznie nie ma złudzeń, że skończy się jak zwykle na pięknych słowach.

Nie wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że głównym celem takich oświadczeń jest wbicie klina między kardynała a niekatolicką opozycję w Polsce. Partia dobrze wie, że przywódcy opozycyjni nie są kardynałowi nie znani. Ekipa Gierka doskonale orientuje się, że celem kardynała jest wolność dla Kościoła i narodu, podobnie jak wolność jest dążeniem liberalnych intelektualistów. Ale partia uważa kardynała za nacjonalistę i próbuje mu suflować antymasońskie, a nawet antysemitckie resentymenty. Udaje, że popiera katolików proprymasowskich, a walczy tylko z podejrzanymi liberałami, podczas gdy w gruncie rzeczy dąży do rozbijania Kościoła i środowisk katolików świeckich.

Dyskusja wokół konstytucji była kapitalnym przykładem stosowania przez partię zasady *divide et impera*. Podchwytywano każde słowo kardynała i Episkopatu, które można było interpretować jako umiarkowane wobec rządu. Wyolbrzymiano każdy krytyczny akcent w memoriałach środowisk intelektualnych. W ten sposób przeciwstawiano mniej lub bardziej zasadnie linię Kościoła i intelektualistów.

Gra ta jest prowadzona nadal. Każdy komunikat biskupów przygotowuje się dla prasy w ten sposób, by przedstawić ich jako sojuszników reżimu Gierka. Gdy zaś przedstawiciele opozycji liberalnej występują podobnie jak biskupi w obronie robotników, zwalczą się ich wszystkimi możliwymi metodami.

Na krótką metę taktyka partii daje pewne rezultaty. Ale komuniści byliby dziecinnie naiwni, sądząc, że kardynał Wyszyński pozwoli się sprowadzić do roli instrumentu ich taktyki, a intelektualiści dadzą się popchnąć przeciwko Kościołowi, będącemu w kraju jedyną poza partią zorganizowaną siłą społeczną.

Dziwne jest, że do tej nie mającej szans „gierki” pozwalają się wykorzystać ludzie żyjący na Zachodzie. Chodzi tu o *casus* listu otwartego Jędrzeja Giertycha do społeczeństwa polskiego (*sic!*). List ten rozpowszechnia oczywiście polska poczta i cenzura.

Giertych uchodzi za uczciwego osobiście fanatyka i człowieka szalonego, z którym na ogół należy unikać polemiki. Ale nie wtedy, gdy jego pisanie w Londynie „Listy otwarte” upowszechnia poczta komunistyczna. Gdy bowiem fanatyzm zostaje zinstrumentalizowany, przybiera postać brudnej gry. Fanatyk z Londynu pisze, że koła żydowskie i niemieckie przygotowują w Polsce coś w rodzaju powstania. Po pierwsze jest to łgarstwo, bo o porywie zbrojnym nikt w Warszawie nie myślał ani przez chwilę. Większość Polaków pochodzenia żydowskiego wyjechała po 1968 roku, a Niemcy na naszą politykę mają chwilowo wpływ równy zeru. Natomiast podsycanie resentymentów i ksenofobii służy partii do walki z dążeniami do reform gospodarczych i większej suwerenności. Mniejsza o Giertycha, który, miejmy nadzieję, nie chciałby zostać na starość marionetką komunistów, choć ciasny endecki dogmatyzm zdaje się popychać go do odegrania tej roli. List otwarty Giertycha wzbudził w kraju wesołość, szczególnie dzięki jego tezie, że knowaniom żydowsko-niemieckim należy przeciwstawić troskę o rodzinę i przyrost naturalny. Trochę to mało, by wystarczyło na program dla narodu całkowicie pozbawionego suwerenności i wolności obywatelskich. Poza tym *casus* Giertycha jest interesujący tylko jako przykład, że partia obecnie jest skłonna wykorzystać wszystko, aby wbić klina w szeregi opozycji.

Nie ulega wątpliwości, że ostatni rok musiał uzmysłowić także kardynałowi Wyszyńskiemu niebezpieczeństwo wykorzystywania przez partię każdego jego słowa, które da się zinterpretować przeciw opozycji liberalnej. Nie jest żadną tajemnicą, że przed drugą wojną światową między kołami kościelnymi w Polsce a demokratycznymi liberałami lub środowiskiem socjaldemokratycznym była przepaść nie do przebycia. Totalizm komunistyczny w dużej mierze przepaść tę wyrównał, dławiąc zarówno wolność Kościoła, jak i świeckich kierunków demokratycznych. W tych warunkach przedwojenna obawa świata katolickiego przed wolnomularstwem, liberalizmem i lewicą demokratyczną przeżyła się. Wszystkim żywym nurtom pol-

skiej myśli i kultury grozi jedno konkretne niebezpieczeństwo: totalizm komunistyczny. Wszystkie są jednakowo uciskane i nakazem wydaje się wzajemna solidarność i uwalnianie się od resentymentów historycznych. Ale niestety resentymenty przeszłości jeszcze ciągle istnieją.

Jest zupełnie oczywiste, że świeccy liberalowie w przeszłości nie doceniali narodowej roli Kościoła. Dziś sytuacja ta ulega zmianie i czołowi intelektualni nie tylko nie wyrażają wrogości wobec Kościoła, ale widzą w nim naturalnego sojusznika w walce o prawa ludzkie i wolności narodowe. Wrogami Kościoła są natomiast ci, którzy usiłują poróżnić go z polskimi elitami intelektualnymi, wmawiając Kościołowi na dodatek nacjonalizm i antysemityzm.

Z wszelką pewnością największa odpowiedzialność w tej sprawie spoczywa na kierownictwie Kościoła katolickiego, który ma największe możliwości i najszerszy zakres oddziaływania. Kościół zna też najlepiej taktykę rozbijania i akcji dywersyjnych, doświadczał jej bowiem przez całe dzieje PRL. Zresztą do dziś taktyka ta nie uległa zmianie. Partia wyznaczyła tylko tym razem inne cele. Dawniej kardynał Wyszyński był najgorszy, nawet jego usiłowania zniesławiać i pomawiać o absurdalne rzeczy. Dziś, dla odmiany, kardynała się chwali, by przy tym umniejszyć jego znaczenie jako symbolu polskiego oporu, a błotem obrzuca się kardynała Wojtyłę, biskupa Tokarczuka, Tadeusza Mazowieckiego, prof. Edwarda Lipińskiego czy Jacka Kuronia. Tak czy inaczej taktyka partii tworzy mimo woli „front narodowy” prześladowanych. Elementarny sens polityczny nakazuje nie dać się z niego wylać, ale go wzmacniać.

Sprawy katolickie są być może najbardziej spektakularnym, ale wcale nie jedynym terenem prób zdeintegrowania społeczeństwa. „Czarne listy” w środkach masowego przekazu miały rozbić intelektualistów, opornych pozbawić zarobków, uległych faszerować pieniędzmi. Wszyscy wybitniejsi przedstawiciele opozycji są systematycznie zniesławiani w cichej szeptanej propagandzie partii i bezpieki. Zarzuty przeciw nim są niewybredne, takie, jakie zwykły się rodzić w koszarowej atmosferze komend policyjnych. Jednego opozycjonistę nazywa się więc pijakiem, innego dziwką, jeszcze innego zboczeńcem, wyzwick takich nie szczędzi się też duchownym. Bardzo często sugeruje się ludziom pochodzenie żydowskie, ukraińskie lub niemieckie, co w oczach dozorców PRL jest szczególnie kompromitujące. Swoistym szczytem jest sugerowanie niektórym opozycjonistom współpracy z milicją. Widać wie ona dobrze, co najbardziej okrywa ludzi hańbą w opinii publicznej.

Warto również zwrócić uwagę na daleko posunięte próby rozbijania środowisk robotniczych. I tam wywołuje się szeptaną propagandą zawiść o zarobki czy pozycję w zakładzie pracy, próbuje się skłócić przyjaciół, przedstawiać młodszych pracowników starszym, dawniej pracujących nowym i w miarę możliwości wszystkim wszystkim. Daje to na ogół nikłe rezultaty, więc gdy dochodzi do takiego spięcia, jakie miało miejsce 25 czerwca bieżącego roku, to partia uderza frontalnie w klasę robotniczą. Uderzenie to nie ograniczyło się jednak tylko do aresztowań, bicia i procesów. W wielu dużych zakładach pracy po prostu zwalniano po kilkudziesięciu pracowników z tak zwanymi wilczymi biletami. Oczywiście był to element najwartościowszy, najbardziej aktywny i uświadomiony politycznie.

Na koniec należałoby zapytać, na czym bazują wszystkie wysiłki partii skłócenia społeczeństwa, a szczególnie różnych odłamów opozycji antytotitarnej? Czy w opinii polskiej zarysowały się rzeczywiście głębsze podziały ideowe, pozwalające władzom stosować zasadę *divide et impera*?

Naturalnie społeczeństwo polskie jest pluralistyczne i w gruncie rzeczy występują w nim wszystkie kierunki myślowe przejawiające się w innych społeczeństwach współczesnych.

Nie wydaje się natomiast, by w opinii polskiej były głębsze różnice w stosunku do totalnych rządów sprawowanych w kraju w interesie sowieckiego socjal-imperializmu. Adam Bromke dał nam niedawno „profesorski” wykład „idealizmu i realizmu” politycznego. Autor sprzyja realizmowi. Gerald Ford w swej drugiej dyskusji telewizyjnej z Carterem uznał PRL za kraj suwerenny. Trudno ocenić, czy było to bardziej wynikiem cynizmu, czy głupoty politycznej.

Nasz „realizm polityczny” siłą rzeczy jest ograniczony do pracy organicznej na drobnych odcinkach. Dopiero uzyskanie częściowej choćby suwerenności umożliwiłoby krajowi prowadzenie tak zwanej realistycznej polityki narodowej. Nic więc dziwnego, że w odróżnieniu na przykład od 1956 roku, kiedy uzyskaliśmy nieco suwerenności, zresztą na bardzo krótko, w kraju przeważają w tej chwili nastawienia niepodległościowe czy – jak chce prof. Bromke – „idealistyczne”. I tego prof. Bromke woli nie zauważać.

Nie mają one nic wspólnego z planami powstańczymi, które przerażają Jędrzeja Giertycha, p. Dargasa i niejakiego p. Borowicza. W systemie tak absolutnie totalnym, jaki panuje w Polsce, powstanie jest niemożliwe. Możliwe i konieczne jest natomiast wykorzystywanie koniunktury międzynarodowej, jeśli tylko się pojawi, oraz wewnętrznej słabości systemu komunistycznego tak w Polsce, jak i przede wszystkim w Rosji, dla osiągnięcia mini-

mun suwerenności. W tym punkcie nie ma w opinii polskiej większych różnic. Także „realiści” polityczni (ale ci w kraju, a nie na Zachodzie) zdają sobie sprawę, że bez minimum suwerenności ich szersza akcja jest po prostu niemożliwa. Chwilowo w PRL szanse działań mają wyłącznie nominowani przez Moskwę funkcjonariusze realizujący jej politykę imperialną.

Spełniającym tę funkcję zarządcom PRL towarzyszy coraz gorsza jakościowo ekipa kibiców politycznych bez żadnego wpływu (ZSL, SD, grupy katolickie), rekrutująca się z użytecznych idiotów, notorycznych oportunistów lub agentów. Społeczeństwo jest pozbawione formalnych możliwości działania politycznego. Aktywność jego przejawia się w związkach nieformalnych i w wypowiedziach osobistości oraz protestach robotników.

Niemniej jednak przez celową, a czasem zręczną inspirację i dezinformację (do której dały się wciągnąć także pewne środowiska emigracyjne) w stosunku do kardynała* odnosi się wrażenie (zapewne niesłuszne), że kardynał w obawie przed możliwą katastrofą zachowuje dziwną powściągliwość wobec walki robotników i wobec narastającej opozycji demokratycznej. To stanowisko kardynała jest wykorzystywane w szeptanej propagandzie i, niestety, znajduje pewien posłuch w zdesperowanym społeczeństwie.

Jesteśmy przekonani, że zamiar ten się nie powiedzie, bo jest sprzeczny zarówno z wolnościowymi dążeniami Kościoła, jak i niepodległościowymi i demokratycznymi pragnieniami intelektualistów. Uważamy jednak za konieczne zwrócenie uwagi opinii polskiej, że rząd PRL i jego sowieccy mocodawcy swą główną szansę na rozbicie oporu społeczeństwa widzą w przeciwstawieniu Kościoła środowiskom intelektualnym. Nadzieja ta bazuje na pogardliwym uznaniu kierownictwa Kościoła za nacjonalistyczne i reakcyjne i na nienawistnym przypisywaniu kołom intelektualnym kosmopolityzmu.

Reżym przeliczył się tym razem. Polaków spajają bowiem mocno jednocześnie uczucia narodowe i walka o prawa ludzkie.

Józef Kwaśny
[Andrzej Micewski]

[12/1976]

* Chodzi o kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Rozdział V

Swoi i obcy



W „Kulturze” myślało się zawsze o Polsce kategoriami jagiellońskimi; myślało się o niej jako o państwie wieloetnicznym, zróżnicowanym religijnie i kulturowo, w którym wszyscy obywatele bez względu na to, co ich różni, powinni mieć te same prawa i obowiązki. Gwarantem równych praw i rozjemcą konfliktów miało być państwo: nie uwikłane w partyjne rozgrywki, suwerenne wobec sąsiadów i niezależne od jakichkolwiek ideologii oraz Kościoła. Jagiellońska wizja państwa polskiego w wersji współczesnej – piłsudczykowskiej – była całkowicie sprzeczna z koncepcją państwa jednolitego narodowo i z poglądem identyfikującym polskość z katolicyzmem. Stąd krąg „Kultury”, mimo że zróżnicowany politycznie, był całkowicie obcy politycznemu programowi narodowej demokracji, jak też był bezwzględnym przeciwnikiem programu i praktyki PZPR, którą Czesław Miłosz słusznie określił: „Jest ONR-u spadkobiercą partia”.

Fakt, że Polska po drugiej wojnie utraciła większość ziem zamieszkiwanych przez różne grupy narodowościowe i że wyginęli wymordowani przez hitlerowców Żydzi, nie wpłynął na stanowisko „Kultury”, wręcz przeciwnie – zaostrzył je. Uważano, że właśnie ze względu na niewielką liczebność w Polsce innych niż Polacy grup narodowościowych i innych wyznań niż katolicyzm trzeba szczególnie przestrzegać ich praw. Tolerancja wobec „obcych”, którzy skądinąd byli całkiem swojscy, była nie tylko pochodną zasad politycznych i moralnych, lecz również warunkiem spełnienia roli łącznika między Europą Zachodnią i Wschodnią. Wedle „Kultury”, tylko Polska sprawiedliwa i praworządna mogła być atrakcyjna dla swoich wschodnich sąsiadów.

Publicyści „Kultury” piętnowali wszelkie przejawy nacjonalizmu i ksenofobii, zarówno w ich postaci urzędowej, jak i w postawach i zachowaniach społecznych. Wśród nich wyróżniał się temperamentem i ostrością sformułowań Konstanty A. Jeleński, dla którego lansowany przez narodową prawicę wzór Polaka–katolika pozostawał w całkowitej sprzeczności z tradycją Polski i jej spuścizną kulturalną, która weszła do obiegu światowego. Nic więc dziwnego, że jego artykuły zazwyczaj powodowały dwie, całkiem różne reakcje: gratulacje i oburzenie.

Walka z polską ksenofobią, a niekiedy wręcz wrogością wobec „obcych”, choć obywateli Polski, w większości wypadków odwiecznych mieszkańców ziemi między Bugiem a Odrą, była tym niezbędniejsza, że PZPR robiła wszystko, by z Polski zniknęły

Tytuł rozdziału *Swoi i obcy* zapożyczony został z eseju Aleksandra Hertza, zamieszczonego w cyklu *Żydzi w kulturze polskiej*, drukowanego w numerach 9 i 10 z 1959 roku.

inne niż polska grupy narodowościowe. Przez cały okres panowania komunistów, choć z różnym nasileniem, prowadzono konsekwentną politykę asymilacyjną: spolszczano nazwiska i imiona; usuwano materialne ślady „obcych”, np. cmentarze, kościoły; wymazywano z podręczników historii i literatury świadectwa ich udziału we wspólnym dziedzictwie cywilizacyjnym i kulturalnym; nie rozwijano szkolnictwa i notorycznie brakowało podręczników szkolnych pisanych w języku danej grupy narodowej; nie przeszkadzano, a niekiedy nawet zachęcano do opuszczenia Polski. Tak było z Mazurami i Żydami po 1956 roku i tak było z Polakami pochodzenia żydowskiego po 1968 roku.

Ekipa gierkowska nic nie zmieniła pod tym względem. Było to zresztą zjawisko szersze. W każdym kraju demokracji ludowej formą jednoczenia ludzi pod sztandarami partyjnymi stawał się od lat sześćdziesiątych nacjonalizm w opakowaniu komunistycznym¹. W Polsce gierkowskiej za gromkimi hasłami patriotycznymi skierowanymi do „rodaków” kultywowano niechęć do „obcych” żyjących w Polsce, przy jednoczesnym kulcie dla Moskwy.

Oceniając IV Zjazd PZPR (1971) z punktu widzenia Ukraińca, Bohdan Osadczyk, jako jeden z pierwszych, zwrócił uwagę na nowe elementy narodowościowe w polityce partii, od słownictwa poczynając.

„Tradycja pielęgnowania starego ludowego nacjonalizmu, bez głębszych powiązań międzynarodowych, wpłynęła w jakimś stopniu na sposób traktowania przez Gierka dążeń narodowych Polski; nawet jego słownictwo przypomina chwilami język ruchu polonijnego. Drugi element, na przeciwnym biegunie, to polska odmiana stalinizmu, która umocniła w Gierku po powrocie do kraju bałwochwalczy stosunek do Moskwy. [...] Dla PRL Ukraina (podobnie jak inne nierosyjskie części imperium moskiewskiego) w praktyce nie istnieje. Istnieje tylko nowa Rosja w duchu neodmowszczyzny, co wyraźnie na VI Zjeździe powiedział Gierek i Olszowski. Jest to zwrot tak dobitnie podkreślany, że trzeba się u jego źródeł dopatrywać odmiennych przesłanek ideologicznych. W połączeniu z innymi sprawami, typu raczej wewnętrzno-politycznego i społecznego, sprawia on wrażenie jakiegoś skrzyżowania interesów socjalizmu ze spuścizną i odrodzeniem endecji i popularnej niegdyś w Polsce zachodniej i północnej Narodowej Partii Robotniczej, której większość haseł społeczno-ekonomicznych i światopoglądowych wylaziła z sformułowań pierwszego sekretarza PZPR. Możliwe, że są to echa nieświadome, ale nawet w takim, najprawdopodobniejszym przypadku, uważam je za bardzo znaczące i wymowne”.²

Narodowy program PZPR kształtował mentalność i zachowanie Polaków nawet wówczas, gdy byli szczerze przekonani antykomunistami. Brak swobody słowa sprawiał, że sączącej się propagandzie narodowej ulegali prawie wszyscy. Reakcja na partyjną politykę partii zależała od dwóch czynników: od możliwości publicznego sprzeciwu wobec niej oraz od uznania praw mniejszości narodowych za fundamentalną zasadę demokracji.

Możliwości publicznych protestów pod komunistycznymi rządami były więcej niż ograniczone. Artykuły krytycznie oceniające narodowościową politykę państwa ukazy-

¹ W. Szacki, *Nowe nacjonalizmy*, nr 11/1960.

² B. Osadczyk: *Neodmowszczyzna Gierka*, nr 3/1972.

wały się jedynie w krótkim, popaździernikowym okresie. W następnych latach można było spotkać się co najwyżej z aluzjami, czytelnymi dla dobrze wtajemniczonych.

Polityka narodowościowa partii była przyjmowana przez społeczeństwo bez sprzeciwu i bez emocji. Tu i ówdzie podnosiły się głosy sprzeciwu; intelektualści protestujący na zebraniach byli niesłyszalni bądź ich wypowiedzi miały bez echa. Znacznie większą mobilizację w kręgach intelektualnych wywołały wydarzenia marcowe z 1968 roku. Dopiero wówczas niektórzy zdali sobie sprawę z tego, do czego prowadziło milczenie w latach poprzednich. Ale zasadnicza zmiana w postawie wobec mniejszości narodowych i antysemityzmu nie nastąpiła. Dla rodzącej się opozycji łamanie praw istniejących w Polsce mniejszości nie było problemem ani politycznym, ani moralnym. Uważano – niestety z dużą dozą naiwności – że upadek totalitarnego systemu automatycznie rozwiąże wszystkie problemy, w tym zadawnione antagonizmy, jak roszczenia polityczne i materialne zgłaszane przez różne grupy narodowościowe wobec Polaków.

Przez cały okres panowania komunistów „Kultura” była jedynym polskim pismem, które upominało się o prawa mniejszości: kulturalne, oświatowe i religijne, zwalczało antysemityzm w każdej jego formie: urzędowej i propagandowej oraz w zachowaniach społecznych. Zainteresowanie tym problemem nie ujawniało się wyłącznie w publicystyce. Omawiano prawa mniejszości w „Kronikach”, w drobnych notach, w listach do Redakcji, a przede wszystkim znajdowało to wyraz w linii pisma, a więc w artykułach Mieroszewskiego.

Nie ulega jednak wątpliwości, że antysemityzmowi w Polsce „Kultura” poświęciła najwięcej uwagi. Działo się to z trzech powodów: jak już wspomniałam, na położenie mniejszości narodowych w Polsce opozycja była mało wrażliwa, co z konieczności znalazło odbicie w „Kulturze”; po wojnie, w wyniku Holocaustu żydowska mniejszość narodowa przestała praktycznie istnieć. Pozostali w Polsce ci, którzy uważali się za Polaków bądź Polaków pochodzenia żydowskiego. Ich prześladowanie było szczególnie bolesne, a nadto spowodowało kolejną falę antypolonizmu w świecie. Hasło: Polak–antysemita ponownie powróciło na łamy gazet; hitlerowski terror sprawił, że większość Żydów polskich i europejskich zginęła na polskiej ziemi. Maria Czapka pisała o tym następująco:

„Najstraszniejsze w dziejach ludzkości ludobójstwo, masakra kilku milionów Żydów w Polsce, obranej przez Hitlera jako plac straceń, krew i popioły tych ofiar, które wsiąkły w ziemię polską, stanowią istotną więź, która spoiła Polskę z narodem żydowskim i od której zwolnić się nie jest w naszej mocy. Polska jest obciążona jeśli nie odpowiedzialnością za zbrodnię, to odpowiedzialnością za jej zadośćuczynienie”.³

Wszystko to sprawiło, że urzędowy antysemityzm oraz objawy niechęci manifestowane przez różne grupy społeczne wobec Żydów lub za takich uważanych wywołały ostrą reakcję najbliższych współpracowników „Kultury”. Ich postawa nie wzbudzała powszechnej akceptacji. Wystarczy się wczytać w odpowiedzi nadesłane na ankietę

³ M. Czapka, *W odpowiedzi redaktorowi Turowiczowi*, nr 6/1957. Chodziło o artykuł wstępny J. Turowicza, zamieszczony w numerze 11 z 17 marca 1957 r. w „Tygodniku Powszechnym”, w którym redaktor naczelny współczesny antysemityzm występujący w Polsce wiązał z pewnymi tendencjami w PZPR, znajdującymi pozytywne echa w społeczeństwie.

„Kultury” o antysemityzmie i zastanowić się nad nieobecnością większości eminentnych postaci emigracyjnej społeczności, do których ankietę została wysłana, by zrozumieć, że mimo skutków wojny problem żydowski nie przestawał Polaków dzielić.

Ile razy poruszono w „Kulturze” problem antysemityzmu, tyle razy napływały listy z protestami do Redakcji w obronie czci Polaków. Większość emigrantów piszących do „Kultury” kategorycznie odrzucała zarzut o antysemityzmie Polaków jako niczym nie uzasadniony. Uważali go za przejaw antypolskiego spisku, którego głównymi sprawcami byli Żydzi, niewdzięcznicy. Występujące w Polsce objawy antysemityzmu, w tym pogromy kielecki i krakowski, były traktowane jako wybryki motłochu sprowokowanego przez komunistów. Obciążano Żydów odpowiedzialnością za przedwojenną, konfliktową przeszłość i za stalinizm. Winni byli zawsze „oni”, nigdy „my”. Pisali to emigranci, czuli na każdy przejaw antypolonizmu i protestujący, skądinąd najzupełniej słusznie, wobec naruszania zasad równouprawnienia w nowym kraju osiedlenia. Jednym słowem, domagano się dla siebie tego, czego odmawiano w Polsce Żydom. Postawa emigrantów niewiele się różniła od postaw mieszkańców Polski.

Intelektualiści w kraju, a następnie opozycja odrzuciła zniknięcie antysemityzmu jako programu ideologiczno-politycznego, który znajdowałby autentyczne i szerokie poparcie Polaków. Pogląd, że antysemityzm kultuwyje wyłącznie partia, zdobywał coraz więcej zwolenników, stając się wygodnym instrumentem w walce z reżymem. Jedynie w „Kulturze” podnosiły się głosy wskazujące na historyczne uwarunkowania polskiego antysemityzmu, jego ludową trwałość znajdującą również poparcie wśród księży.

O złożoności stosunków polsko-żydowskich i atmosferze, jaka panowała w Polsce tuż po wojnie może świadczyć fakt, iż po opublikowaniu w Polsce dokumentów w trzecią rocznicę zagłady Żydów Krakowa do Żydowskiego Komitetu Historycznego zaczęli się zgłaszać Polacy wymienieni w dokumentach jako dobroczyńcy oraz Żydzi wysłani przez swoich opiekunów z czasów okupacji. Przychodzili „przygnębieni, z wyrzutami, że publikując ich »zbrodnię«, która wyrażała się udzieleniem z narażeniem życia pomocy, wydajemy ich na pastwę sąsiadów”.⁴ Ta obawa przed zemstą „sąsiadów” była spowodowana skutkami wojny, zapewne obawą przed nowym reżymem, ale wpisywała się również w polską tradycję ukształtowaną przez narodową demokrację, określającą Żydów jako intruzów, których należałoby się pozbyć z Polski. Pomoc Żydom była więc traktowana przez narodowców jako forma obywatelskiej nieodpowiedzialności.

W następnych latach uczucie wrogości, a co najmniej obcości wobec Żydów nie zniknęło, a jeśli się nie ujawniało, to tylko dlatego, że istniała cenzura. Gdy PZPR zmieniła kurs polityczny i zapalała „zielone światło”, to natychmiast na powierzchnię wypływała utajona niechęć, ujawniały się uprzedzenia i rzeczywiste lub urojone pretensje. I tak po wojnie izraelsko-arabskiej, kiedy ekipa Gomułki rozpoczęła walkę z „syjonizmem”, fala zorganizowanej, ale i spontanicznej nienawiści przelała się przez kraj.⁵ Jej

⁴ M. Borwicz, *List do Redakcji*, nr 11/1958.

⁵ Sprawozdania z tego okresu można odnaleźć między innymi w następujących artykułach: J. Lederer, *Polska tych tygodni*, nr 6–7/1968; H. Grynberg, *Wygnaniec z Polski*, nr 11/1968; A. Grabowska: *Łódzki marzec*, nr 5/1969.

wpływ na społeczeństwo był głębszy, niżby chciało się to wówczas dostrzec, a dziś o tym pamiętać. I nie chodzi wyłącznie o pokazowe wiece „antysyjonistyczne” ani o tych, którzy ochoczo poparli nową politykę, choć z PZPR nic ich nie łączyło.

Zdecydowana większość Polaków wobec „marcowych” emigrantów zachowywała postawę neutralną: bez złości i szykan, ale bez żalu i oburzenia. Propagandowe tezy PZPR trafiały do przekonania, jeśli nawet antysemickie ekscesy wzbudzały niechęć i niesmak. Maria Hirszowicz w polemice z Kisielewskim zdemaskowała jedno z założeń marcowej propagandy, wedle którego akcja antysyjonistyczna była rozprawą ze stalinowskimi pozostałościami w życiu politycznym. Wśród prześladowanych – jak twierdzi – było wielu partyjnych liberałów, podczas gdy wśród realizatorów nowego kursu PZPR rej wodzili stalinowcy, tyle że o chłopskim rodowodzie. Polemizowała również z inną tezą, po dzień dzisiejszy rozpowszechnioną w społeczeństwie, a utożsamiającą Żydów z komunizmem.

Antysemicka kampania PZPR miała swych zdecydowanych przeciwników, ale ich oburzenie wyrażało się najczęściej w beznadnym współczuciu. Publicznych protestów było mało.

Otworzenie przez Jerzego Giedroycia łamów „Kultury” dla nowej fali emigrantów spotkało się ze zdziwieniem, niekiedy z protestami czytelników. Dla wielu z nich nowi emigranci nie byli synonimem nieszczęśliwych wygnańców, byli przede wszystkim Żydami, a następnie komunistami, a nawet stalinowcami, więc uosobieniem zła wyrządzonego Polsce.

Reakcja na emigrację marcową była zjawiskiem złożonym politycznie i psychologicznie. Niepodległościowa emigracja po raz pierwszy zetknęła się z taką liczbą emigrantów, którzy mieli za sobą przeszłość komunistyczną. Wytykano im poglądy i niedawną przeszłość. Niekiedy trudno było odróżnić argumenty polityczne od uprzedzeń narodowościowych. Nie ułatwiała tego postawa niektórych świeżej daty emigrantów, którzy łatwo i bez skrępowań rozgrzeszali się ze swej partyjnej przeszłości i ostro krytykowali swoich niedawnych towarzyszy oraz system, zapominając, że sami go współtworzyli.

Większość publikacji w „Kulturze” poświęconych nowej fali antysemityzmu rozpiętanego przez PZPR była ograniczona do wspomnień i relacji z wypadków. Artykuły analityczne interpretowały „wydarzenia marcowe” jako efekt funkcjonowania systemu komunistycznego, nierzadko ograniczając się do działalności ekipy Gomułki. Zabrakło w „Kulturze”, jak zabrakło gdzie indziej, artykułów kompleksowych, wpisujących falę marcowego antysemityzmu zarówno w tradycję polskiego nacjonalizmu, jak i w historię polskiej partii komunistycznej, w której inteligencji pochodzenia żydowskiego odegrali znaczącą rolę. Odegrali ją również w tworzeniu PRL. Być może we wspomnieniach i artykułach pisanych „na gorąco” zabrakło odpowiedniego dystansu lub też i chęci zastanowienia się nad powodami społecznego poparcia dla polityki partii w latach 1967–1968. Ówczesni komentatorzy nie umieli czy też nie chcieli dostrzec w kampanii antysemickiej głównego celu PZPR: rozgromienia resztek inteligentkiej niezależności i stłumienia odżywiających tendencji antytotalitytarnych, na przykład ruchu tak zwanych komandosów. Propaganda partyjna potępiająca kosmopolitów, zwalczająca „obcych” zdradzających polskie interesy, wyśmiewająca inteligentów za oderwanie się od ludu posługiwała się narodowo-populistyczną frazeologią, dzięki czemu znajdo-

wała społeczne przyzwolenie. Był to język endecki, dobrze zakorzeniony w społecznej świadomości. Marzec 1968 ponownie podzielił Polaków. Solidarnościowa rewolucja tych podziałów nie zatarła.

Dla Jerzego Giedroycia i jego najbliższego kręgu wymóg tolerancyjności i sprawiedliwości wobec mniejszości narodowych nie oznaczał pobłażania dla zachowań naruszających narodową spójność i państwowe interesy, np. granice. Nie oznaczał również tolerancji wobec osób i grup, które paktowały niegdyś z komunistami, lecz łatwo i gromko oskarżały Polaków o wszystkie możliwe grzechy. Odnaleźć ich było można wszędzie: w Europie Zachodniej i USA, na prawicy i na lewicy, w niektórych grupach diaspory żydowskiej. „Kultura”, która bezapelacyjnie potępiała objawy polskiego nacjonalizmu, równie bezapelacyjnie zwalczała narodowe i religijne uprzedzenia wobec Polaków. Miała do tego moralne prawo, jak mało kto je miał wówczas w Polsce i na emigracji.

Grażyna Pomian

Ankieta „Kultury”

Jednym z głównych zadań polskiej emigracji politycznej winno być wywieranie wpływu na społeczeństwo w Kraju. Już ten взгляд byłby wystarczający, abyśmy dołączyli się do głosów krajowych publicystów walczących z antysemityzmem, otoczonym do niedawna stalino-wskim murem milczenia.

Dochodzą też inne względy: możemy na uchodźstwie otwarcie wskazywać na antysemityzm Kremla i na niebezpieczeństwo wykorzystania antysemityzmu przez pewne klikki polskich komunistów w rozgrywce z prądami liberalnymi, podczas gdy publicyści krajowi mogą sobie tu pozwolić jedynie na nieśmiałe aluzje.

Mieszkając i pracując od wielu lat na Zachodzie, wiemy skądinąd, ile polski antysemityzm przyniósł szkody sprawie polskiej za granicą. Ponowny wzrost antysemityzmu w Polsce mógłby oddalić od nas nawet najbardziej oddanych przyjaciół.

Wszystkie te względy sprawiają, że postanowiliśmy zwrócić się do szeregu przedstawicieli polskiego życia na uchodźstwie, prosząc ich o krótkie wypowiedzi w tej sprawie. Nie narzucając im żadnej sztywnej formy, pragnęlibyśmy uzyskać naświetlenie następujących zagadnień:

- Psychoanaliza polskiego antysemityzmu.
- Dlaczego antysemityzm wydaje się związany z reakcją: czy to typu faszystowskiego, czy stalinowskiego?
- Jakie sfery w Polsce mogłyby najskuteczniej przeciwdziałać wzrostowi antysemityzmu i jakimi środkami?
- Czy istnieje antysemityzm w polskim życiu emigracyjnym i jak się przejawia?
- Jakimi środkami może przyczynić się emigracja do zwalczania antysemityzmu?

Odpowiedzi na tę ankietę będą drukowane w „Kulturze”. Chętnie będziemy widzieli również wypowiedzi naszych Czytelników na ten temat.

[9/1956]

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie wiem, czy wiadomo Panu, że świetne Wasze pismo cieszy się tutaj, w Izraelu, bardzo dużą poczytnością. Żydzi z Polski, ci zwłaszcza, którzy przybyli tutaj już po wojnie albo w czasie wojny – nie zerwali więzów z językiem polskim. I to nie tylko dlatego, że nie wszyscy jeszcze znają biegle trudny język swej ojczyzny – są i tacy, którzy czytając literaturę i prasę hebrajską – nie przestają czytać polskiej. Wśród czasopism zaś emigracyjnych – „Kultura” właśnie cieszy się wyjątkową popularnością dzięki swemu wysokiemu poziomowi, szerokim horyzontom i ciekawej treści. Dlatego też wydaje mi się, że będę wyrazić nie tylko przekonania własnych, ale i szerokich kręgów izraelskich czytelników, jeśli poruszę problem, oświetlony w artykule Mariana Pankowskiego *Chuligani* („Kultura”, nr 6/104, czerwiec 1956).

Z jednego zdania w wymienionym powyżej artykule wynika, że autor był w Polsce w czasie okupacji hitlerowskiej. („Pamiętam jedenastoletniego Miśka, który w dniu imienin dał matce w prezencie pół metra pszenicy, wyhandlowanej za ileś tam setek »Sportów«”). Dlatego wydaje się nie tylko dziwne, ale zgoła nieuczciwe, że pisząc o demoralizujących wpływach czasów okupacji na młodzież i dzieci polskie – pomija zupełnym milczeniem główne źródło tej demoralizacji: sprawę Żydów. Tym dziwniejsze, że z brutalną prawie szczerością autor piętnuje wszystkie narodowe wady polskie, na których podłożu wyrosło owo słynne obecnie w Polsce „chuligaństwo”.

Rozmiary tego „listu”, który – zdaje sobie z tego sprawę – należy jak najbardziej ograniczyć, nie dają mi możliwości ujęcia tej sprawy w jej całej rozciągłości, tak jak ją znam, widziałam i przeżyłam. Autor wymienionego artykułu pominął jednak te sprawy milczeniem nie ze względu na brak miejsca. Więc dlaczego? Bo, jeśli pisze: „Przy dzieciach »ubijało« się interesy, zapijając je wódką, przy dzieciach opowiadało się z uśmiechem o »wykończo-

nych« Niemcach». Rabunek mienia niemieckiego i zabijanie (będące przecież karą i odwetem!) przestało być aktem gwałtu, stając się czynem patriotycznym – to wystarczy w tym jednym, wyżej zacytowanym ustępie, podstawić zamiast słowa Niemiec słowo Żyd – i wszystko będzie się zgadzało co do joty. Bo przy dzieciach załatwiała się sprawy szantażowania Żydów i wyciągania od nich ostatniego grosza, przy dzieciach wydawało się w ręce Niemców ukrywających się Żydów, dzieci wiedziały, że wystarczy podejrzanego osaczyć gdzieś w bramie i spuścić mu spodnie, aby się przekonać, czy jest Żydem i wtedy zażądać okupu albo zawołać pierwszego z brzegu granatowego albo niemieckiego policjanta. Marian Pankowski – jeśli był w Polsce w czasie okupacji hitlerowskiej – nie może nie wiedzieć o tym, że całe bataliony młodzieży polskiej, wcielone do tak zwanego Baudienstu, musiały brać udział w „akcjach”, czyli w mordowaniu całej ludności żydowskiej poszczególnych miasteczek polskich. Był to naturalnie przymus, ale wiadomo także, ile tam było nieprzymuszonej ochoty i gorliwości. I nie wolno zapominać, że wódka, którą tę młodzież pojono przed każdą taką „akcją”, była wówczas nie komunistyczna, ale hitlerowska i całe to młode bractwo piło ją nie mniej ochotnie, niż czyni to dzisiaj.

Obiektywizm jest rzeczą trudną. Przyznajemy, że i nam, Żydom, można w wielu wypadkach uczynić ten zarzut, że nie umiemy być obiektywni. Dlatego zawsze i wszędzie będę się starała i czyniłam to dotąd – czy to w ramach pracy w Żydowskiej Komisji Historycznej, czy w publicystyce – podkreślać każdy moment wielkiej szlachetności i niesłychanej odwagi tych Polaków, którzy bronili i ratowali ściganych, często z narażeniem życia własnego i swych rodzin. Ofiarność tych ludzi uratowała życie setkom Żydów, podłość innych skazała na śmierć tysiące.

Nie wolno publicznie żydowskiemu przemilczeć faktu, że było dużo Żydów wśród szpiclów i agentów gestapo, nie wolno publicznie polskiemu – takiemu zwłaszcza, którego ust nie knebluje „reżym” ani „partia” – pisać o demoralizującym wpływie czasów okupacji – z zupełnym pominięciem sprawy żydowskiej, która była tej demoralizacji zatrutym źródłem.

Długie lata pracy konspiracyjnej pozwoliły mi dokładnie obejrzeć obie strony medalu: jedna z nich, czysta i błyszcząca szczerym złotem, była jak nikły blask słońca, ślizgający się wstydliwie po powierzchni ciemnych, mętnych wód, podczas gdy ta druga stała czarnym i nieprzebytym murem między Żydami a życiem. Dla kogo to bowiem potrzebne były Żydom „aryjskie” papiery, „aryjski wygląd”, cały ten skomplikowany arsenał kłamstw i wykrętów, którymi trzeba było ratować życie? Dla Niemców? Jaki Niemiec

znał się na wyglądzie, na akcencie, na sposobie bycia, na legalnych czy nielegalnych dokumentach? Owszem, byli tacy niemieccy specjaliści w gestapo, ale żeby się w ich ręce dostać, trzeba było najprzód donosu. Najdosadniej określił to mały żydowski dzieciak, który po wojnie składał swoje zeznania, i zapytany, czy mu pomagali Polacy, powiedział: „Byli tacy, co mi pomogli, wiedzieli, że jestem Żydem i nie powiedzieli Niemcom”. To była najlepsza i najbardziej upragniona pomoc.

Dzieci polskie, te, które dni i noce spędzały pod murem getta, tropiąc uciekających, dzieci, które nauczyły się tej jednej, niemieckiej prawdy, że Żyda można i trzeba obedrzeć ze wszystkiego, co posiada, a potem wydać na śmierć – te dzieci wyrosły w młodzież i tworzą dzisiaj trzon osławionej „chuliganerii”. I jeśli mamy przyjąć, że powojenny, komunistyczny reżym nie potrafił wyplenić zła, to należy też stwierdzić, że rządy Polski przedwojennej nie dały rodzicom tych dzieci tych podstaw moralnych, które by były osłoną przed podłością i zbrodnią.

Nowa, wzmożona fala antysemityzmu w Polsce, która przyszła razem z „odwilżą”, jest jeszcze jednym dowodem, że usłużnym wymysłem są wszelkie obiektywne powody tego zjawiska. Za czasów Sławoja-Składkowskiego było gospodarcze „owszem”, teraz mówi się o dominacji Żydów w życiu politycznym, jutro będzie ich zbyt wielu w dziedzinie życia kulturalnego. Być może, że aż do ostatniego Żyda w Polsce znajdzie się wytłumaczenie dla antysemityzmu. I nie o to już chodzi, aby ratować tego ostatniego Żyda. Jeśli jest tu coś do ratowania – to moralność i etyka wielkiego narodu, który jeśli teraz przepadł przy egzaminie, może go zdać wyśmienie w przyszłym pokoleniu. A tej sprawie nie przysłuży się omijanie bolesnych prawd.

Tel-Awiv, 23 lipca 1956 r.

Miriam Hochberg-Mariańska

[9/1956]

Od endeków do stalinistów

Od czasu pogromu w Kielcach z 4 lipca 1946 roku przez blisko dziesięć lat nikt w prasie polskiej nie porusza kwestii antysemickiej. Gdyby nie opowiadania Żydów emigrujących z Polski do Izraela, gdyby nie niespokojne głosy przyjezdnych Polaków, można by było sądzić, że antysemityzm przestał być w Polsce problemem.

Od kwietnia 1956 roku ukazała się jednak w polskich dziennikach i tygodnikach cała seria niezmiernie alarmujących artykułów o przejawach antysemityzmu w Polsce. Cytuje się niewiele faktów, ale są one przerażające.

– Pomnik poległych powstańców warszawskiego getta został ohydnie zbezczeszczony (pogadanka Gustawa Kadena w radio warszawskim z 13 czerwca 1956 roku).

– Groby żydowskie są celowo grabione i profanowane. Oto co pisze o tym Jerzy Broszkiewicz w „Przeglądzie Kulturalnym” z 7 czerwca 1956 roku:

„W Polsce są hieny. Żerują na cmentarzach. Nie na wszystkich jednak cmentarzach żerują z równą swobodą, bo chociaż żydowskich pozostało najmniej, to jednak najchętniej żerują na nich właśnie i wiodą ku końcowi dzieło w takiej chwale rozpoczęte niegdyś przez ludzi z SS, własowców, szaulisów czy eneszetowców. Czasem nawet hieny rozpoczynają rzecz od nowa. Oto na przykład na żydowskim cmentarzu we Wrocławiu znajdują się groby, które uległy dewastacji dopiero po 1945 roku. Są to groby Lassale'a i historyka Graetza...”

Są fakty groźniejsze jeszcze. Antysemityzm przenika do szkół, często popierany przez nauczycieli. Antoni Czałbowski opowiada, w „Trybunie Ludu” z 6.06.1956 r., o tej małej Helence, którą nauczycielka uparcie przezywa „Hindą”. Podczas przerwy jej koleżanki i koledzy – siedmioletnie dzieci – otaczają ją kołem i przedrzeźniają chóralnie: „Hin-da-Ży-dó-wa, Hin-da-Ży-dó-wa”. A oto inny przykład „getta ławkowego”, które odżywa w Polsce w jedenaście lat po rozbiciu bram kacetów, przytoczony przez Broszkiewicza w cytowanym powyżej artykule:

„Jest jedna na całą klasę dziewięcio- i dziesięciolatków. Siedzi sama w swojej ławce – żadna z koleżanek i żaden z kolegów nie chcą z nią sąsiadować. Raz tylko doszło do jawnego okrucieństwa, krzyków, obrzucania grudkami ziemi i kamykami. Uciekła swym prześladowcom. Dopiero w domu wybuchła wielkim płaczem. Nie chciała jednak zdradzić »za co«. Nie naskarżyła też nauczycielom »kto«. Być może – ze strachu. Scena nie powtórzyła się zresztą. Na co dzień pozostała już tylko obcość, złe słowo, szarpnięcie za włosy, kpina. Prześladowcy być może wiedzą, że należy unikać krzyku i bicia – a może po prostu ktoś im tak doradził, ktoś dojrzały, mądry i rozsądny, ktoś... »taktowny«. Wystarczy przecież drobne, małe ciernie. Na pewno wystarczą, jeśli tylko kłują dostatecznie często”.

O udziale nauczycieli w tym prześladowaniu dziecka żydowskiego i zetrwaniu duszy dziecka polskiego pisze Kaden w cytowanej powyżej pogadance:

„W jednej ze szkół warszawskich nauczycielka, przynosząca wstyd swojemu zawodowi, sadza małą dziewczynkę na oddzielnej ławce, wyjaśniając klasie, że uczyniła tak, ponieważ dziewczynka jest Żydówką”.

– W „Po prostu” z 20.05.1956 r. ukazały się wstrząsające *Kartki z pamiętnika* Hanki Szwarzman. Młoda dziewczyna, Żydówka, wraca po wojnie do Polski z Francji, gdzie spędziła całe dzieciństwo. Nie ma „semickiego” wyglądu i dlatego może na każdym kroku, wśród znajomych i kolegów, napotyka antysemitowskie wypowiedzi. Życie jej jest zatrute „pozostałościami kanibalizmu i średniowiecza”.

Przez dziesięć lat „żelazna zasłona” była zasłoną kłamstwa. Komunistyczna propaganda walczyła z rasizmem – w krajach, w które godził sowiecki imperializm. Oburzenie krajowych „liberałów” skupiało się na sprawie murzyńskiej w Ameryce, na segregacji rasowej w Południowej Afryce. O rasizmie rodzimym nie chciano pisać – nie śmiano pisać. Łgarstwo propagandzistów „socjalistycznego kraju” trafiało tu zresztą na podatny grunt. Nawet polscy liberałowie i demokraci, nawet Polacy, którym antysemityzm jest najbardziej obcy i wrogi, skłonni są do przemilczania spraw, które wydają im się zbyt wstydlive. Jak przyznać przed sobą samym, że antysemityzm polski przetrwał okupację hitlerowską, że widok największej masowej zbrodni w historii świata nie spowodował masowego odruchu solidarności Polaków w stosunku do ludności żydowskiej? Polski liberał i chrześcijanin chwytą się jak deski ratunku znanych epizodów ratowania żydowskich przyjaciół czy żydowskich dzieci przez Polaków, którzy czynili to z narażeniem życia. Ale przecież te wyjątkowe epizody (dowodem ich rzadkości jest liczba Żydów, którzy przeżyli wojnę) nie wyrównują biernej odpowiedzialności, która ciąży na narodzie polskim za wyniszczenie trzech milionów ludzi... Nie byłam

w Polsce pod okupacją hitlerowską, ale z opowiadań naocznych świadków, Polaków i Żydów, znam epizody bardziej ohydne od biernego przyglądania się, „jak Hitler likwiduje problem żydowski w Polsce”. Myślę o szantażach, myślę o „przechowywaniu” Żydów, którzy płacili za to miliony, myślę o szklankach wody, które Polacy sprzedawali za złote monety Żydom wywożonym z Holandii w „pociągach śmierci”, myślę o wyczynach „granatowej policji” w getcie, myślę o „akcjach” NSZ... Jednym z ulubionych argumentów polskich antysemitów są opowiadania o tym, jak Żydzi radośnie witali wejście wojska sowieckiego na ziemię wschodnie. „Wymachiwali czerwonymi płachtami, Panie, krzyczeli, Panie, ot draństwo, Panie”. Trudno chyba o bardziej naturalną reakcję. Przecież ta biedna, od lat prześladowana, ale utrzymująca się przy życiu ludność żydowska była skazana na śmierć, gdyby zamiast Czerwonej Armii wkroczyło do ich miasteczka wojsko niemieckie. Trudno się dziwić radości, z jaką witali nie ustrój, nie ludzi, a cud, który miał im uratować życie... Że wywiezieni razem z Polakami do sowieckich łagrów Żydzi ginęli tam razem z Polakami, tak jak razem z Polakami ginęli w Oświęcimiu, to już inna sprawa... Trudno się w każdym razie dziwić, że jeśli antysemityzm polski przetrwał okupację hitlerowską, pod którą już nie chrześcijańska, ale zwykła ludzka reakcja winna go była zlikwidować doszczętnie, to okupacja sowiecka mogła go tylko podjudzić. Tym razem znajdowali Polacy pretekst: znaczny procent Żydów lub osób żydowskiego pochodzenia wśród dygnitarzy partyjnych, w UB. Zastanówmy się jednak. Czy pewna skłonność ludności żydowskiej w kraju w ciągu ostatnich stu lat przynajmniej tradycyjnie antysemitom, do partii, do ustroju, który teoretycznie likwiduje całą kwestię antysemitowską, nie jest zrozumiała? Tłumaczono skłonność Żydów do komunizmu ich logicznym, filozoficznym temperamentem, połączonym z głodem doktryny uniwersalnej. Interpretacja ta nie jest może pozbawiona słuszności: podobne względy kierują innych Żydów ku katolicyzmowi. W każdym razie wydaje się absurdem oskarżanie o „kolaborację” tych właśnie obywateli polskich, których „kolaboracja” z komunizmem wytłumaczalna jest względami samozachowawczymi: mniej by Żydów pociągał komunizm, gdyby była ich nie odtrącała Polska przez tyle lat. A zresztą kto najgłośniej operuje tymi zarzutami? Ideowi koledzy tych ludzi, którzy z oenerowców czy falangistów stali się nie tyle „kolaborantami”, ile agentami komunistycznego reżymu. Dość mamy przykładów obrzydliwego pochlebstwa wobec komunistów ze strony polskich „narodowców” i rodzimych antysemitów, żebyśmy mogli uznać ten argument.

Z artykułów ogłoszonych ostatnio w prasie polskiej na temat antysemityzmu wynika sprawa bardziej sensacyjna. Wiele z nich zawiera aluzje, które – trudno na pozór zrozumiałe – nabierają, kiedy się je zestawia, dość groźnej wymowy. Nie ma bowiem artykułu, w którym by nie wspomniano o skłonnościach antysemickich w ramach partii komunistycznej. Aluzje są dyskretne, autorzy robią je mimochodem, ale powtarzają się one tak często, że trudno nie przywiązać do nich wagi, trudno nie podejrzewać, że wymowa ich przekracza dozwolone ramy.

Jerzy Broszkiewicz pisze w „Przeglądzie Kulturalnym” z dnia 7 czerwca:

„Nie mogę zaręczyć, że cień antysemityzmu nie przekroczył progu żadnego z komitetów partyjnych”.

I dalej:

„Fakt przenikania do szeregu partii każdej myśli, każdej tendencji sprzecznej z założeniami podstawowymi ruchu robotniczego, wrogiej zasadom i prawom komunistycznej moralności... może stać się jedynym naprawdę groźnym niebezpieczeństwem. ...Zdarzają się wypadki, kiedy partyjni ulegają presji obcych i wrogich tendencji, kiedy... pod hasłami narodowej jedności dokonuje się... przemytu tendencji obskurantkich, nacjonalistycznych, średniowiecznych...”

Albo ten ustęp, z polemiki po artykule Hanki Szwarcman w „Po prostu”:

„Mamy w Polsce do czynienia z potrójnym nacjonalizmem ukształtowanym historycznie – uczucia antyniemieckie, antyrosyjskie i antyżydowskie. Dwa pierwsze objawy tego nacjonalizmu uwzględnione są w propagandzie, w wychowaniu dzieci, młodzieży... Natomiast o Żydach... tu obowiązuje przemilczenie” [podkr. Redakcja „Kultury”].

Ignacy Krasicki nie waha się w „Dzienniku Polskim” (24.05.1956) wskazać na przyczyny tego „przemilczenia”, pisząc, że „tragiczne zbrodnie”, które wynikały z „kultu osobowości” (trudno dziś o bardziej czytelny eufemizm) rzucają ponury cień na kwestię antysemityzmu i że jednym z zasadniczych elementów „beriowszczyzny” (inna odmiana eufemizmu) był obrzydliwy akompaniament antysemicki tylu procesów...

Podobnie Arnold Słucki w „Przeglądzie Kulturalnym” z 12 kwietnia:

„Czy sprawa lekarzy nie mogła stać się swoistym preludium do tego rodzaju swoistych mistyfikacji o daleko szerszych społecznych konsekwencjach? Nie należy tych spraw przemilczać. Antysemityzm – powiedział Bebel – to socjalizm dla głupich. Należy zastanowić się, czy pod skrzydłami beriowszczyzny nie wypróbowywano odmiany komunizmu dla durniów”.

A Stanisław Jerzy Lec formułuje tę samą myśl jeszcze bardziej bezpośrednio („Przegląd Kulturalny”, 10.05.1956):

„August Bebel powiedział: Antysemityzm to socjalizm głupców. Czy będziemy jeszcze musieli mówić: Antysemityzm to komunizm głupców?”

Edmund Osmańczyk („Świat”, 20.05.1956) daje wyraźnie do zrozumienia, że istnieje grupa antysemicka wśród komunistów:

„Nie jest postępowym ten, kto szanuje ZSRR i naszą partię, ale toleruje wokół siebie i w sobie jakieś uprzedzenia rasistowskie, konkretnie – w naszych warunkach – antysemickie”.

Przed próbą bliższej analizy tych aluzji przejdźmy do innych informacji o antysemityzmie w łonie partii komunistycznej, które nie mogą się oczywiście ukazać w prasie polskiej. Według Seweryna Bialera, byłego urzędnika Komitetu Centralnego polskiej partii komunistycznej, który sam jest pochodzenia żydowskiego i uciekł niedawno z Polski, pierwsze czystki antysemickie miały miejsce w partii na przełomie 1953 i 1954 roku. Następujące osobistości pochodzenia żydowskiego zostały wówczas zwolnione z zajmowanych stanowisk: Ostap Dłuski, dyrektor sekcji zagranicznej KC, Artur Starewicz, dyrektor sekcji propagandy KC, Teodora Feder, jego zastępca, Stefan Staszewski, dyrektor departamentu prasowego KC, Leon Kasman, redaktor „Trybuny Ludu” – i wiele innych. Silne tendencje antysemickie przypisuje się partii i armii Rokossowskiego. Faktem jest, że mniej więcej w tym samym czasie kilka tysięcy oficerów pochodzenia żydowskiego zostało przeniesionych w stan spoczynku, bez żadnego wytłumaczenia oficjalnego. Kazimierz Witaszewski, „prawa ręka” Rokossowskiego, który był jego podsekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej i dyrektorem wychowania politycznego wojska, uchodzi za gwałtownego antysemitę. Został on niedawno mianowany generałem i stoi obecnie na czele UB. Opowiadają na jego temat następujące zdarzenie. Na zebraniu w warszawskiej akademii Dzierżyńskiego (akademia wojskowa wychowania politycznego) Witaszewski krytykował Hilarego Minca i jego politykę gospodarczą, robiąc kilka razy aluzję do jego pochodzenia żydowskiego. Podczas dyskusji jeden z oficerów zaprotestował, mówiąc, że można atakować politykę gospodarczą Minca, ale że nie widzi, co ma do tego jego żydowskie pochodzenie. Witaszewski zażądał od śmiałka danych personalnych, myśląc, że wchodzi tu w grę „żydowska solidarność”. Okazało się, że oficer ten nie jest Żydem, a postawa jego zyskała poklask sali.

Rokossowski i Witaszewski uchodzą za przeciwników „nowego kursu” w Polsce, za „twardych” (jak ich nazywa prasa francuska), podobnie jak Ochab i Wiktor Kłosiewicz, zarządca syndykatów, nowy członek Biura Politycznego, którzy również mają opinię antysemitów. O Ochabie opowiadają,

że na wiecu partyjnym w Łodzi ktoś z publiczności przekazał mu kartkę z zapytaniem (zwyczaj ustalony po XX Kongresie): „Dlaczego najlepsze stanowiska w partii, rządzie i administracji zajęte są przez Żydów?” Ochab rzekomo surowo zgromił anonimowego interpelanta za antysemityzm, mówiąc, że jest on sprzeczny z ideologią komunistyczną, ale dodał charakterystycznie, że „rząd dokona rewizji obsadzenia szeregu stanowisk”.

Ochab jest szczególnie niepopularny w kołach partyjnej inteligencji – zwłaszcza wśród pisarzy i artystów. Nie ukrywał on nigdy swego niepokoju i niezadowolenia z obrotu, jaki przybrała „odwilż” w Polsce. Otóż wśród pisarzy i dziennikarzy, którzy pierwsi i najodważniej zaczęli walczyć o większą wolność, nie brak Żydów. Umysły prymitywne – czy wywodzą się z faszyzmu, czy ze stalinizmu – zawsze podejrzewały Żydów o mroczne tendencje liberalne. Nie gdzie indziej jak w „Życiu Warszawy” z 31 maja czytamy to rewelacyjne zdanie, przedstawione jako opinia pewnego odłamu polskich antysemitów: „Żydów charakteryzują ciągoty do burżuazyjnego liberalizmu”. Jakież to antysemita może się dziś w ten sposób wyrażać, jeśli nie antysemita stalinowski? Jak widać hasło „żydokomuna” zastępuje się hasłem „żydoliberalizm”.

Reasumując: liczne świadectwa, które dochodzą do nas z Polski, pozwalają zrekonstruować następujący obraz sytuacji. Grupa „stalinowska” w łonie polskiej partii komunistycznej, przeciwna reformom i jakiegokolwiek zmianie obecnego stanu rzeczy, jest w znacznej mierze antysemicka. Antysemityzm jest platformą, na której jakikolwiek rząd polski może uzyskać poklask najbardziej zacofanej części społeczeństwa. Porzucając, z polecenia Kremla, dotychczasową politykę terroru i będąc w ten sposób zmuszonym szukać nieco szerszego oparcia w ludności, reżym poświęca bez wahania wielu ludzi, którzy mu byli oddani: Żyd jest zawsze i wszędzie idealnym kołem ofiarnym. Ponieważ autentyczne tendencje liberalne są reprezentowane wewnątrz partii przez sfery intelektualne, wśród których nie brak ludzi żydowskiego pochodzenia, stalinowcy przygotowują sobie może w ten sposób grunt do rozgrywki z „liberalną” opozycją.

Rozumowanie to jest tym bardziej prawdopodobne, że antysemityzm polskich stalinowców odzwierciedla antysemityzm ich moskiewskich mocodawców. Ochab uchodzi za człowieka posiadającego zaufanie Chruszczowa. Otóż przypisuje się ogólnie na Zachodzie Chruszczowowi tendencje antysemickie. Zachodnia opinia była poruszona faktem, że raport Chruszczowa nie zawierał potępienia zbrodni dokonanych w epoce stalinowskiej przeciw Żydom. Sam komunistyczny organ amerykański „Daily Worker” zawierał w numerze z 6 czerwca 1956 roku następujące zdanie:

„Wyrażamy również nasz niepokój w związku z faktem, że wśród długiej listy zbrodni wspomnianych w przemówieniu brakuje tych, które popełniono przeciw kulturze żydowskiej i przeciw żydowskim twórcom kulturalnym”.

Wiadomo także, że pewne koła zachodnie – zwłaszcza wśród socjalistów – kilkakrotnie interweniowały w tej sprawie w rozmowach z sowieckimi przywódcami i że Chruszczow zbył te interwencje twierdzeniem, że antysemityzm w ZSRR nie istnieje. Szwajcarska „Neue Züricher Zeitung” z 16 czerwca przytacza taką rozmowę między czołowym socjalistą brytyjskim Hugh Gaitskellem i Chruszczowem podczas wizyty B. i K. w Londynie, oraz dyskusję między Chruszczowem i delegatami francuskiej SFIO w Moskwie. Zapytany o los Żydów w ZSRR Chruszczow miał stwierdzić, że żydowscy intelektualiści odegrali ważną rolę podczas rewolucji i że otrzymali dlatego ważne stanowiska w partii i w administracji. Było to potrzebne wówczas z powodu braku rosyjskich sił intelektualnych. Ale warunki się zmieniły od tego czasu. Bolszewizm uformował swych własnych administratorów i inteligentów i nie potrzebuje już polegać na intelektualistach żydowskich. Chruszczow oświadczył wreszcie, że same żydowskie organizacje kulturalne nie przywiązują żadnej wagi do swej własnej kultury i że życzą sobie jak najszybszej „rusyfikacji” dwóch milionów Żydów zamieszkujących ZSRR. Już te oświadczenia zawierają sporą dawkę antysemityzmu, chociażby podświadomego. Teza głównej roli zagranic przez Żydów podczas rewolucji październikowej jest ostatecznie tezą „czarnej sotni”. Ale Chruszczow wyraża się w sposób o wiele bardziej bezpośredni w „demokracjach ludowych” niż w rozmowach z zachodnimi demokratami. Podczas posiedzenia Komitetu Centralnego polskiej partii komunistycznej po śmierci Bieruta Chruszczow rozmawiał łaskawie w kuluarach z delegatami, klepiąc ich po ramieniu. Oto kilka jego wystąpień w sprawie żydowskiej: „Macie tu za dużo Abramowiczów” (przeglądając listę delegatów). Albo, w charakterze przyjacielskiej rady „starszego braciszka”: „Jeśli macie do wyboru między Kowalskim i Rosenblumem i jeśli Kowalski nie jest pełnym kretyńcem i draniem, a Rosenblum geniuszem, wybierajcie zawsze Kowalskiego”...

Antysemityzm sowiecki jest zresztą znany w Polsce. W czerwcu 1956 roku zorganizowano zbiorową wycieczkę PGR-ów do ZSRR. W ostatniej chwili skreślono z listy delegatów wszystkich Żydów, nawet dygnitarzy.

Wykorzystywanie antysemityzmu przez komunistów nie jest w Polsce nowością. Wiadomo dziś, że pogrom w Kielcach w roku 1946 został sprovokowany przez lokalnych urzędników – rosyjskich wówczas – UB.

W świetle tych danych polskie artykuły, które cytowaliśmy, z zawartymi w nich aluzjami do skłonności antysemitycznych w polskiej partii komunistycznej, nabierają specjalnego wyrazu.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat tradycyjny, głęboki antysemityzm polski nie stracił w niczym na natężeniu. Ale – jak mówi jeden z polskich dziennikarzy – *obowiązywało milczenie*. Dopiero na skutek „odwilży” – i to już dobrze zaawansowanej – od kwietnia 1956 roku zaczęto znów w Polsce mówić o antysemityzmie. Ciekawy zbieg okoliczności – organy prasowe i dziennikarze, którzy pierwsi zabrali głos na ten temat, to ci sami, którzy pierwsi odważyli się walczyć na łamach polskiej prasy o szeroko pojętą liberalizację.

Muszą oni zdawać sobie sprawę, że ta liberalizacja jest zagrożona przez stalinistów, przez „kacyków”, zarówno przez wszystkich administratorów na uprzywilejowanych stanowiskach, jak przez odwieczną polską kołtunię. Czują oni, że właśnie na tym odcinku – żydowskim – może powstać alians pomiędzy stalinistami i kołtunią. I dlatego korzystają z obecnej atmosfery, aby ostrzec nas przed tą podwójną groźbą. Na skutek tragicznej ironii losu antysemityzm, który tyle złego wyrządził i Polsce, i Polakom, staje się znów aktualnym niebezpieczeństwem i może być wykorzystany przez dzisiejszych oprawców Polski, tak jak był wykorzystany przez wczorajszych.

Konstanty A. Jeleński

[9/1956]

Problem antysemityzmu*

Ankieta „Kultury”

Wyniki ankiety „Kultury” o polskim antysemityzmie są skromne. Prawie żadnej odpowiedzi od osób, które prosiliśmy o wypowiedzenie się w tej sprawie. Przyczyny tego milczenia mogą być oczywiście różnorodne: niechęć do „Kultury”, brak czasu, niechęć do zbyt może rozpowszechnionych dziś ankiet... Jest to jednak pierwszy wypadek, aby tego rodzaju inicjatywa podjęta przez „Kulturę” spotkała się z tak negatywną reakcją. Trudno nie wyciągnąć stąd wniosku, że temat jest żenujący. Potwierdzają to w pewnej mierze listy, które otrzymaliśmy, przeważnie od czytelników, którzy napisali do nas samorzutnie. Na dwadzieścia cztery listy od czytelników na emigracji cztery listy przyznają, że antysemityzm polski jest zjawiskiem groźnym, niemal patologicznym. Są w nich nuty szydercze, są nuty bolesne. Nie jest łatwo Polakowi, chętnie idealizującemu swój naród, zdobyć się w stosunku do niego na tak ostrą krytykę. Czternastu czytelników emigracyjnych stawia sprawę (w różnych wariantach) dość charakterystycznie: polski antysemityzm nie istnieje – twierdzą oni. Niestety, ci sami czytelnicy są skłonni w stosunkach polsko-żydowskich przypisywać wszystkie niemal winy Żydom, co w praktyce pokrywa się z antysemityzmem. Jeden tylko list potępia wyraźnie polski antysemityzm, traktując go jako zjawisko fragmentaryczne, z którego nie wolno wyciągać wniosków dotyczących całego narodu.

Brak odpowiedzi od osób zapytanych, mniejszość ostro krytykująca własny naród, negacja istnienia antysemityzmu przez większość: czyżby miał rację Rafał Malczewski, twierdząc, że polski antysemityzm jest zbiorową psychozą? Nie inaczej przejawiają się odruchy chorych w stosunku do psychozy

* Artykuł jest przedrukowany z niewielkimi skrótami. Usunięto powtarzające się wypowiedzi oraz akapity „Antysemityzm na emigracji” i „Głosy żydowskie”.

indywidualnej: ucieczka od problemu, zapamiętała negacja samego faktu psychozy, samookrucieństwo z chwilą jej rozpoznania.

Szczególnie ciekawe są cztery odpowiedzi, które otrzymaliśmy od czytelników z Polski, gdyż pozwalają na bezpośredni rzut oka na ten problem w opinii krajowej.

Zaznaczmy dalej, że w czterech listach otrzymanych od czytelników Żydów (z których trzech piszą, że nie uważają się już za Polaków), przeważa życzliwość do narodu polskiego i sceptycyzm co do celowości ankiety.

Zanim przejdziemy do omówienia ankiety, zaznaczmy, że artykuł K. A. Jeleńskiego i list Miriam Hochberg-Mariańskiej, które niezależnie od siebie zbiegły się w naszym wrześniowym numerze, poczytane zostały przez niektórych czytelników niemal za „prowokację”:

„W ankiecie uderza nieprzyjemny, mentorski ton w stosunku do kraju” (list A. z Polski). „...dwa wystąpienia, które uważam za nieobliczalne i pełne nieprawdy, a tym samym wymagające natychmiastowego zaprzeczenia. Odnosi się to do artykułu p. K. A. Jeleńskiego i listu p. M. Hochberg-Mariańskiej. Obydwie osoby, jakby przecuciem tej ankiety tknięte, zrobiły wiele, aby konieczną w przygotowywaniu odpowiedzi atmosferę spokoju, powagi, bezstronnej analizy i obiektywnego podejścia zamieszać, zagotować i sprowadzić do riposty na niewyszukane inwektywy i podrażniające, uogólnione ponad wszelką miarę, napaści na masę narodu polskiego”.

„...P. Jeleński podkreśla antysemityzm partii komunistycznej w Rosji i w Polsce z ubolewaniem godnym zawiedzionego sympatyka...” (Stefan C. Mączyński, South Bend, Indiana, USA).

„Dla jakiego celu równocześnie z ogłoszeniem ankiety na stronie dwunastej, zamieszczono na stronie trzynastej i następnych taki niesłychanie »polakożerczy« artykuł p. Jeleńskiego. Mówiąc szczerze, zrobiło to na mnie takie wrażenie, jakby Redakcja »Kultury« chciała świadomie i celowo zrobić uczestnikom ankiety podobny zabieg, jaki komuniści stosują w swych szkołach i kaźniach śledczych, a który przyjęło się określać terminem: »mycie mózgu«. Bo wydaje mi się, że kto przeczyta ankietę i zaraz następujący po niej artykuł p. Jeleńskiego, tego mózg zostanie już tak »przemity«, iż jego sposób myślenia i »krótkie wypowiedzi« pójdą już w kierunku narzuconym przez artykuł p. Jeleńskiego.

Takiego artykułu »polakożerczego«, opartego tylko na »prawdach« reżymowych, nie należało zamieszczać nie tylko zaraz po ankiecie, ale w ogóle w tym numerze »Kultury«. Przecież ten artykuł jest odpowiedzią na ankietę, a niczym innym, więc przez to sugeruje, że taki mniej więcej duch winien panować także w innych odpowiedziach” (Dr W. Piotrowski, Chicago, USA).

„W epoce przeżywającej jeszcze wspomnienia hitlerowskich komór gazowych i likwidacji gett; w czasach gdy nie ma dnia, by w Izraelu Żydzi nie ginęli od kul, bomb czy noży arabskich – rozpisywanie ankiety, specyficznie »Antysemityzm polski« zatytułowanej, uważam za ponurą anegdotę. Komu ona dzisiaj potrzebna??? Czy Niemcom, by wykazać, że nie oni, ale właśnie my jesteśmy niepoprawnymi antysemitami? Czy bolszewikom, by

odwrócić uwagę od sowieckiego antysemityzmu? Czy Arabom, by wykazać, że nie tylko oni Żydów biją? Czy wreszcie naszym rodzimym »filosemitom«, wzdychającym za czasami, gdy pociągnięcie za pejsy Żyda w Grójcu opisywane było nazajutrz przez międzynarodową prasę jako »polski pogrom«? Takie właśnie wrażenie sprawia artykuł K. A. Jeleńskiego, nachalnie »Od endeków do stalinistów« zatytułowany. Sama Redakcja »Kultury« wie, ile polski antysemityzm przyniósł szkody sprawie polskiej za granicą. Czy rozdmuchując go sztucznie na nowo – ma zamiar szkodę tę naprawić??” (Aleksander Grobicki).

„Czytając artykuł o antysemityzmie w »Kulturze« nie mogę wyjść z podziwu. Zwyczajnie zakurtnowej samokrytyki, ruchliwe jak żywe srebro w paryskiej »Kulturze«” (Czesław Karczastan, Douai, Francja).

[...]

„Sugestie Jeleńskiego są w tej sprawie nie tylko niesprawiedliwe, nieobiektywne i tendencyjne, ale bardzo szkodliwe dla interesu polskiego, ponieważ podchwyczone na Zachodzie, przez koła sprawie polskiej nieżyczliwe, mogą posłużyć do zupełnie nieobliczalnych wniosków w stosunku do Polski i wyrządzić sprawie polskiej większe szkody aniżeli antysemityzm owej »kołtunerii«, której rolę autor artykułu w »Kulturze« tak zresztą nadmiernie wyolbrzymił” (Jan Pogorzelski, Detroit, USA).

Oceny krajowe

Listy z Kraju są o tyle ciekawe, że pochodzą od antykomunistów, operujących w listach do „Kultury” argumentami, których nie mogliby nawet obecnie użyć w prasie krajowej.

Przytaczamy jeden z tych czterech listów w całości, gdyż zawiera on w najobszerniejszej formie argumentację, powtarzającą się również w pozostałych listach z Kraju:

„...Prawdą wydaje się fakt odzicia uczuć antysemitycznych w pewnych odłamach społeczeństwa polskiego, a zwłaszcza tej jego części, która nie lubiąc nadużywać mózgu, kieruje się w swym postępowaniu różnego rodzaju emocjami. Chcę przeprowadzić pewną analizę wypadków, jakie miały miejsce tak w okresie drugiej wojny światowej, jak i po jej zakończeniu i moim zdaniem wpłynęły na wydobywanie się znowu na powierzchnię tej przysłowiowo polskiej cechy.

Rok zakończenia drugiej wojny światowej zastał Polskę prawie bez Żydów, zatem i bez antysemityzmu. Okrucieństwa Hitlera cofnęły to uczucie głęboko w podświadomość. Zbyt wiele grozy przeżyli Polacy w latach okupacji, zarówno jako naród, jak i oglądając masakrę drugiego narodu żyjącego w Polsce, to jest Żydów.

List do redakcji »Kultury« p. Hochberg-Mariańskiej, umieszczony we wrześniowym numerze, zawiera wiele, moim zdaniem, trafnych uwag w odniesieniu do szerzącego się ostatnio w Polsce tak zwanego chuligaństwa, ale w związku z tym zbyt może jednostronnie oświetla kwestię wydawania czy szantażowania Żydów przez Polaków w okresie okupacji. Jednak p. Hochberg dziwić się nie należy, albowiem człowiek skazany na śmierć tylko dlatego, że należy do narodu, który pewien niepoczytalny osobnik uznał za niegodny

do zajmowania miejsca na ziemi, ma prawo spoglądać na świat i ludzi przez pryzmat tej zbrodni.

Mnie się wydaje, że wypadki tak wydawania Żydów w ręce Niemców, jak i szantażowania ich przez różnego rodzaju hieny nie są wyłącznie przejawem polskiego antysemityzmu. Tu również uważam za jednostronne naświetlenie tej sprawy przez p. Jeleńskiego w artykule *Od endeków do stalinistów*, umieszczonym we wrześniowym numerze „Kultury”. Nasz antysemityzm nie posunął się nigdy do masowych zbrodni. Proszę sobie nie wyobrażać, że mam zamiar w jakikolwiek sposób usprawiedliwiać istnienie tego zjawiska, chodzi mi tylko o stwierdzenie, że środki, którymi Polacy dawali ujście temu uczuciu, były bez porównania mniej drastyczne niż środki stosowane przez Niemców czy Rosjan. Ciemne interesy pewnego odłamu społeczeństwa polskiego, praktykowane na Żydach w okresie okupacji, powodowane były chęcią zysku pewnych typów, których nie brak w żadnym narodzie. Zdobycie pieniędzy w jakikolwiek sposób, nagromadzenie majątku bez względu na środki prowadzące do tego celu to była myśl przewodnia ludzi, uprawiających proceder ukrywania za wysokim wynagrodzeniem ludności pochodzenia żydowskiego, to również było powodem uprawiania wszelkiego rodzaju szantażu. Przypuszczam, że typy te, niegodne miana człowieka, postępowałyby tak z każdym, bez względu na jego pochodzenie, gdyby zaistniały po temu sprzyjające okoliczności.

Nie neguję oczywiście faktu, że pewne jednostki nie odczuwały klęski żydowskiej jako zbrodni nie mającej sobie równej w dziejach ludzkości, ale mam pełne prawo przypuszczać, że były to przypadki wyjątkowe. Do jakiego stopnia pewne koła, znane ze swych uczuć antysemickich, musiały liczyć się z faktem, że ich antysemityzm spotka się ze zdecydowanym potępieniem, niech posłuży przykład, że nawet znany twórca Falangi Bolesław Piasecki, stojący w czasie okupacji na czele organizacji Konfederacja Narodu, w swym piśmie »ideologicznym« – »Nowa Polska« – raczej starannie omijał sprawy dotyczące Żydów, a w żadnym wypadku nie głosił jawnego antysemityzmu, tak jak to miało miejsce przed wojną.

W mnogości różnych spraw, krzyżujących się ze sobą w Polsce w latach okupacji, były podłoże różnego typu, a więc i podłoże popełnianie na Żydach. Większość jednak narodu opowiedziała się stanowczo przeciwko tym praktykom. Być może, że zbyt mało ludności pochodzenia żydowskiego ocalało z pogromu dzięki pomocy ludności pochodzenia polskiego, być może, że naród polski stać było na więcej, ale trudno jest znaleźć należyte kryterium oceny tych wypadków, jeżeli i Polacy, choć w dalszej kolejności, również stali nad grobem.

Nie wiem, jakie byłyby dalsze koleje polskiego antysemityzmu, być może, że zginąłby on wreszcie razem z milionami ofiar hitlerowskich, niestety na arenie ukazał się potężny antysemita – Związek Sowiecki. Wydaje mi się, że Stalin był genialnie perfidny, chyba że ta perfidia, a raczej jej skutki, były całkowicie niezamierzone.

Z chwilą zajęcia Polski Sowieci rozpoczęli przysyłać masowo ze swego i nie ze swego terytorium Żydów, nie tylko tych, którzy dawniej mieszkali w Polsce, ale i takich, którzy Polskę widzieli po raz pierwszy, obsadzając nimi większość eksponowanych stanowisk. Gdyby wśród tych Żydów znalazło się choć kilku naprawdę wybitnych, może byłiby oni w stanie zdać sobie sprawę ze skutków takiego postępowania i przerwałoby błędne koło. Niestety, większością z nich kierowała chęć wyciągnięcia jak największych korzyści z przyznanych im stanowisk, do objęcia których nie mieli w większości fachowego przygotowania. Skutkiem tego stanu rzeczy jest powrót uczuć antysemickich do świadomości wielu ludzi.

Prowokacja w Kielcach, napływ ludności pochodzenia żydowskiego na wysokie stanowiska przy jednoczesnym utrudnianiu obejmowania ich przez Polaków, łącznie z gloszoną oficjalnie walką z antysemityzmem, posuwającą się aż do takich drobnostek, jak zakaz mówienia i pisania dowcipów na tematy żydowskie, wreszcie zezwolenie na ufundowanie pomnika Bohaterów Getta, z jednoczesnym opluwaniem całosci walk wyzwoleniczych Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, w przeciętnych umysłach większości obywateli wywołał następujący efekt: »A więc prawdą był przedwojenny slogan – precz z żydokomuną!« Czyż nie jest perfidią fakt, że w ten sposób prawdziwy sprawca terroru, sowiecki imperializm, usuwał się w cień? Jeżeli był to cel zamierzony, to Stalin go osiągnął.

Kryteriami, jakimi kierowano się przy przyjmowaniu kogoś na wysokie, dobrze płatne stanowisko czy synekurę, były bardzo często względy »rasowe«. Niestety, tylko Żydzi mogli sięgać po takie posady i jest oczywiste, że jeden z nich, wywindowawszy się wysoko, ciągnął za sobą sznureczek znajomych i krewnych. Gdyby to byli ludzie odpowiadający wymaganym ogólnie kwalifikacjom albo gdyby ich walory umysłowe przewyższały walory kandydatów pochodzenia polskiego, kwestia ta nie nadawałaby się w ogóle do roztrząsania. Oczywiście śmiesznym jest przypuszczać istnienie jakiejś »ery idealnej«, kiedy tylko ludzie o odpowiednich kwalifikacjach zajmować będą stanowiska tych kwalifikacji wymagające, ale jeżeli aparat państwowy ma w każdej dziedzinie funkcjonować sprawnie, niech choć część stanowisk obsadzona będzie zgodnie z wymaganiami. Ponieważ wymagania systemu na wzór sowiecki są inne, więc od osób mających im sprostać żądano jedynie czystości politycznej i całkowitego podporządkowania się »genialnym« rozkazom Kremla. Jasne jest więc, jak nędzne często umysłowo i etycznie typy po te stanowiska sięgały.

Z relacji różnych osób wynika, że większość ludzi, którzy różnymi drogami obsiedli wygodne stołki, nie nadaje się do sprawowania powierzonych im funkcji. Wśród tych ludzi większość to Żydzi.

W tej chwili sytuacja jest bardzo trudna, a szermowanie hasłami antysemityzmu to nie tylko narzędzie walki obecnie pokonanej grupy natolińskiej, ale również narzędzie obrony Żydów. Wydaje się, że natolińczycy przegrali bitwę o Polskę również z powodu gloszonych przez siebie hasel antysemityzmu, albowiem Żydzi z KC *nolens volens* sprzymierzyli się z Gomułką. Gomułka jeżeli rzeczywiście będzie chciał uporządkować aparat gospodarczy, będzie musiał przeprowadzić drastyczne zmiany na wielu stanowiskach w wielu gałęziach gospodarki. I oto, co się będzie działo: Żydzi uderzą, a nawet już uderzyli na alarm o istniejącym w Polsce antysemityzmie, który każe usuwać osobników pochodzenia żydowskiego z kluczowych stanowisk. Tak więc kwestia antysemityzmu to nie tylko broń stalinistów przy udziale kulturerii, jak to określił p. Jeleński, ale również zasłona dymna stosowana przez tych Żydów, którzy absolutnie nie mają zamiaru zrezygnować z osiągniętych przywilejów. Jest oczywiste, że człowiek dobrowolnie nie wyrzeka się zdobytych w taki czy inny sposób dobrodziejstw i zależnie od stopnia inteligencji i rodzaju posiadanych hamulców moralnych będzie tych dobrodziejstw bronił. Wydaje się, że większość dygnitarzy żydowskiego pochodzenia nie zawaha się przed żadnym rodzajem obrony. Jest bardzo smutne, że ci właśnie Żydzi, którzy mają dostęp do wszelakich dóbr doczesnych w Polsce, w większości niedostępnych dla przeciętnych obywateli, występować będą z wielkim hałasem przeciwko antysemityzmowi w Polsce, aby upiec swoją pieczęć na ogniu świętego oburzenia opinii publicznej polskiej czy też światowej. Istniejący bowiem obecnie antysemityzm, poza nielicznymi wybrykami, skierowany jest właśnie przeciw tym Żydom. Inne odłamy ludności pochodzenia żydowskiego, nie należące do »elity«, a ko-

rzystające z tak znikomo przydzielanych dóbr, z jakich korzysta każdy obywatel, nie spotykają się z żadnym przejawem wrogości ze strony ludności pochodzenia polskiego.

Nie mam zamiaru uważać zjawiska antysemityzmu za zrozumiałe w tej sytuacji ani też usprawiedliwiać go. Należy jednak wziąć pod uwagę fakt, że antysemityzm był, moim zdaniem, celowo wydobyty na wierzch i ugruntowany przez naszych władców z Kremla, jak również jest umiejętnie wykorzystywany do własnych celów przez różnego rodzaju typy, które stanowią widomy obraz ucisku sowieckiego w Polsce” (List B z Kraju).

W powyższym liście, jak i w innych, jest widoczne zupełne pomieszanie pojęć. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że Polacy żądają, po rewolucji październikowej, usunięcia z kierowniczych stanowisk ludzi skompromitowanych współpracą ze stalinistami, a zwłaszcza takich, którzy odczuwają nostalgię do metod stalinizmu. Kwestia, czy są to Żydzi, czy nie, powinna być całkowicie nieistotna. Wobec tych listów, napisanych przez inteligentów, uważających się za demokratów i liberałów, całkowicie zrozumiałe staje się zabieg grupy natolińskiej, która właśnie dążyła do utrwalenia metod stalinizmu w Polsce poprzez czystkę o charakterze nie politycznym, a rasistowskim. Żydzi w KC dopomogli do zwycięstwa Gomułki – pisze B. Czy wyłącznie przeciw „natolińczykom”? Dla pilnego obserwatora polskiej prasy i literatury wydaje się nie ulegać wątpliwości, że udział Polaków pochodzenia żydowskiego w całym procesie odwilży wielokrotnie przewyższał stosunek procentowy. Szkoda, że wypominając Żydom wysługiwanie się stalinistom, Polacy zapominają, że inni Żydzi stanęli w pierwszym rządzie tych, którzy z narażeniem własnego bezpieczeństwa zaczęli wysuwać w Polsce hasła wolności indywidualnej i niepodległości narodowej.

Antysemityzm jest jeszcze bardziej widoczny w innych listach z Kraju. Oto na przykład typowy dla antysemityzmu argument oparty na anonimowej anegdocie:

„Antysemityzm? A może – antypolskość? Znana i powtarzana była wypowiedź, dość cyniczna, jednego z Żydów w Łodzi: »Dużo nas zginęło, to prawda, ale tych, co zostali wystarczy, aby wami rządzić«”.

[...]

List D zawiera informacje groźniejsze jeszcze od tych, które cytował Jeleński za prasą krajową:

„W Polsce mówi się o uczuciu paniki wśród części ludności żydowskiej i o fali ponownej emigracji do państwa Izrael. Do odziedziczonych po caracie trików należy organizowanie przez władze pogromów. Przed kilku tygodniami szeptano we Wrocławiu, że w Wałbrzychu, gdzie zamieszkuje 20 tysięcy zamożnej ludności żydowskiej, miały miejsce

dwudniowe, krwawe zaburzenia antyżydowskie. Oczywiście, trudno dociec, czy i kto dokonał tu prowokacji. Nie ulega jednak wątpliwości fakt nagromadzenia materiału wybuchowego, nie bez walnego współudziału Żydów, a o iskrę w tych specyficznych warunkach nerwowego życia jest bardzo łatwo.

Między faszyzmami zachodnioeuropejskim a stalinowskim, względnie chruszczowskim, nie ma pod tym względem różnicy. W Związku Radzieckim obserwuje się wzrost nastrojów nacjonalistycznych, zwłaszcza wśród Rosjan.

W rezultacie, faktu powrotu antysemityzmu w wielu państwach Europy Wschodniej nie można negować. Jedynym skutecznym ratunkiem może tu być jedynie emigracja Żydów, gdyż sami Żydzi nie zdołali dotąd nigdy i nie zdołają się bodaj na to, by swe interesy podporządkować interesom narodów, wśród których żyją”.

Jakie są możliwości walki z tak groźnym stanem rzeczy? D wskazuje na dwa ośrodki, które mogłyby podjąć walkę z antysemityzmem: Kościół katolicki i Gomułka:

„Obecnie antysemityzm, w odróżnieniu od przedwojennego, objął szerokie masy ludowe wiejskie i robotnicze, przy mniejszym udziale inteligencji, przeto nie jest łatwo wskazać na »sfery«, które mogłyby przeciwdziałać wzrostowi antysemityzmu. Prasa jest tu najmniej pomocna, gdyż dopiero od niedawna zaczyna nieco zyskiwać na kredycie zaufania po jedenastu latach kompletnego i tragikomicznego serwilizmu. Zniszczona i zmęczona inteligencja ma tu niewielkie możliwości, a to tym bardziej, że i wśród niej szerzy się antysemityzm, gdyż również i ona ma możliwość obserwowania uprzywilejowanej sytuacji Żydów przy równoczesnej pauperyzacji szerokich mas narodu. Jedyne środowisko widziałbym w sferach katolickich, wychowanych na etyce chrześcijańskiej i stosujących ją w życiu. Przywrócenie do urzędowania prymasa Wyszyńskiego mogłoby mieć znaczenie niemal decydujące dla poprawy obecnej sytuacji Żydów w Polsce. Również Gomułka, popularny w szerokich masach, mógłby przyczynić się do likwidowania antysemityzmu.

Na rewizję postawy politycznej i kulturalnej Żydów wobec samych siebie i społeczeństwa polskiego znów jest pewnie za późno, podobnie jak to uznał przed 1939 rokiem jedynie Słonimski na łamach »Wiadomości Literackich«. Niemniej pewne rugowanie Żydów ze stanowisk oficjalnych jest nieuniknione w tej chwili z różnych względów, a przede wszystkim z racji skompromitowania przez Żydów operatywności ustroju i poderwania autorytetu rządów socjalistycznych w Polsce”.

Końcowy wniosek D jest jednak beznadziejnie pesymistyczny:

„Narody i rządy państw anglosaskich winny zająć się poważnie realizacją pokojowej i kulturalnie przeprowadzanej emigracji Żydów z całej Wschodniej Europy i Związku Radzieckiego z zapewnieniem im nowych, dogodnych gospodarczo terenów”.

Dodajmy nawiasem, że w tej sugestii odnajdujemy ślad jeszcze jednej antysemickiej legendy: przemożnego wpływu Żydów na „państwa anglosaskie”... Przypomina się mimo woli powiedzenie Chruszczowa do Gomułki: „Agent Amerykanów i Syjonistów!” Oto, niestety, pewna wspólna płaszczyzna Kremla i polskich antykomunistów...

Podobny wniosek w liście C:

„Jaka jest droga wyjścia? Usunąć wspomnianą anomalię, doprowadzając do stanu, w którym udział Żydów w poszczególnych dziedzinach polskiego życia dojdzie do miary w przybliżeniu normalnej. Wtedy nadmiar Żydów nie czujących się Polakami wyemigruje skwapliwie za granicę, pozostali spolszczą się do reszty, a antysemityzm zniknie z korzyścią wielką nie tylko dla kosmopolitycznie rozumianego humanizmu, ale także dla wolności, twórczości, samostanowienia narodów i podniesienia stopy życiowej mas”.

Nie chcemy bynajmniej wytwarzać wrażenia, że te cztery głosy z Kraju są „wyrazem polskiej opinii”. Artykuły w prasie krajowej i wypowiedzi wielu przyjezdnych z Kraju są dla nas dowodem, że istnieje wielki odłam polskiej inteligencji, zdającej sobie sprawę z niebezpieczeństwa antysemityzmu i walczącej z nim na każdym kroku. Ponieważ jednak celem naszej ankiety jest obiektywne przedstawienie problemu, uważamy, że cytowane listy, pochodzące od przedstawicieli lewicowej, antykomunistycznej inteligencji, wyrażają dezorientację, która panuje w tej dziedzinie.

Poprzez dwie okupacje

Przejdźmy do wypowiedzi emigracyjnych. Większa część nadesłanych nam listów polemizuje z oceną odpowiedzialności Polaków za eksterminację Żydów pod okupacją hitlerowską.

Najbardziej obiektywny w tonie jest tu list Adama Uziembły, z którego przytaczamy obszernie ustępy, tym bardziej że zawiera on nie uznawane przez większość opinii polskiej argumenty co do pozytywnej roli Żydów w naszej przedwojennej gospodarce:

„Że antysemityzm był ciężką chorobą, że wypaczył całą psychikę polską i wyrządził nam nieobliczalne szkody – to zdaje się już dziś nie ulega żadnej wątpliwości, bodajże dla nikogo. Ale właśnie dlatego trzeba go traktować możliwie spokojnie i możliwie ściśle. Bo w tej sprawie zawinili nie tylko politycy, którzy czynili zeń atut propagandowy, aby grać na najniższych instynktach mas do społecznego życia nie zaprawionych, ale i humanitarni liberałowie, którzy po prostu negowali sprawę żydowską. Po prostu przymykali oczy na takie zjawiska, że nasze miasteczka oddzielały chłopów od życia miejskiego, nie dawały możliwości wyjścia ze wsi nadmiaru sił. Nie stanowiły ośrodków życia kulturalnego w najszerszym tego słowa znaczeniu. Sprawy te bynajmniej nie potrzebowały ani gwałtu, ani dyskryminacji – wymagały tylko naprawdę poważnej organizacyjnej pracy. Ale do tego trzeba było spojrzenia w oczy rzeczywistości i – świadomości, że wyprostowanie skrzywień musi się odbywać nie kosztem części ludności, ale z pożytkiem dla całej ludności. Ale warunkiem powodzenia była znajomość faktów.

Żydzi w Polsce nie żyli za darmo. Odgrywali oni w strukturze gospodarczej Polski rolę bardzo poważną. Nie mówię o tej części, która się asymilowała i wchodziła w skład na-

rodu polskiego. Mówię o masie. Otóż przeszło 70% tej masy zajęte było pracą produkcyjną w drobnym rzemiośle lub chałupnictwie, którego zasadniczą cechą była niesłychana elastyczność – zdolność do przystosowania się do najgorszych warunków.

Bez żydowskiego sortownika na przykład nie do pomyślenia byłby nasz eksport szczeciny. Tylko tani rzemieślnik żydowski mógł zaopatrzyć wieś choćby w czapki. A i handel żydowski przystosowany był do niskich dochodów ludności. Dość powiedzieć, że kiedy koszt wędrowki towaru od producenta do konsumenta wynosił w handlu około i ponad 30% (w Poznańskim na przykład), na Suwalszczyźnie spadał on do 12%. Można dużo mówić o lichocie tej obsługi handlowej, ale w warunkach ubóstwa wsi – taka była jedynie dostępna.

Żyd kupiec na wsi był ponadto dostawcą kredytu. Łatwo znów powiedzieć – lichwiarskiego. Ale jak twierdził tej miary znawca sprawy co Franciszek Stefczyk – ten lichwiarski kredyt ratował chłopów przed jeszcze droższym i już zgola niszczylińskim kredytem „sąsiedzkim”, którego cena teoretyczna w stosunku rocznym sięgała do 56% i więcej.

Nie tu miejsce na rozważanie bardziej szczegółowe tych rzeczy. Można jednak twierdzić z całą pewnością, że wyłączenie tej masy żydowskiej przez Hitlera zadało ciężki cios naszej gospodarce społecznej i odebrało organizmowi kraju odporność wobec nacisku komunistycznego. Dochodzące nas głosy zaniepokojenia z powodu zupełnego braku rzemiosła po miastach i miasteczkach – to są skutki zupełnego zniszczenia rzemiosła żydowskiego. Stalin dobrze wiedział, dlaczego pomagał po cichu Hitlerowi w tępieniu Żydów w krajach, które podbił lub podbić zamierzał.

Niestety, o tej pozytywnej roli żydostwa w naszej gospodarce nie mówiono wcale. Stąd ten absurd, że naszywacza guzików na kartony w Częstochowie albo sortownika szczeciny w Radzyminie, którzy wraz z całą rodziną pracując, zarabiali niespełna 50 groszy dziennie – uważało się za pijawkę i pasożyta.

Materiały do tej sprawy gromadziła i spółdzielczość rolnicza, i spółdzielczość spożywcza. Sporo ich posiada niewątpliwie Joint*. Zanim więc zabierzemy się do „psychoanalizy”, należy zestawić najzwyczajniejsze fakty sprawdzalne i jawne.

Ale – antysemityzm w Polsce istniał. W latach rewolucji [1905] usiłowały go zaszczepić rządy rosyjskie. Zorganizowani robotnicy stawili temu opór czynny. Powstawały specjalne pogotowia do zwalczania gromad „czarnej seciny”** podwożonej przez policję tam i tu. Pogromy, które pomimo to urządzano (Siedlce), były dziełem wyłącznie umundurowanych oddziałów rosyjskich. Niestety, pewne kierunki polityczne w Polsce uchwyciły się antysemityzmu jako środka demagogii i bardzo wydatnie pomogły zaborcy zatruć naszą atmosferę i moralną, i społeczną.***

Czy istnieje antysemityzm na emigracji? Zapewne, przecież żyją tu i odgrywają rolę polityczną ludzie, którzy go w Polsce propagowali. Przyczynli – to prawda. Ale często dlatego, że dziś w Polsce sprawa żydowska praktycznie nie istnieje.

Czy istnieje w Kraju? Fakty przytaczane przez „odwilżowców” powinny być dokładnie zbadane. Nie wiem, ile w tym jest prowokacji. Bo niewątpliwą prowokacją były

* Joint (American Joint Distribution Committee): międzynarodowa żydowska organizacja charytatywna.

** Chodzi o „czarną sotnię”: reakcyjne organizacje działające w Rosji w latach 1905–1912.

*** Rząd rosyjski przez masowe wysyłanie Żydów do Polski, spoza linii osiedlenia, planowo zaostrzał sytuację [przypis autora].

i »rozruchy« antysemickie w Krakowie w roku 1945, i pogrom w Kielcach w roku 1946. Jak można sobie wyobrazić bojkot dziewczynki żydowskiej w szkole obecnej? Czy to nie chodziło o skompromitowanie kogoś? Nie wiem – powtarzam. Co innego zjawiska antysemickie pod opieką Rokossowskiego czy innego dygnitarza. To już łatwiejsze do zrozumienia. Wyrzuca się po prostu Żydów dla zyskania popularności. To najzwyczajniejszy chwyt polityków ściśle według wzorów wszystkich reakcjonistów od »czarnej sotni« począwszy. Co innego, że może to istotnie odpowiadać pewnym nastrojom i stwierdzać istnienie potencjalnego antysemityzmu...

...W środowisku żydowskim istniało poczucie odrębności i – obcości. Obcość ta była pielęgnowana i wśród wierzących w nadejście Mesjasza, i przez działaczy syjonistycznych, i przez »narodowców« Jidysz, i przez Bund. Wszystkie te grupy wysuwały tę odrębność nieraz bardzo stanowczo. Ogłosiły one między innymi neutralność podczas naszych walk o wschodnią granicę. A poseł Grünbaum po uchwaleniu ustawy o odpoczynku niedzielnym w handlu rzucił w sejmie groźbę: »W tej chwili straciliście Lwów i Wilno«. Nie będę sięgał w czasy jeszcze dawniejsze, do stosunku kahałów względem wojsk rosyjskich w epoce rozbiorów. Nie o to mi chodzi. Stanowisko tego rodzaju było podyktowane tak czy inaczej pojętym odrębnym interesem żydowskim. Nie zrobiliśmy z Żydów nie tylko Polaków, ale i obywateli polskich.

Przyjmowanie »radosne« wojsk sowieckich w 1939 roku należy właśnie do tego rodzaju objawów. Myli się p. Jeleński, dowodząc, że tak objawiała się radość z wybawienia od okupacji niemieckiej. W roku trzydziestym dziewiątym, a nawet czterdziestym jeszcze nikomu się nie śniło o krematoriach i o wyćpieniu. Tysiące Żydów po wkroczeniu bolszewików usiłowało się przedostać od nich pod okupację niemiecką w przekonaniu, że zastaną tam warunki lepsze do przetrwania. I byli wśród nich nie tylko ludzie z ulicy, ale między innymi jeden z wybitniejszych dziennikarzy – Stefan Grostern. W wyćpienie nie wierzono i nie chciano wierzyć, nawet gdy już getta zostały zamknięte. Ba, kiedy przesłaliśmy szczegóły likwidacji getta w Krakowie (istotnie potworne) – w odpowiedzi od Jointu otrzymaliśmy ostre wyrzuty za szerzenie »greuelpropagandy«. Powitania bolszewików były to przede wszystkim manifestacje odrębności, odcięcie się od tych, z którymi Sowiety prowadziły wojnę – od Polaków, zrzucenia z siebie odpowiedzialności za państwo polskie. Nie wolno udawać, że się tego nie widzi. I trzeba od razu stwierdzić, że był to skutek naszej polityki i naszego antysemityzmu. Nie umieliśmy sprawy żydowskiej postawić na właściwej płaszczyźnie.

A w roku wybuchu wojny wyodrębnienie społeczności żydowskiej osiągało szczyt przez rozpasanie propagandy już zgoła programowej, wzywającej do krwi przelewu. Odepchnęła ona od nas nawet ludzi zupełnie zasymilowanych.

W tych warunkach nadchodzi okupacja niemiecka. Żydzi zostają pozbawieni praw cywilnych i odcięci w »seuchengebieten«.

Już to doprowadza nawet naszych antysemitów do przytomności. W opinii polskiej obserwujemy zwrot. Gestapo przygotowuje getta. Polskie sfery prowadzą propagandę za niepoddawaniem się tego rodzaju wyodrębnieniu. Olbrzymia większość Żydów decyduje się jednak dać zamknąć. »Przecież jakoś przetrwamy«. A z tą chwilą pomoc społeczeństwa polskiego na szerszą skalę została uniemożliwiona – w tym samym niemal stopniu, co pomoc dla pojmanych w łapanek lub zamkniętych w obozach koncentracyjnych.

Ale lekceważyć tej pomocy, której doznali ci, co nie poszli w zamknięcie, nie można. Nie lekceważy jej pani Miriam Hochberg-Mariańska w swym liście. Ale z lekceważeniem

odzywa się o niej p. Jeleński, mówiąc, że była ona nikła, sądząc po liczbie ocalonych. Mówić w ten sposób może tylko ten, kto nie widział z bliska tej pracy. Osobiście zajmowałem się nią tylko niedługo. A jednak dostawałem całe skrzynki dowodów osobistych przeznaczonych dla ukrywających się Żydów. Były ich tysiące i to tylko dla Krakowa i jego okolic. Dostawałem całe skrzynki pieczęci na te dowody. A dostarczaniem ich zainteresowanym zajmowali się ludzie bardzo różni: robotnicy i inteligenci, i policjanci granatowi, i listowi – a nawet trzech Niemców, w tym jeden prokurator. Moja rola w tym, powtarzam, była bardzo skromna. Ale – przyjrzałem się technice tej roboty i jej trudnościom.

Ratowało się tam nie człowieka walki, ale najczęściej jednostkę bierną o nerwach zszarpanych. Człowiek tego rodzaju, jeżeli został złapany, zasypywał nieraz wszystkich, wskazywał, komu dał na przechowanie klejnoty lub pieniądze. Ale nim został pojmany, zdawał się robić wszystko, by wpaść. Widziałem osobę, którą nie tylko zaopatrzyło się w dokumenty, ale się umieściło w przedsiębiorstwie niemieckim pod opieką treuhaendera. W pewnej chwili po prostu powiedziała, że nie może wytrzymać napięcia nerwów i poczęła paplać na prawo i lewo o swojej sytuacji. Widziałem inną, którą umieściło się zupełnie bezpiecznie. Już w pierwszych dniach poczęła sprawdzać, jak się do niej stosują nie tylko współlokatorzy i właściciel mieszkania, ale sam gospodarz domu. Kilka razy musieliśmy ją przenosić z miejsca na miejsce. Cud, że się uratowała. Ludzie czynni oczywiście trzymali się.

Że akcja ratunkowa nie przybrała rozmiarów szerszych, tego przyczyna leży w odrębności żydowskiej.

Ale na naszą odpowiedzialność zapisuje się jeszcze coś więcej.

Po pierwsze, udział w akcji wyćpienia oddziałów policji granatowej i Baudienstu. Otóż jeszcze poważniejszy udział w tym brała policja żydowska, żółta. To kwestia psychozy przymusu. Tej gehenny jeszcze nikt dotknąć nie próbował. A policjanci granatowi – nie wszyscy oczywiście – przecie i do nas strzelali! A Oradour we Francji i rola Alzatzyków i – ulaskawienie ich!

Nie! Za to społeczeństwo polskie winy nie może ponosić – jak nie ponoszą winy Żydzi za policję żółtą.

A dalej – szantaż na Żydach. Tego dopuszczały się żywioty kryminalne. AK karała to śmiercią. O takich rzeczach mówiono przy dzieciach tam, gdzie opowiadano o rabunku i kradzieży. I w tym samym tonie.

»Kultura« zapowiada ankietę. Chodzi o przeprowadzenie badań psychoanalitycznych na temat antysemityzmu. Nie wiem, czy czas na to. Chodzi o ustalenie faktów i o próbie do ich segregacji. A już i z szlachetnego w tonie listu pani Hochberg-Mariańskiej i z artykułu Jeleńskiego wynika, że te fakty jeszcze tłumaczymy sobie bardzo różnie.

Pani Hochberg wspomina o dzieciach polujących na wymykające się dzieciaki z getta. Widziałem, jak takie bandy gromadzili gestapowcy. P. Jeleński powiada o wodzie sprzedawanej za złote monety. Szkoda, że p. Jeleński nie widział owych pociągów. Dostępu do nich broniły pistolety automatyczne i karabiny maszynowe. Przyznaję – nie odważyłem się podejść tam ze szklanką wody. Mógł się przy nich ktoś znaleźć przypadkowo. Znęcony pokazaną sztuką złota – mógł doskoczyć. Nie jest wykluczone, że akcję sprzedaży wody organizowali sami gestapowcy. To było jednak zjawisko zbyt wyjątkowe.

A bajońskie zarobki na dostawach stałych do getta? W tym brało udział więcej Żydów niż Polaków. To szmugiel czy paskarstwo. Z antysemityzmem to nie ma nic wspólnego.

Powtarzam – zacząć trzeba od oceny faktów. P. Hochberg pisze, że na bezstronność trudno się zdobyć. Sądzę, że nie tak trudno, jak by się zdawało. Trzeba tylko wyrzucić

z siebie resztki kompromisów ze zbiorową odpowiedzialnością, trzeba szczerze pogadać, aby każdy fakt postawić na właściwym miejscu”.

[...]

Pan Bronisław Kustra z La Guaira, Wenezuela, twierdzi, że Polacy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za wyniszczenie Żydów. Czy nie jest jednak charakterystyczna jego uwaga o „różnicy zasadniczej”? Wystarczy pomyśleć o sytuacji, w której na likwidację byłoby skazane polskie społeczeństwo emigracyjne – chociażby w Wenezueli:

„Wypadki brania udziału przez niektóre elementy w likwidacji Żydów nie upoważniają nikogo do wyrażania poglądów, że naród polski nie zdał egzaminu. W każdym społeczeństwie są szumowiny. W czasie wojny naród polski leżał w śmiertelnej agonii na równi z narodem żydowskim, z tą różnicą, że naród polski jest gospodarzem w swoim domu, a Żydzi byli, niestety, niepożądanymi gośćmi. Różnica zasadnicza”.

Pan Andrzej Michna usprawiedliwia zresztą antysemityzm, usprawiedliwiając właśnie dyskryminację Polaków na Zachodzie:

„Jeżeli dzisiaj w kraju szerzy się niechęć do Żydów, to przyczyn tego przykrego zjawiska nie należy szukać wyłącznie w psychice ludu polskiego.

Nie wyobrażam sobie Polaka na stanowisku ministerialnym w Izraelu. Jeżeli Polacy nie lubią na decydujących stanowiskach w administracji ani Niemców, ani Moskali, to dlaczego mieliby się zachwycać Żydami? W swej wędrówce emigracyjnej nasłuchiłem się już różnych: *bloody Pole, sale Polonais i mierda Polaco!* Taki jest świat. Czy miałem zacząć zalewać się łzami z powodu braku liberalizmu w świecie?”

Antysemityzmu nie ma

Doktor W. Piotrowski z Chicago twierdzi po prostu, że antysemityzm w Polsce nie istnieje:

„Ankieta »Kultury« bazuje na całkiem – moim zdaniem – mylnym założeniu, że w obecnej Polsce antysemityzm rzeczywiście istnieje. Sama zaś treść ankiety i następującego po niej artykułu p. Jeleńskiego robią takie wrażenie, jakby »Kultura« pragnęła przesądzić z góry wynik ankiety. Dalej odniosłem wrażenie, jakby »Kultura« pragnęła w drodze ankiety uzyskać szerokie potwierdzenie postawionej przez siebie tezy, że antysemityzm w obecnej Polsce nie tylko rzeczywiście istnieje, ale nawet wzrasta, zanalizować jego oczywiście tylko »polskie« źródła i rozważyć środki i sposoby walki z nim. W takim bowiem duchu są ułożone wszystkie tematy ankiety. Na nie tylko zapytani mają dać »krótkie« wypowiedzi. Nie ma natomiast pytania, które, moim zdaniem, powinno być postawione jako pierwsze i zasadnicze. A mianowicie: »Czy antysemityzm w obecnej Polsce rzeczywiście istnieje?“

Pan Cz. Stan. z Lens też nie godzi się na to, żeby politykę dyskryminacji wobec Żydów nazwać antysemityzmem...

Dla p. Aleksandra Grobickiego „antysemityzmem” są tylko komory gazowe.

[...]

Psychoza i tradycja

Cztery odpowiedzi, które otrzymaliśmy, usprawiedliwiają, naszym zdaniem, rozpisanie ankiety, gdyż dotyczą, z różnych stron, samego sedna problemu.

Zacznijmy od wypowiedzi o charakterze anegdotyczno-historycznym, tym bardziej cennej, że autor jej, p. Cass P. Nowak, z własnego doświadczenia zna najgłębsze korzenie polskiego ludowego antysemityzmu:

„Ileż to razy przyszło mi się wstydić, rumienić jak cnotliwej pannie, »języka w gębie zapominać«, właśnie z powodu polskiego antysemityzmu. Niedawno w fabryce (jestem majstrem w narzędziowni przy jednej z wielkich fabryk samochodowych w Detroit) miałem spór z pewnym Niemcem. Niemiec ten jest hitlerowcem bardzo podłego gatunku. Gdy się nieco rozgadało o obozach koncentracyjnych, o mordowaniu ludzi, o antysemityzmie, mój Niemiec począł mi udowadniać, że Polacy są antysemitami jeszcze gorszego kalibru niż Niemcy – i począł powoływać się na świadectwa pracujących z nami polskich emigrantów. Wynik? Lepiej o tym nie pisać..., co tu dużo mówić, ten Niemiec miał sporo racji! Polacy są antysemitami nie tylko z przekonania, ale i z zawodu, i powołania. Antysemityzm polski nie jest na pewno tak systematyczny, żywiołowy, a równocześnie planowany i przemysłany jak niemiecki, nie jest tak okrutny jak antysemityzm Rumunów czy Litwinów, nie tak zwierzęcy czy raczej bydlęcy – jak ten, jaki objawiał się w wychowanych w ojczyźnie chłopów i robotników żołnierzach armii Własowa – ale to do jasnej cholery mała i żadna pociecha! Antysemityzm ten jest, i to bardzo, bardzo głęboko zakorzeniony...”

...Polska jest krajem chłopskim. Tradycje demokratyczne są raczej bardzo a bardzo młode. Sam znałem osobiście chłopów, którzy chodzili na pańszczyznę, widziałem takich, którzy pokazywali swe plecy pełne znaków po włodarskim knucie. Pamięć po pańszczyźnie jest na wsi jeszcze bardzo świeża, świeższa niż to wielu z nas sądzi. Z pańszczyzną związany jest system karczmarzy, arendarzy, szynkarzy. W każdej dosłownie wsi stała karczma, a jej właścicielem czy dzierżawcą był zawsze Żyd. Był on nie tylko karczmarzem, ale i powiernikiem, agentem, sojusznikiem, często i szpiegiem dworu przeciwko chłopu. Dla chłopu ten Żyd, biedujący często nie lepiej niż pańszczyźniany chłop, był symbolem zła i oszustwa. Chłopi na pewno nie kochali szlachty, ale ich niechęć tępiła wspólnota religijna, więzy językowe i mocniejsza ponad wszystko ochrona kleru. Ksiądz nie tylko rozgrzeszał dziedzica. Ksiądz go jeszcze malował w najpiękniejszych kolorach. Za to ci Żydzi! Nie tylko, że to szachraje na co dzień, a śludzy antychrysta na święto – to, to także mordercy Pana naszego. W tym duchu nauczano polskiego chłopu od lat cztery-

stu przynajmniej. I dziwić się tu teraz antysemityzmowi na wsi! W chłopie drzemie antysemityzm jeszcze z czasów karczmy w każdej wsi...

...Nie starczało w przeludnionej i biednej Polsce chleba na wsi, musiało go tedy i brakować w mieście i miasteczku. Tylko analfabeta polityczny mógł sądzić, że przez usunięcie Żydów coś się naprawi. Nikt jakoś nie myślał o tym, że Żydzi to część narodu i że przez ich wkład kraj może się podnieść na nogi, tak samo jak przez wkład Kaszubów, Ślązaków i Kurpiów. Strach ekonomiczny zaślepiał ludzi w małych miasteczkach, spychał ich w antysemityzm typu bezmyślnego, zwierzęcego. Przypomina mi to żywo sytuację Murzynów w mojej drugiej ojczyźnie, ojczyźnie z wyboru, nie urodzenia. Największe nastawienie antymurzyńskie mamy na południu, a zwłaszcza w tak zwanym Piedmoncie, bardzo biednym i przeludnionym dystrykcie Wirginii i obydwu Karolin, gdzie Murzyni stanowią poważną konkurencję ekonomiczną. Pisał o tym Faulkner niedawno, wspominał w *Atlanticu* McGill... Antysemityzm chłopski typu bezmyślnego i antysemityzm małomiasteczkowy typu ekonomicznego – lub raczej zazdrościowego – były filarami, na których wyrósł potwór polityczny naszych czasów: polski antysemityzm polityczny. Antysemityzm ten czerpał obficie z tradycji naszego polskiego katolickiego Kościoła”.

Pan Nowak widzi następujące metody przeciwdziałania antysemityzmowi:

„A kto mógłby w Polsce zwalczać antysemityzm? Jedna tylko grupa ludzi. Kler katolicki. Dlatego, że wpływ księży jest największy, najgłębiej sięgający. Kler może wytrzebić antysemityzm z korzeniami, wysuszyć jego źródła. Pisanie o tym w prasie krajowej niewiele pomaga, a wiele szkodzi. Prasa krajowa jest bowiem czytana na opak. Parę listów pasterskich Episkopatu też by pomogło. Antysemityzm istnieje na emigracji. Wielu z przyjezdnych tu do Ameryki »dipisów« ośmiesza się i oczernia dobre imię Polski swymi antysemitycznymi oświadczeniami, składanymi zwykle ochotniczo, bez prowokacji i zaproszenia. W prasie polonijnej w Ameryce antysemityzmu nie widać, z wyjątkiem może jednego pisma. Poza hałaśliwymi wystąpieniami jednostek – i to zwykle dopiero co przybyłych z Europy – zorganizowanego antysemityzmu nie ma wśród Polonii amerykańskiej. Istnieje może niechęć do Żydów, antysemityzm chłopski, atawistyczny, tu wyrażający się w opowiadaniu o Żydach, którzy dzieci zabijają na »matzos«, ale wyłącza on nienawiść do jednostek. Rola emigracji w zwalczaniu antysemityzmu może być kluczowa. Ci, co nie posłuchają apelów prasy krajowej nadstawiają ucha, gdy na ten temat odezwie się silny i szczery głos emigracji. Trzeba o tym pisać w prasie emigracyjnej. Trzeba pisać w listach do kraju. Nasz głos może dotrzeć do kraju i dotrze na pewno – o ile będzie zgodny i szczery. A co ma się ludziom w Polsce o tym powiedzieć? Powiedzieć im trzeba, że na kulturalnym Zachodzie antysemityzm uważany jest za rozrywkę głupców, czubaryków i buszmenów. Przedstawić Polsce życie Ameryki, gdzie sześćdziesiąt narodowości żyje jeśli już nie w zgodzie, to przynajmniej w ucywilizowanych stosunkach. Trzeba też, aby emigracja pisała więcej o doli Żydów podczas ostatniej wojny. To zupełnie przemilczany temat”.

Rafał Malczewski podchodzi do antysemityzmu w sposób jak zawsze oryginalny i bezpośredni, ale z głębokim pesymizmem:

„Jako nie pytany czytelnik zabieram głos w ankiecie »Kultury« w sprawie antysemityzmu. Moim zdaniem pytanie skierowane do »szeregu przedstawicieli polskiego życia na uchodźstwie« powinno brzmieć krótko i po prostu: Dlaczego Pan (Pani) jest antysemitą?

Takie pytanie trafiłoby nieomylnie w sedno sprawy. Samo znajdowanie się po tak zwanej stronie »wolności« nie umniejsza naszego zakłamania w różnych dziedzinach, jak też w sprawie antysemityzmu, naszego grzechu z pogranicza nikczemności.

Zdajemy sobie dobrze sprawę, że każdy Polak jest antysemitą, często mieszaniec polsko-żydowski, nierzadko krypto-Żyd, a nawet Żyd wychowany w Polsce.

Przy naszej miękkości i niekonsekwencji, »złotym sercu« i tak dalej, obraz jest bardziej zamazany, niż jakby na to wskazywała niesłychana wśród Polaków stuprocentowa zgodność, jeżeli chodzi o antysemityzm. Oczywiście istnieją setki odcieni i niuansów polskiego antysemityzmu, począwszy od wielbicieli hitlerowskich metod aż po lukrecję hipokryzji posypane sympatie dla »dobrze sprawujących się« Żydów. Ponadto, jeżeli chodzi o emigrację polityczną, antysemityzm nie zaznacza się tak ostro, miarkowany korzystaniem z usług żydowskich, jak też zatrudnieniem wielu Polaków w przedsiębiorstwach żydowskich.

Jeżeli chodzi o opinię Polaków w kraju, to sądząc po listach pisanych szczerze, zniszczenie trzech milionów Żydów w Polsce nie zmieniło stosunku między dwoma odłamami obywateli państwa polskiego.

Pytanie postawione w sposób, jak podałem powyżej, skłoniłoby niejednego z przedstawicieli życia polskiego na uchodźstwie do zastanowienia się, w jakich ciemniach jego podświadomości rodzi się jego antysemityzm. Na pytanie zaś, jakie postawiła Redakcja, mogliby odpowiedzieć psycholodzy, psychiatry, psychoanalitycy, socjologowie, słowem specjaliści, uczeni. Nie tak zaraz zapewne i nie tak łatwo. Sposobem zaś, jakim Redakcja pomyślała, można dorobić się co najwyżej igraszki literackiej.

Zagadnienie polskiego antysemityzmu, podobnie jak na przykład stosunek białych Amerykanów do Murzynów, wymaga głębokich studiów. Wyniki naukowych badań nie potrafią rozwiązać społecznego zagadnienia tych spraw. Wkraczamy wobec tego w zagadnienie moralności i nakazów wiary. Iluż ludzi kieruje się nimi?! Może jeden, może dwóch?”

Marian Pankowski tłumaczy uniwersalizm polskiego antysemityzmu jego aspektem magicznym:

„Żyd, pomimo iż jest częścią bożego stworzenia, jest dla nas, Polaków, istotą nieczystą. Czego by nie dotknął, gdziekolwiek by nie wszedł – gesty jego czy też po prostu obecność mają własności kałające. Na ulicy wielkiego miasta mijają nas mężczyźni i kobiety. Patrząc na nich, myślimy: »jakiś urzędnik« albo: »temu na pewno nie brak pieniędzy« czy też: »Boże, jaki świński blondyn!«. Skoro jednak zbliża się ku nam istota o ciężkich powiekach, wypukłych oczach i ciemnych, twardo skręconych włosach, nie tworzymy wówczas – jak powyżej – obrazów interpretujących, rozwijających pierwsze doznanie, lecz myślimy magicznie: Żyd! W aurę, gdzie wszystko współlistniało harmonijnie, wtargnęło naraz coś innego. Dlatego też, pragnąc zażegnać ranę zadaną naszemu światu, nazywamy to coś słowem nagłym, zaklęciem. W wyobraźni Polaka jednemu temu słowu odpowiada mnóstwo obrazów odwartościuwających, jak: brud, pejsy, śledzie, broda, cheder, lichwa i tym podobne. Prymitywni, bronimy się instynktownie, rzucając w stronę zagrażającego nam intruza słowo spychające w dół, słowo, dzięki któremu to coś, owa żydowskość nieczysta, nie zdąży zaistnieć jako człowiek, jako jednostka o indywidualnej charakterystyce.

Żyd jest istotą kałającą. (»Mądrość« naszego ludu posiada w swym skarbcu takie oto życzenie: »Bodajś Żydom wodę nosił!«. Pamiętam, z jaką pogardą wyrażali się dorośli o kimś, kto rzeczywiście nosił, a raczej sprzedawał Żydom wodę.)

Podczas okupacji niemieckiej w jednym z miast Belgii rodzina flamandzka przysparzała żydowską sierotę. Dziecko zostało adoptowane i ochrzczone. Mówiło po flamandzku i francusku, zapominając macierzysty jidysz. Ale – jak się to zdarza u dzieci polskich Żydów – przechowało pamięć o kraju młodości swych rodziców. W 1948 roku piętnastoletnia wówczas panna A. zapragnęła tam pojechać. U kresu długiej podróży znajdowała się mała stacyjka w Krakowskim. Stąd wozem dojechała do wioski N. Do kogo miała się zwrócić, nikomu nie znana? Udała się na plebanię. Ksiądz przyjął ją bardzo serdecznie i zaofiarował gościnę. Nazajutrz była niedziela. Stała w tłumie chłopów i w polskim kościółku modliła się po flamandzku za swych żydowskich rodziców.

„...Po przyjęciu Komunii św. klęczałam chwilę przed ołtarzem, po czym, jak inni, wróciłam w głąb nawy. Nie zdążyłam jeszcze otworzyć książeczki, gdy kobieta stojąca obok mnie stanęła naraz przede mną, ale tak, że musiałam cofnąć się nieco. Cofnęłam się mechanicznie, nawet nie myśląc, że zachowanie jej mogło być zamierzone. Ale zaraz potem jakiś mężczyzna, jakby chcąc się precyzyjnie tuż przede mną, stanął tak, że znowu musiałam się cofnąć. Za trzecim razem, kiedy jakiś chłopak ponownie odepchnął mnie w tył, zaczęłam pojmować. Zresztą ludzie ośmielili się na dobre. Środkiem kościoła, tam gdzie zbiega się tłum kobiet i mężczyzn, dosłownie wykopywano mnie w stronę wyjścia. Wykopywano, gdyż po pierwszych, niby przypadkowych potrąceniach następowały nowe, coraz brutalniejsze. Po chwili, mając sandały zdeptane od ich ciężkich butów, na wpół przytomna ze wstydu i żalu, znalazłam się przed kościołem...”

I tym razem ludzie, ludzie prości, instynktownie obronili »zdrowie« gminy zagrożone pojawieniem się nieczystego. Ani sieroctwo i pielgrzymka do ziemi ojca i matki, ani nawet sakrament Komunii św. nie zdołały oczyścić istoty skalanej. Skalanej od czasu, kiedy nasz Pan Jezus umarł przez nich na krzyżu. Skalanej i kalającej wszystko po wszystkie dni świata.

Pisząc niniejszą odpowiedź na ankietę, zająłem się wyłącznie i świadomie antysemityzmem »magicznym«, ten bowiem uważam za formę stokroć groźniejszą i bardziej rozpowszechnioną niż antysemityzm ideologiczny (Rosenberg, ONR) bądź odmianę tegoż antysemityzmu, będącą wyrazem wrogości i nienawiści (Arabowie, stalinowcy)”.

Maria Czapska rozwija niektóre myśli p. Nowaka, dotyczące stosunku polskiego katolicyzmu do Żydów. Pod tytułem *Pro perfidis Judaeis...* przesyła nam ona następujące uwagi:

„Na temat jednego tylko pytania ankiety ogłoszonej przez »Kulturę« (nr 9/107) chciałabym zabrać głos, mianowicie na pytanie: Jakie sfery mogłyby przeciwdziałać wzrostowi antysemityzmu w Polsce. Nie będzie to zresztą odpowiedź, a dalsze jedynie pytanie.

Istotne, często głębokie porozumienie pomiędzy Polakami a Żydami istniało wśród inteligencji postępowej jednej i drugiej strony, a porozumienie to, sięgając epoki pozytywistycznej, miało piękne tradycje. Ale tak Żydzi, jak i Polacy tej klasy byli na ogół elementem bezwyznaniowym, leżącym na peryferiach mas obu narodów i z tych mas częstokroć wyłączeni. Masa katolickiego ludu polskiego i skupiska ortodoksyjnych Żydów nie miały ze sobą przeważnie nic wspólnego poza interesem pieniężnym. Duchowieństwo i prasa katolicka, dla tych mas przeznaczona, nie przeciwstawiała się antysemityzmowi w imię

zasad miłości bliźniego, przeciwnie, wykazując niebezpieczeństwa »żydokomuny« i »żydomasonerii«, ostrzegając przed podwójną etyką Talmudu, podsycala wrogość i podejrzliwość Polaków do całego Izraela, odgradzonego od nich, w swej masie, wiarą, językiem i obyczajem, narodu najstarszego cywilizacyjnie ze wszystkich narodów europejskich.

Ekscesy antyżydowskie pod wodzą fanatycznych duchownych sięgają korzeniami w daleką przeszłość Kościoła katolickiego. Każdego roku w okresie Wielkiego Tygodnia masy polskiego ludu wierzącego słyszały i słyszą w kościołach opisy męki i śmierci Chrystusa, zadanej mu przez Żydów. Wielkie święta chrześcijańskie bywały nieraz dniami śmiertelnej trwogi dla Żydów.

Raz tylko do roku liturgia katolicka modli się publicznie za Żydów. W Wielki Piątek, zaraz po odśpiewaniu Męki Pańskiej wedle św. Jana, następują uroczyste modlitwy za Kościół, papieża, biskupów, naczelników państw, wiernych wszystkich stanów, więźniów, chorych, podróżnych, za heretyków i schizmatyków, wreszcie za Żydów, po których wymienieni są już tylko poganie.

A modlitwa ta brzmi: *Oremus et pro perfidis Judaeis, ut Deus et Dominus noster auferat velamen de cordibus eorum, ut et ipsi agnoscant Jesum Christum, Dominum nostrum.* (Módlmy się także za Żydów wiarołomnych, aby Bóg i Pan nasz zdarł zasłonę z ich serc, iżby i oni poznali Chrystusa Pana naszego).

Perfidi tłumaczone jest po polsku na wiarołomni albo przewrotni, po francusku na *perfides* albo *infideles*. (Odmiany wprowadzone do liturgii wielkotygodniowej w bieżącym roku pozostawiły przymiotnik *perfidi* w tej modlitwie bez zmiany).

Żydzi w rozproszeniu zostali poprzez wieki wierni Bogu Jedyemu i prawu Mojżeszowemu, żadnej nie łamali wiary. Tych, co uczcili Boga w Trójcy Jedynej zasymilowały bez reszty narody ich osiedlenia. Tamci byli nadal prześladowani za swoją wiarę w Boga Jedyne.

Więc dlaczego *perfidi* (przewrotni, wiarołomni)?

*

„Ty jesteś w Europie poważny narodzie
Żydowski jak pomnik strzaskany na Wschodzie,
Swojami gdy złomki wszędzie się rozniesie,
Na każdym hieroglif unosząc odwieczny...”*

Jak to się stać mogło, że wspólność źródeł religii mojżeszowej i chrześcijańskiej nie stworzyły więzi pomiędzy wierzącymi katolikami i ortodoksyjnymi Żydami! Dlaczego Kościół w Polsce, jak mi się zdaje, nie przyczyniał się do tego? Dlaczego braci Tharaud, najzupełniej obcych i nieświadomych tych spraw, uderzyła i zastanowiła ta fantastyczna wierność strzaskanego i rozproszonego narodu, wierność dobrowolnie przez wieki zachowana w cieniu kościołów i krzyży?

Dlaczego tak niewielu nas katolików zdołało dojrzeć i odczytać ów hieroglif odwieczny? Dlaczego bardzo tylko nieliczni Polacy znali język żydowski (jidysz), mogli śledzić ich prasę, poznać ich literaturę?

* C. K. Norwid: *Żydowie polscy*, 1861 [przyp. autora].

Podczas okupacji niemieckiej i francuskiej, żydowską sieć i francusku-
dów – prze-
nia wów-
mała-
zwróci-
i zapa-
Czarnym

123

li nie tylko o Żydach winnych śmierci Chrystusa, wczennikach, o pierwszych gminach chrześcijań-
wiarą i krwią Żydów, pierwszych wyznawców,
tedy do pomyslenia?
ci, że Matka Boska, patronka niezliczonych
nej Góry, i z Ostrej Bramy, z obrazów, po-
alomona wychowaną – to może młodzież
składać śluby wierności Królowej Koro-
gwałtów na narodzie żydowskim? I może żol-
anby bród i pejsów Żydom w kresowych miastecz-
zem zemstę w 1939 roku, nie wystawialiby ich na pośmie-
dzieli, że te brody i pejsy to rękojmia przymierza z Bogiem, to
jak dla nich krzyżyki, medaliki i szkaplerze. Gdyby lud nasz pamię-
«kuczki», które sobie Żydzi kłecili późną jesienią na balkonach miejskich
i na zabłoconych podwórkach naszych młynów i karczem, budy kryte słomą lub
nieżami świerczyny zamiast «gałązek palmowych... i wierzbiny od potoku» były symbo-
lami namiotów pustyni egipskiej – toby może nie rozbijał kamieniami nędznych szałasów?
»I w kuczkach mieszkać będziecie przez siedem dni, każdy zrodzony w Izraelu..., aby
wiedzieli potomkowie wasi, iżem w namiotach kazał mieszkać synom Izraelskim, gdyem je
wywiódł z ziemi egipskiej, Ja Pan Bóg wasz (Lev. 23, 42–43)».

Ale księża znający Stary Testament nigdy nam nie mówili o Zakonie Mojżeszowym.

Czarnym lądem zatytułowała Wanda Melcer książkę o wynaturzeniach obrzędowości żydowskiej, o przesadach tej ciemnej masy, o martwej literze obowiązujących ją przepi-
sów, o brudzie i braku higieny tych praktyk. Ale dla Wandy Melcer obrzędowość katoli-
cka była prawdopodobnie również stekiem przesad i pozostałością po ciemnym śred-
niowieczu. Wierzący katolik znalazłby na tym «czarnym lądzie» niejedno źródło żywej
mystyki religijnej, przekazywane z pokolenia w pokolenia, utajone w mroku biednych wsi
i małych miasteczek. Ale nikt lub prawie nikt z katolików nie znał języka ani obyczajów
tego narodu, z którym żyliśmy pod tym samym niebem od wieków.

*

Pamiętam późne wieczory w Bibliotece Publicznej na Koszykowej i nisko schylone
pod zielonymi umbrami lamp głowy młodzieży żydowskiej zaczytanej w dziełach Marksa,
Engelsa, Lassale'a, Lenina. Na fiskach leżących przy moich książkach odczytywałam ich
adresy. Gęsia, Towarowa, Żelazna, Twarda... Z dalekiej dzielnicy północnej ściągała tu ta
młodzież w poszukiwaniu nowej wiary i nadziei. Dziś niejeden z tych, których spotyka-
łam trzydzieści lat temu na Uniwersytecie i w bibliotekach, z tych, którzy na prosemina-
rium prof. Kleinera wybuchnęli śmiechem, kiedy nam profesor zalecał znajomość *Biblii*,
nieodzowną dla kultury literackiej – niejeden z nich zajmuje w Polsce Ludowej odpowie-
dzialne stanowisko. Zawierzyli nowemu Zakonowi i nowej Ojczyźnie, które miały ich
wreszcie uobywatelić i z resztą narodu porównać.

W latach wyniszczenia Żydów polskie seminaria i klasztory dały wielu z nich przytu-
łek i bezpieczeństwo. Kilka dziesiątków tysięcy Żydów przetrwało w Polsce lata hitlero-
wskie; ilu z nich zawdzięcza swoje przetrwanie Polakom, którzy życie swoje kładli za

nich, ilu drogo kupiło sobie opiekunów i kryjówek, a ilu zginęło z winy polskich donosi-
cieli i szantażystów? Tego nikt nie wie i nikt nie obliczy. Ale ta najstraszniejsza w świecie
zbrodnia, która się spełniła na ziemi polskiej, nie obaliła muru obcości dzielącego oba na-
rody, nie wytępiła wzajemnej wrogości, zakorzenionej w tyłu sercach. Dlatego krew po-
mordowanych ciąży na sumieniu katolickiej Polski za brak miłości, tej, co odmienia wną-
trności ludzkie, za obojętność jednych, za udział w zbrodni drugich.

»Na niwach gdzie nasz ród ma siedlisko – mówił Mickiewicz – ...mieszkają miliony lu-
du znanego całemu światu ...ludu starszego od wszystkich ludów cywilizowanych, milio-
ny Izraela, który ze swoich bóżnic nie przestaje od wieków wołać krzykiem, z jakim nic
w porównaniu iść nie może...»*

Nie ma już tych milionów. Zagasły w Polsce świeczniki szabasowe, święte księgi spło-
nęły, cmentarze zaorano, a nagrobki poszły na kamień drogowy. Czy w zachowanych sy-
nagogach woła ktoś jeszcze ku niebu tym »rozdzierającym krzykiem«?

Odwet za kłamstwo i nieprawość ostatnich lat Polski Ludowej zagraża dziś znowu Ży-
dom, odwiecznemu kozłowi ofiarnemu, odwiecznemu wśród narodów tułaczowi.

Czy jeszcze czas, by zapobiec nowej hańbie i czy Kościół katolicki w kraju, silniejszy
i żywotniejszy niż kiedykolwiek, podejmie świadomie walkę z rosnącym antysemityzmem
w poczuciu swojej chrześcijańskiej odpowiedzialności?»

*

Pomiędzy zapowiedzią naszej ankiety i ogłoszeniem jej wyników doszły
nas nowe echa wzrostu antysemityzmu w Polsce. Część kwiatu polskiej inte-
ligencji zawodowej – uczeni, lekarze – zastanawia się poważnie nad opusz-
czeniem Polski ze względu na swoje żydowskie pochodzenie. Oto »tragizm«
pełnej i oddanej asymilacji, o którym wspominał jeden z naszych korespon-
dentów krajowych. Znana lekarka, Żydówka z pochodzenia, najlepsza pol-
ska patriotka i działaczka społeczna, pisze nam z Kraju:

»Za każdym razem, gdy moje wnuki wracają ze szkoły, drzę: czy wymyślano im dziś
od parszywych Żydów? Trudno jest opuścić ojczyznę, którą się kocha. Ale czy wolno ska-
zywać dzieci i wnuki na miłość tak pełną gorczy?»

Przed paroma dniami rozmawialiśmy z jednym z Francuzów, którzy
uczestniczyli w polsko-francuskim seminarium ekonomistów na Sorbonie.
Podczas seminarium zwrócili się do niego dwaj młodzi polscy uczeni z zapy-
taniem: – »Dlaczego wśród francuskich wykładowców jest tylu Żydów?» –
Śmiał się nasz znajomy Francuz.

* Wykład Literatury Słowiańskiej. Lekcja 26. XII 1843 roku [przyp. autora].

„Starałem się im wytłumaczyć, że nikomu z nas nie przychodzi na myśl, że są oni Żydami, tak jak oni nie myślą, że jestem katolikiem z Bretanii. Są to po prostu nasi najlepsi w swych dziedzinach uczeni”.

To pytanie młodych, „postępowych” uczonych – bodaj członków partii komunistycznej – jest jeszcze jednym dowodem siły „żydowskiego kompleksu” wśród Polaków.

Antysemityzm polski przejawia się niewątpliwie na dwóch płaszczyznach – świadczą o tym zresztą liczne głosy z Kraju. Jedną z tych płaszczyzn jest mroczne podłoże narodowej, ludowej podświadomości, tak silnie uwytłumione przez Cass P. Nowaka i Mariana Pankowskiego. Drugą płaszczyzną jest nacisk sowiecki, sowieckie wpływy, działalność sowieckich agentów i stalinowców polskich. Antysemityzm w ZSSR przybiera przeraźliwe rozmiary. Mimo że „kolektyw” zrehabilitował żydowskich lekarzy, których proces miał być sygnałem podjęcia przez Kreml polityki eksterminacji Żydów, antysemityzm w sowieckim życiu nie tylko nie zanika, ale wciąż wzrasta. Wspominał o nim Z. K. Brzeziński w swoich notatkach z Rosji w grudniowym numerze „Kultury”. Podobnych świadectw mamy bardzo wiele. Na ukraińskich uniwersytetach sowieckich istnieje w stosunku do Żydów faktyczny *numerus clausus*. Żydowska młodzież z Ukrainy, chcąc się uczyć, musi udawać się na uniwersytet w Alma Acie. Nierzadkie są antysemickie incydenty na ulicy. Jeden z francuskich pisarzy, który niedawno wrócił z Moskwy, opowiadał nam następujący incydent: Tłumacz jego, Ormianin, Bohater Związku Sowieckiego z okresu wojny, został pobity w tramwaju i zwymyślany od „jewrejskich swołoczy” za nieumyślne potrącenie jednego z pasażerów. Wszyscy pasażerowie zajęli wrogie mu stanowisko. Odmówiono zastrzymania tramwaju. Gdy na przystanku ofiara agresji zwróciła się do policjanta, ten odmówił podania mu nazwiska napastnika. Dopiero poprzez Związek Pisarzy Sowieckich udało się pobitemu literatowi dowiedzieć się, że napastnikiem był... docent moskiewskiego uniwersytetu. – „Ale dowiedziałem się o tym tylko dlatego, że jestem Ormianinem, nie Żydem” – oświadczył przyjacielowi Francuzowi. Inny drobny fakt (ale z drobnych faktów składa się działalność całej tkanki społecznej): wdowa po zasłużonym uczonym, Żydówka z inteligencji, otrzymuje, po długim bezrobociu, posadę sprzątaczką w jednym z ministerstw. – „Ale to tylko do czasu, gdy nie zjawi się na tę pracę kandydatka Rosjanka” – oświadczają jej.

W chwili gdy Polska, poprzez jedność całego społeczeństwa i rozwagę politycznego kierownictwa, uniezależnia się stopniowo od Związku Sowieckiego, w chwili gdy wszystko, co sowieckie, a zwłaszcza pozostałości stalini-

zmu, budzi u Polaków automatyczne niemal odruchy odrazy i wrogości, smutny jest fakt, że istnienie związku pomiędzy antysemityzmem i wpływami sowieckimi w Polsce nie przeniknęło jeszcze dostatecznie do świadomości narodu. Natolińska targowica wysuwała i wysuwa antysemityzm niemal otwarcie jako jedno z głównych swych haseł. Nawet „naturalni” antysemici polscy przyznają, że Żydzi w Komitecie Centralnym i w sferach kierowniczych partii przyczynili się do zwycięstwa Gomułki. Skądinąd oczywisty jest wielki wkład pisarzy i publicystów pochodzenia żydowskiego do zburzenia totalnego kłamstwa stalinizmu, do liberalizacji i demokratyzacji polskiego życia.

Niestety, nawet przyznając, że tak jest, Polacy nadal operują pojęciami, na których znać pozostałości oenerowskiego mitu o „żydokomunie”.

W niezmiernie trudnej sytuacji międzynarodowej, w jakiej znajduje się dziś Polska, należy wzmacniać związki nasze z Europą i odcinać się od Sowietów w każdej dziedzinie, która nie grozi Krajowi polityczną katastrofą na miarę Węgier. Taką dziedziną jest nasz stosunek do Żydów. Oczyszczając nasz Kraj od antysemickiej spuścizny po Hitlerze i Stalinie, stworzymy jedną więcej więź z zachodnią Europą. Uwalniani od strachu przed nawrotem antysemityzmu w Polsce, świadomi groźnych jego form w Związku Sowieckim, Żydzi polscy mogą nam oddać tu nieocenione usługi.

Pozostaje zagadnienie antysemityzmu podświadomego czy „magicznego” w masach polskiego ludu. Wydaje się, że może mu się skutecznie przeciwstawić jedynie Kościół katolicki. Oby polska hierarchia pamiętała, że nic nie zyskało Kościołowi tyle ogólnego szacunku i uznania w świecie w ciągu ostatniego stulecia, co jego bezkompromisowe stanowisko, w niektórych przynajmniej krajach, w obronie Żydów przed hitlerowską eksterminacją. Oby katolicy polscy zdali sobie sprawę z tego, że antysemityzm jest zagadnieniem totalnym, którego nie można usprawiedliwiać częściowo.

Redakcja
[Ankieta opracował
Konstanty A. Jeleński]

[1-2/1957]

Kto ty jesteś? Polak mały...

Można by mówić o pobycie w Kraju, mając przed sobą konkretnego słuchacza, trudno byłoby jednak o tym pisać bez możliwości natychmiastowego skomentowania sformułowań z konieczności skrótowych. Rzeczywistość jest złożona i nie trzeba, aby obraz usiłujący ją przekazać zwęził ją i zubożył.

Nie można też poprzestać na spisywaniu wyrażonek, że... celnicy są uprzejmi, że w ciągu trzydziestu dni nie widziałem ani jednego chuligana, a równocześnie przemilczeć rozmowy z pisarzami i ich reakcję na wiadomość o zamordowaniu Nagya. Nie można rozwodzić się nad bójką w ogonku przy kupowaniu cytryn w krakowskich „Delikatesach”, przemilczając równocześnie konkretne dowody brutalnego łamania przez Rosję Sowiecką polskiej, próbującej stanąć na własne nogi, ekonomii.

Niewspółmierność spraw, tych, które mógłbym opisać i tych, które trzeba by pominąć ze względu na moich rozmówców, jest tak wyraźna, że zamiast „lirycznego dziennika” bądź aptekarskich rozważań rzeczywistości na to, co pozytywne lub negatywne, zajmę się tym, co mnie przeraziło, tym, co ponadpartyjne, trwalsze od ekonomii i polityki tryumfuje w narodzie, a czego pokazową i przekonywającą lekcję dało mi moje miasto rodzinne. Mam na myśli polski nacjonalizm. I o tym m u s z ę napisać.

*

W czerwcu bieżącego roku zastałem w Sanoku dwoje Żydów. Każde z nich ma pokój w niegdyś własnej kamienicy. Oprócz tych dwojga jest tu jeszcze kirkut zarośnięty metrową trawą; bez płyt nagrobnych zniszczonych doszczętnie przez Niemców. W samym mieście nic już nie przypomina wczorajszego istnienia kilku tysięcy Żydów. Pewnie, ludzie starsi pamiętają o tym, ale jakąś osobną pamięcią, pamięcią, która umie związać współczucie z bardzo określonym człowiekiem, zabijającym w określonym miejscu, ale

Kto ty jesteś? Polak mały...

Można by mówić o pobycie w Kraju, mając przed sobą konkretnego słuchacza, trudno byłoby jednak o tym pisać bez możliwości natychmiastowego skomentowania sformułowań z konieczności skrótowych. Rzeczywistość jest złożona i nie trzeba, aby obraz usiłujący ją przekazać zwęził ją i zubożył.

Nie można też poprzestać na spisywaniu wyrażonek, że... celnicy są uprzejmi, że w ciągu trzydziestu dni nie widziałem ani jednego chuligana, a równocześnie przemilczeć rozmowy z pisarzami i ich reakcję na wiadomość o zamordowaniu Nagya. Nie można rozwodzić się nad bójką w ogonku przy kupowaniu cytryn w krakowskich „Delikatesach”, przemilczając równocześnie konkretne dowody brutalnego łamania przez Rosję Sowiecką polskiej, próbującej stanąć na własne nogi, ekonomii.

Niewspółmierność spraw, tych, które mógłbym opisać i tych, które trzeba by pominąć ze względu na moich rozmówców, jest tak wyraźna, że zamiast „lirycznego dziennika” bądź aptekarskich rozważań rzeczywistości na to, co pozytywne lub negatywne, zajmę się tym, co mnie przeraziło, tym, co ponadpartyjne, trwalsze od ekonomii i polityki tryumfuje w narodzie, a czego pokazową i przekonywającą lekcję dało mi moje miasto rodzinne. Mam na myśli polski nacjonalizm. I o tym m u s z ę napisać.

*

W czerwcu bieżącego roku zastałem w Sanoku dwoje Żydów. Każde z nich ma pokój w niegdyś własnej kamienicy. Oprócz tych dwojga jest tu jeszcze kirkut zarośnięty metrową trawą; bez płyt nagrobnych zniszczonych doszczętnie przez Niemców. W samym mieście nic już nie przypomina wczorajszego istnienia kilku tysięcy Żydów. Pewnie, ludzie starsi pamiętają o tym, ale jakąś osobną pamięcią, pamięcią, która umie łączyć współczucie z bardzo określonym człowiekiem, zabijanym w określonym miejscu, ale

niezdolna jest pomóc w przemyśle i rewizji starych, tragicznie nieaktualnych dziś uprzedzeń. Rzecz dziwna, nie ma już dziś przedmiotu pogardy czy choćby niechętniej obojętności, nie ma już w mieście brodatych sklepikarzy ani tych, co fabrykowali ocet czy sprzedawali kolorową wodę sodową, ale stara niechęć i potrzeba poniżania istnieją nadal.

Niechęć do Żydów, jeżeli zsumować uwagi moich rozmówców, ma obecnie dwa „powody”: „Żydom zawsze udaje się uciec i zawsze swoi pomogą im za granicą”. Innymi słowy: Żydzi nigdy naprawdę nie dzielą polskiego losu, polskiej doli, a na domiar tego opuszczają Kraj, co jest dowodem, że go nigdy nie kochali. Powód drugi to mit o Żydach „u góry”, siedzących w rządzie, wpływowych i świadomie szkodzących interesom Polski.

Głupota ta nie jest przywilejem ludzi prostych. Niestety, celują w niej pół-inteligenci, a nawet, jak mogłem to stwierdzić, ludzie z wyższym wykształceniem, należący do katolickiej inteligencji przedwojennej. Od nich dowiedziałem się nie tylko o tym, że „imię jego Czterdzieści Cztery to... Polska Ludowa, bo, wie pan, Lublin 1944”; od nich usłyszałem radę, że „emigracja powinna studiować przepowiednie”... Od nich usłyszałem też istny hymn na cześć Porządku, który trzeba by zaprowadzić w Polsce. W związku z tym cytowano nowelkę o miotle pióra Kostki-Biernackiego, o miotle, co to nie mogła ścierpieć pieniaczy, przepędziła ich i sama zaprowadziła porządek. Wspomniano *à propos* Atyllę, Dżingis-chana i Hitlera, „którzy chociaż nie mieli matury, słyszeli w sobie ten jakiś głos, co im nakazywał czynić...” Doszło do tego, że w Hitlerze widziano tylko kogoś, kto „wymiotł plugastwo żydowskie”, tego, kto „za nas zrobił robotę”... Marzono, że gdyby tak jeszcze wykurzyć kilku Żydów z zasadniczych ministerstw, Polska odetchnęłaby i politycznie, i ekonomicznie.

Nie pojęli, gdy wstałem i opuściłem ich salon, salon zacnej, przedwojennej inteligencji. I obawiam się, że umrą, obwieszeni krzyżykami i medalikami, ale nie pojmą jednego słowa z Ewangelii. Zanim jednak umrą, zdążą zarażać młodych swym maniactwem spod znaku Wernyhory* i mitu o Polsce czystej narodowo.

* Wernyhory – legendarna postać folkloru ukraińskiego, ludowy wieszczek, od XIX wieku występujący w wielu utworach polskiej literatury, przepowiadający przyszłość Polski.

*

Równie jaskrawo widać stary nawyk nacjonalizmu, gdy mowa o sprawie ukraińskiej. „Nie ma sprawy ukraińskiej – oświadczył mi kolega szkolny. – Byli Ukraińcy, teraz ich nie ma. Dopiero gdybyśmy pozwolili im wrócić, sprawa ukraińska zaistniałaby na nowo”.

Tak się złożyło, że w czasie mego pobytu w Sanoku sprawa ukraińska „zaistniała” i to nawet dla tych, którzy nie zauważyli jej dotychczas. Któregoś dnia rano ulicami w stronę cerkwi szli ludzie niosący cerkiewne chorągwie, szaty i sprzęty liturgiczne. Tego samego dnia przed południem odbyła się w sanockiej cerkwi pierwsza od wielu lat jawna msza obrządku grekokatolickiego. Odprawił ją siwiuteńki staruszek, ksiądz S. Nie była to zwykła msza, ale jeden wielki szloch, płacz ludzi leżących krzyżem, ludzi, którym październikowa zmiana pozwoliła wyjść z konspiracji, pozwoliła przyznać się do swego języka i do swej religii. W kazaniu swym ksiądz podkreślił lojalność ludności ukraińskiej wobec Polski Ludowej. Wspomniał o tym, jak przed wojną starostwo i miejscowy pułk delegowały w dni świąt cerkiewnych swych przedstawicieli i wyraził nadzieję, że i obecne władze postąpią podobnie. Na koniec podziękował kardynałowi Wyszyńskiemu za pomoc, a miejscowemu prałatowi katolickiemu za przechowanie w czasie ciężkich lat cerkiewnych chorągwi i sprzętu służącego liturgii. Po tych słowach wierni uroczyście odśpiewali na intencję kardynała i prałata *Mnohije lita*.

W cerkwi pozostało tylko kilka kobiet zajętych zamyśleniem. I wtedy z budynku dawnej plebanii cerkiewnej, gdzie od czasu zamknięcia cerkwi mieści się bursa gimnazjalna, wyszło kilku chłopców. Pokręcili się po cerkwi, na koniec wyszli na dzwonnice. Po chwili zbiegli stamtąd z „ukraińskimi ulotkami”. Zanieśli je na milicję, dokąd natychmiast zawołano staruszka księdza. Gdy przyszedł, oświadczone mu, że po pierwsze, Ukraińcy nadużyli zaufania, przechowując ulotki, a po drugie, nie zwrócili się do miejscowego komitetu partyjnego z prośbą o możliwość korzystania z budynku cerkiewnego, przeznaczonego urzędowo na kościół szkolny.

Nie pomogło tłumaczenie księdza, że domniemane ulotki są... nowennami, o czym świadczy nie tylko krzyżyk, ale przede wszystkim treść – i że wystarczy, aby któryś z milicjantów znający język ukraiński przetłumaczył druczki, a sprawa zostanie wyjaśniona. Na próżno. Tłumacza nie poszukano, a cerkiew zamknięto.

Mówiłem o tym z sanoczanami. Członek partii widział całą sprawę w kategoriach administracyjno-prestiżowych. „Proszę pana, jeszcze jest tu jakaś władza, co? Jak jest, to jej nie wolno pomijać”.

To pewne, że partia poczuła się urażona faktem, iż powrót Ukraińców do cerkwi odbył się pod znakiem pomocy władz katolickich, a nie poprzez decyzję komitetu partii, ale tłumaczenie to wygląda na parawan przesłaniający powody bardziej zasadnicze. Nikt spośród moich rozmówców nie współczuł Ukraińcom. Zamiast stanąć po stronie pokrzywdzonych, zamiast dziwić się decyzji ponownego zamknięcia cerkwi, dziwiono się raczej... jej niedawnemu otwarciu. Epitety, które padały przy tej okazji, wywodziły się w prostej linii z Sienkiewicza i były nacechowane tą samą pogardą dla „chamów”, „rezunów” i folksdojców.

Ostatnie słowo zmusza nas do otworzenia dużego, tragicznego nawiasu, wspomniane bowiem reakcje Polaków, mieszkańców ziemi sanockiej, o ile są ślepo nacjonalistyczne i po prostu nieludzkie wobec garści Ukraińców przebywających dziś na terenach Polski, o tyle reakcje te dadzą się pojąć i lata 1939–1947 pomogą nam zrozumieć, skąd się wzięła ta twardość serca, chociaż nie pozwolą usprawiedliwić jej *d z i s i a j*, w chwili gdy Polacy, jakby nie było, są u siebie i u władzy.

Po klęsce wrześniowej, w zajęтым Sanoku, Niemcy powierzyli miejscowym Ukraińcom sprawowanie administracji. Był to okres przykry. Ludzie, i tak już przybici, musieli jeszcze znosić szykany współmieszkańców miasta, którzy naraz przestali rozumieć po polsku. „Był to tylko rewanż” – powie mi ktoś z Ukraińców. Zgoda, i właśnie ta cykliczność rewanżów jest przerażająca! Były zresztą i sprawy poważniejsze: współpraca z Niemcami, z policją i z gestapo w tropieniu Żydów, łapanie młodzieży na roboty do Niemiec, ale w pamięci miejscowych Polaków najtrwalej zapisały się napady band UPA w latach 1944–1947. Z kimkolwiek próbowałem mówić o sprawie ukraińskiej, rozmówca rzucał mi nazwiska.

– Antosia K. znałeś? Wraciał ze Szczawnego z krową na postronku. Poderżnęła gardło i jemu, i krowie. Ludzie znaleźli go na drugi dzień.

– W Kulasznie zabili deskami okna domu, w którym mieszkał jeden z urzędników zarządu kopalni i spalili go żywcem. Całe Bukowsko spalili.

– Gdybyś widział, jak do Sanoka przywożono naszych żołnierzy spod Komańczy, porżniętych i pomasakrowanych przez upowców, to byś inaczej mówił...

Wzajemna nienawiść dwu sąsiednich narodów ma, niestety, czym się żywić i z czego odnawiać. Gdyby zwołać komisję polskich i ukraińskich histo-

ryków, sądzę, że udałoby się im bez trudu ustalić wiele współzależności aktów przemocy i gwałtu, popełnianych przez obie strony. Chociaż przypominałyby o winach obu narodów, bynajmniej nie usprawiedliwiłyby dzisiejszego postępowania Polaków. Los ich, w porównaniu z losem Ukraińców przebywających dziś w Polsce, a tym bardziej mieszkańców Ukrainy Sowieckiej, jest bez porównania lepszy. Inteligencja polska nie jest wywożona, młodzież polska nie jest systematycznie rusyfikowana... Toteż, właśnie dziś, będąc na wozie, Polacy mogliby zdobyć się na krok w stronę Ukraińców. Nie chodzi o deklaracje i przemówienia, chodzi tylko o uznanie w nich ludzi równych sobie i mających takie same prawo do ziemi, religii i mowy.

I nie chodzi tu bynajmniej o akt łaski. Ukraińcy wywiezieni z ziemi sanockiej, a dziś pragnący powrócić, mieszkali tam od tysiąca lat. Po wywiezieniu ich (na Ziemię Odzyskaną bądź do Rosji) Bieszczady opustoszały. Pisała o tym prasa krajowa, opisywała życie polskich kowbojów, ale trzeba być stamtąd, żeby móc ogarnąć ogrom opuszczenia. Wsie przerosłe trawą nie do przebrnięcia, zagrody chłopskie w rozsypce, a naprzeciw tego ambitny, ale długofalowy plan osiedlenia w Bieszczadach pięciuset rodzin, oczywiście polskich, sprowadzonych spod Nowego Sącza czy Targu, gdzie ziemia jest gorsza...

Ukraińcy próbują jednak wracać na swoje śmiecie. W pierwszej połowie czerwca kilku z nich zostało nawet pobitych przez polskich osadników. Z wioski w górach milicja dzwoniła do komendy w Sanoku, gdzie niestety... nie było nikogo, kogo można by posłać. Dopiero krośnieńska milicja, przyjechawszy na miejsce, aresztowała chłopów.

– Wiesz – mówi do mnie kolega – przyszedł do nas do biura taki cham, przyjechał gdzieś spod Olsztyna, i chce wrócić na swoje gospodarstwo. Że był na miejscu, że wszystko niszczy... Tak my mu radzimy: Jedźcie, obywatelu do Rzeszowa, tam starajcie się o kartkę. Stamtąd odeślą frajera do Warszawy.

Jednakowoż stosunek władz centralnych do sprawy ukraińskiej nie jest tak jednoznaczny i uproszczony, jak na przysłowiowym „szczeblu powiatowym”. Od niedawna Warszawa zaczyna interesować się Ukraińcami, ale robi to jakoś nieśmiało. Może po prostu dlatego, że jak przed wojną, tak i teraz Polska nie ma żadnej polityki wobec Ukraińców. Bo wobec których? Po 1947 roku miało ich nie być. Jedni pojechali na Sowiecką Ukrainę, inni zostali w Polsce, to znaczy zostali wysiedleni na Ziemię Odzyskaną; a dziś znowu są. Trzeba też się liczyć z reakcjami ludności miejscowej, o których wspominałem.

Niemniej, do szkół w Sanockiem przyszło od władz szkolnych zapytanie, czy są dzieci ukraińskie, pragnące uczyć się w swoim języku ojczystym? Owszem, dzieci się znalazły, ale gdy od rodziców zażądano złożenia pisemnej prośby, rodzice nie odważyli się na napisanie podania. Kto tam wie, do czego jeszcze może w przyszłości posłużyć taka pisemna prośba...

Niemniej, Warszawa przysłała trochę książek dla bibliotek po wsiach, gdzie mieszkają jeszcze resztki Ukraińców (małżeństwa mieszane itp.). Radość z nadesłanych książek była nikła; chłopcy byliby wdzięczni za książki w języku ukraińskim „tutejszym”, a nie za książki drukowane w Rosji, książki pod każdym względem obce.

*

Polski Październik obudził pośród Ukraińców wielkie nadzieje, we Lwowie i w Kijowie. Ci spośród Polaków, którzy byli tam w pierwszej połowie 1957 roku, wrócili stamtąd przeświadczeni, że może teraz, może nareszcie, oba narody potrafią położyć krzyż na wszystkim, co było, a wspólny los pomoże im zrozumieć się lepiej i zbliżyć...

Myślę o moich sanockich rozmowach i nie wydaje mi się, żeby to zbliżenie mogło wkrótce nastąpić. Cóż bowiem począć z nienawiścią i z ogromem ludzkiej głupoty, która ją żywi i odnawia? Cóż na koniec, a raczej przede wszystkim, począć z nacjonalizmem, który w Polsce zastępuje naraz rozsądek i pracę? Nie wiem, co nastąpiłoby w Polsce – chyba koniec świata! – gdyby od pewnego dnia zaczęto mówić w szkole, a przede wszystkim w domu, że Żydzi, Ukraińcy, Niemcy, Rosjanie i Czesi to tacy sami ludzie jak Polacy? I że niektóre z tych narodów umieją pracować w takim samym stopniu, w jakim Polacy umieją pić lub organizować tak zwane czyny zbrojne...

Po co marzyć? Żaden ustrój nie zrezygnuje ze schlebiania nacjonalistycznym ambicjom obywateli. Przed wrześniem 1939 roku ubożuchna Rzeczpospolita przeżyła dumnie pułkownikowskie szlify i w imię praw spadkobierców Piastów i Jagiellonów, zwarta i gotowa, maszerowała na Bohumin. Dziś, w podobnej atmosferze, z okazji tysiąclecia istnienia państwa polskiego partia przygotowuje gigantyczny kiermasz. Przyniesie on narodowi nową porcję pochlebstw, tyle że „postępowych” pochlebstw, na które od wieków czuła jest nacja polska. Tuż po tym będzie rocznica Grunwaldu, na którą już dziś zbiera się... publiczne datki (!!!). I kto po tym wszystkim ośmieli się jeszcze wątpić, że Polacy są jednym z supernarodów? A kiedy załopocą tysią-

ce białoczerwonych sztandarów, gdy na otwarcie Millenium zadzwoni „Zygmunt” wawelski, z pogardą spojrzą Polakowie na Moskali, na Pepiczków, Hajdamaków i na Szwabów – i nie przejdzie im przez myśl, żeby zajrzeć pod pokrywkę do garnka, gdzie leżą zawsze te same, postne kartofle.

Marian Pankowski

[9/1958]

„Hańba” czy wstyd?

Kiedy Paweł Jasienica odczytał na walnym zebraniu oddziału warszawskiego Związku Literatów Polskich antysemitkę ulotkę, rozdawaną na Uniwersytecie Warszawskim przez ludzi Moczara, zebrani pisarze chóralnie zakrzyknęli: „Hańba!” Podziwiam dzieło Jasienicy, podziwiam jego odwagę, reakcja zebranych podniosła mnie na duchu. Jak wytłumaczyć Jasienicy i jego słuchaczom uczucie zażenowania, jakie mnie ogarnęło, kiedy przeczytałem jego dalsze słowa:

„Koledzy! ktoś dla sobie wiadomych celów usiłuje ściągnąć na nasz naród piętno antysemitów. Brak tolerancji odbił się już na sprawach Polski za czasów Voltaire'a, kiedy to podnoszono sprawę naszej nietolerancji religijnej. Wiem o tym dobrze jako historyk. Nic nam dziś nie może przynieść większej szkody, jak wytworzenie w opinii świata przekonania, że jesteśmy narodem antysemitów”. („Długo nie milkną oklaski i okrzyki” – czytam w sprawozdaniu).

Wiem, że Jasienica antysemityzm potępia. Ale przykro mi, że zamiast zastanowić się poważnie nad źródłem zła, zakłada z góry: a) że antysemityzmu w Polsce nie ma; b) że chodzi o tajemniczy spisek mający na celu: „skompromitowanie narodu”; c) że największym złem jest właśnie „kompromitacja” w oczach światowej opinii (nie może nim być antysemityzm – skoro go nie ma).

Obecny nawrót antysemityzmu w Polsce jest jedną z boleśniejszych spraw w naszej historii. Nie tylko dlatego, że w Polsce właśnie, na oczach Polaków, zginęły miliony Żydów zamordowanych przez hitlerowców. Nie tylko dlatego, że z trzech milionów Żydów pozostało w Polsce trzydzieści tysięcy niedobitków, którym w normalnych warunkach, w ludzkim społeczeństwie, po tak strasznej tragedii, nic już nie powinno zagrażać. W pierwszym rzędzie dlatego, że do antysemityzmu doczepiono teraz hipokryzję. Hipokrytami są ci, którzy antysemityzm podniecają, którzy uciekają się do tej strasznej

broni w swej walce o władzę, w swych porachunkach wewnątrz partii. Usuwając Żydów ze stanowisk w partii, w rządzie, w administracji, w instytucjach kulturalnych, atakując Żydów, denuncjując Żydów, wyliczając żydowskie nazwiska wśród opozycji studenckiej, rewizjonistycznej i liberalnej, krzyczą bez przerwy, że nie są antysemitami, Panie Boże i Karolu Marksie broń! Moczar antysemita? Kąkol antysemita? Piasecki antysemita? Skądże!

Hipokrytą jest również Gomułka, kiedy mówi, że „antysyjonizm nie ma nic wspólnego z antysemityzmem” i wyjaśnia: „Antysemityzm ma miejsce wówczas, jeśli ktoś występuje przeciwko Żydom, dlatego że są Żydami”. Ponieważ w Polsce, poza ONR-em i Falangą (nie licząc wielu ludzi spośród Stronnictwa Narodowego), „konsekwentne” teorie rasistowskie na modłę hitlerowskich ustaw norymberskich nie istniały – można na tej podstawie twierdzić, że antysemityzmu w Polsce nie było. Polacy nie występowali przeciwko Żydom „dlatego, że są Żydami”, ale dlatego, że Żydzi są brudni, chciwi, kłamią, mają pejsy, mówią żargonem, nie chcą się asymilować, a także dlatego, że się asymilują, przestają mówić żargonem, są elegancko ubrani, chcą być Polakami. Dlatego, że są niekulturalni, i dlatego, że są za bardzo kulturalni. Dlatego, że są przesądni, zacofani i ciemni, i dlatego, że są piekielnie zdolni, postępowi i ambitni. Dlatego, że mają długie garbate nosy, i dlatego, że nieraz nie można ich odróżnić od „czystych Polaków”. Dlatego, że ukrzyżowali Chrystusa, że praktykują ubój rytualny i ślęczą nad Talmudem, i dlatego, że wzgardzili własną religią i są ateistami. Dlatego, że są chuderlawi, chorowici, wrodzone ofiary i ofiary, i dlatego, że są wysportowani, mają bojówki i „chucpę”. Dlatego, że są bankierami i kapitalistami, i dlatego, że są komunistami i agitatorami. W żadnym wypadku nie dlatego, że są Żydami.

Tak samo przedstawia się sprawa z „antysyjonizmem”. Gomułka nie jest antysemitą. Zarzuca on po prostu Żydom, że są „syjonistami”. Zarzut ten wymaga zastanowienia. W epoce, w której pojęcia „syjonizmu” i „antysyjonizmu” miały istotny sens, kiedy Żydzi rozproszeni po świecie stanęli przed wyborem, czy założyć własne państwo, czy pozostać na zawsze w diasporze, syjoniści byli wśród nich mniejszością (a wśród antysyjonistów byli zarówno zwolennicy całkowitej asymilacji, jak i masy ortodoksyjne, dla których „powrót do Jerozolimy” był hasłem transcendentnym, nieodłącznie związanym z nadejściem Mesjasza). To nie Żydzi, to „inni” (hitlerowcy w pierwszym rządzie, ale nie sami tylko hitlerowcy) sprawili, że dzisiaj dla każdego człowieka dobrej wiary (nie tylko dla Żydów) nie ulega wątpliwości, że konieczny jest obszar suwerenny, zapewniający Żydom schronienie w razie możliwego zawsze nawrotu barbarzyństwa.

Na czym zaś polega „syjonizm” polskich Żydów? Po prostu na tym, że na równi ze wszystkimi uczciwymi Polakami, ze światową opinią i zgodnie z obiektywną prawdą sprzeciwili się tezie Gomułki, że w ostatnim konflikcie z Arabami Izrael był agresorem. Należy dodać, że kłamstwa Gomułki, a zwłaszcza nacisku, żeby kłamstwo to było „spontanicznie” popierane przez społeczeństwo, nie mogą usprawiedliwić żadne względy „solidarności ze Związkiem Radzieckim” ani szantaż rosyjskiego niebezpieczeństwa. Na dzisiejszym etapie obozu komunistycznego było to lizusostwo na ochotnika. „Antysyjonizm” Gomułki polega więc na tym, że Żydom nie wolno mówić prawdy. Jeśli zaś Żydzi nie mają prawa mówić prawdy dlatego, że są Żydami, to jak to nazwać? Antysemityzm częściowy? Dyskryminacja na tle pochodzenia?

Wilk, którego Gomułka w ten sposób wywołał z polskiego lasu, szydło, które przy tej okazji wyszło z polskiego worka, to już nie wilk częściowy ani szydło dyskryminacyjne. To po prostu wilk antysemityzmu, to szydło na kształt mieczyka Chrobrego. Oenerowcy operowali jednak hasłem jasnym i precyzyjnym: „bij Żyda!” Z przerażeniem oglądam na pierwszej stronie „Życia Literackiego” fotografię ponadstutysięcznego tłumu wiecującego 23 marca na Rynku w Krakowie z setkami transparentów, z których wszystkie figurujące na pierwszym planie, a więc czytelne, zaczynają się od obsesyjnego słowa o olbrzymich literach, zajmującego całą płachtę: SYJONIŚCI... Dalej trudno odczytać, ale migocą jednak poszczególne złowrogie litery: zdrada..., zagranica... A więc partia może zmobilizować sto tysięcy Polaków pod jednym hasłem „antysyjonizmu”? Otrzymuję od lat propagandowy biuletyn warszawskiej agencji Interpress po francusku. Ostatni, kwietniowy numer poświęcony jest dwudziestej piątej rocznicy powstania warszawskiego getta. Wiemy z prasy, że kwiecień został oficjalnie ogłoszony w Polsce „miesiącem wspomnień”, że obchody ku czci bohaterskiego powstania warszawskich Żydów organizować ma... ZBoWiD. Dziwny hołd składa poległym Żydom polska oficjalna agencja. Niejaki Wojciech Sulewski opisuje w tym biuletynie „żydowskie gestapo” oraz rzekomo kolaborującą z Niemcami „frakcję faszystowską syjonistów”, piętnuje judenraty, „policję żydowską, która aktywnie kolaborowała z hitlerowcami, aby rabować i terroryzować Żydów w gettach oraz pomagała w ich deportacji na miejsce kaźni”. Dodatkowo do tego biuletynu są tłumaczone na francuski wszystkie głosy prasy polskiej oskarżające Izrael i „międzynarodowych syjonistów” o współpracę z NRF i o „łagodzenie winy niemieckiego faszyzmu poprzez szkalowanie narodu polskiego”. Stanowczo – wieńce ku czci poległych bohaterów warszawskie-

go getta powinni nieść podczas tego koszmarnego obchodu Moczar, Piasecki i Kąkol. Podpis pod fotografią – tytuł książki Borisa Viana: *J'irai cracher sur vos tombes...**

O tym, jak trudno grać tę absurdalną komedię, świadczy konferencja prasowa urządzona przez ambasadora PRL w Paryżu, Druto. Słyszałem o nim zawsze, zarówno od polskich komunistów, jak i od liberałów, że to „stary komunista i przyzwoity człowiek”. Nieszczęsny ambasador miał za zadanie tłumaczyć francuskim dziennikarzom, że antysemityzmu w Polsce nie ma. Jako główny argument podał on..., że jedyną polską partią zwalczającą antysemityzm w przedwojennej Polsce była partia komunistyczna. Ponieważ wiadomo, nawet francuskim dziennikarzom, ilu było w przedwojennej Polsce komunistów, ładnie wystawił pan Drutto świadectwo naszemu narodowi!

Trudno się dziwić hipokryzji komunistów polskich. Antysemicką hecę rozpętało stanowisko Gomułki w konflikcie izraelsko-arabskim. Niestety, ani liberalna opozycja, ani Kościół katolicki nie przeciwdziałają z dostateczną siłą tej hipokryzji i uczestniczą poniekąd w zмовie milczenia, zakładając, że antysemityzmu polskiego nie ma, że istnieje międzynarodowa „propaganda antypolska” szerzona przez Żydów. Antysemityzm jest złem bezwzględny, ale jest również symptomem zła ogólnego. Zagroza nie tylko Żydom, ale wszystkim Polakom. Dlatego żałuję, że na odważnym zebraniu Związku Literatów Polskich wszyscy niemal podchodzili do antysemityzmu jako do „prowokacji”. Nikt się nie zastanowił w Polsce, jakie są historyczne, polityczne, społeczne przyczyny faktu, że można w roku 1968 na hasłach antysemickich torować sobie drogę do władzy. Na emigracji obowiązuje podobnie uproszczony schemat myślowy. Biuletyn Prasowy Radia Wolna Europa pisze:

„Antysemityzm w Polsce jeśli istnieje – to jedynie w partii. W szerokich masach społeczeństwa potępia się stale różne wrogie antysemickie wystąpienia partii i reżymu...”

Polacy są niestety przewrażliwieni na punkcie stosunku Żydów za granicą do polskiego antysemityzmu. Każdy niesprawiedliwy głos żydowski na ten temat jest wyolbrzymiany, przemilcza się zaś systematycznie wszystkie te liczne głosy żydowskie, które są dla Polski przyjazne, a które wobec smutnej przeszłości powinno się specjalnie cenić. Oskarżanie Żydów o „spisek antypolski”, negacja polskiego antysemityzmu, wyolbrzymianie pomocy udzielanej

* Już po napisaniu tego artykułu widzę ze sprawozdań prasowych, że przepowiednia moja niemal się sprawdziła [przyp. autora].

nej Żydom przez Polaków w czasie okupacji, z przemilczaniem faktów negatywnych z tego samego okresu – to właśnie pożywka dla polskiego antysemityzmu. Są na szczęście wyjątki. Wzorem stosunku do tej sprawy jest wydana przez Znak książka *Ten jest z Ojczyzny mojej*, poświęcona Polakom, którzy ratowali Żydów z narażeniem życia, ale nie kryjąca odwrotnej strony medalu...

Symboliczną wymowę ma dla mnie fakt, przytoczony przez Henryka Grynberga w jego artykule *Przygody z cenzurą* („Wiadomości” 7.04.1968). Oto zdanie, które cenzura polska wykreśliła w jego noweli w „Twórczości” w lipcu ubiegłego roku:

„...bo Frydowie byli Żydami. Frydowie pewno myśleli, że po tym, jak tyle przecierpieli i zostali przy życiu, prawie sami z całego miasteczka, to wszyscy im będą współczuli, dodawali otuchy, a może nawet cieszyli się z nimi...”

„Zrozumiałem – pisze Grynberg – że nie wolno mi będzie wzbudzać dla Żydów współczucia..., że w Polsce nie będę mógł pozostać pisarzem”.

Wydaje mi się, że nie wystarcza wobec tego okrzyk „Hańba!”, godzący w innych. Że wszyscy Polacy, gdziekolwiek są, powinni odczuć palący wstyd...

Polska w obozie komunistycznym staje się odpowiednikiem Grecji w świecie zachodnim. I tu, i tam garstka zupaków pod pretekstem egalitarnego antyliberalizmu nawiązuje do najgorszych tradycji narodowych ciemnogrodów. Nie zapominajmy, że ich odskocznia w Polsce jest antysemityzm.

Konstanty A. Jeleński

[5/1968]

Autochtoni

Górny Śląsk, jak każda prowincja pograniczna, był przed drugą wojną światową dwujęzyczny. Obok języka urzędowego niemieckiego mówiono, szczególnie na wsi, po śląsku, czyli gwarą polską o bardzo silnych wpływach niemieckich i czeskich. Element ludnościowy można było podzielić na trzy kategorie, mianowicie na Niemców, Polaków i ludzi o niewyrobnym poczuciu narodowym. Ludność czująca się Polakami mieszkała przeważnie na wsi, tak samo element o niewyrobnym poczuciu narodowym. W miastach przeważali Niemcy. Często bywało tak, iż jednostki o wybitnie niemieckich nazwiskach były zagorzałymi Polakami i na odwrót. Ludzie mówiący źle po polsku czuli się Polakami, a osoby kaleczące język niemiecki słynęły ze swojej proniemieckości. Pomimo to ludność Górnego Śląska tworzyła jedną całość, gdyż była związana więzami rodzinnymi. Granica narodowościowa przebiegała nierzadko przez rodzinę.

Polska mniejszość narodowa na Górnym Śląsku była jedną z najbardziej aktywnych grup mniejszościowych w Europie. Posiadała własne organizacje, szkoły i zespoły artystyczne. W czasie drugiej wojny światowej cała masa Polaków ze Śląska przebywała w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, a wielu z nich oddało tam życie za Polskę. Trzeba dodać, że analogicznie wyglądała sytuacja na Warmii i Mazurach.

Po roku 1945 Górny Śląsk, tak samo jak część Prus Wschodnich, został objęty tak zwanym programem repolonizacyjnym rządu PRL. Na tych terenach prawie że nie przeprowadzono wysiedleń miejscowej ludności, wychodząc z założenia, iż ludzie urodzeni na tych ziemiach są pochodzenia polskiego. Jednak od swego zarania polityka repolonizacyjna była realizowana przez ludzi bez żadnego doświadczenia, którzy popełniali coraz to nowe błędy. Wypaczenia i błędy popełnione w okresie 1945–1955 skończyły się wreszcie zupełnym fiaskiem polityki repolonizacyjnej.

Zaraz po zakończeniu działań wojennych osiedliła się na Górnym Śląsku liczna grupa Polaków. Przeważał element wysiedlony przez Sowietów z Polski wschodniej, ale nie mało było różnych spekulantów, złodziejasków i innych osobników z Polski centralnej, którzy rabowali, plądrowali i szykanowali ludność rodzimą, ile się dało. Nie obchodziło ich to, czy dany autochton czuł się Polakiem, czy Niemcem. Oni byli panami sytuacji, a nierzadko stała za nimi władza i policja. Wielu tak zwanych autochtonów, którzy jeszcze przed wojną opuścili swoje ojczyste strony, wróciło teraz z Polski na Śląsk. Przeważnie stawali oni w obronie swoich znajomych i krewnych i starali się przeciwstawiać różnym wykroczeniom ze strony napływowej ludności i władz. W związku z tym znaleźli się nagle w fatalnej sytuacji, gdyż podejrzewano ich, że są Niemcami. Nierzadko spotykali się z szykanami władz i prześladowaniami. Przeciętny poziom cywilizacyjny chłop „zza Buga” był o wiele niższy niż ich poziom. Zdarzało się, że rolników umieszczano w wytwornych willach, a ponieważ nie posiadały one odpowiednich pomieszczeń dla bydła, chłop „zza Buga” trzymał je w pokoju lub w najlepszym wypadku w łazience. Oczywiście, że taki stan rzeczy wywoływał oburzenie i zarazem lekceważenie u tak zwanych autochtonów.

Władze w ogóle nie brały pod uwagę osobliwej mentalności ludności miejscowej. Nie liczyły się zupełnie z tym, że nawet Polacy urodzeni tutaj byli wychowywani w kulturze niemieckiej i w związku z tym przesiąkli naleciałościami niemieckimi. Można było nawet wnioskować, że raziło to administrację i ludność napływową. Nie zważając na gorące przestrogi ze strony urodzonych na tych ziemiach Polaków, władze przystąpiły do radykalnej akcji mającej na celu likwidację wszelkich śladów niemieckości. Oficjalnie zabroniono używania języka niemieckiego. Kto nie przestrzegał tego zarządzenia, był karany grzywną, karą cielesną i więzieniem. Zakazano nabożeństw w języku niemieckim i usunięto nawet napisy nagrobkowe po niemiecku. Zburzono pomniki wielkich romantyków niemieckich Beethovena i Eichendorffa. W domach przeprowadzano rewizje w poszukiwaniu niemieckich książek, nie oszczędzając Heinego, Marksa i Sienkiewicza po niemiecku. Konfiskowano przy tej okazji nierzadko naczynia kuchenne i matki z napisami niemieckimi, a przed kościołami – tak jak to praktykowało swego czasu w Łodzi gestapo – czyhali ubecy, zabierając ludziom modlitewniki. Zmieniano lub zmuszano do zmiany nazwisk i imion niemieckich. Urzędy stanu cywilnego, na wzór hitlerowski, nie wydawały autochtonom metryk urodzenia i ślubu, o ile nie zgodzili się na zmianę nazwiska lub nadanie nowo narodzonym dzieciom polskich imion. Nawet imiona łacińskie

były przez pewien czas nie dopuszczane. W okresie 1946–1947 organy bezpieczeństwa, wspólnie z MO i ORMÓ, przeprowadziły masowe aresztowania wśród młodzieży autochtonicznej, podejrzewając ją o hitlerowskość. Nie brano pod uwagę, czy aresztowany pochodził z rodziny przychylnie ustosunkowanej do Polski. Znęcano się nad tą młodzieżą w okrutny sposób. Jako osobisty świadek tych zająć oraz świadek metod gestapowskich mogę tylko potwierdzić, że prawie w niczym nie różniły się od siebie. Część młodzieży wróciła z więzień jako kaleki, innym udało się zbiec do Niemiec. Pamiętam jeszcze żywo obraz powstańca śląskiego, który widząc swego maltretowanego syna, powiedział: „Wstydzę się, że walczyłem dla Polski”. Było po prostu ironią, że przy tego rodzaju „przesłuchaniach” wmawiano młodemu, że są Polakami. Efekt tej akcji był taki, że coraz więcej autochtonów zaczęło mówić po niemiecku, a ludzie, którzy przed wojną mówili tylko po polsku i byli za to karani przez policję, obecnie byli karani przez MO za demonstracyjne używanie języka niemieckiego.

Jednym z dalszych powodów niechęci autochtonów do Polski Ludowej było obniżenie się stopy życiowej i dojście do zupełnego chaosu gospodarczego. Nie trzeba być historykiem, aby stwierdzić, że takiej nędzy jak w pierwszych latach Polski Ludowej, a zwłaszcza w okresie tak zwanych „błędów i wypaczeń”, nigdy na Śląsku nie było. Coraz bardziej ludność śląska, a z nią ludność mazurska, przypominała sobie dobrobyt gospodarczy czasów niemieckich. Paczki z NRF, a nawet ze strefy okupacyjnej Niemiec, świadczyły prawie codziennie o dobrobycie w centralnych Niemczech, które przecież przegrały wojnę. Uciekanie się władz do apelów patriotycznych było tutaj naiwnym błędem, tym bardziej że rdzenni Polacy kpili sobie z takich nic nie dających obietnic. Wreszcie władze zdecydowały się na jak najbardziej absurdalny krok: nałożono na paczki z NRF wysokie cło i określano odbiorców jako „adenauerowców”, pomimo iż ludzie ci często nawet nie wiedzieli, kim jest Adenauer. W niektórych szkołach gorliwi ZMP-owcy nawoływali swoich kolegów autochtonów, by wyrzekli się krewnych niemieckich.

Władza ludowa wcale nie liczyła z tym, że zwłaszcza autochtoniczna ludność Śląska była silnie związana z wiarą katolicką. Nierzadko wiara i polskie poczucie narodowe tworzyły jakby jedną całość. Idea marksistowska była zupełnie obca tej ludności o cechach konserwatywnych. Nagonka na Kościół katolicki i kler musiała doprowadzić do konfliktu. Tym bardziej że w niektórych wypadkach wysiedlano proboszcza lub przenoszono go przymocą do innej miejscowości, gdzie mieszkała absolutna większość Polaków z centralnej Polski.

Jednym z najgłówniejszych błędów była walka z chłopem śląskim. Trzeba przypomnieć, że zwłaszcza wśród chłopów element polski był najsilniejszy. Już na początku wywłaszczono niektórych chłopów, oddając ich gospodarstwa napływowym rolnikom. Często umieszczano rolników napływowych w gospodarstwach autochtonów, przy czym niejednokrotnie nie było wiadomo, kto jest właściwym panem, bo chłop śląski pracował jak pacholek na własnym gospodarstwie. Później naprawiano te błędy, oddając gospodarstwa w posiadanie prawowitych właścicieli. Ponieważ chłop śląski posiadał na ogół wzorowe gospodarstwa i byli stosunkowo dobrze sytuowani, zaliczano ich w okresie stalinizmu do kategorii „wyzyskiwaczy wiejskich i kułaków”. Nałożono na nich wysokie podatki i szkalowano ich imiennie w gazetach lub przez radio za rzekome niewywiązywanie się z obowiązkowych dostaw. Z drugiej strony tłumaczono im, że są równouprawnionymi obywatelami Polski Ludowej. Wreszcie uciekano się do drastycznych represji: zorganizowano „ochotnicze” brygady z fabryk i organizacji młodzieżowych, które przeprowadzały pod pilnym okiem funkcjonariuszy przymusowe wymłócenie, nie zostawiając rolnikowi nawet ziarna na zasiew. Tak było ze znanym chłopem-powstańcem, który z rozpacz – widząc wymłócone i skonfiskowane zboże – usiłował powiesić się. Nienawiść jego była tym większa, że chłop ten za swoją polskość przesiedział całą wojnę w obozie koncentracyjnym. Śmierć Bieruta przerwała akcję zmierzającą w kierunku uspołecznienia gospodarstw rolnych, przed czym jak najbardziej bronili się nie tylko chłop śląski.

W roku 1955 nastąpił koniec tej polityki repolonizacyjnej. Miała ona fatalne skutki moralne i prestiżowe dla Polski. Tylko mała garstka Ślązaków czuła się jeszcze Polakami. Rozmawiałem z powstańcami, którzy teraz jakby wstydzając się swego udziału w powstaniach śląskich określali ten czyn jako „delikt kawalerski”. Jeden z młodych autochtonów, podsumowując całą politykę repolonizacyjną, napisał słusznie do prasy: „Czego Niemcy nie zdążyli zgermanizować w okresie siedmiuset lat, Polska Ludowa regermanizowała w ciągu czterech lat”. Gdy tylko ogłoszono, że wydziały polityczno-społeczne rad narodowych przyjmować będą podania o wyjazd do Niemiec, do poszczególnych rad narodowych wpłynęła nie kończąca się fala podań. Przed biurami paszportowymi komend wojewódzkich ciągnęły się kolejki chętnych do wyjazdu. Wszelkie apele patriotyczne były daremne, a wśród wyjeżdżających znajdowali się i ci, którzy w powstaniach śląskich walczyli o Polskę albo spędzili wojnę w różnych obozach koncentracyjnych.

Trzeba podkreślić, że wielkie zasługi przy ujawnieniu i piętnowaniu tak zwanej polityki repolonizacyjnej ma prasa stołeczna. Ona właśnie domagała się w okresie przedpaździernikowym szybkiego rozwiązania tej drażliwej sprawy. Żądała rodzaju plebiscytu wśród ludności autochtonicznej. Ludność miała mieć możliwość wolnego wyboru, czy czuje się Polakami, czy Niemcami. Niemcy mieli wyjechać do Niemiec, a o ile chcieli pozostać w Polsce, mieli otrzymać statut grupy mniejszościowej. Gomułka w pełni zaakceptował te postulaty. Aczkolwiek nie zrealizował zupełnie swych postanowień – z powodu stałych interwencji ze strony kół nacjonalistycznych – to jednak wbrew wszelkim namowom i z małymi ograniczeniami pozwolił – i pozwala nadal – osobom czującym się Niemcami opuścić Polskę. Przy czym Niemcy mogą ze sobą zabrać całe swoje mienie ruchome. (Ostatnio chłop mazurski przywiózł sobie nawet domek prefabrykowany). Choć, jak już zaznaczyłem, Gomułka nie zrealizował z tych czy innych powodów swoich obietnic wobec grup etnicznych w Polsce, to jednak kurs wobec autochtonów uległ poprawie.

Pisałem na początku o konflikcie i nieporozumieniach między ludnością rodzimą a Polakami z centralnej lub wschodniej Polski. Trzeba jednak zaznaczyć, że ta sytuacja szybko uległa zmianie i to w kierunku pozytywnym. Pamiętam wzorową postawę niektórych przybyłych Polaków, którzy – narażając się na przykrości ze strony władz – jak najostrzej przeciwstawiali się różnym wypaczeniom. Były wypadki, gdzie Polacy nie pozwolili na wysiedlanie swoich niemieckich lub „autochtonicznych” znajomych. Ludność rodzima szybko zorientowała się, że między Polakami i władzą polską istniała głęboka przepaść. Ucisk polityczny, religijny i nienawiść do Związku Sowieckiego – oto dwa faktory, które szybko przyczyniły się do zbliżenia ludności rodzimej i napływowej. Duchowni śląscy przeniesieni przymusowo do parafii czysto polskich szybko zyskali sobie zaufanie swoich plebanów i na odwrót. Znam wypadki, gdzie chłop z Buga przeciwstawiali się skutecznie wywiezieniu ich proboszcza śląskiego do łagru. Doszło nawet do bójek z milicją. W innych miejscowościach ludność autochtoniczna zbierała podpisy za zwolnieniem ich polskiego księdza z więzienia.

Polacy szybko pojęli, że nie wszyscy Niemcy to SS-mani, coraz rzadziej reagowali negatywnie na dźwięk niemieckiej mowy.

Młodzież przyczyniła się do stworzenia pierwszych pomostów porozumienia. Na ławie szkolnej powstawały pierwsze znajomości, które doprowadzały do przyjaźni, a często do ołtarza. Niejedna patriotyczna rodzina

polska musiała się po długim oporze pogodzić z faktem, iż córka poślubiła Niemca. Nierzadko właśnie małżeństwa mieszane przyczyniły się do likwidacji uprzedzeń rasowych i narodowych. Miały one funkcję nieoficjalnego pośrednika między ludnością napływową i autochtoniczną. Małżeństwa takie, które przeważnie były szczęśliwe, były najlepszą szkołą tolerancji w stosunku do innych zwyczajów, tradycji i obrzędów.

Nieco bardziej skomplikowanie przedstawiała się sytuacja na Mazurach, gdyż tam dzielącym faktorem była przynależność ludności rodzimej do Kościoła protestanckiego, co znacznie zmniejszało możliwości wzajemnego porozumienia. Podczas wypadków poznańskich zginęło kilku młodych rekrutów śląskich – odmówili oni wykonania rozkazu strzelania do ludności. Było także wielu Niemców, którzy brali udział w polskim Październiku, gdyż i oni pragnęli lepszej Polski.

Nieraz wyjeżdżającym ciężko było żegnać swych przyjaciół Polaków. Pociągi ruszały na Zachód. Na dworcach pozostawali znajomi i krewni, a wśród nich teraz także i Polacy. W NRF przybysze szybko spostrzegali, że nawiązanie kontaktu z tamtejszą ludnością było o wiele trudniejsze aniżeli w Polsce. Zwłaszcza młoda generacja miała pod tym względem poważne trudności. Część z nich w ogóle nie chciała wyjechać z Polski, gdyż czuła się Polakami, a nawet marksistami. Niektórzy młodzi ludzie niechętnie spełniali to życzenie rodziców. Wielu z nich mówiło po niemiecku słabo albo wcale. W NRF wysyłano ich do specjalnych szkół, tak zwanych *Förderschulen*, aby nauczyli się niemieckiego. Poza tym młodym trudno było dogadać się z wysiedleńcami z roku 1945, gdyż mieli zupełnie inne poglądy na temat Polski i jej ludności. Trudno było im także dogadać się z emigrantami polskimi. Można śmiało stwierdzić, że wysiedleńcom z okresu popaździernikowego łatwiej jest znaleźć wspólny język z Polakami krajowymi aniżeli z polskimi emigrantami.

Między obywatelami NRF, którzy po roku 1956 opuścili Polskę, a Polakami i ich rodzinami, którzy tam zostali, istnieje silna więź przyjaźni, zwłaszcza przez wymianę żywej korespondencji. Poza tym razem z mężami i żonami niemieckimi przyjechało do NRF wielu Polaków. Jest rzeczą zrozumiałą, że sympatia do Polski, do jej kultury, narodu i zwyczajów jest wśród tych kół bardzo silna. Przecież pokaźna liczba tych „emigrantów” uczęszczała do polskich gimnazjów, na wyższe uczelnie, zdobywając tam stopnie naukowe. Mickiewicz, Słowacki, Moniuszko i Chopin są im bliżsi niż Beethoven, Wagner, Goethe i Schiller. Moim zdaniem zarówno strona polska, jak i niemiecka za mało doceniają rolę tego elementu spo-

łecznego w NRF, który w przyszłości może się bardzo przyczynić do zacieśnienia więzów porozumienia między Polską i NRF. Cóż bowiem oznacza najlepszy dyplomata niemiecki, jeżeli nie zna języka polskiego, a co gorzej – nie zna mentalności ludności polskiej i nie potrafi znaleźć z Polakami wspólnego języka?

Joachim Georg Görlich

[1-2/1964]

Sprawa Mazurów, Kaszubów, Ślązaków

W zupełnej niemal ciszy rozgrywa się dramat najliczniejszej emigracji z Polski Ludowej – wyjazd autochtonów do NRF. Jeśli z rzadka pojawia się jakiś głos w tej materii, jest to przekleństwo na drogę w rodzaju „Samochodów im się zachciało!”

Cyfry są skrzętnie ukrywane. 60 tysięcy? 180 tysięcy? 300 tysięcy? Nikt dokładnie nie wie, ilu Mazurów, Ślązaków i Kaszubów opuszcza Polskę, by przenieść się do NRF. Chodzi w każdym razie co najmniej o dziesiątki tysięcy chłopów, górników, inżynierów. Zdecydowali się rzucić ziemię, na której mieszkają od urodzenia, na której mieszkali dziadowie i pradziadowie. Decydują się na emigrację ludzie, którzy czuli się Polakami wówczas, gdy ziemię tę wchodziły w skład państwa niemieckiego i deklarowanie polskości związane było z dyskryminacją lub wręcz prześladowaniem. Wyjeżdżają chłopci przyzwyczajeni do gospodarowania na swoim, świadomi, że w NRF będą robotnikami rolnymi u bauerów. Los czeka ich nieradosny. Bariera językowa: na ogół nie znają niemieckiego, mówią swoim dialektem mazurskim czy śląskim. Bariera cywilizacyjna, zwłaszcza u chłopów: prowadzili dotąd gospodarkę rolną na wzór i podobieństwo tych sprzed pół wieku, przy pomocy konia i pługa. Uprawiali kartofle i zboże, hodowali drób i bydło. W kraju, dokąd jadą, rolnictwo jest zmechanizowane i wyspecjalizowane. Bariera środowiskowa: spotykają się w NRF z przyjęciem chłodnym, nawet nieżyczliwym. Mieszkają tam – przejściowo – w obozach, wśród nie znanych sobie ludzi, w warunkach, do jakich nie są przyzwyczajeni i do jakich już nie przywykną. Są to bowiem przeważnie ludzie w wieku podeszłym.

Dramat wędrówki autochtonów do NRF jest ciężkim oskarżeniem pod adresem władz Polski Ludowej. Warto tu zauważyć, że twórcze zastosowanie marksizmu-leninizmu w dziedzinie wędrówek ludów jest stosunkowo słabo naświetlone w literaturze. A temat jest ogromny. Osiągnięcia są nie-

zwykle, najbogatsze – oczywiście – w ojczyźnie międzynarodowego proletariatu, ZSSR. Tam wędrowki ludów ciasno przylegają do obozów koncentracyjnych. Posiadają jednakże swoją względną autonomię i własną, długą a krwawą historię. Z najświeższych pewien odzew na Zachodzie znalazła tragedia Tatarów krymskich. Prawie zapomniane natomiast zostały – na przykład – dramatyczne dzieje niektórych ludów kaukaskich albo Niemców nadwołżańskich, przesiedlonych na Syberię wraz z ich komitetami centralnymi partii, NKWD i wszystkimi innymi instytucjami. Przerzucanie całych grup etnicznych z południa na tereny podbiegunowe, znad Morza Czarnego nad Ochockie, z Europy na Daleki Wschód towarzyszy złej półwiekowej historii zwycięskiego komunizmu.

Spośród krajów, których losy uzależnione zostały po wojnie od ZSSR, praktykę przerzucania wielkich mas ludności z miejsca na miejsce przejęła w najsilniejszym bodaj stopniu, niestety, Polska Ludowa. Pierwsza transza przypadła na okres bezpośrednio po zakończeniu wojny. Związana była przede wszystkim ze zmianami mapy geograficznej Polski. Wywędrowała wówczas ludność polska dawnych kresów, głównie na ziemie nadodrzańskie. Ta wędrówka odbywała się pod patronatem Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Następną wędrówką wielkich mas ludności opiekował się już bezpośrednio UB; odbywało się przymusowe przesiedlanie Łemków, zamieszkujących od wieków południowo-wschodni kraniec Polski. Wywiezieni w Olsztyńskie, poddani tam zostali reedukacji politycznej pod okiem ówczesnego przewodniczącego WRN Mieczysława Moczara.

Kolejna masowa wędrówka, tym razem poza granice obozu socjalistycznego i rozłożona na raty, dotyczyła kilkudziesięciu tysięcy ocalałych po okresie hitlerowskim Żydów. Zwłaszcza bolesna była ostatnia tura tej wędrówki, ta z lat 1968/1969, której ofiarą padła głęboko spolonizowana warstwa inteligencji i młodzieży.

Obecny *exodus*, obejmujący Mazurów, Kaszubów i Ślązaków, różni się w sposób istotny od poprzednich. Na stopniach wagonów nie widać żołnierzy KBW, jak to miało miejsce w przypadku Łemków. Żydzi również wyjeżdżali bez asysty zbrojnej, za to przejść musieli koszmar odpraw celnych, dokonywanych w Warszawie na dawnym *Umschlagplatz*. Osobisty dobytek wyjeżdżających uznany został za część składową majątku narodowego i urzędnicy celni podlegli Moczarowi bacznie śledzili, by ów majątek nie został uszczuplony. Liczyli więc skrzętnie łyżki i widelce, talerze i filiżanki. Zabierali wyjeżdżającym zaświadczenia i dyplomy mogące w przyszłości ułatwić emigrantom dochodzenie swych praw pracowniczych. Otóż obecna

wędrówka Ślązaków, Mazurów i Kaszubów – twierdzę to na podstawie osobistych obserwacji w jednym z powiatów – odbywa się w innej, uczłowieczonej atmosferze. Nie towarzyszy jej żadna kampania nienawiści na podobieństwo owej antysemickiej z 1968 roku. Urzędnicy celni nie są grubiańscy. Są tolerancyjni. Nie zaliczają krowy gospodarza z Wejsun czy Mikołajek do majątku narodowego. Traktują ją jako własność ruchomą wyjeżdżającego. Mogą zatem Mazurzy zabrać z sobą cały ruchomy dobytek, nie wyłączając inwentarza żywego, a także nagromadzonych zapasów żywności dla łatwiejszego przetrwania pierwszych miesięcy na emigracji.

Mamy więc tym razem do czynienia z wychodźstwem najbardziej humanitarnym z możliwych w świecie socjalistycznym, pozbawionym cech politycznej samowoli i agitacyjnego szcucia – z wychodźstwem czystym, w dodatku dobrowolnym, pozornie i formalnie naprawdę dobrowolnym – i ono bodaj jest najcięższym oskarżeniem systemu. Tragizm bowiem poprzednich wędrówek zawarty był nie w formie, tylko w treści. Nie polegał na tym jak, lecz że ludzi wygnano. Brutalność, z jaką to przeprowadzano, przykuwając uwagę opinii publicznej, odwracała ją zarazem od istoty tragedii. Tym razem sedna dramatu nie przysłaniają policyjne bezcelestwa. Jest widoczna jako sprawa główna i w prasie już się pojawiają pierwsze opisy skutków dokonującego się politycznego handlu żywym towarem.

Należy obiektywnie stwierdzić: emigracja Kaszubów, Mazurów i Ślązaków została na władzach polskich wymuszona. Zawarta została transakcja między Wysokimi Układającymi się Stronami w czasie rokowań między Brandtem i Gomułką. Brandtowi niezbędny był argument na użytek wewnętrznego rynku politycznego i Gomułka, prawda, że bez entuzjazmu, ale zapłacił autochtonami za podpis Brandta pod układem. Niemniej, jakby nie oceniać moralnie transakcji, pozostaje faktem, że autochtoni chcą wyjechać z Polski, a więc że mamy do czynienia z emigracją dobrowolną. I odpowiedzieć sobie należy na pytanie: dlaczego? Dlaczego dziesiątki, a może nawet setki tysięcy ludzi z uporem składa od lat podania o zezwolenia na wyjazd do NRF.

Wyjaśnienia tej zagadki szukać należy na wielu płaszczyznach. Przyczyn jest wiele. Jedna tkwi w ogólnej psychozie więziennej, właściwej całemu społeczeństwu. Normalną reakcją człowieka zamkniętego na klucz jest chęć wyrwania się na wolność. Krążył swego czasu dowcip:

- Co byś zrobił, gdyby otwarto granicę?
- Wspiąłbym się na drzewo.
- Dlaczego?
- Żeby mnie nie rozdeptali.

Dowcip ten nie zrodził się w Anglii ani Francji. Zamknięta granica, nie-
możność swobodnego wyjazdu i swobodnego powrotu, świadomość, iż jest
się przywiązany przemocą do ziemi, rodzi u bardzo wielu także rdzennych
Polaków chęć wyemigrowania, przeniesienia się do krajów o mniejszej ilości
wszelakich zakazów aniżeli w socjalizmie. Czynniki ten występuje u Mazu-
rów, Kaszubów i Ślązaków szczególnie silnie. Istnieją tam bowiem mocne
związki rodzinne z obywatelami NRF. Każda niemal rodzina autochtonicz-
na ma tam bliskich krewnych. Są to często rodzone dzieci, rodzice lub naj-
bliższe rodzeństwo. Tamci, owszem, mogą od czasu do czasu, wymieniając
obowiązkowo znaczną kwotę dewiz, odwiedzać swoich bliskich w Polsce.
Odwrotnie natomiast jest to niemożliwe. Przybywają więc raz na dwa, trzy
lata krewni, przywożą ciuchy i podarunki, opowiadają o swoich sukcesach,
podróżach – i wzajemna sytuacja przypomina nieco widzenia w więzieniu,
kiedy przybyły krewny po widzeniu wróci na wolność, a więzień do celi.
Więzień również chciałby na wolność.

Inną z przyczyn jest poczucie doznanych krzywd. Doznawanych zresztą
sporadycznie nadal. Chłop mazurski czy kaszubski narażony jest dotąd
w kłótni sąsiedzkiej na to, że usłyszy słowo „hitlerowiec” od przybysza
z centralnej Polski. Jeśli sąsiad może opóźnić się z dostawą lub wpłatą po-
datku – autochton musi być akuratywny. Sąsiadowi może się nie podobać, że
w sklepie GS nie ma kielbasy, mięsa, chleba. Autochtonowi wszystko musi
się podobać, pozbawiony jest prawa najdelikatniejszej nawet krytyki, gdyż
zaraz usłyszy: „Co, Polska ci się nie podoba?”

W czasach kiedy ziemie te wchodziły w skład Niemiec, wielu autochto-
nów uważało się za Polaków. Posyłali dzieci do polskich szkół, nie zważając na
grożące prześladowania. Uczestniczyli w pracach Związku Polaków w Niem-
czech. Nasza władza ludowa wyleczyła ich z polskości tak samo, jak wyleczyła
robotników z przekonań socjalistycznych, jak wyleczyła komunistów z komu-
nizmu. Dawni działacze Związku Polaków w Niemczech rejestrują się na wy-
jazd do NRF na równi z innymi mieszkańcami tych ziem. Mimo iż od kilkun-
stu lat drastyczne formy prześladowań narodowościowych ustały, poczucie po-
tencjalnego zagrożenia pozostało i pozostało przeświadczenie, że są obywatela-
mi niższej kategorii. Psychicznie jest to zrozumiałe w kraju, gdzie ksenofo-
bia jest oficjalnym wyznaniem wiary, popierana i krzewiona. Każdy „inny”,
choćby tylko trochę „inny”, czuje się obywatelem gorszej kategorii, czasami
łaskawiej, czasami mniej łaskawie traktowanym.

Wreszcie istotnym czynnikiem rodzącym pragnienie wyjazdu stał się
chroniczny brak perspektyw rozwojowych gospodarstw rolnych chłopów
i chronicznie niskie zarobki robotników. Mazurzy i Ślązacy nie są oczywiście

cie w tej materii wyjątkiem. Obraz wsi kaszubskiej czy opolskiej nie różni
się zasadniczo od obrazu wsi kieleckiej czy rzeszowskiej. Trwający latami
stan beznadziejności spowodował między innymi ucieczkę młodzieży, zesta-
wienie się wsi, dewastację budynków i inwentarza – przy czym objawy te
występują u ludności autochtonicznej w stopniu silniejszym aniżeli w cen-
tralnych województwach. Nie dysponuję w tej materii danymi statystyczny-
mi, uwagi moje oparte są na spostrzeżeniach osobistych, bezpośrednich.
Z autopsji wnioskuję, że wsie mazurskie, kaszubskie i opolskie starzeją się
szybciej aniżeli reszta kraju. Stąd odbywa się ucieczka młodzieży nie tylko
do miasta, ale również do NRF. Legalna i nielegalna.

Zmiany w polityce rolnej po upadku Gomułki nastąpiły zbyt późno i do-
konywane są w sposób ślamazarny, bojkotowane przez aparat partyjny,
handlowy, dostawczy, kontraktacyjny, usługowy. Aparat przyzwyczajony jest
od lat do pomiatania ludźmi, do nieliczenia się z ich interesami, do łapówek
i kantów. Nawet jeśli założyć, że Gierek istotnie zmierza do trwałych zmian
– trudno przewidzieć, czy zdobędzie się na niezbędny upór w walce z apar-
tem, aby zmiany te przeprowadzić. A ludzie nauczyli się przede wszystkim nie
ufać. Wśród Mazurów, Kaszubów i Ślązaków nieufność jest szczególnie silna.

Czy zdają sobie sprawę z dramatu, jaki ich czeka po tamtej stronie?
Z muru, jaki wznosił się pomiędzy nimi i społeczeństwem NRF?

Najczęściej – tak. Zwłaszcza przeraża ich zupełnie odmienny tryb pracy
i życia w NRF. Uświadamiają sobie odmienną językową.

A jak właściwie jest z ich narodową przynależnością?

Tu dotykamy najdelikatniejszej sprawy. Parafialny patriotyzm i malutkiej
miary nacjonalizm, jaki zapanował w ideologii PRL jako przeciwwaga nur-
tującego społeczeństwo antysowietyzmu, sprawił, iż w Polsce istnieje niepi-
sany obowiązek narodowego „określenia się”! Gomułka żądał tego z trybu-
ny Sali Kongresowej. Otóż temu żądaniu Mazurzy, Kaszubi i Ślązacy nie są
w stanie uczynić zadość. W Polsce są Niemcami – w Niemczech Polakami.
I taka jest prawda. Integracja narodowa nie może być dokonana na życzenie
wodza z dnia na dzień, ni z roku na rok. Na to pracują pokolenia. To są
procesy naturalne i przebiegające wolno. Może im sprzyjać wolność. Musi
je wstrzymać przymus i gwałt.

Jedną z najdotkliwszych strat, jakie poniosła kultura polska w ostatnich
latach – to urzeczywistnienie Polski jednonarodowej. Skutek nie będzie
natychmiastowy. Dopiero w bilansie jednego, dwóch pokoleń stanie się
przerazająco widoczny.

Powracając jednak do sprawy autochtonów, należy jeszcze postawić
ostatnie pytanie: czy można było zapobiec tej najliczniejszej i dotkliwej tak-

że z gospodarczego punktu widzenia emigracji? Można było. Należało uczynić coś bardzo prostego: otworzyć granicę. Pozwolić się odwiedzać. Dać pełną możliwość wyboru i zmiany tego wyboru, to znaczy powrotu na swoje gospodarstwo. Należało uhonorować prawo własności ziemi i nieruchomości. Pozwolić ludziom pojechać, popatrzeć, zastanowić się – bez konieczności podjęcia ostatecznej decyzji natychmiast albo nigdy.

Coś bardzo prostego – ale w warunkach socjalizmu utopijnego.

K. Zielonogórski

[6/1972]

MARIA HIRSZOWICZ

Śladami mitu

(W odpowiedzi Panu Stefanowi Kisielewskiemu)

W świetnym, jak zwykle, artykule pod tytułem *Polska wymaga reklamy** Stefan Kisielewski stawia między innymi pytanie, dlaczego Polska jest krajem komunistycznym bez marksistów, bez komunistycznych ideologów. I wyjaśnia, że stało się tak dlatego, bo zabrakło Żydów, rzeczywistych nosicieli marksizmu w powojennej Polsce. Jest to tłumaczenie bardzo proste i jak to zwykle bywa z prostymi tłumaczeniami przekonywające. Jeśli bowiem Żydzi importowali marksizm ze Wschodu, a nigdy się on w narodzie tak naprawdę nie przyjął, to skoro ci Żydzi wyjechali (albo porzucili doktrynę, co na jedno wychodzi), musiał zniknąć i marksizm, a wraz z nim i antymarksizm wszelkich odcieni. Pisze więc Kisielewski:

„...oto po wojnie zjawiła się w zburzonej Warszawie grupa pogrobowców KPP, którzy jęli się pracy nad zasadzaniem na niewdzięcznym polskim gruncie rośliny czystego »internacjonalistycznego« marksizmu. Ale ludzie ci nie tylko objęli uniwersyteckie katedry filozoficznego marksizmu: wierni dialektycznej zasadzie łączenia teorii z praktyką stali się szefami tajnej policji, cenzury, prokuratury i sądownictwa, nie zabrakło ich też na szczytach władzy w postaci Bermana, Minca, Zambrowskiego. Sądziło się, że niesie ich wiatr historii, nie widzieli podwójnego niebezpieczeństwa, jakie im grozi: z jednej strony wzbudzili bowiem wtórny antysemityzm społeczny, antysemityzm tym razem narodowo-ideologiczny, z drugiej strony ich losy w samym Związku Radzieckim były już przesądzone. Procesy Rajka, Kostowa, Slansky'ego powoli otwierały im oczy, lecz dopiero jawne antyżydowska i antyizraelska polityka Rosji w latach sześćdziesiątych przypieczętowała sprawę. W Polsce intryga wewnątrzpartyjna, której ukoronowanie przypadło na lata 1967–1968, wyrzucając utajoną dotąd ksenofobię partyjnych dołów, wyrzuciła ich ze stanowisk, zarzucając im na dodatek, że zrażeni do Stalina popierali »liberalizm«. Dalsze ich losy są znane: rozgoryczeni porzucali marksizm lub Polskę, niektórzy jedno i drugie, zlorzeczając nieraz, w dziwnym zaślepieniu czy niezrozumieniu sytuacji samemu, równie nic nie rozumiejące

* Stefan Kisielewski, *Polska wymaga reklamy*, „Na antenie”, maj 1974 i czerwiec 1974 [przypisy autorki].

mu, krajowi. Cała to złożona, tragiczna nieraz i perfidna epopeja – nie miejsce tu na dokładne jej opisanie, jeden skutek wyniknął z niej na pewno: znów zmaląła w Polsce kadra przekonanych marksistów na rzecz coraz to potężniejszej grupy mało ideologią zainteresowanych technokratów-pragmatyków*.

Zastrzec tu trzeba, że Stefan Kisielewski nigdy nie należał do ludzi akceptujących rodzimy antysemityzm: dał temu wyraz i w omawianym artykule. I nawet nie uważa, że posucha na marksistów jest sama w sobie zjawiskiem pozytywnym, na odwrót, z właściwą mu przekorą wyraża wątpliwość, czy nie lepsze już marksistowskie rządy niż rozwielnione cwaniactwo, jakie się w Polsce szerzy obecnie. Jeśli rozumowanie Kisielewskiego skłania do polemiki, to przede wszystkim ze względu na zawartą w nim stereotypizację, która staje się powoli częścią składową nowego politycznego mitu.

Zacznijmy od przeprowadzonego przez Kisielewskiego podziału: z jednej strony ocaleni z hitlerowskiej hekatombi Żydzi w kraju, „związani z polską kulturą i obyczajem, ci, co nie poszli do gett, lecz przetrwali wśród polskiego społeczeństwa w liczbie około 100 000”.** Z drugiej – Żydzi marksiści, przybyli po wojnie z Rosji. Ci pierwsi otaczani powszechną sympatią, antysemityzm gospodarczo-klasowy musiał bowiem po wojnie zaniknąć, ci drudzy wzbudzający poprzez swe związki z komunizmem antysemityzm tym razem ideologiczno-narodowy.

Jak to zwykle bywa w przypadku stereotypów, stwierdzenia powyższe zawierają w sobie potężny ładunek uproszczeń i jeszcze więcej nieuzasadnionych generalizacji. Wedle bardzo starannie zweryfikowanych danych, zawartych w artykule Lucjana Dobroszyckiego, w okresie między wyzwoleniem a sierpniem 1946 roku przebywało na terenach polskich około 218 tysięcy Żydów, z których tylko 22% było w kraju w chwili wyzwolenia, pozostałe 78% powróciło zaś do Polski z obozów, z Zachodu, indywidualnie ze Wschodu i ze Wschodu w ramach repatriacji. Jak rozkładało się owe 22%, dowiadujemy się pośrednio na podstawie dokonanego przez Dobroszyckiego szacunku. Poddając analizie skład 38 tysięcy Żydów zarejestrowanych w Łodzi i województwie łódzkim w okresie od 1 stycznia do 31 grudnia 1945 roku stwierdza on, że wśród nich***:

17 311 – przeżyło obozy koncentracyjne;

* „Na antenie”, czerwiec 1974, s. 17.

** Tamże.

*** Lucjan Dobroszycki, *Restoring Jewish life in post-war Poland*, „Soviet Jewish Affairs”, 1/1974, s. 59–60.

10 227 – powróciło z ZSSR przed rozpoczęciem oficjalnej repatriacji;
6479 – ukrywało się po aryjskiej stronie;
1440 – przetrwało, walcząc w jednostkach partyzanckich;
1025 – ukrywało się w lasach i bunkrach;
887 – pozostało w getcie łódzkim;
754 – było żołnierzami w Polskiej Armii w ZSSR.

Jak z tego wynika i wśród tych, których wyzwolenie zastało w kraju, i wśród tych, którzy przybyli ze Wschodu i Zachodu, musieli być ludzie bardzo różni i w obyczajach, i w tradycji, i w poglądach na komunizm.* Pogromy w Kielcach, Kraśniku, Działoszycach, Krakowie, Chełmie (a wyliczenie to nie jest bynajmniej pełne) trudno jest zaklasyfikować jako wyraz antysemityzmu ideologiczno-narodowego. Trudno się też dziwić, biorąc pod uwagę straszliwe doświadczenia lat wojny, wielkim falam emigracji Żydów z Polski w latach 1945–1946 i 1949–1950. Wyjeżdżali zaś i ci, co przetrwali w kraju, i ci, co z komunizmem zetknęli się w Rosji. Wśród tych, co zostawali, byli też ludzie bardzo różni: marksiści i niemarksiści, Żydzi całkowicie zasymilowani i ci, co trzymali się swego języka, obyczajów i religii, choć tych z każdą kolejną falą uchodźstwa ubywało coraz bardziej.

Prawdą jest, że pośród pogrobowców KPP – inteligentów, którzy przeżyli wojnę i powracali ze Wschodu, dominującą grupę stanowili Żydzi, ale nie to określało sposób, w jaki przeprowadzano sterowany w Moskwie program rewolucji proletariackiej. Program ów realizowany był z żelazną konsekwencją we wszystkich krajach Europy Wschodniej, gdzie stacjonowały wojska sowieckie, niezależnie od składu etnicznego wcielających go w życie partii komunistycznych. Prawdą jest również, że pośród tych Żydów, którzy pozostawali w Polsce, większość garnęła się do nowej władzy, która otwierała im szansę społecznego i politycznego awansu i odpowiedzialnych stanowisk, o jakich nie mogli marzyć w przedwojennej Polsce. Nieprawdą jest natomiast, jakoby Żydzi stanowili jedyną grupę, na którą liczyć mogła nowa państwowość. Wystarczy przestudiować życiorysy ludzi należących dziś do elity partyjnej, by zrozumieć, że lata powojenne były, jak nigdy przedtem ani potem, latami awansu Polski powiatowej. Końskie, Sokółka, Kielce, Ciechanów czy Piotrków – oto skąd rekrutowały się zastępy urzędników, funkcjonariuszy, instruktorów, aktywistów partyjnych i młodziutkich ideolo-

* Na Dolnym Śląsku osiedliło się około 50% ludności żydowskiej kraju. Wedle szacunków przybyło tu prawie 85 tysięcy Żydów. Patrz: „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego”, nr 75, lipiec–wrzesień 1970, s. 35.

gów, uzupełniając szczupły aparat z importu, na jakim wspierała się w początkach komunistyczna władza. Wśród pierwszej generacji z naboru partyjnego spotykamy synów drobnych urzędników, chłopów, robotników, rzemieślników i nauczycieli. Byli oni nie mniej żarliwi w swym świeżo przyswojonym komunizmie i nie mniej gotowi łączyć praktykę z teorią na zasadzie służby w tajnej policji, prokuraturze i cenzurze niż ich starsi stażem towarzysze. W miarę zaostrzania się kursu i zwiększonego nacisku na czystość ideologiczną rosło znaczenie owego pierwszego pokolenia komunistów z Polski powiatowej. Że byli w stosunku do swych KPP-owskich kolegów ciut spóźnieni, zajmowali stanowiska referentów czy naczelników wydziałów, gdy tamci piastowali już funkcje dyrektorów departamentu czy ministrów, startowali jednak w warunkach tak sprzyjających, jakie nie były udziałem żadnej chyba generacji i nie wykazywali cienia ksenofobii, gdy o awansach ich decydowali sprzyjający ich słowiańskim karierom niearyjscy zwierzchnicy.

Pisze dalej Kisielewski, że pogrobowcy KPP pozajmowali katedry filozofii, choć poza Schaffem i jednym czy dwoma innymi nazwiskami trudno się owych pogrobowców w filozofii doliczyć. Chyba że dodamy socjalistę Hochfelda, neopozytywistę Nowińskiego, rozmiłowanego w Heglu Krońskiego, kontynuującą tradycję Czarnowskiego i Krzywickiego Assorodobraj, ale wówczas zmieniają się zasady rachunku. Jeśli idzie bowiem o ludzi usuwanych z wyższych uczelni w ramach czystek marcowych, to należeli oni w olbrzymiej większości do innego już pokolenia, które zaczynało swój start zawodowy i ideologiczny w Polsce powojennej. Znaczna ich część należała do partii czy ZWM w okresie studiów na Uniwersytecie Warszawskim czy Łódzkim, później znaleźli się w kuźni profesorskich kadr marksistowskich IKKN-ie. Nieco młodsi z nich, jeśli nie wiekiem, to stażem politycznym, to absolwenci magisterskiego kursu filozofii na UW z 1952 roku. Prawdą jest, że przed ludźmi tymi otwierały się zawrotne kariery, ale były to, o czym się na ogół dziś nie wspomina, kariery pierwszych pokoleń komunistów z dyplomami, a nie awanse wedle narodowego klucza. Wśród IKKN-owców spotkamy nazwiska: Jagielskiego, Jaroszewicza, Jędruszczaka, Kępy, Kołakowskiego, Kuzińskiego, Krzemienia, Ładosza, Madajczyka, Macużanki, Werblana i Wojnar-Sujeckiej, co już samo w sobie jest świadectwem, że marksizm fascynował nie tylko ludzi, których z takim upodobaniem wyliczała marcową propagandę, że wspomnimy tu Baczkę, Bialera, Brusa, Laptera czy Helenę Eilstein. Wśród marksistów-magistrantów UW mamy obok Bauma-
na – Kuczyńskiego, Kuczyńską, Wesołowskiego, Wiatra i Żandarowskiego,

a nieco później Kociołka. Ofensywa ideologiczna kierowała się przy tym w pierwszych latach nie tyle ku nauczaniu filozofii, ile ku rozbudowywaniu sieci katedr i kursów marksizmu-leninizmu (historia WKP/b/). Mobilizowano na nie przede wszystkim posiadających jakie takie wykształcenie byłych KPP-owców, co wobec składu KPP-owskiej inteligencji określało w pierwszym okresie tej akcji strukturę narodowościową kadry nauczającej. Tylko że co z tego wynika dla dziejów ideologii w PRL? Krzewienie marksizmu odbywało się na tych samych zasadach, co we wszystkich innych krajach demokracji ludowej: marksści z ukończonym kursem szkolenia partyjnego w przedwojennym więzieniu czy w wojsku uczyli adeptów marksizmu z naboru 1948/1949, ci z kolei następnych marksistów z roczników 1950/1951 i tak to szło dalej, przy czym młodzi Słowianie wykazywali nie mniej zapału i gorliwości w akceptacji i krzewieniu doktryny niż ich niearyjscy nauczyciele.

Tyle o doborze kadry filozoficznej i ideologicznej w ogóle. Rzecz to wstydliva dla dzisiejszych profesorów pięćdziesięcio- i czterdziestolatków, bo któż chętnie przyznaje się do tego, że zaczynał swój staż teoretyczny w okresie stalinowskiego naboru. Tłumaczą się więc ludzie mojego pokolenia niedoświadczeniem, młodością, tym, że ich oszukano, ale najchętniej wskazują na innych, tych obcych, jako odpowiedzialnych za partyjne wypaczenia i błędy. A gdy już mowa o dogmatyzmie i niszczeniu kulturalnej spuścizny, to z reguły nie wspomina się tego, że w przededniu 1956 roku dziesiątki i setki młodych asystentów uczestniczyło już w walce przeciwko niemarksistowskim naleciałościom we wszystkich możliwych dyscyplinach, włączając fizykę, językoznawstwo i biologię, że pracujące pełną parą partyjne wydawnictwa liczyć mogły na rosnące zastępy autorów gotowych wykonywać propagandowe zamówienia i że cała Polska partyjna, centralna i powiatowa zajęta była tropieniem wrogów ideologicznych i denuncjowaniem nieprzekonanych. Jeśli przeto Kisielewski mówi mi, że Polacy to naród pragmatyczny i wobec marksizmu oporny, to mając na uwadze tamten okres i tamto pokolenie, z poglądem tym trudno mi się zgodzić.

Przejdźmy do dalszej części tych rozważań, a mianowicie do pytania, kto i kiedy rozczarowywał się do marksizmu. Kisielewski porównuje Czechosłowację i Polskę, nie uwzględniając tego, że mamy tu dwa odrębne ciągi rozwojowe i dwie różne chronologie. Marksowski rewizjonizm w Polsce przypadał na okres październikowy i popaździernikowy; wtedy to właśnie rozliczano się ze stalinowskich praktyk, kwestionowano dogmaty i szukano formuł pozwalających godzić komunizm z marksowską tradycją i z programem socjalizmu o ludzkim obliczu. Wtedy też zachodnia prasa rozpisywała się

z nie mniejszym zainteresowaniem o polskim rewizjonizmie, niż czyniła to w latach sześćdziesiątych w stosunku do rewizjonizmu czeskiego. Ewolucja Kołakowskiego i rozgłos, jaki uzyskała jego twórczość w tym okresie są tu chyba przykładem najbardziej znamienym. Intensywność i zasięg ideologicznych rozrachunków okresu polskiego Października nie były jednak wyznaczone przez podziały etniczne, lecz związane były z czynnikami zawodowymi, instytucjonalnymi i generacyjnymi.

Okres gomułkowski nie był przy tym okresem dominacji ani marksizmu, ani rewizjonizmu – w pierwszych latach rządów Gomułki dochodził do głosu właśnie pragmatyzm połączony ze swoistym liberalizmem, jakiego próżno by szukać dzisiaj w życiu ideologicznym.

W wyniku Października polikwidowano katedry marksizmu-leninizmu na polskich uniwersytetach, zniesiono katedry materializmu dialektycznego i historycznego, zastępując je normalnymi katedrami z zakresu filozofii i socjologii, gruntownie przerobiono programy nauczania w naukach społecznych i powołano nowe czasopisma i wydawnictwa sprzyjające zachodzącym zmianom. Mnożyły się więc różne socjologie pracy, rodziny, prawa i miast, rozwijały się badania terenowe, rosły zastępy studentów na wydziałach filozoficznych, ukazywały się w masowych nakładach prace Tatarkiewicza, Ossowskiego i Ossowskiej, a wszystkiemu patronowali zarówno Schaff jako pogrobowiec KPP, jak i kształcone kiedyś przez niego w dialektyce pokolenia funkcjonariuszy PZPR, dyrektorów ministerstw i młodych partyjnych docentów. W miarę zmniejszania się popytu na marksistów i ideologów kurczyła się wyraźnie ich podaż, a w miarę odchodzenia od okresu stalinowskiego i zmiękczenia ortodoksji tracił też sens marksistowski rewizjonizm, o którego istnieniu przypominano sobie najwyżej z lektury prasy sowieckiej i w ramach rytuału partyjnych zjazdów.

Jeżeli przejdziemy z kolei do „partyjnej intrygi” uwięczonej wydarzeniami marcowymi i pomarcowymi 1968 roku, to naiwnością jest twierdzić, że ofiarą jej padli Żydzi–marksiści (na odwrót, zaznaczała się tendencja, by tych nielicznych, do których ów przymiotnik „marksistowskiego uczonego” jako tako by jeszcze pasował, przechować na ich stanowiskach). Przedmiotem ataków byli Żydzi w ogóle, ze szczególną zjadłością jednak tropiono Żydów–liberałów, zarówno tych starszych, z partyjną przeszłością, jak i najmłodszych, pokolenie Michnika i „komandosów”, z aparatem władzy nie mających nic wspólnego.

Warto pamiętać, że w latach sześćdziesiątych zaczęły się rysować wśród partyjnej inteligencji nowe podziały wynikające ze zróżnicowanego stosun-

ku do autokratycznej władzy i do prób wzmocnienia policyjnej kontroli nad społeczeństwem. Upadek Chruszczowa i zmiana kursu w Rosji zapoczątkowały w całym bloku tendencje do powrotu do rządów twardej ręki. Druga połowa lat sześćdziesiątych otwierała przy tym liczne alternatywy: jedną z perspektyw była droga czeska, drugą – polityka rumuńska, trzecią – wariant na przeczekanie i ostrożne koncesje dla strony mocniejszej, czwartą wreszcie – przyjęcie bezwzględnej dominacji Moskwy. Nie ulegało wątpliwości, że pierwszy z tych wariantów był szczególnie popularny wśród młodzieży akademickiej i wśród inteligencji twórczej. Gdy rosnący ferment na Uniwersytecie Warszawskim spowodował powołanie specjalnej komisji partyjnej badającej przyczyny kryzysu, okazało się, że nosicielami opozycji demokratycznej w łonie organizacji partyjnej byli przede wszystkim ci z najdłuższym i najkrótszym stażem partyjnym. Gdy z kolei zaczęto poddawać opornych bliższej analizie personalnej, co już wówczas polegało na liczeniu Żydów, i gdy okazało się, że tych ostatnich jest w obu wymienionych grupach znaczący odsetek, koncepcja spisku żydowskiego, lansowana przez niektóre kliki partyjne, wydawać się mogła elitom władzy darem niebios. Wojna izraelsko-arabska ułatwiła argumentację: cóż prostszego, jak tłumaczyć niepokój wśród studentów i rosnącą aktywność ideologicznej opozycji – której nosicielami była młodzież skupiona wokół Kuronia i Modzelewskiego – poprzez odwołanie się do koncepcji „syjonistycznej dywersji”. Można było więc poczynać sobie śmiało w tłumieniu demokratycznego ruchu studenckiego, tłumacząc, że chodzi „tylko o Żydów”, można było eliminować najbardziej aktywnych przywódców tego ruchu, uzasadniając to odkryciem inicjowanego jakoby przez Zambrowskiego spisku, można było neutralizować bezpartyjną opinię publiczną, wyjaśniając, że pomarcowe rugi są przejawem i następstwem rozrachunków wewnątrzpartyjnych i można było kanalizować narastający niepokój wśród mas robotniczych poprzez organizowanie wieców i demonstracji pod szeroko propagowanymi przez środki masowego przekazu hasłami w rodzaju „Moški do Dajana”. Współzawodniczące z sobą kliki miały oczywiście różne interesy, różnie też rozkładały się propagandowe akcenty w kolejnych etapach policyjnej kontr ofensywy przeciwko uczestnikom ruchu marcowego, w każdym jednak przypadku zaznaczała się tendencja do stosowania amnestii politycznej wobec tych, co łączyli słowiańskie pochodzenie z deklaracją lojalności.

Paradoks sytuacji polegał na tym, że program „odnowy” i oczyszczania aparatu z ludzi pochodzenia żydowskiego wypadał na okres, kiedy w całej Polsce pozostawało już nie więcej niż około 25 tysięcy Żydów, z których

znaczny odsetek przypadał przy tym na województwa śląskie. Nawet jeśli uwzględnić koncentrację osób pochodzenia żydowskiego w stolicy, w pewnych zawodach i w pewnych instytucjach (w miarę rugowania Żydów z wielu sektorów w latach 1954–1966 skupiali się oni tam, gdzie – jak w wydawnictwach czy na uniwersytetach – widzieli dla siebie szansę normalnej egzystencji), to i tak proporcje te były coraz mniej znaczące, że podam tu dla ilustracji jeden ze skrajnych przykładów „zagęszczenia”, o którym tak rozpisywała się marcowa prasa:

Ministerstwo Handlu Zagranicznego (Centrala):	około 800 pracowników
Liczba zatrudnionych	w tym Żydów
na 4 wiceministrów	1
na 12 dyrektorów	1
na 4 radców ministra	2
na około 40 naczelników wydziałów	3
na około 100 radców handlowych	1
na setki referentów	1

Technika propagandowego kłamstwa polegała jednak na unikaniu dokładnych danych i statystyk. Na ich miejsce podawano „przykłady”, których efektem było to, że zapytywani przeze mnie uniwersyteccy koledzy, ilu, ich zdaniem, jest Żydów w Polsce, podawali cyfry od 50 tysięcy do 600 tysięcy (autentyczne!).

Masy, które na to patrzyły, rozumiały chyba, że coś nie tak, bo starannie przygotowywane antyżydowskie kampanie nie budziły narodowych zrywów. Efekt tych kampanii polegał przede wszystkim na rozbudowywaniu aparatu władzy, na intensyfikacji ideologicznej kontroli, na stopniowym rozszerzaniu zasięgu politycznego nadzoru, na eliminowaniu ze wszystkich ogniw partyjnych ludzi nie dość uległych i zastępowaniu ich bardziej posłuszną kadrą. Była to jednocześnie demonstracja siły ze strony władzy i kto wie, czy nie na tym właśnie polegała główna funkcja pomarcowych represji, zastraszone bowiem polską inteligencję na długo i skutecznie. To, że w tym czasie przygotowywane już były plany interwencji w Czechosłowacji, nie docierało do świadomości mas, coż się zresztą temu dziwić, jeśli nawet profesorowie wszech nauk, w tym nauk socjologicznych, raczyli się uwagami na temat klikowych rozgrywek, do których uczciwi bezpartyjni Polacy nie powinni się mieszać.

I wreszcie sprawa ostatnia, a mianowicie relacja między komunizmem a marksizmem. Utało się przekonanie, któremu daje wyraz i Kisielewski, że

marksizm jest doktryną partii komunistycznej: zanika marksizm i oto mamy partię bez ideologii, partię pragmatycznych przywódców, funkcjonariuszy i menedżerów.

W istocie rzeczy jednak doktryna komunistyczna podlegała od początku niemal zasadniczej ewolucji, zasadzającej się na stopniowej erozji tradycji marksistowskiej z jednej strony, rozwoju tendencji nacjonalistycznych (a w przypadku Rosji także wielkomocarstwowych) z drugiej. Różnice między pragmatyzmem Stalina a pragmatyzmem jego następców wydają się polegać przede wszystkim na tym, że pierwszy dbał o „teoretyczne” uzasadnianie swych posunięć, wykorzystując przy tym autorytet doktryny, z której uzasadnienia owe jakoby czerpał. W przypadku Chruszczowa, a później Breżniewa i innych współczesnych przywódców partii komunistycznych troska o stosowanie spójnej doktrynalnej fasady jest mniejsza, bezpryncypialność stanowi naczelną zasadę działania, miejsce teorii zajmuje natomiast frazeologia nacjonalistyczna, wedle której największym wrogiem jest już nie rewizjonista, ale niepatriota, ten, co oskarżając ustrój, kłał własne gniazdo.

Dlatego właśnie trudno się zgodzić z twierdzeniem Kisielewskiego, że Polska jest krajem komunistycznym bez komunistycznej ideologii. Ideologią była bowiem propaganda lansująca tezę o zagrożeniu Polski ze strony osi Izrael–Bonn i uzasadniająca tezę, że cały świat sprzysiął się, by szkalować nas – Polaków. Ideologią jest również obecne nawoływanie do politycznej uległości w imię obywatelskiej odpowiedzialności, straszenie rosyjskimi czołgami i przyłączanie się do inicjowanych przez Moskwę kampanii przeciwko Sołżenicynowi i innym politycznym dysydentom. Że nie cytuję się za często Marksa? Nie może być inaczej, skoro Marks stał się dzisiaj bożyszczem nowej lewicy, patronem zbuntowanych anarchistów, wyrocznią dla tych, którzy głoszą konieczność powrotu do rządów robotniczych przeciwko wszechwładzy partyjnych biurokracji.

Żydzi wyjechali, pozostał natomiast w Polsce mit, który po dziś dzień panuje nad umysłami i skutecznie uniemożliwia rozsądne dyskutowanie na temat najnowszej historii Polski. Mit ten jest produktem sytuacji, w której analizy i oceny powojennych dziejów Polski pełne są wykrętnych tłumaczeń i niedomówień. Wielkomocarstwowe interesy Rosji, stalinowskie metody budowania aparatu władzy, formowanie się partii kadrowej i mechanizmy jej działania w warunkach importu rewolucji, ewolucja doktryny i przystosowania jej do aktualnych potrzeb elit rządzących, wbudowywanie treści nacjonalistycznych w oficjalną teologię i manipulowanie tymi treściami w zmieniających się układach – wszystko to są sprawy wymagające szczegó-

łowej analizie. Nawykły do porządkujących świat generalizacji umysł ludzki przyjmuje, w braku wyjaśnień poprawnych, tłumaczenia oparte na pojęciowych zbitkach, okruchach doświadczeń, stereotypach i etnicznych przesądach. Gdy zaś zdarzy się – jak to miało miejsce w Polsce – że tłumaczenia takie są przez jakiś czas częścią oficjalnej propagandy, jesteśmy świadkami utrwalania się mitu, który przestaje niemal poddawać się racjonalnym zabiegom. Utrwała się on na zasadzie bezwładu, siły przyzwyczajenia, myślowej wygody, wzmacnia zaś w przypadku osobistego zaangażowania w obronę bzdur, których później wypada się albo wypierać, albo wstydić.

Milczenie, jakim pokrywa się obecnie w Polsce wydarzenia lat 1967 i 1969, stanowi samo w sobie jeden z czynników utrwalania się owego mitu. Cóż prostszego, jak uznać, że właśnie Żydzi wnieśli do Polski stalinowski komunizm, wbrew wysiłkom patriotycznych krajowców walczących solidarnie w imię narodowych tradycji. Cóż bardziej wygodnego, jak twierdzenie, że rok 1968 przyniósł odnowę w wyniku walki przeciwko pozostałościom stalinizmu, którego uosobieniem byli pozostający jeszcze w aparacie władzy Żydzi. Jeśli zaś przyjmiemy ów pogląd, możemy kwitować wyjazdy po 1968 roku twierdzeniem, że porzucali Polskę ci, którzy z narodem polskim nie mieli nic wspólnego, możemy dziwić się tym, którzy z uwagi na wyznawane przez nas poglądy zarzucają nam antysemityzm i możemy abstrahować od ideologicznych sporów, uznając, że masowy *exodus* komunistów–marksistów doprowadził do stworzenia pragmatycznej Polski gierkowskiej, wyzwolonej od ideologicznego balastu.

Stefan Kisielewski tę interpretację, jak to się mówi, kupił. Kupił nie on jeden, ale olbrzymia większość polskiej inteligencji, tej najlepszej i na wskroś postępowej. Przyjęli wyjaśnienia, jakie dawała prasa, bo były logiczne i proste. Odcinając się od antysemickiej hecy, czynnie ją potępiając, nie dostrzegali procesów, jakie zachodziły w łonie inteligencji partyjnej, bo od procesów tych byli hermetycznie niemal odcięci. Zachowując swój stereotyp partii komunistycznej i roli Żydów jako jej czołowych ideologów, nie zauważali i zauważać nie mogli zmian, jakie dokonywały się w składzie inteligencji partyjnej i aparacie władzy, nie widzieli nowych podziałów i nie rozumieali związanych z nimi konfliktów i sprzeczności. Gdy przyszedł Marzec, popierali odważnie studentów i protestowali przeciwko antysemickiej hecy, nie zdając sobie sprawy, że ta właśnie heca jest częścią mechanizmu odwracania uwagi opinii publicznej od spraw znacznie ogólniejszych. Do spraw tych należało pytanie, jak przeciwstawić się politycznej kontrofensywie? Jakimi metodami bronić naruszanych praw obywatelskich? Jak wspie-

rać wiosnę praską? Jak reagować na niszczenie jednostki poprzez używanie metody publicznych oszczerstw, na które w warunkach cenzury nie ma odpowiedzi. Jak ustosunkować się do prób zniesienia resztek autonomii uniwersytetów polskich i ubezwłasnowolnienia organizacji młodzieżowych? Na antyżydowską kampanię, firmowaną przez najwyższe władze PRL, reagowali ludzie różnie, jedni aprobując ją, inni potępiając, jeszcze inni (a tych była bodaj olbrzymia większość) śledząc jej przebieg na zasadzie zwykłej osobom postronnym ciekawości, ale nawet w tej ostatniej funkcji kampania ta zrobiła swoje, skoro po dziś dzień utrzymują się skutki ideologicznej mistyfikacji, jakiej poddano wówczas społeczeństwo.

Historiozofia, która polega na sprowadzeniu dziejów komunizmu do kwestii żydowskiej, nie sprzyja oczywiście społecznej edukacji. Stereotypy, o których mowa, odcisnęły się jak blizna na politycznej myśli Polaków. Warto by wreszcie z nimi skończyć, takie są też intencje moich uwag, w których nie zarzucam panu Kisielewskiemu niczego więcej, jak uległość wobec schematu, któremu poddało się wraz z nim tak wielu inteligentnych ludzi w Polsce.

Maria Hirszowicz

[10/1974]

Rozdział VI
Polska – sąsiedzi – Europa



W „Kulturze” poświęcano prawie tyle samo uwagi najbliższym sąsiadom Polski, co wewnętrznym sprawom kraju. I nieprzypadkowo. Stosunki z sąsiadami jak w soczewce ogniskowały większość żywotnych spraw Polski, stanowiąc jednocześnie źródło aktualnych i potencjalnych konfliktów. Tematem rozważań były więc zarówno przeszłość i teraźniejszość, jak i przyszłość.

Bezkrytyczni spadkobiercy tradycji jagiellońskiej i Unii Lubelskiej mieli wizję Polski z trudem przystającą do powojennej sytuacji, co było powodem wielu starć politycznych. Żywe polemiki budziła również ocena międzywojnia, zwłaszcza polityki narodowościowej II Rzeczypospolitej oraz postaw Ukraińców i Litwinów wobec Polaków, w tym ich stosunku do Armii Krajowej. Dyskusje dotyczące teraźniejszości skupiały się głównie na ocenie polityki rządu komunistycznego wobec mniejszości narodowych oraz wobec Polaków ciągle przebywających na terenie ZSRR. Innym wątkiem dyskusji były istniejące i przyszłe granice Polski niepodległej.

Dyskusję nad przyszłością, to jest stosunkami niezawisłego państwa polskiego z sąsiadami wyznaczała w dużej mierze przeszłość. Zwolennicy utrzymania stanu przedwojennego nie przewidywali większych zmian na ówczesnej granicy wschodniej, choć chcieli oczywiście poprawy stosunków z sąsiadami. Rozwiązanie problemów konfliktowych uzależniali od upadku komunistycznego reżymu. Reformatorzy, a do nich należał krąg „Kultury”, byli zdania, że przyszłość trzeba kształtować już teraz, bez względu na charakter ustrojowy Polski. Zastanawiano się więc nad jej przyszłym kształtem terytorialnym, który powinien zapewnić trwały pokój na wschodniej granicy, a jednocześnie oddzielić Polskę od Rosji; zastanawiano się nad rolą Polski niepodległej w Europie Środkowej i Wschodniej oraz nad jej miejscem w zjednoczonej Europie.

W dyskusjach, zazwyczaj bardzo burzliwych, brali udział wyłącznie emigranci, nawet wówczas, gdy do „Kultury” coraz częściej zaczęli pisywać autorzy krajowi. Uwaga tych ostatnich była całkowicie skupiona na sprawach wewnętrznych kraju oraz na konsekwencjach, jakie niesie za sobą przynależność Polski do bloku sowieckiego. Przyczyn tego rozdźwięku było wiele, poczynając od egzystowania w całkiem odmiennych warunkach społeczno-politycznych. Ale ważny jest sam fakt, że o przyszłym kształcie i ustroju Polski niepodległej do połowy lat siedemdziesiątych dyskutowali wyłącznie emigranci.

Zainteresowanie sąsiadami było nierównomierne. O Czechosłowacji z wyjątkiem 1968 roku pisano niewiele, a jeszcze mniej dyskutowano, o krajach skandynawskich –

nigdy. Najwięcej uwagi skupiała Rosja sowiecka oraz Niemcy¹, co było konsekwencją geopolitycznego położenia Polski, jej dziedzictwa historycznego oraz skutków drugiej wojny światowej.

Związek Sowiecki jako przedmiot zainteresowania publicystów, historyków, pisarzy i czytelników był stale obecny w „Kulturze”. Informacja była bieżąca i wszechstronna. Wystarczy wspomnieć, że pisali na ten temat: Borys Lewickij i Adam Krucek, czyli Michał Heller, którego comiesięczna kronika ukazywała się nieprzerwanie od 1969 do 1996 roku – roku jego śmierci.

W publicystyce dominowały dwa tematy: ZSRR jako imperium odgrywające zasadniczą rolę w polityce międzynarodowej, a zarazem jako państwo kolonialne sprawujące kontrolę nad tak zwanymi państwami demokracji ludowej – częsty temat rozważań Juliusza Mieroszewskiego; ZSRR jako komunistyczne imperium totalitarne o globalnych aspiracjach ideologicznych, ciemiężące nie tylko własnych obywateli, lecz wszystkich, którzy znaleźli się pod jego bezpośrednim wpływem – stały wątek twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego: jego publicystyki i jego prozy.

Chociaż ZSRR był formalnie jedynym sąsiadem na wschodniej granicy, to jednak dla „Kultury” faktycznymi sąsiadami pozostawały: Ukraina, Litwa, Białoruś. Poświęcano im wiele uwagi, szczególnie dwóm pierwszym. Decydowała o tym historia i ciągle trwające konflikty polityczne, związane z ich aspiracjami narodo-państwowymi, ze szczególną siłą ujawniające się na emigracji, a więc w świecie wyjętym spod kontroli komunistów. Zainteresowanie sąsiadami, podobnie jak w przypadku Rosji sowieckiej, nie ograniczało się do informacji i komentowania bieżącej sytuacji wpisującej się w oficjalne ramy życia politycznego, lecz w znacznej mierze koncentrowało się na działaniach opozycji i emigracji.

W „Kulturze” nie tylko pisano o sąsiadach i zapoznawano czytelników z ich doświadczeniami kulturalnymi, ale również udzielano głosu ich przedstawicielom. Dzięki temu Polacy mogli poznać się, często po raz pierwszy, z opinią odbiegającą od narodowych stereotypów i sprzeczną z ich osobistymi doświadczeniami, co było dla nich najtrudniejsze do zaakceptowania. Najbardziej kontrowersyjne i nasycone emocjami były dyskusje z Ukraińcami. Dla zrozumienia ich racji wiele zrobili: Józef Łobodowski, Borys Lewickij, Bohdan Osadcuk. Wątek stosunków sąsiedzkich nie ograniczał się do artykułów w „Kulturze”, był obecny w „Zeszytach Historycznych”, poświęcono mu również wiele publikacji.²

Dyskusje o aktualnych i przyszłych stosunkach sąsiedzkich rozpoczynały się z reguły od sporu o granicę Polski, inaczej mówiąc od sporu o jej kształt terytorialny.

¹ Por. A. Mietkowski: *Sąsiedzi i Europa* [w:] „Kultura” i jej krąg. Les Amis de Kultura, Paryż 1988, reprint: Wydawnictwo UMCS, Lublin 1995.

² W 1960 roku ukazał się specjalny numer „Kultury” w języku rosyjskim, poświęcony stosunkom polsko-rosyjskim, w 1971 roku – następny. W 1968 roku wydano specjalny zeszyt „Kultury” o wydarzeniach w Czechosłowacji, w 1969 roku ukazał się na ten temat numer w języku czeskim i słowackim. W 1959 roku Instytut Literacki wydaje pod red. Jurija Ławrynenki antologię poezji ukraińskiej (*Rozstliliane vidroždienia, 1917–1933*), jedyna tego rodzaju publikacja do 1994 roku. W 1969 roku ukazuje się w opracowaniu Iwana Koszelewica *Ukraina 1956–1968*. Nie były to jedyne książki poświęcone wschodnim sąsiadom.

„Granica” była swoistym hasłem wywoławczym wszystkich nabołatych problemów, gromadzących się od wieków, niekiedy również okazją do zademonstrowania postaw nacjonalistycznych. Oskarżenia: kto i kiedy był sprawcą przelanej krwi ciążyły nad teraźniejszością i przyszłością. W potocznej opinii, winnymi konfliktów zawsze byli „inni”, nigdy Polacy. Józef Łobodowski w swym słynnym artykule słusznie zauważył:

„Zbyt wiele krwi lepi się nam na rękach, abyśmy tracili czas na wzajemnych reweransach, podczas gdy nieodpowiedzialni ludzie przygotowują grunt pod nową, być może jeszcze straszniejszą walkę”.

Dyskusje były ostre i pełne zapalczywości, oskarżano się nawzajem i oskarżano „Kulturę” o zdradę interesów narodowych. Ale pismo Jerzego Giedroycia nie ustawało w zabiegach wychowawczych, których celem była zmiana postaw Polaków wobec wschodnich sąsiadów. „Kultura”, pismo o dużych wpływach wśród emigracji, mogła kultywować odruchy niechęci, zadawnione urazy, mogła zamykać emigrantów w narodowym getcie, getcie bezpłodnym, bo ograniczonym do pielęgnowania wspomnień i krzywd, realnych czy też wydumanych, wybrała jednak drogę odmienną.

Jerzy Giedroyc i Juliusz Mieroszewski byli świadomi utraty ziem na wschód od Bugu – nieodwołalnej nie tylko dlatego, że znajdowały się one pod panowaniem sowieckim. Ta świadomość nie oznaczała bynajmniej ani przekreślenia polskiej przeszłości na tych ziemiach, ani akceptacji rosyjskiej tam obecności, ani też rezygnacji w przyszłości z politycznej i kulturalnej roli Polski. W komentarzu, jakim Redakcja „Kultury” opatrzyła czwarty i piąty numer „Kontynentów” stwierdzano:

„Emigranci nie są w stanie przewidzieć przyszłości, nie mają ani prawa pobierać decyzji w imieniu swoich narodów, ani mandatu do ustalania granic. Ale posiadają jeden przywilej: śmiałości, nie cofającego się przed niczym, wyciągania nauk z przeszłości i wytyczania dróg, którymi pójdą następne pokolenia. Z tego przywileju skorzystała „Kultura”, stawiając jasno sprawę przynależności Lwowa i Wilna w interesie przyszłych stosunków polsko-ukraińskich i polsko-litewskich. Od naszych przyjaciół Rosjan oczekujemy podobnej odwagi myślenia, w interesie samego narodu rosyjskiego”.³

Nim doszło do koncepcji ULB, której głównym propagatorem był Juliusz Mieroszewski, a więc do uznania niezawisłości trzech państw: Ukrainy, Litwy i Białorusi, nim doszło do dobitnie sformułowanego stanowiska w sprawie Lwowa i Wilna, a były to ostatnie szanse broniące przez emigrantów, „Kultura” wraz z wiernymi jej czytelnikami przeszła długą drogę historycznej i politycznej ewolucji. By przejść tę drogę, trzeba było nie tylko wielkiej śmiałości, ale przede wszystkim posiadania wizji Polski niepodległej i nowoczesnej w ciągle przekształcającej się Europie, a także głębokiego przekonania, że krach komunizmu jest nieunikniony. Stanowisko „Kultury” wobec państwowości wschodnich sąsiadów połączone z akceptacją granicy na Bugu było aktem odwagi, na jaki wielu polityków dawnych państw kolonialnych, na przykład Francji czy Belgii, nie umiało się zdobyć, narażając w rezultacie własne narody na wojnę i niepotrzebne ofiary.

³ Redakcja: *Komentarz do komentarzy*, nr 1–2/1976.

„Kultura”, pismo emigrantów, zależne wyłącznie od swoich czytelników, odważała się głosić poglądy na ogół sprzeczne z ich przekonaniami i przyzwyczajeniami. Nadto „Kultura” głosiła program opozycyjny wobec rządu londyńskiego, co było dodatkowym argumentem do oskarżeń pod jej adresem i stwarzało realne możliwości rejterady jej czytelników. Warto przypomnieć, w jakich warunkach geopolitycznych i psychologicznych Jerzy Giedroyc wszczął proces dekolonizacji polskich umysłów.

Jeden z paradoksów drugiej wojny światowej polegał na tym, że Polska, członek koalicji antyhitlerowskiej, walcząca na obu frontach, wyszła z wojny wykrwawiona, ze zniszczonym krajem, okrojona o jedną trzecią terytorium, a przede wszystkim politycznie i gospodarczo uzależniona od ZSRR. Cedując polskie obszary zza Buga na rzecz zwycięskiego sojusznika ZSRR mocarstwa obradujące w Jaltie równoważyły stratę, przesuwając zachodnią granicę Polski na Odrę i Nysę. W tym ostatnim przypadku decyzja nie była zresztą definitywna. Dla emigrantów, których znaczna część urodziła się na wschodnich obszarach Rzeczypospolitej, a wszyscy byli związani z tymi ziemiami, choćby przez literaturę, przyznane Polsce ziemie nie były w stanie zrównoważyć poniesionej straty ani ze względów politycznych, ani emocjonalnych.

Zgodnie z interesami zwycięskich mocarstw, Polska, wbrew woli narodu, znalazła się w sferze wpływów ZSRR, swojego podwójnego wroga: spadkobiercy rosyjskiego imperium i bastionu światowego komunizmu. Polityczna emigracja londyńska, której trzon stanowili politycy II Rzeczypospolitej, a wielu z nich uczestniczyło jeszcze w walkach o niepodległość i brało udział w kształtowaniu odzyskanej państwowości, pozostali zaś byli żołnierzami polskich dywizji walczących w ramach antyhitlerowskiej koalicji na zachodnim froncie, często po przejściu przez łagry sowieckie, nigdy nie uznała czwartego – jak mówiono – rozbioru Polski. Ta emigracja, broniąc suwerenności państwa polskiego broniła równocześnie całości jego przedwojennej spuścizny, w tym terytorialnego kształtu Polski. W imię państwowego legalizmu, odwołując się do przedwojennych traktatów i przypominając wkład Polski w rozgromienie Niemiec, odrzucała sugestie jakichkolwiek zmian. Nie chciała nawet podejmować dyskusji. W konsekwencji, coraz bardziej zasklepiała się w politycznym anachronizmie.

Krąg „Kultury” swą walkę o odzyskanie niepodległości toczył natomiast z pozycji realizmu politycznego: nie rezygnowano z krytycznych ocen przedwojennego systemu, jeśli zachodziła taka potrzeba; uwzględniano aspiracje narodowe sąsiadów, jeszcze silniejsze niż przed pierwszą wojną światową; zdawano sobie sprawę z tego, że kryteria polityczne, dyplomatyczne i społeczne, które wyznaczały międzynarodową i wewnętrzną politykę państw europejskich w okresie międzywojennym, uległy zasadniczej zmianie; rejestrowano również zmiany zachodzące w postawie społeczeństw świata zachodniego: zaniku kultu wodzów i pogłębiających się aspiracji demokratycznych, w tym walki o prawa człowieka i obywatela.

Linia polityczna „Kultury” różniła się więc zasadniczo od linii zwolenników państwowego legalizmu. Szczególnie dobitnie wyrażało się to w stanowisku zajętym wobec sąsiadów. Reakcje oponentów były złożone: od argumentów politycznych i prawnych po polityczne pomówienia, wśród których zdrada polskich interesów narodowych była argumentem koronnym. Inną formą ataków były oskarżenia, w których emocje zastępowały polityczne argumenty.

Z politycznymi adwersarzami „Kultury” rozprawiał się Mieroszewski, ale nie był jedynym, który bronił jej pozycji. Kazimierz Okulicz, chociaż nie był stałym współpracownikiem „Kultury”, tak charakteryzował polityczną postawę polskiej emigracji:

„Wśród każdej zapewne emigracji zauważyć się daje – wśród polskiej na pewno – zjawisko, które nazwać by można opóźnionym myśleniem. Często, słuchając przemówień i dyskusji, wydaje mi się, że oglądamy i oceniamy rzeczywistość z lat 1945 albo i wcześniej”.⁴

W porównaniu z postulatami wysuwanymi przez wizjonerów z „Kultury”, „opóźnione myślenie” miało w oczach emigrantów walor stabilności, dzięki której odnajdowali się w historycznej ciągłości, świadczącej o ich identyczności narodowej. Trzeba było sporo czasu i wielu argumentów, by rozpoczęła się rewizja narodowej przeszłości, a tym samym zaczął się zmieniać stosunek do narodowych aspiracji sąsiadów. Mimo wszystkich trudności, w procesie wychowywania emigracji, łatwiej było przekształcać jej polityczne poglądy niż zmieniać emocjonalne nastawienie. Za utrzymaniem stanu przedwojennego, obok racji polityczno-historycznych, przemawiało przede wszystkim rodzinne przywiązanie do małej ojczyzny. O związkach z nią decydowała pamięć zbiorowa ukształtowana przez wieki wspólnej, choć konfliktowej przeszłości, pamięć rodzinna oraz osobiste doświadczenia, między innymi wyniesione z ostatniej wojny. Wielu czytelników „Kultury” akceptowało co prawda jej linię polityczną, ale czyniło to bez entuzjazmu, ze świadomością poniesionej straty. Racje uczuciowe i nostalgia miały swoją własną logikę, trudną do pogodzenia z racjami politycznymi, choćby jak najbardziej słusznymi.

Zasługą „Kultury” było otworenie łam pisma dla rzeczników wszystkich stanowisk, dzięki czemu każdy mógł ukształtować własną opinię i porównać ją z argumentami osób inaczej myślących. Ważnym elementem tych dyskusji była wymiana poglądów między czytelnikami. Najlepszym tego przykładem była reakcja na list księdza J. Majewskiego. Większość korespondentów okrzyknęła go zdrajcą. „Kulturę” krytykowano za samo wydrukowanie listu, co miało być świadectwem jej rezygnacji z walki o niepodległość, niektórzy wypowiadali prenumeratę. Atakując ks. Majewskiego, emigranci bronili swojej wizji Polski: jej kształtu terytorialnego, a przede wszystkim jej cywilizacyjnej i kulturalnej roli, jaką przez wieki odgrywała na ziemiach wschodnich, w ich ojczyźnie. Byli jednak czytelnicy „Kultury”, którzy solidaryzowali się z autorem listu i popierali Redakcję.

Dyskusje toczone w „Kulturze” są świadectwem politycznej polaryzacji emigracji, ale są równocześnie świadectwem jej nastrojów i ewolucji, jaką przechodziła. Za argumentami politycznymi słychać było głos rozpacz. Wypowiadały się osoby podwójnie wyzute z ojczyzny: emigranci małych ojczyzn, bezpowrotnie utraconych oraz emigranci pozbawieni własnego, niepodległego państwa. Stąd porywczosć wypowiedzi, łatwość ferowania krzywdzących sądów, stąd podejrzliwość i krytyki wysuwane pod adresem nawet najbardziej szanowanych autorytetów. Na przykład Józefa Czapskiego.

A jednak „Kultura” nie rezygnowała z prowadzenia swojej misji wychowawczej. Tłumacząc i przekonując wygaszała emocje i przyzwyczajała do Polski w nowych gra-

⁴ K. Okulicz: *Miedzy Niemcami a Rosją*, nr 10/1964.

nicach, a zarazem otwierała przed emigrantami nowe perspektywy. Dziś można stwierdzić, że polityczne zwycięstwo odnieśli wizjonerzy z „Kultury”. W przeciwieństwie do konfliktów granicznych i narodowościowych występujących w wielu krajach bloku sowieckiego, nie wspominając już o Jugosławii, na wschodniej granicy Polski panuje spokój. „Kultura” ma w tym swój niezaprzeczalny udział.

Zainteresowanie zachodnim sąsiadem wypływało z innych pobudek. Aczkolwiek stosunki historyczne Polski z Niemcami były równie skomplikowane co z Rosją, to jednak współczesność była odmienna. Przede wszystkim istniały dwa państwa niemieckie, co przez wielu autorów „Kultury” przez dłuższy czas było przyjmowane z ulgą i traktowane jako karta przetargowa dla przyszłej normalizacji. NRD, bezpośredni sąsiad Polski, była przez wszystkich postrzegana jako wasal ZSRR, gorliwie wykonująca każde polecenie. Ataki na politykę polską, które ukazywały się w prasie NRD przy każdym nowym, polskim konflikcie politycznym, były traktowane jak papierek lakmusowy nastrojów sowieckich mocodawców wobec Polski.

Stosunek do RFN był bardziej skomplikowany. W oczach publicystów „Kultury” reprezentowała ona właściwe Niemcy. Dostrzegano i podziwiano jej rozwój gospodarczy, konstатовano siłę i autorytet państwa niemieckiego, zwłaszcza po powstaniu Unii Europejskiej. Uważnie obserwowano zachowanie Niemców, w tym ich postawę wobec niedawnej przeszłości. „Kultura” ułatwiała zadanie czytelnikom dzięki systematycznej i obszernej informacji, głównie zresztą dotyczącej RFN, co łatwo zrozumieć z uwagi na istnienie „żelaznej kurtyny”. Nawet po latach czytane korespondencje i kroniki Jerzego Prądyńskiego (używającego pseudonimu „Berlińczyk”⁵), Stefana Władysława Kozłowskiego i Andrzeja Chileckiego, zmarłego przed kilkoma laty, są interesującym i niezbędnym świadectwem dla zrozumienia tamtych, odległych czasów.

Uważnie śledzono politykę PRL wobec obu państw niemieckich i wobec Niemców jako całości. Krytykowano ją niejednokrotnie za podsycanie nienawiści, utrwalanie urazów i rozdmuchiwanie niebezpieczeństw, których źródłem mieli być niemieccy rewizjoniści. Nie chwalono, ale i nie krytykowano działań, które prowadziły do ochrony interesów państwa polskiego, na przykład umowy zawartej między Polską a RFN w 1970 roku. Ostro natomiast oceniano stosunki z NRD, jako nie wnoszące żadnych elementów pojednania, zaś zagrażające niejednokrotnie interesom Polski, ze względu na dywersyjną rolę NRD.

Dla „Kultury” konieczność pojednania się z Niemcami i ułożenia z nimi poprawnych stosunków była równie oczywista, co konieczność zabezpieczenia pokoju na wschodniej granicy. Obraz Niemiec i Niemców przedstawiany przez niektórych autorów „Kultury” budził kontrowersje, których źródłem były przejścia związane z wojną. Dla większości Polaków, którzy ją przeżyli pod niemiecką okupacją, będąc często ofiarami hitlerowskiego terroru, obraz Niemców różnił się zasadniczo od wyobrażeń Polakami hitlerowskiego terroru, obraz Niemców różnił się zasadniczo od wyobrażeń Polaków, którzy wojnę przeżyli z dala od Polski. Wiedzieć o zbrodniach, a żyć w ich cieniu było całkowicie odmiennym doświadczeniem. Była to zresztą jedna z zasadniczych linii podziału między „krajowcami” a emigrantami, z których wielu przeszło przez łagry

⁵ Po śmierci Jerzego Prądyńskiego tego samego pseudonimu, od numeru 11/109, używał Bohdan Osadczyk.

sowieckie. „Krajowcy”, ale i sporo emigrantów, którzy mieli za sobą doświadczenia okupacji w Warszawie nie mogli ani zapomnieć o zbrodniach, ani zdobyć się na współczucie dla Niemców z powodu takiego czy innego nagannego zachowania alian-tów. W pierwszym, powojennym dwudziestoleciu, niewielu było takich, którzy byliby skłonni przebaczać Niemcom.

Stosunek do Niemców zaczął się zmieniać wraz z wchodzeniem w życie nowych ro-czników, które pozostawały obojętne na propagandę komunistyczną, z jej nie koń-czącymi się wspomnieniami z okupacji, tym bardziej obojętnie przyjmowanymi, że przed oczyma miały kwitnące gospodarczo państwo o demokratycznym ustroju. W kształtowaniu nowego stosunku do Niemców doświadczenia wyniesione z ostatniej wojny zaczęły więc odgrywać rolę drugorzędną. Innym czynnikiem była zmiana zainteresowań młodego pokolenia, które znacznie bardziej interesowało się losami Polaków w Sowietach niż ofiarami terroru hitlerowskiego. Zaczęły się kształtować warunki społeczno-psychologiczne umożliwiające faktyczną normali-zację stosunków polsko-niemieckich. Kością niezgody pozostawała granica na Od-rze i Nysie.

Zachodnia granica Polski nie wywoływała wśród emigracji emocji sentymental-nych, bo i z jakich powodów miałaby je wywoływać. Stanowiła natomiast problem po-lityczny. Pomijając pierwsze, powojenne lata, kiedy wydawało się, że porządek pojał-tański jest tymczasowy, a granice dopiero zostaną ustalone w wyniku konferencji po-kojowej, w miarę upływu czasu, dla większości emigrantów granica na Odrze i Nysie stawała się faktem oczywistym, nie podlegającym dyskusji. Wielu gorliwych patrio-tów z głębokim przekonaniem broniło równocześnie prawa Polski do Wilna i Lwowa oraz do Wrocławia i Szczecina, co Mieroszewski niejednokrotnie wyśmiewał. Tłem po-lemik było nie tyle samo istnienie zachodniej granicy, co dylemat: czy i w jakiej mie-rze emigracja powinna popierać wysiłki rządu komunistycznego w celu międzyna-rodowego uznania granicy na Odrze i Nysie oraz uznania jej przez Republikę Federal-ną Niemiec? Zarysowały się dwa odmienne stanowiska, które można by określić jako ideologiczne i propaństwowe.

Dla rzeczników pierwszego, których wybitnym przedstawicielem był Józef Mac-kiewicz, Polska nie była suwerennym państwem, lecz częścią imperium sowieckie-go, toteż podejmowanie działań na rzecz międzynarodowego uznania granicy za-chodniej było bezsensowne, a co więcej szkodliwe, gdyż sprzyjało wyłącznie utrwa-laniu władzy komunistów. W Mackiewiczu ziemie nadodrzańskie nie wzbudzały żadnych sentymentów ani nie poruszały jego wyobraźni, co najwyżej współczucie dla Niemców. Granica na Odrze i Nysie była więc dla niego wyłącznie problemem ideologicznym. Artykuły Mackiewicza i jego częste listy do „Kultury” na tematy po-lityczne były przez Jerzego Giedroycia drukowane, choć na ogół opinie Mackiewicza różniły się ze stanowiskiem „Kultury” oraz z nastrojami jej czytelników.

„Kultura”, jak większość jej czytelników, zwłaszcza po 1956 roku, mimo swoich antykomunistycznych przekonań uważała, że należy bronić interesów państwa pol-skiego, nawet PRL, jeśli pokrywają się one z żywotnymi interesami narodu.

„Państwo polskie jest okupowane, ale niemniej jednak istnieje – pisał Mieroszewski – i pod tym względem nie można porównywać obecnej okupacji sowieckiej z sytuacją zaborczą sprzed

1918 roku. Wówczas istniał tylko naród polski, który żył pod trzema zaborami – natomiast państwo polskie nie istniało *de facto* ani *de iure*.⁶

Trzeba było mieć nie byle jaką odwagę, by w 1954 roku głosić istnienie państwa polskiego, co więcej troszczyć się o jego kształt terytorialny, mimo zależności od ZSRR. Granica wschodnia i zachodnia Polski była przez „Kulturę” postrzegana jako najbardziej żywotna sprawa państwa polskiego, zwłaszcza tego przyszłego: suwerennego i demokratycznego. I dlatego tyle uwagi jej poświęcano. W *Autobiografii na cztery ręce*, Redaktor „Kultury” omawiając rozbieżności między jego pismem a Londynem stwierdzał:

„Obecną granicę wschodnią Polski zaakceptowaliśmy bardzo szybko. Jednym z najważniejszych numerów »Kultury« był właśnie ten, w którym ogłosiliśmy list księdza Majewskiego w tej sprawie. Później »Kultura« zajęła zdecydowane stanowisko, że Lwów ma być ukraiński, a Wilno – litewskie. Granicą zachodnią interesowaliśmy się mniej. Nie wydaje mi się, by była ona dla mnie kiedykolwiek problemem. Problemem było wysiedlanie Niemców robione bez potrzeby w sposób nieludzki. Zapewne, Niemcy bardzo okrutnie postępowali wobec Polaków, ale nie było powodu, by naśladować ich pod tym względem”.⁷

Granica zachodnia nie stanowiła problemu, lecz jej tymczasowość budziła niepokój, również publicystów „Kultury”. W centrum dyskusji były warunki jej prawnego uznania. Wśród licznych koncepcji warto zwrócić uwagę na projekt Aleksandra Kawalkowskiego, wzbudzający polemikę, a dziś zwraca uwagę swoją polityczną przenikliwością. Sformułował on dwa podstawowe warunki, od których spełnienia uzależniał zgodę Polaków (łącznie z emigrantami) na zjednoczenie obu państw niemieckich: uznanie granicy na Odrze i Nysie oraz powstanie Polski suwerennej, wyzwolonej spod sowieckiego panowania.⁸ Inaczej mówiąc, Kawalkowski powstanie jednego, niemieckiego państwa oraz międzynarodowe, prawne uznanie granicy na Odrze i Nysie wiązał ze zniesieniem pojałtańskiego porządku w Europie.

Rozwiązanie problemu niemieckiego, to jest zjednoczenie obu państw niemieckich i uznanie zachodniej granicy polskiej, wiązano również z polityczną reorganizacją państw europejskich, tworzących wspólną jedność. W pierwszych latach powojennych nadzieje pokładano w powstaniu federacji państw europejskich, w których powinna by była znaleźć się Polska. W latach późniejszych, po powstaniu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, gdy wydawało się, że kontynent europejski przedzielony ideologiczną granicą na Łabie jest ustabilizowany na bliżej nieokreślony czas, wizja Europy na łamach „Kultury” nabrała innego kształtu. Europejska Wspólnota Gospodarcza, acz niezmiernie ważna, nigdy nie zaspokajała nadziei publicystów „Kultury”. Wedle ich postulatów, Europa powinna być przede wszystkim unią polityczno-kulturalną, która byłaby zaporą przeciw ciągle tłącemu się nacjonalizmowi i wciąż istniejącemu totalita-

⁶ J. Mieroszewski: *Niemcy*, nr 4/1954.

⁷ J. Giedroyc: *Autobiografia na cztery ręce*, opracował K. Pomian, „Czytelnik”, Warszawa 1994, s. 153.

⁸ A. Kawalkowski: *O pojednanie polsko-niemieckie*, nr 9/1964. Redakcja wydrukowała pięć listów polemizujących z autorem.

ryzmowi sowieckiemu. Europa miała być również kontynuatorem najlepszych tradycji całego kontynentu europejskiego. W tej przestrzeni cywilizacyjnej Polska powinna zająć należne jej miejsce z racji swego dziedzictwa historycznego, z uwagi na swoją przeszłość.

O Europie pisano w „Kulturze” z nadzieją, ale i bardzo krytycznie, zwłaszcza wówczas, gdy państwa zachodnie akceptowały *de facto* politykę ZSRR w krajach Europy Wschodniej. Poza Mieroszewskim, dla którego Europa była stałym tematem, jej faktycznym kronikarzem i krytycznym obserwatorem stał się Brukselczyk, czyli Leopold Unger. Dzięki niemu Wspólnota Europejska przestała być tematem ogólnych rozważań politycznych, a stała się stałym przedmiotem zainteresowania: jej polityką wewnętrzną i międzynarodową. Unger ze szczególną uwagą obserwował kontakty Wspólnoty z blokiem sowieckim, w tym z PRL, i w tym kontekście oceniał rolę ZSRR, przeważnie dla Polski szkodliwą.

Iluzje europejskie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych były znacznie większe niż dzisiaj. W wielu przypadkach europejskie koncepcje „Kultury”, w tym postulaty Mieroszewskiego, okazały się romantyczną mrzonką, w innych przypadkach – błędne, lecz nie umniejsza to jego dokonań. Wizja suwerennej Polski, członka wspólnoty europejskiej, urzeczywistnia się na naszych oczach.

Grażyna Pomian

Przeciw upiorom przeszłości*

Mój artykuł *Między Muszalskim i Zagłobą*, drukowany ubiegłego lata w „Wiadomościach”, podsycił i rozszerzył dyskusję toczącą się uprzednio na łamach tegoż pisma, zresztą dyskusję dość marginesową, bo ograniczoną niemal w całości do działu „Korespondencja”. Tym razem jednak Jędrzej Giertych wystąpił z obszernymi uwagami, dołączył się Zbyszewski, napisali listy profesor Studnicki i Jan Tokarski. Żywo zareagowała strona ukraińska. Wiele czasopism wychodzących w Europie i Ameryce ogłosiło przekład mojej pracy w całości lub obszernych wyciągach, zaopatrując je w komentarze; zasadniczo odpowiedziało paryskie „Ukraińskie Słowo”. Wreszcie otrzymałem sporo prywatnych listów, przeważnie od osób mi nie znanych.

Niektórzy korespondenci zwrócili uwagę, że artykuł mój był prawie w całości polemiczny, natomiast zabrakło w nim konkretnego programu ugody polsko-ukraińskiej.

„Bo przecież – słusznie pisze jeden z nich – praktycznie biorąc, cała sprawa sprowadza się do pogranicznych ziem spornych. Gdyby któraś ze stron zrezygnowała na rzecz drugiej ze Lwowa, nic nie stałoby porozumieniu na przeszkodzie. Ci z Polaków, którzy usiłują udowodnić, że Ukraina powstać nie może, a gdyby nawet powstała, nie utrzyma się pod naporem Rosji, bardziej wpatrują się w Lwów i Tarnopol, niż w Kijów i Połtawę. Ukraińcy znów wszystkie problemy łączące się z Polską rozpatrują w skali: Zbrucz–San. Skoro ustępstwo którejkolwiek ze stron wydaje się, przynajmniej w chwili obecnej, niemożliwe, pisanie na ten temat ma sens tylko wtedy, gdy autor widzi i proponuje trzecie rozwiązanie i to bardzo konkretnie sprecyzowane. Cała reszta, włącznie ze szlachetnym wzywaniem do nieprzelewania krwi w bratobójczych walkach, nosi charakter zdecydowanie utopijny i z politycznego punktu widzenia – obojętny”.

* Artykuł J. Łobodowskiego liczy 53 strony. W niniejszym wyborze jest przedrukowany ze skrótami.

Jest w takim sformułowaniu sporo racji, ale niecałkowicie. Myślę, że nawet w wypadku nieznalezienia trzeciego rozwiązania, wzajemne rozmowy i rozładowywanie sąsiedzkiej nienawiści nie stanowią utopii i mogą okazać się pożyteczne. Nie znaczy to jednak, abym innych możliwości nie widział. Zanim dojdę do sedna zagadnienia, trzeba podsumować dotychczasową dyskusję i odeprzeć wysunięte zarzuty. Nawet marginesowa polemika mie-
wa niekiedy swą pozytywną podszewkę. Gdy się kompromituje fałszywą argumentację, przyczepioną do niesłusznej i szkodliwej tezy, również i sama teza zaczyna chwiać się w oczach czytelnika. Teren, na którym odbywają się nieliczne spotkania polsko-ukraińskie, jest tak najeżony kolczastymi zaskakami, przekopany wilczymi dołami, zaśmiecony wzajemnymi uprzedzeniami i podejrzeniami, przesiąknięty stęchlą wodą anachronicznych opinii, że trzeba go choćby częściowo oczyścić i zdrenować, bo inaczej zagubimy się w nim bez ratunku. Oczywiście, po obydwu stronach barykady są ludzie, którym już nic nie pomoże. Jedni zawsze oświadczają: „Ty sobie gadaj, co chcesz, a ja wiem, że Ukraińcy to czarnopodniebienne gady!” – a inni odpowiadają: „Lach, Żyd i sobaka – wira odinaka”.

Zatem spróbujmy raz jeszcze podsumować zarzuty z różnych stron pod moim adresem wysunięte i cierpliwie na nie odpowiedzieć, choć w wielu wypadkach należałoby ich autorów odesłać do szkoły, by trochę poślęczeli nad logiką, historią, a nawet nad podręcznikiem elementarnej geografii. Innym znowu – i to przeważnie tym, co najgłośniej krzyczą o katolicyzmie i moralności, przydałby się i katechizm.

[...]

Między Kijowem a Moskwą

A teraz przejdźmy do kwestii zasadniczej. Czy powstanie niepodległej Ukrainy leży w interesie Polski, czy nie? Jeżeli tak, warto dalej prowadzić dyskusję, jeżeli nie – cała reszta traci znaczenie. Bo jeśli prawdą jest, jak utrzymują Giertych, Studnicki, Zbyszewski*, że przykładanie przez nas ręki do budowania ukraińskiej niepodległości lub choćby nieprzeszkadzanie temu budowaniu grozi narodowi polskiemu całkowitą zagładą, cóż któregośkolwiek Polaka mogą obchodzić zagadnienia, które tu zostały poruszone! Są Ukraińcy narodem czy nie, mają prawo, czy nie mają do spadku po Rusi Ki-

* Chodzi o Wacława Alfreda.

jowskiej, był Szewczenko prorokiem, czy rodzajem ukraińskiego Mistrała – wszystko to przesuwają się na płaszczyznę zainteresowań czysto akademickich. A jeśli Giertych ma rację? Jak tu ratować, a choćby tylko współczuć tonącemu, jeśli natychmiast po uratowaniu przebiję mnie nożem albo inni, silniejsi ode mnie, rozgniewani, że wtrącam się do nie swoich spraw, mnie samego wrzucą do rzeki? Rzeczywiście, niepodobna! Więc czy nie lepiej, otarłszy „ukrainofilską” łezkę z powieki, dać sobie spokój i rodakom czulej wątroby nie jętrzyć?

Właśnie takie stanowisko zajął Zbyszewski w artykule *Wedle stawu grobla*. Nie interesuje go „nastawienie sentymentalne p. Łobodowskiego” ani „strona historyczna polemiki”. Natomiast w zgodzie z Giertychem twierdzi, że nasza czynna interwencja w walce narodu ukraińskiego o swój niepodległy byt skończyć się może straszliwą katastrofą, ponieważ Zachód utwierdziłby się w przekonaniu, że „jesteśmy narodem awanturczym, którego nie można brać na serio”, no i dlatego, że „dla Rosji kwestia Ukrainy jest kwestią życia i śmierci”. Giertych przytacza argumenty bardzo zbliżone. Stanowisko proukraińskie mogą poprzeć wyłącznie Niemcy, ale będzie to poparcie zdradzieckie, zaś „Rosji narazimy się na śmiertelną nienawiść i zemstę”.

Przede wszystkim wyrażę przekonanie, że w sprawie ukraińskiej, jak i w każdej innej, musimy zdobyć się na stanowisko czynne. Zbyszewski sugeruje zachowanie się wręcz odwrotne. Ponieważ nie mamy sił na rozbijanie Rosji, a nasze urojenia mocarstwowe i tak już nam wiele szkody przyniosły, więc „nie wkładać palca między drzwi”, pamiętać, że „wedle stawu grobla” i w ogóle trzymać się przysłowia ukraińskiego: „Moja chata z kraju, ja niczoho ne znaju”. Gdyż „maksimum czego w najpomyślniejszym wypadku możemy oczekiwać, że będziemy przesłuchiwać w sprawie naszych granic”.

To wszystko brzmi wielce rozsądnie, ale ma jeden logiczny mankament. Oto wcale nie jesteśmy w sytuacji owego gospodarza, którego chata stoi „z kraju”. Nigdy nie stała. Dziś mniej niż kiedykolwiek.

[...]

Więc gdy Zbyszewski twierdzi, że nie stać nas na politykę w większym stylu, ja postawię tezę wręcz przeciwną: jeśli na coś nas nie stać, to na bierność, na koncepcje połowiczne, na przeczekiwanie burzy pod dziurawym parasolem oportunistów. Jeśli stoimy na stanowisku, że idealne dla nas rozwiązanie na Wschodzie to granica ryska z przyszłą Rosją – chcąc tego i Giertych, i Zbyszewski, choć widzą trudności – zaś niepodległej Ukrainy trzeba

się strzec jak diabeł święconej wody, czemuż zwlekamy? Jest Kiereński, są inne grupy emigracyjne, większość przyjmie nasze oferty z wyciągniętymi rękami. Zbyszewski jednak w ogóle z Rosjanami zadawać się nie chce, bo to „raby”, i kraj nadający się wyłącznie pod okupację i kolonie; Giertych chciałby, ale konkretnego programu w tej mierze również nie precyzuje.

[...]

Inny argument: „Żadna Ukraina wobec Rosji nie utrzyma się trzech miesięcy bez obcej okupacji”. Tak przecież było w roku 1918. Wprawdzie Dniepr wielka rzeka, ale dla wielu osób woda w niej stała najwidoczniej w miejscu w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Nie zamierzam bawić się w proctwa, bo nie wiem, w jakich okolicznościach zewnętrznych i wewnętrznych nastąpi krach sowiecki. Od tego i od zachowania się Zachodu, Stanów Zjednoczonych przede wszystkim, zależeć będzie niemal wszystko. Ale coś zostanie i dla nas. Pewnie, że jeśli naród ukraiński nie wykaże dostatecznej decyzji i siły w owym momencie, to i nasza ewentualna pomoc na nic się nie zda. Ale chodzi o coś innego, o to mianowicie, by nie powtórzyła się wojna rozbijająca nasze siły, by Ukraińcy mieli rozwiązane ręce na Północy, a my na innych, żywotnych dla nas odcinkach. A do tego nie dojdzie bez uprzedniego porozumienia.

We wszystkich polemikach z przeciwnikami tezy proukraińskiej zauważyłem uparte przechodzenie do porządku dziennego nad głównym argumentem adwersarzy. Tak i tym razem Giertych w ogóle go ignoruje, Studnicki również, Zbyszewski ledwie o niego potrąca. Tego argumentu nie wymyśliłem ani go podaję po raz pierwszy. W „Biuletynie Polsko-Ukraińskim”, w „Myśli Polskiej”, w „Problemach Europy Wschodniej” zapisaliśmy na ten temat tony papieru, a tu nic, szanowni przeciwnicy wciąż udają, że nic o tym nie wiedzą. Więc Giertych mówi: „Ukraina byłaby nieuchronnie sojuszniką Niemiec, a więc brałaby nas wraz z Niemcami nieuchronnie w kleszcze”.

[...]

Zdawało by się: proste. Rosja usunięta z basenu czarnomorsko-kaspijskiego będzie dążyć do powrotu. Ukraina będzie więc miała zbyt wiele kłopotów z obroną własnej niepodległości, aby myśleć o atakowaniu Polski. Natomiast w razie sojuszu Berlina z Moskwą, Kijów stałby się natychmiast naszym sprzymierzeńcem, nawet w wypadku rozstrzygnięcia spornych granic nie po myśli ukraińskiej. Nieprzebragani nacjonaliści ukraińscy mogą mówić i pisać dzisiaj inaczej. To nie zmienia faktu, że w razie powstania przedstawionej powyżej sytuacji Ukraina byłaby naszym sprzymierzeńcem.

Takie były od początku tezy zwolenników niepodległej Ukrainy, do których niżej podpisany ma zaszczyt się zaliczać. Powtórzmy: niepodległa Ukraina będzie neutralizować niebezpieczeństwo rosyjskie. I osłabiać tym samym skuteczność ewentualnego porozumienia Moskwy z Berlinem. Takie są rozumowe podstawy mego „ukrainofilstwa”. A to, że podobają mi się pieśni ukraińskie, że staję się lirycznie roztkliwiony, gdy słyszę granie bandury, że mam we krwi pewne tradycje stepowe, to już jest moja sprawa prywatna, w niczym nie osłabiająca przedstawionego wyżej argumentu. To dla amatorów wyłapywania moich sentymentów osobistych.

No dobrze, odpowiedzą stratedzy, ale co nam po takim sojuszniku, który nie utrzyma się w walce z Rosją nawet trzech miesięcy, jak zapowiada Zbyszewski. Wtedy czeka nas straszna zemsta Rosji, jak zapowiada Giertych. Teraz ja powiem: Wolne żarty, panowie! Po wojnie przegranej przez Sowiety, Rosjanie utrzymają się na Ukrainie lub nie. Jeszcze raz: wszystko zależy od okoliczności, w jakich nastąpi przełomowy moment. Ale Ukraina, która będzie miała za sobą choćby kilka lat samodzielnego życia, stanie się orzechem niełatwym do zgryzienia nawet przez Rosję i skuteczną przeciwwagą eurazjatyckiego olbrzyma. Moi adwersarze widzą wszystko w perspektywie kilku miesięcy powojennych; ja uparłem się patrzeć – cóż za niepoprawny romantyk! – w perspektywie historycznej.

Przy okazji trzeba wywrócić na nice jeszcze jeden argument Giertycha i Zbyszewskiego. Obydwaj są zgodni w tym, że dla Rosji „kwestia Ukrainy jest kwestią życia i śmierci, a nie zachłanności imperialistycznej”, a nawet jakby się umówili, formułują tę opinię w identycznych słowach. Dlaczego kwestią życia i śmierci? Czy Rosja nie ma dość bogactw na Uralu i Syberii, dość obszarów rolniczych, dość terenów pod kolonizację w miarę wzrostu ludności? Naród rosyjski może żyć, rozwijać się i prosperować zarówno bez Ukrainy, jak i bez Kaukazu i Turkiestanu. Tyle, że gdy nareszcie zrozumie, iż jego sąsiedzi mają prawo do rządzenia się samodzielnie, zrezygnuje ze swych planów hegemonicznych i straci niezdrowe apetyty, może i w tej części świata zapanuje nareszcie spokój i jako takie współżycie narodów. Bardzo zabawnie wyglądają ci Polacy, którzy wyrażają dziwną pewność, że kuracja odtłuszczająca musi zabić nażartego rekina.

Boją się oni sojuszu Berlin–Kijów, zapominając, że sojusz Berlin–Moskwa działa już od dwustu lat. „Kleszcze niemiecko-ukraińskie” będą stanowić wielkie niebezpieczeństwo. Będą dopiero, bo dotychczas ich nie było. Natomiast był sojusz Fryderyka z Katarzyną, Bismarcka z Aleksandrem, Ribbentropa z Mołotowem. Było Rapallo. Ciekawe, że osoby tak bardzo wy-

czulone na sojusz niemiecko-ukraiński, zawsze zapominają w polemice o sojuszu niemiecko-rosyjskim.

[...]

Giertych jest dumny z tego, że w swoim czasie zwalczał metody gwałtu stosowane wobec Ukraińców. Właśnie we wspomnianej książce opowiedział się przeciw „uciskowi ludności ruskiej i nietolerancji wobec jej dóbr, takich jak obrządek czy mowa ojczysta”. To bardzo ładnie. Ten liberalizm nie przeszkodził mu jednak twierdzić, że „musimy narzucić naszym Rusinom alfabet łaciński” i w ogóle „włączyć społeczność ruską w nasze życie narodowe w podobny sposób, jak Walia włączona jest ze swoją odrębnością językową w życie brytyjskie, a Bretania w życie francuskie”. Czyli – modlił się pod figurą, a diabła miał za skórą. Przecież program taki z góry implikował zastosowanie metod gwałtu, od których Giertych tak żarliwie się odżegnuje. A wreszcie jest to typowe bujanie w obłokach oraz bujanie czytelników i samego siebie. Dla Giertycha Ukraińcy są czymś w rodzaju polskich Walijczyków czy rosyjskich Szkotów. A jakże, toż napisał, że między Kijowem i Moskwą jest akurat taki dystans, jak między Edynburgiem i Londynem. Rozumiem, że panu Onufremu Zagłobie mogą się śnić przy kominku bardzo smaczne sny, ale po cóż po przebudzeniu się podawać te sny za rzeczywistość!? Jako bajkopisarz Giertych mógłby być zabawny; jako publicysta i historyk jest niepoważny, nieuczciwy* i szkodliwy.

Reakcja Ukraińców

Jak zaznaczyłem na wstępie, artykuł mój *Między Muszalskim i Zagłobą* odbił się dość szerokim echem wśród Ukraińców. Regularnie dochodzą do mnie tylko nieliczne pisma ukraińskie, inne od przypadku do przypadku, zapewne więc nie rozporządzam całym materiałem. „Soborna Ukraina” wychodząca w Paryżu, zamieściła skrót artykułu, zaopatrując go krótkim komentarzem, w którym między innymi zwraca uwagę na to, że „Łobodowski traktuje skomplikowane i drastyczne sprawy w sposób, nie znieważający ukraińskich sentymentów narodowych”. Katolicki dziennik „Amerika” wy-

* Dla uniknięcia nieporozumień, od razu zastrzegam, że słowo „nieuczciwy” stosuję wyłącznie do publicystyki Giertycha i nie jest moim zamiarem obrażać go osobiście. „Nieuczciwością publicystyczną” nazywam zabieranie głosu autorytatywnym tonem w sprawach, których się nie zna. W sprawie ukraińskiej Giertych musiałby dopiero postudiować stronę rzeczową zagadnienia [przyp. autora].

chodzący w Filadelfii ograniczył się do przedrukowania artykułu w całości, nie dodając żadnego omówienia. Dał je natomiast monachijski dwutygodnik „Suczasa Ukraina”. Komentarz ten podaje w całości, gdyż dobrze precyzuje ukraińskie stanowisko i nie ujmuje sprawy fanatycznie, jak to często zdarza się Ukraińcom. Napisał go Jewhen Wreciona, wybitny publicysta, znany czytelnikom „Kultury” z przełożonych przeze mnie wspomnień z Berezy Kartuskiej.

„Ogłosiliśmy artykuł Józefa Łobodowskiego, jako rzeczowy i bezstronny głos w tak doniosłej ukraińsko-polskiej dyskusji. W dyskusji tej istnieje pewien zasadniczy moment, nad którym osoby dyskutujące zwykle pragną przechodzić do porządku dziennego: wyściowe pozycje Polaków i Ukraińców są różne, aczkolwiek nie są całkowicie przeciwstawne. Polacy wciąż jeszcze pragną rozpatrywać ukraińskie walki wyzwolenicze wyłącznie z punktu widzenia polskich interesów państwowych, Ukraińcy – z punktu widzenia interesów ukraińskich. Nie możemy zgłaszać do Polaków żadnych zastrzeżeń z tego powodu, że sprawy własne i obce rozpatrują właśnie z takiego punktu widzenia, ale mamy prawo wymagać, aby rozumieli i nas. Cały czas po roku 1918 (oczywista, również i przedtem), Polacy widzieli w nas wyłącznie zbuntowanych obywateli polskiego państwa, podczas gdy moralnie myśmy się nimi nie czuli i czuć nie mogli. Nie chodzi o to, jaka była nasza sytuacja prawna, gdyż wynikała ona z organicznego faktu przegranej wojny, o czym w dyskusji nie wolno zapominać. Dlatego też nie warto powtarzać słusznych uwag autora artykułu o polskiej polityce w latach 1918–1919. O wiele bardziej istotną rzeczą jest zrozumieć, że po roku 1939 widzieliśmy dla naszych wyzwoleniczych zmagani całkowicie określoną polityczną koniunkturę, którą chcieliśmy wykorzystać, co prawda, bez natychmiastowego powodzenia. Czy celowe jest powracanie do tych czasów tylko po to, aby nawzajem przypominać sobie pomyłki? Polacy prowadzili wojnę z Niemcami, ale ta wojna nie była i nie mogła być naszą wojną. Po roku 1941 i my znaleźliśmy się w wojnie z Niemcami, ale wówczas Polacy byli sojusznikami bolszewików, naszych wrogów.”

Kwestia odpowiedzialności jest bardziej skomplikowana niż jej prawne sformułowanie. Oprócz indywidualnej i zbiorowej odpowiedzialności istnieje również odpowiedzialność historyczna. Zgadza się, że okres 1941–1945 nie zapisał się w naszej wspólnej historii złotymi literami. Ale czy szanowny autor zadał sobie trud przeprowadzenia chronologicznej rekonstrukcji faktów? Nie ma wielkiego znaczenia, ile ofiar padło z obydwu stron, bo to jest kwestia stosunku sił w danym okresie. W każdym zderzeniu ktoś wygrywa i ktoś przegrywa. Przypomnijmy, że zanim doszło do pożalowania godnych wydarzeń na Wołyniu i w Galicji, miał miejsce powszechny terror Polaków przeciw Ukraińcom na terenach obsadzonych przez Niemców przed 1941 rokiem. Rozstrzeliwanie wiejskich nauczycieli, pracowników spółdzielni, palenie cerkwi i nawet »podziemne« pacyfikacje całych miejscowości w Hrubieszowszczyźnie i Chełmszczyźnie – takie były preliminaria smutnych wydarzeń. Ukraińcy byli wówczas bezbronni, zaś Polacy wykorzystywali dziwną bezczynność niemieckiej żandarmerii i policji, wymierzając karę »zdrajcom«. Janowa Dolina to osobny rozdział. Ale czy wiedzą nasi polemici, że przed Janową Doliną był Dermań, gdzie ludzi wbijano na pal, a dzieci rzucono do studni? Czy wiedzą nasi polemici, że po odejściu ukraińskiej policji w las zjawiła się na Wołyniu policja polska i słynny oddział »wołyńskiej żandarmerii« w niemieckich mundurach? Nie możemy zgodzić się

z twierdzeniem autora, że odezwy OUN* przeciw terrorowi były spóźnione i że nie można było przeprowadzić odpowiedniej kontroli. Przypomnijmy jednak, że identycznych odezw, choćby i spóźnionych, i niekontrolowanych, ze strony polskiej nie było.

Możliwe, że próby dogadania się były spóźnione, ale nie należy ich nie doceniać. Od roku 1942 toczyły się między miejscowymi Polakami i Ukraińcami rozmowy, które dały nawet poważne praktyczne wyniki, co więcej, doprowadziły do nie notowanego od stuleci polsko-ukraińskiego braterstwa broni. Niestety, nie z naszej winy rozmowy te nie mogły rozwinąć się na szerszej politycznej płaszczyźnie. Polacy wciąż jeszcze chcieli widzieć w nas buntowników, z którymi trzeba rozmawiać w terenie, ale nie przy okragłym stole. Ukraińscy rozmówcy dobrze to wyczuwali i zrozumieli całą nienaturalność polskiej sytuacji. Być może, że i wówczas gdzieś od góry burczał głos Zagłoby i przeszkadzał miejscowym Muszalskim być sobą.

Jesteśmy dalecy od pobrzękiwania szabelką, ale gdy nam przypominają Tucholę, Dąbie, Brześć, trudno nam milczeć i chociaż nie chcielibyśmy tego, wracamy do starych urazów. To niedobrze. Ale jakie inne wyjście? Do platonicznej miłości jeszcześmy politycznie nie dojrzeli i co najwyżej staramy się nie iść drogą dawnych pomyłek.

Istnieje jeszcze inne zagadnienie, związane z kwestią pokojowego współżycia dwóch sąsiednich narodów – zagadnienie etnograficznych granic. Na naszej ziemi chcemy być gospodarzami i w tej sprawie próżne są powoływania się na rozsądne kompromisy. Ale nie odmawiamy Polakom dawno osiadłym na Ukrainie prawa do pozostania na tej ziemi. Teraz jest jeszcze za wcześnie, ale gdy przyjdzie czas, powiemy owym z dawna osiadłym Polakom: wracajcie, życie, mieszkajcie wraz z nami jako ukraińscy obywatele. Wówczas przyjdzie czas nie tylko na rozwiązanie sprawy pokojowego współżycia dwóch narodów i dwóch państw, ale i na kładzenie trwałych podwalin pod wspólne wysiłki dla zabezpieczenia istnienia i potęgi tych dwóch narodów, które, stojąc ramię przy ramieniu, będą bronić nowego, sprawiedliwego porządku w Europie. Nie wiemy, jak daleko jeszcze do tego czasu, ale chcemy wierzyć, że ani Sanem, ani Dniestrem nie popłyną polskie i ukraińskie trupy, a jeśli, to trupy tych, którzy padną we wspólnym boju za wspólną sprawę.

Jak widzimy, Wreciona słusznie kładzie nacisk na dwa momenty, które nasi „wąskotorowi” konduktorzy polityki kresowej stale przeocza: na kwestię odpowiedzialności historycznej i psychologiczny kompleks Polaków, widzących w niepodległościowcach ukraińskich zwykłych „buntowników” i zdrajców obywatelskiego obowiązku. W dalszym ciągu pomówimy zarówno o tym, jak i o sposobie postawienia sprawy wydarzeń z lat 1939–1945. Wreciona docenia w całej pełni znaczenie porozumienia polsko-ukraińskiego, ale jak wszyscy Ukraińcy zagadnienie Ziemi Czerwieńskiej stawia sztywno i bezkompromisowo.

Jeśli jednak odpowiedź Wreciony utrzymana jest w tonie, który nie tylko nie zamyka dalszych rozmów, ale wręcz do nich zachęca, trudno powiedzieć

* Nielegalna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, od 1929 roku walcząca o niepodległość Ukrainy, szczególnie aktywna w części zachodniej należącej do Polski.

to samo o obszernym artykule, zamieszczonym na naczelnym miejscu w paryskim „Ukraińskim Słowie”. Jest to wystąpienie ściśle i wszechstronnie anonimowe. Nie wiadomo, kto pisze, ani też komu i na co odpowiada. Ukrainiec, który poza tym pismem niczego więcej nie czytuje, nie dowiedział się wiele. Tyle tylko, że toczyła się jakaś dyskusja i że była ona całkowicie „chybiona”. Po prostu:

„...w polskiej prasie pojawiło się kilka artykułów na ukraińskie tematy. Natychmiast to podchwyciła część ukraińskiej prasy, a nawet ten i ów przedrukowuje te i owe artykuły, które przy użyciu taktyki Łosia i Hołowki usiłowały uspokajać «usmiriuwały» Ukraińców. Poniektóry Polak [to niby ja – J. Ł.] nawet obraża się, żeśmy swego czasu napisali, że «Polacy niczego nie nauczyli się i niczego nie zapomnieli». Poniektóry [to znowu ja – J. Ł.] przy pomocy taktyki Hołowki pragnie przekonać Ukraińców, że możliwości powstania niepodległej Ukrainy są niezbyt duże i że, chcemy czy nie, trzeba chwycić się za polską połę...”

„Duże welmiszanohnoho pana redaktora pereproszuju!” Ja takiej „dywoży” nie napisałem. Twierdziłem natomiast, że spokój od zachodniej granicy może stać się warunkiem powstania ukraińskiej niepodległości. I żeby nikt nie miał najlżejszej wątpliwości, sprecyzowałem moją myśl raz jeszcze w tych niedwuznacznych słowach: „Nie musi, ale może”. Jeżeli się z czyjąś opinią polemizuje, to trzeba ją przedstawiać w relacji autentycznej. Więc b u d ’ ł a s k a, moich twierdzeń nie przekręcać.

„Polacy niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli”. Pragnę zwrócić uwagę Ukraińców dobrej woli i nie zaślepionych nienawiścią, że jednak ci i owi sporo się nauczyli. Ukrainożercze artykuły Giertycha spotkały się na łamach „Wiadomości” z niejedną zdecydowaną odprawą i to bynajmniej nie ze strony osób znanych z dotychczasowej pracy w dziedzinie ukrainoznawczej. Szkoda, że polakożercze artykuły, drukowane bardzo często właśnie na łamach „Ukraińskiego Słowa”, nie spotykają się z podobną reakcją ze strony swych czytelników. I czy „Ukraińskie Słowo” wydrukowałoby odpowiedź na nie, jak redaktor „Wiadomości” wydrukował listy Kosarenki-Kosarewycza i Pawła Kotowycza?

Ale mniejsza o galanterię. Streszczę rozumowanie autora zacytowanego artykułu już choćby z tego względu, że „Ukraińskie Słowo” reprezentuje wcale poważny odłam politycznej emigracji ukraińskiej.

Punkt wyjścia jest następujący: sytuacja Ukrainy nie jest gorsza niż Polski. Bliska jest ta chwila, gdy Niemcy „znów wdzieją buty”. Nikt na Zachodzie, nawet Francja, nie uznał i nie uzna granicy na Odrze i Nysie. Podczas trzeciej wojny światowej Polska spłynie krwią, podobnie jak Ukraina spływała podczas drugiej. Przyszła walka polsko-niemiecka nie będzie łatwiejsza niż

ukraińsko-rosyjska. Straszyć zatargiem z Rumunią również nie ma sensu, bo Rumuni będą mieli dość kłopotu z Węgry. Polska znalazła się między dwiema potęgami i jej los bardziej jest od nich zależny niż los Ukrainy. „Szans na trwałą niepodległość” Polska nie ma. Wniosek, którego autor artykułu nie dopowiada, ale który wynika logicznie z całego rozumowania: Ukrainie na ugodzie z Polską zbytnio nie zależy. I drugi wniosek, sformułowany w sposób nie podlegający wątpliwości: „Prowadzenie dyskusji z Polakami jest rzeczą zbędną, bo do niczego nie prowadzi.”

Na tym można by właściwie skończyć. Jak Giertych nie chce słyszeć o Ukrainie, bo to sprawa stracona i może nam najwyżej popsuć dobre sąsiedzkie stosunki z przyszłą Rosją i narazić na straty na Zachodzie, tak „Ukraińskie Słowo” nie chce słyszeć nawet o rozmowach, bo i tak „Polska na niepodległość nie ma szans”. Poza tym wszystko przewidziane i jasne. Wehrmacht „wdzieje buty” lada dzień, Polska spłynie krwią i będzie bezsilna, Rumuni podrą się z Węgry i ani im będzie w głowie Besarabia i Bukowina. Nad Kijowem zwycięski znak tryzub, o Lwów w ogóle żadnych sporów nie będzie. „Otom Papkin, Lew Północy, rotmistrz sławny i kawaler!” – jak powiada stary Fredro.

Więc może jednak, szykując się na najgorsze, lepiej nie urządzać sobie kpin z tych Polaków, którzy pragną powstania niepodległej Ukrainy i trwałej z nią ugody? Bo właśnie rok 1919 może się powtórzyć. Powtarzam, jak uprzednio: nie musi, ale może. A wiadomo, kto z ówczesnej wojny polsko-ukraińskiej wyciągnął największe korzyści.

Taka pewność siebie gubiła już wielokrotnie i nas, i Ukraińców. „I Lachów rozbijemy i Tatarów zniszczymy, i na tureckiego sułtana wojną pójdziemy, i przy pożarze Galaty lulki będziemy zapalać”. „Hej – jak krzyknął Hamalija – bracia, będziemy żyli, będziemy żyli, wino pili, bisurmanów bili, a kurenie aksamitem aż po dach ścielili!” A Polacy z drugiej strony dziarsko odkrzykują: „Ani jednego guzika! I to obronimy, i tamto odbierzemy, kupą, mości panowie!” Prawda, jakie to wszystko proste, łatwe i zabawne?

Pewni publicyści polscy nie są w stanie napisać dwóch słów nie uraziwszy boleśnie ukraińskiej ambicji narodowej. Pewni publicyści ukraińscy nie chcą pozostać w tyle i godnie stają do licytacji...

[...]

Trzeźwi Ukraińcy wiedzą doskonale, że sprawa ukraińska na terenie międzynarodowym dobrze nie stoi. Na niektórych jego odcinkach w ogóle nie stoi. Oczywiście, od czasu wojny wiele uległo zmianie na lepsze, ale do optymizmu wciąż jeszcze powodu nie ma. Wpływy polskie na świecie są bardzo niewielkie, wpływy ukraińskie znacznie mniejsze. Niedawno jedno

z pism emigracyjnych wystąpiło ze skrajnie pesymistyczną tezą, że amerykańska polityka zewnętrzna musi być, jeśli chodzi o „plan prometejski”, zawsze i stale prorosyjska, a tym samym wrogo nastawiona do ukraińskich postulatów niepodległościowych. Sądzę, że autor tej tezy przesolił, ale faktem jest, że bardzo wiele musiałoby się zmienić na szerokim świecie, aby Waszyngton zaczął myśleć na serio o niepodległej Ukrainie. „Ukraińskie Słowo” twierdzi, że sytuacja Polski wcale nie jest lepsza od sytuacji Ukrainy. To jest polityczna ślepota, zrodzona chyba tylko z antypolskiego urazu. Praw Polski do niepodległości nie kwestionuje nikt. Najwyżej poddawana jest dyskusji kwestia granic. Te same prawa Ukrainy są kwestionowane na każdym kroku. Nawet George Kennan, który napisał niedawno w emigracyjnym piśmie rosyjskim „Nowyj Żurnał”, że w zasadzie Ukraina zasługuje na pełną niepodległość, dodał natychmiast, że jednak z punktu widzenia gospodarczego Ukraina stanowi część składową Rosji w takim samym stopniu, w jakim Pensylwania stanowi część składową Stanów Zjednoczonych. A nie zapominajmy, że Jankesi myślą przede wszystkim kategoriami gospodarczymi i że forma wielkich zgrupowań federacyjnych jest ich ideałem również dla Europy. Stąd koncepcje Kiereńskiego zawsze będą rozpatrywane w Białym Domu w sposób raczej przychylny. Zresztą ten sam Kennan, będący w Departamencie Stanu rzeczoznawcą od spraw rosyjskich, ostrzega Amerykanów przed mieszaniem się w „separatystyczne konflikty”, jakie powstaną po upadku sowieckiego reżymu. „Amerykanie – oświadcza Kennan – nie powinni brać na siebie odpowiedzialności za określone stanowisko w tej dziedzinie”.

Czy Ukraińcy nie zdają sobie z tego sprawy? Zdają, i to jak najbardziej. Niektórzy tak wzięli na serio flirt Amerykanów z Kiereńskim, że wpadli w nastrój nieledwie graniczący z paniką. Toć są już i tacy, którzy zakładają możliwość zbrojnego wystąpienia (na Ukrainie) przeciw wojskom amerykańskim, gdyby Waszyngton miał nie uznać postulatów niepodległościowych. Czy w tych warunkach jakkolwiek sprzymierzeniec, a choćby sąsiad, z którym dogadało się co do wzajemnej neutralności, będzie do pogardzenia?

Ale jak się tu co do takiej choćby neutralności dogadać? Przekleństwem wszystkich emigracji politycznych jest ich rozbieżność. Sądzę, że się na mnie Ukraińcy nie obrażą, jeśli napiszę, iż rozbieżność wśród emigracji ukraińskiej jest jeszcze większa niż w innych środowiskach. Nie ulega wątpliwości, że skuteczność ich działania i oddziaływania na opinię międzynarodową byłaby znacznie większa, gdyby nie walka partii i koterii, wzajemne poddawanie sobie nogi, rozwalanie silniejszych ośrodków. Jota w jotę można po-

wiedzieć to samo o Polakach. Z tych samych powodów rozmowy między nami muszą ograniczać się do publicystycznych dyskusji. Nie można usiąść do okrągłego stołu, nawet gdyby znaleźli się partnerzy. Bo okrągłego stołu nie ma ani po tej, ani po tamtej stronie. Jest kilkanaście czy kilkadziesiąt kawiarnianych stolików, przy których siedzą nabuńczuczeni i poodwracani plecami ichmoście i, grzebiąc łyżeczkami w gorzkiej emigracyjnej kawie, udają, że robią w wielkiej polityce.

Sąsiedzkie kompleksy i urazy

Jednak i w tych rozmowach, które się toczą, rzadko kiedy obywa się bez wzajemnego przydeptywania obolałych nagniotków. I trudno żeby było inaczej, skoro zjawisko nie powstało wczoraj ani przedwczoraj, ale tkwi głęboko w przeszłości. Każdy Ukrainiec nosi w sobie zadawnione poczucie krzywdy, a sentyment ten podsycany był systematycznie z jednej strony przez literaturę i historię polską pewnego typu, z drugiej – przez pisarzy i historyków ukraińskich. Wśród Polaków panowała się ignorancja, zupełna nieznajomość przemian odbywających się tuż za miedzą; ukraiński nacjonalizm celowo odgradzał się od wszystkiego, co polskie szczelnym murem zasadniczej wrogości. Wojna 1918–1919 zamiast stać się dla strony polskiej źródłem dociekań, dla czego do niej w ogóle doszło, pogłębiła jeszcze bardziej wspólnie wykopaną przepaść. Wreszcie przyszły mity jurnej krzepy, które tyle złego narobiły jednym i drugim: u Ukraińców „doncowszczyzna”, u nas – mocarstwowa frazeologia.

[...]

Wreciona napisał w zacytowanym uprzednio artykule, że Ukraińcy moralnie nie czuli się zbuntowanymi obywatelami. Zastanówmy się spokojnie nad tym oświadczeniem. Jaki był stan faktyczny? Na terenie pięciu województw południowo-wschodnich Ukraińcy stanowili większość. Przygniatającą na Wołyniu i ukraińskiej części Polesia. Zdecydowaną na Podkarpaciu. Większa równowaga była we Lwowskim i Tarnopolskim, głównie dzięki znaczniejszemu procentowi ludności miejskiej. Stopień uświadomienia narodowego – bardzo nierówny. Najwyższy w byłej Galicji, najniższy – na Polesiu. Niewątpliwie przy mądrej – jeśli kto woli, sprytniej – polityce można było w ciągu dwudziestu lat część chłopów poleskich i wołyńskich spolonizować. Ale pod dwoma zasadniczymi warunkami: posyłając do administracji, szkolnictwa, handlu element najwartościowszy i dobrze rozumiejący złożoność problemu oraz systematycznie podnosząc poziom gospodarczy najbardziej zacofanych regionów Polski B. I jedno, i drugie było w ówczesnych

warunkach marzeniem „ściętej głowy”. Żywiołowego procesu ukrajinizacyjnego „Rusinów” i „tutejszych” nawet Mahomet nie potrafiłby zatrzymać.

Ukraińcy haliacy ogłosili w roku 1918 niepodległość i doszło do walki o Lwów. Ukraińcy naddnieprzańscy również ogłosili niepodległość i doszło do walki o Kijów. Jedni i drudzy przegrali. Ale niepodległości nie wyrzekli się. Skoro program federacyjny zawalił się zarówno na skutek klęsk wojennych, jak i zupełnej niedojrzałości obydwu narodów do wprowadzenia w rzeczywistość tej idei, Rzeczpospolita Polska miała do wyboru trzy drogi. Ogłoszenie szerokiej autonomii przy zrównaniu w prawach miejscowej ludności polskiej i ukraińskiej. W tym wypadku moralna sytuacja Ukraińców idących do podziemia i strzelających do Polaków byłaby zupełnie inna. W tym wypadku – naturalnie przy dotrzymaniu przez nas owej autonomii – walka z Rzeczpospolitą byłaby robotą w stu procentach prosowiecką i samobójstwem nawet ze stanowiska Ukrainy Sobornej.

Na drogę, prowadzącą w kierunku wręcz odwrotnym, weszlibyśmy, gdyby ster państwa znalazł się na stałe w rękach Stronnictwa Narodowego. Ta droga – to program Giertycha. Nie ma Ukraińców, są Rusini, których trzeba odciąć od kontaktu ze Wschodem, narzucić im alfabet łaciński, związać mocno z kulturą polską, aż wreszcie zacząć patrzeć na Warszawę tak, jak patrzył Szkoci na Londyn lub Bretończycy na Paryż. Program o tyle dobry, że w razie jego zrealizowania załatwiał sprawę raz na zawsze. O tyle zły, że łatwiejszy do zrealizowania na Księżycu niż – powiedzmy – w Kopyczyńcach.

Rzeczpospolita poszła drogą trzecią, której na imię: zupełny bałagan. Ideowy, polityczny, administracyjny. Od wypadku do wypadku, od pomysłu do pomysłu, od wojewody do wojewody. Program kresowy tworzony był przez miejscowych wojskowych, komisarzy policji, starostów, a często po prostu przez przodowników policji i starszych sierżantów KOP*. Pano wie w Warszawie budzili się od czasu do czasu na odgłos strzałów w Gródzku Jagiellońskim lub na odblask pożarów w majątkach polskich pod Lwowem. Słynna pacyfikacja, po dwudziestu latach nazwana przez Sławoja po wersalsku „bezkrawawą”, przyszła w chwili, gdy trzeźwiejsza część społeczeństwa ukraińskiego, przerażona skutkami masowej akcji sabotażowej, zaczęła nawoływać do opamiętania. Prawdziwą pacyfikację można więc było przeprowadzić bez dragonad, w rozmowach z Ukraińcami. Chciano zgnieść podziemie, a uczyniono wszystko, by zyskać mu nowych zwolenników.

* Korpus Ochrony Pogranicza (1924–1939) był przeznaczony do ochrony granic z ZSRR, Litwą i Łotwą.

To są wszystko biadania poniewczasie, ale jednak konieczne, bo jeśli ma dojść do jakiegoś porozumienia, Polacy muszą zrozumieć psychiczne nastawienie strony przeciwnej. Nie może być skutecznego leczenia urazów, jeśli się nie zna ich przyczyn.

Wreciona pisze o „odpowiedzialności historycznej”. Tak, ona również istnieje. Ta odpowiedzialność historyczna istnieje i działa również w sporze polsko-ukraińskim.

Wychowaliśmy się na tym, że, jak mówi poeta, epoka jagiellońska była „złotym wiekiem pogody ludów” Rzeczypospolitej, dumni jesteśmy z dzieła unijnego, a przecież po tamtej stronie barykady unia przedstawiana jest jako nadużycie i oszustwo, jako kres niepodległości i zamknięcie dróg harmonijnego rozwoju narodowego. Gdzie jest prawda, kto ma rację? Jak zwykle prawda leży pośrodku.

[...]

Więc tak! – Polska popełniła wiele błędów, pomyłek, grzechów nawet. Nie wpadajmy tylko w powszechną przesadę i nie mierzmy tamtych czasów miarką dzisiejszą. Już kiedyś proponowałem, by zechciano porównać zachowanie się Polaków na Ukrainie – w iluż wypadkach spolszczonych Rusinów! – z zachowaniem się Anglików w Irlandii, Niemców w zachodniej Słowiańszczyźnie i Prusach, Francuzów w Katalonii, dokąd przyszli jako sprzymierzeńcy, Węgrów w Słowacji... Jeszcze nie wypadniemy tak źle!

Grzechy grzechami, ale trzystuletni kontakt z kulturą zachodnią, idącą wprawdzie nie tylko przez Polskę, ale głównie przez nią i z niej, to również nie byle co. Bo – jak słusznie w swym zarysie literatury ukraińskiej pisał Bohdan Łepkij – Ukraina dawała Polsce wielkie bogactwo ludzi, Polska dawała Ukrainie idee.

Ale, niestety, historia obydwu narodów pisana była w czasie, gdy nad Ukrainą i Polską stała czarna noc niewoli. Nie najwłaściwsza to atmosfera dla bezstronnych badań i beznamiętnych sformułowań. I tak oto dla nas przewodnikiem po odwiecznym pobojuwisku stało się *Ogniem i mieczem*, dla nich – podrzucony przez tragicznego chochoła *Taras Bulba*.

Więc u nich powstał kompleks krzywdy, u nas kompleks wielkopańskiego zdziwienia, że ktoś, kto otrzymywał same niemal dobrodziejstwa, ośmiela się zgłaszać pretensje. Nauka historii w szkole kompleksu tego nie łądziła, choć w niektórych podręcznikach przyczyny powstań kozackich przedstawiane były dość przyzwoicie. Ale większość młodzieży odklepywała historię byle dalej, a na wyobraźnię działali Sienkiewicz, Małczewski, Kosak-Szczucka. Inteligencja obydwu społeczeństw właściwie kontaktu ze sobą

nie miała. Na Wołyniu w każdym razie polskie środowiska miejskie żyły w szczelnie zamkniętych gettach, na co inicjatywa nielicznych jednostek wpłynąć nie mogła. A żyli przecież jedni od drugich na wyciągnięcie ręki. Spotkali się też na wyciągnięcie ręki w latach wojennych, ale wtedy w rękach były noże i karabiny.

Poczucie krzywdy i rozdrażniona ambicja narodowa. Przeciętny Ukraińiec nie czytywał pism wschodoznawczych ani książek takich historyków, jak Bobrzyński czy Konopczyński. Natomiast w każdym kiosku ulicznym znajdował „Ilustrowany Kurier Codzienny” i „Słowa Lwowskie”, a w nich artykuły, które już samymi nagłówkami raniły jego dumę narodową, upokarzały i budziły nienawiść. Cenzura dbała o poprawny ton prasy w stosunku do Niemiec, bo mieliśmy pakt o nieagresji. Ale żaden cenzor nie położył kresu dzikiej hecy antyukraińskiej, prowadzonej systematycznie przez Ika-cę*, żaden prokurator nie wystąpił przeciw codziennemu poniewieraniu godności tych, od których żądało się przecież, aby byli lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej. A nienawiść, narastająca latami, sączona kropla po kropli od najwcześniejszych lat, zwykła wyładowywać się właśnie tak, jak się wyładowała podczas wojny.

Stąd dalsze kompleksy i urazy. Brak własnej państwowości, zapóźnienie w osiągnięciach kulturalnych w stosunku do innych narodów przy jednoczesnym poczuciu własnej wartości i wielkich możliwości w innych, pomyślniejszych warunkach, musiał podniecać wyobraźnię i dawać asumpt do podrabiania antenatów świetniejszych niż byli w przeszłości. Społeczeństwa zbyt długo żyjące w stanie tłumionego gniewu dobrze znają te fenomeny. Więc w broszurkach propagandowych przeznaczonych dla zagranicy pisało się, że Szewczenko jest pierwszym poetą Słowiańszczyzny, a „czumacy” stanowili potężną organizację, na miarę bałtyckiej Hanzy. Zjawisko psychologicznie dobrze rozumiałe, jego skutki – raczej negatywne.

Wreszcie – podejrzliwość. Gdy się od paruset lat ponosi stale klęski, gdy się jest wielokrotnie wywodzonym w pole, instynktowna nieufność słabszego osiąga stopień chorobliwego natężenia, przeradza się właśnie w skrajną podejrzliwość. Stąd przy całej wrażliwości na każde dobre słowo i przyjazny gest, Ukraińcy instynktownie otaczają się ostrokołem nieufności: – „A nuż to podstęp, a nuż znowu nas oszukają...” To dlatego, gdy ze strony polskiej zjawia się próba lojalnego dogadania, pierwsza re-

* „Ilustrowany Kurier Codzienny”, popularny dziennik o charakterze sensacyjnym wychodził w Krakowie w latach 1910–1939.

akcja jest następująca: „Oho, chcą nas ugłaskać, dostać w swoje ręce, wykozystać i »zostawić w durniach«”. Znow reakcja psychologiczna uzasadniona, choć niekiedy wręcz denerwująca. Grupka Rosjan w Madrycie urządziła w rocznicę katyńską „panichidę” za „polskich woinow, ubijonych bolszewikami w Katynie”. Odprawiał mszę ksiądz gruziński, wygłosił piękne propolskie przemówienie. Na mszy byli przedstawiciele polskiej kolonii z posłem Rzeczypospolitej na czele. Przecież zbrojotowanie mszy, która nie miała żadnej politycznej wymowy, byłoby zwykłą nieprzyzwoitością. A jednak od razu podejrzenie: Polacy zwąchują się z Moskalami. A skoro jednocześnie wiadomo, że Rosjanie wyłazą ze skóry, by nie dopuścić do powstania ukraińskiej audycji w radiostacji madryckiej, dalszy wniosek: „Trudności jakie mamy z audycją, są zasługą wspólnej akcji polsko-rosyjskiej”. W rzeczywistości było akurat odwrotnie i Polacy zachowali się w tej sprawie z całkowitą lojalnością wobec Ukraińców. Ale byli na mszy i to wystarczyło.

Naród walczący od wieków o swój niezawisły byt, co więcej, o prawo do własnej kultury, ba, nawet do nazwy, musi egzaltować się patriotycznie. Polakowi najłatwiej to zrozumieć, bo my również mamy skłonności do przyciskania pedałów, bicia w bębny i trąbienia we wszystkie możliwe surmy. Do tkliwej łezki i patetycznego frazesu. Ta ukraińska „naprężenność” jakże brużdżąca w literaturze i publicystyce, w nie mniejszym stopniu utrudnia zbliżenie i porozumienie, ponieważ wpływa hamująco na samokrytycyzm i to pomimo tego, że Ukraińcy są narodem o bardzo żywym poczuciu humoru. Ale bywają sytuacje, w których nawet humor zawodzi.

[...]

Czas byłby najwyższy, aby Polacy zrozumieli, że Ukraińcy są odrębnym narodem o takim samym prawie do samoistności, jakie przysługuje każdemu innemu narodowi. Że wiele cech ujemnych, które nas rażą albo dają się nam dotkliwie we znaki, powstało na skutek tragicznej historii i nienormalnego rozwoju kultury narodowej, stale krępowanej przez nieprzyjazne okoliczności. Że wreszcie zły to patriota, który sąsiadowi zza miedzy odmawia takich samych uczuć patriotycznych, choćby z tym sąsiadem miał sto razy na pieńku. A przede wszystkim trzeba skończyć z fałszywym jaśniepaństwem, które widzi w innych narodach „hetki-pętelki” tylko dlatego, że odegrały mniejszą rolę w historii albo nie mają Kopernika i Szopena. Bo prawdziwe „państwo” oparte na spokojnej świadomości własnych walorów, nie wyżywa się w śmiesznej pysze ani wgardliwej niechęci. Te uczucia cechują tylko „nuworyszów”.

Ukraińcom zaś wyszłoby na dobre, gdyby przeprowadzili chociaż częściową rewizję swych poglądów na dawną Rzeczpospolitą, a na międzywojenne dwudziestolecie spojrzeli także i od strony polskiej. Ja tu nikogo nie chcę rozgrzeszać ani niczego usprawiedliwiać, chcę po ludzku dojść do wytłumaczenia każdego zjawiska. Polacy też przez sto kilkadziesiąt lat znajdowali się w nienormalnej sytuacji, a obciążeń stąd powstałych tak łatwo się nie usuwa. Ukraińcy dobrze wiedzą, co to jest system rosyjski, zwłaszcza system rosyjski w „poprawionym”, sowieckim wydaniu; z systemami niemieckimi również mieli okazję się zapoznać. Bo jednak, bo mimo wszystko – a wolno mi to chyba po wypowiedzeniu tylu gorzkich słów pod adresem własnej ojczyzny podkreślić – fakt, że ekscesy antyukraińskie działały się w ramach administracyjnego i politycznego bezhołowania, a nie sztywnego, konsekwentnego systemu, świadczy, że – Bogu dzięki – „nie dorosiliśmy” ani do moskiewskiej tyranii, ani do zimnego teutońskiego okrucieństwa.

Więc popatrzmy sobie w oczy i przyznajmy nawzajem, że ani jedni nie są tylko „rezunami”, jak tego chce pan Zagłoba, któremu bielmo przesłoniło rzeczywistość, ani drudzy tylko „lackimi zajmancami”, jak tego chce ukraiński nie mniej ślepy Zagłobienko czy Zagłobiuk.

Hałyczyna czy Małopolska Wschodnia?

Tamto były wszystko orzeszki, teraz dotarliśmy do prawdziwego orzecha. Hałyczyna czy Małopolska Wschodnia? Czytelnik już zapewne zauważył, że stale używam w tym artykule nazwy Ziemia Czerwieńska. W ten sposób nie urażam uczuć narodowych żadnej ze stron, a z historią jestem w zgodzie, skoro określenia: Chrobaci Czerwoni, Grody Czerwieńskie, Ruś Czerwona – mają „alkurnię” nie byle jaką, bo tysiącletnią.

[...]

Sprecyzujmy obydwie skrajne punkty widzenia. Ukraińcy powiadają:

„Ziemia Halicka jest nasza od wieków; utraciliśmy ją na rzecz Polski, aleśmy nigdy z niej nie zrezygnowali. Była okupacja polska, potem austriacka, znowu polska, wreszcie sowiecka. Ale oblicze tej ziemi, mimo polonizacji i opanowania wielu miast przez polską ludność napływową, pozostało ukraińskie. Gotowi jesteśmy w imię zgody sąsiedzkiej przystać na obecną granicę i to jest już z naszej strony poświęcenie, gdyż w ten sposób tracimy Chełm, Hrubieszów, Jarosław i Przemyśl. Ale to maksimum, na jakie możemy się zgodzić. I jeśli chodzi o tę sprawę, wszelkie powoływanie się na rozumne kompromisy jest nadaremne”.

Polacy odpowiadają:

„Małopolska Wschodnia była najpierw nasza. Utraciliśmy ją za pierwszych Piastów, odzyskaliśmy za ostatniego. Odtąd nieprzerwanie należała do nas, nawet wówczas, gdy znaleźliśmy się pod zaborem austriackim. Lwów jest polski. Podnieśliśmy go z gruzów w wieku XIV i stał się najwierniejszym miastem Rzeczypospolitej. Nasze prawa historyczne i moralne nie podlegają wątpliwości. To, że nas na tej ziemi częściowo wymordowano, a resztę wysiedlono siłą, niczego nie przesądza. Przeciwnie, za tę krzywdę należy się nam zadośćuczynienie. I wreszcie nie możemy zrezygnować ze wspólnej granicy z Rumunią. *Non possumus!*”

Zanim podam mój osobisty punkt widzenia – a z góry oświadczam, że żadne z tych skrajnych stanowisk do mnie nie przemawia – trzeba z lekka przeegzaminować racje historyczne, etnograficzne i moralne, wysuwane przez pieniaczące się strony.

Co od razu uderza we wszystkich polemikach tego rodzaju, to fakt, że argumenty dobierane są zawsze według własnej wygody. Raz wysuwa się rację historyczną, kiedy indziej etnograficzną. Wyjątkowo tylko zbiegają się one ze sobą. Ale historia i polityka to nie brydż, w którym wybiera się raz kiery, a kiedy indziej piki, bo tak graczowi wypada z układu kart. Prawo bezsporne i wyłączone do jakiejś ziemi posiada się tylko wówczas, gdy wszystkie racje działają na naszą korzyść. Jeśli nie – powinno się myśleć o kompromisie. Oczywiście, istnieje jeszcze jedna racja. Racja silniejszego w danej chwili historycznej, racja faktów dokonanych. Ale i Ukraińcom, i Polakom nie bardzo przystoi uciekać się do takich racji.

Polaków na wschód od Sanu nie ma, a jeśli są, to jakieś mizerne strzępy. To jest fakt dokonany. Pisałem już kiedyś, że nie wiadomo, czy nie powstała inne fakty dokonane, czy w latach definitywnych rozstrzygnięć nie spotka to samo Ukraińców. Może bowiem dojść do przesiedleń i zsyłek w skali, jakiej jeszcze ludzkość nie widziała. Już dziś Lwów jest bardziej miastem rosyjskim niż ukraińskim, bardziej Lwówem niż Lwiwem. Stwierdzić więc trzeba, że usunięcie Polaków z tej ziemi ma taką samą wartość prawną i moralną, jak w identycznej formie przeprowadzone usunięcie Ukraińców z Chełmszczyzny i Łemkowszczyzny. I gdy skrajni nacjonaści z obu stron barykady tęsknią do sztywnej granicy, choć nie mogą się co do niej pogodzić, ja będę stał uparcie przy twierdzeniu, że osiągnięcie prawdziwej historycznej ugody będzie możliwe dopiero wówczas, gdy się fakty dokonane przekreśli, wyrządzone krzywdy naprawi, popełnione zbrodnie odrobi.

Jeżeli do terytorium narodowo mieszanego chce się stosować zasadę sztywnej granicy etnograficznej, jedynym rozstrzygnięciem słusznym może być przesiedlenie ludności. Obliczyć, ile jest jednych, ile drugich i podzielić sporny obszar proporcjonalnie. Przyzna mi każdy, znający jako tako stosun-

ki narodowościowe na Ziemi Czerwieńskiej w chwili wybuchu minionej wojny, że granica nie wypadłaby wówczas na Sanie. Określając granice narodowego terytorium, Ukraińcy czynią to według najdalszego zasięgu swego osiedlenia, koincydującego mniej więcej z granicą zachodnią księstwa halickiego w średniowieczu. Dążą oni do suwerenności niepodzielnej i nie życzą sobie nosić obywatelstwa polskiego. Pięknie, ale również Polacy mają prawo nie życzyć sobie obywatelstwa ukraińskiego, które im proponuje Jewhen Wreciona, nie wiem, czy w zgodzie z większą liczbą swych rodaków na emigracji.

Więc jeśli prawo etnograficzne, to dla wszystkich, a jeśli sztywne granice, to wyznaczone proporcjonalnie. Oczywiście, według stanu z roku 1939, bo wysiedleńcy zechcą powrócić, a głosu umarłych i pomordowanych po obu stronach również należy wysłuchać.

[...]

„Ukraińskie Słowo” napisało mi ironicznie, że zamiast martwić się o Majkop i krymski Dżankoj, lepiej pomyśleć o Szczecinie i Wrocławiu. Nie pierwszy to raz ukraińscy publicyści oskarżają nas o hipokryzję, wskazując na rozbieżne jakoby stanowiska w sprawie Ziemi Czerwieńskiej i Pomorza oraz Śląska. Otóż istotnie, stanowiska są zupełnie różne, bo też i zagadnienia te nic wspólnego ze sobą nie mają. Przed wojną żaden Polak o zdrowych zmysłach pretensji do granic na Odrze i Nysie nie zgłaszał. Mogliśmy wskazywać na całą nienaturalność sytuacji Gdańska, upominać się o Śląsk Opolski, Warmię i Pojezierze Pruskie, ale i nic ponadto.

Wojna i okupacja niemiecka zmieniły wszystko. Niemcy udowodniły światu, a i dziś to potwierdzają na każdym kroku, że tak długo, dopóki dwa ramiona, którymi głęboko wdarły się w krwawe trzewia Słowiańszczyzny, nie zostaną odcięte na stałe, nie zarzucą swych snów o *Drang nach Osten*. A są to sny nie tylko o mazowieckim piaszczku i lubelskiej borowinie, ale również o chersońskim czarnoziemiu, krzyworońskiej stali i donieckim węglu. Byłoby niesprawiedliwością wystawiać dzisiejszym Niemcom ciężki rachunek za Henryka Lwa, Albrechta Niedźwiedzia i mistrzów krzyżackich gdyby nie fakt, że nie tylko w Warszawie, Oświęcimiu i Majdanku, ale również w Kijowie, Połtawie i Marjupolu wykazali, że w całości ten rachunek żyrują i biorą za niego pełną odpowiedzialność. Jeśli ktoś nie chce wyrzec się zbójckiej części swej narodowej historii, to mu się tę część wykrawuje żywcem z jego własnego terytorium.* Etnograficznych praw do Wrocławia

* Zgadając się z autorem co do meritum, uważamy jego uzasadnienie praw polskich do Ziemi Odzyskanych za zbyt emocjonalne i przede wszystkim za zbyt wąskie. Nie można roz-

i Szczecina Polska nie miała, historyczne prawa uległy przedawnieniu, ale sami Niemcy je odnowili, moralne zaś wypisane zostały dymami krematoriów na nierychliwym, ale sprawiedliwym niebie. I dlatego Wrocławia ze Lwowem, jak Szczecina i Gdańsk z Wilnem zestawiać nie należy.

Tu jeszcze jedna uwaga na marginesie. Niezależnie od tego, jak zostanie rozstrzygnięty spór o Ziemię Czerwieńską, w interesie narodu ukraińskiego, w interesie całej Europy Środkowo-Wschodniej leży utrzymanie granicy na Odrze, jako najlepszej gwarancji, że stary prusko-teutoński duch ulegnie osłabieniu i z czasem całkowitej likwidacji. Toteż bardzo dziwnie wyglądają ci Ukraińcy, którzy z nieukrywaną satysfakcją wróżą rychły marsz niemiecki *nach Breslau, Stettin und Dantzig*. Równie dziwnie, jak ci Polacy, którzy rądzi by po wieki wieczne widzieć rosyjskich generał-gubernatorów w Kijowie i Odessie.

Wracajmy do sprawy zasadniczej. Trzeba konkretyzować. Wiem, że posypią się na mnie gromy z jednej i drugiej strony, jak zawsze, gdy jakiś wariat uparł się siedzieć okrakiem na barykadzie. Bo cóż to, u licha, za przyjaciel Ukrainy, który nie zgadza się na granicę na Sanie, i cóż to za Polak, który nie żąda granicy na Zbruczu? Ziemia Czerwieńska historycznie, etnograficznie i kulturalnie nie jest tylko ziemią ukraińską ani tylko polską. Jest ziemią wspólną, o wspólnych ząębających się osiągnięciach cywilizacyjnych i kulturalnych, i wspólnej sześćsetletniej historii. Od wieków lwowska katedra łacińska i kaplica Boimów, i Święty Jur, i cerkiew wołoska stoją obok siebie i przez przyszłe wieki zgodnie stać obok siebie powinny. Prochy polskie i ukraińskie przemieszały się ze sobą na cmentarzach i niech nikt nie próbuje oddzielić ich od siebie chociażby wymaginowaną granicą. Można się nawzajem wymordowywać, jeśli taka wola. Można przeciąć tę krwawą, prawdziwie czerwieńską ziemię na pół, można raz jeszcze położyć profesorskie podpisy pod niegodnym Europejczyka i chrześcijanina: *my albo oni*. Można wbić żelazne słupy na Zbruczu lub na Sanie, można wyznaczyć precz za graniczne miedze tych albo owych. Zobaczymy czy i o ile wzbogacą się przez to ludzkie dusze i serca. Jedni i drudzy nagrzeżyli ponad miarę, jedni i drudzy cierpią dziś również ponad miarę. Ale jeśli to cierpienie ma być prawdziwą *ekspiacją*, musi mu towarzyszyć twórcza myśl historyczna i głębokie czucie moralne, które uczynią, aby to, co było kamieniem ob-

patrywać tej sprawy bez uwzględnienia Europy jako całości, bez wizji jej regeneracji i uporządkowania. Mówiliśmy już o tym w Berlinie jesienią ubiegłego roku („Kultura” nr 47) i powrócimy do tego problemu w najbliższej przyszłości [Redakcja].

razy, kością niezgody i zachętą do bratobójczych czynów, stało się zarzewiem porozumienia, współpracy i wspólnego władania tą samą ojczyzną.

Więc nie starcie się dwóch skrajnych stanowisk, nie kompromis graniczny ani przesiedlanie ludności, nie fakty dokonane, które nazajutrz mogą być obalone przez rywala lub trzeciego mediatora, i nie nowa, nieuchronnie takim rozwiązaniom towarzysząca rzeź. A wreszcie tu chodzi nie o Lwów tylko i nie o to, czy w Husiatynie i Trembowli będzie powiewać sztandar biało-czerwony czy żółto-błękitny. Konwulsje miotające światem spychają go do wielkiego konfliktu, z którego wyłoni się coś zupełnie nowego, innego niż było uprzednio. Dla dwóch emigrantów wygrażających sobie pięściami gdzieś na paryskim czy manchesterskim bruku, kwestia, czy jego rodzinne przedmieście będzie nazywało się Lewandówką, czy Lewandiwką, może być najważniejsza. Ale w tych ośrodkach, gdzie ważą się losy ludzkości, taka postawa nie popłaca. Tylko ślepiec może się łudzić, że w Waszyngtonie i Londynie będą zadawać sobie trud wnikania w racje narodów, których akcje na politycznej giełdzie są prawie nie notowane albo notowane bardzo nisko, lub troszczyć się o narodowe postulaty jednego powiatu czy gminy.

[...]

Narody tak długo bezpaństwowe, jak Ukraińcy, czują instynktowną obawę i niechęć do pomysłów federacyjnych. To zrozumiałe. Tym, co już wyżyli się suwerennie i państwowo, łatwiej zgodzić się na takie koncepcje, a poza tym działa tu tradycyjna podejrzliwość narodu, tylekroć oszukiwanego i rozczarowanego. Ale Ukraina jako członek federacji obejmującej kraje Europy Środkowo-Wschodniej nie powinna żywić obaw tak daleko idących. Jej potencjał ludzki i gospodarczy, niewystarczający wobec Rosji, byłby w takim układzie dostatecznie wysoki, aby czuła się pewną siebie. Niewątpliwie pewniejszą niż w najbardziej nawet demokratycznym sam na sam z Rosją.

Ale żadna federacja nie jest w stanie wykluczyć automatycznie konieczności jakiegoś rozgraniczenia, skoro nawet państwo narodowo zwarte musi mieć jakiś podział administracyjny. Ziemia Czerwieńska, jako człon terytorialnie pośredni, powinna otrzymać swój własny statut na podstawie całkowitego równouprawnienia ludności i zachowania identycznych form związkowych z Warszawą i Kijowem. Wówczas miałaby pełną szansę stać się mostem między dwoma narodami, ich cywilizacją i kulturą, zamiast, jak było w czasach ostatnich, przepaścią. Niechby na rogu „baciarskiej” ulicy zawisły dwie tabliczki – obok siebie, a nie, broń Boże, jedna pod drugą! – „Łyczakowska” i „Łyczakiwska”. A na Wałach Hetmańskich można by wysta-

wieć pomniki na przykład hetmana Mazepy i króla Leszczyńskiego. Niech i zakuci w brąz spiskują przeciw Moskwie. Albo nawet pomniki Żółkiewskiego i Chmielnickiego. Byli przecież razem pod Cecorą!

Jak taki statut miałby wyglądać w ujęciu prawnym, tego nie podejmuję się rozstrzygać. Od tego są fachowcy, prawnicy, socjolodzy, ekonomiści, i do nich należałoby ostatnie słowo. W każdym razie byłby to obszar dwujęzyczny w szkolnictwie, sądach i administracji, podobnie jak dwujęzyczne było Wielkie Księstwo Litewskie, a współcześnie Królestwo Belgijskie.

Ale samo oswojenie się z myślą o tak „rewolucyjnym” rozstrzygnięciu konfliktu kosztowałoby i nas, i Ukraińców wysiłek zaiste heroiczny. Trzeba by przeskoczyć przez wszystkie uprzedzenia, urazy i kompleksy, zrezygnować z nacjonalistycznej pychy i zapomnieć o dzielących nas reminiscencjach historycznych. Dlatego właśnie pisałem tyle o podłożu psychologicznym zjawiska, by dotrzeć do samych źródeł choroby. Istnieje jednak jeszcze jedna bolesna sprawa, uprzednio zaledwie dotknięta, a ze stanowiska etycznego najważniejsza. Sprawa, która tylekroć nas dzieliła w przeszłości i rozdzieliła jeszcze bardziej obecnie. Świeżo przelana krew...

„Z kurzem krwi bratniej...”

W toczącej się niedawno dyskusji, której podsumowanie dałem w pierwszych częściach tego artykułu, najwyraźniej określili swe stanowiska wobec tragicznych wydarzeń w latach 1939–1945, ze strony polskiej Jędrzej Giertych, ze strony ukraińskiej – Jewhen Wreciona. Pierwszy całą winą obciąża Ukraińców, drugi wskazuje na chronologię faktów.

[...]

Ze strony ukraińskiej spotykałem się często z twierdzeniem, że walki, a następnie rzezie, zrodziły się z prowokacji sowieckiej. Oddział spadochroniarzy sowieckich przychodził do wsi ukraińskiej i robił „porządek” udając Polaków albo wycinał ludność polską udając Ukraińców. Wreciona znów oddaje pierwszeństwo i inicjatywę stronie polskiej. Bo „przed Janową Doliną był Dermań”, a wcześniej jeszcze „powszechny terror Polaków przeciw Ukraińcom na terenach obsadzonych przez Niemców przed 1941 rokiem”. Chodzi więc o chronologię: kto zaczął pierwszy? Gdybyśmy chcieli ustalić chronologię bardzo ściśle, musielibyśmy cofnąć się głęboko w historię. Natomiast chronologia minionej wojny rozpoczyna się wypadkami we wrześniu 1939 roku. Jeśli nasiona przyszłej rzezi zasadzone zostały w ciągu dwudziestolecia, to w czasie kampanii wrześniowej zbieraliśmy pierwsze żniwo

tej „zbożnej” pracy ogrodniczej. W odpowiedzi na dywersję ukraińską w Samborszczyźnie i Drohobyciem, której ofiarą padli zresztą głównie mordercy z rozbitych oddziałów, Polacy spalili parę wsi, między innymi bodajże przedmieście Mikołajowa. Było sporo zbrojnych napadów na polskie domy ziemiańskie. Pod Sokalem wycięto w pień obóz uciekinierów. Na Wołyniu zamordowano wielu osadników wraz z rodzinami. Doszło do bezmyślnych wybryków i ze strony polskiej. Oto jeden z przykładów. Jadący motocyklem oficer spotkał po drodze uciętą i wbitą na żerdź ogrodzenia głowę w kapitańskiej rogatywce, wszedł do pierwszej z brzegu chaty i na stół, przy którym siedziała rodzina ukraińska, rzucił odbezpieczony granat. Tak to się zaczynało.

Przeszedłem kampanię wrześniową w oddziale, który do końca zachował zwartość i trzymany był żelazną ręką dowódców. Wyłącznie dlatego nie doszło w paru wsiach do krwawych represji. Żołnierze z mego szwadronu (akurat Poznaniacy), wchodzący do chałupy i proszący o sprzedaż żywności nie wiedzieli, czy i jakie krzywdy spotkały mieszkańców tej wsi w swoim czasie. Wiedzieli tylko, że „nie ma jaj”, „nie ma masła”, „nie ma mleka”, choć wieś była zasobna jak rzadko i zamożność biła w oczy na każdym kroku. Jakby się zachowali w takim wypadku Niemcy lub Sowietci? Ale był wyraźny rozkaz poprawnego traktowania ludności i żołnierze, zacinając zęby, wychodzili z chałup jak niepyszni. Dopiero moja interwencja w języku ukraińskim odniosła skutek. Zaraz znalazły się jaja, masło i mleko.

A po skończonej kampanii wrześniowej zaczęły szaleć emocje. Obecność Ukraińców wśród strażników więziennych na Pawiaku, pomocnicza służba ukraińska w zbrojnej ochronie zakładów w Stalowej Woli, inne objawy kolaboracji z Niemcami na terenie Gubernatorstwa – wszystko to, w połączeniu z wyolbrzymionymi zresztą wiadomościami o zachowaniu się Ukraińców podczas kampanii wrześniowej, wystarczyło, by rozhuścić nienawiść, której ofiarą padło, jak zgodnie z prawdą informuje Wreciona, tylu działaczy ukraińskich w Chełmszczyźnie.

W takich warunkach wzajemna rzeź w powszechnej skali była już tylko kwestią czasu. Cytowałem przy innej okazji słowa metropolity Szeptyckiego, który, nawołując do zaprzestania bratobójczej walki, mówił: „Gdy dżungla płonie, zwierzęta się nie gryzą”. To zwierzęta – ale ludzie!... Wstyd powiedzieć, ale póty było względnie spokojnie, póki we Lwowie i na Wołyniu rządziło NKWD. I winą spada nie tyle na zwykłych prostych obywateli, co na ośrodki kierownicze. Znam Polkę, której męża zabili na jej oczach chłopci gdzieś pod Kowlem. Jeszcze dziś, po tylu latach, dostaje niemal histerii na

sam dźwięk ukraińskiego imienia. Ale od polityków wolno wymagać, by nie kierowali się wyłącznie emocjami. Z góry przyjmuję, że przy największych wysiłkach ze strony ośrodków politycznych i tak doszłoby do krwawych wydarzeń. Ale na pewno nie w takich rozmiarach. No, cóż... w Paryżu ani później w Londynie o zapobieżeniu zbliżającej się tragedii nie myślano, bo były ważniejsze sprawy. Ważniejsza była walka z cieniem Piłsudskiego, reforma hymnu narodowego polegająca na zamianie „Marsz, marsz, Dąbrowski” na „Marsz, marsz, Sikorski”, spory o konstytucję i prerogatywy prezydenta. Dołączył się automatyzm myślenia politycznego. Po cóż wchodzić w jakieś układy z Ukraińcami, po cóż szukać dróg porozumienia, skoro i tak wszystko idzie jak po maśle. Mamy pakt z Wielką Brytanią, jesteśmy sojusznikami Francji, zawarliśmy porozumienie z towarzyszem Majskim. „Córuś, córuś, czegoż ty jeszcze chcesz”? Przewidywania i inicjatywy nielicznych sprawiedliwych odrzucano z najwyższym lekceważeniem i pogardą.

[...]

Przeciwdziałać skutecznie można tylko zawczasu. Gdy żywiły raz wystąpią z brzegów, żadna straż pożarna ich nie opanuje. Na wiosnę 1943 roku rozmawiałem o tych sprawach z młodym socjalistą, wysłanym z kraju do Londynu, a zatrzymanym przez siły wyższe na parę tygodni w Hiszpanii.

„Nie byłem w Małopolsce Wschodniej – oświadczył mi – i nie wiem, czy jest jeszcze coś do zrobienia. Ale znając dobrze nastroje w kraju, mogę pana zapewnić, że wszelkie próby łagodzenia są już raczej spóźnione. A nawet sędzę, że ktoś, kto by wystąpił z taką inicjatywą, mógłby za nią drogo zapłacić”.

Po wojnie pewien oficer AK, który przeszło dwa lata trwał w walce w województwie lwowskim, potwierdził w całej rozciągłości opinię owego emisariusza. „Może jeszcze w roku 1942, a i to wątpię. Ale już w rok później taki kandydat na mediatora najprawdopodobniej dostałby kulę od pierwszego lepszego Polaka”. Oto do czego doprowadza zatruty posiew nienawiści!

Wreciona pisze, że były próby porozumienia ze strony czynników miejscowych, ale najwidoczniej „Od góry burczał głos Zagłoby” i uniemożliwiał rozwinięcie się dobrej inicjatywy na szerszej płaszczyźnie politycznej. Wreciona orientuje się lepiej, bo ja czerpię informacje z drugiej ręki, on zaś był świadkiem naocznym. Czy jednak ci Ukraińcy, którzy chcieli zapobiec rzezi, wyczerpali wszystkie środki? „Przed Janową Doliną był Dermań”. Wiem ci ja dobrze, że w Janowej Dolinie stały oddziały polskie, które przedtem dobrze „pohulały” z ludnością ukraińską. Rozumiem, że chciano wziąć na nich zemstę, choć i one do zemsty miały powody. Ale kobiety i dzieci polskie,

które poszły pod nóż, Dermania nie zawiniły. Ślepa nienawiść nie rozumie. Czy jednak nie można było zapobiec właśnie tej rzezi, skoro rozpaczliwa obrona Janowej Doliny trwała kilka długich dni. Wiedziano o toczącej się walce i w Równem, i w Kostopolu. Kierownictwo OUN, które wydawało odezwy uspokajające, miało w tym wypadku okazję udowodnić, że również potrafi opanować konkretną sytuację. Szkoda, że tego dowodu nie złożyło.

Zdziczenie stało się powszechne. Nie lękano się śmierci, lękano się wpadnięcia żywcem w ręce przeciwnika, bo to oznaczało śmierć bardzo powolną i urozmaiconą. Jak w Arizonie przed stu laty w walkach między białymi kolonistami i Apaczami.

[...]

Jakież jest wyjście z krwawego kręgu tej nienawiści, która potrafi rodzić podobne tragedie? Spierać się bez końca o to, kto pierwszy zaczął, kto bardziej zawinił, kto przelał więcej krwi? Czy może właśnie pokusić się o inne pierwszeństwo, o pierwszeństwo wyciągniętej dłoni?

[...]

A jeśli takie słowa nie mają żadnego znaczenia wobec „doniosłych” racji politycznych, jeśli mają nadal rządzić żelazne prawa – my albo oni – zaś faktami dokonanymi kierować serie z automatów, oddawane do bezbronnych kobiet i dzieci, Dermanie i Janowe Doliny, to przynajmniej nie bądźmy hipokrytami, przynajmniej nie uzurpujmy sobie nazwy chrześcijan! To widać, Święty Jur i katedra lwowska, kolegiata w Olyce i Ławra Poczajowska stoją nadaremnie od tyłu wieków na Ziemi Czerwieńsko-Wołyńskiej. I widać mają rację barbarzyńcy ze Wschodu, gdy nasze kościoły i cerkwie zamieniają na kina i kluby komsomolskie!

Na pięć przed dwunastą

Czas nie stoi w miejscu. Gdy się zestawi doniosłe przemiany, jakie zaszły w świecie od zakończenia wojny, z dokonaniem naszych emigracji, wniosek nasuwa się tylko jeden: znowu pozwalamy dystansować się wydarzeniom. Sprawa porozumienia polsko-ukraińskiego nie posunęła się ani o jedną piędź naprzód, choć tyle już „natchnionego” atramentu wsiąkło w cierpliwy papier. Gesty pojednania – i tyle! Ach, piękne gesty! Nie brakowało ich przecież i w Polsce, gdy przed trumną petlurowskiego generała zmarłego w Warszawie, szła kompania honorowa, gdy grupa polskich oficerów zgłaszała się na audiencję do metropolity Szeptyckiego, by go przeproszać za niepoczytalne wyczyny „rewindykatorów”. Ale gesty takie, nawet jeśli ratu-

ją honor jednostek czy pewnych zespołów, burzy dziejowej nie odwróć, kierunku nie nadadzą, wichrów w żagle, by niosły ku upragnionym wybrzeżom Itaki, nie nabiorą.

Wystarczy wskazać fakt, że pismo, noszące wymowny i ze wszech miar obowiązujący tytuł „Lwów i Wilno” (czynię ten zarzut mimo całego szacunku i uznania, jakie zawsze żywiłem dla Stanisława Mackiewicza), przez całe lata swego istnienia nie poruszyło żadnej z sąsiedzkich bolączek, nie przeprowadziło rewizji żadnego z anachronicznych poglądów w dziedzinie polityki wschodniej, nie wyszło naprzeciw jednemu choćby zagadnieniu z kręgu polsko-ukraińskich i polsko-białoruskich stosunków. I to samo trzeba powiedzieć o ludziach skupionych pod znakiem kresowego pochodzenia i obrony ich mniejszej ojczyzny, których sentymenty patriotyczne nie podlegają zakwestionowaniu, ale którym zabrakło twórczej myśli ożywiającej każde działanie. Przedsięwzięcie piekła jest wybrukowane patriotycznymi sentymentami, ale do nieba można się dostać jedynie na skrzydłach jasnej myśli i świadomego czynu.

Po jednej i drugiej stronie jest mnóstwo ludzi, organicznie niezdolnych do otrząśnięcia się z urazów i zapiekłych wspomnień. Ci aż do śmierci będą trwali na starych stanowiskach, zapatrzeni w upiory przeszłości. Będą grać rolę „bohaterów” i „ojców ojczyzny”, składać huczne deklaracje, potrząsać woreczkiem żółciowym z braku lepszego sztandaru, zachować się jak pijany parobek na weselu, co to i rywala nożem porżnie, i do kryminału zawędruje, świstać w puste orzechy i puszczać łódeczki z papieru na jeszcze krwią dymiące kałuże. Napoleon z szablami z poślaczanego łuczywa, burmistrz miast, dawno pobitych przez zarazę, zakatarzeni buchalterzy prawdziwych i urojonych krzywd, szamani, tańczący dokoła parafialnych totemów, obleśni starcy, nadaremnie wdzięczący się do dziewiczej Pallady, manekiny, wypchane trocinami frazesów i zaklęć!

Od siedmiu lat nie słabnie prasowa kampania nienawiści. Co gorzej, okresami przybiera na natężeniu. Nie jest to zarzut, odnoszący się do wszystkich, ale na pewno do bardzo wielu. Są pisma, są publicyści, którzy sprawiają takie wrażenie, jakby im specjalnie zależało na tym, by ognisko tej nienawiści nigdy nie zagasło. Niechże grzeją swe wychłódłe serca przy jego płomieniu. Ale nigdy nie uwierzę, aby poza nimi nie znalazły się w szeregach naszych emigracji ludzie skłonni do patrzenia w przyszłość, mający dość odwagi cywilnej, by nie dać się sterroryzować własnemu środowisku, i świadomi niebezpieczeństw, jakie znów nam wyjdą naprzeciw, jeśli będziemy trwali przy starym uporze i wrogości.

Siedem lat emigracji zmarnowaliśmy właściwie bez reszty. „Ustąp się z drogi, bo to moje!” – oto jedyne słowa, jakie słyszy się po obydwu stronach barykady. Ledwie zmyli z siebie bojowy kurz i krew, ledwie wyrwali się z dipisowskich baraków, ledwie uchwycili w ręce kromkę emigranckiego chleba, a już im się zachciewa nowej walki, za którą nieuchronnie wlecze się cień nowej klęski, a w najlepszym razie kilkudniowego zwycięstwa.

A czas leci. Nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć, kiedy nowy huragan zerwie się nad światem. Może mamy jeszcze przed sobą długie lata. Ale na wzajemne rozmowy, na znalezienie przyszłego *modus vivendi*, na wypracowanie form sąsiedzkiego współżycia, na prowizoryczne choćby porozumienie zostało już nam bardzo niewiele czasu. To już naprawdę zbliża się północ, naprawdę mamy pięć minut na zakreślenie święconą kredą magicznego koła, zanim znów zlecą się czarownice i zaczną podnosić ciężkie powieki hoholewskiemu Wijowi, by nas uderzył ślepiami śmiertelnego przerażenia.

Nie jestem optymistą. Zdaję sobie dobrze sprawę ze wszystkich trudności, piętrzących się na proponowanej drodze. A jednak trzeba na nią wejść, abyśmy nie zachowali się ponownie jak skorpiony, zamknięte w szklanym słoju, które, miast szukać sposobu na odzyskanie wolności, grożą sobie zatrutymi kolcami. Mówił mi kiedyś młody ukraiński publicysta, siedząc w tawernie przy zacynym hiszpańskim winie:

„Tak, my tu rozmawiamy przyjaźnie, czujemy się dobrze ze sobą, zgadzamy się w wielu sprawach, ale myślę, że za kilka lat spotkamy się na moście w Przemyślu i będziemy strzelać do siebie”.

Może to i prawda. A przecież i takie możliwości biorąc pod uwagę, każdy z nas, noszący poczucie odpowiedzialności wobec Boga i swego narodu, winien uczynić wszystko, by przynajmniej w drobnej części przyczynić się do rozładowania wzajemnej nienawiści. Jeśli fatalizm historyczny ciąży nad nami do tego stopnia, że do ugody nie dojdzie, że pozostaniemy wrogami, jeśli mamy w przyszłości spotkać się nie na odległość przyjaźnie wyciągniętej dłoni, ale na odległość miecza, to niechże to będzie naprawdę miecz, naprawdę rycerska szpada, a nie zbójcejski nóż i siekiera!

Dzieli nas morze krwi i wieki zacieklej walki. Ale czy nic nas nie łączy? Czyż nie ma w przeszłości i takich wydarzeń, takich zjawisk, o które mógłby zahaczyć wątył bluszcz przyszłej przyjaźni i z czasem, w przychylniejszych warunkach, rozrosnąć się w potężne drzewo? A nawet i w latach ostatnich. Oto cmentarz na Monte Cassino. Śpią tam snem wiecznym pod ramionami tego samego krzyża obok Polaków również i Ukraińcy. Czy nikt z pielgrzymów do pobojuwiska na Monte Cassino tego nie zauważył? Więc jeśli ży-

wych, jeśli żywych nie stać na wyrwanie się z objęć przedwiecznych widm, niech chociaż ten żołnierski cmentarz zastąpi drogę powracającym upiorom przeszłości!

*

Cóż... prorokowanie na puszczy nigdy nie było zajęciem łatwym ani przyjemnym. Gdy się jednak wybrało swój sztandar, trzeba przy nim trwać, nawet gdyby wojsko miało się składać wyłącznie z chorążego. Gdy nie ma szans na zwycięstwo, zawsze pozostaje duma płynąca z przeświadczenia, że się swej idei broniło nawet w sytuacji beznadziejnej. „Moja walka jest moim zwycięstwem, moja klęska mojej prawdzie niech świadczy”. Donkichoteria? Być może... Ale wiatraki, o które wyszczerbił swą kopię rycerz z La Manczy dawno rozsypały się w proch, a pomnik błędnego wariata po dziś dzień stoi na madryckiej Plaza de Espana. Gdy przepiszę na czysto te ostatnie słowa, pójdę posiedzieć przy nim na ławeczce i popatrzeć na jego głupio natchniętą twarz. Może mi poradzi, jak ukraińskich „rezunów” i lackich „pacyfikatorów” namówić, by wstąpili do rycerskiego zakonu.

Józef Łobodowski

[2-3/1952]

Dyskusja o wschodniej granicy Rzeczypospolitej* Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Dnia 1 czerwca bieżącego roku odbył się Zjazd Polonii Amerykańskiej w Atlantic City NJ, na który zjechało około 800 delegatów różnych organizacji polonijnych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie oraz liczni przedstawiciele emigracyjni z Europy Zachodniej. Między innymi Zjazd zaszczyli swą obecnością dwaj księża biskupi polskiego pochodzenia: JE A. M. Zalewski i JE H. T. Klonowski. Miło nam stwierdzić, iż Polonia w Ameryce pamięta o swej roli i przywiązaniu względem dawnej ojczyzny, Polski, manifestując je na takich czy innych zjazdach. Wszystko to wygląda bardzo pięknie, ale niejednemu Polakowi zapatrującemu się na obecne sprawy polskie w świecie z międzynarodowego punktu widzenia, gdy zanalizuje niezliczone przemówienia, odczyty i deklaracje, które zwykle sypią się z ust delegatów czy dyplomatów jak z rękawa, na pewno niełatwo przyjdzie wyrobić sobie jednolity pogląd na te sprawy. I tak na Zjeździe w Atlantic City NJ przemawiali panowie: dr T. Bielecki, K. Bagiński, S. Pyzik, Sznajder i wielu innych. Panowie ci przypomnieli zachodniemu światu politycznemu Sybir i Katyń, wezwali władze amerykańskie do położenia kresu okupacji sowieckiej w Europie Środkowo-Wschodniej, dodali ducha i nadziei rodakom w kraju, ostrzegając ich, by na razie nie podejmowali akcji antykomunistycznej, gdyż krok tego rodzaju

* List ks. J. Majewskiego spowodował ostrą reakcję czytelników „Kultury”. W pierwszym półroczu 1953 roku redakcja opublikowała na ten temat 16 listów. Tytuł pochodzi od autor-ki wyboru.

przyczyniłby się raczej do zupełnej utraty dotychczasowego cienia wolności. Następnie była mowa o granicach Polski, której charakterystyczny urywek przytaczam:

„Domagamy się uznania granicy Odry i Nysy Łużyckiej na zachodzie, a linii traktatu ryskiego ze Lwowem i Wilnem na wschodzie, oraz całymi Prusami Wschodnimi i Królewcem na północy”.

Czyż nie są to marzenia ściętej głowy? I może Churchill miał rację, gdy w roku 1945 powiedział: *Poles have every virtue, except political sense*. Jesteśmy chyba jedynym narodem, który żyje wspomnieniami przeszłości i patrzymy na rzeczywistość obecną przez szkła XIX wieku, kiedy to słowa Rzeczpospolita Polska oznaczały Koronę, Litwę i Ruś. Granice obecne są najkorzystniejsze dla Polski. Ziemie Odzyskane są naszą własnością, o których polskości nie tylko mówią fakty historyczne, lecz świadczą o niej nawet odkrycia prehistoryczne. A więc strzeżmy naszych granic na zachodzie; przekonajmy świat, iż mamy pełne prawo do Ziem Odzyskanych.

Polacy lubią domagać się sprawiedliwości i wiedzą, jak ją ocenić, ale gdy przyjdzie nam wymierzyć sprawiedliwość komuś, to używamy bardzo skąpej i kto wie, czy nie wręcz fałszywej miary. Niemal trzy czwarte Polaków znajdujących się na emigracji pochodzi z tak zwanych Kresów Wschodnich. Znaczna część osiedliła się na Wołyniu, Polesiu i Podolu jako „koloniści” polscy po reformie rolnej, inni to potomkowie od wieków zamieszkałych tu rodzin polskich – dawnej szlachty. Kresy Wschodnie wraz z kilkoma milionami Rusinów (Ukraińców), Białorusinów i Litwinów przypadły Polsce odrodzonej w wyniku traktatu ryskiego. Wilno na północy, Lwów na południu – te tak „szcheropolskie” miasta sprawiły nam najwięcej kłopotów i narobiły wrogów. Tak jak my, Polacy, mamy prawo do Wrocławia, Szczecina i Gdańska, tak Litwini słusznie się domagają Wilna, a Ukraińcy Lwowa. Dowody historyczne wykazują, iż miasta te nigdy nie były rdzennie polskimi. Jakkolwiek faktem jest, że większość mieszkańców Lwowa i Wilna uważała się za Polaków przed rokiem 1939, to jednak grubo myli się ten, kto utrzymuje, iż miasta te muszą być kiedyś Polsce zwrócone. Litwini nigdy nie zapomną o Wilnie i dopóty nie będzie zgody między nami, dopóki nie oddamy im tego Wilna. Z drugiej zaś strony Ukraińcy nie podarują nam Lwowa. Po zakończeniu ostatniej wojny Kresy Wschodnie zostały „oczyszczone” z Polaków. Gdy dojdzie do trzeciej wojny światowej i do ewentualnej klęski Rosji Sowieckiej, nasze apetyty na Lwów i Wilno powinny już zupełnie wygasnąć. Niech Litwini, którzy gorszy niż my los przeżywają, cieszą się swym Wilnem, a we Lwowie niech powiewa sino-żółty sztandar. My zaś zwróćmy

oczy na Wrocław, Gdańsk i Szczecin i budujmy Polskę na jej własnej glebie. Wtedy na pewno sąsiedzi nasi ze wschodu i północy obdarzą nas zaufaniem. Przy współpracy Ukrainy i Litwy federacja Europy Środkowo-Wschodniej stanie się faktem dokonanym.

Ślę wyrazy wysokiego poważania.

Ks. Józef Z. Majewski

[St. Jon Vianney's Seminary, Pretoria, Afryka Południowa]

[11/1952]

*

Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu listu ks. Józefa Z. Majewskiego zamieszczonego w cennym miesięczniku „Kultura” nr 11/61, każdy z nas musiał w swej duszy przeżywać niezwykle wstrząs, albowiem to, co powiada dziś ks. Majewski o Lwowie i Wilnie jako miastach niepolskich – mówił poprzednio Stalin, a p. Bierut o tyle okazał się subtelniejszy, iż te części Polski, w które wchodziły wymienione miasta polecił przekazać Stalinowi rękami Mikołajczyka. Dziś zaś ks. Majewski, prawdopodobnie ksiądz wyznania rzymskokatolickiego, uzasadnia niejako ten ich krok argumentami, które w świetle historii są nie tylko sprzeczne, ale niecisłe i niemerytoryczne.

Pochodząc z kresów południowo-wschodnich z dziada pradziada, wiem, zdaje się, cokolwiek więcej od ks. Majewskiego. Sięgnąwszy myślą do najbardziej odległych czasów, znalazłem w archiwum Ossolińskich pewien dość interesujący akt, o ile pamiętam z XV wieku, gdzie było powiedziane, iż król Bolesław Chrobry idąc na Kijów w roku 1018, zatrzymał się w większej osadzie Lwów, gdzie gromadziły się jemu w sukurs spieszące wojska z Rusi Halickiej. Późniejsza historia polska mówi o wielu miastach, które odgrywały mniejszą lub większą rolę: Zbaraż, Trembowla, Buczacz, Podhajce, Stanisławów, Brzeżany, Tarnopol, Złoczów, Jaworów, Żółkiew, Zaleszczyki, no i Lwów. Wszystkie te miasta, rozsiane na całej przestrzeni Małopolski Wschodniej, stanowiły niejako posterunki kluczowe do tego stopnia, iż będzie można powiedzieć słowami poety:

„My wszędzie tam tkwili jak potężne skały,
o które orkany żądla swe tępiły”.

Po ostatnim rozbiórce Polski, gdy cała Małopolska pod nazwą Galicji weszła w skład monarchii austro-węgierskiej, to właśnie najprędzej i najpotężniej odradzał się duch narodowy w tej części kraju, którą tak wspaniałomyślnie ks. Majewski ofiaruje Ukraińcom, pomijając ten zasadniczy szczegół, iż w tym rejonie nie było Ukrainy historycznej, nazwy, którą nadał król Bolesław Chrobry ziemi przydnięprzańskiej zwiąc ją *O k r a i n a*. Ks. Majewski nie znając historii tej ziemi (Małopolska Wschodnia), postępuje dziś w identyczny sposób jak Zagłoba ofiarowujący Niderlandy Szwedom.

Najpotężniejsze umysły mężów stanu, patriotów polskich i wszystkich tych, którzy nie pozwolili narodowi usnąć w marazmie, rodziły się czy po-

chodziły właśnie i przeważnie z tych ziem. Wiele wybitnych nazwisk polskich pozwałam sobie przytoczyć: Gołuchowscy, Badeniowie, Smolka, Dzieduszyccy, Skarbkowie, Lanckorońscy, Koniecpolscy, Bilińscy, Dulębowie, Ossolińscy, Ujejscy, Sobiescy (król Jan III), Żółkiewscy, Rozwadowscy, Balzer, Piniński, Zakrzewski, Fałat, Konopnicka, Głębiński, Zamorski, Pawlikowski, Korytowski, Cielecki i tylu, tylu... Nie sposób wyliczyć wszystkich, których nazwiska w życiu narodu ujarzmionego miały swój ciężar gatunkowy. Lwów był oazą polskości.

We Lwowie przebywali królowie: Jan Kazimierz, Kazimierz Wielki, Jan III, a po roku 1863 we Lwowie przebywał ostatni rząd polski pod czułą opieką całego społeczeństwa z Bronisławem Schwarcem na czele i z chorążym Wizunasem. We Lwowie nie było niemal takiej ulicy, której nazwa nie byłaby wątkiem historii. We Lwowie organizował swoje Legiony Piłsudski.

Mimo bezsprzecznych zasług, jakie położyli choćby tylko ci wymienieni, popełnili razem w swym dobrym czynie fatalny błąd, mszczący się na naszym odrodzeniu narodowym. Wszyscy ziemianie byli Polakami, nie było ziemian Rusinów, a że wówczas nie było na tej ziemi antagonizmu narodowościowego, przeto każdy z nich fundował cerkiew obrządku unickiego, w których przebywali jako kolatorowie. Kościołów rzymskokatolickich było w stosunku do unickich – mało. Potrafili to wykorzystać parochowie unicy, przy bardzo biernym ustosunkowaniu się księży rzymskokatolickich. Pod koniec panowania Habsburgów wzniecono na tych ziemiach hasło Ukrainy, dla przeciwstawienia się szerzącemu się prawosławiu. Gromada prowodyrów ukrajinizmu „galicyjskiego”, a pod egidą upadających Niemiec, pragnęła uchwycić władzę w roku 1918. Odruch polski we Lwowie przeciwstawił się, a z chwilą przybycia odsieczy wyrzucono napastników poza Zbrucz. Najciekawszy jest w tym ten moment, gdy tych prowodyrów nie chce przyjąć właściwa Ukraina, po czym ci sami przechodzą z powrotem na naszą stronę pod Żmerynką, natomiast polskie wojska wkraczające na Ukrainę były witane z niekłamaną radością.

Zechce Pan Redaktor przyjąć moje wyrazy szacunku.

Skarbek-Michałowski
[Shirland Rd, London W. 9]

[1/1953]

*

Szanowny Panie Redaktorze!

W poczytnym piśmie W. Panów, nr 11/61, ukazał się list ks. Józefa Z. Majewskiego w sprawie ziem wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej, który oburzył mnie jako Polaka do głębi.

Najpierw ciekawi mnie, jakiej narodowości jest ks. Majewski, który lekką a szczodłą ręką oddaje Litwinom Wilno, a Ukraińcom Lwów. Przytacza wielbny ksiądz, że „trzy czwarte Polaków na emigracji pochodzi z tak zwanych Kresów Wschodnich”. To, że ci ludzie ginęli jako żołnierze za całość państwa polskiego na morzu, lądzie i w powietrzu wcale nie obchodzi i nie zastanawia wielbego autora. Byle tylko zaspokoić Litwinów i Ukraińców (Rusinów). Nawet proponuje, aby „sino-żółty” sztandar powiewał nad Lwowem, a „kolonizatorów” polskich ze Wschodu przerzuca wielbny ksiądz spokojnie na kolonizowanie Ziemi Odzyskanych.

Nawet p. Mikołajczyk – jak podaje w swej książce *Rape of Poland* – sprzeciwiał się oddaniu wschodnich terenów państwa polskiego, ale był, jak twierdzi, zmuszony przyjąć dyktat tria jałtańskiego.

Może wielbny ksiądz wyemigrował z Polski przed rokiem 1939 na znak protestu przeciw włączeniu Ziemi Czerwieńskiej i Wileńskiej do Macierzy.

My – jednak – zostaliśmy tutaj na emigracji jako żywy protest przeciw kupczeniu naszą ziemią bez nas. Tak więc „wynurzenia” autora z Pretorii (który – mam nadzieję – jest zupełnie odosobniony w swoim rozumowaniu, jeśli jest Polakiem) są chyba wynikiem działania zbyt gorącego słońca afrykańskiego.

Natomiast uważam, że „Kultura” jako pismo przeznaczone dla emigracji niepodległościowej, musi przestrzegać pewnych zasad i stać na stanowisku całości państwa polskiego, bo taka jest postawa całego narodu polskiego.

Jest to nie tylko kardynalny obowiązek obywatela w stosunku do Rzeczypospolitej Polskiej, ale nawet dobre obyczaje pisma niepodległościowego nakazują, by podobnych „wynurzeń”, godzących w całość państwa polskiego, nie umieszczać w piśmie nawet w formie listu autora, którego nazwisko robi wrażenie, że jest pisany przez Polaka.

Myślę, że Redakcja „Kultury” na pewno nie przedrukowałaby listu jakiegoś bierutowca, który by usprawiedliwiał zabór Polski przez Rosję, jak również listu jakiegoś Polaka, który by domagał się oddania Poznańskiego, Pomorza, Śląska i Łodzi Niemcom.

Mam przekonanie, że list ks. Majewskiego został wydrukowany w „Kulturze” przez przeoczenie Redakcji.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Dr Tadeusz Rosol

[207 Roxton Rd, Toronto 3, Kanada]

[1/1953]

Nota Redakcji – Nieporozumienie czy tani patriotyzm?

W związku z listem ks. Józefa Z. Majewskiego i serią spowodowanych tym listem wypowiedzi naszych Czytelników, które drukujemy poniżej – pragniemy zaznaczyć, co następuje:

1. Kolumna listów do Redakcji, jest „wolną trybuną” i poglądy wyrażane w listach są wyrazem prywatnych opinii Czytelników, a nie Redakcji „Kultury”. Wystarczy pobieżnie przejrzeć ten dział, by stwierdzić, że zamieszczamy przeważnie listy, które wyrażają krytykę naszych poglądów, względnie reprezentują stanowisko odmienne od tego, które w danej sprawie zajmuje zespół „Kultury”. Nie drukujemy listów z pochwałami i komplementami, bo uważamy, że na to szkoda miejsca.

2. Odnośnie do meritum sprawy pragniemy przypomnieć naszym Czytelnikom, że pogląd zespołu „Kultury” na zagadnienie ziem wschodnich sformułowaliśmy kilkakrotnie, omawiając te sprawy w artykułach J. Łobodowskiego i J. Mieroszewskiego. Celem uniknięcia nieporozumień definiujemy nasze stanowisko powtórnie.

Polska może odzyskać i utrzymać byt niepodległy tylko w ramach sfederalizowanej całej Europy. Twierdzimy, że prawo udziału w przyszłym europejskim federacyjnym związku mają nie tylko narody, które tworzyły niepodległe państwa w roku 1939, lecz również Ukraińcy i Białorusini. Z uwagi na niebezpieczeństwo imperializmu rosyjskiego obecne i przyszłe, powstanie niepodległej Ukrainy i jej uczestnictwo w europejskim związku federacyjnym – dla Polski jest sprawą pierwszorzędного znaczenia.

Jest nonsensem i złą wolą każdemu, kto usiłuje wyprostować tragiczny splot stosunków polsko-ukraińskich, zarzucać sprzedawczykostwo i handlowanie ziemią Rzplitej. Na emigracji nikt nie jest upoważniony do zaciągania jakichkolwiek zobowiązań dotyczących zmiany granic. Nie zwalnia nas

to jednak od obowiązku usiłowań zmierzających do wypracowania nowych form i koncepcji – zwłaszcza że od roku 1939 zaszły wielkie zmiany i odbudowa sytuacji przedwojennej na ziemiach wschodnich wydaje się nam zarówno niemożliwa, jak i niepożądana.

Wychodząc z takich założeń, artykuł J. Łobodowskiego *Przeciw upiorom przeszłości* („Kultura” nr 2/52 – 3/53) zaopatrzyliśmy notą od Redakcji z zaznaczeniem, że pogląd autora w tej sprawie pokrywa się z opinią zespołu „Kultury”.

Niestety, istnieje spory odłam polskich polityków i publicystów na emigracji, którzy sądzą, że obrona Polski obejmuje również konserwację sporu polsko-ukraińskiego i w rozumieniu tej grupy każdy krok zmierzający do porozumienia pomiędzy Polakami a Ukraińcami jest zdradą i zbrodnią stanu.

Sytuacji polsko-ukraińskiej z roku 1939 ani w jej aspekcie politycznym, ani terytorialnym nie uważamy za ideał, który bez zmian należy odbudować. Wręcz przeciwnie. Ponieważ w chwili obecnej istnieje ponad 30 zatargów granicznych w Europie Wschodniej i Środkowo-Wschodniej – nie ulega wątpliwości, że gdy przyjdzie do organizowania nowego systemu europejskiego, wiele granic – w tym i wschodnia granica Polski z roku 1939 – musi być poddanych rewizji. Istotna w tym zagadnieniu jest tylko jedna sprawa, a mianowicie, by ewentualne zmiany czy korektury nie były narzucone czy podyktowane, lecz by opierały się na swobodnie powziętej decyzji narodów polskiego i ukraińskiego. Jesteśmy zwolennikami tylko takich zmian, za którymi wypowiedzą się w przyszłości upoważnione reprezentacje narodów polskiego i ukraińskiego.

Uważamy natomiast, że tu na emigracji naszym obowiązkiem jest przedyskutowanie w przyjaznej atmosferze całości tych spraw w nadziei wypracowania koncepcji, która posłużyć by mogła w przyszłości za podstawę rozmów polsko-ukraińskich.

[1/1953]

*

Panie Redaktorze!

Do słusznych wypowiedzi ks. Majewskiego („Kultura” nr 11/61) chciałbym dorzucić kilka uwag.

Polska w granicach Odra–Zbrucz miałaby – zaokrąglając cyfry – 500 tys. km². Podzielić to przez ludność wypadnie 50 mieszkańców na km². Zróbmy to samo w Niemczech, a będziemy mieć stosunek 1:4 na naszą niekorzyść. Wiem, że ziemie za Sanem i Bugiem nie są pustynią, ale mnie chodzi o Polaków, o potencjalną liczbę, która zechce bronić granic i odpierać nacisk. Nawet biorąc pod uwagę nasz duży przyrost naturalny, to to zagadnienie można pominąć dopiero za 50 lat...

...Weźmy niezaprzeczalne zalety Niemców, jak pracowitość, dokładność, wytrwałość, zdyscyplinowanie, a do tego *Drang nach Osten* i „niemiecką misję na Wschodzie”, to każdy chyba widzi, przed jakim ogromnym naciskiem ludnościowym, gospodarczym i organizacyjnym na nasze Ziemie Zachodnie stoimy. Czyż nasi politycy nie rozumieją tak prostej prawdy, że – powtarzam za Osmańczykiem – w czasach zacierania się wszelkich granic zasada naczyń połączonych działa tak samo w stosunkach międzynarodowych, jak i w fizyce.

Od polityków i przywódców narodu przeciętny obywatel żąda trzeźwości, kierowania się rozumem, a nie uczuciem, uczciwości i dalekowzroczności.

Rozumowo biorąc, obszar Odra–Zbrucz nie utrzymamy. Nie mamy ani warunków, ani siły po temu. Nie pomogą tu żadne federacje. Nikt nie zechce brać na swe barki obrony naszych żądań. Przeciwnie, żądanie granic Odra–Nysa Łużycka i Zbrucz zniechęca do nas i izoluje nas, robi z nas maniaków politycznych chorujących na wielkość i przeszkadza w tworzeniu federacji środkowo-wschodnioeuropejskiej.

Musimy wybierać. Albo Lwów i Wilno, albo Wrocław i Szczecin.

Jeżeli prawdą jest – a chyba w to nikt nie wątpi – że układ stosunków międzynarodowych i granice były przed wojną złe; że Polska może się utrzymać, być czynnikiem równowagi i utrzymania pokoju w Europie tylko wtedy, gdy Niemcy pozostaną bez Prus, a Rosja bez Ukrainy i jeżeli przy Polsce pozostanie potencjał gospodarczy Ziem Zachodnich; innymi słowy, że utrzymanie granicy na Odrze i Nysie to nasze być albo nie być – to musimy zrezygnować z Ziem Wschodnich.

Nie rozwiązują sprawy kombinacje jakiegoś kondominium. Po pierwsze żadne kondominium zgody nie przyniosło, po drugie wyskoczą znowu „politycy” i będą znowu „wzmacniać żywioł polski” i realizować jakąś – tym razem polską – „misję na Wschodzie”, co doprowadzi do nowych zadrażeń z sąsiadami i rozbicia naszej energii narodowej, którą w całości i tylko w jednym kierunku musimy skierować: na zachód.

...Zdaję sobie sprawę z nieodpowiedniej formy i tonu mych wypowiedzi. Od 13 lat żyję w surowych i prostych warunkach, a przez ten czas można się od wielu rzeczy odzwyczaić, a do wielu przyzwyczaić. Nawet do robienia błędów ortograficznych. Zresztą nie byłem nigdy zwyczajny pisanie.

...Zdaje mi się, że tak jak ja, myślą tysiące z mego pokolenia. Przebywałem w kraju do 1949 roku. Wraz z całym narodem brałem udział we wszystkich formach walki przeciw najeźdźcy sowieckiemu i niemieckiemu. I zdaje mi się, że wraz z całym narodem podlegałem przemianom myślowym i światopoglądowym. Widzę to, spoglądając na „starą” emigrację, która nie tylko nie spostrzega rewolucyjnych zmian zaszłych na każdym polu w kraju, ale nawet straciła poczucie własnej śmieszności. Przecież przedmioty, które są powodem ciągnących się latami sporów, kłótni i rozbicia, nie są dla kraju warte „funta kłaków”.

Jakąż głęboką i tragiczną prawdę wypowiedział Miłosz w precyzyjnym wierszu *Na śmierć T. Borowskiego*. Tak. Tam rozbijaliśmy się o „gładką ścianę Wschodu”, a tu o „mury polskie Ciemnogradu”.

Na zakończenie prośba: aby prowadził Pan dalej „Kulturę” w tym kierunku i duchu jak dotychczas. Należy ona do tych kilku światerek – aby je policzyć, za dużo palców u jednej ręki – które jeszcze błyszczą w bardzo ciemnej i smutnej nocy emigracyjnej.

Łączę wyrazy poważania.

Karol Piszczek

[Curitiiba, Parana, rua Bispo de Jose 2674]

PS. Na zarzuty: 1) Ukrainiec, 2) nie związany z Ziemiami Wschodnimi, 3) reżimowiec–komunista, 4) nie orientujący się w polityce ani w stosunkach w kraju – odpowiadam:

Ad 1. Urodzony rzymskokatolicki, podchorąży przedwojenny, żołnierz AK – Lwów, gdzie dochodziło czasem do nieprzyjemnych incydentów z Ukraińcami.

Ad 2. Urodził się, wychowywał i przebywał do 1944 roku – Lwów i okolice. Wszystko, co miałem najdroższego, zabrała mi wojna i pochowała po tamtej stronie.

Ad 3. Za pierwszej okupacji sowieckiej aresztowany i skazany na karę śmierci, w 1944 roku powtórnie aresztowany za AK, przed trzecim aresztowaniem już przez UB uciekł za granicę.

Ad 4. Nie jestem politykiem i w polityce się nie orientuję. Jeżeli chodzi o kraj, to nieraz spotykaliśmy się (Śląsk) sami „lwowiaci”. Gdy pewnego razu ktoś powiedział, że w przyszłości powrócimy do Lwowa, usłyszał odpowiedź stuprocentowego lwowianina i endeka przedwojennego: „Czyś ty z byka spadł, czy z Londynu. A to tu komu zostawisz?”

K. P.

[2/3/1953]

*

Do Redakcji „Kultury”!

Z dużym zainteresowaniem i głęboką troską przeczytałem w numerze 1/63 „Kultury” notę redakcyjną *Nieporozumienie czy tani patriotyzm?* wraz z następującymi po niej kilkoma listami do Redakcji. Przeczytałem również niefortunny list J. Z. Majewskiego.

W pierwszym rzędzie chcę niniejszym wyrazić moje pełne uznanie dla stanowiska Redakcji, która nie bacząc na konsekwencje, jasno wyraża swoją opinię, którą uważa za słuszną. Jest rzeczą o wiele łatwiejszą i o wiele opłacalniejszą (dla finansów pisma) głosić ten, słusznie przez Redakcję nazwany „tani patriotyzm”, aniżeli iść przeciw prądowi uczuć. Wśród Polaków łatwiej jest przemawiać do uczuć niż do rozumu; ażeby wzbudzić ogólny entuzjazm, poklask i tym podobne, należałoby pisać artykuły i wyrażać opinie z gatunku: „ani guzika od płaszcza nie damy”, „Polska – mocarstwem”, „Polska od morza do morza”, „nie ma narodu ukraińskiego – to tylko wymysł niemiecki” i tym podobne.

Ja również, tak jak Pan J. Relidzyński*, jestem skromnym Polakiem, ogarniającym swą miłością w równej mierze cały obszar Rzeczypospolitej: i tej historycznej (w której skład wchodziły kiedyś również i Ziemie Zaporoskie, Mińsk, Połock, Witebsk, Kowno, Malbork, Gdańsk, Szczecin, Wrocław i Legnica), i tej przedwojennej, i tej obecnej, i tej, która musi powstać na nowo, ale nie znaczy to, abym nie rozumiał, że możliwość jej niepodległego istnienia, a więc możliwość normalnego życia i rozwoju narodu w oparciu o trwałe podstawy, leży jedynie w systemie zbiorowego bezpieczeństwa mniej lub więcej sfederowanej Europy. I ja również, tak jak Pan M. Nowara, należę do pokolenia całkowicie wychowanego w niepodległej Polsce, i mnie raziły tak zwane kompleksy dzielnicowe, niemniej jednak nie uważam, że Polska przedwrześniowa była ideałem i że stosunki w niej panujące zwłaszcza odnośnie do spraw: ukraińskiej, czeskiej, białoruskiej i litewskiej były dobre. Nie wiem, na jak wielkim doświadczeniu życiowym opiera Pan Nowara swe tak ciężkie oskarżenia, iż propagowanie idei federacji Europy jest zdradą Polski i działaniem „ludzi nie z tej ziemi” (ciekawe też, jaką organizację czy grupę reprezentuje Pan Nowara, pisząc w liczbie mnogiej).

* J. Relidzyński i dalej przywoływany M. Nowara są autorami listów do redakcji zamieszczonych w nr 1/1953.

Opieranie swego zdania głównie na doświadczeniu z czasów okupacji prowadzi do zupełnie fałszywych wniosków, gdyż, pomimo że okres ten był wypełniony czynami najwyższego poświęcenia i bohaterstwa, był on jednak okresem zupełnie anormalnym w życiu narodu, a decyzję na powtórzenie podobnego szczytu poświęcenia i bohaterstwa narodowego, jakim było powstanie warszawskie, dziś zdaje się prawie wszyscy zgodnie nazwałiby zdradą narodu.

Jest rzeczą ludzką i zrozumiałą, że Polak urodzony i wychowany w Sarnach lub Brzeżanach, dziś od sześciu lat mieszkający i pracujący na Mazurach lub w Kłodzku, będzie z rozdzierającym się sercem czytał i słyszał głosy dyskusji, czy te ziemie w przyszłości mają należeć do Polski, Ukrainy, Litwy czy Niemiec. Lecz taką samą gorycz w sercu mogli mieć, i z pewnością mieli, po roku 1921 wszyscy Polacy urodzeni w Winnicy, Żytomierzu, Kownie, Olsztynie czy Karwinie. A jednak potrafili ten ból w sercu znieść, zamieszkać w niepodległej Polsce i nie nazywać przywódców, którzy polskie granice wyznaczyli, to jest Piłsudskiego, Paderewskiego, Witosa, Dmowskiego i Korfanteo – zdrajcami, dlatego że podpisali pokój ryski i zgodzili się na zachodnie granice traktatu wersalskiego.

Patriotyzmem jest umieć cierpieć dla dobra całego narodu – gdy tego potrzeba, nie zaś wymagać, aby cały naród cierpiał i tracił niepodległość polityczną, duchową i moralną dla zaspokojenia pretensji wszystkich jego członków, opartych na tradycjach historycznych, kulturalnych i uczuciowych.

Nie ma Polaka, który by nie życzył sobie, aby Polska była silna i trwała, ale pisanie, że Polska musi być wielka i silna albo żadna, zakrawa na megalomanię. Widzimy dziś przecie, że wielka i silna nie jest już nawet Anglia czy Francja, a o znaczeniu i sile nie decyduje wielkość terenu, lecz organizacja państwa, wewnętrzna jego zwartość, wreszcie potencjał przemysłowo-ekonomiczny. Nawet najpotężniejsze państwa liczą się dziś z krajami Beneluxu i cieszą się one powszechnym szacunkiem.

Idea paneuropeizmu nie jest mrzonką „ludzi nie z tej ziemi” tylko dlatego, że do tej pory nie udało się jej zorganizować. Droga do niej nie jest łatwa i nie od razu da się ona pozytywnie wprowadzić w czyn; nawet Stany Zjednoczone, pozbawione wielu odwiecznych narodowo-historycznych kompleksów europejskich i po blisko wiekowym już trwaniu federacji, przeżyły najkrwawszą w XIX wieku wojnę, wojnę domową o trwanie federacji.

Spornych terytoriów, nienawiści narodowych, przeróżnych kompleksów jest w Europie bez liku, a jednak powoli mogą one być rozwiązane, potrzeba tylko trochę dobrej woli, mniej egoizmu, więcej zrozumienia własnych i cudzych interesów.

Tak, musimy szukać i dojść do porozumienia nie tylko z Ukraińcami, Czechami, Litwinami, ale również i z Niemcami, i z Rosjanami. Jeśli chcemy mieć zapewniony trwały byt narodowy, musimy oprzeć się na zbiorowym bezpieczeństwie całej Europy, bo wszelkie inne rozwiązania to tylko demagogiczne „nie damy guzika”, „Polska od morza do morza”, które pięknie brzmią, ale prowadzą do katastrofy.

Dziwnie się utarło w naszej prasie emigracyjnej, że słowo „realista” oznacza prawie tyle samo co zdrajca, sprzedawczyk i tym podobne. Nie wiem, dlaczego monopol na patriotyzm mają tylko „romantycy”; przez analogię przypomina to także inne słowo ukute z tamtej strony żelaznej kurtyny, a mianowicie „kosmopolita”.

Dotychczas jedynie sporadycznie kupowałem egzemplarze „Kultury”, ale przeczytawszy, że Pan Nowara „na złość mamusi skaleczył się w palec” i wymówił prenumeratę (lecz nie czytanie, z pewnością będzie teraz „Kulturę” pożyczał), zawiadamiam niniejszym Szanowną Redakcję, że od tej chwili będę stałym abonentem waszego cennego pisma.

Z prawdziwym poważaniem.

Jerzy Czaplicki
[Av. Callao 353, Buenos Aires]

[4/1953]

*

Londyn, d. 14 lutego 1953 r.

W numerze 11/61/1952 miesięcznika „Kultura” Redakcja umieściła list ks. Józefa Majewskiego, głoszący, iż Polska nie posiada praw do Wilna i Lwowa i domagający się rezygnacji Polski z Ziemi Wschodnich na rzecz Litwy i Ukrainy.

List ten ukazał się w „Kulturze” bez komentarza Redakcji, wobec czego Zarząd Główny Związku Ziemi Północno-Wschodnich zwrócił się z zapytaniem, czy Redakcja zamierza stwierdzić, iż się nie solidaryzuje z jego treścią.

W odpowiedzi na to w numerze 1/63/1953 „Kultury”, w dziale „Kronika ukraińska”, pod tytułem *Nieporozumienie czy tani patriotyzm?* ukazała się Nota Redakcji, w której Redakcja nie tylko nie zajmuje krytycznego stanowiska w stosunku do listu ks. Majewskiego, ale na odwrót, uznaje konieczne poddanie rewizji granic wschodnich Polski w celu pozyskania Ukraińców i Białorusinów dla idei federacji wschodnioeuropejskiej.

W związku z powyższym zaznaczamy, co następuje:

1. Już samo zamieszczenie Noty Redakcji oraz listów protestujących przeciwko wywodom ks. Majewskiego w sprawach Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej z Wilnem i Lwowem w dziale „Kronika ukraińska” jest dowodem traktowania Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej poza jej granicami, a tym samym próbą wyłamania się od zasady obrony całości Polski.

2. Wyrażanie zgody na jakąkolwiek dyskusję co do granicy z 1939 roku jest podważaniem naszych słusznych praw ustalonych w 1923 roku przez Radę Ambasadorów Mocarstw Sprzymierzonych w oparciu o postanowienia traktatu wersalskiego, a przedtem objętych traktatem ryskim pogwałconym przez Związek Sowiecki 17 września 1939 roku.

3. Wschodnie granice Polski wyznaczone zostały wysiłkiem i krwią całego narodu – czego świeżym świadectwem są takie fakty dziejowe, jak obrona Lwowa w latach 1918–1919 oraz tłumny zaciąg mieszkańców Wileńszczyzny do Armii Krajowej w czasie ostatniej wojny. Są one zabezpieczeniem Polski od najazdu ze Wschodu i ponadto są gwarancją niepodległości państw bałtyckich, Rumunii i Węgier.

4. Obrona Ziemi Wschodnich jest wielowiekowym wkładem kultury polskiej, to nie jest „nieporozumienie czy tani patriotyzm”, ale spełnienie obowiązków ciążyących na naszym pokoleniu w imię dobra i przyszłości całej Polski.

5. Próby pozyskiwania przyjaznych stosunków z innymi narodami drogą wykazania gotowości do ustępstw terytorialnych mogą tylko utrudnić szansę porozumienia, gdyż osłabiają przekonanie kontrahenta, iż Polska będzie do upadłego bronić swych granic.

Wyrażając ubolewanie z powodu treści zamieszczonego przez „Kulturę” listu ks. Majewskiego oraz treści Noty Redakcji – stwierdzamy, że godzą one w najbardziej żywotne interesy Polski i obrażają uczucia społeczeństwa polskiego.

Za Związek Ziemi Północno-Wschodnich RP
Prezes Rady Naczelnej
Olgierd Daniłowicz
Wiceprezes Zarządu Głównego
Eugeniusz Chelchowski

Za Związek Ziemi Południowo-Wschodnich RP
Prezes Zarządu Głównego
Adam Treszka
Wiceprezes Zarządu Głównego
Józef Narożański

[5/1953]

*

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę również zabrać głos w „sporze o Lwów i Wilno”, jeśli wolno mi tak nazwać te osiem głosów („Kultura” nr 1/63 i 2/64–3/65 1953), które się ukazały w związku z listem J. Z. Majewskiego.

Jestem autorem popularnej broszurki *Sumienie Polski – rzecz o Wilnie i Kraju Wileńskim*, wydanej w Londynie w roku 1946 nakładem Związku Ziem Północno-Wschodnich. Ponieważ tytuł tej broszurki mówi sam za siebie, więc nie będę tu cytował swego *credo* w tym nieco dziwnym – z polskiego punktu widzenia – sporze. Powiem tylko krótko, że się solidaryzuję z opinią wyrażoną w listach pp. Relidzyńskiego, Nowary, Skarbka-Michałowskiego oraz prezydium Związku Ziem Północno-Wschodnich. Nie podobają mi się jednak pewne zwroty i oceny, które znalazły się w tych listach. Osobiście nie zamierzam dawać Redakcji lekcji „dobrych obyczajów piśmiennictwa niepodległościowego” ani dopatrywać się cech „zdrady stanu” w opinii ks. Majewskiego. Nie będę też groził „Kulturze” „utrata popularności”. A najdalej jestem od myśli zrezygnowania z prenumeraty miesięcznika, który, jak dotąd, nie ulega terrorowi czytelników i w imię *prawd* i *w* *e* *j* wolności słowa odważnie stawia czoła różnym cenzurom „moralnym” prowadzonym pod hasłem „świętości”, których szargać nie wolno. To ostatnie oświadczenie składał z tym większą satysfakcją, że należę do tych – prawdopodobnie nielicznych – czytelników „Kultury”, którym co najmniej połowa ukazujących się artykułów i oświadczeń „nie odpowiada” ani ideowo, ani psychicznie.

[...]

Michał K. Pawlikowski
[Berkeley, Kalifornia]

[5/1953]

*

Szanowny Panie Redaktorze!

List ks. Majewskiego ogłoszony w nr 11/61 „Kultury” jest wydarzeniem przełomowym w dziedzinie, na którą lubimy się powoływać jako na przyświecającą nam dewizę, mianowicie: wolności słowa. Niestety dotychczasowa praktyka świadczy o jaskrawej sprzeczności z tą dewizą. Wprawdzie „wolność” skanduje się w dalszym ciągu na różne sposoby, odmienia we wszystkich przypadkach i oczywiście przeciwstawia metodzie niewoli słowa stosowanej przez bolszewików, w istocie jednak żadnej prawdziwej wolności słowa u nas nie ma. To, co jest, to są dyskusje obracające się w ciasnych ramach, wytyczonych przez postulowany patriotyzm polityczny, zarówno z formy, jak i treści bardziej zbliżone do propagandy niż do niezależnej publicystyki. Istotne sprawy pozostają poza nawiasem dyskusji. Przytoczę dla przykładu.

Niedopuszczalne jest wygłoszenie poglądu, który by się zasadniczo różnił od postulatów uświęconych przez większość, w następujących sprawach: granice zachodnie; granice wschodnie; polityka Episkopatu w kraju; polityka i działalność AK podczas wojny; sprawa aktualnego nieoporu przeciwko okupantowi sowieckiemu; przymusowe wysiedlenie milionów ludzi z tak zwanych Ziem Odzyskanych; praworządność rozbrojenia wojsk polskich na Zachodzie w latach 1945–1946 i tak dalej, i tym podobne. W ten sposób istnieje faktyczny zakaz poruszania najistotniejszych spraw, które obchodzą cały naród. Dyscyplina polityczna rozciągnięta jest nie tylko na wystąpienia publiczne, jak tego mieliśmy dowód w reakcji na nieśmiałą broszurę śp. pułkownika Pstrokońskiego, ale nawet na prywatne i drobne, jak tego dowiodła reakcja na gest profesora Studnickiego, który zgłosił się na świadka obrony w procesie generała Mansteina.

Wprawdzie mówi się w tych przypadkach nie o dyscyplinie politycznej, a o dyscyplinie patriotycznej, ale najszerzy nawet patriotyzm nie może być zjawiskiem pozytywnym wtedy, gdy doprowadza do ograniczenia, a tym bardziej zakazu wolnego słowa. Poza tym dyscyplina tego rodzaju osiąga cel odwrotny od zamierzonego. Jeżeli zamiarem jej ma być wykazanie, że przytłaczająca większość narodu trwa przy pewnych postulatach, to fakt ten może być ujawniony wyłącznie na drodze wykazania znikomej mniejszości po przeciwnej stronie. Praktycznie w postaci wolnej dyskusji, ale nigdy w jej zakazie. Przynajmniej o ile chodzi o ustrój demokratyczny, którego rzekomo jesteśmy tak wielkimi entuzjastami. Tylko w ustrojach totalitarnych tak zwa-

na „jedność całego narodu” znajduje wyraz w ramach urzędowych postulatów, z którymi nikt nie ośmiela się dyskutować. Ale absolutna jednomyślność całego narodu, który ma aspiracje do wyższego szczebla rozwoju kulturalnego, jest rzeczą nierealną, nieprawdziwą, a przeto budzi zawsze podejrzenie czegoś sztucznego, narzuconego czy wymuszonego, a zatem pewnej niewiadomej, do której się nie ma zaufania. Tak na przykład nie moglibyśmy mieć konkretnego pojęcia o słabości ruchu komunistycznego czy faszystowskiej grupy Mosleya, gdyby zakazano im w Anglii ujawniać swoją działalność i publikować swoje poglądy.

Nie po to usiłujemy ratować kontynuację narodu polskiego na emigracji przed miażdżącym ją psychicznie totalitaryzmem bolszewickim w kraju, aby wytwarzać kontrtotalizm i namiastkę społecznej policji politycznej. Niestety, jesteśmy świadkami, że z braku pałek policyjnych i lokalów aresztanckich stosuje się sankcje tak zwane „moralne”, które właśnie moralnymi nie są: piętnowanie, wykluczanie, bojkot i jakże często – oszczerstwo.

Abstrahuję w tej chwili od sprawy jedności politycznej i politycznego działania. Mówię nie o działaniu, a o – wolności słowa. „Kultura” zamieściła list ks. Majewskiego w sprawie, która obchodzi wszystkich. Ks. Majewski nie dokonał żadnego politycznego czynu, on tylko po prostu – wypowiedział swoje zdanie. Każdemu, kto się ze zdaniem ks. Majewskiego nie zgadza, wolno jest zwalczać go kontrargumentami lub zlekceważyć; polemizować z nim albo nie polemizować. Natomiast reakcja ze strony pewnych sfer polskich na wypowiedziane przez ks. Majewskiego poglądy przybrała w poszczególnych przypadkach takie formy, które jeszcze raz potwierdzają smutną rzeczywistość. Tę mianowicie, że większość Polaków wciąż nie może pojąć, iż prawdziwej kultury nie zdobywa się za pośrednictwem drylu i to nie tylko na podwórzu koszarowym, ale także nie na podwórkach otoczonych drutem politycznego regulaminu.

Ja osobiście z ks. Majewskim też się nie zgadzam, a w każdym razie zgłosiłbym tyle poprawek do jego koncepcji uregulowania sprawy Wilna i Lwowa, iż mogłoby się okazać, że stoimy na przeciwległych sobie biegunach. Poza tym samo operowanie terminem Ziemie Odzyskane, na które ks. Majewski kładzie tak duży nacisk moralny, budzi we mnie odruchowe zastrzeżenia.

Przyjmuję jednak do wiadomości, że absolutna większość Polaków jest innego zdania. Sądę jednak, iż nie powinno to pozbawiać mnie prawa do wypowiedzenia swego, podobnie jak ks. Majewski ma prawo wypowiedzieć swoje zdanie. I wreszcie redakcja każdego pisma ma prawo wydrukować

albo nie wydrukować to, co się jej podoba albo to, co się jej nie podoba. Dlatego nie mógłbym mieć żalu do redakcji „Kultury”, jeżeli nie zechce na przykład zamieścić niniejszego mego listu. Natomiast całkowicie niezgodne z pojęciem kultury jest grożenie ks. Majewskiemu paragrafami kodeksu karnego tylko za to, że ośmielił się mieć inne zdanie niż wszyscy. A taki właśnie wypadek zaszedł.

Już kiedyś czytałem w jednym z pism polskich w Londynie zarzut, że „Kultura” zamieszcza rzeczy, które „o b r a ż a j ą” uczucia Polaka. – Otóż w tej sprawie chciałbym dorzucić jeszcze kilka uwag. Słyszałem definicję „człowieka kulturalnego”, która mi szczególnie przypadła do przekonania:

„Kulturalny człowiek – według tej definicji – to jest taki, z którym można rozmawiać o wszystkim. To znaczy w każdej dziedzinie, którą zna lub która go interesuje, lub o której w ogóle rozmawiać chce. Może nie chcieć, może go coś nudzić albo nie interesować, ale kulturalny człowiek nigdy się na poruszony przez kogoś temat – nie obraża...”

Józef Mackiewicz

[5/1953]

Dialog polsko-litewski*

Od kilku lat nie zabierałem głosu w sprawach polsko-litewskich. W całym okresie emigracyjnym tylko dwa razy spotkałem się z wybitniejszymi politykami litewskimi. Raz – bodaj w początku 1941 roku w Lizbonie, gdy w drodze do Stanów Zjednoczonych zatrzymał się w tym mieście ostatni prezydent Litwy – Smetona. Towarzyszył mu dobry mój znajomy, jeden z współtwórców litewskiego odrodzenia, również dziś nieżyjący – Iczas. Później, już w kilka lat po wojnie, brałem udział w interesującym spotkaniu polsko-litewskim w Londynie. Stronę litewską reprezentował minister Sidzi-kauskas i pani Avietinajtė, stronę polską ministrowie: Tarnowski, Sokołowski, Gwiazdowski i – ja. Do tych paru spotkań ogranicza się moje czynne zainteresowanie sprawami litewskimi w okresie emigracyjnym. Natomiast nigdy nie zerwałem z nimi kontaktu, wiedząc z grubsza, co się na tym odcinku dzieje i, w miarę możliwości, śledząc głosy litewskie na wspólne dla obu narodów tematy.

Po przeczytaniu w „Kulturze” artykułu p. dr. Juozasa Girniusa (*W poszukiwaniu dialogu polsko-litewskiego*), postanowiłem przerwać długotrwałe milczenie. Czy dlatego, że w ogóle odczuwałem potrzebę włączenia się do dialogu polsko-litewskiego? A może dlatego, że artykuł p. Girniusa wniósł do tematyki polsko-litewskiej pod względem merytorycznym jakieś nowe elementy? Ani jedno, ani drugie.

Mam za sobą w sumie dobrych kilka lat życia, w czasie których głównym moim zajęciem było właśnie prowadzenie dialogów z Litwinami. Z politykami, dziennikarzami, literatami, wojskowymi, księżmi, lekarzami, prawni-

* Dyskusja o stosunkach polsko-litewskich została wywołana artykułem Juozasa Girniusa *W poszukiwaniu dialogu polsko-litewskiego* (nr 10/1955). Obok artykułów Katelbacha i Iwanowskiego opublikowano sześć listów, których autorzy polemizowali z Girniusem.

kami, nie wyłączając tak zwanych szarych ludzi. W tych dialogach przegadałem wszystko. Nie chciało mi się do nich wracać. Zwłaszcza że – choć od czasu moich rozmów upłynęło bez mała lat dwadzieścia, a cała Europa zdolała zmienić nie do poznania swe oblicze – wydawało mi się, iż niewiele uległo zmianie w tematyce polsko-litewskiej. Artykuł p. Girnusa jest zresztą – gdy o merytoryczną stronę jego wywodów chodzi – świeżym tego przykładem. Wywody jego, poświęcone różnicy poglądów polskich i litewskich na niedawną czy historyczną przeszłość, nie wnoszą nic nowego. Również do tematów dawno obustronnie przegadanych należą: umowa suwalska, akcja Żeligowskiego, rzekomo „intensywne” prześladowania Litwinów na Wileńszczyźnie czy wreszcie temat nad tematami, zwany przez Litwinów „problemem Wilna”, od którego rozwiązania – jak pisze dr Girnius – zależy przyszłość polsko-litewska.

Lecz jest w wywodach litewskiego pisarza coś, co zasługuje na uwagę i co spowodowało, że włączam się do dyskusji. To jego szlachetny idealizm. P. Girnius poszukując właściwej płaszczyzny przyszłych dialogów polsko-litewskich, pragnie ją oczyścić z „czystej polityki”. Wychodzi on z założenia, że całokształtu stosunków między obu naszymi narodami „nie da się sprowadzić do problemu czysto politycznego”. Chce te dialogi wyzwolić z „przesądów nacjonalistycznych”, „spod destruktywnego wpływu wspomnień niedalekiej przeszłości, obfitej w absurdałne nieporozumienia i konflikty”. Dążąc szczerze do trwałego ułożenia przyszłych stosunków polsko-litewskich, szuka „kryteriów moralnych”, uważając, że „czysta polityka” jest synonimem siły i podstępów, nie zaś prawa i pokoju.

„Tragiczne doświadczenie drugiej wojny światowej – pisze – zmusza nas do zademonstrowania naszego obrzydzenia polityką, która zasady moralności poświęca kompromisom dnia... Tęsknota za wolnością, którą żyją zarówno Polacy, jak i Litwini, powinna iść w parze z tęsknotą za nowym duchem między naszymi narodami”.

Ten szlachetny idealizm litewskiego autora, pragnącego oprzeć stosunki polsko-litewskie na kryteriach moralnych, wzajemnym zrozumieniu i dobrej woli, wywołał we mnie odległe wspomnienia jesieni 1933 roku. Przyjechałem wówczas do Kowna. Choć byłem politykiem, widocznie „czystym politykiem” nie byłem. Udając się bowiem wprost z Berlina do stolicy odrodzonego państwa litewskiego, zabierałem i ja z sobą bogaty bagaż idealizmu. Nie tylko pragnąłem likwidacji anormalnych stosunków między obu państwami. Chodziło mi o wzajemne zrozumienie, o zbliżenie psychiczne dwóch narodów żyjących w bezpośrednim sąsiedztwie, a wciąż oddzielonych od siebie murem nieprzebytym. Przecierając Litwinom dyskretnie ich

okulary stale zaproszone pyłem bądź niemieckiej, bądź sowieckiej nienawiści do Polski, owemu tematowi wzajemnego zrozumienia poświęciłem lata rozmów i dziesiątki korespondencji pisanych do Polski z Kowna.

W korespondencjach tych tłumaczyłem Polakom, że historia Polski i Litwy – to bezpowrotna przeszłość i że współcześni Litwini już dostrzegli w niej najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla swej kultury i własnej odrębnej państwowości.

„Dziś – pisałem w październiku 1933 roku – dumni są, że ta samoobrona kulturalna uwieczniona została powodzeniem i że dzięki odcięciu się od Polski wąta roślina narodowej kultury litewskiej rozrosła się już do rozmiarów rośliny, której kwiat nie rozkwitł jeszcze zbyt wielkim królestwem barw, za to pędy jej poszły głęboko w ziemię”.

A do Litwinów zwracałem się w listopadzie tegoż roku:

„Nie lekceważę narodowych hasel litewskich, nie lekceważę żalów litewskich pod adresem Polski. Nie piszę też tych słów po to, aby namawiać Litwinów do zapoczątkowania zmiany kursu politycznego wobec Polski. Lecz wydaje mi się, że zupełnie niezależnie od tego kursu, we własnym interesie, winni skończyć z istniejącym paradoksem. Właściwa treść tego paradoksu polega na tym, że naród litewski od kilkunastu lat wypowiada żądania i żale pod adresem narodu polskiego, z których do Polski przedostają się tylko stereotypowe formuły, nie przedostaje się natomiast rzecz najważniejsza – głęboka, żywa treść życia litewskiego. Trudno i darmo: naród, który chce być rozumiany przez inny naród, musi do niego przemawiać, choćby najtwardziej, lecz nie zza muru, którego trzynastoletnia budowla tamuje przenikanie do Polski właściwego dźwięku litewskiej mowy”.

Chodziło mi więc wówczas, jak dziś chodzi p. Girniusowi, przede wszystkim o wzajemne zrozumienie. Nie zapomnę nigdy, z jakim zapałem doglądałem wszystkiego w Kownie, by wydany został na czas „litewski numer” warszawskich „Wiadomości Literackich”. Nie zapomnę, jak ucieszyła mnie w tym samym, 1934 roku wiadomość, że nawet młodzi nacjonaściści litewscy, grupujący się wokół pisma „Nova Romuva”, zdecydowali wydać „polski numer” swego pisma. Ale równocześnie ani przez chwilę nie zapomniałem o tym, że centralnym punktem dialogu polsko-litewskiego – jest tak zwana sprawa Wilna.

Przed wyjazdem do Kowna w długich, poufnych rozmowach prowadzonych z moim nieodżałowanym przyjacielem Kazimierzem Wyszyńskim snuliśmy warianty różnych projektów takiego rozwiązania sprawy, które przekształciłoby Wilno w miasto wspólne obu narodów, w miasto, co te narody łączy, a nie dzieli. W tych samych rozmowach doszliśmy do wniosku, że należy robić wszystko, aby w przyszłości nie zostały użyte z naszej strony wobec Litwy środki przymusu lub siły. Tak wewnętrznie uzbrojony sądziłem, że zdołam skłonić Litwinów do stopniowej normalizacji stosunków polsko-li-

tewskich. Wierzyłem, że ich dobrowolna zgoda na akt normalizacyjny otworzy możliwości rozmów na temat Wilna. W wierze tej uświęcały mnie słowa Marszałka Piłsudskiego. Lecz równocześnie Marszałek nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że w tym czasie (1933–1935) warunkiem *sine qua non* wszelkich dalszych dyskusji polsko-litewskich musi być zgoda Litwy na normalizację stosunków z Polską. Wiedziałem, że nikt w Polsce, prócz Piłsudskiego, nie będzie miał siły postawienia kiedyś sprawy Wilna jako miasta, które ma się stać własnością obu narodów. Dlatego sugerowałem ministrowi spraw zagranicznych Litwy panu Łozorajtisowi myśl, przynajmniej na razie, utworzenia stałych delegacji: litewskiej w Warszawie i polskiej w Kownie, których zadaniem byłoby przygotowanie normalizacji stosunków polsko-litewskich. Ostrzegałem, że czasu jest mało, gdyż w razie śmierci Marszałka trzeba będzie pogrzebać wszelkie nadzieje na takie rozwiązanie spraw polsko-litewskich, które umożliwiłyby w przyszłości załatwienie „problemu Wilna”. O ile mnie pamięć nie myli, na dwa czy trzy dni przed śmiercią Marszałka przyjął mnie p. Łozorajtis. Zadowolony, choć zawsze ostrożny w doborze słów, dał mi wyraźnie do zrozumienia, że moja sugestia została pozytywnie potraktowana przez Prezydenta Smetonę. Gdy uszczęśliwiony tą wiadomością przygotowywałem się w drogę do Warszawy, otrzymałem z Berlina telefon zawiadamiający o śmierci Marszałka. W kilka miesięcy potem, po okresie wyraźnie zarysowującego się odprężenia w stosunkach polsko-litewskich, nastąpił szybki odwrót na dawne pozycje – jakby powiedział dr Girnius – „czystej polityki”. W początkach 1937 roku musiałem opuścić Kowno. Błędy Kowna wywołały ostrą reakcję Warszawy. Pod presją polskiego ultimatum, w marcu 1938 roku, dokonana została normalizacja stosunków polsko-litewskich.

Piszę o tym wszystkim dlatego, aby powiedzieć dr. Girniusowi, że nawet jego szlachetne wezwanie o znalezienie kryteriów moralnych jako podstawy rozmów polsko-litewskich nie jest pełnym *novum*. Należałem już przed laty do tych, którzy w podobny sposób jak on podchodzili do zagadnienia. I mimo zawodów i rozczarowań pozostałem nadal wyznawcą kryteriów moralnych, nie mieszczących się w martwych formułach „czystej polityki”. Co więcej, o konieczności pogłębiania tych kryteriów w dzisiejszej dobie przekonała mnie lektura różnych wypowiedzi litewskich. *Exempli modo* wspomnę tylko o jednej.

W sierpniu ubiegłego roku na łamach „Europos Lietuvis” ukazał się długi artykuł omawiający stosunki polsko-litewskie p. Simasa Suziedelisa. Artykuł świadczy zarówno o opanowaniu przez autora tematu, jak i o jego absolutnej niemożności wyzwolenia się z istniejącej dżungli nonsensów, urazów, anty-

polskich żalów i sądów, których szkoda byłoby tu powtarzać. P. Suziedelis straszy po staremu Litwinów widmem zaborczej Polski, wyciągającej chciwe ręce po Lwów, Wilno i... Królewiec. Uspokaja ich tylko tym, że w razie zwycięstwa nad Moskwą na przeszkodzie zapędowi polskiemu staną większe siły sojusznicze, okupujące przejściowo całą Europę Środkowo-Wschodnią. W mniemaniu p. Suziedelisa siły te mogą odegrać rolę gwaranta granic dzisiejszej sowieckiej republiki litewskiej, ba, może nawet powiększonej! P. Suziedelis nie może się bowiem uspokoić, że w granicach obecnej Polski znalazła się południowa część Suwalszczyzny... Po takich oto zachęcających do polsko-litewskiego dialogu wywodach wypowiada się łaskawie za szukaniem zbliżenia z „rzecзовymi” Polakami, lecz przede wszystkim wzywa Łotyszów i Estończyków do tworzenia wspólnej federacji, ostrzegając ich, że w razie oddzielenia Litwy od Niemiec przez Polskę, Bałtowie zostaną otoczeni przez Słowian i pozostawieni z nimi sam na sam.

Jakich „rzeczowych” Polaków ma na myśli ten „czysty polityk” litewski – trudno jest odgadnąć. Nie ma bowiem naprawdę rzeczowego Polaka, który nie uważałby dzisiejszej, zachodniej granicy Polski za nienaruszalną. Nie ma również Polaka, który wyrzekłby się Lwowa i Wilna. Lecz każdy myślący Polak wie dobrze, że po zerwaniu więzów komunistycznej niewoli Polska może stanąć na swej wschodniej granicy w obliczu nowych zagadnień. Rozpadające się imperium sowieckie pozostawi w spadku po sobie republiki, które samo kreowało. Dziś, posłuszne każdemu sowieckiemu skinieniu, jutro – wolą ludności autochtonnej proklamują swą niepodległość, zrywając więzy z moskiewskim centralizmem. Każdy Polak musi się liczyć z tą ewentualnością, rozumiejąc, że wyzwolona Polska może graniczyć nie tylko z wolną Litwą, lecz z wolną Białorusią i Ukrainą. Nie ulega wątpliwości, że z narodami tymi naród polski będzie pragnął nie tylko współżyć po sąsiedzku, lecz razem wykuwać własną i ich przyszłość. Na ołtarzu tych nadrzędnych, wspólnych celów i zadań każde państwo tego regionu, nie tylko Polska, będzie musiało składać ofiary. Tylko wówczas Polacy gotowi byłiby zgodzić się na rozwiązanie głoszące, że Wilno nie jest ani wyłącznie polskie, ani litewskie, lecz wspólne i że tak samo wspólny, to znaczy ani ukraiński, ani polski jest Lwów.

Kto w takim podejściu pragnie z chorobliwym uporem doszukiwać się ukrytego żądła polskiego imperializmu – niech bredzi dalej. Kto jednak z Litwinów da temu wiarę, że współczesna myśl polska rozwija się po linii koncepcji wyzwolonych „spod destrukcyjnego wpływu wspomnień niedalekiej przeszłości” i oparcia ich na szerszych podstawach moralno-politycznych,

ten przekona się, że dialog z Polakami jest nie tylko konieczny, lecz nawet wcale łatwy.

Oswojenie się z nowym duchem czasu nie jest przemianą, która może się dokonać z dnia na dzień. Na pewno nie wszyscy Polacy już się z nim oswoiili. Aleć wszyscy w tym mickiewiczowskim roku mówią z dumą o sobie, że nieraz potrafili być heroldami wielkich, moralnych idei uniwersalistycznych i, mimo błędów „czystej polityki” polskiej, zachowali te idee w kości i krwi. I dlatego prędzej lub później zrozumieją nowego ducha wielkiego zakrętu historii, na którym się znajdujemy.

Byle go tylko inni w czas zrozumieli.

Tadeusz Katelbach

[1/1956]

JÓZEF MACKIEWICZ

Niemiecki kompleks

W Rzymie roku 1946 jadałem często w małej restauracji „Remo”, położonej w ciasnej uliczce pod wzgórzem Kwirynału. Właścicielką była tak zwana wówczas „dobra” Niemka, wdowa po „dobrym” Włochu, czyli antyfaszyście rozstrzelanym w znanej, a zdaje się jedynej, masakrze dokonanej przez SS w Rzymie w odwet za zamach (bodaj na Piazza Barberini) na oddział niemiecki. Wdowa kochała swego śp. męża i nienawidziła oczywiście nazistów i faszystów wielką, kobiecą nienawiścią. Stąd może, wskutek skojarzeń politycznych, zbierała się w restauracyjce klientela specjalna. Mianowicie Żydzi, którym udało się ująć śmierci w europejskiej fortecy Hitlera. Bawili się wesoło i hałaśliwie, z odcieniem nerwowego podniecenia, jak ludzie wypuszczeni nagle z celi skazańca. Przygrywał na fortepianie taper bardzo typowy: Żyd z Wiednia. Grał każdą rzecz, której się odeń żądało, a potem miał zwyczaj przysiąść się do stolika na wino; teczkę z nutami ustawiał koło nogi krzesła.

Ma pan ładną teczkę – zagadnął kiedyś jeden z biesiadników, dotykając skóry. Taper z wyraźną dumą opowiedział jej pochodzenie. Żołnierze sowieccy w Niemczech wpadli do mieszkania pewnego dentysty i między innymi zdarli doskonałą skórę, którą obity był dziecinny, drogi koń na biegunach. Nasz taper był tam jakoś obecny i powiedział: „Na co to wam? Dajcie mnie”. Darowali wspaniałomyślnie i z tego zrobił sobie później teczkę. – Czy przy tej operacji zdzierania skóry z konia na biegunach obecny był jego właściciel, synek dentysty i czy płakał może? – o to nikt przy stoliku nie zapytał. Zresztą takie pytanie nie byłoby stosowne, a kto wie, na ówczesne czasy może nawet niebezpieczne, w obliczu morza krwi i łez, które wylali Żydzi w drugiej wojnie światowej.

Pytanie to nasunęło mi się dopiero po wielu latach w zupełnie innym kontekście... W podróży po Niemczech mieszkałem przelotnie u pewnej wdowy. Miała męża i dwóch synów. Mąż jej zginął na froncie we Francji je-

szcze w roku 1940. Jeden z synów na Krymie, drugi w Afryce u Rommla. Nie czyta teraz gazet, nie słucha radia. Nic jej nie obchodzi. Ożywia się tylko, gdy zacznie mówić o mężu i synach. Wtedy może opowiadać długo: o ich słowach, o spojrzeniach, o ich planach na przyszłość, o potrawach, które lubili, o sposobie mieszania łyżeczką w kawie... Mieszka w jednym pokoju wytapetowanym fotografiami swych dzieci, gdy były małe, starsze i zupełnie dorosłe, i gdy ostatnio nosiły mundury. Słowem zachowuje się tak, jak często zachowują się tak zwane zrozpaczone matki na całym Bożym świecie: mijają czasy, a ona żyje tylko tym, który był dziesięć i więcej lat temu.

Jakoś w rozmowie wspomniałem o tym moim mieszkaniu pewnemu rodakowi i w dyskusji, która się mimo woli wywiązała, poglądy jego dałyby się streścić w następującym schemacie. Wdowa winna była za czasów hitlerowskich wpłynąć na męża i syna, ażeby wymówili posłuszeństwo i raczej dali się rozstrzelać przez gestapo, niżli iść na wojnę. A skoro tego nie potrafiła dokonać, to dziś, gdy zginęli, nie ma prawa płakać i lamentować, a wręcz przeciwnie powinna oświadczyć: „Dobrze im tak, moim synom, że zostali zabici, bo gdy uprzytomnię sobie te straszne krzywdy wyrządzone Polakom i Żydom...”. Logicznie wynikałoby z tego, że i siedmioletni synek dentysty, jeżeli wrzeszczał na widok obdzieranego ze skóry swego konia na biegunach, nie mógł mieć oczywiście racji. A raczej winien był podejść grzecznie do tapera i powiedzieć: „Cieszę się, że to się panu na coś przyda, po tych wszystkich nieszczęściach, które spadły na moich rówieśników żydowskich, których pozbawiano nie tylko zabawek, ale samych obdzierano ze skóry”. Jest to niewątpliwie schemat trochę anegdotyczny. Ale przyznać muszę, iż niezbyt daleko odbiega od poglądów nie tylko owego rodaka, o którym wspomniałem, ale wcale szerokiej rzeszy rodaków.

Stojąc na ich stanowisku, musielibyśmy dojść do przeświadczenia, że każdy Niemiec w swych czynach, uczuciach i odruchach posługiwać się winien nie refleksjami normalnego człowieka, a pobudkami wyższego rzędu, jakiegoś „człowieka politycznego”. Czyli rozciągać polityczną skrucę nie tylko za czyny własne, ale nawet za tolerancję wobec czynów współziomków, na całe swoje i swojej rodziny życie prywatne, bez określenia terminu ani pokolenia, do jakiego owe wyrzeczenie się ludzkich instynktów miałyby trwać.

Tego rodzaju, nazwijmy go: postulat, jest oczywiście nierealny. Ale świadomie nierealny, aby uniemożliwić stosowanie obiektywnego kryterium w stosunku do tej grupy ludzi, którą uważa się za wrogów. Będzie jednak

tylko pozornym paradoksem, gdy powiem, że stanowisko to wydaje mi się raczej konsekwentne, a nawet logiczne. Kto bowiem wychodzi z założeń koncepcji wiszącego nad nim politycznego zagrożenia ze strony Niemiec, popada naturalnym biegiem rzeczy w stan potencjalnej samoobrony. A wiemy, że w wypadkach obrony koniecznej nie prawi się przed frontem żołnierzy komunalów, iż przeciwnik jest też człowiekiem zrodzonym z niewiasty, tylko przeciwnie: zgęszcza możliwie nieprzychylne barwy. Nie prawi się o miłości bliźniego i rzucaniu chlebem. Nie ma oczywiście miejsca na obiektywizm. W podnieceniu wojny strony posługują się nie obiektywizmem, tylko – propagandą.

Osobiście nie zaliczam się do grupy Polaków reprezentującej ową tezę polityczną, ale zdaje sobie sprawę z konsekwencji jej stanowiska. Notabene podmurowanego moralną spuścizną oraz jakże słusznym żalem za lata okupacji i zbrodni.

*

Natomiast wynosząc sprawę poza krąg politycznych werbli, w płaszczyznę innego poziomu, powiedzmy: wyższej kategorii... w dziedzinę literatury na przykład, dziedzinę nie propagandy, a nauki, słowem ideałów humanizmu, który bardziej interesuje się człowiekiem niżli jego narodowością, wydaje mi się, że dostrzegam rysy wyraźnej nieraz niekonsekwencji. Jesteśmy przeciwnikami odpowiedzialności zbiorowej; jesteśmy przeciwnikami masowych deportacji; jesteśmy przeciwnikami terenowego rozszerzania się ustrojów totalitarnych; jesteśmy największymi przeciwnikami mordów i gwałtów, ale – nie mówimy o nich, przynajmniej nazbyt głośno, w pewnych okolicznościach... W takich mianowicie, w których głośno je potępiać czy zgół protestować jest dla pewnych względów – nie na rękę... Odwracając sytuację, jest to postępowanie nieco zbliżone do tego, o które właśnie oskarża się ogół Niemców, że mianowicie nie wiedzieli czy też raczej nie chcieli nic wiedzieć na przykład o tym, co się działo w obozach koncentracyjnych. Jeżeli jednak w stosunku do siebie zdobyć się możemy na wytłumaczenie owego przymknięcia oka, co zresztą łatwo jest usprawiedliwić niedoskonałością natury ludzkiej, to dlaczego mamy właśnie od Niemców tej doskonałości wymagać? Powie może ktoś w tym miejscu: Co za zestawienie! Przecież to Niemcy wobec nas, ale my wobec Niemców nie dopuściliśmy się żadnych zbrodni? Słusznie. Tym łatwiej powinno by nam przyjść potępienie czynów, których dopuścił się w stosunku do nich – ktoś inny...

Jest rzeczą charakterystyczną, że wiele osób, najbardziej właśnie wrogo względem Niemców usposobionych, nie zdaje sobie zupełnie sprawy, do jakiego stopnia w różnorodnych formach wyrażanie tej niechęci, wbrew ich woli, kreuje ich na „nadludzi”. Pamiętam jeden z pierwszych filmów powojennej produkcji niemieckiej: *Zbrodniarz jest wśród nas*. Była tam scena, gdy „zły” Niemiec (wojskowy) żyzyma się, cierpi wewnętrznie, walczy ze sobą, aż wreszcie porywa za pistolet... „A jednak nie wystrzelił w końcu z tego pistoletu...!”, napisała ze złośliwym triumfem pewna polska pisarka o tym filmie. Istotnie, zakończenie było inne. Film był kiczem i dodajmy, że żadne rozwiązanie nie zbliżyłoby go do prawdy życiowej. Ale ta uwaga polskiej pisarki nasunęła mi odruchowo refleksje z własnej, młodzieńczej jeszcze przeszłości wojennej.

Był „wśród nas” porucznik M. Człowiek szczerze sympatyczny i miły kompan. Już dawno po wojnie 1920, a porucznik M., mimo wysługi lat, nie awansuje nawet na rotmistrza. – Dlaczego, pytają. – Ach, no bo w personalnych papierach ma tam jakąś przykrą sprawę... – W restauracyjnej biesiadzie mówi się o niej: „Powiesił tam kilku niewinnych Żydów w Iwieńcu czy Wołożynie... he-he-he !...” – Już tam nikt nie pamięta, w jakim to i czy w jednym tylko miasteczku było, ale zawsze z końcówym: he-he-he! Porucznik M. nie lubi tych śmieszków, nawet przy kieliszku, nie ze względu na powieszonych Żydów, ile na przypomnienie zwichniętej kariery i marszczy się. Raczej mu współczułem, bo był, powtarzam, człowiekiem naprawdę sympatycznym. Ale jednocześnie ośmielę się postawić pytanie: Ilu „niewinnych Żydów” powiesiłby porucznik M., gdyby to było rzeczą przez najwyższe władze zaleconą? Gdyby nie tylko nie było traktowane za wykroczenie, ale odznaczane orderem i awansem, zamiast ten awans hamować? I czy prócz niego, również wszystkich kompanów, którzy przy czystej wyborowej kwitowali jego „sprawę” notorycznym: he-he-he! – łatwo wyróżnić jako ludzi „złych”?

Literatura postulowana czy to w socrealizmie, czy polrealizmie wykazuje zazwyczaj tę wadliwą wspólną cechę, że im bardziej zbliża się do polityki, tym większy rozbrat bierze z życiem. Literatura czy krytyka literacka, jeżeli dla jakichś wyższych względów politycznych uchyla się od konfrontacji z prawdą życia, nie powinna przynajmniej odbiegać od prawdopodobieństwa życia. Nasuwa mi się kolejne pytanie, jakże bym ja osobiście wyglądał w świetle krytycznych uwag pisarki polskiej o tym filmie? Byłem na tej samej wojnie co porucznik M. I oto (założmy) stoję w szeregu ułanów, gdy z wyższego rozkazu wieszają kogoś na sośnie, a ja co? Kopię konia ostroga-

mi, wyjeżdżam przed front i protestuję? Albo zgola kieruję lufę pistoletu na mego dowódcę? Przede wszystkim miałyby to taki efekt, że całe towarzystwo rozdziawiłoby gęby w bezgranicznym zdumieniu, łącznie chyba z wieszanymi. Następnie zaś, jeżeliby mnie nie zastrzelono na miejscu, to za wdzięczałbym to jedynie szczeremu przekonaniu, że – zwariowałem.

*

Podczas okupacji niemieckiej działy się straszne rzeczy. Mielśmy do czynienia z olbrzymią, zorganizowaną machiną terroru i okrucieństwa, która, jeżeli chodzi o Żydów, nie miała precedensu może nawet w historii. O tym każdy z nas wie na pamięć. Natomiast co wiemy o odwecie we Wschodnich Niemczech? Zamiast odpowiedzi na to pytanie stwierdzę po prostu: to, co wymienię poniżej, będzie pierwszą polską publikacją na ten temat. A działy się rzeczy dokonane nie przez zorganizowaną, bezduszną maszynę, a, niestety, rękami indywidualnego, ludzkiego rozbustwienia. Można się spierać, które z tych objawów było gorsze? Ale, jak na mój gust, decyzja w sporze nie wydaje się łatwa.

„W pewnej wsi – opisuje Thorwald – zamordowano chłopca niemieckiego i obcięto mu dla żartu głowę, gdy bronił swej żony, którą gwałciło 16 żołnierzy sowieckich po kolei, i to należało do porządku rzeczy. Dlaczego jednak przy okazji, na ścianie stodoły przybito gwoździami głowę w dół czternastoletniego chłopca, tego nikt nie wiedział...”

Kapelan amerykański Francis Sampson opowiada, że w Neubrandenburgu zgwałcone dziewczęta niemieckie wieszano za nogi do rozstawionych gałęzi drzew i rozcinano w pachwinach... W Pradze czeskiej Niemki rozbierano do naga i kazano im w tym stanie uprzętać gruz; jednocześnie otwierać szeroko usta, żeby każdy przechodzień mógł w nie splunąć; matki krępowano drutami kolczastymi i wrzucano do rzeki, zaś dzieci topiono w miejskich rezerwuarach wodnych, odpychając za pomocą długich żerdzi od krawędzi. Proboszcz Karol Seifert opowiada, że 20 maja 1945 roku, stojąc na brzegu Elby widział: rzeką płynęła drewniana tratwa, do której długimi gwoździami przybita była za nogi i ręce cała niemiecka rodzina z kilkorgiem dzieci... Były major sowiecki Klimow opisuje (*Berlinskij Kreml*), jak w rowach przydrożnych leżały kobiety niemieckie, którym powbijano kolbami między nogi butelki od piwa...

Dosyć cytatów. Nie chodzi o ich ilość. Profesor uniwersytetu fryburskiego, ks. Bocheński, przekonuje nas od dłuższego czasu, że ilość nie zmienia się w jakość. Przytoczyłem te przykłady dla trzech względów: po pierwsze

dla zilustrowania pewnej kategorii informacji, których szersza opinia polska bądź nie posiada wcale, bądź tylko pobieżnie. Po drugie, że „wśród nas” znalazł się kapłan katolicki, ks. Katak, który na łamach londyńskich „Wiadomości” oceniał „odwet sowiecki” pozytywnie... Po trzecie, dla postawienia następującego pytania: czy po tym, co przeszli ci ludzie względnie ich najbliżsi, powiedzmy matka, której syna przybito gwoździami do stodoły lub córkę rozcięto pomiędzy gałęziami drzewa, jest w stanie czy nie jest uznać to za „słuszną karę Bożą” tylko dlatego, że jej rodacy dokonali zbrodni w innych krajach? Moim zdaniem nie jest w stanie. Ani Niemka, ani żadna inna matka na świecie. Ze stanowiska politycznego łatwo jest, naturalnie, sprowadzić sprawę do: „kto pierwszy zaczął”... W buchalterii wojennej wpisać do zysków i strat... Tak samo jak z dialektyki typu bolszewickiego czerpać garściami argumenty. Ale odwołując się do wyobraźni piszących o życiu: jest li możliwe, aby człowiek nad trupem bestialsko zamordowanej osoby sobie najbliższej zdobywał się na rachunek polityczny i – opłakiwał obcych ludzi zamordowanych w obcym kraju? Gdyby taki się znalazł, musiałby chyba być ze stali i należeć do rasy übermenschów. A ja osobiście w rasę übermenschów szczerze nie wierzę.

*

Każda, zbyt rygorystyczna, dyscyplina narzucona twórczości nieuchronnie prowadzi do wykrzywienia oblicza prawdy. Dotyczy to również dyscypliny patriotycznej. Skrzywienie naszej literatury na odcinku pamiętnikarsko-wojennym doprowadziło, mimo woli, do rezultatów odwrotnych od zamierzonych przez autorów, czyli do paradoksów. Tak więc przyjęta została forma, która identyfikowała maszynę organizacyjną, państwo, rząd, partię NSDAP z – jednostką ludzką. W myśl tej formuły wszyscy Niemcy z okresu okupacji Polski musieli być i byli – źli. Bardzo nieliczne wyjątki potwierdzają tylko obowiązujący schemat. Spróbujmy teraz przeanalizować według tego schematu charakterystykę literacką pojedynczego Niemca, jako człowieka, w okresie okupacji Polski. Zły był ten, który w dobie powszechnego rozkradania okupacyjnego mienia kradł na równi z okupowaną ludnością, gdyż przedstawiany jest jako „złodziej”. Zły był ten, który w dobie powszechnej spekulacji, pośrednictwa, czarnego rynku i odsprzedaży brał w tym udział na równi z okupowaną ludnością, gdyż wtedy jest „łapownikiem”. Ale najgorszy był ten, który nie kradł i nie brał łapówek, ale wykonywał zarządzenia okupacyjnych władz przełożonych, bo wtedy był „zbrodniarzem”.

Gdybyśmy teraz z tego kolektywnego typu literackiego spróbowali wysuwać żywego człowieka, automatycznie narzuci się pytanie: co miał robić pojedynczy Niemiec, aby zasłużyć na miano „dobrego”? Odpowiedź musiałaby mniej więcej wypaść w ten sposób: w ogólnym dobrobycie czarnego rynku żyć życiem mnicha za swoje kartki żywnościowe; tolerować lub pomagać w spekulacji innym, jednocześnie odmawiając sobie wszelkich zysków; wreszcie nie wykonywać zarządzeń własnych władz przełożonych, ryzykując przez to głową dla dobra bliźnich – Polaków. Przyznajmy, iż tego rodzaju postać literacka byłaby zupełnie nierealna, sprzeczna z prawdą życia, a już tym bardziej z prawdą i prawami wojny. A wymagania podobne można by stawiać chyba tylko pod względem jakiegoś anioła na ziemi, co oczywiście stałoby w jaskrawej sprzeczności z intencją autorów tej literatury.

Było bardzo dużo złych i okrutnych Niemców. Ale nie odpowiada i nie może odpowiadać prawdzie, żeby miliony żywych ludzi mogły być we wspólnej negatywnej cesze tak odsztancowane jak ołowiani żołnierze odlani z jednej formy. Naturalnie tak też i nie było. Na potwierdzenie mógłbym przytoczyć bardzo wiele przykładów z własnego doświadczenia i doświadczenia innych w okresie okupacji. Nie będę ich wszelako przytaczał, nie ze względu na obawę „wyłamania się z dyscypliny narodowej”, która to obawa hamuje wypowiedź wielu z moich rodaków, ale dlatego, że cytując te przykłady, stawałbym na stanowisku, iż aby dowieść niesłuszności zasady głaichszaltowania 70 milionów ludzi, trzeba się uciekać aż do przewodu dowodowego.

*

Nigdy nie byłem tym, co się nazywa „filo-Niemcem”. Wprawdzie uważałem i uważam, że polityczne zagrożenie niemieckie jest dla Polski znacznie mniej niebezpieczne niż zagrożenie bolszewickie, ale te polityczne przekonania nie odgrywają żadnej roli w niniejszych rozważaniach. Przyznam, że podjąłbym je może z większą namiętnością i większą ilością argumentów, gdyby na przykład cały naród rosyjski był pomawiany o winę i czyniony odpowiedzialnym za bolszewizm w takim stopniu, jak to czyni się z całym narodem niemieckim odpowiedzialnym za hitlerizm. Od dziecka miałem wśród Rosjan przyjaciół. Z nimi chodziłem do szkoły, z nimi bawiłem się i czytałem indiańskie historie. Walcząc z bolszewikami woziłem w kaburze siodła klasyków literatury rosyjskiej i – raptem, na rozkaz z góry, miałbym we wszystkich rzucać kamieniem? Dlatego że *ex cathedra* narodowego aero-

pagu zapadła uchwała, że to są wszystko potencjalni bolszewicy? Nonsens! Nie chcę i koniec. Ale tego buntu przeciwko postulatam rodzimego kolektywu nie traktowałbym i w tym wypadku za objaw jakichś odmiennych sympatii, a raczej jako protest w obronie zdrowego rozsądku, do którego dążyć każdy człowiek – moim zdaniem – ma nie tylko prawo, ale i obowiązek.

Jestem z wykształcenia przyrodnikiem i rozumiem w ten sposób: na co by zeszły moje lata nauki i studiów, za co miałbym sobie filozofię Arystotelesa, książki Aleksandra Humboldta, dzieła Darwina i wszystkich wielkich biologów, genetyków i psychologów ostatnich czasów, gdybym na starość miał zostać wyznawcą politycznego rasizmu? Czy zgoda cofnąć się do światopoglądowego poziomu wstępnej gimnazjalnej, gdy ludzi i narody z taką łatwością dawało się dzielić na: czarne-białe?

Nie „bronię” ani Niemców, ani Rosjan. Bronię samego siebie przed infantylizmem narzucanych mi poglądów. Memu przyjacielowi, staremu „dobremu” endekowi zrobiono niedawno w szpitalu niemieckim transfuzję krwi. Ktoś skonstruował dowcip, że krew pochodziła od byłego SS-mana i że po wyjściu ze szpitala przyjaciel mój będzie zmuszony poddać się procesowi denazyfikacji... Moim zdaniem wielu z rodaków nie zdaje sobie sprawy, że ich poglądy na polityczną biologię... nie tak znów daleko odbiegają od poziomu tego dowcipu. Z tą różnicą, iż każdy dowcip pozostanie zawsze w granicach dozwolonych żartów, natomiast zbliżone do niego *credo* polityczne graniczy czasem z błazenadą.

*

Generalnym zarzutem wysuniętym przeciwko wszystkim Niemcom, który podczas toczącej się wojny obowiązywał pół świata, a obecnie podtrzymywany jest jeszcze przez pewną część opinii, jest zarzut, że nie obalili Hitlera, a przeciwnie dali się mu prowadzić i wykonywali posłusznie jego rozkazy. Jest to zatem identyczny zarzut, który można wysunąć przeciwko Rosjanom, że pozwolili się opanować Leninowi, że słuchali Stalina i wykonywali służbę w GPU i NKWD. Podczas wojny zarzutu tego jednak nie wysunięto, gdyż pół świata wspierało bolszewików i pozostawało z nimi w sojuszu, a w tej liczbie – Polska... Wskazuje to więc wyraźnie na koniunkturalność tego rodzaju oskarżeń i ich nie tyle moralną, co raczej propagandowo-polityczną genezę.

Tymczasem sprawa przedstawia się tak: „reżym” hitlerowski trwał w Niemczech zaledwie lat dwanaście, podczas gdy bolszewicki w Rosji trwał

już trzydzieści osiem i – trwa w dalszym ciągu. Który z nich był krwawszy i pociągnął za sobą więcej ofiar, można wykazać dopiero, cytując dane statystyczne. Natomiast żadnej statystyki nie wymaga stwierdzenie faktu, że bardziej totalitarny był i jest ustrój komunistyczny.

Ale rozciąganie odpowiedzialności zbiorowej na całe narody jest nie tylko propagandową grą koniunktury politycznej, jest zarazem rzeczą co najmniej śliską... Z całą świadomością wstępuję na tę śliską drogę, aby rozpatrzyć pytanie: dlaczego analogicznego zarzutu nie można wysunąć na przykład przeciwko narodowi polskiemu za tolerowanie „reżymu” Bieruta już od lat dziesięciu? Jeżeli chodzi o ogólny potencjał UB, WOP, KBW i pokrewnych formacji policyjno-politycznych, to liczbowo nie ustępują one stanowi oficerów i szeregowych wszystkich formacji SS Niemiec hitlerowskich. Dalej: na Hitlera Niemcy dokonali kilka zamachów, na Bieruta Polacy ani jednego. Mało tego: nie jakiś jeden tylko odłam Polaków, ale w tej chwili wszyscy Polacy na świecie, zarówno w kraju, jak i na emigracji, uważają namawianie do zamachu na Bieruta bądź strzelanie do reprezentantów „reżymu”, słowem każdą próbę obalenia tego ustroju politycznego siłą, za – prowokację, za którą płacić będzie naród, czyli za zbrodnię. Wynikałoby z tego, że poczytujemy Niemcom za zbrodnię (nieobalenie Hitlera) to, co sobie samym za cnotę. I odwrotnie: za obowiązek każdego Niemca to, co sobie za zbrodnię.

Odpowiedź na to zestawienie, obowiązująca wszystkich Polaków (zawsze karnych w dyscyplinie kolektywnych poglądów), jest jedna: to zupełnie co innego! Nie ma tu żadnej analogii! Hitlerizm był tworem niemieckim i powstał wewnątrz narodu niemieckiego, podczas gdy współczesny bolszewizm Polski został jej narzucony z zewnątrz i utrzymuje się wyłącznie siłą bagnetów obcego okupanta. Stąd ma się wyprowadzać dalszy wniosek, że naród nie jest odpowiedzialny za „obce” ustroje, narzucone mu siłą, natomiast odpowiedzialny jest za „własny” ustrój państwowy. I dalej: ten „własny” ustrój charakteryzuje mentalność narodu i stanowi typowe odbicie jego moralności. Przyjmując jednak tę formułę, stajemy wobec wielu trudnych do rozwiązania problemów. Na przykład: który z ustrojów był bardziej typowy dla mentalności narodu francuskiego: krwawa dyktatura rewolucji 1789 roku? imperializm cesarski Napoleona? czy reakcja Ludwika XVIII? Zmiany, które zaszły w przeciągu lat dwudziestu sześciu. Czy wobec krótkości tych terminów decydować ma liczba lat następnych? Ale w takim razie wypadłoby stwierdzić, że naród niemiecki przez okres o wiele dłuższy uchodził za „naród poetów i myślicieli” niżli za gestapowców i SS-manów. Podobnych ła-

migłówek należałoby rozwiązać bardzo dużo na całym świecie. Chociażby wracając do krótkiego dwudziestolecia Polski niepodległej: czy typem odpowiadającym mentalności narodu były bardziej rządy Centrolewu i sejmowładztwa, czy dyktatury, Brześcia i Berezy? Wyciągając aktualne konsekwencje z różnicy czynionej pomiędzy „własnym” i „obcym” ustrojem, musielibyśmy dojść także do wniosku, że w równym stopniu zbrodnią było ze strony Niemców, że nie strzelali ongiś do Hitlera, jak zbrodnią byłoby dziś, gdyby odwrotnie – strzelali do panów Nuschkego, Ulbrichta czy Grotewohla. Byłaby to co najmniej wygodna interpretacja dla wszystkich ustrojów komunistycznych na globie, których kolebką jest zawsze obca im Moskwa. W rezultacie należałoby przyjąć zasadę, że z całego globu tylko jednemu Rosjaninowi dozwolona jest próba zamachu na krwawego satrapę Kremla i tytuł do ewentualnego bohaterstwa za czyn, który dokonany na przykład rękami Polaka, Litwina, Rumuna czy Bułgara przeistaczałby się automatycznie w zbrodniczą prowokację.

Oczywiście, że temat tego rodzaju nie da się wyczerpać ani w kilku argumentach, ani w mniej lub więcej zawiłych formułach. Geneza władzy i narzucanego narodom ustroju państwowego ginie w mrokach historiozofii i należy do dziedziny nieskończonej obfityści w wykładanie psychologii ludzkiej, a także przykłady dziejowe. Gdybyśmy dorzucili jeszcze nie rozstrzygnięte od wieków zalecanie Kościoła: „że każda władza pochodzi od Boga”, znaleźlibyśmy się w sieci bardzo sprzecznych interpretacji, trudnych do rozplątania. Ja tego oczywiście próbować w tym miejscu nie będę.

*

Niezależnie od powyższych uwag, formuła przyjmująca drastyczne rozróżnienie władzy „własnej” od „obcej” wydaje się posiadać jeszcze jedną wadę. Mianowicie operując wyłącznie terminem „naród”, pomija istnienie czynnika w życiu bardziej konkretnego, jakim jest jednostka ludzka. Zaś właśnie w życiu mamy najczęściej do czynienia z wzajemnym stosunkiem: jednostka–władza, bez względu na to, czy jest ona „własna”, czy „obca”. W ten sposób przenosząc punkt ciężkości z płaszczyzny kolektywno-politycznej na jednostkowo-ludzką, stajemy w obliczu nowego kompleksu drażliwych kryteriów. A więc na przykład: dlaczego SS-man tropiący ludzi obcej narodowości na korzyść „własnej” władzy ma stać moralnie niżej od łapsa tropiącego swoich własnych rodaków w interesie władzy „obcej” i narzuconej siłą? Dlaczego na przykład ci literaci niemieccy, którzy piali hymny na

cześć „własnego” hitleryzmu mają być piętnowani jako zbrodniarze, natomiast literaci piejący hymny na cześć „obcego” im bolszewizmu rozgrzeszani jako „biedne ofiary”? Że niby: muszą, że żona, dzieci?... Że chcą żyć? A tamci nie chcieli żyć? Nie mieli żon i dzieci?

Naturalnie tak prosto to się wszystko nie tłumaczy. Komunizm używa odmiennej instrumentacji, której efekty w działaniu na społeczeństwo próbowałem odmalować w powieści *Droga do nikąd*, a której technikę, miejscami po prostu genialnie wyinterpretował Miłosz w swej książce *Zniewolony umysł*. (Największa pochwała: warszawska „Nowa Kultura” w numerze z 13 listopada 1955 roku, pisze: „Książka Miłosza to majstersztyk wrogiej propagandy”...) Z drugiej jednak strony narzuca się pytanie, choć w formie raczej wykrzyknika: Czy przy rozbudzonych, współczesnych nacjonalizmach (pisze się: patriotyzmach) wśród wielu narodów Europy zbrakłoby piewców swego władcy, chociażby najgorszego z najgorszych, lecz którego jeden but stanąłby nad Atlantykiem, a drugi nad Wołgą, którego władza sięgnęłaby od piasków Egiptu po Ocean Lodowaty? Wolne żarty! Nie darmo, choć niechętnie, porównuje się Hitlera do Napoleona.

W rezultacie odpowiedź na pytanie: co jest „gorsze”, opiewać „własny” hitleryzm czy „obcy” bolszewizm, wydaje mi się co najmniej sporna. Bezsporna może być chyba tylko dla tych, którzy w tym momencie wykrzykną: „Jak pan śmie porównywać bolszewizm z hitleryzmem”?

A na takie *dictum* uchylam kapelusza i uchylam się od dalszej dyskusji. Gdyż bez względu na to, z której strony ten okrzyk padnie, będzie on pokrewny tym obu totalizmom naraz. Bo tylko tępa, polityczna myśl totalitarna kwestionować może nadrzędne prawa obiektywizmu. A obiektywizm możliwy jest tylko przy zachowaniu zupełnie „wolnej ręki” w dziedzinie porównań. Ograniczając prawo porównań, ograniczamy prawo krytyki, prawo dyskusji, prawo apolitycznej nauki, ograniczamy myśl ludzką, słowem zakreślamy krąg, w którym nie chciałbym się obracać, dając zresztą temu wyraz w dobrowolnym przyjęciu statusu emigranta politycznego.

*

Celem niniejszego artykułu nie jest próba rewizji czy obalania czyichś przekonań politycznych. Jest on raczej próbą dokonania wyłomu w nieco skostniałych kryteriach narodowego kolektywu. Skostnienie to oddziałuje w pierwszym rzędzie ujemnie na polską literaturę powojenną. Wydaje mi się, że aby rozszerzyć jej horyzonty, odjednostronnić, odpolrealistycznić,

a przydać jej więcej prawdziwego realizmu, należałoby zastosować receptę: mniej patriotyzmu, a więcej prawdy życia.

Byłoby oczywiście tendencyjną złośliwością, gdyby ktoś chciał wyciągnąć z moich uwag taki wniosek, że namawiam do zaprzestania opisów zbrodni hitlerowskich. Wręcz przeciwnie: zbrodni niemieckich nie wolno ukrywać, należy je piętnować, a nawet im złorzeczyć i przeklinać. Łapanki warszawskie, podziemia gestapo muszą znaleźć swoje odbicie w literaturze i źle by było, gdyby ktoś próbował zamazać prawdziwe oblicze powstania getta warszawskiego, źle przede wszystkim dlatego, iż zubożyłby przez to naszą wiedzę nie tylko o niezwykłych faktach historycznych, ale pozbawił materiałów mogących służyć w przyszłości do zbadania wymiaru rozpiętości, do jakich sięgać potrafi zbiorowa ludzka zbrodnia z jednej strony, a bohaterstwo z drugiej. Ale ta część została już wykonana. Nikt nie może powiedzieć, że dymy Oświęcimia przeschachowano na mgiełkę zapomnienia. Oddychają one straszny, trupim śwędem, jakim oddychały w rzeczywistości. To wszystko zrobiono. Zapomniano tylko o jednym, o najważniejszym: o człowieku. O tym, że obiektywne pojęcie zbrodni nie ogranicza się do pełnienia jej w stosunku do jakiegoś jednego narodu, ale w stosunku do każdego człowieka.

I tu muszę zauważyć, że powojenna literatura niemiecka znacznie nas wyprzedziła w obiektywnym naświetleniu jednego z największych kryzysów ludzkości, jakim była druga wojna światowa. W obecnej jej tendencji „szukania człowieka” jest po prostu ciekawsza. Bo wiadomo, że w literaturze nie polityka, nie naród, a najciekawszy jest zawsze człowiek.

Literatura niemiecka potępiła hitleryzm i zbrodnie przez niego dokonane w doprawdy niezliczonych publikacjach, filmach i sztukach. Nie potrafiłbym nawet zacytować w przybliżeniu tych wszystkich druków, które bezpośrednio, pośrednio czy tylko w wyniku akcji powieściowej piętnują głupotę, barbarzyństwo i zbrodnie „własnego” hitlerowskiego rządu i systemu, popełnione w stosunku do obcych narodów, a w tej liczbie i Polaków. Po stronie polskiej, jak już wspominałem wyżej, nie ma ani jednej książki, a bodaj żadnego artykułu czy wystąpienia, które by piętnowały zbrodnie obcego, bolszewickiego okupanta w stosunku do Niemców...

Niektórzy postawę dzisiejszej literatury niemieckiej zbywają wykrzyknikiem: „A bo przegrali wojnę! To teraz są »dobrzy«, ale gdyby...” itd. Zauważmy nawiasem, że myśmy tej wojny też nie wygrali... Ale co to ma zresztą do rzeczy? Idee ludzkie powstawały często, korzystając z jakichś zewnętrznych, koniunkturalnych okoliczności i w danym wypadku treść ich jest

ważna, a nie przyczyna, która je zrodziła. Przyszłość, którą otwierają, a nie przeszłość zakopaną w cuchnącym, masowym grobie. Czy piękna książka może być tylko dlatego uznana za bez wartości, że nie byłaby napisana, gdyby dziesięć lat temu ten, a nie inny generał wygrał był decydującą bitwę?

W odróżnieniu od przepisu socrealizmu, szczerść każdego pisarza mierzy się nie tylko tym, o czym pisze, ale i tym, co przemilcza. Jednocześnie każdemu winno być wolno pisać, co chce i co mu najbardziej leży na sercu. Jeżeli chodzi o mnie, nie wykreśliłbym nigdy ani jednego słowa nawet z tego, co wypisuje książd Kantak, jeżeli poczuwa się za nie do odpowiedzialności zarówno wobec czytelników, jak i wobec własnej sukni kapłańskiej. Nie to jest ujemną stroną pewnego zespołu ludzkiego, że ktoś jeden pisze w nim – tak. Ale to, gdy nikt inny nie odważy się napisać – nie; zgłosić swoje indywidualne *veto* czy chociażby odmienne zdanie, nawet wówczas, gdy przebywa w wolnym świecie i ani gestapo, ani NKWD nie grozi mu za to Oświęcimem czy Kołymą.

Trudno określić w tej chwili, jaki procent Niemców potępia nie tylko Hitlera, ale wszystko, cokolwiek ubocznie związane było z jego „reżymem”. Prawdopodobnie ponad 90 procent. Zdarzają się jednak wyjątki, a kto wie, może z 10 procent, może mniej, które byłyby skłonne nie całą przeszłość hilerowską widzieć w równie czarnych barwach. Te wyjątki notowane są ze szczególnym nieraz podkreśleniem – „Spójrzcie no na tych! Co oni wypisują!” A ja bym powiedział: chwała Bogu! Chwała Bogu oczywiście dla samych Niemców przede wszystkim. Bo naród, który wykazuje zbyt daleko posuniętą jednolitość opinii, zbyt wielką dyscyplinę, solidarność, przesadną monomyślność, postulatowość, w którym nie ma nikogo, kto by mówił inaczej, nie budzi zaufania w swoją szczerść. Tego rodzaju społeczeństwo wydaje się nieco sztucznie „podciągane” do jednego mianownika. Słusznie kiedyś napisał W. A. Zbyszewski w pięknym artykule, broniąc Władysława Studnickiego przed masowym potępieniem za zgłoszenie się na świadka obrony w procesie von Mansteina, że społeczeństwo dojrzałego narodu winno być jak rozarty szeroko wachlarz. Niewątpliwie tak. Dodałbym od siebie, że czym więcej ponad 180 stopni rozwarcia tego wachlarza, tym więcej świadczy o dojrzałości, dynamice, a więc i bogactwie myśli społeczeństwa. Podczas gdy zwinięty w mocnej garści robi wrażenie raczej krótkiej pałki.

*

Powiada się u nas, że emigracja jest po to, żeby „służyła Krajowi” i to przez duże K. Przyjmując to założenie za słuszne: na odcinku literackim, na czym ta wierna służba ma polegać?

Swojego czasu wojewoda Bociański konfiskował moje artykuły o pewnym powiecie, w którym chłopci nie mieli czym karmić bydła i zrywali strzechy z chałup na słomę do sieczki. Motywował te konfiskaty państwowym interesem wyższej miary: artykuły są żerem dla propagandy sowieckiej. Otóż wydaje mi się, że dziś na emigracji funkcję wojewody wypełnia zastępczo źle pojęta służba Krajowi: „Co Kraj na to powie? Jakże to zrobi wrażeń w Kraju?” Ta wieczna licytacja hasłami Kraju (przez duże K), ta ciągła obawa, żeby nie wyjść ze „służby”, czy co gorsza nie zostać z niej wyrzuconym, doprowadza w końcu do tego, że zamiast korzystać z szerokich horyzontów wolności i nowych myśli literatura emigracyjna dobrowolnie obkłada siebie cenzurą tak zwanej dyscypliny narodowej. Służba, jak każda służba, ma tylko ograniczone środki działania. Kto służy, ten nie rządzi. W rezultacie emigracyjny polrealizm nie jest żadnym przeciwstawieniem obowiązującego w kraju socrealizmu, tylko jego konkurentem, równie, a czasem (niestety!) bardziej ciasnym od tamtego. Przy tym chronicznie chorym na brak konsekwencji. Tak na przykład z jednej strony ubolewa się nad ubezwłasnowolnieniem literatów w kraju pod obcą przemocą, z drugiej wdaje się z nimi w poważne polemiki, stwierdzając tym samym, że są właśnie – własnowolni. Także drobne flirty poprzez Żelazną Kurtynę, *per*: Zbyszku! Kochany Pawełku czy Dziubdziusiu, mało wnoszą, jeszcze mniej sprzyjają rodzeniu się niezależnej myśli czy chociażby rozprostowaniu ramion przy codziennym wschodzie słońca. A tymczasem, jak wiemy, kula ziemską się obraca i wraz z nią kroczy tak zwany współczynnik czasu i postępu, pozostawiając zajętych drobnymi polemiczkami przy Żelaznej Kracie na starym miejscu.

Zapytać by można: co mają wspólnego z tymi uwagami Niemcy? Jako Niemcy, zgoda nic. Natomiast jako „kompleks niemiecki” stanowią dosyć charakterystyczny przykład dreptania w miejscu.

Niedawno poznałem młodzieńca urodzonego w Stryju, dzieckiem deportowanego do Kazachstanu, szkolonego w Indiach, dorastającego w Afryce, zmężniałego w Londynie, który – ponad wszystko – nienawidzi Niemców. Nie był w Niemczech i nie zna ich. Nie zetknął się. Z całego, szerokiego

świata tę rzecz wyniósł z emigracyjnego piśmiennictwa polskiego. Nad własnym poglądem się nawet nie zastanawia i nie chciałby go w sobie wyrobić. Tamto mu wystarcza. Jest przekonany, że inaczej być nie powinno. On w swoim mniemaniu służy w ten sposób krajowi.

Niemcy stanowią dziś dla całego świata jeden z najważniejszych problemów, wokół którego toczą się bądź rozbijają konferencje najpotężniejszych mocarstw. Natomiast dla wielu Polaków są zamkniętym kręgiem i skamieniałym w tym ujęciu kompleksem psychicznym. Jeżeli stosunek do jednego tylko państwa czy jednego narodu hamuje wszelką żywotną elastyczność i stanowi kamień do potknięcia na drodze do samodzielności myślenia, to cóż dopiero mówić o możliwościach polskiego „wkładu” czy „udziału” w postępie wszechświata.

Prawdziwa służba krajowi wydaje mi się polegać na czymś zupełnie odwrotnym. Na stworzeniu takiego słowa, takiej myśli twórczej, takiej literatury na emigracji, która by oderwała się od hamulców na kraj nałożonych, maksymalnie pozbyła wszelkich kompleksów i możliwie zerwała z wszelką koniunkturalną służalczością.

*

W roku 1879 angielski działacz filantropijny, czcigodny pastor Henry Lansdell przemierzył całą Syberię i odbrzązował cokolwiek ówczesne pojęcia o okropnościach carskich katorg, czym ściągnął na siebie gwałtowne ataki ze strony liberalnej, antyrosyjskiej opinii europejskiej. W książkach wydanych w roku 1882 w Londynie i Jenie polemizuje on w sposób trochę naiwny między innymi z „niejakim Fiodorem Dostojewskim, zarzucając mu, że w swoich »relacjach syberyjskich« (*Za żywo pogriebionnyje*) mocno przesadził, sztucznie zgęścił barwy i zaplątał się w nieścisłościach”. Lansdell nie wiedział jeszcze, kim jest i czym będzie dla świata Dostojewski. Traktował go wówczas jako „niejakiego”. W rezultacie jednak wystąpił wobec opinii europejskiej z obroną ówczesnej Rosji przeciwko pisarzowi rosyjskiemu... Przerzucając te stronicie dziś, trudno się oprzeć pewnemu zamyśleniu, powiedziałbym, trochę melancholijnej refleksji nad tym, z jakim stopniem oburzenia i piętnowania spotkałby się pisarz polski ze strony rodzimego kolektywu, jaką formę przybrałyby zarzuty szkodnictwa, a bodaj zdrady narodowej, który by aż tak dalece wyłamał się z urzędowej interpretacji, żeby zgoda obcy autor musiał ją bronić przed opinią europejską!

A przecież imię ówczesnej Rosji, jeżeli rozślawił w całym świecie, to – nie pismak rządowy i nie publicysta wiernopoddanych – ale najbardziej ów

właśnie „niejaki” Fiodor Dostojewski. Odpowie ktoś może – Tak, ale geniuszem swego talentu, który nie każdemu jest dany. Słusznie. Obawiam się jednak, że gdyby się był narodził w Polsce i zadarł w ten sposób z kompleksem narodowym, to nawet przy największym geniuszu i talencie groziłoby mu pozostanie na zawsze tylko – „niejakim”. Mówiąc konkretnie: za życia pogrzebanym.

Józef Mackiewicz

[1/1956]

JÓZEF CZAPSKI

Narodowość czy wyłączność

„Tutaj kłamać to ochraniać społeczeństwo, mówić prawdę to rozwalać Państwo. Milczenie straszliwsze niż samo nieszczęście”.

Custine, *Listy z Rosji*, 1839

Może najbardziej uderza mnie przy spotkaniach z przyjezdnymi z Polski to, że odnajduję w nich nie tylko te same co dawniej problemy, ale te same obsesje, nieuciszone, nierozwiązane, ale jakby na odwrót, przez egzasperację spotęgowane. Wojna, okupacja niemiecka, piętnaście lat Polski Ludowej, Październik, zdają się wówczas faktami względnie powierzchownymi.

Lata spędzone w warunkach tak różnych, które powinny by między nami wykopać przepaść, jeżeli naprawdę byt i tylko byt określa świadomość, dają prędzej odkrycie trwania i to trwania nie tylko tego, co najbardziej istotne tak dla ludzi w kraju, jak i dla tych, o których Mickiewicz pisał, że mają „geografię i politykę podeszwianą”, bo „wydeptali niemało krajów”, ale trwania odruchów, urazów tego wszystkiego, co nas zamyka, co stwarza tę *morale clause*, odcinającą nas od wszystkiego, co inne.

*

Pisałem w *Na nieludzkiej ziemi* o mojej rozmowie w 1919 roku ze Stasową, członkiem triumwiratu Siewiernej Komuny, w jej pokoiku-celi w Smolnym w Piotrogradzie.

Idąc do niej, w salach, przez które przechodziłem, by do niej dotrzeć, miałem sterty broszur propagandowych, tyjących kołchozów.

„Czy pani wierzy w propagandę sowiecką za kołchozami na wsi?” – spytałem. Stasowa popatrzyła na mnie tak, jak człowiek wiary patrzy na biednego niedowiarka: „Byt określa świadomość, zmieniliśmy byt, *idieja nasaż-*

dajetsia, niech pan wróci za dwadzieścia lat, wtedy pan zobaczy” – odpowiedziała spokojnie.

To zdanie utkwiło mi wówczas w pamięci do tego stopnia, że gdy równe dwadzieścia lat później wywożono nas w głąb Rosji w bydłych wagonach, patrzyłem łapczywie, prawie wierzyłem, że zobaczę na twarzach ludzi choć najlżejszy odblask nowej socjalistycznej ziemi i nowego nieba. Niewielu godzin było potrzeba, żeby odczytać prawdę na zgaszonych twarzach stacyjnych tłumów. Potem widziałem, poznałem chłopów w kołchozach. Pasja, marzenie posiadania, wydawało mi się w tych ludziach nadal tak samo trwałe, wkorzone, jakby nawet wzmożone przez egzasperację. Proroctwo – pewnik „naukowy” Stasowej, „sumienia rewolucji”, jak ją wówczas nazywano – okazało się złudnym marzeniem. Trwała odwieczna namiętność posiadania.

*

Kiedy w obozie starobielskim słuchałem wierszy Mickiewicza i nawet Or-Ota o Syberiach i zsyłkach, byłem wstrząśnięty nową dla mnie, a całkowicie identyczną, jak w chwili powstawania, ich aktualnością, ich siłą magiczną dzięki temu ustokrotnioną. Wtedy również wyczułem nie mijanie, a trwanie świata krzywd i urazów, które jeszcze parę lat wcześniej zdawały się nam przeszłością.

*

Dziś podobnie, w rozmowach z niejednym przyjezdnym z kraju uderza mnie temperatura, siła do egzasperacji doprowadzonego urazu wobec Rosji.

Miłosz w studium o Conradzie wykazuje, jak jego stosunek do Rosji podobny był do przeciętnej opinii kresowego szlachcica z tamtych lat. Tak dla tego pisarza angielskiego, od dawna oderwanego od Polski, jak i dla sfery, z której Conrad się wywodził, Rosja to kraj okrutny i zły, to, jak pisał jeszcze ojciec Conrada, Apollo Korzeniowski, „hosudarstwo, co rozsiada się jak złodziej domowy na rządach europejskich”.

I tu znowu, po dwudziestu latach rozstania z krajem, zdaje mi się, że uraz antyrosyjski ma siłę większą niż nawet za czasów, kiedy zesłania i doznane krzywdy złościły świat odczuć Conrada i formowały jego światopogląd. Na zapytanie o Rosję, ileż razy słyszę odpowiedź odruchową: „nie wiem o niej nic”. Te same słowa, jakie Conrad – autor *W oczach Zachodu* – który miał

odrazę do Dostojewskiego (wyznał przecie kiedyś, że „Dostojewski jest głęboki jak morze”), który dzieciństwo w Rosji przeżył i tam na zesłaniu w Wołogdzie stracił matkę, napisał do Garnetta: „nie wiem o Rosji n i c”. Kiedy słucham opowieści ludzi, którzy w Rosji czy przez Rosjan stracili najbliższych, kiedy swój sąd o Rosji wypowiadają, czuję jakby tu każdy z nich dotykał jakiejś granicy magicznej, której przekroczyć nie ma siły czy nie jest w stanie. Granicy, poza którą jest spojrzenie na Rosję, wizja Rosji, bardziej złożona i bardziej sprawiedliwa. Ten stosunek przez pryzmat „leż swoich świętych i przeklętych” odcina nas nie tylko od Rosji, ale od całego świata, który widzi Rosję albo w barwie równie uproszczonej, tylko że różowej, albo też pełną sprzeczności i nadziei, oczami Dostojewskiego.

Nasze spojrzenie na kraj, który jest i będzie naszym sąsiadem, „bo nie jesteśmy otoczeni morzem jak półwysep włoski”, ma przeciw sobie, musimy o tym pamiętać, spojrzenie na Polskę równie uproszczone i na pewno nie mniej wrogie. „Kiczliwy Lach” Puszkina i różne „Paliacziszki” Dostojewskiego, genialne karykatury polskiej hipokryzji, pańskiej pychy i patetycznej frazeologii bez pokrycia, tak samo fałszują i niszczą prawdziwy obraz Polski w oczach milionów Rosjan.

Miłosz, cytując najbardziej antyrosyjskie wypowiedzi Custine'a czy Marksa, twierdzi słusznie, że to, co na Zachodzie zdawać się mogło i było odkrywcze – bo tak różne od przyjętej o Rosji opinii – w literaturze polskiej było banałem (Miłosz mówi „stereotypem”), że to spojrzenie na Rosję szło jeszcze od dawnej Rzeczypospolitej, gdzie narastały między Polską a Rosją kompleksy „niższości–wyższości” i że to wszystko nie przeszkadzało kresowemu szlachcicowi, który fizycznie i psychicznie był Conradowi bliski, mieć do Rosjan pewną skłonność; nie poszczególni Rosjanie byli przecie winni, ale typ cywilizacyjny, który wszystkich i każdego musi zdegradować.

Ten stereotyp znowu zdaje się panować w Polsce, zasilony nowymi i jakimi faktami, argumentami.

Ta wizja Rosji nieludzkiej, która nieść może tylko zagładę i zło, jakże mogła nie rozwinąć się i nie spopularyzować w Polsce, na Węgrzech i we wszystkich krajach, gdzie jej panowanie sięga. Dla dzisiejszego Polaka Rosjanie to ci, którzy półtora miliona obywateli polskich wywieźli na wschód, skazując ich ogromny procent na zagładę, to oni wymordowali tysiące w Katyniu, to oni wywieźli podstępnie „szesnastu”^{*} i z bronią u nogi pa-

^{*} Mowa o porwaniu przez władze sowieckie w 1945 roku ostatniego kierownictwa Polski podziemnej i sądenia go w Moskwie pod zarzutem kontrrewolucyjnej działalności.

trzyli na zagładę Warszawy, to oni kierowali bezpieką, która torturowała, to oni zdławili bohaterskie powstanie Węgrów sowieckimi czołgami, to oni teraz zgładzili Nagya i jego towarzyszy, półtora roku po zdławieniu powstania. Więc nic, nic się nie zmieniło i zmienić nie może, bo to zawsze ta sama Rosja, mieli rację i Mickiewicz w III części *Dziadów*, i Conrad, i Custine, i Marks, który pisał, że Moskwa ukształtowała się

„w szkole upodlenia, jaką było straszliwe jarzmo mongolskie, poprzez Piotra, który połączył z polityczną zębnością mongolskiego niewolnika, dumne aspiracje władcy, któremu Dżingis Chan przekazał zadanie podboju świata”.

Więc znów jak nad szlachtą kresową XIX wieku, jak nad Conradem, panuje ta wizja Rosji z *Dziadów*, z *Przeglądu wojska*:

„[...] heroizm (wiernego niewolnika), śmierć taka jest psu zasługą, człowiekowi grzechem [...]”

Ale czy również w świadomości naszej istnieje inny aspekt Mickiewicza – przyjaciela Moskali?

„[...] Wy czy mnie wspominać? – Ja ilekroć marzę o mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach o was marzę [...]”

Każdy, kto choć parę lat przeżył w Rosji, czytając ten wiersz podkłada podęń twarze swoich przyjaciół, swoje własne o Rosji i Rosjanach piękne wspomnienia.

Któż słyszy dzisiaj samotny głos Norwida, jego uwagi o Rosji zgubione w przedwojennym, dziś już nie do dostania, wydaniu jego listów. Ale właśnie Norwid, wróg „purytanizmu patriotycznego” powstaje przeciw ocenom jednostronnym i mowa jego jest twarda dla każdego ulegającego stereotypowi, któremu nawet Conrad uległ, a któremu Norwid na tyle się nie poddał, że właśnie w latach 1863–1864 atakował nawet Mickiewicza – uważał, że nie jest on pisarzem narodowym, ale jedynie wyłącznym.

„[...] Nieświadomość krytyczna w sferze myśli – pisał Norwid – W sferze prac ducha, toż samo przeto napotykać się da w historycznej rzeczywistości. Tak jak wyłączenie Mickiewicza nazwali narodowością i nazywają z uniesieniem febrze podobnym, bo dyskusji nie znoszą, tak samo w rzeczywistości wezmą wyłączenie za narodowość. Jak Duchiniński im wyróżnie »Moskal-Chińczyk«, to będą uradowani, a jak kto ostrzeże, że dziś: naród się składa nie tylko z ducha, który się różni z innymi, ale i tego, co łączy, i że nie można wyciąć w pień na 20 mil kwadratowych koło Polski, aby w niej był narodowy poeta i narodowy historyk, to oni pluną na ciebie – aż tym sposobem podniosą separatyzm nieprzyjaciela, jak to zrobili, i wściekłość wrogów, aż zręczne usunięcie przyjaciół spowodują. Każdy anachronizm zawsze te ma owoce!”

„Tylko wolni ludzie – pisze Norwid w innym liście – tylko ci, co nie są od kolebki żelazem napiętnowani jako niewolnicy, wiedzą o tym, że granicząc z Rosją trzeba w niej mieć swoją partycję, inaczej albowiem zawsze spotykają się dwa monolity, nie pośredniego nie mające, a skoro dwa monolity się zetną ze sobą, zostaje nicestwo i trząskanie się sił ostateczne”.

Ale moje uwagi pesymistyczne o zamurowaniu naszym w polskiej *morale clause*, o niezdolności obiektywizacji naszych urazów są może również jednostronne.

Widziałem i znam niejednego Polaka reagującego na te sprawy bliżej Norwida niż „stereotypu”, znam ludzi męczonych, nawet torturowanych, którzy do Rosjan urazu nie zachowali, więcej, którzy opuszczając Rosję, żegnali ją ze łzami, bo od Rosjan równocześnie doznali tyle braterstwa, tyle współczucia, bo poznali takich, którzy to samo co oni cierpieli i tak samo jak oni z gwałtem próbowali walczyć. Czy jest takich Polaków wiele – nie wiem.

Ludzi o takim stosunku do Rosji spotykałem również wśród wyznawców rosyjskiej literatury. Wrogowie Rosji wszelkiej, carskiej, sowieckiej czy „republikańskiej”, nawet oni nie odmawiają wielkości i głębi literaturze rosyjskiej, tylko że próbują sądzić, odrywając ją od rzeczywistości rosyjskiej, przekreślając te związki organiczne, a przecież koszmara rosyjski i geniusz rosyjski, okrucieństwo i miłosierdzie, najwyszukańsza, najbardziej europejska kultura i barbarzyństwo, to wszystko łączy się w jedną rzeczywistość i kto tę całość przekreśla, ten nawet będąc Conradem, myśli nie kategoriami rzeczywistości, a fikcjami. Ta literatura rosyjska, której wszechludzkiego wkładu i wielkości nikt już chyba, poza W. A. Zbyszewskim, nie neguje, jest z tą rosyjską rzeczywistością związana. To prawda elementarna.

W *Dzienniku* Tolstoja z 1903 roku jest brulion opowiadania *Boskie i ludzkie*; ten brulion zdawał mi się właśnie wzorem surowej i pełnej prozy, „bezbłędnej wierności prawdzie”, jak powiedział miał o Tolstoj Pasternak. Na pięciu zaledwie stronach Tolstoj daje obraz skazanego na powieszenie wroga każdego gwałtu, młodego Swietłoguba, służbisty generała, który go na śmierć skazuje, matki skazanego, terrorysty, który marzy o wymordowaniu tysięcy ludzi i chłopów-sekciarza, który latami tkwi w więzieniach za to, że szuka prawdy. Cały świat rosyjski wieczny, bo konflikty tego opowiadania są wieczne: religia, wolność, gwałt, fanatyzm wiary, miłość i poświęcenie. W pełnym moskiewskim wydaniu Tolstoja znajduję opis, jak to opowiadanie powstało. Cóż za absolutna, zaledwie przetransponowana wierność rzeczywistości. Bohater opowiadania, Swietłogub, to powieszony w Odessie w latach siedemdziesiątych Lizogub, syn rosyjskiego ziemianina i chyba Pol-

ki, bo Dunin-Borkowskiej. Tkanka tego opowiadania jest tak wrośnięta w rosyjską rzeczywistość, że jej w żaden sposób oddzielić nie można. To jeden z miliona przykładów tego stopu literatury i rzeczywistości do zacytowania.

*

Czy wizja Rosji, wyłącznie okrutnej i zbrodniczej, która chyba nigdzie indziej nie była tak generalnie uznawana jak w krajach przez Rosję czy Związek Sowiecki wchłoniętych, czy sobie podporządkowanych, może dziwić Rosjan, choćby tych najlepszych, którzy nad dzisiejszym stanem rzeczy cierpią nie mniej okrutnie? Przepaść wykopana między Rosją a tymi krajami ujarzmionymi, myślę tu szczególnie o Polsce i o Węgrzech, jest na tyle głęboka, że rozbitcie, przełamanie tego wzmożonego, ustokrotnionego stereotypu, w Polsce na przykład, wydawałoby się wręcz niemożliwe, gdyby nie jedna myśl, jedna prawda bardziej niż kiedykolwiek oczywista, że wolność jest jedna i że terror dławiący wszystkich jest jeden. Wyjście robotników na ulice Berlina, wypadki poznańskie, Październik, powstanie węgierskie, zacięte, zaciekle walki wewnętrzne partii komunistycznych wszystkich krajów po przemówieniu Chruszczowa na XX zjeździe – partii „monolitycznych” jedynie w mowach ich przywódców – wszystko to zdaje się gestami tragicznymi, beznadziejnymi, jeżeli Rosja się do tej walki nie włączy, jeżeli nie tylko polscy, niemieccy czy węgierscy robotnicy, intelektualisci czy chłopci gotowi są walczyć za te stare, zdarte, tyle razy zafalszowane i nadużywane, a przecież jedyne hasła wolności. Zasłona „milczenia straszliwszego niż nieszczęście” pokrywa Rosję jeszcze bardziej niż sto dwadzieścia lat temu, kiedy Custine pisał te słowa. Ale wiemy o buncie w Workucie, wiemy o fermentach na uniwersytetach, w Wuzach, wiemy o nastrojach skrajnie antysowieckich wśród młodzieży najmłodszej, której świadomość polityczna kształtowała się w okresie XX Zjazdu. Wszędzie, gdzie tylko na największym chociaż odcinku ukazuje się wolność myśli, ta wolność rodzi wolność. Dlatego też spojrzenie na Rosję jako jedynie na kraj, który ma „jeden fanatyzm – posłuszeństwo”, jest spojrzeniem przez swoją jednostronność fałszywym.

Tolstoj opisuje w *Zmartwychwstaniu* młodą trawę, która z wiosną próbuje rosnąć nawet wśród kamieni więziennych. Bez tej nadziei, że i w Rosji nie wygasła woła walki, że i tam można zdobyć życie bardziej wolne, dla którego tyle pokoleń Rosjan ginęło, wszystkie próby liberalizacji, wszystkie próby rewizjonistyczne w krajach przez Rosję ujarzmionych zdają się gestami rozpaczny tonących.

Tylko wtedy ludzie, którzy Rosję znają nie jedynie jako szkołę upodlenia, ale także jako świat walki i miłości człowieka, tylko wtedy ci przyjaciele Moskali mogą głos podnieść i walczyć z tym obrazem Rosji, wyłącznie okrutnej i wyłącznie nieludzkiej. Jeżeli potrafi się stworzyć na nowo instynkt zatraconej solidarności z tą Rosją inną, która nigdy istnieć nie przestała, tylko wtedy marzyć możemy o przyszłości, która nie będzie, jak pisze Norwid, „starcem dwóch monolitów, nicstwem i strzaskaniem sił ostatecznym”.

Józef Czapski

[9/1958]

Rosja i Rosjanie*

Szanowny Panie Redaktorze!

Z pewnym zdziwieniem, a równocześnie uczuciem niesmaku przeczytałem końcową część wstępu p. Józefa Czapskiego do nowego wydania jego książki *Na nieludzkiej ziemi*. Jako współtwórcę obozu griażowieckiego bardzo szanuję i cenię p. Czapskiego jako człowieka wysokiej kultury, autora i artystę malarza, co jednak nie przeszkadza mi, że jestem jednym z tych, którzy, jak sam mówi, nie zgadzają się z jego zapatrywaniem na naród rosyjski i Rosjan, znanych mi prawdopodobnie na równi z nim. Wobec jego otwartego oświadczenia w tym względzie, niech mi zatem wolno będzie wyrazić moje o s o b i s t e zapatrywanie w tej sprawie.

Na przestrzeni lat w obszernym morzu narodu rosyjskiego zetknąłem się zarówno wśród białych, jak i czerwonych Rosjan z objawami patologicznej wprost nienawiści do nas i ze światłymi „jasnoduchami”, ustosunkowanymi przychylnie do Polaków, patrzącymi z wiarą w przyszłość Rosji. Pan Czapski w swoim podejściu do nielicznych dodatnich jednostek narodu rosyjskiego, z którymi, jak pisze, zetknął się na terenie ZSRR w najprzykrzejszym dla niego okresie życia, zapomina o zasadniczej masie tegoż narodu, która z rozmaitych powodów, datujących się od najdawniejszych czasów, w stosunku do Polaków była zawsze, a prawdopodobnie i jest dzisiaj, nieufnie i wrogo usposobiona. Wśród tych milionów są poszczególne jednostki o innym do nas, pozytywnym nastawieniu, ale tak już było przed laty i za czasów Mickiewicza. To nie upoważnia nas jeszcze do wylewnej miłości w sto-

* Tytuł pochodzi od autorki wyboru. W 1962 roku w Bibliotece „Kultury” ukazało się drugie wydanie *Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapskiego, poprzedzone jego przedmową, która spowodowała ostrą replikę Jerzego Grobickiego. Odpowiedzieli mu Michał K. Pawlikowski i Karol Wędziagolski (nr 9/1962).

sunku do tych Rosjan i jak dotąd nie dało pozytywnych rezultatów, poza wymianą myśli i listów z tymi jednostkami.

Słusznie p. Czapski powiada, że stanowisko zajęte przez niego we wstępie do książki jest obce większości Polaków. Do takich Polaków i ja należę, choćby mnie w pewnych kołach nazywano zacofanym obскурantem, nie rozumiejącym obecnej polityki międzynarodowej i warmongerem*. Mimo to nie zmienię mojego zdania w tej sprawie, przytaczając starą, ale i dziś aktualną piosenkę z 1831 roku.

„Kto mi powie, że Moskale
Cnymi braćmi są Lechitów,
Temu pierwszy w łeb wypalę
Przed kościołem Karmelitów...”

Ta piosenka może zbyt naiwnie i radykalnie oddaje ujemne nastroje społeczeństwa polskiego do Rosjan, ale które i do dziś pozostały te same, zarówno w kraju, jak i na emigracji. Wylewne uczucia p. Czapskiego w stosunku do paru „dobrych” Rosjan nic w tym nie zmienia, choćby to miało być wbrew poglądom internacjonalistycznym, a nawet interesom narodowym. Być może, iż tego rodzaju zapatrywaniom muszą hołdować pewne czynniki społeczne w kraju, nie mając innego wyjścia z sytuacji, w której się znajdują, ale dobrowolne, entuzjastyczne obchodzenie się z nimi na emigracji i głoszenie publiczne swojej miłości do Rosjan, choćby „najlepszych”, jest co najmniej dziwne i wzbudza raczej uczucie odstręczające, wywołując wręcz odwrotny skutek wśród przeważającej liczby czytelników, mających o tym odmienne zdanie od p. Czapskiego. Zbyt wylewna miłość w kierunku choćby najlepszych Rosjan jest większości polskiego narodu obca i to nie oficjalnie, lecz pochodząc z głębi serca.

Obracając się w życiu dosyć dużo w kołach niemieckich miałem wśród nich również przyjaciół – Niemców, którzy nigdy nie byli nazistami i z oburzeniem od nazizmu i jego poczyniń się odcinali. Co by na to powiedział p. Czapski oraz opinia publiczna, gdybym we wstępie do moich pamiętników napisał, że owi „lepsi” Niemcy, tak jak on pisze o Rosjanach, są mi bliscy i z entuzjazmem rozwodził się nad nimi? Jak wyglądałoby to moje oświadczenie przy równoczesnym potępieniu Oświęcimia?

Pan Czapski w swoich superlatywach dla pewnych Rosjan stara się być jak najbardziej obiektywny, ale jest to trudne do pojęcia z punktu widzenia

* Podżegacz wojenny.

przeciętnego Polaka, przy jego równoczesnych słowach oburzenia dotyczących się mordu katyńskiego. Bo czy to ludzie z innej planety, a nie Rosjanie z NKWD mordowali Polaków w Katyniu? Czy bojcy likwidujący oddziały Armii Krajowej byli Papuasami z Wysp Południowych? Przecież to byli wszystko Rosjanie. Być może, że wśród nich był też jakiś jeden czy drugi „lepszy”, tak jak był jeden „dobry” politruk w Gрязовцу, ale ich obecność nie miała żadnego wpływu na normalny bieg rzeczy z tamtej strony, jak nie miała i nie ma wpływu na nasze ustosunkowanie się do całości narodu rosyjskiego i jego „lepszych” wyjątków. Jak mimo „dobrych” Niemców był Oświęcim, tak „źli” czy „dobrzy” Rosjanie byli dobrowolnie czy też przymusowo wykonawcami zbrodni katyńskiej...

Dlatego jednak można otwarcie pisać, że się kocha Rosjan, a nikomu nie przychodzi do głowy, aby mówić, iż się kocha Niemców? Da się to tylko wytłumaczyć podświadomym rusofilstwem, tkwiącym w głębi duszy niektórych Polaków, lub też stronnictwością i przesadą w pewnym kierunku. Słusznie zatem zaznacza p. Czapski, że jego uczucia w stosunku do owych paru „dobrych” Rosjan są natury czysto osobistej, gdyż w oczach większości Polaków są one niesmaczne, nierealne i nieprzekonywające. Wolno p. Czapskiemu mieć swoje osobiste przekonania i zapatrywania, ale głoszenie ich tak otwarcie na forum publicznym jest może bardzo odważne, lecz w równoczesnym połączeniu ze sprawą katyńską graniczy z bluźnierstwem.

Końcowa część wstępu do nowego wydania książki o okrutnym życiu w Rosji Sowieckiej odejmuje jej częściowo odium „drażniącego nacjonalizmu polskiego” i nadaje więcej cech obiektywności. Szkoda jednak, że myśl przewodnia tak dobrej książki, jaką jest *Na nieludzkiej ziemi*, została przez te wylewne uczucia autora w stosunku do pewnych Rosjan spaczona. Czy też może p. Czapski chciał przez to zaznaczyć wobec cudzoziemskich czytelników swój obiektywizm i że ewentualny zarzut antyrosyjskości jego książki jest niesłuszny? Lub może chciał przez to ugłaskać cenzurę reżymową, aby dać możliwość swojej książce głębszego krążenia po kraju? Faktem jednak jest, że końcowa część nowego wstępu do drugiego wydania książki nic jej nie dodała, a raczej ujęła jej cech charakterystycznych, broniąc pośrednio oczywiście *prawdy*, którą głosi, a która niepolskiemu czytelnikowi, nie znającemu Rosji i Rosjan mogłaby się wydać przesadną i oszczerczą.

Żałuję i współczuję p. Czapskiemu, iż to uczynił, równocześnie podziwiając jego odwagę cywilną, gdyż osobiście nigdy bym się na to nie zdobył, aby rozpisywać się publicznie w takich superlatywach o moich dawnych przyjaciółach „dobrych” Niemcach lub Rosjanach, przy równoczesnym po-

tępieniu Katynia lub Oświęcimia. Dlatego szkoda, iż uczynił to p. Czapski, ale jak sam zaznaczył, różnimy się zasadniczo w podejściu do tego problemu, a prasa jest cierpliwa i w krajach demokratycznych stoi otworem dla ludzi o wszelkich poglądach osobistych i politycznych, diametralnie często różnych od siebie.

Pozostaję z głębokim szacunkiem i poważaniem.

Jerzy Grobicki

[7-8/1962]

*

Berkeley, 30 lipca 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

List p. Jerzego Grobickiego w nr. 7/177-8/178 „Kultury” przeczytałem ze smutkiem i zdziwieniem. Na proste ludzkie słowa Józefa Czapskiego w przedmowie do drugiego wydania *Na nieludzkiej ziemi*, że wierzy w konieczność współżycia Polski i Rosji, p. Grobicki odpowiedział nie tylko „uczuciem niesmaku” (co jest koniec końców sprawą jego osobistych gustów), ale i publiczną deklaracją swej nienawiści do Rosjan. Powołał się przy tym na starą zwrotkę o Moskalach, Lechitach i kościele Karmelitów, którą ja postawiłbym na o wiele niższym poziomie niż wierszyk dla dzieci: „Kto ty jesteś? – Polak mały”. Już powołanie się na tę zwrotkę (uważaną zresztą przez samego autora listu za „zbyt naiwną”) nadaje całej wypowiedzi p. Grobickiego charakter wyłącznie emocjonalny, a więc niepoważny. Nie będę przypominał p. Grobickiemu, że ani autor tej piosenki, ani ci, co ją śpiewali, do nikogo przed kościołem Karmelitów nie wypalili, byli natomiast bici – nie przed kościołem, ale w kościele. Smuci mnie jednak i dziwi, że autor listu wypowiada nie tylko swoje nastroje (co każdemu wolno), lecz podobne nastroje całego społeczeństwa polskiego i że nastroje te aprobuje nawet „choćby to miało być wbrew... interesom narodowym”! Czy w zaślepieniu emocją można pójść dalej?

Ograniczenie liczby „dobrych Rosjan” do „paru”, jak to czyni p. Grobicki, jest po prostu zdumiewające. Każdy Polak, który Rosję i Rosjan poznał nie tylko ze strony więzień i łagrów, liczbę taką stokrotnie pomnoży. Ale nie o to chodzi. Pan Grobicki oskarża cały naród rosyjski o zbrodnię Katynia i wykrzykuje: czy to ludzie z innej planety mordowali Polaków w Katyniu? Tu dochodzimy do sedna legendy o tak zwanych „lepszych” narodach. Zapytam więc p. Grobickiego: czy ludźmi z innej planety, np. Marsjanami, byli funkcjonariusze bezpieki, którzy zakatowali na śmierć mojego przyjaciela, a ciało jego zwrócili żonie w zalutowanej trumnie, zabraniając otwierania? Czy Feliks Dzierżyński był Marsjaninem? Czy Marsjanin zamordował prezydenta Narutowicza? Czy Marsjanie uprowadzili i zamordowali generała Zagórskiego? Czy studenci bijący drągami bezbronnymi Żydów byli Marsjanami? Czy Marsjanie wybili oko Nowaczyńskiemu? Czy generał marsjański rozkazał oficerom marsjańskim katować bezbronного profesora Cywińskiego na oczach żony i dzieci? Czy premier generał Składkowski, który pojmu-

jąc po swojemu szczytną zasadę *neminem captivabimus*, udoskonalił Berezę, i jej kat naczelny Kostek-Biernacki byli Marsjanami? W swoim czasie Czap-
ski słusznie pisał o „prawie dżungli”. Mieliśmy jej po trosze i z prawa, i z le-
wa, i buszowali w niej bracia Lechici.

Jeżeli p. Grobicki zaprotestuje, mówiąc, że zamordowanie Narutowicza i Zagórskiego oraz wyczyny „bezpiekowców” były to wypadki odosobnio-
ne, nie masowe, i że od pałek „narodowców” lub tortur w Berezie nikt nie
umarł, odpowiem na to, że sadysta walący pięścią czy łagą człowieka słabe-
go lub bezbronno albo pastwiący się nad więźniami, każący im czyścić
ustęp gołymi rękami lub oddawać stolec na komendę jest mordercą
p o t e n c j a l n y m. Gestapowiec lub enkawudzista mordowali, bo mieli taki
rozkaz i byli pewni bezkarności. Umundurowany bohater wyprawy na prof.
Cywińskiego lub oprawca w Berezie nie miał rozkazu mordowania, a tylko
rozkaz znęcania się i bał się odpowiedzialności za śmierć katowanej ofiary.
Nie masowość czy jej brak jest kwestią ilości, a nie jakości. W moich oczach
kat-gestapowiec czy kat-enkawudzista zostaną utrwaleni w pamięci
w krwawym świetle jakiegoś demonicznego ognia, za kata-Lechitę będę się
tylko do śmierci rumienił.

I jeszcze jedno. Zarówno gestapowcy, jak i enkawudziści wypierają się
swych czynów. Gestapowcy bronią się, że działali na rozkaz Hitlera; enka-
wudziści zwalają winę na Niemców. Milionowa emigracja rosyjska potępiła
Katyń z oburzeniem, wstrętem i wstydem. A bracia Lechici? W chwili wy-
buchu wojny, a więc w czasie, gdy chodziło o zjednoczenie całego narodu,
premier Składkowski mianuje ober-kata Berezy Kostka-Biernackiego mini-
strem. A wiele lat później, już na emigracji, tenże generał Składkowski ogła-
sza artykuł broniący instytucji Berezy („Kultura” nr 47 z 1951). A co na to
ogół Polaków na emigracji? Tych Polaków, o których pewien pisarz powie-
dział, że się brzydzą gwałtem, przemocą, użyciem siły fizycznej? Cóż – gło-
sują na Sławoja-Składkowskiego do Akademii „Wiadomości”, oddając na
generała równo tyleż głosów, co na znakomitego pisarza Gombrowicza; za-
chwycają się jego wygłupianiem się w „kwiatuśkach administracyjnych”;
chwalą go za talent gawędziarski; słowem – głaskają po siwej głowce „do-
brodusznego” sumiasto-wąsego Polonusa. Przeważają głosy: zapomnijmy
o przeszłości! Zapomnijmy o tym, co nas dzieliło, a lepiej snujmy wspólnie
wizję lepszej Polski! (dodam: i zapewne lepszej Berezy).

Czy to wszystko nie wywołuje u p. Grobickiego „uczucia niesmaku”?

Wspominałem Dzierżyńskiego. Otóż niedawno pewien publicysta polski
napisał – chyba żartem – że Dzierżyński przysłużył się sprawie polskiej mor-

dując dziesiątki tysięcy Rosjan. Nie posądzam p. Grobickiego, aby podzielał
to zdanie, pragnę mu tylko przypomnieć, że Lenin, Dzierżyński, Stalin i to-
warzysze wymordowali ogółem nie setki tysięcy, a dziesiątki milionów Ro-
sjan. Ukraińcy w Winnicy mieli też swój Katyń. Może się nigdy nie dowie-
my, ile takich Katyniów odbyło się na olbrzymiej przestrzeni imperium so-
wieckiego. Czy to Rosjanie mordowali Rosjan? Sądzę, że mordercami byli
po prostu k o m u n i ś c i, których pierwszą ofiarą padli właśnie Rosjanie.
O tym warto pamiętać, a nie czepiać się rasistowskich teorii o lepszych
i gorszych narodach.

Rozwodzenie się nad olbrzymim wkładem literatury rosyjskiej do kultury
wszechświatowej, a więc pośrednio i polskiej, zajęłoby zbyt dużo miejsca.
Pomijam też legendę o „duszy wschodniej” czy też „duszy rosyjskiej”, bo na
temat cech wspólnych tych „dusz” z duszą polską można by było ciekawym
tom napisać. Radziłbym tylko p. Grobickiemu zastanowić się na chwilę nad
poziomym wymiaru sprawiedliwości w Rosji w okresie 1864–1917 a pozio-
mem sądownictwa polskiego poczynawszy, powiedzmy, od sprawy brzeskiej.

Łączę wyrazy szacunku.

Michał K. Pawlikowski

[9/1962]

Zachodnia granica PRL*

Fryburg Szwajcarski, 9 kwietnia 1962

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W czasie marcowej konferencji chicagowskiej, spowodowany uwagą prof. Mosly, zająłem publicznie stanowisko w sprawie granicy niemiecko-polskiej, co z kolei wywołało wymianę zdań z czołowym delegatem niemieckim, baronem zu Guttenberg. Wobec tego, że moja wypowiedź znalazła pewne echo w prasie, zarówno krajowej, jak i emigracyjnej, i że nie dane mi było w czasie konferencji powiedzieć wszystkiego, co o tym zagadnieniu myślę, pozwalam sobie prosić Pana Redaktora o gošcinę na łamach jego poczytnego pisma dla pełniejszego sformułowania moich poglądów.

1. Wydaje mi się, że jednej rzeczy w żadnym wypadku czynić nie należy: powoływać się na rzekome „święte prawa narodu”. Sądzę mianowicie, że takich praw w ogóle nie ma i że nawet gdyby istniały, nie mogłyby być wprowadzone w życie tak długo, jak długo narody, o które chodzi, znajdują się w niewoli.

2. Sądzę natomiast, że naczelną zasadą przy jakimkolwiek regulowaniu granic powinno być poszanowanie podstawowych praw ludzi, jednostek. Jednym z tych praw jest prawo do pielęgnowania własnej kultury. Innym takim prawem jest prawo wolności od deportacji i wygnania, wyjąwszy w drodze kary za indywidualną winę. Uważam i zawsze uważałem masowe wysiedlania za barbarzyńską zbrodnię. Wyganianie Niemców z obecnych

* Tytuł pochodzi od autorki wyboru.

Ziem Zachodnich i „repatriacja” Polaków z dawnych dzielnic wschodnich Rzeczypospolitej były, moim zdaniem, zbrodniami. Ale za równie zbrodnicze uważałbym wysiedlanie Polaków obecnie żyjących na zachodzie, jak i Ukraińców czy innych ludzi, którzy wywędrowali do dawnych dzielnic wschodnich Polski.

3. Sprawa granic wydaje mi się tracić na ostrości, w miarę jak zbliża się scalenie Europy. Jeśli uda się nam wprowadzić w niej taki porządek, że każdy człowiek będzie mógł wszędzie żyć w wolności i rozwijać swoją kulturę, to problem przebiegu granic stanie się rzeczą całkiem drugorzędną. Za nieuzasadnione uważam więc podniecanie się sprawą granic zarówno u Niemców, jak i u Polaków.

4. Niemniej jednak jestem zdania, że sprawa granicy niemiecko-polskiej jest w tej chwili psychologicznie ważna. Według mojej oceny – a śmiem twierdzić, że posiadam pod tym względem lepsze dane niż baron zu Guttenberg – fakt, że tylko Rosja spośród wielkich mocarstw uznaje obecną granicę, wiąże Polaków, wbrew ich najlepszej woli, z obozem sowieckim. Być może, że ci Polacy się mylą, że nie powinni żywić tak wielkich obaw co do postawy Niemców – choć przyznać trzeba, że Niemcy wiele uczynili w przeszłości i to niedawnej, aby takie obawy uzasadnić. W każdym razie mamy do czynienia z f a k t e m, z którym się liczyć trzeba.

5. W obecnym położeniu należy, moim zdaniem, przedkładać nasze interesy wspólne, europejskie, ponad dzielące nas wewnętrzne spory. Co więcej, o tych wspólnych sprawach należy myśleć kategoriami operacyjnymi. Chodzi nie o sprawy moralne, ale taktyczne. Otóż, jeśli tak jest, wyciągam z powyżej powiedzianego wniosek, że uznanie obecnej granicy na Odrze i Nysie przez mocarstwa zachodnie, a zwłaszcza przez Niemcy, jest celowe.

Chciałbym wreszcie uprzedzić zarzut, z którym zapewne się spotkam: że pokojowe pożycie w zjednoczonej Europie jest mrzonką, zwłaszcza z Niemcami. Jako obywatel szwajcarski, który spędził w tym kraju dwadzieścia najlepszych lat swojego życia, chciałbym przypomnieć, że to, co próbujemy urzeczywistnić na wielką skalę w Europie, zostało już z powodzeniem dokonane w mojej przybranej ojczyźnie, gdzie różnice kulturalne są nie mniejsze, ale bodaj większe niż między Niemcami a Polakami. Chodzi nie o mrzonkę, ale o realną możliwość. Aby jednak ta możliwość stała się w Europie faktem, musimy wszyscy zapomnieć wreszcie o owych „świętych prawach narodu” i tym podobnych zabobonach, musimy myś-

leć o ludziach i ich prawdziwych prawach, a w decyzjach powodować się nie sentymentami należącymi do przebrzmiałej epoki, ale rozumem. Prosty chłopski rozum, który uczy, że nasze wspólne położenie jest złe, że stoimy w walce o samo istnienie duchowe i że tylko roztropne prowadzenie walki może nam dać szansę przeżycia.

Łączę ukłony i wyrazy wysokiego szacunku.

Józef Maria Bocheński

[5/1962]

*

Monachium, 13 maja 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze „Kultury” z maja bieżącego roku ukazał się znakomity list prof. J. M. Bocheńskiego w doniosłej sprawie stosunków polsko-niemieckich. Ponieważ „wolność świata” w moim przekonaniu polega i na tym, że nigdy nie może być w nim za dużo dyskusji o rzeczach ważnych, przeto niech wolno mi będzie zabrać głos w sprawie tej wypowiedzi prof. Bocheńskiego.

Swojego czasu wyraziłem w liście do „Kultury” osobiste przekonanie, że spór, zarówno ze strony polskiej, jak ze strony niemieckiej w sprawie Odry-Nisy jest sporem współcześnie bezprzedmiotowym i mógłby co najwyżej mieć znaczenie istotne dopiero w nieodgadnionej przez nas przyszłości. Ale nawet wychodząc z założenia, z którego wychodzi zarówno większość Polaków, jak i Niemców, że PRL jest przedłużeniem historii Polski, a nie przedłużeniem historii rewolucji bolszewickiej 1917 roku, jak ja to pojmuję; z założenia, że PRL jest przedłużeniem państwowości polskiej, a nie przedłużeniem i integralną częścią państwową bloku komunistycznego – to i w takim wypadku, moim zdaniem, spór polsko-niemiecki nie może być w obecnej konstelacji politycznej traktowany jako aktualny.

J. M. Bocheński natomiast, w punkcie 4. swego, poza tym świetnego, listu uważa, że „sprawa granicy niemiecko-polskiej jest w tej chwili psychologicznie ważna”, dzieląc w tym wypadku znaną tezę, że fakt, iż tylko Sowiety spośród wielkich mocarstw uznają obecną granicę, wiąże Polaków, wbrew ich woli, z obozem sowieckim. Że zatem uznanie tej granicy również przez mocarstwa zachodnie i Niemcy Federalne tę więź łączącą Polskę z blokiem komunistycznym rozluźni. Ponieważ nie wiadomo, w jakiej postaci to rozluźnienie ma nastąpić, więc powiedzmy prościej, że: spotęguje w Polsce nastroje prozachodnie, można się domyśleć, że automatycznie i antysowieckie.

To pozornie logiczne sformułowanie posiada wszelako tę dużą nielogiczną usterkę, że zakłada antysowiecki w gruncie cel końcowy we wspólnym działaniu z – komunistami... Albowiem wiadomo, że zarówno komuniści polscy, jak i cały blok sowiecki, jak wszyscy komuniści, prokomuniści i *fel-*

low-travelers całego świata zgodnie popierają i zabiegają o uznanie tej granicy przez mocarstwa zachodnie i Niemcy Federalne. Z drugiej zaś strony wiemy, że nie może leżeć w interesie komunistów ani rozluźnienie więzi łączącej Polskę z blokiem komunistycznym, ani wzrost nastrojów prozachodnich w Polsce, ani naturalnie wzrost nastrojów antysowieckich. Ażeby więc tę oczywistą zarówno formalną, jak i istotną sprzeczność usunąć, należałoby założyć, że: a) nieprawdą jest, że komuniści zabiegają o uznanie tej granicy, b) zabiegając, czynią to nieszczerze, c) jeżeli i zabiegają, i szczerze, to znaczy, że są tak głupi, iż nie zdają sobie sprawy, że działają na własną niekorzyść.

Moim zdaniem ani jeden z tych punktów nie da się utrzymać. Punktem a) i b) zaprzeczają ponadto wielokrotne wypowiedzi publicystów i polityków emigracyjnych, że „we wspólnej sprawie dotyczącej zachodniej granicy Polski idziemy łącznie z komunistami”. Uzasadnianie punktu c) obniżyłoby w ogóle poziom dyskusji. Wniosek zatem może być tylko jeden, że komuniści nie obawiają się żadnych dla siebie ujemnych skutków z uznania granicy przez mocarstwa zachodnie, szczególnie rozluźnienia spójni PRL z blokiem sowieckim. I wydaje się, że mają w tym swoje racje. Racje bloku komunistycznego, których z braku miejsca nie będę tu rozwijał. Tym samym wypada uznać, że ten aspekt w sporze polsko-niemieckim, który prof. Bocheński traktuje jako istotny, odpada, a co najmniej jego „psychologiczna ważność” staje się wątpliwa.

W całej sprawie ważny jest inny moment psychologiczny, którym posługują się komuniści, a mianowicie pogłębianie sporu polsko-niemieckiego pod wszelkim emocjonalnym pretekstem, aby nie dopuścić nie tylko do porozumienia polsko-niemieckiego, ale nawet do rozmów polsko-niemieckich na ten temat. Ten psychologiczny moment jest wyzyskiwany i podsycany w formie: „zagrożenia Polski przez rewizjonizm niemiecki”, w jednostronnym interesie bloku komunistycznego. Nie ma on nic wspólnego z interesami Polski, bez względu na to, czy negujemy jej niezależny byt państwowy w tej chwili, jak ja to czynię, czy uznajemy PRL za „państwo polskie” o własnych, zewnętrznych granicach państwowych, jak to czyni większość Polaków. Gdyż nawet zakładając istnienie suwerennego państwa polskiego w postaci PRL, musielibyśmy przy obiektywnej ocenie sytuacji dojść do przekonania, że nic mu ze strony Niemiec w tej chwili nie zagraża i nawet zagrażać nie może.

Retrospektywny rzut oka na historię poucza nas, że nie istniał chyba taki moment w dziejach, żeby ktoś nie rościł pretensji czy to do korony, sukcesji, terytorium, czy jakiejś własności innego państwa. „Rewizjoniści” byli za-

wsze i wszędzie. Sam fakt istnienia tendencji „rewizjonistycznych” nie przesądza o zagrożeniu. Nie stwarza takiego zagrożenia nawet formalne poparcie „rewizjonistów” przez sąsiednie państwo i rząd, nie uznający istniejącego *status quo*. W roku 1938 pod presją ultimatum polskiego nawiązane zostały dyplomatyczne stosunki z Republiką Litewską, które w krótkim czasie przeistoczyły się w stosunki przyjazne. Uważano to powszechnie za duży sukces rządu polskiego, mimo iż do układu między państwowego włączona została uroczysta deklaracja Litwy, że nie zrzeka się ona pretensji do Wilna. W ten sposób rząd litewski popierał „rewizjonizm” całego w istocie narodu litewskiego. Argument, że mała Litwa była zbyt słaba, aby zagrażać o tyle silniejszej od niej Polsce, jest niewątpliwie argumentem słusznym. Dzisiejsza NRF jest bez porównania słabsza od bloku komunistycznego niż ówczesna Litwa od ówczesnej Polski.

Zagrożenie rzeczywiste stwarza dopiero wola użycia siły celem dokonania „rewizji”, łącznie z faktycznym istnieniem takiej siły. Ani tej woli, ani tej siły NRF nie posiada. Polityka NRF w stosunku do wschodnich sąsiadów znajduje się *de facto* pod kuratelą Stanów Zjednoczonych, a nieliczna armia niemiecka pod kuratelą NATO. Nie istnieje możliwość wystąpienia Niemiec nie tylko zbrojnego, ale nawet politycznego bez uzgodnienia z mocarstwami zachodnimi. Niemcy w tej chwili nie są w stanie nawet planować samodzielnej obrony Berlina Zachodniego, jakże w ich położeniu mogliby planować atak na Odrę i Nysę. W zaistniałym obecnie układzie sił twierdzenie, że 300-tysięczna armia niemiecka, nawet gdyby została podporządkowana całkowicie „rewizjonistom”, może zagrażać 20-milionowej armii bloku komunistycznego, zakrawa na groteskę.

Jak wiadomo, komuniści zarówno w postępowaniu wewnątrz, jak i na zewnątrz nie wahają się posługiwać sloganami groteskowymi. Wystarczy przypomnieć, że w grudniu 1939 roku twierdzili, że „zagraża im Finlandia”, której cała ludność wynosiła zaledwie tyle, co liczba mieszkańców jednej Moskwy, i że to Finlandia napadła na Związek Radziecki, a nie odwrotnie. W tej chwili Sowiety dążą do opanowania całych Niemiec „drogą pokojową” (taktyka „salami”); nikogo zatem, kto zna ich metody nie powinno dziwić, że w tej chwili twierdzą, że to Niemcy zagrażają państwom „bloku socjalistycznego”. Dziwić się natomiast można, jak Polacy najlepiej obeznani z tymi metodami sowieckimi zamiast dekonspirować je przed całym światem, mogą im jeszcze udzielać kredytu i poparcia.

Słyszysz się, że w przyszłości Niemcy mogą na nas napaść, bo napadały już uprzednio. Bardzo możliwe. W przyszłości wszystko może się stać albo nie

stać, powtórzyć albo nie powtórzyć. W przyszłości też może być każda umowa polityczna lub formalne uznanie jakiejś granicy dotrzymane albo podeptane w strzępy, jak niezliczona liczba umów i paktów międzynarodowych. Sowiety na przykład ze wszystkich umów, które zawarły od czasu swego istnienia, dochowały zaledwie 5 procent, a 95 procent podeptały. Ale nie chodzi przecie o to, aby własną i cudzą uwagę absorbować przeciwko komuś, kto w nieokreślonym terminie przyszłości może być albo nie być agresorem, tylko raczej przeciwko temu, kto nim jest dziś i z całą pewnością będzie jutro. Że komunistom zależy właśnie na odwróceniu tej uwagi, jest rzeczą, naturalnie, zrozumiałą.

Prof. Bocheński wypowiedział jakże rozumną myśl w punkcie 3. swego listu.

„Sprawa granic wydaje mi się tracić na ostrości, w miarę jak zbliża się scalenie Europy. Jeśli uda się nam wprowadzić w niej taki porządek, że każdy człowiek będzie mógł wszędzie żyć w wolności i rozwijać swoją kulturę, to problem przebiegu granic stanie się rzeczą całkiem drugorzędną. Za nieuzasadnione uważam więc podniecanie się sprawą granic zarówno u Niemców, jak i u Polaków”.

Podzielając w zupełności ten pogląd, tym bardziej wydaje mi się, że zarówno z moralnych, jak i taktycznych względów należałoby kierować całą energię mocarstw w tej chwili nie tyle na uznanie tej czy innej linii granicznej obecnego *status quo*, ile na uznanie w r e s z c i e nagłości tego wspólnego dla wszystkich nadrzędnego niebezpieczeństwa, które wisi nad nami od lat w postaci zagrożenia komunistycznego, a które jeżeli nie zostanie usunięte w porę, to nadzieja na scalenie Europy może okazać się tylko piękną mrzonką, nie urzeczywistnioną nigdy. Niestety, prymatu tej aktualnie wspólnej sprawy ani ci Polacy, ani ci Niemcy, których zaślepią spór o Odrę-Nysę, zdają się nie dostrzegać czy też nie uznawać.

Józef Mackiewicz

[7-8/1962]

Rosyjski „kompleks Polski” i obszar ULB

Boimy się Rosjan. Boimy się Rosjan nie na polu bitwy, bo stosunkowo niedawno odnieśliśmy nad nimi poważne zwycięstwo. Jeszcze żyją wśród nas ludzie, którzy brali udział w bitwie pod Warszawą w 1920 roku.

Boimy się rosyjskiego imperializmu – rosyjskich planów politycznych. Dlaczego Rosjanie wolą mieć państwa satelickie – jak Polska, Czechosłowacja czy Węgry – zamiast życzliwych, względnie neutralnych sąsiadów? W ramach bieżącej sytuacji nie ma logicznej odpowiedzi na powyższe pytanie. Gdyby Niemcy Zachodnie miały dziś potężną armię, broń atomową i hołdowały totalnej idei odwetu – wówczas rola państw satelickich jako wału ochronnego Rosji byłaby zrozumiała. Lecz – jak wiemy – współczesne Niemcy nie mają nic wspólnego z militarystką. W mojej książce niemieckiej, która ukazała się dziesięć lat temu* – zaryzykowałem pogląd, że czołgi niemieckie nigdy więcej nie pojawią się na przedmieściach Moskwy. W historii powtarzają się pewne układy i schematy sytuacyjne. Lecz w większości wypadków historia jest katalogiem samych premier. Historia jest fascynująca, ponieważ „to samo” nigdy nie jest „to samo” i identyczne niemal sytuacje w nowych wydaniach produkują odmienne rezultaty.

Niemniej uwarunkowanie historyczne powoduje, że zbyt wielką wagę przywiązujemy do tak zwanych imponderabiliów, a zbyt małą wagę do przemian. Zwłaszcza ludzie starsi – jak piszący te słowa – skłonni są powtarzać, że w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Rosja jest imperialistyczna, bo zawsze była imperialistyczna. Instynkt imponderabiliów podszeptuje nam, że i Niemcy w rzeczywistości nie zmienili się i gdy nadejdzie sprzyjająca koniunktura, uzbroją się po zęby i sięgną po nasze Ziemie Zachodnie.

* *Kehrt Deutschland in den Osten zurück?*, Colloquium Verlag, Berlin 1961 [przyp. autora].

Polityka w siedemdziesięciu, a może nawet w osiemdziesięciu procentach jest dyskusją na temat historii. Nikt z nas dokładnie nie wie, o czym mówią w czasie tajnych narad członkowie Biura Politycznego na Kremlu. Nikt z nas nie wie, co na dnie duszy myśli i planuje Breżniew. Z historii jednak wiemy, co myśleli i planowali jego poprzednicy na przestrzeni ostatnich dwustu lat. Wnioskujemy więc, że Breżniew myśli podobnie jak jego poprzednicy, ponieważ „w gruncie rzeczy nic się nie zmienia”.

Oczywiście historyczne uwarunkowanie w danej sytuacji może stać w jawnej sprzeczności z rzeczywistością – lecz na ogół historia posiada większą siłę sugestii niż współczesność. Historia góruje nad współczesnością, tak jak ojciec góruje nad swym nieletnim synem.

Patrzmy na Rosję obciążeni balastem historycznym. Lecz czy Rosjanie patrząc na Polskę są również obciążeni balastem historycznym?

Edgar Snow w swojej książce *Journey to the Beginning* przytacza dłuższą rozmowę w cztery oczy z Maksimem Litwinowem w Moskwie. Rozmowa odbyła się bez świadków w dniu 6 października 1944 roku. Może warto przypomnieć, że Litwinow był ożeniony z Angielką, znał dobrze Zachód i mówił płynnie po angielsku. W owym czasie jego kariera dobiegała kresu, z czego w pełni zdawał sobie sprawę. Gdy Snow zapytał go o Polskę – Litwinow odpowiedział, że Rosjanie w żadnym wypadku nie mogą zgodzić się na powrót grupy „beckowskiej” (tak Litwinow określał polski rząd w Londynie).

Jest rzeczą interesującą, że Litwinow nie wysuwał żadnych zastrzeżeń natury ideologicznej. Nie mówił o polskich reakcjonistach, kapitalistach czy obszarnikach. Powiedział natomiast, że rząd polski w Londynie – a w szczególności Sosnkowski – reprezentuje koncepcję polskiego historycznego imperializmu i dąży do odbudowy polskiego imperium z XVI i XVII wieku. W opinii Litwinowa Beck był gotowy sprzymierzyć się z Niemcami, by osiągnąć ów cel, a Polacy londyńscy w tym samym celu gotowi są sprzymierzyć się z Amerykanami.

Byliśmy u kresu sił biologicznych, wyniszczeni hitlerowską okupacją i walką podziemną – marzyliśmy o kawałku polskiego dachu nad głową, nie o imperium. Lecz dla Litwinowa byliśmy potencjalnym rywalem.

Osobiście byłem zdumiony, czytając relację Edgara Snowa – bo wydawało mi się tragicomiczne, że doświadczony polityk mógł nas w 1944 roku posądzać o imperializm. To tak, jakby ktoś przymierającego z głodu żebraka przestrzegał z całą powagą przed niebezpieczeństwami płynącymi z nadużywania jadła i napoju.

A jednak... przeczytawszy powtórnie wypowiedzi Litwinowa, doszedłem do wniosku, że nie ma w nich nic komicznego. Litwinow patrzył na Polskę tak, jak Polacy patrzą na Rosję – z pozycji historycznego uwarunkowania.

Dla Rosjan polski imperializm jest nurtem historycznym wiecznie żywym. Nie trzeba sięgać zbyt odległych czasów, by znaleźć świadków polskiej obecności w Kijowie.

Gdy Mikołajczyk powiedział Stalinowi, że Lwów nigdy nie wchodził w skład imperium rosyjskiego, Stalin odpowiedział: „Lwów nie należał do Rosji – lecz Warszawa należała”. Po chwili dodał: „Pamiętamy, że Polacy byli kiedyś w Moskwie”.

Wielu z nas uważa, że Polacy wyleczyli się z imperializmu. Rosjanie jednak są odmiennego zdania. Uwarunkowanie historyczne sugeruje im obawę, że Polacy gdyby odzyskali niepodległość – wkroczyliby na imperialny szlak, z którym zawsze się identyfikowali.

Czy ów imperialny nurt istotnie w nas zamarł, czy historyczny rosyjski „kompleks polski” jest bez podstaw?

Nie sądzę. Wielu współcześnie żyjących Polaków marzy nie tylko o polskim Lwowie i Wilnie, ale nawet o polskim Mińsku i Kijowie. Wielu uważa za ideał niepodległą Polskę sfederalizowaną z Litwą, Ukrainą i Białorusią. Innymi słowy alternatywą rosyjskiego imperializmu może być tylko polski imperializm, i zawsze tak było.

Przy tej sposobności warto może przeanalizować pewien typowy emigracyjny fenomen. Po ukazaniu się na łamach „Kultury” mojego artykułu *Polska Ostpolitik* – otrzymałem wiele listów od Polaków z wielu krajów, którzy wyrażali pełne poparcie dla programu wyłożonego w cytowanym artykule. Nie brakło również listów od ludzi pióra. Kilku z nich zauważyło, że już dawno pogodzili się z myślą utraty Lwowa i Wilna, choć na ten temat nie piszą, by nie drażnić opinii publicznej.

Doprowadziliśmy do paradoksalnej sytuacji. Poglądy emigracji ewoluują i ulegają przemianom, natomiast poglądy establishmentu i prasy przez nią kierowanej nie uległy zmianie od trzydziestu lat. Mało tego – mam dowody, że nawet pewni ludzie, którzy należą do emigracyjnego establishmentu, podzielają nasze poglądy w sprawie Lwowa i Wilna, lecz nigdy nie oświadczyliby tego publicznie, by nie narazić się opinii. Czyjej opinii?

Są dwie grupy ludzi, którzy odrzucają wszelką argumentację i dyskusję w tej sprawie. Do pierwszej grupy należą przede wszystkim ludzie, którzy pochodzą z Małopolski Wschodniej lub Wileńszczyzny. Polakom tym przywiązanie do ziemi – choć nie ojczystej, lecz rodzinnej – uniemożliwia zaakceptowanie argumentów rozumowych. Do drugiej grupy należą ludzie,

ktorzy, dla utrzymania tytułu legalizmu, redukują ideę niepodległościową do absurdałnej koncepcji restauracji Drugiej Rzeczypospolitej. Nie ma innej Polski tylko Polska oparta na konstytucji przedwrześniowej z prezydentem, sejmem i senatem. Tylko odrodzona i niepodległa Druga Rzeczypospolita mogłaby poprzez uchwały sejmu, zatwierdzone przez prezydenta, zrzec się Wilna czy Lwowa.

Wadą tej koncepcji jest fakt, że o ile można przyjąć za pewnik, że jeżeli nie my, to następne pokolenia doczekają się niepodległości Polski – to również należy przyjąć za pewnik, że konstytucja przedwrześniowa nie będzie obowiązywała na terytorium Polski ani jednego dnia. Wyzwolony naród wyłoni sejm, który uchwali nową konstytucję, odpowiadającą nowym warunkom politycznym, społecznym i gospodarczym. Znakomita większość społeczeństwa tak w kraju, jak i na emigracji nie żywi na ten temat żadnych wątpliwości.

W rezultacie, choć nikt nie wierzy w przyłączenie Lwowa i Wilna do Polski – podtrzymuje się oficjalnie ów mit ze względów legalistycznych. Poza tym panuje powszechnie przekonanie, że ponieważ rząd emigracyjny oparty na legalizmie nie może prowadzić żadnej realnej polityki, jest równie obojętne, czy przyznaje się do Lwowa i Wilna, czy do Mińska i Kijowa.

Otóż w rzeczywistości to nie jest obojętne. Na emigracji nie możemy przeprowadzać żadnych zmian terytorialnych, lecz możemy i powinniśmy ustalić pewne zasady. Na Zachodzie powstaje nowa emigracja rosyjska. Z tymi ludźmi winniśmy nawiązać dialog i szukać porozumienia. Pierwsze pytanie w owym dialogu dotyczyć musi sprawy narodowościowej.

Nowi emigranci rosyjscy są antysowieccy. Wiemy jednak, że imperialistami rosyjskimi bywali ludzie jak najdalsi od komunizmu czy nawet socjalizmu. Dlatego sprawdzianem postawy politycznej każdego nowego rosyjskiego emigranta musi być jego stosunek do kwestii narodowościowej.

Oczywiście ten sam sprawdzian musimy stosować do nas samych. Nie możemy stać na stanowisku, że każdy program wielkorusyjski jest imperializmem – natomiast polski program wschodni nie jest żadnym imperializmem, tylko wzniosłą ideą jagiellońską.

Innymi słowy, możemy domagać się od Rosjan wyrzeczenia się imperializmu pod warunkiem, że my sami raz i na zawsze wyrzekniemy się naszego tradycyjno-historycznego imperializmu we wszystkich jego formach i przejawach.

Idea jagiellońska tylko dla nas nie ma nic wspólnego z imperializmem. Jednak dla Litwinów, Ukraińców i Białorusinów stanowi najczystsza forma

polskiego tradycyjnego imperializmu. Rzeczpospolita Obojga Narodów zakończyła się całkowitym spolonizowaniem szlachty litewskiej i najgorętsze wyznanie miłości do Litwy („Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie”) zostało napisane w języku polskim. Polak nie może sobie nawet wyobrazić podobnej sytuacji. Czy można sobie wyobrazić Słowackiego piszącego wyłącznie po rosyjsku? Rosjanie usiłowali nas rusyfikować, lecz nie zdołali odebrać nam ani jednego poety czy pisarza. Przeciwnie, nacisk rusyfikacyjny spowodował w XIX wieku niebywały rozkwit literatury i języka polskiego.

Przyjemnie jest sobie powiedzieć, że kultura polska jest atrakcyjna – dla wielu znacznie bardziej atrakcyjna niż kultura rosyjska. Lecz ten sam fakt oceniany z perspektywy litewskiej czy ukraińskiej oznacza, że Polacy są groźniejszymi asymilatorami niż Rosjanie. Trzeba tylko odpowiedniej koniunktury, by Polacy mogli w pełni rozwinąć swoje asymilatorskie skrzydła.

Rosjanie w swojej perfidnej polityce narodowościowej wygrywają atut atrakcyjności kultury polskiej. W Wilnie wychodzi codzienne pismo w języku polskim, przyjeżdżają teatry z PRL i tak dalej, i tak dalej. Celem tej operacji nie są Polacy zamieszkali na Litwie i spragnieni słowa ojczystego. Celem tej operacji są Litwini i wyłącznie Litwini. Z punktu widzenia rosyjskiego wpływy kultury polskiej – nawet w wydaniu PRL – hamują proces wytworzenia się czysto litewskiego nacjonalizmu i rdzennie litewskiej kultury. Oczywiście wszystko, co hamuje proces krystalizacji litewskiej odrębności narodowej – jest mile widziane przez Moskwę.

W Europie Wschodniej – jeżeli na tych ziemiach ma kiedyś ustalić się nie tylko pokój, lecz wolność – nie ma miejsca na żaden imperializm: ani rosyjski, ani polski. Nie możemy gardłować, że Rosjanie winni oddać Ukraińcom Kijów i równocześnie głosić, że Lwów musi wrócić do Polski. To jest owa „podwójna buchalteria”, która w przeszłości uniemożliwiała nam przełamanie bariery historycznej nieufności pomiędzy Polską a Rosją. Rosjanie podejrzewali, że jesteśmy antyimperialistami, lecz tylko w stosunku do Rosjan – to znaczy, że imperializm rosyjski pragniemy zastąpić imperializmem polskim.

Jeżeli dla uproszczenia obszar obejmujący Ukrainę, Litwę i Białoruś określimy literami ULB, to należy stwierdzić, że w przeszłości – a poniekąd i dziś – obszar ULB był czymś więcej niż „kością niezgody” pomiędzy Polską a Rosją. Obszar ULB determinował formę stosunków polsko-rosyjskich, skazując nas albo na imperializm, albo na satelictwo.

Jest szaleństwem przypuszczać, że poprzez uznanie problemu ULB za wewnątrzpaństwową sprawę rosyjską – Polska może wyprostować swoje

stosunki z Rosją. Rywalizacja pomiędzy Polską a Rosją na tych obszarach miała zawsze na celu ustalenie przewagi, a nie dobrosąsiedzkich stosunków polsko-rosyjskich.

Z punktu widzenia rosyjskiego, wcielenie obszarów ULB do imperium rosyjskiego jest niezbędnym warunkiem umożliwiającym zredukowanie Polski do statusu satelickiego. W perspektywie Moskwy Polska musi być satelicka w takiej czy innej formie. Historia uczy Rosjan, że Polska prawdziwie niepodległa sięgała zawsze po Wilno i Kijów i usiłowała ustalić swoją przewagę na obszarach ULB. Gdyby powyższe dążenia historyczne Polaków zostały uwieńczone powodzeniem – byłoby to równoznaczne z likwidacją pozycji imperialnej Rosji w Europie. Innymi słowy, Polska nie może być prawdziwie niepodległa, jeżeli Rosja ma zachować status imperialny w Europie.

Z polskiego punktu widzenia sprawa kształtuje się analogicznie. Szukaliśmy przewagi na obszarach ULB – czy to na drodze wojskowej, czy wysuwając plany federacyjne – ponieważ historia uczy nas, że Rosja dominująca na tych obszarach jest rywalem nie do pokonania. Z rąk zwycięskiego rywala nie można oczekiwać niczego innego prócz niewoli.

Chciałbym podkreślić dwa punkty.

Po pierwsze – nie jest rzeczą możliwą dyskutowanie stosunków polsko-rosyjskich w oderwaniu od obszarów ULB, ponieważ stosunki polsko-rosyjskie były zawsze funkcją sytuacji, jaka w danym okresie historycznym panowała na tych obszarach.

Gdyby nie było Hitlera, gdyby nie było drugiej wojny światowej, gdyby Niemcy byli pokojowo nastawionymi dobrymi Europejczykami – niepodległość Polski byłaby mimo to zagrożona ze strony Rosji, ponieważ w 1920 roku odnieśliśmy zwycięstwo pod Warszawą, lecz nie pod Kijowem. Po śmierci Stalina skończyłyby się czystki i likwidowanie najlepszych oficerów sowieckiej armii, Rosja podjęłaby wyścig zbrojeniowy, który w konsekwencji Polska musiałaby przegrać. Wcześniej lub później militarna przewaga Rosji nad Polską byłaby tak znaczna, że Moskwa – z pomocą lub bez pomocy Niemiec – narzuciłaby nam swój protektorat. To po prostu leżało w kartach i nie brakowało w Polsce pisarzy politycznych, którzy z tego zdawali sobie sprawę. Adolf Bocheński, świetny publicysta, który poległ pod Anconą – zgodnie ze swą tezą, że „z tej wojny nie należy wracać” – w książce* wydanej przez Jerzego Giedroycia w początkach ery „Nowych Nie-

* Adolf Bocheński, *Między Niemcami a Rosją*, Warszawa 1937 [przyp. autora].

mieć”, kiedy jeszcze nikt w Europie nie zdawał sobie sprawy, kim jest Hitler i jakie są jego plany, doradzał porozumienie z Niemcami. Celem owego porozumienia byłoby oderwanie od Rosji Ukrainy. Zawsze chodzi o Ukrainę, Litwę i Białoruś, ponieważ sytuacja na tych obszarach determinuje stosunki polsko-rosyjskie.

I punkt drugi. Wydaje mi się, że o ile Rosjanie Ukraińców nigdy nie doceniali i nie doceniają ich nadal – o tyle zawsze przeceniali i nadal przeceniają Polaków. Widzą nas zawsze jako rywali aktywnych lub tylko potencjalnych – niemniej zawsze jako rywali. Chruszczow zezwolił wprowadzić na wywiezienie *Panoramy racławickiej* ze Lwowa, lecz równocześnie odradzał kategorycznie udostępnienie *Panoramy racławickiej* polskiej publiczności. Uważał bowiem, że *Panorama racławicka* przypominać będzie Polakom zbrojne powstanie przeciwko Rosji. Słynny epizod z wystawieniem Mickiewiczowskich *Dziadów** był na tym samym tle.

Osobiście „wydarzenia grudniowe” na wielką skalę wydają mi się daleko bardziej prawdopodobne w Polsce niż wybuch zbrojnego powstania przeciwko Rosji. Na emigracji nie ma ani jednego polityka, który by nawoływał Polaków w kraju do powstania. Natomiast Rosjanie boją się nie tyle społecznej rewolucji w Polsce, ile narodowego powstania. Wierzą również, że rewolucja robotnicza zmierzająca do obalenia partyjnego przywódcy i jego reżymu – zatraciłaby w przeciągu kilku dni cechy gospodarczo-społeczne i przekształciłaby się w ogólnonarodową rewoltę przeciw Rosji.

Musimy również pamiętać, że Polacy, a nie Rosjanie przeżyli szok powstania warszawskiego, szok porzucenia Polski przez sojuszników zachodnich, szok okupacji kraju przez wojska sowieckie. Wojnę przegraliśmy totalnie, ponieważ nie ostał się nawet skrawek niepodległej Rzeczypospolitej. Runęła w gruzy nasza tradycyjna koncepcja Polski jako bastionu cywilizacji zachodniej. Zostaliśmy zdradzeni przez naszą własną historię, której budowaliśmy ołtarze w literaturze, w malarstwie, w muzyce. Dokonaliśmy najstraszniejszego odkrycia, jakie naród może dokonać, a mianowicie, że Historia jest brulionem zapisków z „martwego domu”, a nie żywą przeszłością potwierdzającą się w teraźniejszości. W takich warunkach Polakowi trudno było nie stać się historycznym rewizjonistą. Nie dziwota, że nawet pisarze katolicy i niekomuniści, odżegnujący się nawet od socjalizmu – na gruzach

* Kierownictwo partii uznało Dejmkowskią przedstawienie *Dziadów* za antyradziecką manifestację. Przerwanie przedstawień (1 lutego 1968 roku) spowodowało masowe wystąpienia studentów, brutalnie rozgromione przez milicję.

„egzotycznych sojuszków” – głosili pogląd, że sojusz ze Związkiem Sowieckim stanowić musi kamień węgielny polskiej polityki. Była to świadoma rezygnacja z postawy rywala i przyjęcie postawy wasala.

Natomiast musimy pamiętać, że owe traumatyczne doświadczenia były czysto jednostronne i dotyczyły tylko Polaków, a nie Rosjan.

Nie ma przedmiotu, który określa się optymistycznie mianem „historii powszechnej”. Nie tylko nie ma historii powszechnej – ale nie ma nawet historii europejskiej. Istnieją tylko historie: polska, rosyjska, francuska, niemiecka i tak dalej. Bitwa pod Wiedniem z królem Sobieskim na pierwszym planie widziana przez historię polską mało przypomina bitwę po Wiedniem w przekazie historii niemieckiej.

Historia jest w biegu zatrzymaną polityką. Dlatego pisarz polityczny musi umieć patrzeć na historię z lotu ptaka. W interesującym nas przedmiocie polityki musi umieć spojrzeć na ciąg wydarzeń zarówno oczami Polaka, jak i oczami Rosjanina. Polityka jest bowiem dalszym ciągiem historii i nie można zrozumieć polityki rosyjskiej, nie rozumiejąc, jak Rosjanie odczytują historię. Naród polski odgrywał zawsze poważną rolę w historii rosyjskiej i jest rzeczą niezbędną, byśmy dokładnie poznali perspektywę, poprzez które Rosjanie na nas patrzą.

Sytuacja w końcowym okresie drugiej wojny światowej przypominała sytuację po bitwie pod Jeną. Napoleon panował nad całą Europą i nie pobite pozostały tylko dwa państwa, to jest Rosja i Anglia. Napoleon był w Moskwie – Hitler był na przedmieściach Moskwy. W obu wypadkach głównymi sprzymierzeńcami Rosjan były klimat i przestrzeń. Na ludzi z Zachodniej i Środkowej Europy przestrzenie rosyjskie wywierają wpływ trudny do opisanie. We Francji czy w Niemczech sto kilometrów to jest ogromna odległość – w Rosji sto kilometrów to jest nic. W pamiętniku jednego z niemieckich oficerów natknąłem się na określenie, że Rosja jest krajem bez horyzontu. Za widnokresem, jak się do niego dotrze, są nowe pola, wzgórza i rzeki – a za nowym widnokresem są znowu pola, wzgórza i rzeki, i tak bez końca, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Cytowany oficer niemiecki pisze, że nawet w lecie, po wielu tygodniach marszu, owa nie kończąca się nigdy przestrzeń rosyjska w najtwardszym człowieku wywołuje w końcu poczucie bezsilności.

Rosjanie ponieśli ogromne straty. Lecz Historia ich nie zdradziła – to znaczy współczesność potwierdziła przeszłość. Armie Hitlera, podobnie jak armie Napoleona, zmożone klimatem i przestrzenią rosyjską zostały pobite i odepchnięte daleko poza granice imperium rosyjskiego.

W Polsce przewrót technologiczny – lotnictwo i czołgi – wytrącił nam z ręki tradycyjną naszą broń – to jest kawalerię. Mieliśmy niewątpliwie najlepszą kawalerię w Europie, ale w naszym wypadku współczesność nie potwierdziła historii. Przeciwnie, tradycja okazała się bezzębną staruszką wobec zmotoryzowanych kolumn pancernych, które powaliły nas w przeciągu siedemnastu dni.

Wszystko, co powyżej napisałem, ma na celu zilustrować fakt, że Historia nie zdradziła Rosji, lecz przeciwnie, potwierdziła tradycyjne rosyjskie założenia. W rezultacie Rosjanie – w przeciwieństwie do Polaków – uważają, że od czasów bitwy pod Jeną nic się nie zmieniło. Rosja ma inny ustrój, lecz jak dawniej jest imperialna i niepokonana. Z naszego polskiego świata wypadło dno – jakby to obrazowo powiedziało się po angielsku. Lecz z rosyjskiego świata rewolucja nie wybiła dna, ponieważ Rosja jest i pozostała historycznie identyczna, to znaczy imperialistyczna i zaborcza.

Weźmy jeszcze inny przykład. Rewolucja i klęska, jakie nastąpiły w imperium otomańskim w rezultacie pierwszej wojny światowej – pozbawiły Turcję jej historycznej identyczności. Turcja przestała być mocarstwem imperialnym. W konsekwencji, współcześni Turcy myślą zupełnie inaczej niż myśleli ich dziadowie i pradziadowie jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Natomiast rewolucja październikowa nie odebrała Rosji jej imperium i nie zmieniła na jotę rosyjskiej historycznej dyspozycji. Stalin po drugiej wojnie światowej zachowywał się i działał jak car i samodzierżca Wszechrosji – symbol i reprezentant imperialnej idei rosyjskiej.

Wszyscy o tym wiemy, natomiast niewielu z nas zdaje sobie sprawę, że ów rosyjski historyczny konserwatyzm obejmuje również ocenę Polski i Polaków. Litwinow mówił o odbudowie polskiego imperium z XVI i XVII wieku, co nam wydaje się komiczne, lecz dla Litwinowa – w przeciwieństwie do nas – wiek XX był dalszym ciągiem XVI i XVII wieku z tą samą tradycyjną problematyką, nie wyłączając problematyki polskiej. Podobnie jak carowie, Stalin, Litwinow i Breżniew uważali i uważają, że na obszarach Ukrainy, Litwy i Białorusi mogą panować albo Polacy, albo Rosjanie. Nie ma historycznego trzeciego rozwiązania – istnieje tylko wybór pomiędzy imperializmem polskim a rosyjskim.

Rosjanie nas przeceniają, ponieważ patrzą na nas z rosyjskiej historycznej perspektywy. Polacy natomiast – choć są dumni, a częściej jeszcze sentymentalni na temat swej przeszłości historycznej – uważają równocześnie, że owa imperialna chwała nie ma nic wspólnego z dzisiejszą rzeczywistością.

Zachowujemy się tak jak szlachcic, który stracił swój majątek. Niedołężna gospodarka, przeciwność losu, a przede wszystkim zły sąsiad sprawiły,

że utraciliśmy „majątek”, który się nam należał zgodnie z prawem boskim i ludzkim. Pocieszamy się jednak, że „sprawiedliwość dziejowa” ukarała Ukraińców, Litwinów i Białorusinów, bo dobrych panów polskich zamienili na złych panów sowieckich.

Przez trzysta lat mieliśmy przewagę na Wschodzie. Jeżeli pokój Grzymułtowskiego (1 maja 1686) uznać za punkt zwrotny w dziejach stosunków polsko-rosyjskich – należy stwierdzić, że obecnie Rosja od trzystu lat ma przewagę na Wschodzie. Owa „alternatywność” – albo my, albo oni – uniemożliwia znormalizowanie stosunków pomiędzy Polską a Rosją. Owa „alternatywność” powoduje, że Polacy podobnie jak Rosjanie – nie wierzą w trzecie rozwiązanie i ponieważ *tertium non datur* – akceptujemy satelictwo jako ponury, lecz aktualny stan rzeczy. W systemie „albo my, albo oni” tym razem na wierzchu są oni.

Jest jednak różnica pomiędzy Polakami a Rosjanami. Przewagę Rosjan potwierdziła Historia. Natomiast nasze walki, powstania, nawet zwycięstwa – Historia obróciła w niwecz. Trzymamy się systemu „albo my, albo oni”, bo nie znamy i nie mamy innego systemu. Lecz większość Polaków nie wierzy już w ten system, nie wierzy, byśmy kiedykolwiek mogli zdobyć przewagę nad Rosją. Dziekiem owej niewiary jest mentalność satelicka i serwilizm.

Ja również nie wierzę w system „my albo oni” – nie wierzę, byśmy byli kiedykolwiek w możności odepchnąć Rosję z rogatek Przemyśla pod Smoleńsk. Uważam również, że system powyższy – choć głęboko historycznie zakorzeniony – jest dziś anachronizmem, barbarzyńskim anachronizmem. Ukraińcy, Litwini i Białorusini w XX wieku nie mogą być pionkami w historycznej grze polsko-rosyjskiej.

Pragnąłem wykazać, że system „my albo oni” – choć czerpie swą moc z wielowiekowej tradycji – jest w gruncie rzeczy zatrutym źródłem. Musimy szukać kontaktów i porozumienia z Rosjanami gotowymi przyznać pełne prawo do samostanowienia Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom i, co również ważne, musimy sami zrezygnować raz i na zawsze z Wilna, Lwowa i z jakiegokolwiek polityki czy planów, które by zmierzały do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztem cytowanych powyżej narodów. Tak Polacy, jak i Rosjanie muszą zrozumieć, że tylko nieimperialistyczna Rosja i nieimperialistyczna Polska miałyby szansę ułożenia i uporządkowania swych wzajemnych stosunków. Musimy zrozumieć, że każdy imperializm jest zły, zarówno polski, jak i rosyjski – zarówno zrealizowany, jak i potencjalny, czekający na koniunkturę.

Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom musi być przyznane w przyszłości pełne prawo do samostanowienia, bo tego wymaga polsko-rosyjska racja stanu. Tylko na tej drodze byłoby możliwe pogrzebanie katastrofalnego systemu „my albo oni” – systemu, który dziś oferuje Rosji sojusz z satelicką Polską, lecz równocześnie sprawia, że gdyby jutro wybuchła wojna rosyjsko-chińska – znakomita większość Polaków życzyłaby zwycięstwa Chińczykom.

Z powyżej przeanalizowanych przyczyn tak zwana kwestia narodowościowa jest podstawowym problemem nie tylko rosyjskim, lecz rosyjsko-polskim. Tylko radykalne rozwiązanie tego problemu władne jest przekształcić stosunki polsko-rosyjskie.

Wydaje się, że rośnie procent Rosjan, którzy zdają sobie sprawę z powyższego zagadnienia. Jeszcze raz pragnę podkreślić z naciskiem, że mentalność „my albo oni” musi wygasnąć nie tylko wśród Rosjan, lecz również wśród Polaków. To jest proces dwustronny. Polacy czekający cierpliwie na chwilę odwetu i restaurację „przedmurza” – podsycają intensywnie imperializm rosyjski.

Na wstępie tego artykułu wspomniałem M. Litwinowa, dla którego historyczny system „my albo oni” był w roku 1944 równie żywy i aktualny jak w okresie ubiegłych trzystu lat. Litwinow uważał, że trzeba finalnie dokończyć dzieła zapoczątkowanego rozejmem andruszowskim (30 stycznia 1667 roku), kiedy Polska oddała Moskwie Smoleńsk, Czernichowskie, Siewierszczynę, Siewież i Kijów.

Dokładnie w trzydzieści lat po rozmowie Edgara Snow z M. Litwinowem wnuk tegoż Maksima Litwinowa – Paweł Litwinow nawiązał kontakt z paryską „Kulturą” i przybliżył się do naszego punktu widzenia.

Wreszcie ostatni punkt tych rozważań. Polacy odnoszą się dziś z niechęcią do wzniosłych haseł, do sloganów, do wszelkiego typu romantycznej frazeologii. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że w swoim antyromantyzmie Polacy wylewają dziecko wraz z kąpielą. Polityka narodu w niewoli musi łączyć ludzi o różnych przekonaniach i dlatego winna być oparta o ideał moralny, który by oczyszczał nasz program niepodległościowy i nadawał mu etyczny wymiar. Owego moralnego, ponadnarodowego wymiaru brak jest wszystkim współczesnym programom niepodległościowym.

Nikogo nie można porwać ideą wzrostu ekonomicznego czy hasłem „kolorowa telewizja w każdym domu i samochód przed każdym domem”. Choć wszyscy pragną samochodów – nikt nie jest gotów umierać za samochody i kolorowe telewizje. W Wietnamie, na Cyprze, na Środkowym

Wschodzie, w Północnej Irlandii, w Angoli czy w Mozambiku – ludzie umierają dla często mylnych, lecz żarliwie wyznawanych idei.

Wśród współcześnie żyjących Polaków – tak w kraju, jak i za granicą – nic, dosłownie nic nie jest żarliwie wyznawane. Ludzie bezideowi („śmierć frajerom”) są całkowicie bezbronni wobec przemocy i stanowią klasyczny materiał do masowej fabrykacji niewolników.

Czytając *Archipelag Gułag* musi się dojść do wniosku, że owe gigantyczne, wielomilionowe łagry byłyby nie do pomyślenia bez współpracy łagierników. Filozofia „śmierć frajerom” wyznawana przez znakomitą większość łagierników w kombinacji z przemocą władz sowieckich – czynią z Archipelagu Gułag prosperujący *business*.

Oczywiście największymi frajerami są wyznawcy hasła „śmierć frajerom” i *Archipelag Gułag* stanowi monumentalne potwierdzenie powyższej tezy.

Idea samostanowienia i wolności dla pobratymczych narodów oddzielających nas od Rosji – z równoczesnym szczerym zrzeczeniem się jakichkolwiek planów imperialistycznych, do których to planów zaliczyć należy nadzieję ułożenia się z Moskwą ponad głowami i kosztem owych narodów – tak pojęty program mógłby przywrócić polskiej polityce niepodległościowej wysoki motyw moralny, którego dziś jej nie dostaje.

Co my mamy do przeciwstawienia Archipelagowi Gułag – jeżeli uznać go za symbol systemu? Nie mamy Solżenicynów – ale mamy Iwaszkiewiczów, apostołów licencjonowanego sukcesu. Na emigracji mamy zaciekle antykomunizm, który nie produkuje niczego poza zwierzęcą nienawiścią do Rosji. Owemu antykomunizmowi brak jest wymiaru moralnego, ponieważ stopiony jest z egoizmem narodowym, a nawet z ciasnym nacjonalizmem. „Gułag” nas interesuje tylko o tyle, o ile w tej piramidzie umęczonych ciał i dusz dopatrzeć się można zapowiedzi rozkładu Rosji, co z kolei umożliwiłoby nam przywrócić Polsce Wilno, Lwów, a może coś więcej.

Powinniśmy wrócić do Mickiewicza. On lepiej i prawdziwiej niż my rozumiał słowo „wolność” i moralny tego słowa wymiar.

Juliusz Mieroszewski

Rozdział VII

Emigracja i Kraj o PRL



Dyskusje, które odbywały się w „Kulturze”, a było ich wiele, dotyczyły konkretnych spraw. Za tą szczegółowością kryły się zawsze spory zasadnicze: ocena PRL, ocena postaw społeczeństwa w kraju, a zwłaszcza jego stosunku do komunizmu oraz ocena postaw emigracji wobec kraju. Stałym wątkiem dyskusji był stopień zbieżności modelu polskiego z sowieckim, a tym samym ocena marginesu wolności, jaki pozostawał społeczeństwu, a w szczególności intelektualistom w walce z komunizmem.

Do wiosny 1956 roku dyskusje odzwierciedlały przede wszystkim ideologiczne i polityczne podziały istniejące wśród emigracji. Można jednak przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że były odbiciem podziałów istniejących w kraju. Nowe fale emigrantów, którzy publicznie zabierali głos, potwierdzały zbieżność politycznych podziałów na emigracji i w kraju.

Dyskutujący na łamach „Kultury” zajmowali zdecydowanie negatywne stanowisko wobec komunizmu, ale w ocenie PRL byli już zróżnicowani: od tych, którzy w imię walki z komunizmem odrzucali jakąkolwiek możliwość współpracy z rządem PRL i polską rzeczywistość widzieli wyłącznie w czarnych barwach, po tych, którzy dostrzegali pozytywne zmiany i uznawali konieczność współpracy z komunistycznym państwem w imię dobra Polski i Polaków. Dla tych ostatnich problemem dyskusyjnym była nie tyle sprawa udziału w życiu publicznym, ile cena, jakiej nie wolno było zapłacić. Zdawano sobie sprawę, że kompromisy mogą prowadzić do kolaboracji, a zatem do zaprzeczenia podstawowych wartości wolnego świata.

Dyskusje, które są zaprezentowane w niniejszym rozdziale, odegrały doniosłą rolę w kształtowaniu opinii emigracyjnej, a następnie także i krajowej. Wywarły one również wpływ na kształtowanie się linii politycznej „Kultury”.



Ówczesni dyskutanci mieli za sobą doświadczenia wojenne, niejednokrotnie dramatyczne, wielu z nich doświadczyło skutków stalinowskiego terroru, mieli również za sobą rozdzierające wybory: pozostać na emigracji czy wracać do kraju; współpracować z komunistami dla jego dobra czy też zgodnie z własnymi przekonaniami trzymać się od nich z dala, po prostu wyrzucić komunistów poza własny widnokrąg. Zdrada klerków wyrażała się zatem w sposób dwojaki: mogła być odstępstwem od narodo-

wych wartości i interesów, ale mogła być również zaniechaniem obywatelskich powinności i zamknięciem się w wygodnej prywatności.

Zespół „Kultury” różnił się od innych ośrodków politycznych emigracji tym, że nieprzejednanie wobec komunizmu nie przemieniło się w ideologiczne zacietrzewienie, co wyrażało się w pragmatycznej ocenie rządów PRL, zwłaszcza po 1956 roku, ale odróżniał się również od krajowych pozytywistów. „Kultura” nigdy nie zrezygnowała z walki z komunizmem, która miała być prowadzona w formie zależnej od sytuacji i możliwości. To rzadko spotykało się z pozytywnym przyjęciem w kraju, przynajmniej do 1976 roku.

Zerwanie Czesława Miłosza z komunistycznym rządem i złożona przezeń deklaracja wywołały ogromną wrzawę wśród emigracji: artykuły potępiające, niekiedy obelżywe, listy pisane z pasją, rzadko w obronie, najczęściej z napastliwością, nawet paskwilanckie anonimy wysyłane do władz francuskich. Powszechnie domagano się ekspiacji i oczekiwano pokutniczej postawy. Ataki na Miłosza stały się okazją do zdemontowania własnej, antykomunistycznej postawy. Miłosz stał się symbolem tej garstki, tym godniejszym potępienia, że należał do intelektualnej elity. Nie chciano zrozumieć jego pobudek, zaakceptować powodów, dla których zrywał z reżymem, a tym bardziej mu przebaczyć.

Stosunek „Kultury” do uchodźcy był odmienny. Udostępniono mu łamy pisma i wkrótce wydrukowano *Zniewolony umysł*, co w oczach pewnego odłamu emigracji było dodatkowym argumentem obciążającym Miłosza i „Kulturę”. Nie witano jednak Miłosza jak bohatera. Pomijając autorów listów do Redakcji, współpracownicy „Kultury” zachowywali wobec Miłosza postawę krytyczno-życzliwą. Próbowali przede wszystkim zrozumieć stanowisko późniejszego laureata nagrody Nobla, co nie oznaczało automatycznej akceptacji jego wyjaśnień ani zamazywania rozbieżności politycznych, jakie się ujawniły między nim a emigrantami skupionym wokół „Kultury”. Ważkim głosem w dyskusji była wypowiedź Mieroszewskiego, daleko wykraczająca poza sprawę samego Miłosza.

Zasadniczym tematem dyskusji w „Kulturze” była odpowiedzialność intelektualisty wobec społeczeństwa żyjącego wbrew swojej woli w systemie komunistycznym. Wszyscy byli zgodni, że od intelektualistów należy więcej wymagać i ostrzej ich oceniać niż zwykłych obywateli. Stąd pretensje do Miłosza, że w słynnym artykule: *Nie*, w którym tłumaczył powody zerwania z rządem komunistycznym, Ja pisarza było ważniejsze od spraw obywatelskich. A jednak na pytanie: czy współpraca z komunistami ma prowadzić do politycznej banicji, a tym samym zaciążyć na życiu obywatela i pisarza, publicyści „Kultury” bez wahania odpowiedzieli: nie. Pod oświadczeniem „Kultury”, wydanym w odpowiedzi na listę protestów organizowaną przez „Wiadomości” londyńskie, a skierowaną przeciw Miłoszowi, podpisali się ci, dla których obrona prześladowanego człowieka była integralną częścią wartości humanistycznych, w imię których walczyli z komunizmem.



Zmiany polityczne zachodzące w Polsce od 1955 roku wpływały na ewolucję postaw wielu emigrantów. Znajdzie to wyraz w ankiecie „Kultury”: *Literatura emigracyjna a Kraj*, która była odpowiedzią na uchwałę Związku Pisarzy na Obczyźnie, zabraniającą pisarzom publikowania swoich utworów w kraju. Zabierający głos w „Kulturze” w większości byli zdania przeciwnego.

Zwolennicy uchwały Związku Pisarzy argumentowali następująco. W Polsce nie zaszły żadne istotne zmiany, a zatem stanowisko emigracji politycznej wobec kontaktów z krajem nie powinno ulec zmianie; publikowanie w kraju pozwoli komunistom na manipulację, która w konsekwencji podzieli emigrację, a społeczeństwu nie przyniesie żadnego pożytku. Były i powody mniej nobliwe: poddanie się prawom rynku krajowego naruszyłoby hierarchie emigracyjne, pozbawiając w rezultacie wielu osób aureoli pisarza i cierpiącego za Sprawę.

Dla osób opowiadających się za publikowaniem w kraju przemiany polityczne w nim zachodzące były jednym z głównych powodów. Możliwość ponownego nawiązania kontaktu z czytelnikami krajowym i obywatelskim. Publikacja utworów w kraju stwarzała okazję do złączenia dwóch nurtów literatury polskiej, a tym samym do wzbogacenia rynku wydawniczego i osłabienia wpływów komunistycznych. W warunkach ofensywy zachodnich firm wydawniczych, mnożących się tłumaczeń, publikacji utworów młodych pisarzy, dalekich od partyjnego socrealizmu (Marek Hłasko), a przede wszystkim oczekiwań czytelnika krajowego, dobrowolna nieobecność pisarzy emigrantów byłaby zjawiskiem niewytłumaczalnym i szkodliwym.

Były i inne względy. Dla wielu osób uchwała Związku Pisarzy była przekroczeniem posiadanych uprawnień. Cele Związku ograniczały się do obrony interesów zawodowo-bytowych, nie zaś do wytyczania granic politycznej poprawności. Wielu zabierających głos w „Kulturze” niesłuchanie ostro upominało się o swoje prawa pisarzy i obywateli. Każdy, a tym bardziej pisarz, powinien sam wiedzieć, co jest, a co nie jest politycznie i moralnie akceptowane. W tym duchu wypowiadały się nawet te osoby, które ze względów politycznych nie miały zamiaru publikować utworów w kraju mimo składanych im propozycji oraz te, które ze względów politycznych nie miały na to żadnej nadziei.

Opowiadanie się za publikowaniem w kraju nie było równoznaczne z polityczną ślepotą. Zdecydowanie odrzucano wymogi cenzury politycznej. Źródłem podziałów były natomiast honoraria. Dla jednych były one normalnym uhonorowaniem własnej pracy, rezygnacja z nich zaś wzbogacałaby jedynie kasę komunistów, podczas gdy dla innych byłaby to okazja do politycznych manipulacji.

A jaka była rzeczywistość krajowa? Od 1955 roku coraz częściej pojawiały się utwory autorów do tej pory potępianych bądź celowo zapomnianych. Niektóre z nich publikowano tylko w czasopiśmie, inne trafiały nie tylko do księgarń, ale i do bibliotek. Dla wielu pisarzy emigrantów, niezależnie od ich woli, Polska nadal pozostała zamknięta. Okres względnej liberalizacji trwał zbyt krótko, by zasadniczo zmienić sytuację, niemniej okazał się owocny. Dla wielu młodych czytelników, zwłaszcza przedsta-

wicieli „nowej” inteligencji, odkrycie twórczości pisarzy emigracyjnych, choćby połówiczne, stało się rewelacją. Zetknięcie się z innymi tematami i perspektywami, z innym stylem i nieco inną polszczyzną było wprowadzeniem w świat do tej pory nieznanym, z którym wielu już nigdy się nie rozstało.

Od lat sześćdziesiątych komuniści ponownie zaostrzają cenzurę, lecz jednocześnie modyfikują jej kryteria. Emigrant może być drukowany w kraju, jeśli spełni dwa warunki: jego twórczość będzie politycznie poprawna, a on sam będzie prezentował przyjazny stosunek do PRL. Pisarz cichy na emigracji i ułaskawiony wobec władz komunistycznych miał szansę na wydawanie swoich książek, a nawet na oficjalne uznanie. Niektórzy z tej szansy skorzystali.

Środowisko „Kultury” zajmowało już wówczas odmienne stanowisko. W kraju pogłębiającej się cenzury i szklanym politycznym wobec niepokornie myślących nie było miejsca dla przedstawicieli emigracji niepodległościowej. Jeszcze kilka lat upłynie i do „Kultury” zaczną się zgłaszać pisarze krajowi. Wszyscy zapłacą wysoką cenę za swoją niezależność.



Przyjazd Stefana Kisielewskiego na Zachód stał się po wielu latach okazją do bezpośredniego nawiązania kontaktu z Jerzym Giedroyciem. Pierwsze spotkanie odbywało się w szczególnych warunkach. W „Kulturze” zjawia się człowiek z dawnego kręgu „Buntu Młodych”, uczestnik Powstania Warszawskiego, publicysta „Tygodnika Powszechnego” kierowanego przez Jerzego Turowicza, przeciwnik komunizmu, czego publicznie nigdy nie ukrywał, człowiek, który w okresie stalinizmu żył na marginesie marginesu życia politycznego i zawodowego. Ale w „Kulturze” zjawia się również poseł „Znaku” w popaździernikowym Sejmie, co było wyrazem jego nadziei na ewolucję systemu, mimo braku złudzeń co do jego ideologicznych założeń i geopolitycznych uwarunkowań. Pragmatyczne i ostrożne działanie koncesjonowanej opozycji katolickiej nie przeszkodziło jednak Kisielewskiemu udzielić wywiadu „Kulturze” pod własnym nazwiskiem.¹ W owym czasie był on jedynym, który to uczynił.

Nawiązanie kontaktu z „Kulturą” i jej Redaktorem, mimo radości ze wspólnego odnalezienia się, nie przebiegało gładko ani za pierwszym razem, ani przy spotkaniach następnych. Dzieliły ich poglądy, a przede wszystkim doświadczenia życia w powojennej Polsce. Dla Kisielewskiego każdy emigrant, nawet najlepiej zorientowany w sprawach krajowych, posiadał wiedzę połowiczną, a zatem jego ocena sytuacji i jego projekty nie mogły mieć tej wartości, co rodzące się w Polsce. Pogląd, którego nikt z „Kultury” nie mógł zaakceptować.

Najgorzej ułożyły się stosunki między Kisielewskim a Mieroszewskim. Dzieliło ich wszystko: poglądy na kapitalizm i socjalizm, na Polskę i Związek Sowiecki, na przeszłość i przyszłość oraz na... życie. Kisielewski nie krył się ze swoimi opiniami o emigracji, obejmującymi również „Kulturę”, często bardzo krytycznymi, wypowiedzianymi

¹ Rozmowa ze Stefanem Kisielewskim, nr 6/1957.

na Zachodzie i głoszonymi w „Tygodniku Powszechnym”. Mieroszewski obserwował, komentował i odpowiadał ostro i bezwzględnie. W artykule *Oni i My*² zaatakował katolicką opozycję skupioną wokół „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”, której przedstawiciele zasiadali w Sejmie, a ich najbardziej znanym reprezentantem był Kisielewski. Wśród licznych zarzutów jeden był szczególnie bolesny. Polityczna postawa tej grupy nie miała dla Mieroszewskiego nic wspólnego z programem pozytywnej pracy, sprowadzała się natomiast do determinizmu geopolitycznego, który nie był niczym innym, jak ideologią kapitulancstwa wobec komunizmu, a jednym z jego elementów było „rozbrojenie opozycyjnych nastrojów społeczeństwa”.

„W myśl realizmu politycznego i pod naporem racji geopolitycznych można zrezygnować z jednej trzeciej terytorium państwowego, można uznać konieczność ograniczeń suwerenności, jednym słowem można zrezygnować ze wszystkiego, ale nie z prawa do organizowania własnego domu i własnego życia”

– to były słowa Mieroszewskiego, ale równocześnie był to element programu „Kultury”.

Kisielewski odpowiedział natychmiast.³ Określając siebie jako polityka, który przekłada działanie na „wolność publicysty” wyrażającą się w możliwości pisania, „co mu tylko przyjdzie do głowy”, zaatakował gwałtownie Mieroszewskiego.

„Myślę – pisał – że nie można wyrazić chęci naprawy ustroju, odrzucając jego podstawy polityczne: nie można jednocześnie czegoś naprawiać i żądać jego likwidacji. [...] Stan natomiast »permanentnej opozycji«, choć miły sercu artysty (tu następuje we mnie rozdwojenie), w konkretnym społecznym nie da wiele, o ile nie idą za nim oczywiście atuty polityczne. Jeśli p. Mieroszewski takowe posiada – niechże je nie zwlekając, wyłoży”.

Mieroszewski odpowiedział kolejnym artykułem⁴, ale do dyskusji dojdzie po opublikowaniu *Mojego testamentu* Kisielewskiego. Był on – o czym warto pamiętać – swoim pożegnaniem się z Zachodem i niedawną wolnością. Przez następne piętnaście lat jeśli Kisielewski będzie pisał do „Kultury”, to wyłącznie pod pseudonimem. *Mój testament* pisał publicysta i poseł na Sejm pozbawiony już tych złudzeń, które miał kilka lat wcześniej. Kisielewski wraca do Polski, w której nie ma już nadziei na poszerzenie granic wolności, a wręcz przeciwnie, następuje ich systematyczne zawężanie. Mimo antykomunistycznych poglądów Kisielewski daleki był jednak od jednoznacznego i totalnego potępienia PRL i negatywnej oceny spuścizny popaździernikowej. Ciągle wówczas jeszcze się łudził, że komuniści nie zrezygnują z reformowania gospodarki i podporządkowania jej racjonalnym, czyli kapitalistycznym regułom zarządzania. Silna gospodarczo Polska była dla niego warunkiem dalszej ewolucji, w tym politycznej, oraz szansą zdobycia większej niezależności na arenie międzynarodowej. Kisielewski nie zapominał jednak, w jakim obozie politycznym i ideologicznym Polska się znajduje i jakie wynikają z tego konsekwencje.

Polemizując z *Mojim testamentem*, Redakcja spierała się co prawda o sprawy szczegółowe, między innymi o ocenę rozwoju gospodarczego PRL, lecz zasadniczym proble-

² J. Mieroszewski: *Oni i My*, nr 12/1961.

³ S. Kisielewski: *List do Redaktora „Kultury”*, nr 3/1962.

⁴ J. Mieroszewski: *Wybór*, nr 6/1962.

mem był wybór drogi zapewniającej wyjście Polski z komunizmu. Dla „Kultury” warunkiem wszelkich zmian, łącznie z gospodarczymi, było ideowe i polityczne pokonanie komunizmu. Krąg „Kultury” był przekonany, że liberalizację reżymu, a następnie odzyskanie suwerenności może wyłącznie spowodować opór i presja społeczeństwa. Sojusznikiem w tej walce byli, wedle „Kultury”, rewizjoniści jako ta siła polityczna, która działała wewnątrz partii przeciw sowieckiemu modelowi komunizmu.

Obie strony się pomyliły i obie miały rację. Gospodarcza ewolucja systemu w stronę kapitalizmu odbywała się, ale była zbyt powolna, by wpłynąć na zasadniczą zmianę sytuacji. W rezultacie dysfunkcja gospodarki przyczyniła się do krachu komunizmu. Polityczne zmiany systemowe otworzyły drogę do podstawowych reform gospodarczych, lecz w pokonaniu komunizmu rewizjoniści odegrali rolę znikomą. Ich siła polityczna okazała się złudzeniem.



Tezy o nadziei i beznadziejności Leszka Kołakowskiego spotkały się z kontrowersyjnym przyjęciem. Niedobitki rewizjonistów źle zareagowały na artykuł. Fakt jego opublikowania w „Kulturze” pod własnym nazwiskiem, przez autora z polskim paszportem w kieszeni, był dla nich wydarzeniem całkowicie sprzecznym z dotychczasową linią postępowania. Sympatia „Kultury” dla rewizjonistów nie była przez nich odwzajemniana. Większość z nich jeśli nawet pismo Jerzego Giedroycia czytała, to rzadko kiedy identyfikowała się z jego linią polityczną, a tym bardziej daleka była od współpracy. Rewizjonistów i „Kulturę” dzieliły poglądy polityczne, całkowicie odmienna przeszłość oraz stosunek do emigracji: niechętny, podejrzliwy, często wrogi. Rewizjoniści, jak zresztą wiele osób spoza partyjnego kręgu, akceptowali ocenę emigracji lansowaną przez oficjalną propagandę.

Sam artykuł również wzbudził wątpliwości. Ich echa można odnaleźć w *Liście ze Sztokholmu*⁵. Odrzuceniu sowieckiego modelu nie towarzyszyła jednoznaczna wizja przyszłego ustroju. Ze słowem „socjalizm” nie chciał się rozstać sam Kołakowski. Nikt z kręgów rewizjonistycznych nie był wówczas w stanie, ze względów ideowych bądź z braku odwagi, otwarcie się opowiedzieć za socjaldemokracją w stylu zachodnim. Wszyscy byli przekonani, jak to napisał Kołakowski, że „znaczna większość polskiej klasy robotniczej i inteligencji opowiada się za socjalizmem”. Odrzucenie modelu sowieckiego przy jednoczesnym odrzuceniu wzorców gospodarczo-społecznych kapitalizmu zachodniego wiązało się z niewygasłym marzeniem o trzeciej drodze. Jej zwolenników było całkiem sporo, nie tylko wśród rewizjonistów.

Nie było to jednak marzenie powszechnie podzielane, zarówno na emigracji, jak w kraju. Sławomir Mrożek odrzucał ulepszony socjalizm, chociaż był przekonany, i nie on jeden, że każdy socjalizm będzie reprodukcją modelu już w Polsce istniejącego. Bez względu na powody odrzucenia⁶, dla większości dyskutujących socjalizm jak był, tak pozostał obcy.

⁵ Korespondent, nr 7–8/1971.

⁶ B. Zawisza: *Proszę o coś nowego*, nr 9/1971.

Siłą artykułu Kołakowskiego był jego program pozytywny. Wbrew rozpowszechnionemu pogładowi nie tylko wśród politologów, że komunizm może być unicestwiony tylko za cenę jednego, totalnego zrywu, poglądu, który prowadził do marazmu i usprawiedliwiał tchórzostwo, Kołakowski udowodnił, że ustrojowy model komunizmu ulega zmianie, a jego ewolucja odbywa się zawsze pod presją społeczną. Od jej siły zależą zatem tempo i rodzaj zmian. W Polsce mogą być one szybsze i rozleglejsze niż gdzie indziej, gdyż opór społeczeństwa prawie nigdy nie ustał. Jednym z elementów walki miała być obrona kultury, dzięki której komunizm miał być pokonany. Hasło obrony kultury było wezwaniem rzuconym pod adresem inteligencji, w której Kołakowski widział przewodnika społecznego oporu.

Program czynnego oporu był popierany przez większość dyskutantów. Zwolenników biernego i cichego przetrwania komunizmu nie było w „Kulturze”. Ale jaki opór i jaka presja – było już sprawą dyskusji. Najgorsze zagrożenie dla społeczeństwa i dla walki z komunizmem Herling-Grudziński widział w utrwaleniu podziału na „białe kołnierzyki” i na „kombinezony”. Ta sama obawa towarzyszyła Mieroszewskiemu. Dla Zbigniewa Byrskiego źródłem skuteczności oporu powinna być jego powszechność i siła.

„Wyda się – pisał – że opozycyjny ruch ludności, o ile wywalczyć ma na władzach partyjnych ustępstwa, nie może być ruchem desperatów, bez względu na sympatie czy nawet uwielbienie, którym ich się darzy, bywają w swym heroizmie izolowani”.⁷

Od czasu opublikowania *Tezy o nadziei i beznadziejności* coraz częściej w „Kulturze” pojawiają się artykuły krytyczno-programowe. Obawę dyskutantów budzi nie tyle stan gospodarki i sytuacja polityczna, ile marazm społeczeństwa, zwłaszcza inteligencji. Jednak o wiele łatwiej było krytykować, niż przedstawiać program i snuć plany na przyszłość. Dyskutanci marzyli o zmianie ustrojowej, ale sami rzadko i ostrożnie używali takich słów, jak niepodległość, demokracja, totalitaryzm, kapitalizm, opozycja. Ich bezsprzeczną zasługą było rozpoczęcie rozważań o przyszłości Polski. Na łamach „Kultury” można zaobserwować, jak w latach 1971–1976 rozsypują się kolejne bariery wewnętrznego strachu. Marzenia przeradzały się w słowa, słowa w czyny.

Początki ruchu dysydenckiego w Polsce przez wielu były postrzegane jako ruch desperatów. Okazało się jednak, że za nimi poszli inni, choć ciągle nieliczni, niemniej jednak ich siła polityczna ciągle wzrastała. Umasowienie ruchu oporu przeciw komunizmowi nastąpiło dopiero w 1980 roku, kiedy powstała „Solidarność”. Warto zwrócić uwagę, że inicjatorami działań antyreżymowych były dwie różne formacje: prawicowa i lewicowa. Pierwsza, której najgłośniejszą organizacją był Ruch, a następnie Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, była przede wszystkim nastawiona na obronę wartości narodowych i praw jednostki. Emanacją drugiej był Komitet Obrony Robotników, który za swój nadrzędny cel uznał walkę o prawa demokratyczne obywateli i rozszerzanie obszaru wolności, a to znaczyło również suwerenności narodowej. Każdej z tych formacji „Kultura” udzielała poparcia, choć KOR, po części ze względów osobistych, cieszył się większą sympatią.

⁷ Z. Byrski: *O nadziejach Leszka Kołakowskiego*, nr 9/1971.

SPRAWA MIŁOSZA

CZESŁAW MIŁOSZ

Nie

To, o czym powiem, można nazwać historią pewnego samobójstwa. Jest to historia dość pouczająca i różna od opisów otrucia się z przyczyny miłosnego zawodu. Ponieważ wpłątane są w nie sprawy, które zaprzatają umysły znacznej liczby ludzi na świecie, zasługuje – jak sądzę – na spisanie, chociaż dotyczy mojej osoby.

Byłem cenionym polskim poetą i tłumaczem poetów innych narodów na język polski. Tłumaczyłem między innymi Milтона, Blake'a, Burnsa, Browninga, Wordswortha, Whitmana, T. S. Eliota, Pabla Nerudę i krewnego mego Oskara Miłosza. Szekspir w moim przekładzie był grany w polskich teatrach z wielkim powodzeniem. Moje nazwisko literackie było wymawiane z szacunkiem, moja kariera literacka była zapewniona. I wtedy to – właśnie dostałem korekty *Jak wam się podoba* Szekspira i pracowałem nad trzecim aktem *Otella* – nagle przeciąłem, będąc w Paryżu, moje związki z polską demokracją ludową i stałem się emigrantem, świadomy tego, co to oznacza. Zrobiłem to w chwili, kiedy naśladowanie wzorów sowieckich stało się w Polsce obowiązujące dla pisarzy.

Ach, jeszcze jedna historia rozczarowanego komunisty! Niezupełnie. Kiedy w roku 1945 kraje Europy Środkowo-Wschodniej zostały podbite przez Nową Wiarę, idącą ze Wschodu, w intelektualnych kołach komunistycznych stało się rzeczą modną porównywać komunizm z pierwszym chrześci-

Tytuły *Sprawa Miłosza*, *Stefan Kisielewski* i „*Kultura*” oraz *Dyskusje o PRL* pochodzą od autorki wyboru. Część *Sprawa Miłosza* zawiera teksty: Czesława Miłosza, Zygmunta Zaremby, Juliusza Mieroszewskiego i ponownie Czesława Miłosza. Dyskusję zamyka *Oświadczenie*.

Każdy zresztą z pisarzy w krajach Europy Środkowej i Wschodniej rozumie jej wady i zalety.

Sięgnijmy jednak do spraw bardziej zasadniczych. Jeżeli pozycję pisarza w tych społeczeństwach można przyrównać do pozycji dobrze sytuowanego kapłana w cywilizacjach, których cementem była religia, to tylko słabo poinformowani mogliby go uważać za kapłana wyższego rzędu. Nazwisko jego może być drukowane dużymi literami na pierwszych stronach pism i popularyzowane przez radio. Niemniej drży on przed tymi, którzy stoją nad nim wyżej w hierarchii, to jest przed filozofami marksizmu, stanowiącymi górę partii (niezależnie od tego, czy sam należy do partii, czy nie). Ci mędrcy traktują go z taktowną pogardą: jest użyteczny, ale jest tylko narzędziem. Co do jego publiczności, dla której pisze, to ta odnosi się do niego z mieszaniną podziwu i lekceważenia, należącego propagandystom, to jest ludziom, o których z góry wiadomo, czego można od nich oczekiwać.

Pogarda mędrców dla pisarza ma głębokie uzasadnienie. Oni *wie d z ą*. On jest tym, który musi tę wiedzę oblec w słowo, nauczwszy się jej. O pisarzach mówi się: „on wykazuje zrozumienie”, „on się nie uczy”, „on nic nie rozumie”, „on robi postępy”. Zakłada się, że rzeczą pisarza nie jest *m y ś l e ć*, ale *z r o z u m i e ć*. Co jest całkowicie logiczne: jeżeli mamy do czynienia ze światopoglądem opartym na zasadach ściśle naukowych, brednią jest wszelkie myślenie przednaukowe, lęgnące się w ludzkich głowach, to „filozofowanie”, któremu oddawali się z zapałem pisarze epok minionych. I tutaj tkwi całkowita i zupełna różnica pomiędzy cywilizacją, która nas duchowo wykarmiła, i pomiędzy cywilizacją Nowej Wiary. Wielcy pisarze przeszłości rzadko byli za ich życia honorowani. Zdychali z głodu, wyganiano ich z republik, wyśmiewano, uważano za wariatów i maniaków. Wszyscy oni jednak *m y ś l e l i* (a myślenie rozumiem nie tylko w funkcji czysto intelektualnej, ale również w sensie wizji i nadania kształtu własnym namietnościom). Rościli oni pretensję do duchowego przewodnictwa, walczyli, smagali ironią. Źródłem ich siły był ból z powodu niedoskonałości świata. Rewolta przeciwko losowi ludzkiemu była ich racją istnienia. Ponieważ Nowa Wiara jest ściśle naukową metodą usunięcia niedoskonałości świata, rola pisarza, tak jak ją znamy z historii, jest skończona. Jeżeli dawniej było miejsce na rozważania nad, dajmy na to, poglądami Dantego na rolę sztuki czy nad bovaryzmem Flauberta albo nad myślami Dostojewskiego – to odtąd nie do wyobrażenia są podobne zabiegi w stosunku do pisarza Nowej Wiary: treść myślowa jego utworów jest *d a n a*, można się tylko zastanawiać, w jakim stopniu umiał się on posłużyć tym doskonałym instru-

mentem, który dostał w ręce. Pozostaje mu więc tylko obserwacja szczegółu, budowanie postaci i zręczność pisarska – a te z kolei poddane są surowym rygorom.

Wobec tego przełomu wszystkie inne zagadnienia tracą na znaczeniu. Po między treścią i formą powstaje taki stosunek, jak pomiędzy pestką i mięszem brzoskwini: wie się z góry, że rozkroiwszy brzoskwinię, nie znajdzie się tam złotej monety ani pierścienia. Trzeba zapytać, czy prawdziwe dzieło sztuki może powstać w takich warunkach. Prawdziwe – nie tylko jako doskonałość artystycznego rzemiosła, ale jako siła moralna, która jest jego warunkiem. Sztuka była dotychczas rodzajem wizyjnego, szczególnego poznania rzeczywistości. Wyprzedzała nieraz świadomość zbiorową i na swój sposób odkrywała nowe prawa. Pasja sięgnięcia w teren niezbadany, poczucie wędrówki w puszcy dziewiczej były największą radością i motorem działania artysty.

Z chwilą gdy prawa zostały ustalone i wiedza o nich znalazła się w posiadaniu dialektyków z góry partyjnej, artyście pozostaje rola nadążania i uczenia się, na każdej ścieżce znajduje drogowskazy. Nigdzie nie występuje to wyraźniej niż w poezji. „Myślenie” poety jest ściśle związane z formą, poeta „myśli” rytmem i obrazami. Zracjonalizowanie poetyckiej twórczości przez poddanie mu tematu i określenie „stacji docelowej”, do której poeta powinien dążyć, czyni z poezji coś zupełnie innego niż to, co było znane w przeszłości pod tą nazwą. Nie trzeba być zwolennikiem „poezji czystej” ani różnych odmian wiersza opartego na skojarzeniach łączonych metodą alogiczną, aby to stwierdzić. Przeciwnie, im większy głód rzeczywistości ma poeta, im bardziej pragnie iść drogą klasyków, to znaczy patrzeć, zapamiętywać, przekształcać, komentować swój materiał – tym dotkliwiej gnębi go świadomość, że wynik jego rozlicznych równań poetyckich nie zależy od jego uczuć, myśli i namietności, ale jest z góry zdeterminowany. Historia poezji znała znakomite ody na cześć wybitnych osobistości? Tak, ale sprawa nie sprowadza się tutaj do zastosowania konwencji, sięga to znacznie głębiej. Im głośniejsze są w tej sytuacji słowa poety, tym ciszej i słabiej bije prawdziwe i ukryte serce jego wiersza. Rozumieją to dobrze mędrcy partyjni, których nie należy posądzać o niezdolność oceny walorów artystycznych. Chcą mieć dobrych poetów, których słowo z siłą magiczną działałoby w pożądanym kierunku. I wiedzą, że jest to kwadratura koła. Poeta obdarzony siłą magiczną nie pracuje w pożądanym kierunku. Kiedy zaczyna pracować w pożądanym kierunku, traci siłę magiczną. Najlepsze utwory poetów Nowej Wiary powstały ostatnio w krajach, gdzie są one zwalczaną siłą rewolucyjną. Działy tam inne prawa psychologiczne, bo poemat rewolucyjny był zaakcepto-

waniem wolności, myśleniem na własny rachunek. „Wolność tajemna” poety, o której mówił przed śmiercią wielki poeta rosyjski Błok, nie jest łatwa do określenia. Wiadomo tylko, że poezja ginie tam, gdzie jej nie ma, i rzućcane przez partię hasło „walki o podniesienie jakości poezji” jest podlewanem rośliny, którą odcięto od korzenia.

Chcę być dobrze zrozumiany. Nie chodzi tutaj o prawo do praktykowania „sztuki dla sztuki”. Żyjemy w czasach, kiedy egotyzm pisarza stał się już najgorszym z użytków, jakie można zrobić z wolności. Chodzi tutaj o prawo do oburzenia i do oceny praw, obyczajów, instytucji. Realizm socjalistyczny określa szczegółowo, jak pisarz ma obserwować, jak dokonywać wyboru pośród swoich obserwacji i do jakich dochodzić wniosków. Twórczość jego ma być: 1) optymistyczna, 2) mobilizująca czytelników do walki o zwycięstwo rewolucji w skali światowej, 3) wychowawcza, to jest dająca czytelnikom wzory zachowania się i reagowania, 4) walcząca ze złem, które jest równoznaczne z reakcyjnością albo brakiem świadomości socjalistycznej. Rezultat, jaki się otrzymuje, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i termin „realizm” może być użyty tylko przy założeniu, że każdy ogląd rzeczywistości przez człowieka ma w sobie elementy wartościowania i selekcji, wobec tego obraz rzeczywistości odpowiednio, planowo, według pewnej metody przyszytych też da się nazwać realizmem.

Twórczość pisarza Nowej Wiary musi być szlachetna, moralnie dodatnia. Miłość ojczyzny, walka o pokój, energia człowieka w pokonywaniu trudności, nieegoistyczna ambicja przodowania w pracy z równoczesnym udzielaniem pomocy innym, zdolność przyznawania się do popełnionych błędów, ciągle zapal rozszerzania własnego zasobu wiedzy, skromność i życzliwość w stosunku do innych – oto zespół motywów, które sprawiają, że człowiek w utworach pisarzy Nowej Wiary jest istotą pogodną, promienną, dzielną, istotą o nieograniczonych możliwościach rozwoju. Jakiż kontrast z ponurą, błakającą się w ciemnościach literaturą Zachodu!

Niemniej pisarz w demokracjach ludowych doskonale wie, że osiąga ten wynik przez całkowite wyrzeczenie się prawdy. Codziennie patrzy na tragedie ludzkie, w zestawieniu z którymi błędna tragedia antyczna. Spojrzenia, jakie napotyka, są spojrzeniami ludzi śmiertelnie wystraszonego, spojrzeniami, które zna tak dobrze z czasów, gdy w kraju szalało gestapo. Szepty, które słyszy, są szeptami donosicieli. Rozpacz chłopów, którzy są klasą znienawidzoną przez Nową Wiarę, gdyż reprezentują mentalność drobnomieszczańską; wielkie konflikty wewnętrzne rodziców, którzy są w przygniatającej większości poganami, a ich dzieci – dzięki wpływowi szkoły i związku

młodzieży – należą już do społeczności nawróconych; milczenie o bliskich ludziach zabranych przez policję bezpieczeństwa z nieznanego powodu; kurczowe czepianie się katolicyzmu przez tych, którzy nigdy nie odznaczali się gorliwością religijną i czują teraz, że toną, bo nic znakomitej dialektyce Nowej Wiary przeciwstawić nie potrafią – to wszystko prześladowe pisarza bardziej niż oczywiste wady gospodarcze systemu, w którym nadmiernie rozbudowany aparat dystrybucji i administracji nakłada na każdy produkt ręk robotnika haracz nieraz większy niż zyski przedsiębiorców, kupców i podatki pośrednie w krajach kapitalistycznych.

Widzi on osiągnięcia systemu i cieszy się nimi: uprzemysłowienie kraju, rozwój szkolnictwa, młodzież pochodzenia proletariackiego wypełniającą uniwersytety, walkę z analfabetyzmem. Chciałby jednak dać obraz swoich czasów taki, jaki on jest naprawdę, we właściwej proporcji rozdzielając blaski i cienie. To jest niemożliwe. Jeżeli istnieje zło – mówi Nowa Wiara – jest ono powodowane przez chwilową niedoskonałość, to jest niepełne zrozumienie Nowej Wiary przez obywateli. Rzeczywistość nie jest statyczna, zadaniem pisarza jest zmieniać ją nie przez podsuwanie czytelnikom prawdy, która by nimi wstrząsnęła i zachęciła do walki o zmianę – zadaniem pisarza jest dawać wzór postępowania i w ten sposób być wychowawcą człowieka. Pisarz jednak, oglądając człowieka właśnie wychowanego przez państwowe zakłady hodowli, organizacje i związki, ma niejaki wątpliwości, czy istota tak wyprodukowana jest postacią świetlaną, czy też raczej jej grzeczność, pracowitość, zamknięcie się w sobie, fałszywość, czujność na opinie idące z góry, kult dla silnych, lęk przed wystąpieniem w obronie pokrzywdzonych nie zawierają w sobie jakichś elementów niebezpiecznych. Aby to zbadać, musiałby szczerze przedstawić całe go człowieka – zamiast tego jest obowiązany rysować czarne i białe charaktery, a jego książki są tym, co dawniej zaliczano do literatury dla młodzieży. Cały człowiek nie jest bowiem wskazanym tematem – są w nim zagadkowe siły, którymi karmią się najbardziej groźne dla Nowej Wiary demony: Kościół, Metafizyka i Psychologia (umiejętnie użyta Sztuka już do nich nie należy).

Pisarz zwraca wzrok do Rzymu na Wschodzie, do kraju, który, jak to zostało tam urzędowo stwierdzone, zrealizował socjalizm. Wiedza, jaką pisarz posiada o tym kraju, jest dość znaczna (jeżeli nie należy do najmłodszego pokolenia), jakkolwiek nastrajająca niezbyt optymistycznie. Pośród swoich krewnych i znajomych ma przynajmniej jedną osobę, która spędziła tam kilka lat w obozach pracy przymusowej, a nierzadko sam ma za sobą okres niewolnictwa. Są to rzeczy, o których się nie mówi, jednak wystarczają one,

aby wiedział, że to, co się pisze na Zachodzie o rozmiarach deportacji ludności i o wskrzeszeniu instytucji niewolnictwa jest prawdą. Kontakt z obywatelami tego kraju jest trudny, wspomnienia, jakie zostawiła armia wyzwalająca, nadmiernie skłonna do grabieży, złodziejstwa i gwałcenia – niemiłe. Obyczajowość prywatna mieszkańców kraju dialektyki wydaje mu się, sądząc z doświadczenia, daleka od wzorów przedstawianych w literaturze i nawet niepiśmienny chłop jego kraju zdaje się pod tym względem znacznie górować nad ludźmi od trzydziestu lat poddawanyymi doskonałym rygorom. Traktując sztukę jako rodzaj manometru notującego napięcia rzeczywistości, pisarz stwierdza, że malarstwo tego kraju jest bezapelacyjnie złe i przypomina słabe ilustracje do książek dla młodzieży, że teatr jest mierny i wystarczy oglądać jeden akt sztuki, aby wiedzieć, co będzie dalej; że literatura po okresie rewolucyjnym coraz bardziej pokrywa się warstwą urzędowego pokostu i że czytelnik, mimo usiłowań, nie może odkryć w autorze słabego choćby, ale bliskiego i żywego człowieka; co do muzyki, jej folklorystyczna hałaśliwość i sentymentalizm zdają się przeczyć całkowicie dążeniom do czystości i równowagi.

Pisarz może tak myśleć, jednak jego stosunek do centrum Nowej Wiary jest ściśle określony instrukcjami. Można powiedzieć, że wyrażanie bezgranicznego podziwu i entuzjazmu dla przeszłości, teraźniejszości i przyszłości tego kraju jest główną racją jego istnienia. Pod jego piórem kraj ten musi się zmieniać w siedlisko najdoskonalszej etyki, najwyżej na świecie stojącej techniki i nauki, najznakomitszej literatury, najpełniejszej wolności. Nie jest to operacja łatwa. Nie należy uważać pisarza za moralnego potwora, który stawiając litery, nie ma poczucia *równoczesności* zjawisk: w chwili kiedy pisze, z zaryglowanych wagonów, które wiozą opornych chłopów ku obozom położonym gdzieś pod kołem polarnym, rozlegają się rozpaczliwe krzyki o kubek wody; kolumna wynędzniałych ludzi posuwa się w krajobrazie północnego lasu, konwojowana przez strażników z psami; na słońcu, przed barakami obozu, leży rząd dogorywających mężczyzn, z których wyciśnięto już wszystkie siły i którzy są już niepotrzebni, bo rezerwuuar materiału ludzkiego jest w tym kraju niewyczerpany. Ach, nasza planeta jest mała, obiega ją samolot, ale obiega również myśl. Pisarz kładzie na papierze słowo i nawiedza go wizja, więc słowo przekreśla – wydaje mu się ono zbyt pochlebne w zestawieniu z wizją. Przestrasza się – i przywraca poprzednie słowo. Zastanawia się nad nim długo, gdyż biorąc pod uwagę inne kryteria, słowo to jest zbyt słabym superlatywem. Więc przekreśla to słowo i na jego miejscu stawia nowe, które objawia jego entuzjazm w sposób już nieskażony.

Trzeba jednak jakoś dać radę ze sobą samym przy wykonywaniu podobnego zajęcia. Istnieją wśród pisarzy sympatyczni cynicy, którzy uważają literaturę za rzemiosło jak każde inne – jest to tylko kwestia otrzymania zamówienia. Napiszą odę, poemat dla dzieci, panegiryk, napaść, ściśle według wymagań, za jedynie godne dyskusji uważając sumę honorarium i zręczność techniki. Czyż nasza profesja – autorów płatnych hymnów na cześć wybitnych osobistości i paszkwilów na wrogów władcy – nie jest stara? Czyż nie posiada pięknych tradycji? – zapytują. Co prawda była ona przez długi czas zapomniana. Ale została wskrzeszona. Nie jest ona gorsza niż tradycja pisanie krwią i potem w imię zbawiania świata.

Inni, nie mogąc uporać się z zagadnieniem tak prosto, zdobywają się na szczególną operację: cokolwiek osłabia człowieka w jego działaniu, jest ich zdaniem złe. Co jest złe, powinno być z organizmu usunięte. Ponieważ świadomość *r ó w n o c z e s n o ś c i* zjawisk zmniejsza energię działania, należy to usunąć przez ustalenie pewnych tabu, których nie powinna tykać mowa ani myśl („ja tam nie byłem”, „ja tego nie widziałem”, „jeżeli tak jest, to widać tak być powinno” *etc.*). Zabieg taki wymaga jednak wyjątkowo dużo zręczności.

Większość pisarzy cierpi na rozdwojenie i na to rozdwojenie musi być znaleziona rada. Wyrzeczenie się prawdy na rzecz literatury propagandowej i utylitarnej jest możliwe, jeżeli jest to wyrzeczenie się w imię czegoś. Tutaj dochodzimy do konieczności przyjęcia Nowej Wiary drogą praktyki: jeżeli praktykujesz, musisz wreszcie uwierzyć pod grozą albo zdradzenia się, albo wpadnięcia w zupełne rozbicie własnej osoby. Dosięga się wreszcie punktu, w którym odpowiedź samemu sobie na pytanie, czy jest się poganinem, czy nawróconym nie da się dłużej odkładać.

Dla kogoś, kto wierzy, że idzie „przez mór, przez głodu morze” (Majakowski) – ku szczęściu, jakiego ludzkość dotychczas nie znała, wszystkie ofiary są usprawiedliwione. Oto po raz pierwszy w dziejach organizacja społeczeństwa będzie oparta na naukowych podstawach. Czyż da się coś zbudować bez cierpienia? Miliony ludzi przez trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat będą żyły w nędzy, miliony zginą, ale ich wnukowie zdobędą szczęście. Czyż nie śmieszne jest powtarzać takie słowa, jak prawda, sztuka, sprawiedliwość w obliczu równie wielkiego zadania? Czyż pisarz nie powinien być dumny, że tak jak umie, służy wielkiemu dziełu, rezygnując ze swoich ambicji, czyniąc swoje utwory czymś skromnym, ale bez wątplenia użytecznym? Kiedyś, kiedy przyjdzie ostateczne zwycięstwo, nastąpi rozkwit sztuk nigdy dotychczas nie spotykany. Dzisiaj jednak służba i walka w szeregach są

jedynym znamieniem wielkości i ta skromna wielkość będzie przez potomnych oceniona. Gdyż inna wielkość, dzięki dialektyce rozwoju, jest dzisiaj niemożliwa. Reakjoniści wylewają krokodyły łzy nad losem robotników kopiących kanały, wznoszących wielkie budowle w socjalistycznej ojczyźnie i kpią z niskiej stopy życiowej w gospodarce kolektywnej? Niewątpliwie większość ludzi w zamożnych krajach Zachodu jest szczęśliwsza niż ta sama ilość w krajach, które „zniosły wyzysk człowieka przez człowieka”. Można to przyznać, ale po cóż tak wiele obnosić się ze słowem *szczęście*, które również jest abstrakcją. Czy *szczęście* ludzi, których horyzont myślowy jest ograniczony do kopania swoich ogródków, picia wina w kafejce i uprawiania *hobbies* nie jest *szczęściem* idiotów? Nie do takiego *szczęścia* dąży ludzkość poprzez śmierć i terror. Czy idiota będzie sadzić róże w swoim ogródku, czy rąbać las w karnych brygadach jest właściwie wszystko jedno.

Co do kłamstwa, to znów nie należy się sugerować słowami. Są kłamstwa godne potępienia i są kłamstwa godne pochwały. Nie zapominajmy, że rozumiemy dialektycznie. Kłamstwo, które pomaga wielkiemu dziełu, bo utrzymuje ludzi w stanie wiary, daje im poczucie celu, mnoży ich siły – jest kłamstwem dobrym. Mruczysz, że On jest katem Rosji i że jego ręce ociekają krwią milionów niewinnych istot? A jednak piszesz odę na Jego cześć, bo wiesz, że On jest potrzebny, bo wiesz, że Jego kult jest potrzebny w realizacji wielkiego celu. I tak być powinno.

To, co podobnemu rozumowaniu może przeciwstawić poganin, jest oczywiście znacznie słabsze, bo rozumują w nim raczej stulecia historii (ciemnej, ponurej historii) niż on sam. Czyż myśl ludzka, choćby najbardziej genialna, może sprawić, że dopełnią się czasy i historii już nie będzie? Bo *szczęście* całej ludzkości byłoby końcem historii. Jeżeli tak nie jest i jeżeli ustrój budowany z takim poświęceniem będzie tylko etapem, na którym powstaną nowe zarzewia buntu – to jakież ma się prawo wprowadzać poszczególnego człowieka do gmachu, nad którego drzwiami są napisy: Strach, Wysiłek i Kłamstwo – i nie ostrzegać. Czyż pewien, niedoskonały co prawda i ciągle na nowo deptany, ale niemniej istniejący szacunek dla jednostki ludzkiej, dla jej głupich często myśli i zajęć – jest dorobkiem zupełnie nieprzydatnym w Nowej Budowli? I czy należy pozbywać się prawdy, równoznacznej, czy kto tego chce, czy nie chce, z prawdziwą sztuką – w imię odległej chwili, kiedy prawdziwa sztuka znów będzie możliwa, to znaczy kiedy pisarz znów rozedrże sobie szatę na piersiach pełen grozy, litości i gniewu?

Na to poganinowi odpowiada wyznawca: po cóż sięgać tak daleko? Nikt nie może sobie nawet wyobrazić, czym będzie społeczeństwo komunistycz-

ne i jakie będzie miało problemy. Rozszerzenie się na cały świat ustroju, który zwycięża w kraju dialektyki, jest jednak koniecznością historyczną. Któż rozsądny będzie wygrażał pięścią chmurom w czasie burzy? Ci, co spróbują wystąpić przeciwko historycznej konieczności, zostaną zmiażdżeni. Pisarz, jeśli nie chce narazić się na niebyt, na wykreślenie przez potomnych, winien przyspieszyć swoją pracę to, co jest nieuniknione.

Nigdy nie zdołałem przekroczyć tego progu. Szaleństwo? Być może. Samobójstwo, koniec literackiej kariery (a czymże innym dla poety jest stracić ojczyznę?) – niech będzie. Jeżeli wolność ma polegać jedynie na zrozumieniu konieczności, to ja, nędzny robak, stoję na drodze, którą ma przejść Historia w grzmocie czołgów i łopocie sztandarów i nie obchodzi mnie, że będę nazwany niewolnikiem moich przesądów i odziedziczonych przyzwyczajęń. Przez tysiące lat ludzkość żyła w trwodze przed potęgami przyrody, poddając się ich koniecznościom i próbując je jedynie ubłagać. Aż potęgi przyrody zostały okiełznane przez tych, którzy zaprzeczyli konieczności. Dzisiaj ludzkość zaczyna uważać, że instytucja niewolnictwa, kłamstwo i strach są konieczne – na okres przejściowy, mający trwać pięćdziesiąt czy sto lat, po którym rozpocznie się drugi okres przejściowy, a po nim trzeci – i ciągle w imię wzniesienia Wielkiej Budowli. Czy człowiek, który pierwszy przepłynął zatokę morską w czółnie z kory, był w mniejszym stopniu szaleńcem niż ten, który utrzymuje, że można wynaleźć sposób zorganizowania społeczeństwa bez niewolnictwa, kłamstwa i strachu? Granica, jaką stanowił brzeg burzliwego morza była dla pierwotnego człowieka koniecznością równie nieprzezwyciężalną, jak dla człowieka XX wieku granica, którą stwarza naukowo opracowany terror. Gdyby zabrakło takich, którzy odważyli się wyruszać na morze w swoich wątłych czółnach, morze nigdy nie byłoby opanowane. Rola pisarza Nowej Wiary jest dlatego wstydliva, że na brzegu morza wzniesione są tablice zabraniające zbliżania się do wody pod karą śmierci.

Ci, którzy nigdy nie zajmowali się tymi sprawami, nie wiedzą, jaką torturą jest nie móc uwierzyć w słuszność zakazów i z tej niemożności wiary wyciągnąć konsekwencje. Aby tego dokonać, trzeba w sobie przezwyciężyć strach przed siłą intelektualną i strach przed samotnością. Siłą intelektualną: ponieważ problemy organizacji lepszego społeczeństwa są dziś ośrodkiem zainteresowań ludzkich i tylko one właściwie mają pełną żywotność. Natomiast w tym zespole doktryn i pomysłów tylko Nowa Wiara dostarcza wyczerpujących i dostatecznie uzasadnionych odpowiedzi, stanowi system myślenia wybitnie współczesny i wsparty analizą historii. Osiągnięcia teoretyczne jej klasyków nie mogą być zwyczajnie odrzucone, mogą być tylko

wchłonięte przez myślenie, które pójdzie dalej i ukaże je z nowej perspektywy, podobnie jak w dziedzinie fizyki odkrycia Einsteina nie przekreśliły użyteczności praw Newtona.

Samotność – być może jest ona mistrzynią mędrców, z większym jednak prawdopodobieństwem można powiedzieć, że jest ona po prostu cierpieniem. A nikt na cierpienie nie godzi się z ochotą.

Najbardziej jednak trudna do zniesienia jest myśl o wszystkich ludziach, którzy przebywając poza obrębem imperium Nowej Wiary, wierzą i mają nadzieję. O pisarzach, którzy są przekonani, że nie wolno im rozpraszać złudzeń proletariuszy, o bosych i niepiśmiennych nędzarzach, którzy wiedzą, że są skrzywdzeni i tęsknią do światła na Wschodzie; o tych, którzy cierpią w więzieniach i giną po to, żeby spełniło się światło. Pozostając poganinem, ma się dziś, jak się zdaje, większe obowiązki, niż ma wyznawca Nowej Wiary, zwolniony z ciężaru rozważań przez powagę autorytetów.

Czesław Miłosz

[5/1951]

ZYGMUNT ZAREMBA

Wobec nowego uchodźcy

Ukazanie się na emigracji nowego wychodźcy z Polski, zwłaszcza gdy jego imię coś waży, rola zaś w kraju w ostatnim okresie miała jakieś publiczne znaczenie, wywołuje od razu w pewnych kołach reakcję niechęci. Wygląda na to, jak gdyby się chciało odgrodzić na zasiedlonych podwóreczkach emigracyjnego getta od nowych przybyszy. Zdać by się mogło, że cenzus wieku emigracyjnego ma decydować o klasyfikacji uchodźcy.

W tym sposobie reagowania wyraża się podświadoma może obawa przed koniecznością skonfrontowania siebie z życiem kraju i ustosunkowania się do własnego narodu, który nie mógł i nie chciał porzucić kraju, a przechodzić musi przez potworny czyściec, jeśli nie piekło, życia i pracy w warunkach stworzonych przez narzucone przemocą komunistyczne rządy.

W takich okolicznościach zachowanie „czystości” ideowej i „niezlomnych przekonań”, a tym bardziej manifestowanie tych cnót, jakże łatwych w emigracyjnym życiu, jest prawie nikomu niedostępne. Każdy, dosłownie każdy, kto musiał się ujawnić i wszedł w tok pracy normalnej, tym samym pożegnał się na długo z ideałem życia tych, „co mają tak za tak i nie za nie”. Każdy musi zawrzeć mniejszy czy większy kompromis z wymogami istnienia, kompromis chociażby nawet pozorny i zewnętrzny, ale niemniej bolesny i niszczący te wartości wewnętrzne, które były dotychczas kanonem uczciwości wobec samego siebie.

W szczególności trzeba zrozumieć, że masa Polaków, która stanowi aparat reżymu, znalazła się w nim częstokroć nie tylko pod wpływem konieczności znalezienia kawałka chleba, ale również z najlepszych pobudek zrobienia dla kraju, co można i jak można w istniejących warunkach. Wielu nawet przyjęło za prawdę głoszone w 1945 roku hasła współpracy całego narodu przy dźwiganiu się z ruin i budowaniu ustroju sprawiedliwszego niż dotąd. Na pewien czas co najmniej ludzie ci ideowo zrównali się z reżymem. Trzeba zrozumieć ten stan rzeczy: fizyczna i intelektualna swoboda, w jakiej żyje

emigracja, przestała kształtować życie polskie już od klęski wrześniowej, a znikła nawet jako nadzieja jutrzejszego dnia od chwili realizacji traktatów jałtańskich. W tych warunkach motywy postępowania i postawa wewnętrzna ludzi musiały ulec głębokim przemianom. Ale nie naród polski spowiadać się będzie ze swych grzechów kompromisu, lecz emigracja złożyć będzie musiała kiedyś rachunek sumienia wobec „grzesznego” kraju.

Uwagi te cisną się pod pióro, gdy myślę o tym, jak ostatnio zareagowali Katoni emigracyjni na zerwanie Czesława Miłosza z reżymem warszawskim. Nie dlatego, że chciałbym się z Miłoszem solidaryzować; właśnie ocenie krytycznej jego dziewiczego artykułu emigracyjnego w „Kulturze” poświęcam te kartki; powstają tylko przeciwko aprioryczności sądu i z góry pojętej niechęci opartej na przesłance, że Miłosz służył reżymowi warszawskiemu. To kryterium do oceny ludzi z kraju w żadnym wypadku wystarczyć nie może, wobec Miłosza zaś w szczególności się nie nadaje.

Problem zasadniczy stosunku do ludzi, którzy porzucają lub porzucą kraj w przyszłości, musi być postawiony w płaszczyźnie indywidualnej, ze szczególnym rozważeniem pobudek współpracy z reżymem, jeśli miała ona miejsce, rodzaju wypełnianej służby i przyczyn, które skłoniły do opuszczenia kraju. Same zaś te pytania postawione być winny w atmosferze przyjaznej, dającej pełną możliwość wyjaśnień i nawiązanie ewentualnej współpracy z emigracją w dalszej walce o wyzwolenie. I dlatego, wobec uszczypliwych uwag pod adresem „Kultury”, że dała głos Miłoszowi, chciałbym podkreślić, że dobrze się stało, iż wypowiedź Miłosza znalazła miejsce w emigracyjnej prasie.

*

Czesław Miłosz stanowi przykład człowieka, który służył reżymowi. Nie ma powodu wątpić, że służył i chciał służyć, jak sam stwierdza, „lojalnie ludowej ojczyźnie”. Taką podjął decyzję na przełomie 1945 roku i według niej „wypełniał swe obowiązki i jako pisarz, i jako *attaché* kulturalny” za granicą. O pobudkach swej decyzji i trwania w służbie reżymu mówi w ten sposób, jak zapewne odpowiedziałby każdy inny pisarz czy poeta międzywojennego okresu, należący do tak zwanej lewicy. Cała ta gromadka w kraju zdecydowała się od razu na współpracę z nowym reżymem. *Casus* Miłosz rozciąga się na całą grupę ludzi.

Zjawisko to zasługuje na bliższą uwagę. Wielu z tych ludzi, jak Miłosz, jeszcze wczoraj, w podziemiu antyhitlerowskim, służyło piórem, a często

i ramieniem, sprawie wyzwolenia narodowego i społecznego. Nagle zamknęli oni oczy na zniszczenie niepodległości kraju, na dewastację dorobku ruchów społecznych, na wyrastanie potwornego systemu policyjnego i totalitaryzmu rozciąganego na wszystkie dziedziny życia. Wystarczała im etykieta „lewicowości” przyczepiana budowanemu systemowi ludowej demokracji przez komunistów lub wysługujące się im koncesjonowane partie, by wyrównać swój front z reżymem i wejść w ścisłą z nim współpracę.

Dokonało się to z zadziwiającą lekkością, bo też „lewicowość” tej grupy pisarzy nigdy nie sięgała dna problemów społecznych. Ludzie ci po prostu bałamucili się lewicowo, dziedzicząc po Żeromskim czy Strugu sympatię do świata pracy, bez zadania sobie najmniejszego trudu zgłębienia jego życia i walk. Stary świat pojęć i obyczajów odrzucali w literackich obrazach, tkwiąc zresztą w jego zasięgu i tam przede wszystkim szukając poklasku przez budzenie dreszczyku pseudorewolucyjnym „rżnięciem karabinem w bruk ulicy”, by w chwilę „pójść na jednego” z którymś z dygnitarzy czy generałów sanacyjnych.

„Lewicowość” tego rodzaju nie przekraczała zakresu paru modnych sloganów i pozwalała doskonale stać poza życiem mas pracujących. Życie i walka robotników czy chłopów, pracujących w warunkach własnego państwa i zmagających się w opozycji do panujących stosunków, były dla nich za mało atrakcyjne, jeśli chodzi o tematykę, wmieszać się zaś w jego nurt stanowiło niebezpieczeństwo stracenia jakiegoś honorarium czy posadki. Lewicowość sumienia uspokajało się umieszczeniem od czasu do czasu jakiegoś utworu w prasie socjalistycznej, byle tylko bez podpisu własnym nazwiskiem, bowiem toż samo lewicowe sumienie pozwalało służyć „faszystowskiemu reżymowi” nawet w urzędach cenzury, gdzie nie zawsze puszczano płazem tego rodzaju wyskoki.

Zastrzegam się od razu, że pisząc te słowa i podstawiając pod każde z mych twierdzeń konkretną osobę z owego światka lewicowych pisarzy i poetów, nie mam na myśli Czesława Miłosza i chodzi mi tutaj bardziej o atmosferę środowiska niż o poszczególne postacie. W tej atmosferze bowiem tylko mogła się zrodzić łatwość, z jaką pisarze podporządkowali się nowej dyktaturze. Brak istotnego podłoża ideowego w połączeniu z lewicową frazeologią torował im w tym kierunku drogę.

Musi jednak przyjść moment krytycznej oceny dokonanego wyboru. Rozpiętość pomiędzy słowami a rzeczywistością rośnie z każdym dniem. Brutalność wymagań komunistycznych władców prze również ku temu, by albo przyjąć służbę dla ich celów, albo dokonać pełnej rewizji dotychczasowo-

wych pozycji. Propaganda podsuwa przy tym cyrograf Nowej Wiary, przystając ją w koronkową szatę sofizmów i świecidełek dialektycznych. Ośladza decyzję jej przyjęcia tysiącem przywilejów. Zobaczymy, jak głęboko odbiły się te zabiegi na Miłoszu. Przedtem jednak zatrzymajmy się na pytaniu, co go skłoniło do odrzucenia pokus i przeprowadzenia rewizji swojego stanowiska.

„Miałem powody, by trzymać się nowej Polski, zmierzającej ku socjalizmowi i tak było do czasu [...], kiedy naśladowanie wzorów sowieckich stało się w Polsce obowiązujące dla pisarzy. Wtedy powiedziałem: Nie”.

W tych słowach, wyjętych z artykułu Miłosza, streszcza się jego konflikt i uwypukla moment decyzji. Kropka. Nic więcej? Próżno szukać po całym jego artykule rozszerzenia platformy konfliktu. Dochodzi się tylko do wniosku, że wszystko inne mogło być tak, a mogło też być inaczej. Cały dramat odbył się w zamkniętym świecie literata.

Jego *Nie* nie jest protestem przeciwko dyktaturze, przeciwko obcym rządowi, przeciwko terrorowi i znieważaniu społeczeństwa strachem. Jego *Nie* obce jest tragediom ludzkim, które widział Miłosz w Polsce i sam określił, że „w zestawieniu z nimi błędną tragedie antyczne”. To policja zapukała do mieszkania poety, to cenzor upomniął się zbyt natarczywie o swe prawa, to urząd propagandy położył rękę na jego twórczości. I tu dopiero nastąpił kryzys.

A gdyby tak nie nakazano naśladować ściśle wzorów sowieckich, gdyby pozwolono dalej uprawiać dla siebie własny literacki ogródek, to można byłoby dalej służyć „ludowo-demokratycznej ojczyźnie”? Z toku artykułu Miłosza, niestety, wynika, jeśli go rozumiem, odpowiedź twierdząca. Więcej, znajdujemy usprawiedliwienie takiej służby.

„Organizacja życia literackiego nie była dla mnie czymś szczególnie uciążliwym” – stwierdza Miłosz. Potrzebę podporządkowania się rygorom władzy przyjął on jako naturalną konsekwencję korzystania z przywilejów, jakimi pisarz został wyposażony. Wstydlivą stroną tego stosunku pisarza – najmity do najemcy osłania jeno takim znamienym wynurzeniem: „Obowiązki pisarza są określone jako usługi, które winien jest on tym, co go utrzymują, to jest przede wszystkim ludziom zaangażowanym w bezpośrednich procesach produkcji, a więc robotnikom i chłopom”. Czego tu więcej: naiwności czy jakiegoś zacięcia kłamstwem propagandy komunistycznej, stawiającej znak równania pomiędzy robotnikami i chłopami a kliką sprawującą dyktaturę nad tymi masami? Od pisarza, który sam stwierdza, jak głębokie znaczenie mają dzisiaj problemy społeczne, można wymagać od-

różnienia propagandowej bzdury od istoty zjawiska. Przecież ta organizacja życia literackiego w reżymie komunistycznym wymaga usług wzmacniających reżym, nie zaś służby dla sprawy robotniczej czy chłopskiej. Dyktatura komunistyczna i masy pracujące – to siły przeciwstawne, a nie pokrywające się wzajemnie. Usługi, oddawane jednej z nich, są w istocie ciosem zadawanym drugiej.

Dopóki podobne kłamliwe formułki mają jakikolwiek walor w umysłach ludzkich, dopóty współpraca z reżymem opiera się na dość mocnych podstawach. Można przypuszczać, że wielu ludziom w Polsce takie frazesy oficjalnej propagandy nadal służą dla uspokajania sumień. Nie ma to jednak nic wspólnego z prawdziwym stanem rzeczy.

*

Proces psychologiczny prowadzący do konieczności rewizji pozycji pisarza, który współpracuje z reżymem, a chciałby zachować choć minimum intelektualnej wierności sobie samemu, został przedstawiony przez Miłosza z całą wiernością – można sądzić – samoanalizy. Warto powtórzyć jego słowa:

„Większość pisarzy cierpi na rozdwojenie i na to rozdwojenie musi być znaleziona rada. Wyrzeczenie się prawdy na rzecz literatury propagandowej i utylitarnej jest możliwe, jeżeli jest to wyrzeczenie się w imię czegoś. Tutaj dochodzimy do konieczności przyjęcia Nowej Wiary drogą praktyki: jeżeli praktykujesz, musisz wreszcie uwierzyć pod grozą albo zdradzenia się, albo wpadnięcia w zupełne rozbicie własnej osoby. Dosięga się wreszcie punktu, w którym odpowiedź samemu sobie na pytanie, czy jest się poganinem, czy nawróconym nie da się dłużej odkładać.”

Pozostawmy na boku zbyt już hojnie darowaną swobodę rozmijania się z prawdą nawet w literaturze propagandowej i utylitarnej. Prowadzi to prostą drogą do rozgrzeszenia Goebelsa i jego sowieckich mistrzów. Zatrzymajmy się na samym procesie wyboru w obliczu Nowej Wiary, czyli mówiąc po prostu – komunizmu, oraz na wpływie praktykowania tej wiary chociażby nawet bez przekonania.

Autor praktykował. Jakim zaś ciężarem to pięcioletnie praktykowanie w atmosferze sloganów komunistycznych i nowej obyczajowości nakazującej przy każdej okazji powtarzać przepisowe formuły spada na osoby praktykujące, widać na samym Miłoszu. Do dziś drży on przed tą Nową Wiarą – komunizmem. Odrzucił ją, ale wciąż gnie się pod jej potęgą. Istotnie, przypomina poganina, który narzuconemu bożkowi nie dowierza, ale jest pełen lęku przed jego siłą, o ileż większą, niż okazywały dawne bogi.

„To, co takiemu [komunistycznemu] rozumowaniu może przeciwstawić poganin, jest oczywiście znacznie słabsze”.

Rozumiemy, dlaczego cały bunt poety zamknął się w jego osobistym, jednostkowym świecie. Strach przed nowymi bożkami goni go jeszcze tu, wśród wolnych ludzi. Trudno też o bardziej jaskrawe przyznanie się do bezsilności ideowej. Nic dziwnego, że przy takiej postawie, w takim kompleksie niższości, przyjęcie komunizmu staje się właściwie koniecznością. Bo jeśli, jak mówi Miłosz, po stronie komunizmu jest ściśle naukowa metoda usunięcia niedoskonałości świata, a po drugiej stronie działają tylko ciemne siły tradycji, czyż wynik starcia nie jest z góry przesądzony? Bunt poety jest tutaj nie tylko wynikiem zamęcenia pokoju jego kapliczki, ale również ogranicza się jedynie do jej rozmiarów. Jest on osobistą sprawą indywidualnego szaleństwa.

A przecież tak nie jest. Bunt Miłosza, czy za jego wolą, czy przeciw niej, stanowi zjawisko natury społecznej. Ujawnia kryzys świadomości nie tylko pisarskiej, ale kryzys zachodzący zapewne w duszach wszystkich tych, którzy tak czy inaczej dali się unieść fali komunistycznej. Byłoby też tragiczne, gdyby kryzys ten obracał się tylko wokół motywów Miłosza, mówiących o beznadziejności zerwania z Nową Wiarą i rokujących buntownikom los robaka, miażdżonego na drodze historii „w grzmocie czołgów i łopocie sztandarów”. (Jakże głęboko zasiały w duszy Miłosza, a zapewne nie jest on odosobniony, echa wspaniałe reżyserowanych rewii komunistycznych!) Czy mamy się z tym pogodzić? Czy nie ma ideału, który można byłoby przeciwstawić komunizmowi?

W przytoczonym już cytacie Miłosz mówi o Polsce zmierzającej do socjalizmu. To go pociągało. Socjalizm więc był dla niego ideą bliską. Dla autora tych słów jest jasne, że ideał socjalizmu wystarczy nadal za zbroję przeciw komunizmowi. Przecież komunizm jest skarykaturowaniem wielkiej idei klasy robotniczej i nie tak trudno spod wypaczonego obrazu wydobyć prawdziwe jej rysy zwiastujące wolność narodom i narodziny człowieka – władcy swego losu. Setki tysięcy robotników i pracowników w Polsce potrafiło się nie poddać urokom „łopotu zwycięskich sztandarów”, chociaż ich kolor tak ich sercom bliski. Z potoku kłamliwych słów o realizowaniu socjalizmu w Polsce potrafili uratować prawdziwą o nim pamięć. Wystarczy czytać skargi i gromy oburzenia reżymowej prasy na socjaldemokratyczne odchylenia wszędzie tam, gdzie coś jeszcze ma do powiedzenia robotnik, by poznać siłę socjalistycznego ideału, przechowywanego pod tyranią sowiecką. Czyżby intelektualści, których rzemiosłem jest myślenie, łatwiej ulegali

dialektycznym sztuczkom unicestwienia prawdy? Miłosz, zda się, zapomniał o tym niedawnym dlań ideale Polski, zmierzającej do socjalizmu.

Sieć pseudonaukowych uogólnień, którą komuniści podają do wierzenia z brutalnym prostactwem, okazała się na tyle skuteczna, że w oczach Miłosza urosła do przemożnej siły intelektualnej, komunizm zaś, według jego słów, jako Nowa Wiara „dostarcza wyczerpujących i dostatecznie uzasadnionych odpowiedzi, stanowi system myślenia wybitnie współczesny i wsparty analizą historii”. A przecież, wystarczyłoby trochę poznania historii komunizmu, tylko nie z *Krótkiej historii WKP(b)*, aby zdać sobie sprawę, że jeśli w systemie komunistycznego myślenia jest coś twórczego, to zrabowane zostało myśli socjalistycznej. Na szkielecie zaś tej myśli rozpięli bolszewicy czysto użytkowy materiał kłamstwa, sporządzonego na potrzeby tyranii. I bynajmniej nie trzeba wchłaniania i przemyślenia osiągnięć teoretycznych bolszewików ani nowych odkryć, wystarczy metoda analizy historycznej i gospodarczej, której wzór dali klasycy socjalizmu, by odkryć i źródła historyczne komunizmu w dziejach carskiego imperium, i jego podstawy klasowe w nowej warstwie wszechwładnej biurokracji oraz zrozumieć antyspołeczny charakter całej praktyki komunizmu, którego symbolem stały się łagry. Nie. Przyjąć tezy o intelektualnej sile komunizmu nie można. Jeśli po jego stronie jest siła, to wyrażają ją czołgi i przemysłna sieć NKWD, ale nie łopot sztandarów.

*

Opowieść swą nazwał Miłosz „historią pewnego samobójstwa”. Stoi mu przed oczyma ponura wizja końca literackiej kariery i w ogóle końca. Można sądzić jednak, że tony te wynikają tylko z oszołomienia, wyniesionego z „praktykowania wiary”. Teraz jednak, gdy wyzwolony z potrzeby bicia czołem przed jakimkolwiek ołtarzem rozejrzy się w wolnym świecie, łatwo zapewne dostrzeże, że zmora, która, zda się, wciąż go jeszcze dusi, daleka jest od opanowania całego globu. Socjalizm też przedstawi mu się w innym zupełnie świetle niż to, którym olśniewała czy oślepiała Miłosza propaganda komunistyczna. Zobaczy wielki nurt, który bez gwałtu nad człowiekiem, bez fanfar i półbogów, przeobraża w naszych oczach Wielką Brytanię, żłobi nowe życie w Skandynawii, wyciska dominujące piętno nawet w Stanach Zjednoczonych, chociaż przybiera tam odmienne formy i innymi posługuje się symbolami.

Można wierzyć, że nurt ten, chociaż mniej dekoracyjny, ale za to o ileż głębszy i zupełnie samorodny, pozwoli Miłoszowi ostatecznie otrząsnąć się z szoku pięcioletniego obcowania z nieludzką maszyną sowieckiego totalitaryzmu. Jasne też stanie się wówczas dla niego, jak jasne jest dla piszącego te słowa, że praca w szeregach reżymu panującego w Polsce nie prowadziła i nie prowadzi do Polski socjalistycznej. Ta sprawa była i jest w Polsce dziełem ludzi, którzy stali być może gdzieś obok Miłosza, nie znani mu, szczuci przez bezpieczeńkę.

A może znajdzie inną busolę, którą wyznaczy swój kierunek walki z potwornością świata zostawionego za sobą. Ważne jest, by znalazł. Gdy znajdzie, nie będzie mowy o samobójstwie poety, lecz o jego wyzwoleniu.

Zygmunt Zaremba

[7-8/1951]

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

List z Wyspy

Oddalamy się od Kraju z każdym miesiącem, z każdym rokiem. Z Emigracji stajemy się Polonią – organizmem o własnym krwiobiegu, o własnych sprawach, ambicjach, planach.

Gdy zdarzy się, że ktoś do nas przyjedzie stamtąd – jak ostatnio Czesław Miłosz – mamy możliwość wymierzyć ów tragizm naszego oddalenia od autentycznego losu Polski.

Dramat polski, nie mający analogii w dziejach naszego narodu – toczy się bez nas i poza nami.

Sprawa bowiem wygląda tak, my nie walczymy z komunizmem, tylko odrzucamy komunizm. Na emigracji, praktycznie biorąc, nie ma komunistów i wskutek tego nie rozważamy doktryny i filozofii, którą zgodnie odrzucamy. Odrzucamy komunizm z zasady – ze względów uczuciowych, religijnych, patriotycznych.

Na tego rodzaju stosunek emigracji do komunizmu złożyło się wiele specyficznych przyczyn. Dla nas jest całkowicie obca droga, jaką przebyli Koestler, Silone, Hyde, którzy, nim komunizm odrzucili, wpraw go przeżyli, poznali, przecierpieli w zmaganiach z samym sobą.

Musimy jednak pamiętać o tym, że nasza reakcja na komunizm i uodpornienie, które wielu z nas okupiło sowieckim łagrem – jest czymś wyjątkowym w Europie. Ludzi, którzy przeszli tego typu antykomunistyczne szczerzenie i znaleźli się powtórnie na wolności – jest niewielu. Taki masowy wyjazd łagierników poza Rosję był wydarzeniem całkowicie wyjątkowym.

Z tych samych przyczyn historia naszego antykomunistycznego poglądu jest również wyjątkowa. Istnieją miliony antykomunistów na Zachodzie i w Ameryce, którzy do tej postawy doszli zupełnie inną drogą niż my.

W związku z tym popełniamy wielki błąd, sądząc bowiem, że historia naszego antykomunistycznego nastawienia jest również historią ogólnopolskiego antykomunizmu. Dzięki temu formujemy sobie niezmiernie uproszczony pogląd na Kraj. Uproszczony i fałszywy.

Ponieważ na emigracji odrzucamy komunizm z zasady – uważamy, że Polacy w Kraju w 98 procentach również odrzucają komunizm z zasady, rezygnując z bliższego zapoznania się z teorią tej doktryny. Nasi mężowie stanu i politycy, którzy piorunują na komunistyczne agentury, w życiu swoim – w znakomitej większości – nie czytali ani Marksa, ani Lenina i nikt od nich tego nie wymaga. Albowiem to, co wiemy o komunizmie, wystarcza nam, by go potępić bez specjalnych studiów i dociekań.

Jeżeli jednak weźmiemy do ręki prasę krajową, choćby krakowski, katolicki „Tygodnik Powszechny”, to przekonujemy się natychmiast, że w Polsce, dla bardzo znacznego procentu ludzi, komunizm nie jest doktryną, którą by wystarczyło propagandowo spiorunować.

Miłosza osobiście nie znam. Nie podzielam również wszystkich jego opinii, jakie wyraził w swym artykule, w majowym zeszycie „Kultury”. Jego wypowiedź wywarła na mnie jednak wielkie wrażenie, bo wiem, że Miłosz nie jest wyjątkiem. Podobne dramaty toczą się w duszach tysięcy i dziesiątek tysięcy Polaków – w osamotnieniu, w rozterce, w rozpacz.

Tu, na emigracji, wielu naszych intelektualistów przyjmuje wyniosłą pozę „Klubu Trzeciego Miejsca”, odrzucając komunizm i pogardzając Zachodem. Oni są wyżsi ponad współczesny konflikt, który rozdarł świat. Dramat toczy się poza nimi. Głoszą, że ów konflikt to tylko *business* między wielkimi – Rosją a Ameryką – i nas nic to nie obchodzi.

W Polsce ludzie są między młotem a kowadłem konfliktu. Komunizm jest tam ofensywną siłą dysponującą mózgami, talentami, literaturą, prasą, radiem, teatrem – jest doktryną, która w pełni wykorzystuje słowiańską pogardę dla Zachodu – tak świetnie zresztą reprezentowaną przez wielu pisarzy na emigracji.

Artykuł Miłosza w „Kulturze” przez większość pism polskich na emigracji został skomentowany negatywnie. „Dziennik Polski” skwitował wypowiedź Miłosza złośliwą uwagą, że gdyby jeszcze rok popracował dla reżymu, „Kultura” poświęciłaby mu zapewne cały numer. W londyńskich emigracyjnych kołach literackich zawrzało. („Jak to – ledwo się zjawił, już mu wydają książkę?”) Znakomity autor *Silva Rerum** w „Wiadomościach” oburzył się i napiętnował. „Wiadomości” mają rację, piętnując pewne sformułowania Miłosza, jak na przykład nonsens o „półfeudalnej” strukturze Polski przedwojennej. Lecz to są dwie sprawy różne: pierwsza – Czesław Miłosz

* Tytuł stałej rubryki Mieczysława Grydzewskiego.

i druga – sprawa Miłosza. Interesuje nas wyłącznie zagadnienie drugie, jest to bowiem problem kardynalny – problem Polaków komunistów czy półkomunistów, którzy przejrżeli.

Co leży u dna tych reakcji?

Genezą tych reakcji jest przeświadczenie o niebywalej naszej wyższości. Jak to – Miłosz potrzebował aż pięciu lat, by się przekonać, że komunizm do niczego nie prowadzi? Myśmy wiedzieli to od samego początku. Polakowi na emigracji nie może pomieścić się w głowie, że ktoś będąc przy zdrowych zmysłach, mógł traktować komunizm serio, sympatyzować z nim, wierzyć w jego misję, łudzić się i wreszcie stracić w niego wiarę. Jeżeli już jednak taki istotnie się trafił, który potrzebował aż pięciu lat, by się przekonać o tym, co dla nas było oczywiste od samego początku – to nie nawrócił się szczerze, tylko ze strachu, gdy ziemia zaczęła mu się palić pod nogami.

Jakże takiemu się równać z tymi, co wszystko wiedzieli i zawsze mieli rację.

Wydaje mi się, że jest to psychologia wręcz niebezpieczna. Tego rodzaju postawa może nas całkowicie odciąć od Kraju. Dosłownie odciąć!

O Miłoszu jest głośno, bo Miłosz jest poetą i pisarzem, był kimś i miał możliwość wyjazdu za granicę. A ilu jest w Polsce Miłoszów, którzy szamocą się z „nową wiarą” – zwątpili, a nie są ani głośnymi pisarzami, ani nie mają możliwości ucieczki na Zachód. Złośliwa notatka polskiego dziennika londyńskiego była zaadresowana również i do nich.

Oczywiście, że nasi emigracyjni wieszczowie, którzy przy każdej okazji podkreślają, że mają czystą „hipotekę polityczną”, którzy nie tylko nie upadli, ale nawet nie zająknęli się nigdy w swej prawowierności – odpowiadzą na to: każdy, kto latami siedzi na tłustej reżymowej posadzce, gdy zważy pismo nosem – „wybiera wolność”. Czy taki były bierutowiec jest równie dobrym Polakiem, jak ci, co grosza nie wzięli z kas reżymowych i fizyczną pracą zarabiają na emigrancki kęs chleba?

W takich dyskusjach pada zwykle nazwisko pana Modelskiego. I ja pozwolę sobie wziąć go za przykład.

W każdym społeczeństwie istnieje pewien procent oportunistów i karierowiczów. Są i tacy wśród Polaków. Jeżeli powiedziałem, że naszą postawą odcinamy się od Kraju, miałem na myśli reakcję emigracji, która powoduje, że automatycznie każdego Polaka, który był komunistą, a następnie się nawrócił – uważamy za kanalię i oportunistę. Tego rodzaju postawa jest obelgą dla narodu polskiego. Dlaczego te same polskie pisma drukują Koestlera i zachwycają się Silone? Dlaczego Koestler czy Wright nie są oportunistami,

a musi być oportunistą Miłosz? Czy tylko dlatego, że jest Polakiem? Koestler na swoim nawróceniu zrobił wielką karierę i pieniądze – nie przewiduję takich dywidend z nawrócenia Miłosza.

Zdaję sobie sprawę, że „niezłomnych” nie przekonałem.

– Jak to? – woła taki pan, przy pół czarnej w „Orle Białym” – Miłosz dopiero w 1951 roku zauważył, że pisarz w bierutowej Polsce nie jest wolny? Taki inteligent i wybitny, a tego nie widział?

Cóż można na to powiedzieć?

Douglas Hyde, którego książka *I believed* cieszy się zasłużoną sławą – potrzebował nie pięciu, a dwudziestu lat, by przejrzeć, zerwać z komunizmem i przejść na katolicyzm.

„Niezłomni”, którzy mają często tę wadę, że niczego nie rozumieją – mogą zapytać pana Hyde'a:

– My co niedzielę na dwunastówce w Brompton Oratory, a potem u Dakowskiego na kawie, a pan, panie drogi, przez dwadzieścia lat tu, w Anglii, służył komunistom, by dopiero w 1951 roku zostać katolikiem?

A jednak, jeżeli kto jest niezłomny, jeżeli kto jest katolikiem, jest nim Douglas Hyde! Z jego książki bije moc i wewnętrzna najczystsza rzetelność.

Sam fakt zerwania z komunizmem nie może rozgrzeszać z poprzedniej służby dla reżymu. Sprawy te muszą być traktowane indywidualnie. Byłoby jednak w najwyższym stopniu krzywdzące, gdybyśmy każdego Polaka, który zerwał z reżymem, traktowali na równi z p. Modelskim. W ten sposób rozumując, musielibyśmy bowiem dojść do wniosku, że dobrzy Polacy są tylko na emigracji. Ponieważ pogląd ten brzmi zbyt absurdalnie, nawet dla najbardziej „niezłomnych”, skonstruowaliśmy inną fikcję, fikcję mianowicie, że w Kraju są tylko agenci Kremla, garstka karierowiczów – a komunistów Polaków z wiary i przekonania w ogóle nie ma!

Prawda – jak zazwyczaj – leży pośrodku.

Gdyby Polska nie miała granicy od wschodu i zachodu z Sowietami, gdyby nie było armii sowieckiej na ziemiach polskich, gdyby, jednym słowem, nasz Kraj nie był w orbicie wyłącznych wpływów rosyjskich – komunizm polski nie miałby szans rozwoju. Ponieważ jednak geopolityczna struktura stworzyła polskiemu komunizmowi wielką szansę – mógł on rozwinąć się ponad miarę swojego istotnego potencjału. Dotyczy to przede wszystkim młodzieży, pewnego procentu robotników, pewnego procentu inteligencji.

Cóż my wiemy tu, na emigracji, o tragediach polskich komunistów, którzy utracili wiarę? Dla których nie ma możliwości ucieczki na Zachód. O tysiącach zrozpaczonych, samotnych, szczutych, niepewnych ani dnia, ani

godziny. Cóż wiemy o tych, którzy powędrowali w bramy bezpieki za „nacionalistyczne odchylenie”? Co wiemy o dziesiątkach tysięcy powojennych półinteligentów, którzy nie mieli dość wiedzy, by odeprzeć ofensywę dialektycznej „nowej wiary”, dość siły, by rozegrać jasno walkę o kształt własnego światopoglądu, którzy szamotali się w bezradnej samotności, nim ulegli przewadze komunizmu? Co wiemy o nowym pokoleniu polskim, chowanym od dziecka w bezkrytycznym kulcie dla „nowej wiary” i w pogardzie dla łacińskiego Zachodu?

Nie wolno się nam ani od tego odciąć, ani załatwić tej sprawy kilkoma okrągłymi frazesami. To jest polska Historia, tragiczna treść dziejów naszego narodu na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia.

Pan H. Wielopolski w liście do redaktora „Kultury” pisze, że nie będzie kupował naszego miesięcznika – dopóki „nie zdeklarujemy się ideowo”. Uważa, że publikując *Nie Cz. Miłosza* zesłaliśmy „z platformy niepodległościowej”.

Pan Wielopolski przewiduje również, że „sporo takich łotrów się znajdzie i będzie ich ciągle przybywało, w miarę jak sowietyzacja w Polsce będzie postępować [...], a głupi i pocziwy Zachód w ich bzdury i pokajania uwierzy”.

Czytając ten list, przypomniałem sobie, jak pewien polski tygodnik, którego redaktora zbyt wysoko cenię, by jego pismo tu wymienić – natrząsał się niedawno z tolerancji Anglików. Chodziło o sprawę dyplomaty czeskiego w Indiach, pana Kratochwila, który odmówił powrotu do Pragi i poprosił Anglików o prawo azylu.

Cóż za szczęście, że nie od polskich emigrantów zależy udzielanie prawa azylu innym politycznym zbiegom! Gdyby stosowanie tego prawa było w rękach pana Wielopolskiego, a nie w rękach „głupiego i pocziwego Zachodu” – politycznymi zbiegami zaludnilibyście co najwyżej... Berezy.

Anglicy uważają, że wyuczone pokajania istnieją tylko za „żelazną kurtyną”. My uważamy, że Polacy kłamią i „kajają się” nawet z łamów niepodległościowej prasy drukowanej na Zachodzie.

Wydaje mi się, że jeżeli ktoś publicznie stwierdza, że stracił wiarę w komunizm – jest to akt, który winien budzić szacunek, w żadnym wypadku kpiny. Nie jest bowiem to samo przestać być komunistą, co przestać być członkiem emigracyjnego NiD-u. Głębia przeżycia bywa zwykle nieco większa w przypadku pierwszym!

*

To są sprawy bolesne i niezmiernie trudne. Trzeba pamiętać, że w państwie totalistycznym – jakim w tej chwili jest Polska – 85 procent ogółu obywateli musi w takiej czy innej formie współpracować z reżymem.

Oczywiście, inną odpowiedzialność za współpracę z sowiecką agenturą ponosi Tuwim czy Broniewski, a inną kierowca miejskiego autobusu czy listonosz. Nikt chyba jednak sobie nie wyobraża, że kiedyś w Polsce powołamy trybunały norymberskie i miliony Polaków będziemy sądzić i skazywać.

A jednak zdrajcy powinni być ukarani. Jeżeli chodzi o zdradę, nie ma okoliczności łagodzących. Wydaje mi się przeto, że problem trzeba zacieśnić do tych może tylko kilku tysięcy ludzi, którzy na kluczowych stanowiskach, z pełną świadomością są współtwórcami sowietyzacji Polski. Niewątpliwie, do tej kategorii ludzi należą ludzie współpracujący z reżymem.

Komunizm ma dwa oblicza. Jest sprawą polityki i jest sprawą sumienia. Jest i wiarą, i imperializmem. Pisarz, który współpracował z reżymem i wierzył w komunizm, ma przed sobą tylko jedną drogę: oświadczyć publicznie, że stracił wiarę w ideologię „nowej wiary” i że pragnie służyć sprawie wolności. Miłosz tak postąpił. W swym odczycie wygłoszonym w Paryżu oświadczył, że pragnie służyć ideałom reprezentowanym przez Zachód i poddał druzgocącej krytyce instytucję „nowej wiary”.

Należy to docenić. Nie są to akty ani łatwe, ani proste. Jeden z czołowych pisarzy emigracyjnych do tej pory nie odwołał publicznie swej faszystowskiej książki wydanej w Polsce na krótko przed wojną. Do dziś pamiętam okładkę tej koszmarnej książki z lasem rąk w hitlerowskim pozdrowieniu. Dla sympatyków faszystowskiego totalizmu byliśmy zawsze raczej wyrozumiali.

Innego typu odpowiedzialność niż na pisarzach ciąży na komendantach obozów pracy przymusowej, na funkcjonariuszach bezpieczeństwa, na członkach Politbiura PPR. Jeżeli doczekamy się Polski wolnej i niepodległej, ludzie ci odpowiadzą za swoje czyny. Jeżeli zjawiłby się w Paryżu czy Londynie dostojnik bezpieczeństwa, który ma na sumieniu śmierć tysięcy Polaków i poprosiłby o azyl – to sam fakt „wybrania wolności” nie może rozgrzeszać tego człowieka ze zbrodni, jakie popełnił.

Ale pisarz nie jest agentem bezpieczeństwa (w każdym razie nie musiał nim być!) i jego kolaboracja polega na tym, że swym piórem służył idei komunistycznej. Jeżeli publicznie zrywa z komunizmem i pióro swoje zwraca przeciw „nowej wierze” – czegoż można więcej od niego wymagać?

Jeżeli mówimy o odpowiedzialności za czyny popełnione przed zerwaniem z komunizmem, to nie wiem, czy w jakimkolwiek ustroju demokratycznym byłoby rzeczą możliwą pociągnąć pisarza do odpowiedzialności w związku z jego poprzednimi przekonaniami politycznymi. W Anglii nikt nie będzie pociągał do odpowiedzialności Douglasa Hyde'a – dziś wybitnego katolika – za artykuły, jakie latami ogłaszał w „Daily Worker”.

Czytelnik może zauważyć, że z polskiego punktu widzenia ta demokratyczna zasada jest jednak tylko w połowie słuszna. Różnica pomiędzy panem Miłoszem a panem Hyde'em polega bowiem na tym, że Anglia nie jest przez nikogo okupowana, a pan Hyde przez dwadzieścia lat był członkiem legalnej partii politycznej. Polska natomiast jest krajem okupowanym przez Rosję i kto jest uznawanym pisarzem, automatycznie współpracuje z okupantem.

Trudno odmówić logiki takiemu rozumowaniu. Jeżeli jednak powyższy punkt widzenia miałby obowiązywać, musielibyśmy konsekwentnie całą obecną literaturę polską postawić na równi z gadzinówkami, które wydawały po polsku (i pisane przez Polaków) okupacyjne władze niemieckie w Polsce, w czasie wojny.

To byłby absurd. *Bolesława Chrobrego* A. Gołubiewa uważam osobiście za jedno z najwspanialszych dzieł, jakie napisano w języku polskim na przestrzeni ostatnich stu lat. Wydał je Czytelnik.

A więc nie każdy pisarz, który w Polsce wyda książkę w reżymowym Czytelniku jest kolaborantem i zdrajcą. W takim przypadku musielibyśmy uznać za zdrajcę również i Gołubiewa.

I tak doszliśmy do sedna sprawy: nie jest ważne, gdzie dany pisarz pisał i kto mu jego książkę wydawał – ważne jest jedynie, co pisał?

Z twórczości Broniewskiego, która miała tak wspaniałe karty – nikt i nic nigdy nie wymaże bizantyjskiej ody do Stalina. Nie wywyższyła ona dyktatora sowieckiego, ale zrównała z błotem autora *Bagnetu na broń*. I z tego błota nie ma zmartwychwstania.

Za swą twórczość pisarz odpowiada zawsze. Odpowiada za nią również Czesław Miłosz.

*

Z tego, co powyżej powiedziałem, proponowałbym wyciągnąć następujące wnioski:

Nie należy na emigracji budować fałszywego obrazu Kraju, albowiem Kraj nie oczekuje od nas cukierkowej sztancy, tylko prawdziwego zrozumienia jego dramatu.

Emigracja nie jest zamkniętym klubem, jak wyobraża to sobie pan Wielopolski i wielu innych. Nie jesteśmy ani nową „kadrówką”, ani legionem zasłużonych. Nie mamy również monopolu na przymiotnik „niepodległościowy”, albowiem znakomita większość polskiego narodu zawsze była i jest niepodległościowa.

Na emigracji słowo „niepodległościowy” zaczyna zatracać sens ogólnopolski, a staje się terminem słownictwa partyjnego. W myśl nomenklatury pism obozu rządowego określenie „niepodległościowy” przysługuje wyłącznie ugrupowaniom popierającym rząd. Jesteśmy o krok od tego, że oficjalnym niepodległościowcem będzie można być tylko z nominacji lub z nadania.

I punkt ostatni – nowi emigranci. Reakcja, która każe nam każdego nowego emigranta politycznego uważać za zdrajcę, kanalię, sprzedawczyka – może nas do reszty odciąć od Kraju. Z punktu widzenia politycznego tego rodzaju postępowanie jest szaleństwem i na Polakach w Kraju wywierać musi jak najfatalniejsze wrażenie. Tego rodzaju postępowaniem współpracujemy gorliwie z propagandą reżymową.

Nie sądzę, by w zagadnieniach nowych emigrantów możliwe było ustalanie sztywnych reguł, z wyjątkiem tej jednej: nie wolno w żadnym wypadku z góry wykluczać czyjeś dobrej woli i szczerości. Nikogo nie wolno potępiać, nie dając mu możliwości obrony.

Wydaje mi się, że jest rzeczą każdego nowego emigranta przedstawić swą sprawę publicznie – jak to zrobił Miłosz. Wielu nowych emigrantów nie postąpiło w ten sposób i przypuszczać należy, że wszyscy ci, którzy „wybierają wolność” tylko ze strachu i z obciążeniami w przeszłości – nie zdeklarują swej postawy jasno i otwarcie. Od takich mamy obowiązek się odciąć.

Lepiej jednak, byśmy przyjęli do swego grona dziesięciu oportunistów, niż żebyśmy odtrącili jednego szczerze nawróconego, który wyciągnął do nas rękę jako do tych, którzy reprezentują Imię Polskie na wolności.

[Od londyńskiego korespondenta „Kultury”]

Juliusz Mieroszewski

[7–8/1951]

CZESŁAW MIŁOSZ

Odpowiedź

W związku z moim artykułem w majowym zeszycie „Kultury” wypowiadano pewne uwagi na łamach pism emigracyjnych. Uwagi te wydają mi się interesujące, dlatego spróbuję się nad nimi w liście zastanowić.

1. Od września 1939 upłynęło niemal dwanaście lat i w chwili obecnej istnieje już zasadnicza trudność porozumienia się pomiędzy Polakami z kraju i Polakami z emigracji. Zdawałoby się, że będąc wychowankiem przedwojennej szkoły i przedwojennego uniwersytetu, nie odbiegam szczególnie sposobem myślenia od ludzi, którzy wyjechali z Polski w roku 1939, mimo że przez te lata byłem związany z krajem. Tak jednak nie jest. Cóż mówić o młodszych, uformowanych w Polsce w zupełnie innych warunkach. Trzeba stwierdzić ten fakt, jak myślę, bardzo ważny.

2. To samo zdanie może mieć dwa różne znaczenia dla dwóch czytelników przebywających w różnych „aurach”. Biorąc na przykład fragmenty jakiegoś artykułu i pokazując je czytelnikowi z emigracji, a także czytelnikowi z Polski, można by przeprowadzać ciekawe testy. Miałem sposobność zauważyć, że wielu Polaków przebywających na Zachodzie uważa za „nudę”, „banal” i „doktrynerstwo” pewne sformułowania, które przez czytelników w kraju są uważane za śmiertelnie poważne sprawy (słowa „śmiertelnie” nie używam jak ornamentu). Tym prawdopodobnie można tłumaczyć często spotykane u Polaków „zachodnich” lekceważenie dla głębokich przemian świadomości, jakie zachodzą w Polsce.

3. To, że wszyscy Polacy „zachodni” są antystalinistami nie oznacza, że wszyscy mają te same racje do potępienia stalinizmu. Jeden człowiek nie kąpie się w rzece, bo zabronił mu lekarz, drugi, bo nie umie pływać, jeszcze inny, bo po ostatniej kąpieli dostał wysypki. Moim zdaniem, słabo usprawiedliwiona jest niechęć do prób udzielenia odpowiedzi na pytanie, dla czego stalinizm jest zły. „Myśmy to dawno wiedzieli” nie rozwiązuje niczego. Gdyby rozwiązywało, ilość zwolenników stalinizmu na świecie nie powiększyłaby się w ostatnich latach o ładną garstkę milionów.

4. Zasadniczym motywem, który powtarza się w artykułach na temat mojej „ucieczki”, jest pytanie, dlaczego przez tyle lat służyłem rządowi warszawskiemu i dlaczego „przejrzałem” tak późno. Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba by przede wszystkim stwierdzić, że w kraju nikt nie mógłby go postawić, bo tam uważane jest za pewnik, iż miejsce pisarza jest z narodem, a pisarz, który oderwie się od swoich czytelników, niszczy. Doświadczenie lat wojny, którą spędziłem w Warszawie, utwierdza mnie w przekonaniu, że teza ta jest na ogół słuszna. Gdybym nie miał za sobą lat pod okupacją niemiecką, byłbym człowiekiem wewnętrznym uboższym. Z tej perspektywy mój problem moralny nie polegał na poczuciu winy, że służę (wszyscy służą), ale na poczuciu, że winą byłoby odrywanie się od dwudziestu czterech milionów ludzi, to znaczy wykorzystanie sytuacji uprzywilejowanej: możliwości ucieczki dzięki pobytowi za granicą (ratuj się, kto może).

Jeżeli ktoś chce wnikać w powody, dla których służyłem, oto one w skrócie. Gdybym zebrał swoje wiersze, przekłady i artykuły o literaturze wydrukowane w ciągu tych lat w kraju, złożyłyby się one na kilka książek. Możliwość dania młodemu człowiekowi z Mławy czy Grodziska prac literackich wykonanych według pewnych uczciwych założeń jest warta królestwa. Jest to jedyny możliwy, jak sądzę, cel pisania w polskim języku.

Sytuacja w kraju rozwijała się w kierunku coraz surowszych rygorów. Nie mogła ukazać się, z powodów politycznych, antologia poezji angielskiej od Chaucera do T. S. Eliota, którą przygotowałem. Z tych samych powodów nie mogła się ukazać antologia moich przekładów z poezji angielskiej, amerykańskiej, francuskiej i południowoamerykańskiej; nie próbowałem również zebrać w książce swoich artykułów literackich, a wydawać nowego tomu wierszy nie chciałem, aby uniknąć segregacji utworów według kryteriów, którym byłem przeciwny.

W artykułach byłem zmuszony robić coraz większe koncesje dla linii ortodoksyjnej. Niektóre artykuły, przychylne dla Zachodu, odrzucano, inne przerabiano. Zerwałem z krajem w chwili, kiedy przekonałem się, że muszę swoje wiersze dostosować do wymagań socrealizmu, czego nigdy nie robiłem. Słusznie czy niesłusznie, na zerwanie z krajem patrzyłem jako na koniec mojej działalności jako poety i tłumacza poetów.

Błędem jest niedocenywanie tej siły atrakcyjnej, jaką stanowi i n t e g r a c j a pisarza w „demokracjach ludowych”: ma on tam „miejsce na ziemi”, jest osobistością społecznie cenioną. Zerwać z krajem oznaczało więc dla mnie nie tylko dopuszczać myśl, że przestanę być twórczy jako poeta, ale zgodzić się na stracenie poczucia u ż y t e c z n o ś c i.

Co do moich poglądów politycznych, to znów trzeba zauważyć, że przedwojenne czy też obowiązujące dziś na Zachodzie podziały nie mają dziś w kraju większego znaczenia. Jesteśmy w epoce, w której zaczyna obowiązywać zasada *cuius regio, eius religio*. Gdybym musiał siebie określić, to określiłbym tak: na lewo i antystalinowsko. Ale to jest pozycja setek tysięcy ludzi w kraju. Na ogół w sferach intelektualnych w Polsce przeważa opinia, że chcąc coś pożytecznego zrobić, trzeba pić, choćby krzywiąc się z niesmakiem, bo jest, jak jest, to jest rzeczywistość. Rozpowszechniony jest fatalizm historyczny, a sprawa Polski nie jest oddzielana od sprawy całej Europy.

Chciałem pić do końca, tak jak piją inni w kraju, ale nie potrafiłem. Żadna ludzka decyzja nie jest możliwa do wyabstrahowania, to jest do wytłumaczenia tylko jedną przyczyną. W moim wypadku główną jednak przyczyną była niemożność, sięgająca daleko w głąb do moich odruchów etycznych, religijnych i estetycznych, o których mówić tu nie będę.

Jeżeli moja droga życiowa jest zygzakowata (bo wrzucony zostałem w niezwykle wypadki historyczne), to moja droga poetycka wydaje mi się dość konsekwentna. Nie mam potrzeby zapierać się żadnych moich wierszy pisanych w ciągu ostatniego dziesięć lat, włączając w to również utwory najbardziej nawet „treściowe” i zjadliwe. Istnieją sfery działalności, w których można uprawiać kompromisy, i sfery działania, w których na żaden kompromis iść nie wolno. Dla poety tą sferą jest poezja. Czy potrafię pisać wierszem na emigracji, to jest w i d z i e ć swojego polskiego czytelnika, nie wiem.

5. Jeden szczególnie artykuł, w londyńskim dzienniku „Wiadomości”, nappełnił mnie prawdziwym smutkiem. Nie dlatego bynajmniej, że oblano mnie tam pomyjami. W latach, które nas dzielą od 1939 roku, widziałem wielu ludzi oddanych swoim drobnym przywiązaniom i nienawiściom, całkowicie nieświadomych, że ziemia oto otwiera się im pod stopami, a niebo się pali – i zawsze widok tego drobnego ludzkiego życia, które miało być zniszczone przez żywioł historii, budził we mnie smutek zmieszany za zdumieniem. Biedni, biedni nie rozumiejący. Widziałem ich, jak do ostatniej chwili porządkowali swoje bibeloty, złudzenia, dywaniki, antyki – a potem już tylko krew i płomień, i zgorzelisko. Ale forma małej pasji, małej troski, małej nienawiści jest trwała, zginie w jednym kraju, przeżywa w innym. I jakimś przekleństwem dziejów można chyba wytłumaczyć, że Polacy, jeżeli ręka władcy nie zmusi ich do zajmowania się filozofią i dialektyką, zawsze potrafią schronić się w lamus pełen słowników, herbarzy, senników i kalendarzy, między pamiątki minionego czasu.

Oświadczenie

Liczne głosy emigracyjne wywołane tak zwaną „sprawą Miłosza”, wśród których nie brak napaści szkalujących, jak artykuł w londyńskich „Wiadomościach” nr 292, i prób zorganizowania nagonki – zmuszają nas do powtórnego sformułowania poglądu na zagadnienie nowych emigrantów.

W przekonaniu, że w tej sprawie nie jesteśmy odosobnieni, zwracamy się do przedstawicieli kultury polskiej na obczyźnie z zaproszeniem złożenia podpisów pod następującym oświadczeniem:

Jesteśmy odcięci od Polski od lat dwunastu. W okresie tym wolność, do której dostęp nie jest nikomu zamknięty na emigracji, przestała istnieć w Polsce. W takich warunkach specjalnie trudno jest oceniać motywy postępowania, intencje, granice odpowiedzialności, zasług i win, a także sumy nadziei i złudzeń, które były motorem postępowania ludzi przybywających do nas z kraju. Nie doceniając miary nacisku i zupełnie innej atmosfery działania, wpada się łatwo w krzywdzące szablony osądów.

Sąd o nowych emigrantach musi być wydany w pierwszym rzędzie na podstawie ich działalności i ich zachowania na emigracji. Stosunek nasz do nich powinien być bez uprzedzenia i gorzkich urazów, lecz pełen życzliwej czujności. Jeżeli nowo przybyły emigrant współpracował aktywnie z reżymem, mamy prawo oczekiwać od niego, że przedstawi swą sprawę publicznie. Nie mamy jednak prawa domagać się od niego upokarzających „pokajañ” na wzór procesów sowieckich. Nie mamy również prawa żądać, by się zdeklarował po stronie jednego z licznych obozów politycznych na emigracji. Posiada on prawo, tak jak każdy uchodźca, do kształtowania sobie własnej opinii, dotyczącej wszystkich zagadnień, jak również i naszej działalności i wybrania własnej, zgodnej z jego sumieniem, drogi walki.

Podpisy

Andrzej Bobkowski, Marian Bohusz-Szyszko, Józef Czapski, Maria Czapka, Tomasz Dobrowolski, Jerzy Giedroyc, Stanisław Gryziewicz, Wacław Iwaniuk, Janusz Jasieńczyk, Juliusz Mieroszewski, K. Mochliński, Jerzy Prądzyński, Tadeusz Romer, Michał Sambor, Tadeusz Sołowij, Wit Tarnawski, Jan Tokarski, Józef Ursyn, Melchior Wańkowicz, Stanisław Vincenz, Wojciech Zaleski, Kazimierz Zamorski, Zygmunt Zaremba, Józef Żywina

[12/1951]

Dalsze podpisy

J. M. Bocheński OP, Waleria Fuksa, Paweł Hostowiec, Konstanty A. Jeleński, Janusz Kowalewski, Wanda i Wacław Kozłowscy, Wiktor Ostrowski, Józefa Radzymińska

[1/1952]

Literatura emigracyjna a Kraj

Ankieta „Kultury”

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie uchwalił na Walnym Zjeździe w Londynie, w dniach 20 i 21 października bieżącego roku, następującą uchwałę:

„Wobec wydarzeń rozgrywających się w Kraju, pisarze polscy na obczyźnie na walnym zebraniu w dniach 20 i 21 października 1956 roku stwierdzają raz jeszcze, że celem ich, jak również całej emigracji politycznej, jest przywrócenie Polsce pełnej niepodległości, i tej służą sprawie.

Pisarze polscy łączą się myślą i sercem z narodem polskim walczącym o wyzwolenie, składają hołd tym, co padli ofiarą tyranii i przemocy. Postanawiają dołożyć wszelkich wysiłków, aby krew polskich bojowników wolności nie poszła na marne, ale wołała do wolnego świata o sprawiedliwość dla Polski.

Dopóki Kraj nasz pozostaje w politycznej niewoli i pod rosyjską przemocą, pisarze polscy na obczyźnie, zgodnie ze swą uchwałą z 1947 roku, winni nadal powstrzymywać się od wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne. Zasada ta obowiązuje pisarzy emigracyjnych jako warunek skutecznego udziału w walce o wyzwolenie, dopóki nie będzie w Kraju rzeczywistej wolności słowa i druku.

Jednym z podstawowych warunków tej wolności jest dopuszczenie do Kraju książek i innych wydawnictw polskich i obcych, drukowanych w wolnym świecie”.

Za uchwałą Związku Pisarzy głosowali: S. Baliński, A. Bregman, J. Bujnowski, M. Czuchnowski, M. Danilewiczowa, J. Kisielewski, S. Kossowska, J. Kowalewski, M. Kukiel, S. Legeżyński, Józef Lisiewicz, T. Lisiewicz, M. Łysakowski, H. Naglerowa, Z. Nowakowski, J. Ostrowski, B. Przyłuski, J. Sakowski, T. Sułkowski, T. Terlecki, I. Wieniewski, S. Zahorska, prof. Żółtowski.

Przeciw uchwale głosowali: Z. Broncel, J. Czechowicz-Mieroszewska, J. Mieroszewski, J. Niemojowski.

Wstrzymał się od głosu: Wiesław Strzałkowski.

Na stu trzynastu zarejestrowanych członków Związku Pisarzy za uchwałą głosowało dwudziestu trzech. Trzeba przy tym wziąć pod uwagę, że wielu pisarzy – nawet najwybitniejszych – do Związku nie należy.

Problem jest zbyt ważny, a grono uchwalających – zbyt przypadkowe, aby powyższa rezolucja mogła wyrażać opinię literatury emigracyjnej. Redakcja „Kultury” postanowiła więc

przeprowadzić ankietę wśród pisarzy, którzy bądź nie uczestniczyli w Walnym Zjeździe, bądź do Związku nie należą. Odpowiedzi napływają do chwili oddania numeru na maszyny, wobec tego drukujemy obecnie jedynie odpowiedzi, odkładając omówienie do numeru styczniowego. Odłożenie omówienia ankiety wydaje się nam tym bardziej celowe, że Walny Zjazd Związku Literatów krajowych odbędzie się dopiero w bieżącym miesiącu. Może nam to pozwoli uchwycić nurt całej współczesnej literatury polskiej.

Jeżeli weźmie się pod uwagę czołową rolę, jaką w Polsce odegrała literatura w ostatnich czasach i jakie ogromne zadania stawia przed nią najbliższa przyszłość – waga, jaką do jej rozwoju przywiązujemy oraz niepokój, jaki wywołują w nas próby jej zgłajszaltowania czy wykozystania zarówno w kraju, jak i na emigracji – staną się dla czytelników naszych zrozumiałe.

Podajemy odpowiedzi w porządku alfabetycznym*.

Andrzej Bobkowski (Gwatemala). Solidaryzuję się całkowicie z uchwałą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z dnia 20 i 21 października.

Skoro nie mogę publikować w Polsce tego, na co ja miałbym ochotę, nie widzę powodu przyjmowania łaskawych ofert druku tego, na co miałaby ochotę cenzura partyjna tam.

Albo się pali, albo się nie pali; trochę palić lub trochę nie palić nie można. Zagadnienie druku w kraju w obecnej sytuacji jest z tej samej kategorii. System „białe-czarne” jest prostacki i reakcyjny, niemniej wydaje mi się, iż są sytuacje, w których – niestety – nie ma innego wyjścia i w tym szczególnym wypadku jest on jedynym, jaki pisarz emigracyjny może przyjąć. Ułatwi to klasyfikację nie tylko panu Mieroszewskiemu, ale i wielkiemu odłamowi potencjalnych czytelników w kraju, którzy z komunizmem i rządami Gomułki mają tyleż wspólnego, co zamordowani powstańcy w Budapeszcie.

Maria Czapska (Maisons-Laffitte). Z uchwałą ogłoszoną przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie nie zgadzam się. Uchwalenie jej przez grupę pisarzy londyńskich, bez uprzedniego porozumienia się z pisarzami polskimi rozrzuconymi po całym świecie, bez przeprowadzenia jakiegokolwiek z nimi dyskusji to metoda co najmniej niedemokratyczna, a co za tym idzie uchwała ta nie obowiązuje nikogo poza tymi, co ją uchwalili.

* W ankiecie „Kultury” wzięły udział 43 osoby, z których większość (27) podzielała stanowisko Redakcji: drukować w kraju, ale bez ingerencji cenzury i bez honorarium. Opinie pozostałych były bardziej zróżnicowane: od niechęci wobec możliwości publikowania aż do pozostawienia pisarzowi prawa do decyzji. W niniejszym wyborze uwzględnione są najbardziej charakterystyczne wypowiedzi.

Zgadzam się ze stanowiskiem „Kultury” sprecyzowanym w numerach 9/1956 i 11/1956 przez J. Mieroszewskiego i Z. Bronclę.

Autorowie drukujący swoje prace w kraju powinni honoraria swoje w kraju zostawiać; bronię jednak prawa przekazywania tych sum nie tylko na rzecz instytucji kulturalnych, ale wspierania tymi pieniędzmi ludzi prywatnych, przedstawiających wartość kulturalną dla społeczeństwa, a nie należących do kasty uprzywilejowanych, żyjących więc w stałym niedostatku.

Do jednego zasadniczego punktu, który wysunął p. Mieroszewski, spróbuję wnieść poprawkę.

„W pierwszym rzędzie wydanie krajowe winno być co do joty zgodne z oryginałem – pisze Mieroszewski. – Nie można akceptować żadnych skreśleń redakcyjnych, »komentarzy« czy wstępów”.

Co do komentarzy i wstępów, mających na celu wypaczenie sensu książki lub specyficzne jej nakreślenie – zgadzam się; ale zgodność co do joty z oryginałem należałoby jeszcze przedyskutować. Przecie Sienkiewicz i Żeromski wydawali inne wersje swoich książek w Krakowie i w Warszawie. *Pamiętnik poznańskiego nauczyciela* został nawet całkowicie przerobiony przez autora na niemieckie stosunki. Poezje Mickiewicza i Krasińskiego wychodziły w Warszawie i Wilnie ocenzurowane, miały jednak swoją wartość dla młodzieży pod zaborem rosyjskim nawet w tej okaleczonej postaci.

„Dlaczego teraz – pisze mi przyjaciel z Polski – skazywać całą młodzież na kompletne odcięcie od literatury emigracyjnej, kiedy można by choć jej część lub częściowo wydać w kraju?”

Zdaje mi się więc, że każda książka wartościowa napisana w wolnych krajach może stać się dobroczynnym zaczynem w Polsce, nawet o ile byłaby wydana częściowo, ze skreśleniem pewnych ustępów lub rozdziałów, dotyczących obowiązującego do dziś, wiadomego tabu.

Skreślenia powinny być poczynione za zgodą autora i możliwie zaznaczone w wydaniu krajowym.

Przy okazji wspomnę o zastanawiającej niechęci, a nawet upartej wrogości, z jaką niektóre środowiska emigracyjne odnoszą się do kulturalnych instytucji w kraju: redakcji, wydawnictw, akademii i temu podobnych, „kontrolowanych przez władze totalistyczne”. Smutny ten objaw zastanawia dzisiaj, kiedy kontakty z ludźmi z kraju są liczne, różnorodne i całkiem swobodne. Że instytucje te są kontrolowane, jak i cały naród, cały kraj – o tym wiemy, ale wiemy dziś również, że ich bezpartyjni, a nawet nieraz partyjni kierownicy są Polakami takimi jak i my, a w każdym razie stojącymi bliżej

sprawy polskiej aniżeli my, po kilkunastu latach odcięcia od kraju, Polakami, których cele i dążenia zbiegają się na niejednym odcinku z naszymi.

Konstanty A. Jeleński (Paryż). Uchwała Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie jest przykładem politycznej schizofrenii. Wystarczy poddać ją pobieżnej analizie:

„Wobec wydarzeń rozgrywających się w Kraju...” Jakich wydarzeń? Odpowiedź na to daje tylko data uchwały: 20 i 21 października to dni polskiej bezkrwawej „rewolucji”, dojścia Gomułki do władzy, oporu wobec ZSRR, próby likwidacji stalinizmu.

„Pisarze polscy łączą się myślą i sercem z narodem polskim walczącym o wyzwolenie...” A więc chyba ze studentami Politechniki, robotnikami Żerania, komitetem warszawskim partii komunistycznej, większością Polaków popierającą Gomułkę.

„Postanawiają dołożyć wszelkich wysiłków, aby krew polskich bojowników wolności nie poszła na marne, ale wołała do wolnego świata o sprawiedliwość dla Polski...” Zapewne krew ofiar stalinizmu, krew robotników Poznania. Wydarzenia z 20 i 21 października wydają się wskazywać na to, że krew ta istotnie nie poszła na marne. Mało z tym mają wspólnego polscy pisarze na obczyźnie – jeszcze mniej wolny świat, który pozwolił na mordstwo Węgier.

„Dopóki Kraj nasz pozostaje w politycznej niewoli i pod rosyjską przemocą...” Celem „wydarzeń” było chyba właśnie zmniejszenie „politycznej niewoli” poprzez ograniczenie „rosyjskiej przemocy” w granicach geopolitycznych możliwości.

W Polsce nie istnieje dziś ani demokracja, ani żadne konstytucyjne, prawne gwarancje wolności słowa, wolności społecznej, wolności osobistej. Nie wydaje się, aby mogły one tam obecnie zaistnieć ani nawet, by naród polski mógł się o nie systematycznie dopominać, nie narażając Polski na los Węgier. Polacy niemniej jednak dysponują dziś znacznym marginesem wolności faktycznej, który należy wszelkimi środkami starać się rozszerzyć.

W krajach o ustroju parlamentarnym opozycja współpracuje z rządem, gdy nakazuje to interes ogólnonarodowy. Podobną rolę, moim zdaniem, powinna dziś spełniać emigracja, nie tyle wobec rządu – którego nie uznaje i który jej nie uznaje – ile wobec narodu, który rząd ten z takich czy innych względów popiera.

Nie spotkałem ani jednego Polaka z Kraju, nawet najbardziej wrogo nastawionego do istniejącego ustroju, który by nie uważał stanowiska Związ-

ku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w sprawie wydawania w Kraju książek emigracyjnych pisarzy za całkowicie absurdalne. W grę wchodzi tu jeden tylko problem, który słusznie uwydatniła „Kultura”: ewentualnej zależności finansowej pisarza, politycznego uchodźcy od reżymu, który pisarz ten zwalcza. Dopominając się o dopuszczenie do Kraju – a więc chyba zakup w dewizach – książek polskich wydawanych za granicą, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie przechodzi do porządku dziennego nad tym problemem, wychodząc chyba z założenia, że funty czy dolary wypłacane pisarzom emigracyjnym przez emigracyjnego wydawcę nie będą miały „totalistycznego” zapachu, nawet gdyby pochodziły z zakupów dokonywanych masowo przez Czytelnika.

Stanowisko „Kultury” w tej sprawie wydaje mi się zarazem mniej pretensjonalne i bardziej logiczne.

Zbigniew Jordan (Niemcy). Nie jestem pisarzem i nie należę do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Zabieram głos, będąc o to proszony, a sprawa jest zbyt ważna i istotna, by prośbę tę pominąć milczeniem.

Nie mógłbym solidaryzować się z rezolucją Związku Pisarzy, gdyż moim zdaniem jest ona wyrazem umysłowości utopijnej, dla której nic w Polsce się nie zmieni, dopóki wszystko nie zmieni się do gruntu. Nie dostrzega ona procesów zachodzących w umysłach i w życiu w kraju, istnienia grup i sił, wśród których intelektualisci, pisarze i publicyści odgrywają przodującą rolę, prących ku rozszerzeniu i ugruntowaniu suwerenności narodowej, swobód osobistych, wolności słowa i myśli. Błędny stosunek do wspomnianych procesów prowadzi do paradoksalnego wniosku, iż ich ignorowanie jest najskuteczniejszą metodą walki o „przywrócenie Polsce pełnej niepodległości”.

Józefa Radzywińska (Buenos Aires). W chwili podejmowania przez Walny Zjazd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie odnośnej uchwały nie należałam do Związku – stwierdzić jednak muszę, iż zasadniczy sens zgodny jest z moimi przekonaniami.

Rzekome rozluźnienie pętli nałożonej na słowo w Kraju i penetracja „odwilży” w szeregi emigracyjne, mająca na celu ich rozbicie – jest tylko częścią z góry opracowanego planu polityki sowieckiej, nie zaś zapowiedzią istotnego wyzwolenia.

Niemniej jednak wydaje mi się, że pisarz emigracyjny, którego słowo może dojść do Kraju w formie nieskażonej – nie powinien pozbawiać się możliwości oddziaływania tego słowa na czytelnika w Polsce, gdyż to od-

działywanie może okazać się w walce o wyzwolenie bronią równie skuteczną, jak uparta, rejtanowska twórczość emigracyjna.

Czesław Straszewicz (Niemcy). Na ankietę „Kultury” odpowiem najbardziej lakonicznie, jak tylko potrafię.

W roku 1947 wydano w Polsce po raz drugi jedną z moich przedwojennych książek: *Litość*. Nikt mnie o zgodę nie pytał (może myślano, że gdzieś tam zmarłem), nikt mi honorarium nie proponował, książkę wydano i kwita, o wydawnictwie dowiedziałem się szczęśliwym przypadkiem w pięć lat po fakcie. Ucieszyłem się. Ucieszyłem się tak jakoś w ogóle, no i na tej mojej ucieście zakończyła się cała historia.

Jako że mój literacki dorobek emigracyjny jest skromnusiśki, jako że w ideologicznych i finansowych pertraktacjach jestem kiepski, jako że na dochody (przekleństwo mojego życia!) raczej kicham, jako że do zbiorowych uchwał rzadko kiedy czuję nabożeństwo – podsumowawszy to wszystko, doszedłem do przekonania, iż najlepiej będzie, jeśli korzystając z tej ankiety problematycznym reflektantom na moje płody wszystko, co napisałem, zaofiaruję za Panie Boże zapłacić. Może się znowu kiedyś ucieszę „tak jakoś w ogóle”.

Te słowa stukając na maszynie – w podświadomym skojarzeniu mam przed sobą widok ulicy Polnej i placu Żelaznej Bramy w Warszawie. Ciekawe, nie?

[12/1956]

*

Józef Mackiewicz (Monachium). Nie zamierzałem brać udziału w ankiecie na temat uchwały Związku Literatów Polskich w Londynie. Raz, dlatego że do wspomnianego Związku nie należę. Dwa, że mam szczerą odrazę do wszelkich „postulatów” narzucanych literaturze czy sztuce, z jakichkolwiek *ex cathedra* by zostały uchwalone: rządowych, związkowych czy kolektywnych. Trzy, dlatego że frazesy zawarte w deklaracji uchwały Związku wydają mi się równie groteskowe, jak odwrotnie, dokładne „przepisy” opracowanej przez pana Mieroszewskiego instrukcji dla literatów emigracyjnych, które przewidują nawet pośrednią kontrolę ich prywatnych rachunków. Jednakże w numerze grudniowym „Kultury” przeczytałem odpowiedzi na ankietę, które przygnębiają swą fatalną jednomyślnością. Dlatego proszę o zamieszczenie mej, choć spóźnionej, wypowiedzi.

Prócz jednego Andrzeja Bobkowskiego, nieomal wszyscy biorący udział w ankiecie literaci emigracyjni na „drętą mowę” uchwały Związku odpowiadają nie mniej „drętą mową” polrealistycznego poputnicztwa z polskim komunizmem. Po prostu aż się roi od sloganów tego typu: „Szczęśliwe przemiany w Polsce... Współpraca z życiem narodu... Cztery dni, które wstrząsnęły Krajem... Różne drogi do socjalizmu... Siła biologiczna narodu... Bezkrwawa rewolucja Gomułki... Likwidacja stalinizmu... Ugruntowanie suwerenności... Siły moralne kraju... Demokratyzacja ustroju... Desatelizacja Polski... Nowa Wiosna Ludów... Program przemian odpowiada polskiej racji stanu... Wielkie i wspaniałe sprawy w Polsce – polscy komuniści powiedzieli, że celem ich jest walka o dobro mas pracujących...” *etc., etc.* O uniformizmie tych wypowiedzi świadczy najlepiej fakt, że niektóre ze sloganów powtarzane są przez różnych pisarzy w dosłownym brzmieniu jednocześnie.

Dotychczas, ilekroć przeciwstawiałem się rozciąganiu odpowiedzialności zbiorowej na cały naród niemiecki za hitlerizm i na cały naród rosyjski za komunizm, wskazując, iż w takim wypadku i cały naród polski można by obciążyć odpowiedzialnością za panujący w Polsce „reżym” – słyszałem zawsze monotonną odpowiedź: „To nie to samo! Komunizm jest obcy Polsce i trzyma się tam na »rosyjskich« bagnetach. A ustroje w Niemczech czy Rosji, to ich »własne«!” – I oto raptem dowiaduję się, że komunizm polski jest czymś nieskończenie lepszym od moskiewskiego, bo polski, bo – własny!... Że trzeba mu udzielić kredytu i wyciągnąć rękę do komunistów polskich, by iść z nimi „po puti” dla wspólnej walki z Rosjanami. Przyznam, iż osobiście wolałbym wyciągnąć rękę do Rosjan dla wspólnej walki z komunistami. Wyznam też, że jeden tylko ustrój wydaje mi się bardziej odpychający niż międzynarodowy bolszewizm, mianowicie: nacjonal-bolszewizm. Jako połączenie zła ze złym. Ale to, naturalnie, rzecz gustu. Co natomiast budzi zastrzeżenia, to brak obiektywizmu i głęboka nieszczerość w uprzedniej ocenie rzeczy. Narodowy socjalizm niemiecki w pierwszych latach po roku 1933 był niewątpliwie ustrojem mniej totalnym niż dzisiejszy nacjonal-bolszewizm Gomułki. A przecież już wtedy znajdowaliśmy zrozumienie dla emigracji niektórych pisarzy niemieckich, którym wydało się zbyt duszno, aby drukować w kraju. Dziś natomiast sami czynimy odwrotnie, wielki krzyk dla skłonienia emigracyjnych pisarzy do pisania w kraju...

Gdyby Rosjanie mieli brać przykład z Polaków, to albo nie wyemigrowałoby ich ponad dwa miliony po rewolucji bolszewickiej w ogóle, albo już od roku 1918 „daliby kredyt Leninowi” na emigracji, gdyż Moskwa nie będąc nigdy zależna ani od Warszawy, ani Belgradu, od początku była tym, co nazywamy dziś – „titoistyczną”... To znaczy była „suwerenną”, obrała „własną drogę do socjalizmu”. A któż, jak nie publicystyka polska najhałaś-

liwiej wskazywała, że polityka Związku Radzieckiego „pokrywa się z rosyjską racją stanu”! Czyniąc dalsze zestawienia, przez analogię należałoby oczekiwać, że emigracja rosyjska powinna była takiego „kredytu udzielić” w każdym razie Stalinowi. Gdyż, jak wiadomo, właśnie „stalinizm” z przywróceniem rang, epoletów, praw Cerkwi, reedukacji historycznej oraz w rewindykacji wielu wartości, sloganów, frazesów i haseł narodowych, bardziej od innych taktyk komunistycznych zbliżony był do dzisiejszej „gomułkowuszczyzny” w Polsce, podszytej narodową podszewką. Fakt, że emigracja rosyjska, z nielicznymi wyjątkami, nie dała się zwieść rzekomym „stalinizmem”, który był tylko jednym z taktycznych chwytów, a w istocie konsekwentnym ciągiem leninowskiego, międzynarodowego bolszewizmu – świadczy o jej głębszym wyrobieniu i głębszym pojmowaniu rzeczywistości oraz istoty komunizmu od emigracji polskiej, która w znacznej części skłonna jest raptem w „polskim titoizmie” dostrzegać nie tylko „niepodległość” i „suwerenność”, ale niemal spełnienie marzeń narodowych...

Wydaje mi się, że pisarze emigracyjni drukujący w kraju tracą moralny statut pisarza emigracyjnego automatycznie. Tak samo jak zwykły obywatel nie może jednocześnie domagać się prawa politycznego azylu za granicą i jeździć lub przebywać fizycznie w kraju. Emigracja polityczna zakłada bowiem nie wewnętrzną, legalną o p o z y c j ę do panującego ustroju, a n e g a c j ę tego ustroju, z zakwestionowaniem legalności ustanowionych przez niego władz i instytucji, aż do państwowych firm wydawniczych włącznie.

Sytuacja pisarza jest szczególna. Odpowiedzialny jest on często nie tylko za to, co pisze, ale i za to, co przemilcza. Powtarzając ciągle o „liberalizacji” i „demokratyzacji” w Polsce, zdajemy się zapominać, że pół-podatek, czy pół-dostawa żywca, to zupełnie co innego niż pół-prawda, która bywa czasem gorsza od całego łgarstwa. Argumenty, hasła i piękne slogany wypowiedane w ankiecie „Kultury” już są, niestety, półszczerze. W praktyce bowiem... W praktyce każdy rozumie i po cichu zdaje sobie sprawę, że początek drukowania w kraju będzie końcem piśmiennictwa emigracyjnego.

Czytałem między innymi głosy, które złośliwie suponowały, że największymi przeciwnikami wydawania w kraju są ci autorzy, którzy wiedzą, że im w kraju nikt wydania ich rzeczy nie zaproponuje. Nie będę ukrywał, że wiem, iż mnie osobiście nikt nie zaproponuje. Ale też nie będę ukrywał, że – jestem z tego trochę dumny.

[1–2/1957]

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

Uchwała „Terlecki–Kisielewski”

Podsumowanie ankiety

Ponieważ w czasie wojny w Londynie przebywał rząd polski *in exile* i znad Tamizy rządził rozległym emigracyjnym imperium – pogrobowcy tego okresu świetności do dziś wierzą niezachwianie, że co polski Londyn zdecydować, obowiązuje Polaków we wszystkich pięciu częściach świata. Tym się tłumaczy, że Zarząd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie przygotowując projekt antykrajowej uchwały, nie uważał za stosowne porozumieć się z pisarzami przebywającymi poza Wielką Brytanią. W końcu coś do powiedzenia ma pisarz z Kanady czy z Buenos Aires. Niech będzie zadowolony, że Londyn w ogóle przyznaje się do niego.

W polskim Londynie obowiązuje „demokracja konwentykłowa”. W Kraju – ludowa, u nas – konwentykłowa, i wszyscy zadowoleni. Wolne głosowanie wolnym głosowaniem – ale chodzi przecież o to, by uchwałę przepchać. Powołuje się komisję, która w ciszy i w dyskrekcji przygotowuje piękny drętwo-mowny projekt uchwały. Gdyby tekst wysłało się uprzednio za ocean, mogłyby nadejść różne wypowiedzi, ponieważ – jak wiadomo – ludzie poza Londynem są zupełnie zdezorientowani i nie wiedzą, czego się trzymać. Po co więc utrudniać im życie.

W pierwszym dniu posiedzenia 20 października 1956 roku Zarząd wystąpił oficjalnie z projektem uchwały. Ów dokument powielony na cyklostylu zachowałem w moich archiwach jako kuriozum. W pierwotnym projekcie powiedziano dosłownie między innymi: „Rozpatrując dziś na nowo tę sprawę, z uwzględnieniem ostatnich, określonych nazwą »odwilży«, zmian w Polsce – Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie doszedł do wniosku, że w Polsce nie nastąpiły żadne istotne zmiany i Kraj jest w dalszym ciągu w niewoli”.

To było już po VIII Plenum, po usunięciu Rokossowskiego z Politbiura, po wyjeździe z Warszawy (z kwitkiem) delegacji sowieckiej.

Istnieją jednak pewne granice trawienia drętwej mowy nawet u Polaków, którzy w tej umiejętności trenowani są od kolebki. Generał Kukiel, świetny historyk i stylistą, wstał i oświadczył spokojnie, że trzeba być... cymbałem, by nie dostrzegać istotnych zmian, jakie zaszły w Polsce. (W tym miejscu na sali odezwały się samotne brawa niżej podpisanego i Zdzisława Broncla). Po dyskusji postanowiono w pierwszym dniu głosować tylko nad samą zasadą uchwały, a ostateczne jej sformułowanie odłożyć do dnia następnego. W poprawionym tekście nie ma już mowy o „odwilży” i nieistotnych zmianach – ale wszystko inne pozostawiono bez retuszu.

Czym należy tłumaczyć podjęcie tej uchwały?

Pisarze w Kraju byli awangardą ostatnich przemian, a tygodniki i pisma, jak na przykład „Po prostu”, były i nadal są czołową kolumną walki o wolność i niepodległość – w dostępnych nam granicach. Czym należy tłumaczyć utratę wyczucia pulsu narodowego w takich przełomowych chwilach, jak 18 do 21 października ubiegłego roku? W owym dniu, w którym pan Kisielewski* imieniem komisji obwieszczał emigracyjnym pisarzom, że w Polsce nie zaszły żadne istotne zmiany – w Warszawie czuć było w powietrzu krew i dym.

Jakie jest socjologiczne tło tej uchwały? Po pierwsze: wiek. Przeciętna wieku pisarzy, którzy uchwalili to wiekopomne dzieło jest raczej wysoka: 55 do 60 lat. Młodzi pisarze do Związku nie należą. Po drugie – samozachowawczy instynkt emigracyjny. Świat emigracyjny wypracował swoje własne kryteria ocen i wartości. Można być znanym pisarzem na emigracji, będąc zupełnie nieznanym w Kraju. Mamy własne nagrody, własną giełdę wielkości i snobizmów literackich, własne sławy i *bestsellery*, własne wzloty i upadki. W tej klateczce emigracyjnej niejedyn wróbel uwierzył, że jest orłem. Gdyby klatkę otworzyć, mogłoby się okazać, że naszym orłom brak już tchu, by wzbić się w powietrze.

Ludzie, którzy w wymiarze emigracyjnym rozbudowali swą sławę i twórczość, instynktownie boją się otwarcia klatki i konfrontacji z szeroką polską rzeczywistością. Ci panowie dosłownie heroicznie walczą o zachowanie zrębów świata emigracyjnego i podpierają klateczkę ze wszystkich stron – by przedłużyć trwanie układu, który zapewnia, że jest się kimś tu, choć się jest niczym tam.

Co stanowi dominantę najświeższych wypowiedzi pisarzy polskich w Kraju? Wolność – suwerenność – problematyka nowego ustroju.

* Chodzi o Józefa Kisielewskiego.

Co stanowi dominantę literatury emigracyjnej? Wspominki i jeszcze raz wspominki. Jeżeli pominąć publicystykę, to należy stwierdzić, że problematyka współczesnej Polski w literaturze emigracyjnej w ogóle nie istnieje. W emigracyjnych książkach nie znajdzie się nawet słabiutkiego echa dyskusji, które rozpalają do białości pisarzy w Polsce.

W czasie owego walnego zgromadzenia jeden z członków ustępującego zarządu rzucił pogardliwie pod moim i Broncla adresem: „Nas nie interesuje titoizm”.

To są typowe metody, które mają usprawiedliwiać odcięcie się od rzeczywistości w Polsce, „umycie rąk” wobec tych pisarzy w Kraju, którzy walczą o wolność słowa.

Gdybyśmy stwierdzili z dumą, że nie ma na całym świecie kraju, gdzie na „czarnym rynku” pisma klasy „Po prostu” osiągają cenę dziesięciokrotnie wyższą od normalnej – gdybyśmy w tym dziwnym, przedwcześnie dojrzałym pokoleniu publicystów i pisarzy krajowych dopatryli się przeblasku wielkości, byłoby nam trudno obronić naszą napuszoną mierność. I dlatego wolimy oświadczyć, że nie interesuje nas titoizm, niż przymierzać nasze wspominki do ich twórczości. I dlatego w naszej uchwale nie znalazło się ani jedno zdanie mówiące o solidarności z tymi, których generał Witaszewski miał na liście aresztowań i którym groził, że ich będzie tłukł rurą od gazu...

Byłoby jednak krzywdzące tego typu tendencje przypisywać ogółowi pisarzy emigracyjnych. Uwagi powyższe dotyczą wyłącznie grupy, która uchwaliła ową antykrajową uchwałę. Dobrze się stało, że „Kultura” ogłosiła listę nazwisk tych, którzy głosowali za uchwałą, bo w ten sposób owa grupa została wyodrębniona i wyizolowana ze społeczności emigracyjnej.

Wynik ankiety „Kultury” wśród pisarzy emigracyjnych jest miazdzący dla panów Terleckiego i Kisielewskiego oraz ich grupy. Tadeusz Nowakowski, Pankowski, Jeleński, Miłosz, Herling-Grudziński, Gombrowicz, Józef Wittlin, Zofia Kossak, Kuncewiczowa, Straszewicz... myślę, że chyba dość. Proponuję Czytelnikom, by ciężar gatunkowy powyższych nazwisk pisarskich porównali z listą osób, które głosowały za uchwałą. Nie trzeba zaiste być krytykiem literackim, by z tego porównania wyciągnąć właściwe wnioski.

Zbigniew Jordan w swej wypowiedzi zaznaczył skromnie, że nie jest pisarzem. Jordan jest naukowcem i publicystą. Jego oświadczenie, że nie solidaryzuje się z uchwałą „Terlecki-Kisielewski” jest tym donioślejsze, jeżeli się zważy, iż Jordan jest niewątpliwie jednym z najwybitniejszych na emigracji znawców Polski współczesnej. Jego studia o „odwilży”, które drukowaliśmy

na łamach „Kultury”, należą do najsłabszych źródełowych analiz, jakie na ten temat ukazały się na łamach prasy Zachodu.

Jordan w swej wypowiedzi w kilku zdaniach ujął sedno sprawy. Ta wypowiedź warta jest, by ją przytoczyć powtórnie. Uchwała jest

„...wyrazem umysłowości utopijnej, która nie dostrzega procesów zachodzących w umysłach i w życiu w kraju, istnienia grup i sił, wśród których intelektualści, pisarze i publicyści odgrywają przodującą rolę, prących ku rozszerzeniu i ugruntowaniu suwerenności narodowej, swobód osobistych, wolności słowa i myśli. Błędny stosunek do wspomnianych procesów prowadzi do paradoksalnego wniosku, iż ich ignorowanie jest najskuteczniejszą metodą walki o »przywrócenie Polsce pełnej niepodległości«”.

Obrzydliwy w uchwale „Terlecki-Kisielewski” jest fakt odmowy solidaryzowania się z owymi pisarzami i publicystami, którzy walczą o rozszerzenie i ugruntowanie suwerenności narodowej, swobód osobistych, wolności słowa i myśli. To już nie jest przejaw utopijnej umysłowości, ale zdrada (nie waham się użyć tego słowa) posłannictwa pisarskiego. To już nie jest ignorowanie, o którym mówi Jordan, lecz zerwanie więzi, jaka w godzinach próby winna łączyć ludzi pióra, którzy nie dzielą się na emigracyjnych i krajowych, lecz na polskich i niepolskich.

Pozostaje do omówienia ostatni punkt tej ponurej sprawy. Uchwała „Terlecki-Kisielewski” została powzięta przez dwadzieścia kilka osób – najmniej uchwałę firmuje Związek Pisarzy jako całość. Na emigracji przyzwyczailiśmy się traktować wszystko półserio. Nikt nie przejmuje się orędziami Rady Trzech ani uchwałami takich czy innych „ciał” emigracyjnych. W tym jednak wypadku sprawa jest serio. Każdy z pisarzy rozwiąże ją zgodnie ze swymi przekonaniem. Sądzę, że Czytelnikom „Kultury” winien jestem wyjaśnić moje osobiste ustosunkowanie się do tej sprawy. Głosowałem przeciwko uchwale. Byłem pewien, że gdy ogół głosujących zapozna się z wypadkami, jakie rozegrały się w Warszawie – gdy wieść o zmianach raczej istotnych dotrze do świadomości emigracji – zarząd Związku Pisarzy pod naporem opinii podejmie kroki zmierzające do anulowania uchwały. Czekalem jednak na próżno. Ponieważ ze Związkiem, który podejmuje antypolskie uchwały, nie chcę mieć nic wspólnego – zgłosiłem moje wystąpienie.

Juliusz Mieroszewski

[1–2/1957]

STEFAN KISIELEWSKI I „KULTURA”

STEFAN KISIELEWSKI

Mój testament

Spędziłem w zachodniej Europie (Niemcy, Francja) około dwóch i pół miesiąca. Teraz, powracając do Polski, trzeba by przekazać kolegom i przyjaciółom z emigracji (z którymi tyle się nadyskutowałem i nakłóciłem) parę syntetycznych uwag i spostrzeżeń, stanowiących coś w rodzaju testamentu, to znaczy zbioru zaleceń pozostawionych przez tego, co odchodzi dla tych, co zostają. A oto owe zalecenia czy uwagi, napisane szkicowo, bo ktoś będąc niedługo czas w Paryżu, przykładałby się nadmiernie do pracy? Od pracy jest dla nas Polska.

Co uderza przybywając z kraju w zachodniej Europie? Oczywiście i przede wszystkim nieosiągalny dla nas w tej chwili poziom życia materialnego. Nieślychana energia produkcyjna, modernizacja i znakomita organizacja przemysłu, rozkwit rolnictwa, wysokie pensje i olbrzymia podaż wszelkiego rodzaju artykułów konsumpcyjnych, wszystko to składa się na obraz jakiegoś „ziemskiego Edenu”, gdzie wprowadzie panuje nierówność dochodu i zarobków, ale przy ogólnym boomie koniunkturalnym nawet najmniej zarabiający ma się nie najgorzej, choć francuskim zwyczajem lubi narzekać i pomstować na wszystko. *Wirtschaftswunder*, który do niedawna przypisywano Niemcom Zachodnim, objął obecnie i Francję, i północne Włochy, i inne kraje Zachodu. Wstydliwe plamy, jak stosunki rolne w południowych Włoszech czy bieda i zacofanie Hiszpanii lub Portugalii, nie mogą zaćmić ogólnego obrazu „produkcyjnego raju” panującego dziś w zachodniej Europie i w sprzymierzonych z nią Stanach Zjednoczonych. Raj ten ma oczywiście swój odpowiednik w pracy: w ciężkiej, intensywnej, nie znającej „pardonu”,

umiejętnej i zręcznej, pełnej przejęcia pracy. Myślę, że żaden robotnik, kelnier czy sprzedawca w Polsce nie ma pojęcia, jak intensywnie, umiejętnie i ciężko pracuje się na Zachodzie – to jest jedna z „odwrotnych stron medalu”, często przez naszych turystów nie dostrzegana.

Tak więc, szczęśliwy na swój sposób Zachód żyje w dosyć materialnym i transie coraz intensywniejszej działalności produkcyjnej, spokojny, zadowolony z siebie, nie wierzący w stare, marksistowskie bajeczki o kryzysach, nadprodukcjach i mijaniu koniunktury. A jednocześnie 700 milionów Chińczyków boryka się z głodem, brakiem kapitałów inwestycyjnych i zacofaniem technicznym, jednocześnie głodują Indie, „nędzują” miliony mieszkańców Ameryki Południowej. Według statystyk Organizacji Narodów Zjednoczonych przeszło dwie trzecie ludzkości (około półtora miliarda mieszkańców globu) permanentnie nie dojada.

Czy wobec oczywistej dziś historycznej tendencji świata do integracji, do stworzenia ogólnoludzkiej gospodarki „naczyń połączonych” ten stan rzeczy jest normalny i ma szanse trwania w nieskończoność? Nie jest moją rzeczą rozstrzyganie na tym miejscu podobnie „kosmicznych” zagadnień, zahaczających w dodatku o moralność, politykę, wojnę i przeróżne inne sprawy, od których kręci się w głowie. Stawiam tu sobie inne zadanie: odpowiedzieć w paru słowach na pytanie, jak w perspektywie zachodnioeuropejskiego dobrobytu i wschodnioazjatyckiej nędzy wygląda dziś gospodarczo mój kraj – Polska. Chcę to opowiedzieć jak najprościej i jak najobiektywniej, w myśl zaleceń kolegi Wacława Zbyszewskiego, który zarzuca publicystom polskim, że wciąż postulują, pouczają i rozdają świadectwa moralne, zamiast po prostu stwierdzać fakty i uczyć się z nich. A więc do rzeczy – *sine era et studio*.

Wyda mi się, że w dziedzinie podstawowej eksperyment komunistyczny w Polsce powojennej osiągnął sukces: udało mu się pchnąć Polskę na drogę industrializacji, produkcji przemysłowej, unowocześnienia struktury społecznej, urbanizacji, udało mu się zrealizować inwestycje produkcyjne, które wykazały się już trwałością i żywotnością. Produkcja stali, węgla, półfabrykatów i przetworów chemicznych, okrętów, maszyn, inwestycje energetyczne, uruchomienie gałęzi produkcji nigdy dotąd w Polsce nieznanych, stworzenie z niczego kadry fachowców – to są rzeczy, którymi możemy się chwalić i za które chwali nas (niejednokrotnie z entuzjazmem – patrz opinia radia BBC o naszym przemyśle stoczniowym) każdy cudzoziemski ekspert.

Jak na „komunistyczną” Polskę może to i sporo, ale w porównaniu z energią produkcyjną Zachodu to są drobiazgi – powie sceptyk. Inny znawca sceptyk stwierdzi, że bez komunizmu wszystko to dokonałoby się rów-

nież, bo taki jest przecież naturalny kierunek rozwoju ludzkiej cywilizacji materialnej. Otóż osobiście absolutnie się z tym nie zgadzam. Uważam, że w kraju tak społecznie i gospodarczo zacofanym jak Polska, pozbawionym kapitałów i kadr ludzkich, kraju, który w dodatku padł ofiarą tak specjalnych zniszczeń wojennych i tak dotkliwego wpływu krwi, kraju położonym w tym, a nie innym miejscu Europy, industrializacja nie mogłaby się dokonać bez akumulacji wewnętrznego kapitału inwestycyjnego w rękach państwa. Tę akumulację zrealizowali i wykorzystali komuniści: jest to ich zasługa historyczna, której nawet wytykając wszelkie błędy czy nieprawości, nie sposób im zaprzeczyć.

Oczywiście, że komunizm musieliśmy przyjąć „z dobrodziejem inwentarza”, to znaczy ze wszystkimi tradycyjnymi założeniami i uprzedzeniami doktrynalnymi, które częstokroć nie zdają we współczesnym życiu praktycznego egzaminu. Tak na przykład teoria „równości” społecznej sprawia, że nie sposób ustawić u nas systemu sensownych a skutecznych i wyraźnych bodźców materialnych ani usamodzielniać kierowników produkcji: wynika z tego szereg poważnych schorzeń społecznych, jak lekceważenie pracy i mienia państwowego, jak fala drobnych i wielkich nadużyć, mała wydajność pracy, trudności z modernizacją przemysłu. Dalej: państwo nie miało nic lepszego do roboty, jak wziąć sobie na głowę olbrzymi, nieruchawy a kosztowny aparat handlu uspołecznionego; rolę jego w krajach zachodnich spełnia świetnie a samoczynnie działająca sieć przedsiębiorstw prywatnych, która we Francji na przykład rozprawdza również towary produkowane przez państwo. Łączy się z tym inna bolączka: problem działalności usługowej i jej rozbudowania. Jak wiadomo, w ekonomice marksistowskiej działalności usługowej nie wlicza się do sumy dochodu narodowego, na który składa się jedynie wartość wyprodukowanego towaru. Rezultatem tej teoretycznej przesłanki jest fakt, że przybywające wciąż w Polsce ręce do pracy (milion nowych rąk do zatrudnienia w pięciolatce) lokuje się w produkcji, którą wobec tego trzeba wciąż rozbudowywać, dokonując częstokroć jedynie pod kątem zatrudnienia nowych inwestycji, mogących budzić poważne zastrzeżenia co do swej celowości i opłacalności. Miliony ludzi zatrudnionych w usługach na Zachodzie (handel, gastronomia, rzemiosło) budzą zazdrość – oczywiście łączy się to również z milionową, przynoszącą dewizy turystyką, której u nas nie ma.

Są i inne bolączki, natury bardziej obiektywnej. Stała obawa przed inflacją (która w krajach kolektywistycznych polega na zachwianiu równowagi między masą towarową a siłą nabywczą ludności) nie pozwala podnieść nie-

zwykle nieraz niskich pensji w sposób zadowalający, wobec czego w każdej rodzinie pracować musi po parę osób, co znów pociąga za sobą przerosty zatrudnienia (błędne koło).

Specjalną sytuację posiada w Polsce gospodarka rolna. Znajdując się przeważnie w rękach prywatnych (chyba około 80% ogólnej powierzchni), powiązana jest wieloma niemi zależności z sektorami państwowymi i z tej podwójnej sytuacji czerpie przeróżne profity. Chłop, czyli „producent rolno-ny”, ma się dziś w Polsce lepiej, niż miał się kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwustu lat. Z jednej strony jego sposoby zarobkowania są urozmaicone i obfitujące w indywidualne możliwości, z drugiej otworem stoi przed nim cały asortyment państwowej produkcji i państwowych świadczeń. Ciężar „pracy na dorobku”, pracy inwestycyjnej, a więc opłacalnej dopiero w skali wielu lat, niosą na sobie miasta. Ten paradoksalny nieco w socjalizmie stan rzeczy (bardzo demagogicznie interpretowany częstokroć na emigracji) ma swoje wady – lepszy jest jednak na pewno od zgubnych skutków pospiesznej, przymusowej kolektywizacji.

Tak więc, malując tu obraz w zasadzie pozytywny, nie poskapiłem cieni, które zresztą można by jeszcze mnożyć. Niektóre z tych cieni wynikają z obiektywnego układu naszej sytuacji geopolitycznej i gospodarczej, inne są rezultatem takich czy innych założeń doktrynalnych marksizmu.

W tym miejscu widzę, jak oko redaktora „Kultury”, człowieka, którego głównym *hobby* jest tak zwany „rewizjonizm”, namiętnie zabłysło. – Skoro założenia doktrynalne są złe, trzeba je zmienić! – woła. Otóż tutaj to ja jestem sceptykiem. Nie wierzę w obecne znaczenie zmiany dogmatów marksizmu z tej prostej przyczyny, że nie dzięki tym dogmatom, lecz częstokroć pomimo nich komunizm osiągnął swą światową potęgę, a Rosja rangę drugiego mocarstwa globu. Nie mówię tu, rzecz jasna, o ogromnej uczuciowej i propagandowej sugestyjności marksizmu, lecz o jego konkretnej nauce socjalno-historiozoficznej. Marks sądził, że nauka ta wybawi z niewoli proletariatu krajów zachodniokapitalistycznych, tymczasem posłużyła ona do konstrukcji „kapitalizmu państwowego” w nieuprzedmyślonych krajach Wschodu. Marks sądził, że klasą przyszłości jest biedujący proletariatu fabryczny, tymczasem w miarę automatyzacji proletariatu ten maleje ilościowo, rolę przodującą zaś odgrywać zaczyna mieszczańską z upodobaniem warstwa wykwalifikowanej inteligencji technicznej. Marks nie lubił Rosji, tymczasem ona to właśnie stała się szermierzem jego idei. I tak dalej.

Osobiście wcale się tymi „nielogicznościami” historii nie martwię. Wyprawy krzyżowe zaniósł europejski handel na Wschód, choć ascetycznym,

pobożnym krzyżowcom częstokroć ani się o tym nie śniło. Wiele ideologii i teorii, które zatrzęsły światem i pozostawiły na jego obliczu konkretne, trwałe ślady, wydają nam się dziś niedorzeczne. „Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi” – celem jest człowiek, nie teoria. Zresztą, jak wiadomo, ze zmianą dogmatów czeka się zawsze na decyzję Rzymu – zmieniać dogmaty w Warszawie byłoby herezją „ultramontanizmu”.*

Osobiście sądzę, że mało kto w Polsce, poza grupą „wierzących” przywódców i filozofów partyjnych, przejmując się na serio teorią marksizmu, od dawna nie konfrontowaną z życiem i nie korygowaną, częstokroć bezradną wobec problemów współczesnego świata. Wszyscy natomiast biorą na serio jej praktyczne, pragmatyczne skutki – dla Polski i świata. Prawdziwą szansę ewolucji systemu rządzenia w krajach Wschodu, czyli oficjalnie w krajach marksistowskich, widzę nie tyle w zmianach teorii, ile właśnie w jej osłabieniu, w pragmatyzacji spojrzenia na sprawy materialne – pragmatyzacji, którą pociągnąć musi przemysłowo-techniczna i organizacyjna rywalizacja z pragmatystycznym dziś jak nigdy Zachodem. Przykładem postawy pragmatystycznej na Wschodzie jest dla mnie premier Chruszczow. Ten człowiek na szczęście nie jest filozofem i nie napisał ani jednej książki. Po prostu ma oczy i chce z nich robić własny użytek. Empiryk – jakież to pocieszające!

Na zakończenie niniejszego testamentu parę jeszcze uwag o sugestjach politycznych wsączanych nam w Polsce z Zachodu (także i przez emigrację) – łączą się one z problemami ideologicznymi, między innymi z tak zalecanym przez redaktora „Kultury” „rewizjonizmem”. Rzecz w tym, że każdy, kto z zewnątrz i bezinteresownie chce nam zafundować zachodnią wolność i swobodne konflikty polityczne typu zachodniego, zrozumieć musi jedno: w naszym systemie czy ustroju sprawy polityczne są zarazem sprawami gospodarczymi. Francuz pracuje pilnie jak mrówka bez względu na to, czy jest gaullistą, czy komunistą, Niemiec bez względu na to, czy jest za CDU, czy za SPD – pilna praca jest bowiem na Zachodzie sprawą naturalną jak oddychanie, rzeczą poza wszelką dyskusją polityczną. U nas natomiast nawoływanie z zewnątrz do kwestionowania „systemu” wyzbyte jest wszelkiego realnego skutku poza jednym: skoro system, ustalający zakres i treść pracy każdego obywatela (a to planistyczne ustalanie stanowi właśnie istotę systemu komunistycznego) jest zły, w takim razie wszelka praca nie ma sensu. No i niektórym Polakom w to graj!

* Czyżby? A może raczej modernizm? Operując pojęciami bardziej zrozumiałymi w „sytuacji geopolitycznej Polski”, ultramontanizm to „antypartia”, a modernizm to rewizjonizm [Redakcja].

Mała wartość produkcji, czyli wysokie jej koszty wywołane niską wydajnością pracy, to jedna z walnych przyczyn naszej „niewydolności” gospodarczej. Widziałem, jak się pracuje na Zachodzie, widziałem, jak się pracuje w dzisiejszej Rosji – do lamusa odłożono tam mit o „słowiańskim lenistwie”. Byłem też w Czechosłowacji i w Rumunii. Po wszystkich tych podróżyach nabrałem obawy, że największą tendencją do bimbania i lekceważenia pracy ma niestety moja kochana Ojczyzna. Ludzie u nas lubią to zresztą tłumaczyć subtelnie, a nieraz boleśnie, względami właśnie „politycznymi”: wiadomo – winien rząd, system i brak wolności. A ja pytam: jaka to polityka, jaki rząd czy system, jaka opozycja nakazują się wyrzec narodowej ambicji i źle pracować? Eksperyment komunistyczny ma szanse powodzenia gospodarczego tylko przy pełnym solidaryzmie społecznym – to jest system solidarystyczny (znów zresztą paradoks, bo gdzież dialektyczny „konflikt przeciwieństw”?). Czy przypadkiem, łamiąc ten solidaryzm w oczekiwaniu na importowane zbawcze recepty różnych „rewizjonizmów”, nie narazimy się znów jak niedołędy i lenie na pośmiewisko świata współczesnego, który ani na Zachodzie, ani na Wschodzie Europy (Europa dla mnie rozciąga się do Uralu, nie do Łaby) nie ma dziś pobłażania dla maruderów i markierantów zarówno „politycznych”, jak i „niepolitycznych”?

A więc nie wierzy pan w żadne „zmiany systemu”, zaleca pan modlić się i pracować – powie ktoś. Przeciwnie – odpowiadam – wierzę w zmiany i ewolucję, podyktowaną choćby, jak mówiłem, koniecznościami pragmatycznymi. Nic na świecie nie jest niezmiennie, przychodzą nowe, lepiej rozumiejące współczesność pokolenia, duże nadzieje wiąże również z pokoleniową „zmianą warty” w PZPR. Ale to już sprawy bardzo wewnętrznie krajowe, o których nie będę przecież pisał w „Kulturze” – piśmie emigracyjnym.

Wiem, że zaboli kogoś lub podrażni takie rozgraniczenie na sprawy „wasze” i „nasze”, na krajowe i emigracyjne. Kiedyś śp. Andrzej Bobkowski, mój ulubiony pisarz emigracyjny, szydził z tezy, że Polak mieszkający za granicą traci prawo do posiadania ojczyzny. Otóż postawiłbym sprawę inaczej: nikt nie traci prawa do posiadania ojczyzny, wielu natomiast traci zdolność do jej rozumienia. Bowiem ojczyzna nie jest przenośnym abstraktem, lecz umiejscowionym konkretem, co zwłaszcza dziś, w epoce podziału Europy na dwa tak zasadniczo odmienne materialnie, organizacyjnie i moralnie światy, staje się rzeczą niezwykle ważną i znaczącą. Kto nie zna wcale Polski dzisiejszej, nazwijmy ją „komunistyczną”, ten nie zna ojczyzny, lecz tylko jej wizję, wizję z przeszłości. Czy to aby nie za mało, zwłaszcza jeżeli chce się na życie w ojczyźnie oddziaływać?

Weźmy przykład emigracji rosyjskiej. Zrobiła ona w świecie wiele dla Rosji – historycznej; spopularyzowała kulturę, tradycję, sztukę carskiej Rosji na całej niemal kuli ziemskiej. Ale o Rosji dzisiejszej, Rosji liczącej się politycznie emigracja ta niewiele ma świata do powiedzenia – tu więcej się liczy pierwszy lepszy zagraniczny ekspert czy nawet co bystrzejszy turysta. Smutne, ale prawdziwe.

I dlatego kończę ten mój dzisiejszy testament syrenim wezwaniem. Kole-dzy i Przyjaciele z emigracji, zwłaszcza ci, którzy chcecie nas uczyć o dzisiejszej Polsce! Nie zostawiajcie nas samych, przyjeżdżajcie z wizytami, patrzcie, słuchajcie, informujcie nas, informujcie siebie, gadajcie – to się przyda i Wam, i nam, i Polsce! Polsce współczesnej, która niestety jest tylko jedna – ta, co na mapie. Za to tradycja, kultura, sztuka, praca polska – te oczywiście mogą być wszędzie. Ale Polska to chyba nie tylko „serce”, jak to ładnie mówił w *Weselu*. Prócz serca posiadamy jeszcze dosyć sporo innych zgoła konkretnych części ciała, a te mają przecież swoje fizjologiczne prawa. No nie?

Tym jak z ulotek propagandowych „Orbisu” zaczerpniętym sloganem kończę mój „kulturowy” testament. Żegnajcie, ja ujeżdżaju!

Stefan Kisielewski

[6/1962]

Oprotestowujemy *Testament* Kisielewskiego

Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. Artykuł Kisielewskiego jest zawsze darem. Nie mówimy tego przez grzeczność: czytelnicy „Tygodnika Powszechnego” zaczynają lekturę od Kisielea, a niekiedy i na tym kończą. Jest zatem pedanterią wyławiać u Kisielewskiego niekonsekwencje, wadliwe sylogizmy, żeby nie powiedzieć: sprzeczności. Ale testament to rzecz serio, w jego niekonsekwencjach wypowiadają się poglądy i postawy rozpowszechnione w kraju, a także poza nim. Wypadnie więc przyjrzeć się testamentowi z bliska.

I

Testament zaczyna się od pytania:

„Co uderza przybysza z kraju w zachodniej Europie?” i odpowiada: „niesłychana energia produkcyjna, modernizacja i znakomita organizacja przemysłu, rozkwit rolnictwa... obraz ziemskiego »Edenu«..., gdzie... nawet najmniej zarabiający ma się nie najgorzej... *Wirtschaftswunder*... objął obecnie i Francję, i północne Włochy, i inne kraje Zachodu..., trans coraz intensywniejszej działalności produkcyjnej”.

Kisielewski opisał wcale dokładnie, co uderza każdego przybysza z kraju, w stopniu silniejszym niż nas, zasiedziały bądź co bądź w dosytach tego, mówiąc z niejaką przesadą – „ziemskiego Edenu”.

Tym mocniej brzmi w *Testamencie* oskarżenie:

„A jednocześnie 700 milionów Chińczyków boryka się z głodem, jednocześnie głodują Indie... Czy ten stan rzeczy jest moralny i ma szanse trwania w nieskończoność?”

Z pewnością nie „jest” i nie „ma”. O tym nie tylko publicyści, ale i mężowie stanu krzyczą na wszystkich dachach, a mimo to wyzwoleni przez ko-

munizm Chińczycy i nie wyzwoleni Hindusi w dalszym ciągu głodują. Co, bezsprzecznie, jest i hańbą, i skazą współczesnych edenów.

Porzućmy egzotyczny teren, bo jak słusznie autor *Testamentu* zauważa, wciągnie to nas w gąszcz spraw nieprzebranych. Zacytowaliśmy Chińczyków i Hindusów tylko dlatego, że tą okrężną drogą dociera Kisielewski z Zachodu do Polski: „Jak w perspektywie zachodnioeuropejskiego dobrobytu i wschodnioazjatyckiej nędzy wygląda dziś gospodarczo Polska?”

Otóż to: w powyższym sformułowaniu zostały z góry wyznaczone korelacje i korelacje Polski na mapie gospodarczej świata. W ten sposób została aluzyjnie podszeptana stara mistyka geograficzna. Prześwituje ona i w dalszych artykułach *Testamentu*. Swoista mistyka, przesuwająca się z każdą długością geograficzną: „Jak na wschodnią Europę” – mawiają na przykład postępowcy francuscy; „Jak na dzicz moskiewską” – myśli co drugi postępowiec polski; to samo rosyjski o Chinach, chiński o Tybecie i *vice versa*. Fakty przeczą tej geozofii: na przykład w przeludnionej Japonii ludzkość nie „boryka się z głodem”, a na odmianę na Kubie wprowadzono kartki żywnościowe.

Aby wyjść ze strefy zmańczonych pojęć, wypadnie sprowadzić pytanie Kisielewskiego do prostej postaci: jak wygląda dziś gospodarczo Polska?

II

„Wydaje się, że w dziedzinie podstawowej eksperyment komunistyczny w Polsce powojennej osiągnął sukces” – stwierdza na wstępie Kisielewski, po czym wylicza imponujące osiągnięcia uprzemysłowienia i urbanizacji w Polsce, którym nikt przytomny nie przeczy.

O stronicę dalej szkicuje obraz „fali nadużyć”, „trudności z modernizacją przemysłu”, „niecelowych i nierentownych inwestycji” i tym podobne.

„Stała obawa przed inflacją – pisze – (która w krajach kolektywistycznych polega na zachwianiu równowagi między masą towarową a siłą nabywczą ludności) nie pozwala podnieść niezwykle niskich nieraz pensji w sposób zadowalający”.*

Kisielewski w istocie „nie poskąpił cieni”. Ale nic tu rewelacyjnego. Słaba to odbitka panoramy absurdu gospodarczego, permanentnych reorganizacji,

* Otóż to: stała obawa inflacji nie przeszkadza zachodniemu kapitalizmowi nieustannie podnosić wysokich pensji właśnie dlatego, że tam masa towarowa stale przekracza siłę nabywczą ludności, a i po to, by ją stale nadal przekraczała – w przeciwieństwie do świata komunistycznego, gdzie dzieje się odwrotnie [Redakcja].

marnotrawstwa, brakoróbstwa, malwersacji jako „komplementarnych” składników życia gospodarczego – panoramy, jaka wyłania się na co dzień z lektury prasy polskiej, rosyjskiej, czeskiej, wschodniemieckiej, z wystąpień przywódców (patrz przemówienie Tito w Splicie z 6 maja bieżącego roku).

„Mała wartość produkcji – cytujemy *Testament* – czyli wysokie jej koszty, wywołane niską wydajnością pracy – to jedna z walnych przyczyn naszej »niewydolności« gospodarczej”.

Powtarzając ulubiony zwrot Witosa: jeżeli jest tak dobrze, czemu jest tak źle?

III

„Jak na komunistyczną Polskę, może to sporo”, mówi o osiągnięciach sceptyk z *Testamentu*, wcale rozsądnie. Ale Kisielewski odbiera mu głos i spieszy z argumentem obiegowym, a przeto i wymagającym chwili zastanowienia.

Według Kisielewskiego, wejście powojennej Polski na drogę industrializacji stało się możliwe właśnie i tylko dzięki temu, że władzę objęli komuniści:

„...że w kraju tak społecznie i gospodarczo zacofanym jak Polska, pozbawionym kapitałów i kadr ludzkich... industrializacja nie mogłaby się dokonać bez akumulacji wewnętrznej kapitału inwestycyjnego w rękach państwa”.

Jeżeli nawet tak było – a tak, naszym zdaniem, nie było – jak długo ma ciążyć na mieszkańcach świata komunistycznego przekleństwo zacofania? „Eksperyment komunistyczny” trwa niespełna pół wieku, w samej Polsce – bez mała lat dwadzieścia. Gdyby Kisielewski poszerzył swoje kształcące wojaże, przekonałby się, w jakim tempie narody zacofane i bez kapitału wychodzą – w naszej dobie rewolucji przemysłowej – z zacofania i akumulują kapitał, o ile im struktura gospodarcza i społeczna nie przeszkadza. To znaczy, o ile jest naprawdę pragmatyczna. Przebieg akumulacji zmienił się nie mało od czasów Marksa i Dickensa.

A jeżeli nawet teza Kisielewskiego była słuszna na początku, to czy z tego wynika, że na przykład Polska, skoro przewycięży zacofanie i uciula dość kapitału, wymieni model „niewydolności gospodarczej” na bardziej wypróbowany, który już teraz zapewnia ludności „wysokie pensje”, „olbrzymią podaż towarów konsumpcyjnych”, „modernizację i znakomitą organizację przemysłu, rozkwit rolnictwa...”, trans coraz intensywniejszej działalności

produkcyjnej”? A może Kisielewski wyobraża to sobie w czytankowym wydaniu „współzawodnictwa pokojowego”: oto w roku 1980 granice się otworzą, ludność globu zbierze się; powojują się – powie „empiryk” i „symbol pragmatyzmu, premier Chruszczow” – popatrzcie sobie, pogadajcie i wybierzcie, który model lepszy?

Zarty na bok. Gdyby Kisielewski zastanowił się pragmatyczniej nad swoimi podróżami, musiałoby go uderzyć nie tylko bogactwo Zachodu, ale zagadka: jak to się stało, że w Czechosłowacji na przykład, przecież niegdyś bogatej, od dawna pragmatycznej, posiadającej i kapitał, i wzorowy przemysł, i kwitujące rolnictwo, i wykwalifikowane kadry, i zamożną ludność – po piętnastu latach komunizmu wprowadzono kartki żywnościowe, i – trzeba trafu – w dniu, w którym *Testament* został spisany, ostrożny na ogół w dobieraniu wiadomości „Monde” pisał o rozruchach na uniwersytecie w Pradze – z powodu braku mięsa.

A skonfrontujmy gospodarki wschodnio- i zachodnioniemieckie. I tu, i tam ci sami Niemcy; fachowcy, niestety, we wszystkim; i tu, i tam zaczęli od ruin; i tu, i tam wspierani przez możliwych protektorów, z których jednemu tak zależało i musiało zależeć na utrzymaniu „okna wystawowego” na Zachód, że nawet niedożywioną Polskę bierutową przymuszał do wymiany między innymi ton szynki na tomy dzieł Stalina, w przekładzie niemieckim.

Doprowadzić naród tak gospodarny, aż tak obskurnie zamiłowany w porządku i dobrej robocie do tak mizernej egzystencji – to dopiero, a nie sputniki, daje miarę wielkości dzieła Lenina–Stalina.

A sama Rosja, którą Kisielewski–turysta także zwiedzał – czyż nie powinna go była zastanowić: olbrzymie imperium, najzasobniejsze w dobra naturalne, które od lat czterdziestu pięciu „akumuluje” za cenę bezprzykładnej w nowoczesnej Europie biedy mas pracujących, w której „wszystkie wielkie budowle socjalizmu” wzniesiono na ludzkich kościach, a „symbol pragmatyzmu” wciąż musi poganiać sto swoich narodów nadwerżoną obietnicą, że „dogoni i prześcignie” w dobrobycie Amerykę. Już nie w kolejnej pięciolatce, jak to ciągle zapowiadał jego mistrz, ale za lat dwadzieścia. Czy pragmatyzm polega tu na ostrożniejszej rachubie lat dzielących od utopii?

Fantastyczne sputniki, moc produkcyjna, mocarstwowa potęga zbrojeń – to zapewne olśniło Kisielewskiego w czasie jego wojażu. Ale jak dotąd, system ten dał tradycyjny dla Rosji – ale w takim stopniu i wymiarach nieznany w historii – wzór potęgi militarno-gospodarczej państwa przy niedostatku jego poddanych. „Co z fortocy, gdy w niej głodno” – pisał zapomniany filozof, ziomek i rówieśnik Kanta, Hamann.

Gdyby Kisielewski nie gardził teorią, zdałby sobie sprawę z fundamentalnej różnicy między wprowadzaniem pragmatycznych, naukowych technik, procedurów, urządzeń do tych dziedzin i odłamów gospodarki, gdzie utrzymanie parytetu konkurencyjnego z „wrogiem” jest sprawą życia i śmierci (zatem dziedzin związanych ze zbrojeniami, czyli wydatkami nieprodukcyjnymi), a oparciem całokształtu gospodarki narodowej na podstawach pragmatycznych, naukowych – po prostu: racjonalnych, naturalnych i gospodarczo celowych.

I nie „empiryk” Chruszczow, ale dogmatyk Stalin rozpoczął ten proces częściowej i wybiórczej pragmatyzacji, nazajutrz po Hiroszimie zdejmując anatemę z badań nuklearnych, mobilizując do tego celu nieograniczone środki finansowe, zasobowe, ludzkie i represyjne (sam Beria stanął na czele sowieckiej agencji atomowej), aby – tu już bez humbugu – dogonić i prześcignąć Amerykę. Dogmatyk Stalin był zawsze pragmatystą w polityce w ogóle, a w międzynarodowej w szczególności, i to pragmatystą nieprześcignionym, gdy na przykład zawierał pakt z Hitlerem, może już wtedy przekonany, że prawdopodobniejsze są wojny między „imperialistami” niż ich wojna przeciwko ZSRR.* Symbol pragmatyzmu zbiera tylko jego posiew.

Nietrudno się domyślić, że Kisielewski należy do nazbyt licznych w świecie polityków, którzy dobremu Chruszczowowi–pragmatyście chcieliby pomóc przeciw złemu Mołotowowi–dogmatykowi. Jak gdyby tamten potrzebował ich pomocy i jak gdyby rola wymienionych jednostek w Historii nie była wymienna.

IV

Dziwny ten dzisiejszy polski „pragmatyzm”. Zaszczepiony na tradycyjnej u nas niechęci i nieufności do idei. Gdzie indziej pragmatyzm to w pierwszym rzędzie swoiste przemyślenie myśli, odsiewanie idei nieskutecznych i urojonych od prawidłowych. W Polsce pragmatyzmem zowie się parafialny praktycyzm. Rzecz inna, że w dzisiejszej Polsce wstręt do ideologii ma inny żywiołowy sens: fala narodowego wstrętu do wiadomej ideologii (ideolo) wyrodziła się we wstręt do ideologii w ogóle, zatem i do idei, do

* Porównaj przemówienie Stalina na XIX Zjeździe w 1952 roku [Redakcja].

intelektu i intelektualistów – i natrafiła na tradycyjne łożysko, co nadaje jej szczególną dziś siłę i zjadliwość.

Nie zwalnia to przecież polskiego intelektualisty, zwłaszcza polityka, od obowiązku myślenia o ideologiach, od ich *przemyslenia*.

Nieufność Kisielewskiego do „ideolo” sprawiła zapewne, że miesza święte teksty doktryny z ideologią, a jedno i drugie – z *praxis* systemu. Obycie z historią pozwoliło mu odkryć (z okazji krzyżowców), że idee stają się niekiedy przewodnikami faktów wręcz im przeciwnych. Ale gdyby więcej czasu poświęcił historii doktryn, byłby sobie zapewne przypominał, że na przykład wielka schizma XI wieku, która zrodziła prawosławie, które zrodziło cesaropapizm, który zrodził (z nałożnicy obcego rodu albo zgoła i „bez rodu”) panujący dziś Polakom komunizm – że schizma owa, która wybuchła u szczytu potężnych konfliktów ówczesnego Wschodu i Zachodu, legitymowała się sporem o literę. Podobnie jak raskoł rosyjski powstał z małych różnic w tekstach liturgii, z żegnania się dwoma czy trzema palcami, i w imię tych śmiesznych dla nas różnic apostołowie jego szli ochoczo w ogień.

Wtedy może by i autor *Testamentu* łatwiej zrozumiał, że w komunistycznej cerkwi, zakładającej szczerłą jedność teorii z praktyką, raskolnicze czy – jak to się mówi – talmudyczne różnice formuł i egzegez stanowią obowiązujący kamuflaż wszelkich zmian. A także wszelkich stabilizacji, każdego postępu, a także każdego regresu. I nie tylko kamuflaż, ale i katechizm działania. Ba! Stanowią pośrednio o doli i niedoli setek milionów ludzi im poddanych. Tylko dlatego nawołujemy Kisiela, by interesował się sporami rewizjonistów i dogmatyków, bo przecież nie z gustu do nich: są w obecnej ich postaci zniewolonej i „błagonadiożnej” rzeczywiście antypatyczne. I śmiertelnie nudne.

Jesteśmy zresztą najdalsi od absolutyzowania pojęcia „rewizjonizmu” i „dogmatyzmu”. Jest się jednym albo drugim względem czegoś i kogoś, a od 1953 roku każdy myślący komunista jest jednocześnie i rewizjonistą, i dogmatykiem.

Rola tych wewnętrznych sporów jest w Polsce szczególnie doniosła. Nie ma żadnych podstaw do odmówienia Gomułce osobistej wiary w marksizm oraz szczerych intencji socjalistycznych. W przeciwieństwie do innych przywódców w kontrsocjalistycznym sowieckim bloku, w Polsce popaździernikowej fakty i ich racjonalne interpretacje nie utraciły wagi argumentacyjnej. Co w obecnej koniunkturze światowego komunizmu i przy niepomniernie większej niż do niedawna swobodzie manewru wewnątrz obozu nadaje niemałą doniosłość – w sa-

mej Polsce i dla Polaków – wszystkim postaciom rewizjonizmu, od półoficjalnego po rozsiane i odosobnione, ale coraz liczniejsze jego ogniska w partii.

A jednak powstała dziś w Polsce sytuacja karykaturalna: gdy koniunktura w świecie komunizmu sprzyja dziś – jak nigdy dotąd – racjonalnemu poszerzaniu i pogłębianiu swobód Października, Polska gomułkowska w dalszym ciągu cofa i hamuje osiągnięte już swobody. Jej polityka wewnętrzna i zewnętrzna przypręgła się na dobre do „przyjaciela” – Chruszczowa, a basują temu najgłośniejsi katolicy publicyści z „Tygodnika Powszechnego”!

Chociaż zakneblowana, myśl rewizjonistyczna w Polsce przebija sobie nieodparcie drogi i dróżki, a nie znajdując filozofów, gada mową szamanów. Tak się zresztą zwykle dzieje w warunkach zniewolenia nie dość szczerłego (nie dość stalinowskiego). Można by tu cytować i cytować z prasy i książek komunistycznych. Na międzynarodowej zresztą scenie komunistycznej odbywa się, jak widać, *strip-tease monstre* i coraz liczniej wypadają na nią korowody nowych przebierańców i rozbierańców, niekiedy nawet figury najmniej w tej roli spodziewane.

Żywiolowe rozpelzanie się wynaturzonej przez mimikry i podstęp myśli rewizjonistycznej dzieje się z uszczerbkiem nie tylko dla myśli polskiej, gdzie młody rewizjonizm w okresie Października zabłysł tak świetnie i oryginalnie – jedyna w kraju laicka myśl postępową – ale także i ze szkodą dla funkcjonowania samego ustroju. Nie poradzi on sobie z hydrą rewizjonizmu żywiolowego i wynaturzonego. Cenzura bywa społecznie skuteczna, gdy asystuje jej Miecz Karzący i Żelazna Miotła – dziś bezpowrotnie wymiecione na tak zwany śmietnik Historii.

Partijni cenzorzy zdają się dziś mówić do intelektualistów – pisarzy, filozofów, historyków:

Możecie pisać – niezależnie i samodzielnie – wszystko o wszystkim, bo i my już wiemy, że to stanowi o sytuacji intelektualisty. Wszystko o wszystkim, z wyjątkiem jedynie podstawowych spraw i zagadnień bytu narodowego, jego fundamentów i wyboru drogi w przyszłość: nic tu po was – tu narodowi potrzebni są wyłącznie chwalczy tego, co myśmy założyli i zakładamy. Wszystko o wszystkim, z wyjątkiem przeszłości, która was kształtowała: tu opracowaliśmy dla was wzorki kaligrafii. Ale za to puściliśmy was na dobre pastwiska: awangarda i nieawangarda, białoszezwyszczyna i czarnoksięstwa stylu, jasny świat dzieciństwa i ciemne marginesy społeczne. Tyle

swobód! Dlaczego więc sprzeniewierzacie się tradycjom narodowej społeczności literatury? Dlaczegoście tacy miały, że i naród bez was się obejdzie, mając Mickiewicza i Żeromskiego?

Słowa nasze, ale ich dialektyka.

*

Mówiliśmy o doniosłości polskiego rewizjonizmu dla Polski i Polaków. Nie tylko. W innych państwach, zwłaszcza w ZSRR, ferment polski natrafia na podatne mu jednostki, koła i grupy, coraz liczniejsze w miarę nieuchronnego postępu kryzysu w komunistycznym świecie. A ponieważ polska odmiana jest i mniej wykorzeniona z twórczych jeszcze tradycji myśli marksistowskiej, o wiele dojrzała i po prostu sprawniejsza, przeto – gdyby jej nie zatłuczono – mogłaby donieść i pozytywnie wpływać na rozwój wypadków. Ponieważ wszystko to dzieje się w jednej, choć rozległej rodzinie, i ponieważ, w dobie naszej, mikro- i makrokosmos polityczny są ze sobą wielorako przeplecione, a w siatce historycznych determinacji nie sposób dziś ustalić, co jutro okaże się ważne, a co przypadkowe, więc – tak się stać może, że działanie ideologiczne Polaków w jakimś tam, choćby i małym, stopniu uchroni, damy na to, świat od niewesołej perspektywy przebudzenia się w obliczu rosyjskiej autokracji wojskowej, ku czemu siła faktów i tradycji pcha tę „cytadelę socjalizmu”? Uczyni to poprzez zachętę, wzmocnienie, ugruntowanie analogicznych (rewizjonistycznych, pragmatycznych i wolnościowych) dążeń i ruchów w cytadeli?

Brzmi to przesadnie i autor *Testamentu* pewno się tu z nas dobrze uśmieje. Choćbyśmy się wycofali z domniemań aż tak ryzykownych, trzeba nie wierzącemu w skuteczność idei (i emigracji) Kisielewskiemu znowu przypomnieć, że na przykład Hercenowski „Koło” zaważył na losach Rosji o wiele bardziej niż dywizje, a gdyby nie garstka inteligentów z przedrewolucyjnej emigracji rosyjskiej, być może że i sam Kisiel byłby dziś generalnym sekretarzem Stronnictwa Liberalnego i prezesem Stowarzyszenia Wolnomysłlicieli w Polsce neokapitalistycznej.

V

Żarty na bok. Oskarża nas Kisielewski, że to właśnie my, „Kultura”, przeszkadzamy gospodarczej rozbudowie Polski. Że mówiąc, iż ustrój jest zły, skłaniamy Polaków do bumelanctwa, brakoróbstwa, siucht (jak gdyby na

emigracji wynaleziono ten szkaradny żargon do szkaradniejszych zjawisk). Bo Polakom tylko „w to graj”:

„U nas natomiast nawoływanie z zewnątrz do kwestionowania »systemu« wyzbyte jest wszelkiego realnego skutku, poza jednym: skoro system, ustalający zakres i treść pracy każdego obywatela (a to planistyczne ustalanie stanowi właśnie istotę ustroju komunistycznego)* jest zły, w takim razie wszelka praca nie ma sensu”.

Kilka zdań dalej pisze trzeźwiej: „Ludzie u nas lubią to tłumaczyć... względami właśnie »politycznymi«: wiadomo, winien rząd, system, brak wolności”. Skoro „ludzie u nas” lubią – cóż temu winna „Kultura”? Rzecz jednak komplikuje się: bo właśnie to oskarżenie, tak ciężkie, chcieliśmy skierować pod adresem Kisielewskiego. Sprawa prosta. Wszyscy „podróżnicy”, a i dyskutanci w samym kraju, stwierdzają ospałość w wielu dziedzinach i środowiskach, przy ogromnej masie rozstrzelonych i konwulsyjnych wysiłków, jakąś apatię, klimat zniechęcenia. Odbyta ostatnio narada w sprawie tak zwanych bodźców ekonomicznych stwierdziła ich małą, mimo ciągłych poprawek, skuteczność. Otóż, zjawisko apatii publicznej i wybujałej zapobiegliwości prywatnej wynika w pierwszym rzędzie ze zbiorowego poczucia beznadziei. I tu właśnie wojażerowie typu Kisielewskiego pogłębiają owo poczucie zniechęcenia uporczywie powtarzanym sloganem: „niezachwiany monolit”. Czyli potęgą, nic się dla nas zmienić nie może poza tym, czym nas pragmatysta Chruszczow uraczy; *point de revues*, Bóg jest z mocnymi batalionami, jak to niegdyś mawiano.

Nie trzeba więcej, by pobudliwych rodaków popchnąć silniej po równi pochyłej społecznej apatii. I na odwrót, wykazując, że wszystko zawsze się zmienia, że imperium pomimo potęgi wykrusza się na oczach – i stwierdzając to nie ku pokrzepieniu serc, ale zgodnie z prawdą – być może w jakimś tam stopniu obudziłoby u „ludzi” w Polsce silny u nich bądź co bądź bodziec patriotyzmu: ustroje przemijają, a Polska zostanie?

Nie jesteśmy wyznawcami polityki „im gorzej, tym lepiej”. Przeciwnie: zrobilibyśmy wszystko, co w naszej mocy, by skłonić ludzi w kraju do rzetelnej i dobrej „pragmatycznej” roboty, jesteśmy gotowi drukować każdy rzeczowy artykuł na te tematy (byle nie „agitkę”). Obserwujemy z odrazą deprawację gospodarczą, nie kończące się procesy „podziemia gospodarcze-

* Nie tylko: usiłuje też ustalić „zakres i treść” życia duchowego każdego obywatela. Co dla katolickiego działacza jest sprawą niemal ważną: „nie samym chlebem człowiek żyje” – powiedział Dudincew [Redakcja].

go”, których opisy wypełniają prasę krajową. Ale jeżeli w kraju fachowcy zmuszeni są poprzestawać na opisie objawów, my stąd możemy dociekać przyczyn choroby. Korupcja nie jest, jak wiadomo, osobliwością polską, przeżera wszystkie państwa komunistyczne od samego początku, a najwymyślniejsze jej machinacje zostały importowane do Polski wraz z „modelem” oraz obłąną filozofią: *blat wysze sownarkoma* – z samego ZSRR. I co tu wyróżnia zaszczytnie Polskę gomulkową: że w nieporównanie większym stopniu ujawnia i szczerze usiłuje zwalczać korupcję, marnotrawstwo, złodziejstwa – w przeciwieństwie do „okresu błędów i wypaczeń” i do innych państw obozu, gdzie z dawna odkryto, że korupcja nie tylko wynika z błędnego koła niskich płac i złej pracy, ale że nadto ułatwia rządzenie i gospodarowanie terrorem, a co więcej: przy drobiazgowej siatce ukazów, zakazów i nakazów, przy scentralizowanym i ciągle gmatwanym układzie reglamentacji, kontroli, rekontroli całego życia, korupcja jest nie z bę d n a, by uchronić mastodontowy organizm od paraliżu. Toteż w innych państwach bloku przyczyna się tylko jej co żywsze przerosty, powyżej mniej lub więcej regulowanego poziomu tolerancji.

Gdy w państwach demokratycznych malwersacje, kradzieże, korupcja bywały i bywają ogniskowe, koniunkturalne, chociaż nieraz monstrualne, to pod komunizmem – i to wszędzie bez wyjątku – korupcja rozlała się u podstawy bytu gospodarczego. Oraz przeplata go. Jeżeli to są wciąż relikty kapitalizmu – po czterdziestu pięciu latach wypalania ich z życia i świadomości – to: każdy ustrój ma taki kapitalizm, jaki sobie był wychował.

Nie ma nic chyba bardziej zniechęcającego do rzetelnej pracy niż poczucie jej daremności. Poczucie to powstaje i wzmacnia się, gdy „ludzie” nieustannie stwierdzają nazbyt słabą w stosunku do nakładu ich wysiłków poprawę swego bytu. W krajach demokratycznych nożyce te regulują się samoczynnie, między innymi za pomocą strajków, które, jak wiadomo, w krajach „socjalizmu naukowego” są zakazane i uniemożliwiane. Ale zniechęcenie to zakorzenia się jeszcze głębiej, gdy ludzie widzą wokoło marnotrawstwo, gwałt polityki nad celowością gospodarczą, cyniczną korupcję przełożonych – administratorów, kierowników, działaczy, kult niekompetencji, absurdy gospodarcze.

Chyba tylko ze względów dydaktycznych Kisielewski stawia Polakom za wzór Rosjan, ba! – Rumunów. Bo największy ostatnio przyrost produkcji, nie tylko w rolnictwie, wykazuje właśnie Polska. Co więcej, liczni „podróżnicy” stwierdzają, że i w psychologii ogółu zawiązuje się nieśmiało jakaś – słaba i chwiejna – zmiana, powstaje jakieś ogólne poczucie małego, ale

uchwytnego wzrostu standardu życiowego – pomimo ustrojowych zahamowań i bałaganu. Polska w pierwszym rządzie zawdzięcza to polityce nieupierania się przy absurdalnej gospodarczo kolektywizacji rolnej. Można by z tego wysnuć wniosek, że „ludzie” nie słuchają propagandzistów „monolitu”, zwłaszcza tych, którzy są najmniej do takiej propagandy powołani?

VI

O co wszystkim chodzi? Przynajmniej o zachowanie reszty tych swobód, które wyróżniają Polskę w bloku: osiągnięć Października. Zdajemy sobie sprawę z bezcenneści tych zdobyczy, od rolnictwa aż po malarstwo abstrakcyjne. Ale jak je zachować w nieufnym i niechętnym „otoczeniu” komunistycznym? Oto pytanie! Aby móc odpowiedzieć, trzeba zawrócić do ich genezy:

Po pierwsze – w cztery miesiące po wypadkach poznańskich, kiedy to polska władza robotnicza strzelała do robotników, 20 października 1956 roku „symbol pragmatyzmu” Chruszczow i dogmatyk Mołotow odlecieli z Warszawy z niczym, a Warszawa uniknęła losu Budapesztu. Bo oto najwierniejsi z wiernych wymówili posłuszeństwo; sekretarz warszawski uzbroił robotników, młodzież i ogół komunistów, rzeczywiście tym razem w awangardzie narodu, gotów był zagrozić drogę sowieckim tankom. Jak to się stać mogło? – o tym za wiele by mówić; wypadłoby spojrzeć wstecz na początki ruchu komunistycznego w Polsce i jego dramatyczne perypetie.

Jeżeli Warszawa uniknęła masakry budapeszteńskiej, to głównie dlatego, że dogmatycy oraz pragmatyci moskiewscy stwierdzili, że nie mają kim tu rządzić; aparat i „narzędzie” zawiodły kompletnie, a z nielicznych wiernych kreatur nie dałoby się sklecić nawet takiej ekipy, jak kadarska na Węgrzech.

Po drugie – Rosjanie są dobrze obeznani z dziedzicznym irredentyzmem ogółu Polaków. Rosja ma co prawda „pragmatyczną” i wypróbowaną technikę dławienia buntów, ale co innego sporadyczne rokosze, a co innego ciągle, nie wygaszony opór całego narodu. Jak to skutecznie działa na Rosję, świadczy przykład Finlandii. Pamięć wojskowej kompromitacji Czerwonej Armii z roku 1940 i perspektywa zacieklego oporu skłoniły zapewne Stalina do rezygnacji z zaboru, „pragmatycznie” chyba możliwego w euforii ówczesnej przyjaźni anglosasko-sowieckiej.

Z okazji tych uwag łatwo nas posądzić o podsycanie w kraju i tak już nadmiernego szowinizmu i kompleksu antyrosyjskiego. Jesteśmy od

tego jak najdalsi. Na odwrót, uważamy ten kompleks za „ciężki garb” narodowy i w naszych publikacjach daliśmy temu nieraz dowody. Ale jest rzeczą pożyteczną, godziwą, a nawet konieczną, by na Kremlu zdawano sobie zawsze sprawę z potencjału polskiego oporu wobec wszelkiej obcej tyranii, skądkolwiek przychodzi.

Brzmi to gołosłownie, i postaramy się poświęcić tym trudnym sprawom specjalny numer. Na razie sformułujmy nasz punkt widzenia w dwóch zdaniach. Naród polski doznawał od Rosjan ogromnych krzywd; ciężar ich, jako też przynależność do dwóch odrębnych, w dużej mierze przeciwstawnych kultur powodują, że ogół Polaków ma dla ogółu Rosjan (i dla Rosji) nienawiść oraz pogardę – dwie namiętności, które zaciemniają i wypaczają polskie widzenie Rosji i jej swoistej, i wielkiej, choć dla Polaków odpychającej, kultury. I odwrotnie, ta zasłużona, niestety, nienawiść, i niezasłużona, ale obronna pogarda Polaków, a być może i własne ich podświadome poczucie winy wywołują u Rosjan analogiczne i odwetowe uczucia. Pięknie, ślicznie! – ale właśnie rzeczą intelektualistów, zwłaszcza gdy są na domiar politykami, jest odsiać rachunek krzywd dzisiejszych, które się Polakom jeszcze dzieją, a jeszcze bardziej – zagrażają, od rozpamiętywania spraw dawnych, zupiorzałych od złych namiętności. To znaczy, należy: 1) nie gasić w Polsce zacieklego oporu przeciw politycznej dominacji Rosji i przeciw zaszczerpieniu obcej nam, rosyjskiej czy z rosyjska bolszewickiej, kultury, 2) natomiast rozładować nienawiści plemienne, odwetowe oraz lekceważenie, pogardę. Granica trudna do wytyczenia, ale odkąd to polityka w czasach trudnych była łatwa?

Wyda się, że politycy katoliccy, za cenę pozbycia się plagi bolszewickiej dominacji, nie bez ulgi pogodziliby się z dominacją Rosji, pragmatyków, empiryków? – stare to zresztą nałogi polskiej myśli endecko-katolickiej.

Po trzecie – całe doświadczenie półwiecza wskazuje, że bolszewicy odstępują od ofensywy, wyłącznie gdy muszą, pod presją faktów i okoliczności, oporu zbiorowości, a niekiedy i jednostek. Tak przynajmniej było i jest dotąd. Co więcej, każde odstępianie od ofensywy traktowane jest jako „piere-dyszka”, i tak jest od Lenina po Chruszczowa, niezależnie od wszystkich, wcale zresztą istotnych, zmian. Nauczyli się rachować w kategoriach co najmniej dziesięcioleci, „mogą czekać” – w każdym razie wydaje im się, że mogą – aż owoc dojrzeje.

Ale: po czwarte – sytuacja w samej „cytadeli” potężnie się tymczasem zdegradowała: odśrodkowe siły, presje mas i grup, rywalizacje wódzów i ich klienteli oraz nieprzewidywalne pod komunizmem sprzeczności między si-

łami wytwórczymi a stosunkami wytwórczości. Nikt dziś nie jest w stanie rozumnie przewidzieć, w którą stronę to wszystko się obróci, dzisiejszy stalińczyk może się okazać jutrzejszym rewizjonistą i *vice versa*; jedyna technokracja, która tam się politycznie liczy, to technokracja sprawowania władzy, czyli aparat partyjny; młodzież – jak to młodzież – prędko się starzeje i nie ta młodzież, na którą z nadzieją spoglądają zachodni postępowcy, przygotowywana jest i powoływana do zmiany warty w rządzeniu; a i wojsko zapewne jest jeszcze wielorako rozdarte. Pomimo to i dlatego pod oficjalną drętwą powłoką dzieje się tam potężnie, a w tym burzliwym pod lodem strumieniu imponderabilia mogą uzyskać nieobliczalną wagę. Tak czy owak, Rosja jest na rozdrożu, na razie królestwo władzy jest tam olbrzymim polem manewrów. Toteż polityk, który zaufa „monolitowi” i na nim oprze swoje rachuby, ostatek się w „durakach”. Czyli wystrychnie się na dudka.

Wreszcie – także i w Polsce – sytuacja się zdegradowała. Zawód i zniechęcenie, zobojętnienie, powiedzmy po ludzku: zmęczenie, zwłaszcza inteligencji, po zbyt zapewne wybujałych nadziejach, pseudokonsolidacja partii za cenę ospałego zresztą neooportunizmu, dyktatorskie kaprysy i nałogi u szczytu, relikty – tamże – obumierającej Doktryny w świadomości, samobójcze zainstalowania u steru baronów moskiewskich (jak to oświeciła sprawa Hollanda), równia pochyła mniej i więcej dobrowolnych ustępstw, liczenie na „przyjaciela” – Chruszczowa; dalej okłapnięcie i reprivatyzacja lewicowych intelektualistów, kieszonkowy jezuitizm nonkonformistów katolickich, cała filozofijka „byłe polska wieś spokojna”, która tumani życie społeczne i intelektualne kraju – wszystko to sprawia, że Polska jest dziś politycznie uboga. I słaba, słaba, słaba. Że może się niechcący wykierować na drogę coraz szybszej utraty resztek zdobytych swobód. W przeciwieństwie do mimo wszystko postępującej, pod presją i z ogromnymi oporami, względnej i częściowej liberalizacji w Rosji. Czy taka sprzeczność jest możliwa? Gdy w Rosji uduszono Berię, w Rumunii terror rozszalał się na dobre! Bo im więcej „pragmatyści” zmuszeni są liberalizować u siebie, tym oporniej tolerują liberalizację w bratnich republikach. A symetrii tu nie ma: im bardziej liberalizują się bratnie republiki, tym więcej trzeba liberalizować i w ZSRR. I z tego niesymetrycznego „prawa natury” komunizmu trzeba wyciągać wnioski.

VII

Mówiąc powyżej o szamanach, mieliśmy na myśli dawnych aktywistów stalinizmu, którzy dziś harują na peryferiach. Sytuacja jest lepsza, niż się wydaje, jak świadczy nadesłana z kraju poważna analiza („Kultura” nr 6/176 – czerwiec 1962)*.

Rzecz w tym, że w Październiku partia była zmuszona przywrócić do głosu i wpływów poważnych fachowców – uczonych, ekonomistów, socjologów, technologów. Czyniła to wtedy z zapalem, później, niestety, z coraz kwaśniejszymi humorami. Niedawna dyskusja w „Przeglądzie Kulturalnym”, głosy Kotarbińskiego, Zonna, Infelda, wskazują, że temperatura znów osiągnęła tu stopień krytyczny. Ale zmiażdżono dyskusję udrętwioną znów mową urzędowych „klajstrowaczy”.

Zjawisko to występuje również w Rosji, a jeżeli brać pod uwagę różnicę startu, trzeba stwierdzić, że Rosjanie przebiegli tu większy dystans.

Ale obok tego, w Polsce występuje inne zjawisko, które gdzie indziej jeśli zachodzi, to – na razie – dorywczo i bez większego znaczenia. Oto działacze partyjni, którzy poprzez partię doszli do wiedzy i uprawy nauk, a nawet co rzetelniejsi administratorzy, którzy w codziennej praktyce stają oko w oko z problemami administrowania, raz zdjawszy końskie okulary doktryny, tak się wciągnęli w „dobrą robotę”, że przestają dbać o nadrzędny cel polityczny: o monopol dominacji politycznej.

Tu zapewne tkwi główne źródło nieuchronnie narastającego konfliktu najsprawniejszego dziś odłamu partyjnych uczonych i administratorów z kierownictwem, które nie chce i nie umie (albo jedno i drugie) wygramolić się z kolein drętwej myśli leninowsko-stalinowskiej.

„Gdybym to ja był Panem Bogiem” – jak pisał Rzecki w *Lalce* – sprawiłbym, aby w kierownictwie zrozumiano te procesy dziejowe i korzystano z niemałych dziś możliwości manewru w świecie komunistycznym. „Ale co tu gadać na próżno” – jak wzdychał tenże Rzecki.

Faktem jest, że dzisiejsza konsolidacja w partii jest pozorna, jak wynika z cytowanej analizy. A poczcziwi publicyści katoliccy wciąż i wszędzie widzą „monolity”.

* *Przegrana Gomułki*, tekst anonimowy.

VIII

Nie mamy dostatecznych danych, by ocenić, co partyjne kierownictwo „musiało”, a czego nie musiało. Zapewne, presja komunistycznego otoczenia jest potężna i na przykład zamiast wysuwać na pierwszy plan ustępstwa, można by i wliczyć w poczet zasług imponujące niekiedy (wieś!) i żmudne sprzeciwy. Jeżeli mówimy wyłącznie o ustępstwach, to dlatego, że mnożą się zastraszające znaki, świadczące o tym, że broniąc jednych pozycji, ustępuje się – bez potrzeby, a często, jak wolno sądzić, i bez przekonania – z drugih.

Co gorzej, sama teoria czekania z liberalizacją na Rosję jest fałszywa i samobójcza. Bo, jak stwierdziliśmy powyżej, właśnie przez liberalizację na peryferiach można popchnąć opieszałe centrum. Co gorzej dla nas: w „nadbudowie” Rosja zaczyna już dorywczo tu i ówdzie doganiać, a i wyprzedzać Polskę. Wystarczy z uwagą czytać publikacje sowieckie. To detale – powie słusznie czytelnik – ale detale znaczące, a suma ich przestaje być detalem.

Wynotujmy parę takich detali, pierwszych z brzegu:

Gdy w Polsce trzyma się pod korcem powieść oficjalnego barda partii o umęczonym przez bezpieczeństwo starym komuniście, w moskiewskim „Nowym Mirze” nr 4 i 5 z bieżącego roku, w powieści J. Bondariewa *Tiszina*, oficerowie NKWD przedstawieni są tak bestialsko, jak u nas pokazuje się tylko gestapowców.

A jak to się dzieje, że jeden z najbardziej barbarzyńskich wynalazków Hitlera-Stalina: ostracyzm nie tylko w stosunku do osób i dzieł, ale ich nazw i nazwisk, przetrwał w Polsce gomułkowskiej, kiedy już w samej Rosji wraca na łamy publikacji pamięć wszystkich pisarzy i uczonych, zarówno zamęczonych, jak i emigrantów? Że w kraju nie wolno cytować niepolitycznych wierszy, a niekiedy i nazwiska jednego z najwybitniejszych dziś poetów polskich, że nazwisko starego i wybitnego KPP-owca Stawara, niedawno jeszcze wielbione, skreślane jest przez cenzorów? Że opresja systemu wielorakich cenzur przypląszcza życie umysłowe środowisk intelektualnych do poziomu porachunków osobistych, do gry estetyczno-technicystycznej lub jałowych parafraz i wybiegów? Póki myśl i słowo są w kraju skrępowane, póki pisarz – jak komunista Stawar – musi przyjechać umierać do Maisons-Laffitte, aby brązownicy partyjni nie zafałszowali jego oblicza, by nie było nad nim „laurów i ciemno”, póty istnienie „Kultury” jest przecież potrzebne dla myśli i kultury polskiej, która, jak to Kisiel stwierdza, jest tylko jedna.

*

Ano właśnie – wpadnie nam w słowo sceptyk z Warszawy – właśnie Stawar! Wydawanie Stawara i Terców przez „Kulturę” drażni Chruszczowa, opóźnia i utrudnia liberalizację ustroju.

W rozmowie z generałem T. Łubieńskim (pradziadem kolegi Kisielewskiego?), wiezionym na wygnanie po powstaniu listopadowym, a po audiencji zwolnionym, car Mikołaj I powiedział:

„Ja wam wszystko wybaczam, bunt, nawet detronizację, ale czego wam przebaczyć nie mogę, to jest, żeście zwichnieli cały plan moich rządów. Ja chciałem przez was ucywilizować Rosję, zbratać w postępie dwa narody: wyście temu stanęli na przeszkodzie, waszą głupią rewolucją zmusiliście mnie rzucić się w objęcia Niemców, używania tych największych moich i waszych wrogów” (T. Łubieński: *General Tomasz Pomian hr. Łubieński*, Warszawa 1899, cyt. według *Korespondencji* Lubeckiego, Akademia Umiejętności, Kraków 1909).

I tenże Mikołaj o tychże Polakach:

„Dwa tylko znam gatunki Polaków: tych, których nienawidzę, i tych, którymi gardzę” (według Sz. Askenazy: *Dwaj bracia*, Teki Historyczne, t. XI, Londyn 1960–1961).

*

Nie strzela się z armat do wróbli. Narażamy się na śmieszność, podważając niefrasobliwy *Testament* ciężką argumentacją. Po prostu skorzystaliśmy, jak to czytelnik pewno zauważył, z okazji, aby rozprawić się z pokutującymi w wielu mózgach mitami i półprawdami. Tym bardziej to i nieszlachetne, że *Testament* był pisany w pośpiechu, szkicowo; nie ulega wątpliwości, że Kisielewski umiałby go uczynić bardziej przekonującym. Bardzo nam przykro.

[Redakcja]

[7–8/1962]

DYSKUSJE O PRL

LESZEK KOŁAKOWSKI

Tezy o nadziei i beznadziejności

Streśćmy krótko główne argumenty, jakie się zwykle przytaczać na rzecz twierdzenia o niereformowalności komunistycznego systemu społecznego w jego obecnej postaci. Twierdzenie to głosi, że główną funkcją społeczną tego systemu jest utrzymanie monopolistycznej i niekontrolowanej władzy rządzącego aparatu; wszelkie instytucjonalne i faktyczne zmiany, jakie nastąpiły lub dają się pomyśleć, nie naruszają tej jego podstawowej zasady, której podporządkowane są wszelkie polityczne i gospodarcze poczynania panujących; monopol despotycznej władzy nie może być usunięty częściowo (co wydaje się niemal tautologią, jako że monopol nie może być „częściowy” na mocy definicji). Otóż wszystkie przemiany zaszły i wyobrażalne w ramach systemu są nieistotne i łatwo odwoływalne, gdyż nie mogą być zinstytucjonalizowane bez rozkładu całego mechanizmu. Zaspokojenie podstawowych oczekiwań zarówno klasy robotniczej, jak i inteligencji jest niepodobieństwem w granicach określonych przez główną funkcję systemu. Mamy do czynienia z organizmem całkowicie nieplastycznym, pozbawionym urządzeń samoregulujących i zdolnym do zmian tylko w obliczu gwałtownych katastrof, które zdarzają się od czasu do czasu, lecz nie pozostawiają, prócz powierzchownych ustępstw i przegrupowań w łonie rządzących klik, żadnych skaz na fizjologii całości. Stalinizm w sensie ścisłym, to jest krwawa i bezwzględna tyrania jednostkowa, był najdoskonalszym wcieleniem praktycznym założeń systemu; przemiany późniejsze, w szczególności znaczne złagodzenie terrorystycznej formy rządzenia, jakkolwiek istotne

z punktu widzenia bezpieczeństwa jednostek, nie zmieniło w niczym despotycznej natury systemu ani nie ograniczyło swojskie socjalistycznych form ucisku i wyzysku. Ponieważ podstawowe funkcje tego systemu społecznego skierowane są przeciwko społeczeństwu, które z kolei pozbawione jest jakichkolwiek instytucjonalnych form samoobrony, tedy jedyna wyobrażalna przemiana musi mieć charakter gwałtownego przewrotu. Przewrót taki, co więcej, daje się pomyśleć tylko w skali całego światowego systemu socjalistycznego, jako że stosownie do powszechnie znanych doświadczeń przewaga wojskowa sowiecka zawsze będzie wykorzystana do zdławienia wszelkich lokalnych prób rewolucyjnych. Konsekwencją takiego przewrotu miałyby być – wedle nadziei jednych – społeczeństwo socjalistyczne w sensie określonym przez marksistowską tradycję (to jest społeczne zarządzanie procesami produkcji i rozdziału, zakładające system przedstawicielski) bądź – według innych – przejście na zachodnioeuropejski model kapitalizmu, który w obliczu ekonomicznego i ideologicznego bankructwa socjalizmu jest jedyną godną zaufania drogą rozwoju.

A oto najważniejsze osobliwości sowieckiego modelu socjalizmu, które mają sprawiać – wedle tej argumentacji – że wszelkie nadzieje na jego częściowe, stopniowe lub drogą kolejnych reform sprawiane „uczłowieczanie” muszą być daremne (mowa o „strukturalnych” osobliwościach, które dają się wykryć we wszystkich krajach zbudowanych wedle sowieckiego wzoru).

1. To, co zwykło się nazywać „demokratyzacją” systemu rządzenia jest niewyobrażalne wewnątrz tego modelu. Albowiem despotyzm polityczny i monopol rządzącego aparatu w zakresie zastosowania środków produkcji, inwestycji, zatrudnienia i rozdziału dochodu narodowego warunkują się wzajem. Monopol polityczny rządzącej oligarchii wspiera się na jej pozycji jako jedyne go pracodawcy i jedyne go zarządcy środków wytwarzania. Dlatego każdy, choćby niedoskonały, lecz rzeczywisty ruch w kierunku politycznej demokracji oznacza częściowe wywłaszczenie klasy rządzącej, która nie będąc prawnym właścicielem środków produkcji, ma wszystkie uprawnienia i przywileje zbiorowego posiadacza. W tej dziedzinie fundamentalnej wszelkie odstępstwa od zasady są pozorne: można bez szkody pozwolić robotnikom na dyskusje odnoszące się do ich zakładu pracy i można pozwolić na to, by komisje sejmowe, wyznaczonego przez aparat partyjny, dyskutowały szczegóły polityki gospodarczej. Wszystkie decyzje tak czy owak podejmowane są przez te same organy nie podlegające żadnej społecznej kontroli, a ewentualne odchylenia od ich życzeń, ujawnione w dys-

kusjach, nie mają znaczenia, gdyż skutek drobiazgowego nadzoru nad informacją nie mogą przybrać formy społecznego nacisku. Wszystkie proponowane przez ekonomistów próby reform zmierzają jednak w kierunku, który osłabia znacznie monopol gospodarczych decyzji rządzącego aparatu i grozi jego częściowym wywłaszczeniem, nie mogą się tedy powieść.

2. Naturalną tendencją systemu jest nieustanna redukcja roli ekspertów, w szczególności w polityce gospodarczej, socjalnej i kulturalnej. Grona ekspertów bywają tolerowane, o ile nie roszczą sobie żadnych praw do podejmowania decyzji, lecz nawet w tej czysto doradczej funkcji są, jak doświadczenie uczy, tolerowane niechętnie i w miarę możliwości likwidowane lub zastępowane przez ciała pozorne, z góry dobierane wedle kryterium politycznego serwilizmu. Przyznanie ekspertom jakiejkolwiek roli rzeczywiście znaczącej w podejmowaniu decyzji byłoby również redukcją zakresu władzy klasy rządzącej. Dlatego niedołęstwo, marnotrawstwo energii społecznej i środków materialnych, władza niekompetentnych, są niejako wbudowane w mechanizm rządzenia i nie mogą uchodzić za jego tymczasowe defekty, naprawialne w przyszłości. Mechanizm ten nie dopuszcza, by czysto „techniczne” kryteria, nie podporządkowane zadaniu utrzymania i wzmacniania istniejącej władzy, miały wpływ na jego funkcjonowanie.

3. Swoboda informacji – niezbędny warunek sprawnego funkcjonowania zarówno gospodarki, jak szkolnictwa i kultury – jest najoczywistej nie do pomyślenia bez ruiny całego systemu władzy, który w warunkach swobodnego przepływu informacji zginąłby niechybnie w krótkim czasie. Ale, co więcej, niewykonalny jest również projekt informacji zamkniętej, dostępnej dla rządzących w dawkach stosownych do hierarchii władzy. Innymi słowy, rządzący, choćby łudzili się w tym względzie i nawet zabiegali aktywnie o niefałszowaną informację dla własnego użytku, będą nieuchronnie dezinformowani i od czasu do czasu muszą padać ofiarą swoich własnych kłamstw. Minęły wprawdzie czasy, kiedy Stalin radził sobie z nie dość różową statystyką w ten sposób, że mordował statystyków, a wiadomości o życiu w kółchozach czerpał z filmów o kółchozach. Niemniej usunięcie dezinformacji karykaturalnej nie zmieni faktu, że dezinformacja rządzących jest również wbudowana w mechanizm. Wynika to z dwóch co najmniej okoliczności. Po pierwsze, dostarczycielami informacji zamkniętej są najczęściej ci sami, którzy w rządzącym aparacie niższych szczebli ponoszą odpowiedzialność za sprawy, o których informują. Jest tedy rzeczą normalną, nie zaś wyjątkową, że informacja niepomyślna jest samodonosicielstwem, którego trudno w znacznej skali oczekiwać od ludzi, a także że przynoszenie pożą-

danych wiadomości jest nagradzane, przynoszenie zaś niepomyślnych – karane. System ten, oczywiście, rozszerza się w naturalny sposób na wszystkie kategorie informatorów. Przykłady karania za przynoszenie złych wiadomości są niezliczone i wszystkim znane. Po wtóre, gromadzenie informacji o życiu społecznym, nie ograniczone niczym prócz dążenia do ustalenia faktycznego stanu rzeczy, wymagałoby powołania znacznego aparatu, wolnego od wszelkich serwitutów politycznych i pracującego w warunkach całkowitej swobody w zbieraniu, chociaż nie w przekazywaniu wiadomości. Aparat taki byłby nie tylko nienaturalnym dziwolągiem w systemie, ale stanowiłby źródło politycznego niebezpieczeństwa, gdyż byłby organizmem z założenia nie poddanym „ideologicznym” restrykcjom i wolnym od powinności służalczych. Ponadto, znaczna część informacji w ten sposób zbieranych nieuchronnie wzmacnia napięcie wewnętrzne i konflikty na wyższych szczeblach aparatu, który z niej korzysta, jako że nie ma prawie informacji całkiem niewinnej, ale nie sfalszowane wiadomości o życiu społecznym są natychmiast wykorzystywane przez wszystkie konkurencyjne grupy czy kliki aspirujące do wyższych stanowisk przeciwko tychże stanowisk aktualnym posiadaczom. Jakkolwiek powszechna reguła samoułudy i samooszustwa wydaje się na pierwszy rzut oka dziełem głupoty, jest ona w rzeczywistości jednym z samoobronnych mechanizmów systemu. Rządzące grupy płacą wprawdzie niekiedy za kłamstwa, które same produkują, w sumie jednak opłaca im się ponosić te koszty (tym bardziej że większą część kosztów ostatecznie ponosi społeczeństwo), które wzmacniają stabilność i bezpieczeństwo władzy.

4. Następną osobliwością socjalizmu w jego obecnej, sowieckiej wersji jest nieuchronna degradacja umysłowa i moralna aparatu, który podejmuje najważniejsze dla życia społecznego decyzje. Jest to również sposób działania mechanizmu politycznego, nie zaś wynik złej czy dobrej woli rządzących. Mechanizm ten zakłada ściśle jednokierunkową zależność wewnątrz hierarchii, co wynika z zasady monopolu władzy; tym samym, podobnie jak we wszystkich systemach despotycznych, cechami pozytywnymi w karierze jednostkowej (to jest cechami ułatwiającymi wznoszenie się po drabinach hierarchii) są serwilizm, tchórzostwo, brak inicjatywy, gotowość do posłuchu względem zwierzchników, gotowość do donosicielstwa, obojętność na opinię społeczną i na interes publiczny. Cechami negatywnymi są, przeciwnie, zdolność do inicjatywy, dbałość o sprawy powszechne, upieranie się przy kryteriach prawdy, sprawności i społecznego pożytku bez względu na interesy aparatu. Mechanizm władzy powoduje tedy naturalny negatywny dobór kadry kierowniczej we wszystkich dziedzinach aparatu rządzącego,

a w aparacie partyjnym najbardziej. Czternastoletnie rządy Gomułki w Polsce są nadzwyczaj jaskrawym potwierdzeniem tej prawdy. Ich wybitnie zaznaczoną osobliwością było systematyczne rugowanie ludzi kompetentnych i obdarzonych inicjatywą na rzecz tchórzliwych i uległych miernot. Proces, który dokonywał się od marca 1968 roku – masowa promocja nieuków, donosicieli lub zgoła opryszków („inwazja pluskiew”, jak to w Warszawie nazywano) był tylko przyspieszeniem i intensyfikacją zjawisk trwających od wielu lat. Jak we wszystkich sprawach na świecie, można i w tej dziedzinie przytoczyć wyjątki, lecz nader nieliczne. Odwrotne procesy można niekiedy obserwować w momentach kryzysowych, lecz nie odmieniają one zasadniczej tendencji systemu, który w naturalny sposób musi traktować kompetencję i zdolność do inicjatywy jako wrogie sobie zjawiska. Różne składniki kierowniczej maszyny podlegają owemu procesowi kontrselekcji w nierównym stopniu, toteż w wielu dziedzinach gospodarczej i przemysłowej administracji znaleźć zawsze można znaczną liczbę ludzi kompetentnych i dzielnych, z uporem rozbijających sobie głowy o mur obojętności, strachu i nieudolności, którym opasuje się partyjny aparat. Niemniej jednak można ich odszukać w tymże aparacie partyjnym oraz jego politycznych i propagandowych rozgałęzieniach, gdzie zasada doboru najgorszych święci największe tryumfy.

5. Despotyczne formy rządzenia produkują z konieczności zapotrzebowanie na permanentną, a przynajmniej okresową powtarzaną agresję. Że wojna jest grobem demokracji, wiadomo od dawna. Z tegoż powodu jest ona sojusznikiem tyranii. W braku wojny zewnętrznej podobne funkcje spełniają rozmaite postacie agresji wewnętrznej, których celem jest utrzymywanie nieustającego stanu zagrożenia i podtrzymywanie psychozy obłożonego miasta, choćby za pomocą najbardziej sztucznych środków i najbardziej urojonych wrogów. Ponawiane akty brutalnej agresji przeciwko kolejnym grupom ludności, wybieranym wedle najrozmaitszych kryteriów, nie są bynajmniej dziełem obłądki, ale przyrodzoną funkcją mechanizmu władzy, który nie może obejść się bez śmiertelnych wrogów czyhających na jego najmniejszą słabość, gdyż tylko w ten sposób zdolny jest zapewnić sobie pożądaną gotowość do mobilizacji. Produkuje tedy tych wrogów własną inwencją, ponieważ akty ponawianej agresji niechybnie stwarzają wrogość i opór prześladowanych, stwarzają tedy tę właśnie sytuację, która miała być pretekstem dla represji. System represyjny ma więc zdolność samonapędową, a akty wewnętrznej agresji stwarzają potrzebę następnych.

6. To samo założenie monopolistycznej władzy stwarza konieczność ustawicznej pracy nad dezintegracją społeczeństwa i rozbiciem wszelkich form życia społecznego, nie zadekretowanych przez rządzący aparat. Ponieważ konflikty społeczne nie są bynajmniej usuwane, lecz tłumione represjami i zatajane frazeologią ideologiczną, szukają one dróg wyrazu najrozmaitszych, co też sprawia, że najniewinniejsze formy społecznej organizacji, jeśli nie są pod dokładnym nadzorem policyjnym, mogą istotnie przeobrażać się w skupiska opozycyjne. Stąd dążenie do „upaństwowienia” wszelkich form życia społecznego, stąd nieustająca presja, zmierzająca do destrukcji wszelkich więzi społecznych spontanicznych na rzecz przymusowych pseudozwiązków, których jedyne funkcje są negatywne i niszczyielskie i które nie reprezentują niczych interesów oprócz klasy panującej. Jakkolwiek bowiem system potrzebuje wrogów, to jednak boi się śmiertelnie jakiegokolwiek formy opozycji zorganizowanej; chce mieć tylko tych wrogów, których sam sobie wyznaczy i których będzie zwalczał w warunkach przez siebie wybranych. Naturalną potrzebą despotyzmu jest zastraszanie jednostek przy pozbawieniu ich środków zorganizowanego oporu. Jednym z narzędzi temu służących jest budowa prawodawstwa karnego w sposób celowo mętny i wieloznaczny, aby możliwie największa liczba obywateli mogła się czuć przestępcami i aby skala aktualnych represji nie była związana ścisłymi określeniami prawnymi, lecz podlegała dowolnej manipulacji i dowolnym decyzjom policji i partii.

7. Rządzący aparat nie ma bynajmniej swobody w zakresie udzielanych obywatelom uprawnień. Nie może on, pod grozą ruiny, rozszerzać tych uprawnień, nawet gdyby taka była intencja rządzących. Doświadczenie bowiem uczy, że ustępstwa na rzecz jakichkolwiek rewindykacji demokratycznych miast powodować uspokojenie częściowymi zdobyczami, stają się, przeciwnie, okazją do zwiększonej presji, która poczyna lawinowo narastać, godząc w całość politycznego porządku. Zniewolenie społeczne jest tak wielkie, a poczucie ucisku i wyzysku tak silne, że najmniejsza szczelina w systemie zinstytucjonalizowanej przemocy czy najdrobniejsze formy obiecujące jej rozluźnienie natychmiast wprawiają w ruch zasoby utajonej wrogości i utajonych żądań, grożąc eksplozją, której następnie opanować niepodobna. Trudno się przeto dziwić, że po wielu doświadczeniach nawet filantropia rządzących, zakładając, że jest możliwa, nie może wpłynąć na złagodzenie politycznej i ekonomicznej niewoli pracującego społeczeństwa.

Oto najważniejsze racje przytaczane na rzecz twierdzenia – zgodnego zresztą z duchem marksistowskiej tradycji – iż swoiście socjalistyczna forma

niewoli nie może być usunięta częściowo ani redukowana częściowymi reformami, lecz wymaga jednorazowego totalnego zniszczenia.

Otóż sędzę, że to twierdzenie jest nieprawdziwe, a jego głoszenie wydaje mi się raczej ideologią defetyzmu niż rewolucyjnym wezwaniem. Opieram to przekonanie na czterech ogólnych przesłankach. Po pierwsze, nie jesteśmy nigdy w stanie określić z góry granic plastyczności jakiegokolwiek społecznej organizacji, doświadczenie zaś dotychczasowe nie przemawia wcale za tym, że despotyczny model socjalizmu jest bezwzględnie sztywny. Po wtóre, sztywność systemu zależy w części od tego, do jakiego stopnia ludzie w nim żyjący są przeświadczeni o jego sztywności. Po trzecie, twierdzenie wspomniane opiera się na ideologii „wszystko lub nic”, charakterystycznej dla ludzi ukształconych w marksistowskiej tradycji, lecz bynajmniej nie wspartej istniejącymi doświadczeniami historycznymi. Po czwarte, biurokratyczny despotyzm socjalistyczny uwikłany jest w wewnętrznie sprzeczne tendencje, których nie jest on w stanie doprowadzić do żadnej syntezy, a które nieuchronnie osłabiają jego spoistość, przy czym tendencję mają wzrostową, nie zaś malejącą.

Wszystkie wymienione przedtem mechanizmy, których obecność zdaje się usprawiedliwiać myśl, iż socjalistyczny despotyzm nie nadaje się do reformy, działają w tym systemie istotnie, notowane były niejednokrotnie i dostępne są naocznej obserwacji wszystkich żyjących w tej strefie. Wszystkie one ujawniają naturalną tendencję systemu, którego podstawowe formy działania obrócone są przeciw pracującemu społeczeństwu. Wynika z tych obserwacji tyle, że jeśli mechanizm biurokratycznej władzy funkcjonuje bez żadnego oporu ze strony społeczeństwa, będzie on niechybnie produkował w coraz intensywniejszych formach wszystkie opisane zjawiska, prowadząc do ściśle orwellowskiego wzoru. Natomiast nie wynika z nich, że tendencje te nie mogą mieć przeciwwagi w ruchu oporu, który jest w stanie ograniczać i osłabiać ich działanie, prowadząc bynajmniej nie ku społeczeństwu doskonałemu, lecz ku formie socjalistycznej organizacji zdolnej do życia i umożliwiającej życie swoim uczestnikom. Stanowisko reformistyczne byłoby absurdalne, gdyby sprowadzać się miało do oczekiwania na dobrą wolę klasy wyzyskującej, filantropię aparatu przemocy lub samoczynne działanie mechanizmów organizacji. Nie jest to jednak bynajmniej absurdalne, jeśli pojmować je jako ideę czynnego oporu wyzyskującego sprzeczności przyrodzone systemu. Wszystkie opisane dolegliwości biurokratycznego socjalizmu przemawiają jednoznacznie za tym, że ma on wbudowane tendencje do nieustannego rozrostu policyjnych form rządzenia, do dezintegracji

i demoralizacji społeczeństwa, do utrwalania niewydolności gospodarczej i do uwieczniania wszystkich tych cech społecznych, wiadomych każdemu, a czyniących udręką życie pracującej ludności. Jednakże pod tym względem, całkiem ogólnym, rzecz się miała analogicznie z kapitalistyczną gospodarką, taką, jaką analizował Marks. Wszystkie naturalne tendencje tej gospodarki, produkcyjne i socjalne, które Marks rozważał, nie były bynajmniej jego dowolnym wymysłem, lecz opierały się na dokładnej obserwacji społeczeństwa. Były istotne powody do sądzenia, że w kapitalizm wbudowane są nieuchronnie: rosnąca polaryzacja klasowa, bezwzględne ubożenie proletariatu, postępujący spadek stopy zysku, anarchia i periodyczne kryzysy nadprodukcji, masowe bezrobocie, zanik klas średnich; że wszystkie reformy, jakie w ramach tego systemu dają się pomyśleć, muszą być nietrwałe, gdyż fundamentalne prawa, jakie pociąga za sobą „wilczy głód wartości dodatkowej” określający całość procesów produkcyjnych, nie mogą być zniesione w granicach systemu; stąd właściwy sens reform polega na ich politycznym znaczeniu, mianowicie na treningu w walce i na utrwalaniu solidarności klasowej proletariatu, niezbędnej w ostatecznym starciu. Marks wiedział, oczywiście, o wszystkich przeciwtendencjach osłabiających działanie praw kapitalistycznej akumulacji, wśród których najważniejszą, lecz nie jedyną, jest opór klasy robotniczej. Niepodobna było jednakże wymierzyć ilościowo siły owych tendencji i przeciwtendencji w przyszłej ewolucji ustroju; dlatego, chociaż analizy Marksowskie były dobrze uzasadnione, to jego przeświadczenie, że „ostateczne” prawa kapitalizmu zawsze okażą się silniejsze wewnątrz tego systemu aniżeli opór klas wyzyskiwanych, było tylko wyrazem ideologicznej perspektywy. W istocie też okoliczność, że przewidywania dotyczące zarówno postępującej degradacji i zubożenia proletariatu, a także rosnącej anarchii produkcyjnej i kryzysów nie potwierdziły się w końcu, okoliczność ta nie była wynikiem filantropii burżuazji lub jej moralnej przemiany. Była rezultatem wieloletnich walk i konfrontacji, które zmusiły społeczeństwo burżuazyjne do uznania pewnych zasad socjalnej organizacji jako trwałych swoich założeń. Wyzysk nie został bynajmniej usunięty, został jednakże ograniczony w sposób istotny w rozwiniętych industrialnie krajach, a klasy posiadające zgodziły się na okrojenie swoich przywilejów w imię ocalenia tego, co z nich można było ocalić bez ruiny społeczeństwa.

Z pewnością, analogie tego rodzaju nie są zupełnie zadowalające. Wiadomo, że biurokracja socjalistyczna nauczyła się z porażek burżuazji, jak niebezpieczna jest wszelka swoboda zrzeszania się i swoboda informacji. Stąd

opór przeciw uciskowi i wyzyskowi w systemie sowieckiego despotyzmu przebiega w gorszych warunkach społecznych niż kiedykolwiek; żadna klasa wyzyskiwaczy w dziejach nie rozporządzała takim zakresem władzy. Ale ta koncentracja jest nie tylko źródłem siły, ale również słabości, jak to ujawniają całe postalinowskie dzieje komunizmu.

W rzeczy samej, natura systemu wymaga całkowitej koncentracji ośrodka dyspozycyjnego. Dlatego prawdą jest, że władza Stalina (i jego lokalnych miniatur) była najdoskonalszym wcieleniem założeń despotycznego socjalizmu. Ale też niemożność jej przywrócenia wynika z niemożności uzgodnienia dwóch wartości, równie dla rządzącego aparatu istotnych: jedności i bezpieczeństwa. Konflikty konkurencyjne wewnątrz aparatu nie mogą być zinstytucjonalizowane pod grozą ruiny całego systemu, gdyż instytucjonalizacja taka oznaczałaby legalizację działalności frakcyjnej w partii, co nieznanie tylko różni się od wielopartyjności. Grupy, kliki i sitwy, spontanicznie wyłaniające się wedle różnych kryteriów doboru i wedle różnych związków interesu, stanowią jednak nieuchronny produkt życia społecznego. Dlatego ideałem jest absolutna tyrania jednego samodzielnego, na tyle ograniczonego umysłowo i moralnie, aby nie krępowały go żadne „abstrakcyjne” zasady, ale na tyle sprytnego, by potrafił udaremniać wszelką krystalizację grup w aparacie za pomocą kolejnych rzezi i czystek i utrzymywać w ten sposób instrumenty rządzenia w stanie ustawicznej płynności i strachu. Lecz to właśnie jaskrawo koliduje z potrzebą bezpieczeństwa tegoż aparatu, który – czemu trudno się dziwić – nie chce żyć w sytuacji, kiedy to każdy jego funkcjonariusz, włączając członków Sekretariatu i Biura Politycznego partii, może w ciągu jednej chwili przenieść się ze swego gabinetu do piwnic policji za jednym skinieniem szefa. Dlatego przejście od jedynowładztwa do oligarchii, zwanej „kolegialnym kierownictwem”, było w najwyższym interesie rządzącej maszyny i bynajmniej nie jest nie znaczące, chociaż wydawać się może, że dla ludzi uciskanych nie jest wielką różnicą, czy dokumenty, które obiecują im ucisk, podpisują się przez jednego czy przez dziesięciu. Oligarchia nie oznacza, oczywiście, żadnej „demokratyzacji”, chociaż oznacza znaczne ograniczenie terrorystycznych form rządzenia; ponadto jednak oznacza ona poważne naruszenie stabilności władzy i jej nieuchronną decentralizację (nadal: nie demokratyzację), to jest utrwalenie pozycji i rozszerzenie uprawnień aparatów lokalnych. Ten aparat nie jest już w stanie zapobiec utajonej frakcyjności i musi wytwarzać konkurencyjne ciała, nieustannie osłabiające jego wydolność. Ale też, z drugiej strony, ruch oporu jest najbardziej prawdopodobny i najbardziej skuteczny bynajmniej nie wtedy, kiedy

ucisk jest najdotkliwszy i terror najsilniejszy, lecz, przeciwnie, w momentach względnych rozluźnień spowodowanych dezagregacją rządzącego aparatu; zawdzięczamy Leninowi to trafne spostrzeżenie. Obecnie istniejące aparaty nie są wprawdzie podatne na wstrząsy ideologiczne, jak był aparat stalinowski, który z tej racji utracił równowagę po ruinie moralnej wodza, ale demoralizowane są i chronicznie chore na wewnętrzne konflikty rywalizujących grup. Wprawdzie w interesie wszystkich tych grup leży nieujawnianie ich istnienia przed społeczeństwem, lecz w tej dziedzinie zatajenie nie może być nigdy całkiem skuteczne, a jest całkiem nieskuteczne wewnątrz politycznej maszyny. Częściowy paraliż aparatu staje się tedy nieuleczalny, przechodząc naturalnym biegiem rzeczy kolejne remisje i pogorszenia, jako że stabilność jego zależy od kilku niezależnych czynników, których łączne działanie trudno, oczywiście, przewidzieć. W tym sensie wolno powiedzieć, że przymusem sytuacji sprawiona częściowa „destalinizacja” stalinizmu wprowadziła w ruch mechanizm degradacji władzy, który umożliwia skuteczność ruchu oporu. Innymi słowy: dopóki aparat jest stabilny i immunizowany przeciwko wstrząsom politycznym, może on na ogół nie liczyć się z niezadowolaniem ludności. Lecz utracił tę stabilność, a zmniejszenie strachu przed wodzem i własną policją opłaca bezustannym strachem przed społeczeństwem, przed konkurentami, przed szefami domowymi lub zagranicznymi, przed klasą robotniczą, przed inteligencją, a nawet przed nielicznymi grupami intelektualistów.

Następną niezbywalną sprzecznością wewnątrz biurokratycznego socjalizmu jest konflikt pomiędzy zapotrzebowaniem na radykalną odmianę ideologii a niemożnością wyzbycia się ideologii stalinowsko-leninowskiej. W odróżnieniu od organizmów politycznych demokratycznych, które mogą odwoływać się do społecznego *consensus* jako zasady swej legalności, despotyzm pozbawiony mechanizmów przedstawicielskich musi nieuchronnie rozporządzać rodzajem ideologicznego „systemu”, choćby najlichszego, aby utrzymać pozorną legitymizację swego istnienia. Żadne państwo i żaden system władzy nie może się obejść bez legitymizacji – czy będzie nią dziedzictwo królewskiego charyzmatu, czy wolne wybory. W braku obu tych możliwości legitymizacja ma charakter ideologiczny; jest nią zasada, że partia rządząca jest wcieleniem interesów klasy robotniczej oraz całego narodu, tudzież że państwo jest częścią wielkiego ruchu światowego klasy robotniczej, który umocnił swe panowanie w pewnych częściach świata w oczekiwaniu na dalsze. Ideologia odgrywa, jak wiadomo, całkiem inną funkcję w tym systemie władzy aniżeli w ustrojach demokratycznych, jakkolwiek żałośnie

brzmiałyby jej założenia w konfrontacji z rzeczywistością. W tej chwili w socjalistycznym świecie ideologia jest dla aparatu uciążliwym garbem, którego jednak nie może się on pozbyć żadną miarą. Internacjonalistyczna ideologia jest niezbędna władcom sowieckim, jako że jest jedyną legitymacją ich zewnętrznego panowania; jest niezbędna zależnym od nich władcom lokalnym jako usprawiedliwienie zarówno ich zależności, jak też własnej władzy. Wydawać by się mogło na przykład, że przywódcy sowieccy mogą całkowicie lekceważyć niepanujące partie komunistyczne, których wszakże nie chcą zgoła nakłaniać do rzeczywistej walki o władzę i że ewentualne rozłamy w tych partiach lub ich odstępstwa nie mają politycznego znaczenia. W rzeczywistości tak nie jest, gdyż całkowita i jawna rezygnacja z ruchu komunistycznego w krajach nie poddanych sowieckiej kontroli mogłaby dojść do skutku tylko za cenę rezygnacji z zasad, które usprawiedliwiają tę właśnie kontrolę. Dlatego rządzący padają ofiarą własnej ideologii razem ze wszystkimi jej nonsensami. Toteż jest zjawiskiem paradoksalnym, że ideologia ta, w którą praktycznie wszyscy przestali wierzyć – zarówno ci, co każą ją głosić, jak ci, co zarabiają na jej głoszeniu, jak i ci, co muszą jej wysłuchiwać – nadal jest sprawą śmiertelnej wagi dla istnienia systemu politycznego. Ów twór martwy i już groteskowy, zwany marksizmem-leninizmem, nadal wisi u szyi rządzących niczym beznadziejny nowotwór hamujący swobodę ruchów. Wartość perswazyjna tej ideologii jest w krajach bloku sowieckiego żadna, o czym rządzącym dobrze wiadomo; toteż propaganda, obliczona na jakikolwiek odzew u ludności, a także w partii samej, coraz mniej się do niej odwołuje, a skupia się niemal całkiem na ideach racji stanu i interesu narodowego. Lecz ta właśnie okoliczność rodzi nową sprzeczność w systemie. Jak wiadomo, oprócz propagandy artykułowanej istnieje w tych krajach propaganda nieartykułowana, niekiedy od tej pierwszej ważniejsza, to jest pewne idee lub zasady, których niepodobna wprost w przemówieniach lub gazetach formułować, a które jednak trzeba przekazać ludności. W Związku Sowieckim jest to idea mocarstwowa, chwała wielkiego imperium, które panuje nad ogromnymi połaciami kuli ziemskiej w mniej lub bardziej bezpośredni sposób. Ideologia imperialna, w odróżnieniu od marksizmu-leninizmu urzędowego, może liczyć na pewne powodzenie rzeczywiste. Lecz w krajach demokracji ludowej owa nie mówiona ideologia jest ideologią strachu przed sowieckimi czołgami, wpajaną za pomocą najrozmaitszych aluzyjnych środków. Również w tym przypadku ideologia nie artykułowana, w odróżnieniu od artykułowanej, może liczyć na pewien sukces w społeczeństwie; do przekonania ludzi o tym, iż rosyjscy wodzowie mogą zmasa-

krować każdy nie dość posłuszny protektorat, nie trzeba w rzeczy samej finazyjnych argumentów. Do pewnego stopnia obie ideologie nie artykułowane – centralna i peryferyjna – zbiegają się w skutkach, lecz liczyć na tę zbieżność jako trwałą podstawę panowania byłoby polityką nader krótkowzroczną; nie tylko z tej racji, że w obu przypadkach ideologia nie artykułowana nie jest uzupełnieniem, lecz jaskrawym zaprzeczeniem oficjalnej, lecz i dlatego, że może ona osiągnąć swój skutek – tymczasową pacyfikację – tylko za cenę uwieczniania i podsycania wzajemnych wrogości narodowych, co wydaje się korzystne w chwilach spokoju, lecz w warunkach kryzysów jest nadzwyczaj niebezpieczne. Tymczasem nie ma innego wyjścia, jeśli rządzący aparat ma zachować minimalny choćby kontakt ze społeczeństwem.

Wśród historycznych żarcików Stalina zachowało się sławne powiedzenie: „A ile papież ma dywizji?”. Nędza tego pytania odsłania najdokładniej nędzę tego systemu, który utracił wszystko oprócz dywizji (zgoda, że nie jest to mało), nie umie wierzyć w nic poza dywizjami i chlubi się tym nawet jako ideologią zdrowego realizmu, niepomny tego, że sam powstał dzięki lutowej i październikowej rewolucji rosyjskiej, które wygrały nie mocą dywizji, lecz mocą moralnego rozkładu carskiego imperium i armii.

Paraliż ideologiczny biurokratycznego socjalizmu jest coraz rozleglejszy i nieodwracalny; kolejne kampanie i narady partyjnych instancji na temat „walki ideologicznej” mogą wypracowywać nowe środki represji i zastraszania, lecz nie są w stanie zaoferować społeczeństwu niczego prócz tych samych mdlących frazesów. Wszystkie próby odwrócenia tej klęski idą w dwóch kierunkach – frazeologii nacjonalistycznej lub frazeologii porządku i wydajności; wokół tych haseł skupiają się luźne frakcje. Pierwsza frazeologia jest jednak nikłej wartości, skoro kwestia zasadnicza i ośrodkowa – rzeczywistej suwerenności narodu – stanowi dla niej z reguły nieprzekraczalną barierę. Drugi typ frazeologii byłby skuteczny, gdyby mógł wykazać się wykonalnym programem opartym na „technokratycznych” założeniach. Lecz program „technokratyczny” oznacza prymat kryteriów sprawności produkcyjnej i postępu technologicznego nad wartościami politycznymi i jako taki jest wykonalny tylko za cenę kolejnych rezygnacji rządzącego aparatu z zakresu posiadanej władzy, czyli znowu za cenę zgody na stopniowe wywłaszczanie klasy panującej. Dotykamy tu kolejnej sprzeczności wewnętrznej systemu władzy: sprzeczności, wielokrotnie analizowanej, między technologicznym i produkcyjnym postępem a systemem władzy politycznej, który ów postęp bezustannie hamuje. Ta sprzeczność podpada pod klasyczne definicje Marksa odnoszące się do produkcji kapitalistycznej, lecz nigdy

nie ujawniła się tak silnie, jak w ustroju, który z założenia miał powstać tylko po to, aby ją usunąć. Wszystkie wymienione przedtem osobliwości socjalistycznego despotyzmu z oczywistych powodów są potężnymi hamulcami technologicznego i wytwórczego postępu i utrwalają stagnację ustroju. Lecz postęp technologiczny (nie tylko ograniczony do techniki wojskowej), a nawet wzrost konsumpcji (na przekór pewnym korzyściom politycznym, jakie daje powszechne ubóstwo ludności i niedostatek dóbr elementarnych) są w interesie rządzącej klasy z różnych powodów; im wyższy ogólny poziom rozwoju, tym trudniej osiągać doskonałe wyniki w jednej dziedzinie produkcji, to jest militarnej, traktowanej jako dział izolowany; oczekiwania ludności zależą w znacznym stopniu od konfrontacji jej położenia z wysoko rozwiniętymi krajami, czego niepodobna uniknąć, gdyż kompletne przerwanie informacji jest już z wielu względów niepodobieństwem, stąd też przy stagnacyjnej, a nawet nieznacznie poprawiającej się sytuacji konsumpcyjnej poziom subiektywnego niezaspokojenia i niezadowolenia może wzrastać, nigdy zaś nie można przewidzieć, w którym punkcie przekroczy on próg eksplozyjny w skojarzeniu z innymi okolicznościami; w ogólności, niepodobna jest uniknąć sytuacji współzawodnictwa międzynarodowego, nawet jeśli narzuca ono niewygodne sytuacje, a warunki tego współzawodnictwa są coraz trudniejsze. Jakoż rządzący, kiedy zapewniają o swoim dążeniu do postępu technicznego i do poprawy sytuacji materialnej ludności, są na ogół w zgodzie z rzeczywistymi swymi intencjami. Intencje są wszelako w sprzeczności z drugą grupą intencji, odnoszącą się do uwiecznienia własnego monopolu niekontrolowanej władzy we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Jeśli jednak sprzeczność ta jest nieusuwalna, to nie znaczy to bynajmniej, jak Izaak Deutscher zdawał się spodziewać, że system socjalistyczny będzie się „demokratyzował” pod samoczynnym naporem technicznego postępu. Sprzeczność między postępem technicznym a systemem rządzenia politycznego i zarządzania ekonomicznego może być źródłem rozwoju tylko wtedy, gdy dochodzi do głosu jako konflikt społeczny: konflikt pomiędzy wszystkimi warstwami zainteresowanymi w utrzymaniu istniejącego mechanizmu wyzysku a klasą robotniczą oraz inteligencją, nade wszystko – lecz nie tylko – inteligencją techniczną i menedżerską.

Wymienione sprzeczności wzmocnione są o sprzeczność dodatkową, wynikającą z narodowego położenia krajów zależnych od sowieckiego imperium. Rządzący aparat jest zainteresowany w utrzymaniu tej zależności jako gwarancji własnej pozycji, lecz zarazem jest zainteresowany w jej osłabieniu

na rzecz rozszerzenia swojej swobody decyzji. Sytuacja ta rodzi nieuchronne napięcia w maszynie politycznej i stwarza także punkt, w którym presja społeczna może być skuteczna. Suwerenność narodowa nie jest wystarczającym warunkiem społecznej emancypacji pracującej ludności, jest jednak jej oczywistym warunkiem niezbędnym. Lęk przed braterską lufą ze Wschodu nie jest, rzecz jasna, nieuzasadniony, lecz jest celowo wyolbrzymiony jako patriotyczny sposób tłumienia najskromniejszych rewindykacji oraz środek przekonywania narodu o absolutnej beznadziejności wszystkich wysiłków. W rzeczywistości celem Polski lub innych narodów sowieckiej strefy nie jest prowokowanie zbrojnego konfliktu, lecz nieustanna presja w kierunku osłabienia zależności, która tylko pod presją może być osłabiana. Również w tej dziedzinie myślenie według zasady „wszystko albo nic” jest zgubne i przyjęcie takiej zasady oznacza zgodę na „nic”. Nikt nie może być tak zaślepiony, by twierdzić, że nie ma żadnej różnicy między sytuacją narodową Polski i Litwy lub że zależność Polski nie zmieniła się całkiem między 1952 a 1957 rokiem. Zależność i niesuwerenność są tedy stopniowalne, a różnice w stopniu zależności są niesłychanej wagi dla istnienia narodu. Funkcje inteligencji humanistycznej i w ogóle inteligencji nauczycielskiej są kluczowe w tej dziedzinie.

Jeśli naród polski oparł się wysiłkowi rusyfikacji i germanizacji w epoce rozbiorowej, zawdzięcza to głównie tej warstwie społecznej. Gdyby jej nie miał, pozostałby w sytuacji podobnej, jak naród łużycki, który wprawdzie utrzymał swój język, ale, ponieważ prawie nie wytwarza własnej oryginalnej kultury i własnej inteligencji, nie ma wielu szans na przetrwanie. Polska jako całość kulturalna ocalała dzięki tym, którzy stworzyli Komisję Edukacji Narodowej i tym, którzy kontynuowali jej dzieło, dzięki dziewiętnastowiecznym nauczycielom, pisarzom, historykom, filologom, filozofom, którzy wbrew warunkom pracowali nad przyrostem dziedzictwa narodowej kultury. Naród czeski, który był już u progu kulturalnej germanizacji, ocalał dzięki podobnemu świadomemu wysiłkowi swojej inteligencji dziewiętnastowiecznej. Ci, którzy dzisiaj tłumią swobodny rozwój kultury narodowej, są wrogami Polski.

*

Jeśli opowiadam się za ideą „reformistyczną”, to nie w tym sensie, bym uważał, że reformizm można zdefiniować jako środki „legalne” w odróżnieniu od „nielegalnych”. Odróżnienie takie jest po prostu niewykonalne w sytuacji, kiedy o tym, co jest lub nie jest legalne decyduje nie prawo, lecz do-

wolna interpretacja mglistych ustaw przez policję i władze partyjne. Tam, gdzie rządzący mogą, jeśli zechcą, aresztować i skazywać obywateli za samo posiadanie nieprawomyślniej książki, za rozmowę w gronie parooosobowym na tematy polityczne, za opowiadanie dowcipów i za niewłaściwe opinie wyrażone w prywatnym liście, pojęcie legalności w odniesieniu do spraw politycznych jest pozbawione sensu. Przeciwnie, najlepszym środkiem przeciwdziałającym faktycznemu ściganiu tego rodzaju „przestępstw” jest ich masowość. Mówię o reformistycznej orientacji w znaczeniu wiary w możliwość skutecznych presji cząstkowych i stopniowych, czynionych w perspektywie rozległej, to znaczy w perspektywie społecznego i narodowego wyzwolenia. Despotyczny socjalizm nie może uchodzić za system absolutnie nieplastyczny, nie ma bowiem takich systemów. Jego zdolność do pewnej plastyczności ujawniła się w ciągu ostatnich lat choćby w dziedzinie tak podstawowej, jak zakres rozstrzygnięć poddawanych pod władzę urzędowej ideologii. Zakres ideologicznego panowania zmniejszył się w sposób wcale znaczący: urzędnicy partyjni nie muszą się już znać lepiej na medycynie niż profesorowie medycyny i lepiej na filologii niż filologowie. Nadal znają się lepiej na literaturze niż pisarze, to prawda. Lecz w Polsce nawet w tej dziedzinie doszły do skutku pewne zmiany nieodwracalne. Zakres ingerencji ideologii urzędowej jest w dalszym ciągu nieznośny, lecz jest istotnie mniejszy, skoro przypomnimy sobie niedawne czasy, kiedy to państwowa doktryna określała szerokość spodni, kolor skarpetek i prawdy genetyki zarazem. Ktoś może powiedzieć, że mamy do czynienia z postępem od niewolnictwa do feudalizmu. Jednakże nie stoimy wobec wyboru pomiędzy kompletnym gniciem i pełną doskonałością, a tylko wobec wyboru między zgodą na gnienie a nieprzerwanym wysiłkiem nad utrwaleniem w życiu narodowym wartości i standardów, które raz utrwalone nie dają się łatwo obalać. Pogrom kulturalny w 1968 roku pozostawił masę zniechęcenia, jednakże była to konfrontacja nie do uniknięcia wprawdzie, lecz w warunkach wybranych i narzuconych przez aparat przemocy. Obserwujemy wszakże, w jaki sposób na świecie łamią się sztywne ortodoksje, porzucając reguły, tabu, świętości i wierzenia, które niedawno wydawały się absolutnym warunkiem ich istnienia. Wydawać się może, że analogie z przemianami kościelnymi są bezprzedmiotowe, jako że kościoły nie mają do użytku policji i więzień. Jednakże kościoły same utraciły środki przymusu dzięki presji przemian kulturalnych, policje zaś systematycznie i od początku świata łudzą się same co do własnej wszechmocy i próbują łudzić innych, jako że utrzymują swą siłę tylko tak długo, jak długo inni wierzą w jej wszechmoc.

W obliczu silnych presji społecznych policja okazuje się w końcu bezsilna, a strach tych, którzy żyją z szerzenia strachu, staje się większy niż strach prześladowanych.

Biurokratyczny socjalizm utracił ideowe zaplecze. Mimo wszystkich monstrualności stalinizmu, aparat stalinowski, przynajmniej w krajach demokracji ludowej, był nieporównanie bardziej zależny w swoich działaniach od swojego ideowego związku z systemem aniżeli aparaty obecne. Wydawać się może, że aparat cyniczny, którego członkowie mierzą osiągnięcia socjalizmu własnymi przywilejami i karierą, jest skuteczniejszy, bo pozbawiony obciążeń i zahamowań, nie narażony na wstrząsy ideowe, zdolny do dowolnych i błyskawicznych przemian i lepiej nadający się do manipulacji. Lecz jest to mniej niż połowa prawdy. Aparat taki nie tylko jest zawodny w chwili kryzysu i nie jest w stanie przetrwać istotnej próby, nie tylko jest bardziej skłonny do samorozpadu przez klikowość, ale sam jest objawem historycznego obumierania systemu, któremu służy. System, którego nikt nie broni bezinteresownie, jest skazany – cytuję to zdanie z książki Victora Serge'a o carskiej ochronie – zdanie, któremu nie uwierzy żaden policjant, dopóki nie utraci swojej posady. Despotyczny socjalizm obumiera śmiercią powolną opisaną przez Hegla; wydaje się nienaruszony, ale zatapia się w ociężałej nudzie i drętwocie, którą urozmaica tylko powszechny strach wszystkich przed wszystkimi, strach wyładowywany w agresjach. Utrata idei jest dla tego systemu utratą racji istnienia. Zwróćmy uwagę na drobne przemiany frazeologiczne: Stalin miał pełną gębę słowa „wolność”, kiedy tortury i rzezie wypełniały jego imperium; dziś, gdy rzezie ustały, sam dźwięk słowa „wolność” stawia na nogi całą policję. Wszystkie staroświeckie słowa – „wolność”, „niepodległość”, „prawo”, „sprawiedliwość”, „prawda” – obracają się przeciwko biurokratycznej tyranii. Wszystko, co wartościowe i trwałe w dzisiejszej kulturze narodów przez system ten opanowanych, powstaje wbrew niemu. Międzynarodowy ruch komunistyczny przestał istnieć. Przestała też istnieć idea komunizmu w sowieckiej wersji.

Prawdopodobnie w warunkach swobody wyboru znaczna większość polskiej klasy robotniczej i inteligencji opowiedziałaby się za socjalizmem, podobnie jak opowiada się za nim niżej podpisany. Za socjalizmem, to znaczy za suwerennym organizmem narodowym, który zakłada kontrolę społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego oraz nad administracyjno-politycznym aparatem pracującym jako organ społeczeństwa, nie zaś pan mający społeczeństwo „do pomocy”; za organizmem więc, zapewniającym swobodę informacji i komunikacji, pluralizm polityczny i wielość form społecznej własności, poszano-

wanie dla kryteriów prawdy, efektywności i interesu publicznego, swobodę zrzeszeń zawodowych oraz swobodę od samowoli policji politycznej, a także prawodawstwo karne, którego celem będzie ochrona społeczeństwa przed antyspołecznym zachowaniem, nie zaś czynienie przestępcami wszystkich obywateli, aby móc wszystkich szantażować.

Do jakiego stopnia ruch ku takiej formie społecznej jest możliwy, zależy w znacznej części, choć nie w całości, oczywiście, od tego, do jakiego stopnia społeczeństwo wierzy, że jest on możliwy. Ponieważ to, czym jest jakiegokolwiek społeczeństwo zależy w części od tego, czym ono jest we własnym wyobrażeniu, nie ma w przemianach społecznych czystej możliwości utajonej w samych rzeczowych stosunkach i niezależnej od tego, w jakim stopniu jest ona możliwością uświadomioną. Stąd też ci, którzy w krajach socjalistycznego despotyzmu mogą być inicjatorami nadziei, są zarazem inicjatorami ruchu, który tę nadzieję czyni realną – jako że w wiedzy społeczeństwa o sobie samym podmiot i przedmiot są częściowo zbieżne.

Myśl, że obecna forma socjalizmu jest bezwzględnie sztywna i może być tylko zgruchotana jednorazowym uderzeniem, że więc żadne zmiany częściowe nie są w istocie zmianami co do swego społecznego sensu, łatwo nadaje się na usprawiedliwienie oportunistu i zgoła świństwa. Jeśli bowiem tak jest, to żadne jednostkowe czy zbiorowe inicjatywy, które mają na celu przeciwdziałanie monstrualnościom biurokratyzmu neostalinowskiego, żadna walka o utrwalenie w tym społeczeństwie szacunku dla prawdy, dla kompetencji, dla rzetelności, dla sprawiedliwości i dla rozumu nie mają znaczenia; krótko mówiąc, przy tym założeniu każde jednostkowe świństwo może szukać dla siebie usprawiedliwienia, gdyż może być interpretowane po prostu jako składnik świata uniwersalnego, które „chwilowo” jest nieuchronne i nie jest dziełem jednostek, lecz wynikiem systemu. Zasada niereformowalności może przeto służyć jako rozgrzeszenie z góry udzielone wszelkiemu tchórzostwu, bierności i kooperacji ze złem. Okoliczność, że duża część polskiej inteligencji dała sobie wmówić przekonanie o całkowitej nieplastyczności haniebnego systemu, w którym żyje, jest zapewne w znacznym stopniu odpowiedzialna za pożałowania godną bierność, jaką okazała ta warstwa w chwili dramatycznego natarcia, które podjęli robotnicy polscy w grudniu 1970 roku.

Najgorszą przysługą, jaką można wyrządzić sprawie niepodległości i demokracji polskiej, jest utrwalanie w społeczeństwie tradycyjnych nacjonalistycznych stereotypów antyrosyjskich. Naród rosyjski, który przeszedł najstraszliwszą gehennę w nowoczesnej historii, nadal jest używany jako narzę-

dzie imperialnej polityki swoich władców. Ale też sam jest ofiarą tej polityki, bardziej niż którykolwiek inny. Mimo pewnego ryzyka, jakie ciągnie za sobą podsycanie nacjonalizmów wewnątrz „strefy wpływów”, nacjonalizmy te, zwłaszcza w obliczu uwiadu realnej siły internacjonalistycznej ideologii, są nieodzownym narzędziem, stosowanym wedle najtradycyjniejszych metod utrzymania władzy. „Przyjaźń narodów” w urzędowej doktrynie oznacza wygłaszanie toastów na temat przyjaźni oraz odwiedziny zespołów tanecznych obstawionych gęsto policyjnym nadzorem. Rzeczywista przyjaźń i zrozumienie między narodami, których wzajemne nieufności i wrogości mają silne historyczne korzenie, może się utrzymywać tylko w niekontrolowanych kontaktach i wymianie – a tego właśnie rządzące warstwy lękają się najbardziej. Polski nacjonalizm antyrosyjski mocą naturalnej reakcji przyczynia się do utrwalania nacjonalizmu wielkoruskiego i sprzyja przedłużaniu niewolnictwa obu narodów. Przykro jest powtarzać te prawdy, które za czasów Wiosny Ludów były już banałami wśród ówczesnej rewolucyjnej demokracji, lecz trzeba je powtarzać dopóty, dopóki nadal są w mocy. Ci, którzy miast przyczyniać się do znajomości i rozumienia prawdziwej kultury narodowej Rosji, poprzestają na utrwalaniu antyrosyjskich stereotypów są w Polsce mimowolnymi rzecznikami władzy, która oba narody trzyma w niewoli.

Mimo wojskowej potęgi sowieckiego imperium i mimo inwazji w Czechosłowacji odśrodkowe tendencje wewnątrz „bloku” nie dają się powstrzymać i nacjonalistyczna korozja będzie zżerała coraz silniej organizm pozbawiony ideologicznego spoiwa. Nie jest w interesie żadnego z narodów, by paliwem tego rozkładu były narodowe nienawiści, które mogłyby się zakończyć jedynie apokaliptyczną rzezią. Możemy przeciwdziałać tej przerażającej perspektywie tylko przywracając wigor tradycyjnej i staroświeckiej idei braterstwa narodów przeciwko ciemności.

*

Streśćmy. Wszystkie opisane sprzeczności wewnętrzne socjalistycznego despotyzmu mogą mieć zawsze rozwiązania w dwojakim kierunku zmierzające. Pozostawiony własnej inercji, wśród milczenia i strachu, system ten zawsze i nieuchronnie będzie zmierzał ku takim rozwiązaniom własnych sprzeczności, które mnożą ucisk, nie zaś łagodzą, zaciskają pętlę, nie zaś rozluźniają. Rozrost policyjnych metod rządzenia nie jest wynikiem zwiększonego oporu, lecz, przeciwnie, wynikiem jego braku. Plastyczność tej formacji społecznej – plasty-

czność, której granicy nie potrafimy z góry określić – będzie objawiać się w jego restalinizacji, jeśli zabraknie sił zdolnych do sprzeciwu; może objawiać się w duchu zgodnym z potrzebami społeczeństwa wyłącznie pod tegoż społeczeństwa naciskiem; jest to lekcja narzucająca się nieodparcie w świetle naszych doświadczeń. Również ci, którzy sądzą, że płacą tylko nielicznymi ustępstwami za swój spokój, przekonywać się będą, że cena tego spokoju będzie coraz wyższa; ci, co płacą tylko niewinnym na pozór lizusostwem, będą jutro zmuszeni płacić donosicielstwem za ten sam towar; ci, co licze swoje przywileje okupują tylko milczeniem w obliczu świństwa, na które mogą reagować, będą musieli za te same przywileje płacić rychło aktywnym udziałem w świństwie. Naturalnym prawem despotyzmu jest moralna inflacja, która sprawia, że rozdawca dóbr każe sobie płacić coraz drożej, jeśli presja społeczna nie zmusza go do obniżki.

Nie jest to może perspektywa rozweselająca, ale nie jest fantazyjna, w odróżnieniu od tych perspektyw, które każą liczyć na cud, na pomoc zewnętrzną lub na automatyczną samonaprawę zgrzytającego mechanizmu, pozostawionego własnemu bezwładowi. Istotne jest, że środki presji znajdują się pod ręką, są w dyspozycji niemal każdego. Polegają tylko na wyciągnięciu konsekwencji z najprostszych przykazań, które zakazują przemilczania świństw, czapkowania przed panem, wyłudzenia jałmużny za pokorę, i innych podobnych zachowań. Z własnej godności czerpiemy prawo, aby stare słowa „wolność”, „sprawiedliwość”, „Polska” móc wypowiadać pełnym głosem.

Leszek Kołakowski

[6/1971]

Słowo

Z tego, że „Na początku było Słowo” nie wynika jeszcze, że słowo było początkiem. Początek mógł być przed słowem. Wolno tak przypuszczać, bo przecież to zdanie brzmi, jak brzmi: „Na początku było Słowo”, a nie „Słowo było początkiem”.

Kiedy samochodem wjeżdża się do Paryża, kiedy wjeżdża się do Paryża? Czy wtedy, kiedy pojawiają się przedmieścia? Czy kiedy widać mur kamienic na bulwarach peryferyjnych? Czy kiedy ukazuje się Notre-Dame? Co to jest Paryż? („Paryż”?). Co jest Paryżem, a co nim nie jest? Gdzie jest granica między „Paryż” a „nie-Paryż”, która rozstrzyga?

Rozstrzyga („rozstrzyga”?) słowo. Słowo „Paryż” napisane na tablicy, na znaku drogowym. Podróżnik od razu czuje się lepiej, uwolniony od wątpliwości. Wie, że kiedy minie tablicę, znajdzie się w Paryżu, a przedtem, zanim ją minął, w Paryżu jeszcze nie był.

Podobno kiedyś ludzie nie potrafili mówić. Kiedy się nauczyli, tak ich ta zdolność zachwyciła, że utożsamili słowo z rzeczą. Później zaczęła się wątpliwość co do tej tożsamości: czy istnieje? I co robić, czy wierzyć, że słowo jest tożsame z rzeczą, czy nie wierzyć. A może po prostu zamiast wierzyć czy też nie wierzyć ryczałem, w ogólności, należy wierzyć albo nie wierzyć w każdym osobnym, pojedynczym wypadku. W jednym wypadku wierzyć, w drugim nie. Kiedy potrzebuję młotka, mówię: „Podaj mi młotek” i mam pewną gwarancję, że to nie znaczy: „Podaj mi obcęgi”. Ale kiedy mówię: „Oto Paryż”, nie mam już tego samego zaufania do słowa „młotek”, co do słowa „Paryż”. Bo – być może – jestem już w Paryżu, zanim się ukaże tablica z tym słowem. A może nie. W każdym razie sprawa nie jest już tak jasna.

Są słowa skromne, małe, ciasno przylegające do skromnych, małych rzeczy. Potem cała gama, aż do słów-worów. Niektóre wory są monstrualnej wielkości.

Jestem literatem i obcuje ze słowami. Poznałem ich słabości i podstępny, ale muszę się nimi posługiwać. I tak jestem w łatwiejszym położeniu niż publicysta, ponieważ literatura nie polega na tym, żeby coś wykazać czy udowodnić bezpośrednio. Literatura jest raczej kształtowaniem nie-znaczenia przy pomocy znaczeń, tak jak muzyka jest kształtowaniem milczenia przy pomocy dźwięków. Rozumiem i szanuję trudność, która przypada kolegom po słowie w innej dziedzinie zastosowania słowa. Ale pozostaję nieufny.

Moja nieufność obudziła się ostatnio przy lekturze artykułu Leszka Kołakowskiego *O nadziei i beznadziejności*, w szóstym, czerwcowym numerze „Kultury”. A raczej przy lekturze następującego fragmentu:

„Prawdopodobnie w warunkach swobody wyboru znaczna większość polskiej klasy robotniczej i inteligencji opowiedziałaby się za socjalizmem, podobnie jak opowiada się za nim niżej podpisany. Za socjalizmem, to znaczy za suwerennym organizmem narodowym, który zakłada kontrolę społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego oraz nad administracyjno-politycznym aparatem pracującym jako organ społeczeństwa, nie zaś pan mający społeczeństwo »do pomocy«, za organizmem więc, zapewniającym swobodę informacji i komunikacji, pluralizm polityczny i wielość form społecznej własności, poszanowanie dla kryteriów prawdy, efektywności i interesu publicznego, swobodę zrzeszeń zawodowych oraz swobodę od samowoli policji politycznej, a także prawodawstwo karne, którego celem będzie ochrona społeczeństwa przed antyspołecznym zachowaniem, nie zaś czynienie przestępcami wszystkich obywateli, aby móc wszystkich szantażować”.

Ustęp ten zawiera listę postulatów, których urzeczywistnienie – każdego z osobna – daje w sumie (czy dałoby) ogólność, nazwaną socjalizmem. Czyli listę składników, które stwarzają całość. Ale to moje przedstawienie nie jest jeszcze ścisłe. Bo autor zaczyna od postulowania całości (socjalizm), a dopiero potem wymienia składniki. Z tego wynika, że całość jest na początku, składniki potem, zależne od całości, czyli ogólność rodzi poszczególność. To, co jest wewnątrz rodzi się dopiero z tego, co jest dookoła, co obejmuje nazwą.

Każdy z wymienionych postulatów (z wyjątkiem jednego, o tym później) da się przedstawić jako konkretna działalność ludzka. Informować, komunikować, zrzeszać się, wydawać prawa, ochraniać. Albo też z konkretną działalnością ludzką ma połączenie. Suwerenność narodowa implikuje nie tylko stan suwerenności, ale też aktywność doprowadzającą do tego stanu albo go broniącą. Każdy z tych postulatów da się więc przetłumaczyć od biedy na konkretne obrazy, niekoniecznie aż tak symboliczne, jak na przykład wolność jako taka, wolność w ogóle, która może być przedstawiona tylko jako tłusta kobieta z trąbą. Gdyby mi kazano nakręcić film o swobodzie zrzesza-

nia się, nie musiałbym się uciekać aż do tak odległej metafory, jak odegranie czegoś przez tę kobietę na tej trąbie. Wystarczyłaby historia jakiegoś związku zawodowego czy nawet studenckiego klubu.

Natomiast socjalizm... Jak to przedstawić? Słowo niezmiernie, wyłącznie abstrakcyjne. Bez gipsowego golasa (bo słowo „socjalizm” jest rodzaju męskiego) z maczugą, albo czymś takim, nie można.

A więc jest to bardziej słowo niż konkret. Ale można mi powiedzieć, że rozumiem nieuczciwie, ponieważ właśnie owe składniki–konkrety razem dają socjalizm, czyli socjalizm jest konkretem. Dobrze, ale autor artykułu, który pobudził mnie do tych refleksji, zaczął akurat odwrotnie: od abstrakcji, która ma spłodzić konkret. „Na początku było Słowo”.

Ale nawet... Nawet jeżeli te składniki–konkrety, to właśnie socjalizm, socjalizm tylko i nic innego...

Przeczytajmy ich listę jeszcze raz. Okazuje się, że wszystkie postulaty, może tylko z wyjątkiem „...kontroli społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego” (ale już bez: „...oraz nad administracyjno-politycznym aparatem”) są czy bywają urzeczywistniane – w takim czy innym stopniu – tam, gdzie to się nie nazywa „socjalizm”. Natomiast ich realizacja znika wszędzie tam, gdzie zaczyna to się nazywać „socjalizm” albo, w najlepszym razie, nie ma jej w dalszym ciągu, jeżeli przedtem też jej nie było. A więc:

Jeżeli coś trochę jest, a trochę go nie ma – to czy jest, czy też nie ma?

Czy to jest, choć się nie nazywa?

Czy tego nie ma, bo się nie nazywa?

Czy jest, bo się nazywa, choć go nie ma?

Czy trzeba nazwać, jeżeli już jest, żeby było?

Czy nazywać?

Ktoś mi odpowie: Owszem, owe postulaty bywają urzeczywistniane tu i ówdzie... Ale po pierwsze, nie wszystkie, tylko niektóre z nich. A więc socjalizmu tam nie ma, bo socjalizm zakłada kompletność listy. Po drugie, każdy z nich z osobna bywa realizowany tylko częściowo, ułomnie, czasem mniej, czasem więcej, albo też nierównomiernie, to znaczy jeden mniej, drugi więcej, ale żaden z nich nigdy nie do końca, nigdy w stu procentach.

Jednakże autor *O nadziei i beznadziejności* docenia względność. Ja również. Uważam, że pogląd „wszystko albo nic” jest urojeniem (czasami ładnym albo wygodnym), a nie wnioskiem z rzeczywistości. Zaprzeczanie temu, że różnice w stopniach są tak samo ważne, jak samo życie, jest śmiertelnie głupie. Nie jest wszystko jedno, czy ma się trzydzieści osiem stopni go-

rączki, czy czterdzieści jeden. Kto zostaje skazany na dziesięć lat więzienia, woli to od dożywocia, chociaż najchętniej posiedziałby tylko jeden rok. Kiedy ludzie ze Wschodu rozmawiają z ludźmi z Zachodu o różnych uciążliwościach, ludzie z Zachodu irytują ich. Bo ci ze Wschodu są skazani na dożywocie, a ci z Zachodu na jeden rok z zawieszeniem, ale mówią, że to wszystko jedno.

I wreszcie można powiedzieć, że „...Kontrola społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego...” jest podstawowym warunkiem, żeby był socjalizm. Ale w takim razie czy spełnienie tego warunku samoczynnie powoduje spełnienie wszystkich innych? (Czy choćby ich części?) Czy też odwrotnie: raczej spełnienie pozostałych warunków może doprowadzić do spełnienia, dopełnienia tego pierwszego. Jeżeli spełnienie tego pierwszego warunku prowadzi do spełnienia pozostałych, to w takim razie zaczynamy od pierwszego. Ale jeżeli mamy co do tego najmniejsze choćby wątpliwości, to ostrożność jest wskazana. Bo czy nie lepiej nie „kontrolować”, a cieszyć się pokazną resztą? I tak samo, jeżeli nawet urzeczywistnienie wszystkich innych warunków niekoniecznie prowadzi do urzeczywistnienia pierwszego, to czy urzeczywistnienie tych innych to już nie jest coś, co należy cenić?

Trudno oczywiście nie pragnąć realizacji pierwszego postulatu. Nasuwają się jednak wątpliwości. Przede wszystkim wynikają z doświadczenia. O ile wszystkie pozostałe postulaty bywają mimo wszystko urzeczywistniane, w tym czy innym czasie, tu czy ówdzie, lepiej czy gorzej, o tyle pierwszy – jak do tej pory – wszędzie pozostaje tylko propozycją albo projektem. Może dlatego, że – jeżeli mu się lepiej przyjrzyć – jest niezmiernie rozległy, prawie wszechobejmujący. „Kontrola społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego” to tak dużo, że chyba wszystko, czyli za dużo. A więc w odróżnieniu od innych postulatów łatwiej wyobrażalnych i wykonalnych, bo mniej obszernych – ten postulat wydaje się bliższy abstrakcji-słowu niż konkretowi. Obawiam się, że w tym wypadku musiałbym jednak zastosować obnażoną kobietę z instrumentem muzycznym, żeby jakoś przedstawić ten rodzaj kontroli. Społeczeństwo nie może uprawiać jej inaczej, jak za pośrednictwem przedstawicieli. A więc nie będzie to już społeczeństwo, ale przedstawiciele. A kontrolować własność i rozdzielać dobra to rzecz o wiele bardziej delikatna niż kontrolować cokolwiek innego. W nie-socjalizmie ci, którzy to robią, nie udają, że robią to w imieniu społeczeństwa. Są to po prostu i bez ogródek – właściciele. Pod tym względem sprawa jest czysta.

Ale założmy, że gdzieś, kiedyś, jakieś społeczeństwo będzie mogło kontrolować „zastosowanie i rozwój środków produkcji i rozdział dochodu narodowego” niejako osobiście. I że wszystkie inne postulaty będą także spełnione. Powstaje pytanie: czy wtedy będzie już dobrze?

Obawiam się, że nie. Nie będzie dobrze, jeżeli nie będzie się dobrze nazywało. Nie będzie ładne, dopóki nie dostanie ładnej nazwy. Wprawdzie nie nazwa tworzy dzieło (choć próby są w toku), ale nazwa wieńczy dzieło. Tak czy inaczej, bez nazwy nie ma dzieła. Bez nazwy ani rusz.

Sławomir Mrozek

[7-8/1971]

Odpowiedź na *Słowo*

Zdaje mi się, że pojmuję, o co Mrożkowi chodzi, ale muszę to wpierv przełożyć na własną mowę, bardziej płaską i bardziej abstrakcyjną zarazem. Niechaj mnie Mrozek sprostuje, jeśli się mylę.

Otóż rozumiem, że Mrożkowi nie tylko o to chodzi, że mu słowo „socjalizm” obrzydzono, ale o to głównie, że wszelkie takie słowa-hybrydy, słowa-centaury, słowa-wory, słowa-przepaście, emocjonalnie naładowane a semantycznie chwiejne, to mają do siebie, że gdy raz do nich przywyknemy, popadamy w taką od nich zawisłość, iż mniej nas obchodzi, jak by życie ludzkie uczynić znośniejszym, a bardziej jak by rzeczywistość tak przykroić, iżby do owych mętnych słów pasowała. Mówimy „wolność” albo „socjalizm”, albo „demokracja”, albo „Bóg”, albo „ojczyzna” i zdaje nam się, że wiemy o co chodzi i że słowa nasze są nosicielami najwyższych wartości; tymczasem nie tylko nic nie wiemy, ale owym słowom niejasnym podporządkowujemy wszystkie sprawy ludzkie i roimy sobie, że najważniejszą rzeczą jest nie to, by ludziom lepiej było, ale by świętość słowa nie doznała uszczerbku. Potem już nam wolno krzyżować i masakrować wszystkich, którzy w naszym mniemaniu nie spełniają warunków przez słowa narzuconych, więc na przykład wierzą w Boga, ale w Tróję nie wierzą, albo domagają się po prostu wyborów i zniesienia cenzury, nie zaś „Wolności”, albo chcą zapewnić ludziom przyzwoite życie, nie zaś „Socjalizm” i tym podobne. Starajmy się przeto – taki chyba jest morał, który Mrozek podsuwa – mówić o poszczególnych sprawach, o które nam chodzi, omijając słowa doktrynerskie, które więcej noszą pasji niż treści, a przy bliższym wejrzeniu porządnie się zdefiniować nie dadzą.

Takie jest moje życzliwe streszczenie Mrożka. Nieżyczliwe bowiem byłoby takie: Mrozek karci mnie za to, iż powiadam „socjalizm, czyli a, b, c, d”, nie zaś „a, b, c, d, czyli socjalizm” (bo to jego główny argument); tymczasem trudno się dopatrzeć fundamentalnej różnicy między powiedzeniem

na przykład „pacjent ma anginę, bo ma naloty na migdałkach, gorączkę i ból gardła” a powiedzeniem „pacjent ma naloty na migdałkach, gorączkę i ból gardła, a więc ma anginę”. Nie chcę jednakowoż Mrożkowej krytyki całkiem zbywać, bo nie chcę tego zaciemniać, co jest racją. A racją jest to właśnie, że owe wyrazy hasłowe i zbiorcze, nieuchronnie w treści chwiejne, zdają się w końcu zdobywać taką nad nami władzę, że wartości bardziej szczegółowe, jakie z nimi zwykło się wiązać, popadają w niepamięć, a zbiorowości ludzkie zdają się walczyć ze sobą i organizować się wokół słów bardziej niż wokół tych wartości szczegółowych i stosunkowo przejrzystych.

Lecz trzeba sobie zadać pytanie, dlaczego tak się dzieje, a także czy i jak można temu zaradzić. Od kilku stuleci filozofowie proponowali językowe terapie i tłumaczyli ludziom, że powinni zaniechać używania słów, które bądź nic nie znaczą, bądź są niespójnymi zbitkami różnych niejednorodnych treści. Lecz wyniki tych słusznych zaleceń nie są, jak wiadomo, imponujące. Na pewno słowa „Bóg” nie da się zdefiniować porządnie, a tym bardziej nazwy różnych boskich przymiotów; toteż od wieków wyjaśniali filozofowie, że różnice między Bogiem takim a owakim, muzułmańskim a chrześcijańskim, unitariańskim a trynitarskim, są różnicami urojonymi i tylko szaleńcy, własnej ignorancji nieświadomi, mogą się o takie sprawy spierać i wzajem mordować. Do tego miejsca krytyka taka wydaje się rozsądna. Ale przyzna chyba Mrozek, że wielkim głupcem byłby filozof, który by oznajmił, że wobec tego podboje arabskie, wyprawy krzyżowe, inkwizycja, wojny husyckie, reformacja – wszystko to pożałowania godne skutki językowego niechlujstwa i nadmiernego ufania „Słowu” i że można by tego wszystkiego uniknąć, gdyby się ludzie bardziej przykładali do namysłu nad sensem wyrazów. Bo przecież wiemy, że we wszystkich tych sprawach o coś istotnego chodziło, różne realne interesy i aspiracje się ścierały, a sam ten fakt, że ludzie te swoje interesy i aspiracje organizowali w postaci twierdzeń odnoszących się do Trójcy Świętej lub transsubstancjacji, fakt ten jest może wytłumaczalny, lecz sam na pewno nie tłumaczy historycznych wydarzeń. A podobnie jest ze wszystkimi słowami, które są uwikłane w ideologiczne zatargi. Słowo „rasa”, tak jak je hitlerowcy używali, nie znaczyło nic zgoła, lecz nie wynika stąd, że hitleryzm był opłakany skutkiem słownego nadużycia, gdyż był czymś całkiem innym. Słowa takie, jak „demokracja”, „socjalizm”, „wolność”, „równość” – czy mamy, czy nie mamy do nich sympatii – nie są również w dobrym położeniu. Są to, ani chybi, zbitki, niespójne na pozór, z historią zawiłą, obrosłe skojarzeniami najróżniejszymi. Lecz myliłby się Mrozek ogromnie, gdyby mniemał, iż stąd, że słowa są takie właśnie, rzeczywi-

stości społeczne i ruchy polityczne, i państwa, i ustroje są takie właśnie jak są, a nie inne i że możemy świat uleczyć, ucząc go nieufności do słów mglistych. Mają bowiem te słowa inną spójność, mniej oczywistą – spójność ludzkich interesów, które w najróżniejszych zestawach i wedle najrozmaitszych kryteriów się łączą nie dlatego, że ludzie niedbale słów używają albo się fascynują ich magią, ale dlatego, że takie są ludzkie sprawy. Więc może Mrożka wezwanie do nieufności względem słów i jego ostrzeżenia przed ich magią lepiej się będą tłumaczyć, gdy je przeciw Mrożkowi obrócić – bo on zda się wierzyć w potęgę słów, która potęgę interesów zniewala.

Przykład Paryża niefortunnie też Mrozek wybrał, bo i ten się przeciw niemu obraca. Już starożytni Grecy... W rzeczy samej, już starożytni Grecy wiedzieli, że mowa potoczna prawie z samych takich słów się składa, których zakresy są niejasno zarysowane. Dlatego tylko przez arbitralną definicję można ustalić granicę między broszurą a książką, między stołem a stolikiem, między młodzieńcem a mężczyzną, między łysym a nie-łysym. Tylko przez arbitralną decyzję można też ustalić, gdzie się Paryż kończy, a co innego zaczyna. To zaś Mrożkowi się nie podoba i nieufnie, jak pisze, do słowa „Paryż” się odnosi, a woli słowo „młotek”. Lecz ludzi się Mrozek sądząc, że pomiędzy Paryżem a młotkiem jest znaczna pod tym względem różnica. Gdy gwoździe wbijam tłuczkiem do mięsa, który ma kształt młotkowaty – jestże ów tłuczek młotkiem, czy nie jest? A gdy trzonek się złamie, młotek to jeszcze, czy już nie-młotek? I nie ma takiego słowa w mowie potocznej, które by podobnych wątpliwości nie budziło. Więc cóż mamy czynić? Nie używać słowa „Paryż”, bo „nieufność” budzi? W takim razie ani słowa „młotek” nie możemy użyć, ani „stół”, ani „zielony”, ani „mówić”, ani, po prawdzie, żadnego słowa w ogóle. Mamyż umilknąć całkiem? Może lepiej stawiać takie właśnie tabliczki, które według arbitralnych ustanowień administracji decydują, gdzie się Paryż zaczyna?

A że wielość spraw rozmaitych w jednym ujmujemy słowie, na to rady już nie ma. Tak się bowiem dzieje – a nie od słów to zależy, lecz od rzeczy – że coraz więcej spraw ludzkich współzależny od siebie i coraz mniej są przydatne zalecenia, byśmy się całościami nie zajmowali, tylko szczegółami. Wiadomo bowiem, że niepodobna osobno zwalczać bezrobocia, a osobno inflacji, jako że tak się przykro składa, że gdzie bezrobocia nie ma, tam jest przeważnie inflacja (choć nie odwrotnie). I podobnie nie może być gospodarczej demokracji tam, gdzie politycznej demokracji nie ma (choć nie odwrotnie), nie można więc sensownie pierwszej się domagać, a drugą lekceważyć. A tam, gdzie jest głód i przeludnienie, i analfabetyzm, jawne się sta-

ło, że wszystkie te nieszczęścia wzajem się wzmacniają i wzajem reprodukuja i że trzeba o całości od razu myśleć, a nie tylko o każdym nieszczęściu z osobna. Więc nie nad potęgą magiczną słów ubolewać należy, ale najwyżej nad obrotem spraw ludzkich, które wszystkie coraz bardziej się kumulują. A dzieje się tak od chwili, gdy ludzkość utraciła wiejską niewinność i jęła zaludniać miasta.

Mierzi Mrożka słowo „socjalizm”, albowiem, jak powiada, różne sprawy ważne, które się w to słowo pakuje, załatwiano w różnych miejscach świata bez socjalizmu, a właśnie w socjalizmie nie załatwiono. Jest to taka prawda, która brzmi dobrze z perspektywy Paryża, a gorzej z perspektywy Warszawy, a jeszcze gorzej z perspektywy Brazylii. Jak dotąd bowiem socjalizm załatwiał pewne sprawy elementarne tam, gdzie inne systemy okazały się niezdolne do ich załatwienia, i twierdzenie, że każdy kraj może sobie zwyczajnie powtórzyć u siebie, wedle wyboru, historię Anglii albo Holandii, albo Stanów Zjednoczonych, byłoby radą żywcem z Sałtykowa-Szczedrina wziętą albo zgoła z Mrożka. Nie twierdzę stanowczo, że takie jest właśnie Mrożka zalecenie. Lecz jeśli nie, to cały jego wywód sprowadza się do oznajmienia, że go właśnie słowo „socjalizm” brzydzi. Słowo, powiadam, bo wbrew oświadczeniu początkowemu wierzy on, że nieszczęścia z nadużycia słów pochodzą, a nie z ludzkich konfliktów.

A już słowom zarzucać, że są „abstrakcyjne” to doprawdy czarna niewdzięczność. Niechże Mrozek przeczyta wszystko, co kiedykolwiek napisał i sprawdzi, jakie to słowa przezeń użyte, prócz imion własnych, są nieabstrakcyjne; przekona się wnet, że nie ma takich. Gdybyśmy bowiem abstraktów nie potrzebowali, nie potrzebowalibyśmy języka. Abstrakty tępić to tyle, co do zupełnego umilknięcia wzywać. Po raz drugi tedy prowadzi Mrozkowy wywód do tej samej rady: milczmy.

Lecz powtarzam: wcale nie lekceważę walki przeciw słownym mistyfikacjom i wiadomo mi dobrze, że się z pomocą zaciemnionych słów zwykło zaciemniać ludzką świadomość. Jest, oczywiście, ważne, aby ludzie nie mylili „wolności” z terrorem, „zaangażowania” z donosicielstwem, „niepodległości” z lokajstwem i tak dalej. Lecz lepiej się przeciw zatrutej świadomości walczyć, kiedy się słowa wyjaśnia, niż kiedy się na nie pomstuje.

Leszek Kołakowski

[7–8/1971]

JESZCZE JEDEN KRAJOWIEC

Czy w Polsce jest możliwa opozycja?

Od kilku miesięcy noszę się z zamiarem polemiki na temat *Politycznej opozycji w Polsce* (nie podpisany artykuł w „Kulturze” – listopad 1974)*. Ale teraz, kiedy polemikę taką podjął autor podpisujący się Aleksander Litwin**, mam ochotę zacząć od niego.

Na podstawie obydwu tekstów wyobraziłem sobie w jakiś sposób obu adwersarzy. Ten pierwszy – to ktoś mieszkający w kraju i mający długie doświadczenie walki z reżymem – może były AK-owiec, może człowiek związany z późniejszymi formacjami czynnych przeciwników panującego stanu rzeczy, w każdym razie ktoś, kto lata całe walczył i zastanawiał się nad sposobami walki, prawdopodobnie podlegał represjom, może siedział w więzieniu. Teraz ten ktoś (dla wygody nazwijmy go, wobec braku podpisu, Opozycjonistą) dostrzega obok siebie i swoich przyjaciół nowe pokolenie rwące się do walki – studentów czy nawet licealistów. Ci żarliwi młodzi ludzie chcą zakładać tajne organizacje, działać rewolucyjnie, gwałtownie. Opozycjonista wie, że działalność taka nie obali rządów komunistycznych w Polsce – ową świetną młodzież natomiast bardzo rychło rzuci do więzień, zniszczy jej całe życie, skaże na niedouczenie, nędzę, choroby, przedwczesną zagładę. Ale Opozycjonista nie wyciąga z tego wniosku, że należy młodym zapaleńcom odradzać wszelki sprzeciw wobec tego, co jest, doradzać zaś ugięcie się, oportunizm, pogodzenie z Molochem. Nie – on chce im tylko poradzić, w oparciu o własne doświadczenia, jak mają żyć w oporze, w codziennej walce, w miarę możliwości nie narażając się przy tym niepotrzebnie i nieroz-

* Chodzi o artykuł Jacka Kuronia, zamieszczony w niniejszym wyborze.

** Aleksander Litwin, Czy „polityczna opozycja”? nr 5/1975 oraz w odpowiedzi na artykuł Jeszcze jednego krajowca *Ani opozycja, ani ruch oporu*, nr 10/1975.

sądnie, zabezpieczając się przed zbyt łatwymi triumfami policji i prokuratury, przed zbyt wczesną i wcale nie służącą Sprawie utratą wolności i życia. Wątek ten jest bardzo widoczny w rozważaniach Opozycjonisty – i kto wie, czy to nie w nim właśnie kryje się pierwszy impuls całego artykułu. Dla mnie, nawiasem mówiąc, jest to wątek najwartościowszy.

Teraz jednak pojawia się na widowni drugi autor – Aleksander Litwin. Zjawia się – jak twierdzi – z sześciotygodniowym opóźnieniem, spowodowanym przez strajk poczty francuskiej. Ale wygląda na to, że zjawia się z opóźnieniem znacznie większym, bo przecież – jak z jego diatryby łatwo wyczytać – to wieloletni „działacz”, partyjny scholastyk, który niedawno chyba pojawiwszy się na emigracji, zabrał ze sobą komplet dzieł ukochanego Lenina i nawet tutaj, nawet w tej dyskusji (natura ciągnie wilka do lasu) usiłuje przyczołgać cytatami z „klasyka” swojego nie dość rewolucyjnego przeciwnika! To fraszka, że sam nigdy nie wojował z reżymem – raczej był jego wierną podporą – teraz łaknie krwi i z emigracyjnego daleka dialektycznie gromi „kapitulanski program” (skąd my znamy te etykiety?) człowieka z kraju, który nie chce „ustalać prowadzących dyskusję” i rzucać nieopierzanej młodzieży w paszczę więzień i ubeckich katowni. Chwilami zaczyna mi się wydawać, że „Aleksander Litwin” nie może naprawdę istnieć, że tak doskonały konterfekt przemalowanego, ale nie odmienionego dyskutanta z zebrania Podstawowej Organizacji Partyjnej (przedmówca – okazuje się – „nie rozumie, że gospodarka i życie społeczne krajów socjalistycznych rozwijają się poprzez sprzeczności” *etc.*) mógł powstać jedynie jako parodystyczna konstrukcja jakiegoś figlarza.

*

A teraz, pożegnawszy się z Aleksandrem Litwinem, wróć do tego, co razi mnie lub nie odpowiada z jakichś powodów w artykule Opozycjonisty.

Nie odpowiada mi sam sygnał wywoławczy: o p o z y c j a.

Opozycja – to alternatywny program wobec tego, co realizuje partia rządząca – to siła polityczna stojąca za tym programem – to jego jawna i jasna artykulacja – to instytucja o wyraźnych konturach.

Opozycja zmierza do zdobycia władzy, by hasła ze swoich sztandarów przenieść w sferę praktyki – i musi wierzyć, że to jest możliwe.

W systemach demokratycznych opozycja jest najrzeczywistszą rzeczywistością polityczną, legalnym i niezbędnym składnikiem życia obywatelskiego.

W krajach chwilowo zdławionej demokracji (np. w Grecji za dyktatury wojskowej) opozycja zostaje zepchnięta w podziemie i wypchnięta na emi-

grację, ale ciągle jest jeszcze rzeczywistością i potencjalnie kandyduje do pokierowania odwróconą któregoś dnia sytuacją.

W ustabilizowanym systemie totalitarnym opozycja jest mrzonką.

Może istnieć w momentach jego niecałkowitej jeszcze stabilizacji – jak u nas po wojnie opozycja PSL-owska, z „Gazetą Ludową”, z tekami w rządzie tymczasowym, z nadzieją wyborczego zwycięstwa, albo w momentach stabilizacji zachwianej – jak w okolicach roku 1956 opozycja rewizjonistyczna, z radami robotniczymi i klubami inteligencji, z „Po prostu” i innymi czasopismami w warunkach rozluźnionej i zdezorowanej cenzury, z sympatykami nawet w KC, z wiarą w dobrą wolę, rozum i możliwości Gomułki, którego ta właśnie opozycja wyniosła do władzy.

Czasem aktywność opozycji pozostawia ślady na trochę dłużej: na przykład po Październiku pozostała reforma więziennictwa, dzięki której jeszcze ofiary Marca siedziały w stosunkowo ludzkich warunkach. Ale w tym właśnie okresie, w okolicznościach stabilizacji reżymu, niezbyt podważonej przez wydarzenia 1968 i 1970 roku, opracowano antyreformę – z powrotem ku przodującym wzorom Łubianki – wskutek której więźniowie z procesów „Ruchu” siedzieli już w warunkach niewiele odbiegających od norm sowieckich.

W totalizmie ustabilizowanym opozycja jest mrzonką, ponieważ nie może się zinstytucjonalizować nawet w formach szczątkowych, nie ma środków jawnej artykulacji, nie może proponować narodowi alternatywnego programu w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej, nie może sięgnąć po władzę.

Może istnieć – musi istnieć – istnieje, także w totalitaryzmie ustabilizowanym, r u c h o p o r u.

To nie spór o słowa: ruch oporu ma inne cechy niż opozycja.

Opozycja musi być optymistyczna – nie może funkcjonować, traci sens bez wiary w szansę zwycięstwa.

Ruch oporu może być pełen zwątpienia i pesymizmu – i trwać niezależnie od tego, nie licząc na rychłą i gruntowną odmianę, wyobrażając sobie, że niebo zasnuło się na lata, na dziesięciolecia, na pokolenia, ale że mimo to, lub tym bardziej nawet, trzeba się opierać, bronić wartości, bronić człowieka, bronić wszystkiego, co da się obronić przed destrukcją, jaką niesie system, jego totalna ideologia (lub ściślej: jego zmieniające się, ale zawsze totalne, ideologie), jego nieludzkie instytucje i upolityczniona pseudokultura.

Opozycja jest sprawą takich czy innych elit, ruch oporu – sprawą całego narodu, „sprawą polską”, kiedy o Polsce mowa.

Sprawa polska na dzisiaj i obawiam się, że jeszcze na bardzo długo – to żmudny, na ogół nieefektywny, rozmaity w treści, rozmaity w formie, nie mający jednak prawa ustać ruch oporu przeciw sowietyzacji, to znaczy przeciw kompletnemu podporządkowaniu całego społeczeństwa i każdej jednostki centralnemu komunistycznemu ośrodkowi sterującemu, przeciw wpojeniu sobie sowieckiej mentalności, odczłowieczających odruchów człowieka sowieckiego, sowieckiego strachu i rezygnacji, posłuszeństwa i braku solidarności ludzkiej, sowieckiej nowomowy i nowomoralności, apatii i znieczulicy, przeciw sowieckiemu zerwaniu naturalnych więzi, stłumieniu porywów i inicjatyw, zdeptaniu uczuć, spętaniu wolnej myśli, zamknięciu wszystkich razem i każdego z osobna w skrzynce, przegródce, kartotece, przeciw pokorze i wdzięczności za wystany w kolejce ochłap.

Ruch oporu chłopów polskich w okresie stalinowskim odwrócił i uniemożliwił utworzenie kołchozów.

Ruch oporu Kościoła w Polsce, mimo PAX-owskiej dywersji i różnych wielce dramatycznych momentów, uniemożliwił ateizację społeczeństwa na większą skalę, przeciwdziałał demoralizacji, pozwolił społeczeństwu zachować w pamięci kilka podstawowych wskazań moralnych.

Ruch oporu intelektualistów i twórców ocalił kulturę przed stuprocentowym upaństwowieniem i wyjałowieniem, powołał do życia istotną ilość sformułowanych i utrwalonych myśli spoza katalogu zatwierdzonego w centrali, istotną ilość dzieł pięknych, budujących i ważnych dla narodowej egzystencji.

Ruch oporu młodzieży, nawet tej „lekkomyślnej”, walczącej w różnych okresach o prawo do kolorowych skarpetek, wąskich lub szerokich spodni, określonej fryzury i sposobu tańczenia – ocalił Polskę przed sowiecką szarcią i drylem.

W tych latach liczyło się jakoś – i dalej się liczy – wszystko, co było i jest oporem – zarówno ze względu na swoją konkretną treść, jak na sam fakt o p o r u, sprzeciwu, niezgody.

Kiedy partia zabraniała abstrakcyjnego malarstwa – oporem było uprawianie abstrakcyjnego malarstwa, kiedy krzywiła się na jazz – oporem były nocne sesje jazzowe, kiedy kazała pisać do rymu i rozumiale o trójkach murarskich – do rangi oporu urastał wolny wiersz i tok nie kontrolowanych skojarzeń.

Ruchem oporu był „List 34” w obronie niszczonej perfidnie kultury polskiej – i odmowa złożenia podpisu pod „antylistem”, na którą wbrew naci-skom zdobyło się przecież kilkuset literatów, w tym kilkudziesięciu ówczesnych członków organizacji partyjnej.

Ruchem oporu jest mądra praca wychowawcy w szkole, który nie wbija uczniom w głowę dogmatów tak zwanego „wychowania obywatelskiego”, lecz uczy ich samodzielnie myśleć, być wrażliwym moralnie i społecznie – wychowawcy, który naprawdę w y c h o w u j e.

Ruchem oporu jest strajk robotniczy, nawet pod ściśle ekonomicznymi hasłami – i studencka odmowa wstępowania do zgłajchszaltowanej organizacji (choć te poprzednie, które teraz „zjednoczono”, też nie reprezentowały szczytów demokratyzmu) – i odmowa udziału w potępieniu kolejno kulaków, Marii Dąbrowskiej, biskupów polskich, Gombrowicza, syjonistów, Czechów, długowłosych młodzieńców, Chińczyków, tak zwanych koleśków i chochołów, Wolnej Europy, Sołżenicyna.

Mnóstwo jest form i możliwości ruchu oporu, pisał o tym parokrotnie Leszek Kołakowski, którego sformułowania z niewiadomych przyczyn Opozycjonista określa jako „nieśmiałe”, piszą uczestnicy najnowszej dyskusji w „Kulturze”, na przykład Jan Zwada*, określając, co rozumie przez „pracę organiczną” (i terminem powyższym obejmując elementy tego, co ja rozumiem przez ruch oporu), pisał i sam Opozycjonista, nie wnosząc w gruncie rzeczy wiele nowego do programu Kołakowskiego, twierdząc tylko, że powszechny opór „opozycją polityczną staje się wszędzie tam, gdzie ludzie uświadamiają sobie polityczny charakter swego działania...” i postulując, że-by tak właśnie było. Osobiście nie jestem pewien, czy to takie ważne i w ogóle konieczne, żeby ksiądz na ambonie, pisarz nad białą kartką przepędzający z duszy „wewnętrznego cenzora”, dobry wychowawca w gronie młodzieży, uczestnik zebrania mówiący prawdę itd., itp. „uświadamiał sobie polityczny charakter swego działania”. I jaki niby jest ów polityczny charakter – jak to działanie wpływa na konkretne układy polityczne, na konfiguracje partyjno- -rządowe, prerogatywy ambasady sowieckiej w Polsce, miejsce polskiego baraku w obozie i poza nim? Przecież to fikcja.

O opozycji politycznej w Polsce bardzo chętnie mówi UB i partia, strasząc się nią i mobilizując do czynu (to znaczy do przykręcania śruby), a zarazem jakby uspokajając: to tylko opozycja, grupa ambitnych facetów, pragnących nam odebrać władzę, co oczywiście jest nierealne, nie zaś narodowy ruch oporu, który po władzę nie sięga, ale pod pewnymi względami czyni ją nieskuteczną i pustą na całym społecznym obszarze.

Mówienie przez partię i UB o opozycji, nie zaś o ruchu oporu, to i propagandowe wyolbrzymienie, i psychologiczne pomniejszenie przeciwnika.

* Jan Zwada: *Poprawki, uzupełnienia, propozycje*, „Kultura” 6/1975.

Opozycjonista – patrząc, naturalnie, z zupełnie innej perspektywy – także zdaje się sądzić, że opozycja polityczna to jak gdyby coś potężniejszego, groźniejszego, ważniejszego niż spontaniczny, powszechny ruch oporu. Opozycja daje poczucie inicjatywy politycznej, upodmiotawia uczestnictwo w historii, wydobywa uczestników z anonimatu: „fakt występowania w naszym życiu społecznym ruchu politycznej opozycji, jej formy działania, a nawet w pewnym stopniu skład, są doskonale znane władzom PRL” – twierdzi Autor. Niewiele brak, a wyciągnie wizytówkę – oddycham z ulgą, kiedy tego nie czyni.

Twierdzi jednak dalej: „po to, aby obronić Kowalczyków przed karą śmierci, wpłynęło do Rady Państwa kilka tysięcy listów, kilkuset ludzi musiało odbyć kilkanaście tysięcy rozmów”. Oświadczam: nikt ze mną nie rozmawiał, napisałem swój list przez nikogo nie nagabywany. I mój kolega z pracy też, a potem przypadkowo żeśmy się o tym zgodali.

Opozycjonista zawiadamia, że ostatnią petycję w sprawie uwolnienia „ruchowców” podpisało jedenaście osób (i podaje ich nazwiska), ale że można było zebrać tysiąc podpisów, „władze wiedziały, że możemy to zrobić i nie chciały żebyśmy zrobili”, postanowiono więc – w imię wolności dla pięciu ludzi – załatwić sprawę dyskretnie. Jest w tych twierdzeniach – z pewnością wbrew intencji Opozycjonisty – sugestia, że jakiś zakonspirowany ośrodek decydował, ile ma być podpisów i czyje, następnie zaś Wybitne Nazwiska zgodziły się firmować niewłasną inicjatywę. Nie wiem, czy dla wymienionych profesorów i literatów mile brzmi informacja, że mogą być manipulowani przez jakieś demoniczne dowództwo, ale sęk w tym, że jest to informacja, moim zdaniem, po prostu nieprawdziwa. Przy wszelkich zbiorowych protestach ktoś musi być zawsze inicjatorem, a ktoś zawiadomiony o tym, zgłasza akces albo nie zgłasza. Obserwując jednak różne wydarzenia tego rodzaju na przestrzeni ostatnich parunastu lat, nie wierzę w jednolity opozycyjny ośrodek, który by podejmował decyzję, i jestem przekonany o spontaniczności inicjatyw wychodzących od różnych ludzi i z różnych środowisk. Sądzę, że pragnąc udowodnić trafność i skuteczność działań podejmowanych przez rzekomo istniejącą zjednoczoną opozycję polityczną w Polsce, autor zagalopował się w opisie tego epizodu, i w paru innych.

A może byśmy byli trochę mniej z siebie zadowoleni, trochę mniej przywiązani do, jakby powiedział uczony w piśmie Aleksander Litwin, „roli jednostki w historii”, i zgodzili się na rolę skromnych mrówek powszechnego ruchu oporu?

*

Na zakończenie jedna szczegółowa sprawa: opozycji czy oporu we współczesnej literaturze polskiej. Autor wymienia sześciu pisarzy, których twórczość stanowi może „najdonioślejszą formę działania opozycji”. Nazwiska z pewnością godne szacunku, sądzę wszakże, iż można by wymienić sześćdziesiąt, albo i sześćset – nie zawsze równej świetności, ale często sygnujące nie mniejszą wolę sprzeciwu, zapal mówienia prawdy o świecie, żarliwość moralną i zaangażowanie społeczne. Pisarz jest skazany na opór, na walkę piórem z totalitarnym systemem, w którym żyje, na demaskowanie go wprost i pośrednio, a także na walkę o druk, bunt przeciw krępującej cenzurze, próby jej ominięcia. Skazany jest na to wszystko, jeżeli nie jest zerem i beztalenciem w rodzaju Gaworskiego, policjantem odkomenderowanym do literatury w rodzaju Grzymkowskiego, szmatą, która roztrwoniła swój niegdysiejszy talent, w rodzaju Czeszki i Żukrowskiego. Immanentne prawo twórczości stanowi, że opór literatury nie może zostać złamany. Im sroższa cenzura, tym więcej prób jej ominięcia lub odwrotnie – pójścia na całego. Wzmoczone publikowanie przez autorów krajowych – pod własnymi nazwiskami – w Instytucie Literackim mówi samo za siebie.

Ale i to zjawisko, o którym mowa, jest raczej spontaniczne niż świadomie traktowane przez autorów jako „ważna forma opozycyjnego działania”. Paweł Jasienica – żeby podjąć przykład z artykułu Opozycjonisty – nie pisał *Dziejów agonii* jako paraboli pseudohistorycznej, lecz jako autentyczny fragment historii, do której opowiedzenia czuł się powołany, nie mając zresztą podówczas wielkiej nadziei, że ją rychło zobaczy w druku. Książka ukazała się po śmierci Jasienicy, kiedy niebezpieczniejsza dla partii stała się rosnąca legenda umęczonego pisarza niż dające się ewentualnie zaktualizować wątki książki o utracie przez Polskę niepodległości.

Nie przeceniałbym w ogóle „oszukiwania cenzury”: w pewnych okresach i pod pewnymi względami cenzura chce się dać oszukać, w innych „na wszelki wypadek” kieruje swój niszczycielski ogień zarówno na dzieła, w których można dopatrzeć się jakiejś aluzji, jak na takie, w których jest to bardzo trudnym zadaniem.

Sądzę, że i w tej dziedzinie właściwsze od tropienia sprytnych zamysłów opozycyjnych byłoby zaufanie do właściwego literaturze, jak wszystkiemu co ludzkie, życiodajnego instynktu oporu.

Jeszcze jeden krajowiec
[Wiktor Woroszyński]

Kilka uwag do programu

Przebieg dyskusji i udział w niej wielu uczestników krajowych wskazuje, że „niezlomność” Redakcji w stawianiu i omawianiu centralnych problemów politycznych narodu zaczyna wydawać swoje nowe owoce praktyczne. Osobiście bodźcem do zabrania głosu była dla mnie gorzka konstatacja J. Mieroszewskiego, „że nawet gdyby można było przyszłą Polskę zamówić u Pana Boga – nikt by nie wiedział, jak ów obstalunek sformułować” („Kultura” 4/1975, s. 11).

Stwierdzenie to, równie trafne co bolesne, uprzytamnia nam, do jakiego stopnia „król jest nagi” i jak dalece odwykliśmy w warunkach PRL myśleć w kategoriach politycznych programów narodowych. Można by pójść krok dalej i przyznać, że wielu z nas w kraju – zgorzkniałych i apatycznych, karmionych od lat papką „realizmu politycznego”, różnych kryzysowych, okresowych „racji stanu”, a przy tym pochłoniętych na co dzień tak po prostu ostrą walką o materialną stabilizację – nie umie, a często wręcz nie chce podejmować tematów, dla których realizacji nie widzi aktualnie możliwości praktycznych.

Dobrze więc, że Redakcja nasiliła ostatnio prezentację materiałów wskazujących, że w PRL pogłębił się proces moralnego i politycznego skundlenia narodu, że resztkom dawnych instytucji społecznych i państwowych grozi już wkrótce pełne wchłonięcie przez partyjny totalizm. Praktykowany zaś nierząd, kampanijność, ciągle reorganizacje i łamanie schematów administracyjnych, a nade wszystko rezygnacja z rachunku ekonomicznego, z oceny ludzi według pracy i rezultatów udaremniają, przy kulcie miernoty, wszelką własną odnowę.

W tej sytuacji, rzeczywiście, tylko aktywność patriotycznej części polskiej inteligencji, jej czynny opór przeciwko autokratyzmowi i sowietyzacji mogą stworzyć tamę dla regresu cywilizacyjnego Polski i wytracenia naszej tożsamości narodowej.

Program frontu narodowego

Dobrze, że podjętej dyskusji na temat „Co robić?” towarzyszy również świadomość, iż opozycja polityczna objąć musi także inne warstwy społeczne niż inteligencja, w tym robotników, których żądania ekonomiczne wiązać się muszą, w czasie nowego Grudnia czy Października, z hasłami demokracji, niepodległości i politycznej odnowy. Osobiście nie zrezygnowałbym też w działaniu opozycji krajowej z jakiegoś, choćby cząstkowego sojuszu ze „zbuntowanymi” czy „buntującymi się dozorcami”.

Władza w Polsce znajduje się na pewno w rękach rzeczników orientacji prosowieckiej. Znane są ich wiernopoddane wystąpienia i głośno jest o prześciganiu się we wzajemnych donosach do ambasady sowieckiej i odpowiednich wydziałów KC KPZR. Zrozumiałe są w tej sytuacji obiektywne Redakcji, że różnicowanie „postaw i poglądów najważniejszych reprezentantów PRL prowadzić może do konfuzji”. Wymowne są jednak przykłady przytaczane przez „krajowców” o poważnej roli i znaczeniu w różnych okresach naszej powojennej historii zbuntowanych przedstawicieli władzy ludowej.*

Pamiętać należy, że przy całym cynizmie myślącej części aparatu partyjno-rządowego, właśnie ten jego członek, bardziej niż inne, zagrożony jest przez totalizm i kaprysy wierchuszki, bo myśli, bo jest niebezpiecznie wyuczony w publicznych i zakulisowych rozgrywkach; potencjalnie może więc skuteczniej niż ciemnogród rywalizować z panującymi i pretendować do uchwycenia władzy. Stąd na ogół towarzyszy mu nieufność góry i kolegów. Z tym, przy braku kręgosłupa moralnego lub jego przetrąceniu, można by oczywiście sobie dobrze żyć, gdyby nie naturalna potrzeba do posiadania zadowolenia ze swojej pracy, gdyby nie budząca się odraza do immanentnego bałaganu i głupoty ustroju. Dlatego nie należy w ocenie realiów krajowych ignorować ludzi, którzy przy swojej pozycji i wpływach mogą świadomie czy nieświadomie przyczyniać się do realizacji postulatów wysuwanych przez koła opozycyjne.

* Patrz: Krajowiec, „Kultura” 5/1975, s. 59 czy M. Kowalski, jw., s. 42 [przypis autora].

Uzupełniając przypis autora należy wyjaśnić, że Krajowiec: *Parę uwag w kwestii socjalizmu* i Marian Kowalski: *O potrzebie programu* są to wypowiedzi w dyskusji zapoczątkowanej przez Redakcję pod hasłem „Co robić?”. W jej ramach opublikowany został artykuł Michała Rossa.

Wracając do kwestii programu politycznej opozycji, wydaje się, że przy jego wypracowywaniu nie powinien być kwestionowany postulat, że dokument ten winien być o takich treściach i tak skonstruowany, by nie tracąc z pola widzenia narodowych pryncypiów ani bolesnych doświadczeń trzech dekad PRL, mógł on odpowiadać w pełni aspiracjom, wartościom i wymogom szerokiego frontu narodowego.

Kto ma taki program wypracować?

Z pewnością pytania tego nie można uznać za rozstrzygnięte przez wysunięcie postulatu*, by emigracja wykonała całą pracę koncepcyjno-programową, nawet gdyby, jak to dumnie podjęła Redakcja, żądający od niej programu krajowcy zaopatrywali systematycznie emigrację w potrzebne materiały i informacje.** Pytanie to bowiem nie sprowadza się do tego, czy ma to zrobić emigracja, czy opozycja krajowa, bo za to zadanie jednakowo jesteśmy odpowiedzialni. Po prostu zrobić to muszą ci, którzy potrafią i jestem pewien, że na apel Redakcji wpłynie prędzej czy później szereg poważnych i wartościowych wypowiedzi z kraju.

Podkreślając to, rozumiem jednocześnie stwierdzenie M. Kowalskiego, że jako stały mieszkaniec Polski nie czuje się odpowiednio przygotowany do wysuwania programu politycznego opozycji. Odczuwam podobnie, lecz uważam, że najlepszą dla nas szkołą, a może i odrabianiem zaległości, będzie aktywny współudział krajowców w realizacji tego trudnego i ambitnego zadania.

Nie powinniśmy więc, w żadnym wypadku, ograniczyć się do roli obserwatorów, krytyków biadających nad oderwaniem się emigracji od rzeczywistości krajowej czy tylko odbiorców programu do akceptacji. Fakt, że neostalinizm jest aktualnie bez terroru policyjnego, pozwala i wymaga od patriotycznej części inteligencji w kraju zajęcia w tym względzie aktywnej i twórczej postawy. Na pewno jednak „od każdego według jego możliwości”.

Równie praktycznym aspektem prac programowych, co przygotowanie polityczne i fachowe uczestników obecnej dyskusji, jest czasochłonność i pracochłonność tego poważnego zadania. Czy, i w jakim stopniu, okaże się to przeszkodą, pokażą choćby owoce naszej dyskusji. Na pewno odpowiedź na to, oby brzemienne w skutkach, pytanie „Co robić?”, powinna i będzie musiała być wypracowana z b i o r o w o.

* M. Kowalski: jw., s. 42 [przypis autora].

** Od Redakcji, „Kultura” 5/1975, s. 34 [przypis autora].

Metoda ta, przy całych swoich brakach, ma też niewątpliwie walory. Pozwala czerpać z wielorakich doświadczeń, umiejętności i przemyśleń, uwzględniać różne punkty widzenia, nie mówiąc, że współudział w pracach powoduje głębszą identyfikację z programem, jego zrozumienie, co powinno skłaniać później do jego czynnej realizacji tak w warunkach emigracyjnych, jak i realiów krajowych.

Kończąc te uwagi na temat „kto” i „co” – nie sposób pominąć faktu, że tak jak obecną dyskusją kieruje Redakcja, tak chcemy, by i organizacja dalszych prac programowych spoczywała także w jej uczynnych i patriotycznych rękach.

Reguły współudziału

Temat dyskusji, jej powaga i polityczne znaczenie, jak również „geograficzne” rozproszenie uczestników i niemożność normalnego komunikowania się, skłaniają do narzucenia sobie specyficznej dyscypliny rozumowania i postępowania. Wydaje się, że poszukiwanie odpowiedzi na pytanie „co robić?” winna cechować koncentracja tematyczna. Oznacza to selekcję poruszanych zagadnień, rezygnację z dygresji czy wątków, często interesujących i ważnych, lecz których wprowadzenie do wyводу może gubić jego zasadniczą myśl czy pozbawić istotne elementy ich właściwych proporcji.

Dyskusję tę winna cechować też tolerancja. Ani nas nie stać na luksus posiadania wielu platform programowych, ani politycznie nie ma obecnie takiej potrzeby. Jako opozycja krajowego systemu powinniśmy programowo reprezentować wielopartyjny – narodowy punkt widzenia. Przy takim podejściu nieodzowne jest jednak dalsze precyzowanie pojęć. Rację mają ci, którzy wskazują, iż trzeba dokładniej określić ideowy charakter polskiej opozycji, że zbyt ogólnikowy jest nakaz, aby była ona „antytalitarna i niepodległościowa”.*

Podobnie musimy mieć jasność, które elementy rodzimego socjalizmu są do zaakceptowania, a które winniśmy i w jakiej kolejności starać się eliminować. Tu wszelkie uściślanie jest jak najbardziej na miejscu. Trafna jest bowiem ocena**, że często „owe detale” decydują o obliczu i stopniu wolności i jakości naszego życia krajowego.

* Patrz: *Polityczna opozycja w Polsce*, „Kultura” 11/1974 [przypis autora].

** Krajowiec: *Parę uwag w kwestii socjalizmu*, „Kultura” 5/1975, s. 61 [przypis autora].

Na pewno zaś nie można przyjmować jako pewnik czy nawet roboczą hipotezę, że opozycja ma *a priori* nie przeciwstawiać się socjalizmowi, „bo wielu z przeciwstawiających się bardzo to słowo szanuje”.* Wydaje się, że tak jak musimy się zdobyć na czyn, musimy też pozbyć się lęku słów, nawet gdyby to miało zakrawać dla niektórych na świętokradztwo. Mamy 30 lat doświadczeń, a w ZSRR blisko 60 lat budowania socjalistycznego, ażeby można było – w oparciu o realia i doświadczenia pokoleń – ustalić, co socjalizm jako system może, a czego nie może zapewnić polskiemu społeczeństwu.

Podjmując dyskusję lub polemikę, dobrze byłoby starać się o wyważenie swoich wypowiedzi. Mówiąc to, nie postuluję unikania czy pogłębiania tematów, dla których realizacji nie ma obecnie warunków, bo jeśli zagadnienie jest ważne lub istotne dla odrodzenia i egzystencji Polski, to zgadzam się z J. Mieroszewskim („Kultura” 4/1975, s. 7), że temat taki nie może być pomijany jako utopia, lecz z całą powagą winien być przez nas przestudiowany i przedyskutowany.

Mówiąc o wyważaniu wypowiedzi, mam na myśli przede wszystkim kulturę dyskusji, unikanie zbędnych wyważań, przytyków czy oskarżeń w rodzaju oderwania się emigracji od rzeczywistości krajowej czy jej zapatrzenia się w samą siebie. Oczywiście na krajowców spada też ogrom cierpkich uwag na łamach „Kultury”. Wszystko to zrozumiałe i ludzkie, ale winniśmy się starać, by nasze polemiki nie zaciążyły negatywnie nad dyskusją „co robić?” i pracami programowymi.

Analiza postaw

Jeśli zaś rozrachunek co do przeszłości musi być – dla dobra sprawy – przeprowadzony, to niestety wydaje mi się, że o wiele bardziej niż krytyki emigracji potrzeba nam jest teraz pogłębionej i rzeczowej analizy postaw i działalności inteligencji krajowej, bez względu na to, w jak trudnych warunkach politycznych i osobistych się znajdowaliśmy czy znajdujemy obecnie. Po prostu stalinizm, a potem kolejne dekady demoralizacji, złudzeń i wypaczeń wywarły zbyt duże piętno na nas i na naszej mentalności, byśmy mogli obyć się bez pryncypialnych ocen i szczerzej wewnętrznej dyskusji.

* Patrz: *Polityczna opozycja w Polsce*, jw. [przypis autora].

Oczywiście można nie robić wokół tego specjalnego rozgłosu i nie taka debata jest najważniejsza przy poszukiwaniach odpowiedzi na pytanie „co robić?”. Nie możemy się jednak w kraju oburzać na konstatacje w rodzaju, że brak jest teraz aktywnej opozycji lub że co najmniej bierną postawę miało społeczeństwo w czasie inwazji na Czechosłowację czy wobec rugowania Żydów. To są fakty, żeby nie wiem jak bolesne, ale fakty, których świadomość jest potrzebna zarówno do wyciągnięcia wniosków praktycznych, jak i gwoi prostej uczciwości.

Podjmując z kolei ocenę postaw emigracji, warto pamiętać nie tylko o jej wielkim rozproszeniu i zróżnicowaniu, ale także o tym, że są pewne rzeczy i zadania, które tylko Polacy w kraju i ich krajowa awangarda polityczna zrobić mogą i powinni. Mówiąc więc o rzeczywistości i wyważaniu wypowiedzi wypowiadam się nie za merytorycznym ograniczeniem dyskusji, a za poskromieniem wobec siebie narodowych temperamentów i tak po prostu nieczepianiem się nawzajem. Stara jest prawda, że jeśli chcemy, by liczyli się z nami sojusznicy, a inni nas szanowali, musimy przedtem sami z sobą umieć się porozumieć i szanować się nawzajem w publicznej i prywatnej dyskusji.

Jest to tym bardziej nieodzowne, że jako organizująca się obecnie opozycja stanowimy jeszcze wyraźną mniejszość narodową. Z tym łączy się też kolejny postulat: nacisk w obecnej dyskusji położony być winien nie na to, co nas dzieli (a na pewno dzieli), a na te elementy, zasady i cele, które nas łączą, aby jasne były dla każdego przesłanki, podstawy i treści wypracowywanego aktualnie programu „co robić?”.

Selektywność działania

Pisząc o potrzebie programu, Marian Kowalski („Kultura” 5/1975) formułuje trafnie szereg pytań z zakresu polityki zagranicznej, układów sytuacji międzynarodowej, perspektyw ewolucji w ZSRR – wszystko w poszukiwaniu tych czynników, których istnienie i rozwój pozwoliłyby narodowi polskiemu na odzyskanie niepodległości i realizację swego prawa do samostanowienia.

Podobne dziesiątki problemów można by wyodrębnić na podstawie cytowanej już wyżej wypowiedzi Krajowca czy A. Litwina (*Czy polityczna opozycja* – „Kultura” 5/1975, s. 66 i n.) z zakresu spraw wewnątrz krajowych, polityczno-ideologicznych czy mechanizmu ustrojowego. Kierunek ten jest słuszny. Inteligencji polskiej potrzeba znów rzetelnej i pogłębionej debaty polityczno-programowej.

Bogactwo problematyki wymaga jednak selekcji i wieloetapowego działania. Rację ma więc J. Mieroszewski („Kultura” 4/1975, s. 11), że tryptyk wizja–program–realizacja winien być i w tym przypadku schematem postępowania.

Poszukując odpowiedzi na pytanie „co robić?”, postulowałbym na początek wyodrębnienie trzech grup tematycznych:

Pierwsza obejmowałaby rozważania i dyskusję nad tym, jaką chcielibyśmy mieć Polskę. A może praktyczniej byłoby nawet zacząć od tego, by określić precyzyjnie jakich (i dlaczego) chcemy gruntownych zmian w PRL?

Druga grupa koncentrowałaby się na zidentyfikowaniu możliwych kierunków działania opozycji w kraju: zmierzających z jednej strony do położenia tamy postępującej deprawacji społeczeństwa i niszczenia resztek instytucji społeczno-politycznych, z drugiej zaś strony do przeprowadzenia pracy propagandowej, wskazującej na ideologiczne i systemowe uwarunkowania obecnej szamotaniny i nieudolności władz partyjnych i rządowych.

Trzecia grupa tematyczna dotyczyłaby kwestii związanych z rozwojem sytuacji zewnętrznej, która sprzyjałaby politycznym przemianom w kraju i pozwoliła w przyszłości Polakom na niepodległą i godziwą egzystencję.

Podejście takie, poza większą przejrzystością, zawsze potrzebną dyskusji publicznej, nadałoby obecnej debacie wielotorowy, ale zarazem spójny charakter. To z kolei pozwoli, aby rozważaniom programowym co do jutra mogły towarzyszyć równoległe przemyślane indywidualne i zbiorowe działania na dziś.

*

Na zakończenie jeszcze uwaga związana z pytaniem J. Mieroszewskiego („Kultura” 5/1975, s. 32): czy dlatego nie słychać na Zachodzie głosu Polaków z kraju, że w przeciwieństwie do dysydentów sowieckich nie mamy nic do powiedzenia? Trudno jest udzielić odpowiedzi od razu i to w kilku końcowych zdaniach obecnej wypowiedzi. Wspomnę tylko, że dowiedziałem się, jakby na potwierdzenie tego, że powinniśmy przestać milczeć, że z okazji pobytu Gierka w USA M. Rakowski odważył się wygłosić o Polakach taką opinię na łamach rzeczywiście liberalnego „New York Times” (16.10.1974):

„Nie są oni więcej kłopotliwym członkiem wspólnoty międzynarodowej. Nie czują też oni, aby ich niezależność była w jakikolwiek sposób zagrożona... Nie mają żadnych sporów ze swymi najbliższymi sąsiadami”.

No cóż Rodacy... pomijając już ten ton per „oni” i bezceremonialność wypowiedzi i ocen, ich fałsz wymaga byśmy – „my bierne masy PRL” – zaczęli sprawiać kłopot, zwłaszcza tym wszystkim, którym są obce interesy narodowe Polski i nasze piękne tradycje walki o niepodległość i swobody polityczne.

Pisane we wrześniu 1975 r.

Michał Ross

[11/1975]

Indeks nazwisk i pseudonimów

A

A z kraju II 108

ABEIRO dom José Mascarenhas de, książę (1708–1759), polityk portugalski, przeciwnik Pombala, skazany na śmierć przez spalenie II 38

ACHERSON Neal, dziennikarz angielski, aktywny do lat pięćdziesiątych, zajmował się Europą Wschodnią II 27

ADAMCZUK Lucjan, socjolog, aktywista PZPR, 1971 członek komitetu strajkowego stoczni im. A. Warskiego I 176–178

ADAMSKI Bogdan patrz BERESTYŃSKI Adam

ADENAUER Konrad (1876–1967) niemiecki polityk chadecki, 1949–1963 kanclerz RFN I 337 II 56, 145

ADŻUBEJ Aleksiej (1924) zięć Chruszczowa, za jego rządów redaktor „Izwestii” II 40

ALBRECHT Niedźwiedź (ok. 1100–1170) margrabia brandenburski, prowadził zaborczą politykę wobec Słowian Zachodnich II 190

ALEKSANDER II (1818–1881) od 1855 car Rosji II 185

ALEKSANDROW Aleksander (1883–1946) sowiecki kompozytor i dyrygent, twórca hymnu ZSRR I 341

ALEKSY – SIMAŃSKI Siergiej W. (1877–1970) metropolita Leningradu, od 1945 patriarcha Moskwy i całej Rusi, uchodził za posłuszne narzędzie rządu sowieckiego, dą-

żył do zjednoczenia prawosławia pod przewodnictwem Cerkwi rosyjskiej, do 1961 zwalczał Kościół katolicki, następnie rozpoczął z nim dialog II 44

ALTER Wiktor (1890–1943) dziennikarz, działacz Bundu, redaktor „Folks-Cajtung”, 1939–1941 więziony w ZSRR, 1941 zwolniony, wkrótce ponownie aresztowany i zamordowany I 206

ALVAREZ Santiago, hiszpański działacz komunistyczny II 29

AMICIS Edmondo de (1846–1908) pisarz włoski I 333

ANDERS Władysław (1892–1970) generał, 1941–1943 organizator i dowódca Armii Polskiej w ZSRR, 1943–1945 dowódca 2. Korpusu, od 1945 w Londynie, jedna z czołowych osobistości polskiej emigracji politycznej I 37, 39, 389

ANDRZEJCZAK, zastępca przewodniczącego komitetu strajkowego stoczni im. A. Warskiego w 1971 I 176

ANDRZEJEWSKI Jerzy (1909–1983) pisarz, 1945–1955 gorliwy realizator linii PZPR, w 1957 występuje z partii, w 1968 wydaje w Instytucie Literackim *Apelację*, od 1976 związany z opozycją demokratyczną, współzałożyciel KOR I 140, 143, 257–258, 262, 268, 321

ANTONOW-OWSIEJENKO Władimir (1883–1939) funkcjonariusz komunistyczny, od 1924 w służbie dyplomatycznej ZSRR, w 1931 brał udział w rokowaniach pol-

Strony autorskie wyróżniono w nawiasach kwadratowych.

- sko-sowieckich, stracony podczas „wielkiej czystki” I 205
- APUCHTIN Aleksander (1822–1904) rosyjski kurator, 1879–1897 w warszawskim okręgu szkolnym, bezlitosny rasyfikator II 57
- ARYSTOTELES (348–322 p.n.e.) filozof i uczony grecki II 33, 244
- ASKENAZY Szymon (1866–1935), historyk, dyplomata, prof. Uniwersytetu Lwowskiego II 368
- ASSORDOBRAY-KULA Nina (1908) historyk myśli społecznej, prof. UW II 160
- ATENAGORAS I Aristodte Spiron (1886–1972) patriarcha ekumeniczny, 1930 sakra biskupia, dążył do odrodzenia prawosławia i ożywienia stosunków międzywyznaniowych, także z katolicyzmem II 45
- ATYLLA zwany Biczem Bożym, wódz Hunów, od 434 tworzył państwo od Kaukazu po Ren II 130
- AUGUST wł. Oktawian August (63–14 p.n.e.) cesarz rzymski, twórca nowych form ustrojowych, mecenas kultury II 36
- AULEYTNER Wacław, działacz katolicki, wieloletni sekretarz KIK-u warszawskiego, 1971–1980 reprezentował Polski Związek Katolicko-Społeczny w sejmie II 75
- AVIETINAJTIE, litewska działaczka emigracyjna II 231
- AYER Alfred J. (1910) filozof angielski, prof. Oxford University II 22
- B**
- B z kraju II [109–112]
- BABEL Izaak (1894–1941) pisarz rosyjski, uczestnik rewolucji 1917 i wojny z Polską, zmarł w więzieniu sowieckim I 401
- BABIUCH Edward (1927) od 1949 funkcjonariusz partyjny, 1980 premier PRL, od 1981 na emeryturze I 300
- BACZKO Bronisław (1923) historyk filozofii, prof. UW, w 1968 usunięty w ramach czystek marcowych, od 1969 prof. uniwersytetu w Clermont-Ferand, od 1973 uniwersytetu w Genewie II 160
- BADENIOWIE, rodzina arystokratyczna z Małopolski Wschodniej, jej przedstawiciele odgrywali znaczącą rolę polityczną w monarchii austro-węgierskiej II 213
- BAGIŃSKI Kazimierz (1890–1966) działacz ludowy, współorganizator PSL „Wyzwolenie”, wieloletni poseł na sejm II Rzeczypospolitej, 1933–1939 emigrant polityczny, podczas okupacji w Polsce członek konspiracyjnego kierownictwa Rocha, 1944–1945 w Radzie Jedności Narodowej i Delegaturze Rządu na Kraj, jeden z „szesnastu” sądzonych w Moskwie, od 1947 na emigracji w USA II 209
- BALICKI Stanisław Witold (1909–1978) historyk teatru, publicysta i działacz PZPR, dyrektor Centralnego Zarządu Teatrów, dyrektor generalny Ministerstwa Kultury I 132, 136–138, 143
- BALIŃSKI Stanisław (1899–1984), poeta, do 1939 urzędnik MSZ, od wojny na emigracji w Londynie II 333
- BALZER Oswald (1858–1933) historyk prawa, prof. Uniwersytetu Lwowskiego, założyciel Towarzystwa dla Popierania Nauki Polskiej II 213
- BALUCKI Michał (1837–1901) autor popularnych komedii I 158
- BALUKA Edmund, robotnik, działacz związkowy i polityczny, 1971 przewodniczący komitetu strajkowego w stoczni im. A. Warskiego, 1973–1981 przebywał w Anglii i Francji, 1981 wraca do Polski, 1982 skazany na 5 lat więzienia za prowadzenie działalności antypaństwowej, po odsiedzeniu 2 lat wyjeżdża do Francji, gdzie pozostawił żonę i syna I 170, 173–174, 176, 179, 182
- BARAŃCZAK Stanisław (1946), poeta, tłumacz, współzałożyciel KOR, od 1981 prof. Harvard University I 289
- BARRÈS Maurice (1862–1923) francuski pisarz i działacz polityczny orientacji konserwatywno-nacjonalistycznej I 319
- BARTOSZEWSKI Władysław (1922) historyk czasów najnowszych, w czasie wojny żołnierz AK, członek Komitetu Pomocy Żydom, uczestnik powstania warszawskiego, za rządów Bieruta więzień polityczny,

- w drugiej połowie lat siedemdziesiątych członek opozycji demokratycznej I 292
- BAUMAN Zygmunt (1925) socjolog, prof. UW, w 1968 usunięty w ramach czystek marcowych, w tymże roku emigruje do Anglii, prof. uniwersytetu w Leeds II 160
- BĄCZKOWSKI Włodzimierz (1905–?) publicysta, 1930–1939 redaktor kwartalnika „Wschód”, od 1939 na emigracji I 46
- BEBEL August (1840–1913) przywódca i teoretyk socjaldemokracji niemieckiej II 102–103
- BECK Józef (1894–1944) pułkownik, bliski współpracownik J. Piłsudskiego, 1932–1939 minister spraw zagranicznych, 1939 internowany w Rumunii II 278
- BEETHOVEN Ludwig van (1770–1827) kompozytor niemiecki II 144, 148
- BENESZ Eduard (1884–1948) polityk czeski, prezydent Czechosłowacji 1935–1938, 1940–1945 (na emigracji w Londynie) i 1945–1948 II 47
- BERESTYŃSKI Adam, ps. Bogdan Adamski, architekt, na początku lat sześćdziesiątych wyjeżdża z Polski, odtąd w USA I [121–127]
- BERIA Ławrentij (1899–1953), 1917–1946 funkcjonariusz organów bezpieczeństwa, szef NKWD, następnie minister bezpieczeństwa państwowego, wicepremier ZSRR, po śmierci Stalina zastrzelony bez wyroku II 357, 365
- BERKOWICZ Andrzej, ps. Korespondent (1933–1994) dziennikarz, pracował w „Po prostu”, „Dookoła świata”, od 1968 w Szwecji I 381 II 296
- BERMAN Jakub (1901–1984) do 1938 funkcjonariusz KPP, w czasie wojny w ZSRR, jeden z założycieli Biura Komunistów Polskich i Związku Patriotów Polskich, 1945–1956 współtwórca stalinowskiego systemu w Polsce, 1957 usunięty z PZPR II 157
- BESIA Artur, członek komitetu strajkowego stoczni im. A. Warskiego w 1971 I 179, 182
- BIALER Seweryn, działacz komunistyczny, po wojnie wysoki oficer KG MO, w następ-
- stwie rewelacji Światły uciekł na Zachód, osiedlił się w USA, wykładowca uniwersytecki, doradca Departamentu Stanu II 103, 160
- BIELECKI Tadeusz (1901–1982) wieloletni działacz Stronnictwa Narodowego, od 1939 na emigracji, 1954–1972 przewodniczący Rady Jedności Narodowej, autor prac naukowych, literackich i publicystycznych II 209
- BIELIŃSKI Konrad (1949) projektant systemów komputerowych, członek KOR, jeden z założycieli niezależnego wydawnictwa NOWA I 313
- BIENKOWSKA Danuta Irena (1927–1974) poetka, krytyk literatury, 1940 deportowana na daleką północ ZSRR, ewakuowała się z armią gen. Andersa, po 1945 w Londynie, od 1955 w Kanadzie, wniosła duży wkład w rozwój kanadyjskiej polonistyki, współpracowała z „Kulturą” I 25
- BIENKOWSKI Władysław (1906–1991) działacz PPR i PZPR, publicysta, 1956–1959 minister oświaty, za książkę *Motory i hamulce socjalizmu* opublikowaną w 1969 w Instytucie Literackim usunięty z partii i pracy I 315 II 76–77
- BIEREZIN Jacek (1947–1992) poeta, 1977–1985 założyciel i redaktor niezależnego miesięcznika „Puls”, od 1982 we Francji I 313
- BIERNACKI-KOSTEK Wacław (1884–1957) pułkownik, działacz sanacyjny, komendant twierdzy brzeskiej, organizator obozu w Berezie Kartuskiej, od 1939 na emigracji II 130, 266
- BIERUT Bolesław (1892–1956) długoletni funkcjonariusz komunistyczny, po 1945 zajmował najwyższe stanowiska państwowe i partyjne, 1948–1952 i 1954–1956 I sekretarz KC PZPR, współtwórca systemu stalinowskiego w Polsce I 7, 46, 58, 337, 345, 387, 392 II 12–14, 16, 105, 146, 212, 245
- BILAK Vasil (1917) długoletni słowacki funkcjonariusz komunistyczny, 1968–1989 sekretarz czeskosłowackiej partii II 64
- BILIŃSCY, rodzina arystokratyczna z Małopolski Wschodniej II 213

- BISMARCK Otto von (1815–1898), premier Prus i pierwszy kanclerz Rzeszy I 395 II 185
- BLAKE William (1757–1827) angielski poeta, malarz, grafik II 299
- BLUMSZTAJN Seweryn (1946), dziennikarz, działacz opozycji demokratycznej od 1968 I 8
- BŁOK Aleksander (1880–1921), poeta rosyjski II 304
- BOBKOWSKI Andrzej (1913–1961) pisarz, 1939–1948 we Francji, potem w Gwatemali, współpracował z „Kulturą” I 196, II 331, [334], 338, 350
- BOBROWSKI Czesław (1904–1996) ekonomista, prof. UW, członek PPS, PZPR, działacz gospodarczy w PRL I 227
- BOBRZYŃSKI Michał (1849–1935) historyk, prof. UJ, konserwatywny polityk galicyjski II 195
- BOCHENEK, rotmistrz I 271
- BOCHENSKI Adolf (1909–1944), publicysta, współpracownik „Buntu Młodych” i „Polityki”, 1939–1944 porucznik w Brygadzie Strzelców Podhalańskich i Brygadzie Strzelców Karpackich I 46 II 282
- BOCHENSKI Józef Maria (1902–1995) dominikanin, historyk filozofii, logik, 1948–1972 prof. uniwersytetu we Fryburgu, w 1958 stworzył tamże Instytut Europy, współpracował z „Kulturą” I 46 II [19–20], 241, [269–271], 272–273, 275, 331
- BOCHENSKI Jacek (1926) pisarz, publicysta I 142–143
- BOCIAŃSKI Ludwik (1892–1970) pułkownik, 1935–1939 wojewoda wileński II 250
- BOHUSZ-SZYSZKO Marian (1901–1995) malarz rodem z Wileńszczyzny, od 1946 w Londynie II 331
- BOHUSZALSKA, koleżanka szkolna E. Gieratowej I 89
- BOLESŁAW I CHROBRY (ok. 967–1025) panował od 992, król Polski od 1025 I 36 II 139, 212, 325
- BONDARIEW Jurij (1924) pisarz rosyjski sławiący bohaterstwo żołnierza sowieckiego II 367
- BONIECKI Adam (1934) 1964–1970 redaktor „Tygodnika Powszechnego”, 1979–1991 redaktor polskiego wydania „Osservatore Romano” II 28
- BOROWICZ [Tadeusz?], dziennikarz „Narodowca”, dziennika wychodzącego we Francji II 83
- BOROWSKI Tadeusz (1922–1951) poeta, prozaik, więzień Oświęcimia, od 1946 zaangażowany partyjny publicysta, popełnił samobójstwo I 343 II 219
- BORWICZ Michał (1911–1987) publicysta, historyk, w czasie wojny więzień obozu śmierci we Lwowie, od 1947 we Francji, współpracował z „Kulturą” II 90
- BOSS Sally patrz THOMPSON Ewa
- BOTHA Pieter Willem (1916) konserwatywny polityk RPA, wieloletni minister i premier I 254
- BRANDYS Kazimierz (1916) prozaik, eseista, dramaturg I 405–406
- BRANDT Willy (1913–1992) działacz niemieckiej partii socjaldemokratycznej, 1969–1974 kanclerz RFN, 1971 Pokojowa Nagroda Nobla II 153
- BRATNY Roman (1921) pisarz, uczestnik powstania warszawskiego, wielokrotny laureat odznaczeń i nagród przyznawanych w okresie PRL I 140, 144–145
- BRECHT Bertold (1898–1956) niemiecki pisarz, dramaturg, komunista I 251
- BREGMAN Aleksander (1906–1967) dr nauk politycznych, dziennikarz, 1940–1944 publicysta „Dziennika Żołnierza”, następnie londyńskiego „Dziennika Polskiego” II 333
- BREŻNIEW Leonid (1906–1982) długoletni funkcjonariusz komunistyczny, 1966–1982 sekretarz generalny KPZR I 298 II 66, 165, 278, 285
- BROMKE Adam (1928) żołnierz powstania warszawskiego, jeńiec niemiecki, po wojnie pozostaje na Zachodzie, osiedla się w Kanadzie, profesor nauk politycznych II 83
- BRONCEL Zdzisław (1909–1998) krytyk literacki i teatralny, publicysta polityczny, współpracownik „ABC” i „Prosto z mo-

- stu”, więzień łagru sowieckiego, żołnierz 2. Korpusu, po 1945 w Londynie, stały współpracownik „Wiadomości” I [209–219] II 333, 335, 342–343
- BRONIEWSKI Władysław (1897–1962) poeta, legionista, komunista, 1939–1944 przez Lwów, więzienie sowieckie do armii gen. Andersa, 1946 wrócił do Polski, był oficjalnym poetą państwowym, wielokrotnie nagradzany II 324–325
- BROSZKIEWICZ Jerzy (1922–1993), prozaik, dramaturg, publicysta partyjny I 8 II 99, 102
- BROWNING Robert (1812–1889) poeta angielski II 299
- BRUS Włodzimierz (1921) ekonomista, marksista, prof. UW, w 1968 usunięty w ramach czystek marcowych, od 1971 w Anglii, prof. Oxford University I 230, 286 II 160
- BRZESKI Andrzej (1925) ekonomista, od 1958 na Zachodzie, zaprzyjaźniony z „Kulturą” I 228
- BRZEZIŃSKA, koleżanka szkolna E. Gieratowej I 89
- BRZEZIŃSKI Zbigniew (1928) politolog, amerykański polityk partii demokratycznej, 1977–1981 doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa państwa, wielokrotnie publikował w „Kulturze” I 68, 189–190 II 126
- BUJNOWSKI Józef (1910) poeta, historyk literatury, eseista, walczył w szeregach ZWZ (okręg wileński) następnie w 2. Korpusie, od 1945 w Londynie, prof. uniwersytetu londyńskiego i dziekan Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie II 333
- BULAS Kazimierz (1903–1970) archeolog i leksykograf, od 1945 na emigracji I 386
- BURLEIGH wł. Burghley Cecil William lord, zausznik Elżbiety I II 38
- BURNS Robert (1759–1796) poeta szkocki II 299
- BYRSKI Zbigniew (1913–1998) dziennikarz, 1935–1937, 1943–1969 członek polskiej partii komunistycznej, w 1969 wyjeżdża do USA, pracownik związków zawodowych, stały korespondent „Kultury” II 297

C

- C z kraju II 114
- CARTER James Earl (1924) amerykański polityk partii demokratycznej, 1976–1980 prezydent USA II 83
- CASAROLI Agostino (1914–1998) kardynał, dyplomata watykański, od 1979 sekretarz stanu, wielokrotnie odwiedzał Polskę, po raz pierwszy w 1966 II 66–67
- CERIZAY Gaston de patrz MACKIEWICZ Stanisław
- CHALASIŃSKI Józef (1904–1979) socjolog, prof. UŁ, UW I 305, 315
- CHAUCEER Geoffrey (ok. 1343–1400) poeta angielski II 328
- CHELCHOWSKI Eugeniusz, po 1945 w Anglii, długoletni działacz Związku Ziemi Północno-Wschodnich RP II 225
- CHELCHOWSKI Hilary (1908–1983) wieloletni funkcjonariusz komunistyczny, zaliczany do grupy natolińskiej I 216
- CHIARAMONTE Nicola (1905–1972) włoski eseista, krytyk literacki i teatralny I 426
- CHILECKI Andrzej (1935–1989) dziennikarz, w 1959 wyjeżdża z Polski i osiedla się w Wiedniu, od 1969 w Monachium, 1975 stały współpracownik „Kultury” II 176
- CHŁOPICKI Józef (1771–1854) generał, naczelnik powstania listopadowego, reprezentant ugodowej polityki wobec Rosji I 398
- CHMIELNICKI Bohdan (ok. 1595–1657) hetman Ukrainy, przywódca walki wyzwoleniczej II 202
- CHMIELOWIEC Michał ps. Michał Sambor (1918–1974) urzędnik, redaktor, przez łagry do armii gen. Andersa, 1942–1948 delegat Ministerstwa Opieki Społecznej RP w Indiach, od 1950 współpracował z „Głosem Ameryki”, BBC, 1966 redaktor „Wiadomości” II 8, 331
- CHOJECKI Mirosław (1949) wydawca, producent filmowy, działacz opozycji demokratycznej od 1976, współzałożyciel niezależnego wydawnictwa NOWA I 13
- CHOPIN (SZOPEN) Fryderyk (1810–1849) kompozytor I 95 II 148, 196

CHOROMAŃSKI Zygmunt (1892–1968) biskup, od 1946 sekretarz Konferencji Episkopatu Polski, jeden z współtwórców „Porozumienia Episkopatu Polski z Rządem PRL” w 1950, w 1956 ponownie prowadził rozmowy z władzami państwowymi o normalizacji stosunków z Kościołem katolickim II 46, 54

CHRUSZCZOW Nikita (1894–1971) wieloletni funkcjonariusz komunistyczny, 1953–1964 I sekretarz KC KPZR I 71, 206, 214–215, 331, 339, 346, 352 II 40–41, 104–105, 113, 163, 165, 258, 283, 349, 356–357, 359, 361, 363–365

CHRYSTUS patrz JEZUS CHRYSTUS

CHURCHILL Winston (1874–1965) angielski polityk konserwatywny, wielokrotny minister i premier, autor pamiątek, 1953 Literacka Nagroda Nobla I 254, 337 II 210

CIELECKI, pod tym nazwiskiem występuje kilku znanych działaczy, nie wiadomo, o którego chodzi II 213

CLAUSEWITZ Karl von (1780–1831) generał pruski, teoretyk wojskowy I 395

COBBETT William (1763–1835) dziennikarz, polityk angielski, prezentował nurt radykalny II 38

CONRAD Joseph wł. Teodor Józef Konrad Korzeniowski (1857–1924) pisarz angielski pochodzenia polskiego I 332–333 II 254–257

CONSTANT DE REBECQUE Benjamin (1767–1830) francuski pisarz, polityk liberalny I 364

CROMWELL Thomas (1485–1540) kanclerz Anglii, doprowadził do uznania króla za głowę Kościoła, co było przyczyną zerwania z Watykanem, oskarżony o zdradę, stracony I 400

CURZON George Nathaniel (1859–1925), angielski polityk partii konserwatywnej, 1920 autor projektu wschodniej granicy Polski II 68

CUSTINE Astolphe de (1790–1857) podróżnik, eseista, autor *Rosji w 1839* II 253, 255–256, 258

CYBULSKI Zbigniew (1927–1967) aktor teatralny i filmowy, grający Maćka w filmie A. Wajdy *Popiół i diament* I 330

CYRANKIEWICZ Józef (1911–1989) działacz socjalistyczny, następnie komunistyczny, 1939–1945 w ruchu oporu, więzień Oświęcimia, 1947–1952 i 1954–1970 prezes Rady Ministrów I 7, 255–257, 367, 369 II 13

CYWIŃSKI Bohdan (1939) publicysta, redaktor, historyk dziejów najnowszych, działacz katolicki I 432

CYWIŃSKI Stanisław (1887–1941) historyk literatury, publicysta orientacji narodowo-katolickiej, po 1926 przeciwnik J. Piłsudskiego, prześladowany przez jego zwolenników II 265–266

Cz. Stanisław, z Francji II 119

CZABŁOWSKI Antoni, dziennikarz prasy partyjnej II 99

CZAPLICKI Jerzy, powojenny emigrant osiadły w Argentynie II [221–223]

CZAPSKA Maria (1894–1981) publicystka i eseistka, współpracownik „Kultury”, od 1947 wraz z bratem Józefem mieszkała w Maisons-Laffitte II 89, [122–125], 331, [334–336]

CZAPSKI Józef (1896–1993) malarz, eseista, po kampanii wrześniowej w niewoli sowieckiej, następnie w armii gen. Andersa, gdzie był szefem Wydziału Propagandy i Informacji, w 2. Korpusie kierował Biurem Wydawniczym, od 1947 stały współpracownik „Kultury” i mieszkaniec domu w Maisons-Laffitte I 13, 16, 78, 195, 201, [203–208], 312, [317–328] II 8, 48, 175, [253–259], 261–266, 331

CZARNOWSKI Stefan (1879–1937) historyk, teoretyk kultury, prof. UW, bliski poglądom marksistowskim II 160

CZARTORYSKI Adam Jerzy książę (1770–1861) polityk i mąż stanu, od 1931 na emigracji w Paryżu, rzecznik interesów Polski na forum międzynarodowym I 427

CZECHOWICZ-MIEROSZEWSKA Jadwiga (1921–1991) redaktor w znanej angielskiej firmie wydawniczej, tłumaczka, żona Juliusza II 333

CZESZKO Bohdan (1923–1988) pisarz, dziennikarz, członek partii komunistycznej od 1942 II 405

CZOCHRALÓWNA, koleżanka szkolna E. Gieratowej I 89

CZUCHNOWSKI Marian Dominik (1909–1991) poeta, po 1939 łagiernik w ZSRR, żołnierz armii gen. Andersa, po wojnie w Anglii II 333

D

D z kraju II [112–113]

DADEJ Kazimierz Władysław, doktor medycyny, major, 1940 zamordowany w Starobielsku I 204

DAJAN patrz DAYAN

DAKOWSKI, właściciel kawiarni w Londynie II 332

DANIELEWICZ-ZIELIŃSKA Maria (1907) bibliotekarz, historyk literatury, od 1939 poza Polską, 1947–1973 kierownik Biblioteki Polskiej w Londynie, od 1974 w Portugalii, od 1963 stała współpraca z „Kulturą” I 13 II 333

DANIŁOWICZ Olgierd, ziemianin spod Mińska, adwokat w Grodnie, po 1939 wywieziony do republiki Komi, żołnierz APW, po 1945 w Anglii, wieloletni działacz stowarzyszenia byłych sowieckich więźniów politycznych i Związku Ziem Północno-Wschodnich RP II 225

DANTE Alighieri (1265–1321) poeta włoski II 302

DARGAS Antoni (1920–1991) działacz Stronnictwa Narodowego na Obczyźnie, 1981–1991 jego prezes, wieloletni redaktor londyńskiego „Dziennika Polskiego” II 83

DARWIN Charles R. (1809–1882) przyrodnik angielski, twórca nowoczesnej teorii ewolucji II 244

DASZYŃSKI Ignacy (1866–1936) niepodległościowy działacz PPS, wieloletni poseł na sejm II RP, po przewrocie majowym zdecydowany przeciwnik J. Piłsudskiego I 386

DAWIDCZYŃSKA, koleżanka szkolna E. Gieratowej I 89

DAYAN Moshe (1915–1981) generał i polityk izraelski, uważany za twórcę zwycięstwa w wojnie 1967 II 163

DĄBROWSKA Maria (1889–1965) pisarka, tłumaczka I 8, 225, 257, 260–263 II 403

DĄBROWSKI Bronisław (1918–1998) arcybiskup, uczestnik powstania warszawskiego, 1962 sakra biskupia, 1969–1993 sekretarz Episkopatu Polski II 69

DĄBROWSKI Jan Henryk (1755–1818) generał, twórca legionów i uczestnik kampanii napoleońskich, upamiętniony w hymnie narodowym II 204

DĄBROWSKI Jarosław (1836–1871) generał, działacz rewolucyjno-demokratyczny, naczelny dowódca sił zbrojnych Komuny Paryskiej I 427

DEJMEK Kazimierz (1924) reżyser teatralny I 130, 137, 143, 145 II 283

DEMBOWSKI Edward (1822–1848) radykalny działacz polityczny, filozof i publicysta I 427

DEUTSCHER Izaak (1907–1967) działacz KPP, w 1937 wykluczony za trockizm, od 1939 w Londynie, autor głośnych biografii Stalina i Trockiego II 381

DICKENS Charles (1810–1870) pisarz angielski I 333 II 355

DI VITTORIO Giuseppe (1892–1957) działacz komunistyczny i międzynarodowego ruchu związkowego I 60

DLUSKI Ostap wł. Adolf Langer (1882–1964) długoletni funkcjonariusz komunistyczny, 1939–1945 we francuskim komunistycznym ruchu oporu, po 1945 pełnił w PRL odpowiedzialne funkcje partyjne i państwowe, 1960 laureat Leninowskiej Nagrody Pokoju II 103

DMOWSKI Roman (1864–1939) współzałożyciel i przywódca Narodowej Demokracji, pisarz polityczny i eseista I 46, 253, 392 II 75, 222

DOBROSZYCKI Lucjan (1925–1995) historyk czasów najnowszych, 1939–1945 getto łódzkie, obóz koncentracyjny, po 1945 kończy w Polsce studia i rozpoczyna karierę uniwersytecką, 1969 emigruje z Polski do USA II 158

DOBROWOLSKI Stanisław Ryszard (1907–1985) poeta, pisarz, działacz społeczny związany z lewicą, po wojnie z komunistami, podczas wojny oficer AK i uczestnik powstania warszawskiego, 1949–1968 prezes ZAIKS-u I 138, 144–145

DOBROWOLSKI Tomasz, publicysta, popularyzator filozofii tomistycznej, emigrant II 331

DOPIERAŁA Mieczysław, przewodniczący komitetu strajkowego stoczni im. A. Warszawskiego w grudniu 1970 i członek komitetu styczińskiego, od 1959 w PZPR, 1971 wybrany na sekretarza komitetu zakładowego PZPR w stoczni i delegata na VI Zjazd, w rok później rezygnuje z wszystkich funkcji partyjnych I 171, 173, 176

DOSTOJEWSKI Fiodor (1821–1881) pisarz rosyjski I 409–410 II 251–252, 255, 302

DRUTO Jan (1910–1985) od studiów na Uniwersytecie Wileńskim związany z KPP, po 1945 w służbie zagranicznej, wielokrotny ambasador PRL II 140

DUBČEK Aleksander (1921–1992) funkcjonariusz komunistyczny, od stycznia do grudnia 1968 I sekretarz KPČS i jeden z przywódców Praskiej Wiosny, 1970 wykluczony z partii, przesładowany przez reżim Husaka I 391

DUDINCEW Władimir D. (1918) pisarz rosyjski poruszający tematykę produkcyjną, w 1959 Chruszczow ostro skrytykował jego powieść *Nie samym chlebem* II 361

DULĘBOWIE, rodzina z Małopolski Wschodniej, zasłużona na niwie społecznej i kulturalnej II 213

DULLES John Foster (1888–1959) amerykański polityk partii republikańskiej, 1953–1959 sekretarz stanu, zwolennik zimnej wojny I 344, 346

DUNIN-BORKOWSKA, matka Lizoguba II 258

DUQUE Abeiro de patrz ABEIRO dom José

DUPONT Katarzyna, adresatka przesylek Jana Nepomucena Millera I 104

DYGAT Stanisław (1914–1978) pisarz I 255, 257

DZIAŁEK Jerzy, ps. George J. Fleming (1922–1973) pisarz i publicysta, od połowy lat sześćdziesiątych na Zachodzie, współpra-

cował z „Kulturą”, zmarł w Londynie I 109–120]

DZIEDUSZYCCY, rodzina arystokratyczna z Małopolski Wschodniej, wywodzili się z niej działacze kultury i politycy II 213

DZIERŻYŃSKI Feliks (1877–1926) polski, a następnie rosyjski i sowiecki funkcjonariusz komunistyczny, 1917–1926 przewodniczący Ogólnorosyjskiej Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem, symbol rewolucyjnego terroru I 85, 90 II 103, 265–267

DZIEWANOWSKI Kazimierz (1930–1998) publicysta i pisarz polityczny, od drugiej połowy lat siedemdziesiątych działacz opozycji demokratycznej I 309, [397–407]

DŻYNGIS-CHAN (1155–1227) wódz mongolski, opanował ziemie między Oceanem Spokojnym a Morzem Czarnym II 130, 256

E

EICHENDORFF Joseph von baron (1788–1857) poeta niemiecki II 144

EIGER Antoni (1989–1940) inżynier, podporucznik rezerwy, zamordowany w Katyniu I 204

EILSTEIN Helena (1922) filozof, pracownik naukowy IFiS PAN, długoletni redaktor „Studiów Filozoficznych”, 1968 emigruje do USA, prof. na uniwersytecie w Albuquerque, po 1989 wraca do Polski II 160

EINSTEIN Albert (1879–1955) fizyk, 1921 Nagroda Nobla I 225, 373 II 310

EISENHOWER Dwight Dawid (1890–1969) generał, głównodowodzący wojsk alianckich podczas II wojny światowej, 1953–1961 prezydent USA I 331, 337, 342, 352

ELIOT Thomas Stearns (1888–1965) anglo-amerykański poeta i dramaturg, 1948 Nagroda Nobla I 322 II 299, 328

ELŻBIETA I (1533–1603) królowa Anglii od 1558 II 38

ELŻBIETA II (1926) królowa Wielkiej Brytanii i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów od 1952 II 40

ENGELS Fryderyk (1820–1895) niemiecki myśliciel i działacz rewolucyjny, najbliższy współpracownik Marksa I 125 II 124

ERHARD Ludwig (1897–1977) ekonomista, niemiecki polityk chadecki, 1963–1966 kanclerz RFN II 40

ERLICH Henryk (1882–1942) adwokat, jeden z przywódców Bundu, 1939–1941 więziony w ZSRR, po uwolnieniu ponownie aresztowany, popełnia samobójstwo I 206

ESTREICHER Karol (1906–1984) historyk sztuki, bibliograf, prof. UJ I 225, 257, 259, 292

EUGENIUSZ IV – CONDULMER Gabriel (1383–1447) papież od 1431 II 36

F

FALSKI Marian (1881–1974) pedagog, działacz oświatowy I 255, 259

FALAT Julian (1853–1929) wywodził się z rodziny osiadłej w Małopolsce Wschodniej, malarz, rektor krakowskiej ASP II 213

FANFANI Amintore (1909) włoski polityk chadecki, wielokrotny minister, premier II 55

FAULKNER William (1897–1962) pisarz amerykański, 1949 Nagroda Nobla II 120

FEDER Teodora (1900), od 16 roku życia związana z partią komunistyczną, funkcjonariusz KPP, WKP(b), PPR, PZPR, 1936–1939 w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii, 1939–1946 więzień sowiecki II 103

FEYDEAU Georges (1862–1921) autor paryskich komedii bulwarowych I 158

FIDERKIEWICZ Alfred (1886–1972) lekarz, działacz polskiego i międzynarodowego lewicowego ruchu robotniczego, 1942 – PPR, 1943–1945 obóz w Oświęcimiu I 263

FLAUBERT Gustaw (1821–1880) pisarz francuski II 302

FLEMING George J. patrz DZIAŁEK Jerzy

FLORCZAK Zbigniew (1923) pisarz, publicysta, tłumacz, podczas okupacji żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego, jeniec niemiecki, 1949 wraca do kraju, dziennikarz „Biuletynu Rozgłośni Kraj”, w 1955 namawia emigrantów do powrotu, za co był ostro krytykowany przez „Kulturę”, 1968–1971, 1973–1975 nad-

syła korespondencje do „Kultury” podpisywane PELIKAN I 21, 27, [129–147], 266, 309, 313

FORD Gerald (1913) polityk partii republikańskiej, 1974–1977 prezydent USA I 350 II 83

FORD Henry (1863–1947) przemysłowiec, w 1936 zakłada fundację na rzecz pokoju, demokracji i rozwoju nauki I 350

FORMANKOWA, żona czeskiego dyplomaty I 118

FRANCISZEK JÓZEF (1830–1916) od 1848 cesarz monarchii austro-węgierskiej I 392

FRANCO BAHAMONDE Francisco (1892–1975) generał hiszpański, po rozgromieniu rządu republikańskiego zostaje szefem państwa, przyjmuje tytuł *caudillo* (przewodnik) i tworzy dyktatorialny, korporacyjny system polityczny II 29–30

FRANKOWSKI Jan (1912–1976) długoletni prezes Klubu Katolicko-Społecznego, 1947–1972 poseł na sejm PRL II 12

FREDRO Aleksander (1793–1876) pochodził z rodziny osiadłej w Małopolsce Wschodniej, komediopisarz I 158, II 190

FREUD Zygmun (1856–1939) neurolog, psychiatra, twórca psychoanalizy II 22

FRYCZ-MODRZEWSKI Andrzej (1503–1572) pisarz polityczny I 46

FRYDERYK II zw. WIELKIM (1712–1786) król Prus od 1740, jeden z twórców oświeczonego absolutyzmu, inicjator pierwszego rozbioru Polski II 185

FUKSA Waleria II 331

G

GAITSKELL Hugh Todd (1906–1963) jeden z przywódców angielskiej Partii Pracy, kilkakrotny minister II 105

GAŁĄZKA, członek komitetu strajkowego stoczni im. A. Warszawskiego w 1971 I 182

GALCZYŃSKI Konstanty Ildefons (1905–1953) poeta I 139, 142, 266, 363

GAMARNIK Jan (1894–1937) komunistyczny funkcjonariusz sowieckiego aparatu państwowego, oskarżony o udział w spisku Tuchaczewskiego, popełnił samobójstwo I 206

- GARNETT Dawid (1892–1981) pisarz i wydawca angielski II 255
- GAULLE Charles de (1890–1970) generał, 1940–1945 przywódca francuskiego ruchu oporu, 1959–1969 prezydent Francji I 146, 331, 353 II 40
- GAWLINA Józef (1892–1964) od 1933 biskup połowy WP, 1942–1964 duszpasterz emigracji II 48–49
- GAWORSKI Henryk, dziennikarz, publicysta PZPR, zwolennik linii moczarskiej I 139–140 II 405
- GIBBON Edward (1737–1794) angielski historyk II 300
- GIDE André (1869–1951) pisarz francuski, 1947 Nagroda Nobla I 319
- GIDYŃSKI Józef Kazimierz (1902–1977) dr praw, adwokat, sekretarz generalny Instytutu Socjologii w Poznaniu, po 1945 w USA, kierownik sekcji polskiej „Głosu Ameryki” I 26
- GIĘDROJCZYK Jerzy (1906) do 1939 urzędnik państwowy, redaktor „Bunt Młodych” i „Polityki”, w czasie wojny żołnierz Brygady Strzelców Karpaczkich, następnie 2. Korpusu, prowadził wówczas Wydział Prasy i Wydawnictw, w 1946 tworzy Instytut Literacki, w rok później „Kulturę”, którymi kieruje po dzień dzisiejszy, od 1947 we Francji I 7–8, 10–14, 16–18, 23, 27, 41, 78, 104, 193–196, 200, 305, 310 II 7, 20, 91–92, 95, 173–174, 177–178, 269, 282, 294, 296, 331, 348
- GIERATOWA Ewa z d. Karpińska (1922) uczestniczka powstania warszawskiego, jeńiec niemiecki, po wojnie pozostaje na Zachodzie, od 1951 w USA, pracownik wydawnictwa, 1968–1984 w miejskiej służbie pomocy społecznej, działaczka harcerska Polonii amerykańskiej I 26, [79–101] II 9
- GIEREK Edward (1913) wieloletni aparatczyk PZPR, od grudnia 1970 do września 1980 I sekretarz PZPR, w 1981 wykluczony z partii I 8, 170, 172–173, 175, 178–179, 181, 185, 270, 295, 308, 392 II 59–60, 63–64, 72–73, 76, 79–80, 88, 155, 413
- GIERTYCH Jędrzej (1903–1992) prozaik, publicysta, działacz Stronnictwa Narodowego, od 1946 w Londynie II 81, 83, 181–186, 189–190, 193, 202
- GIEYSZTOR Aleksander (1916–1999) historyk, prof. UW I 225, 257, 259
- GIRNIUS Juozas, litewski pisarz, publicysta polityczny, od 1945 na emigracji II 231–234
- GLĄBIŃSKI [Stanisław?] (1862–1943) prof. ekonomii na Uniwersytecie Lwowskim, jeden z przywódców Narodowej Demokracji II 213
- GŁOWACKI Bartosz (ok. 1758–1794) chłop, bohater powstania kościuszkowskiego I 404
- GOEBBELS Joseph (1897–1945) polityk, najbliższy współpracownik Hitlera, od 1933 minister propagandy i informacji III Rzeszy, popełnił samobójstwo II 315
- GOETHE Johann Wolfgang von (1749–1832) pisarz niemiecki, wywarł olbrzymi wpływ na literaturę europejską, także polską II 148
- GOGOL Mikołaj (1809–1852) pisarz i satyryk rosyjski I 410
- GOLDWATER Barry (1909–1998) amerykański polityk konserwatywny, zwolennik zbrojeń i zaangażowania USA w Wietnamie I 354
- GOŁASZEWSKI Bogdan, członek komitetu strajkowego stoczni im. A. Warskiego w 1971, zmarł w 1972 w niewyjaśnionych okolicznościach I 181
- GOŁUBIEW Antoni (1907–1979) pisarz, publicysta katolicki II 325
- GOŁUCHOWSCY, arystokratyczna rodzina z Małopolski Wschodniej, wydała wielu wybitnych polityków prezentujących konserwatywny nurt polityczny w monarchii austriackiej II 213
- GOMBROWICZ Witold (1904–1969) pisarz, od 1939 poza Polską I 16, 78, 395 II 266, 343, 403
- GOMUŁKA Władysław ps. Wiesław (1905–1982) wieloletni funkcjonariusz komunistyczny, 1943–1948 sekretarz generalny PPR, 1956–1970 I sekretarz KC PZPR, w 1948 oskarżony o prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie, najpierw wykluczony z PZPR, w 1951 uwieczniony, zwolniony w grudniu 1954 powrócił do władzy, w grudniu 1970 pozbawiony wszelkich funkcji pod pretekstem złego stanu zdrowia I 7, 8, 48, 69–71, 105–106, 110, 114–115, 124, 137, 142, 144–145, 172, 196, 210–214, 216, 218–219, 222–224, 227–228, 231–232, 235–241, 248, 251, 260–261, 269, 271–272, 274, 306, 312, 339, 346, 348, 353, 358, 360–361, 372, 387, 392 II 10, 27, 46, 61, 63, 73, 75–76, 90–91, 111–113, 127, 138–140, 147, 153, 155, 162, 334, 336, 339, 358, 366, 373, 401
- GORKI Maksym (1868–1936) rosyjski pisarz, publicysta, sztandarowa postać literatury radzieckiej II 39
- GOTTESMAN Gustaw (1919–1998) dziennikarz, tłumacz, 1942–1946 urzędnik w agendach rządowych RP w Londynie, od 1946 związany z PRL i PZPR, wieloletni redaktor „Przeglądu Kulturalnego”, zastępca redaktora „Literatury” I 252
- GOYA Y LUCIENTES Francisco (1746–1828) malarz i grafik hiszpański I 322
- GÓRNICKI Wiesław (1931–1996) dziennikarz i publicysta, zaangażowany komunista, od 1981 doradca gen. W. Jaruzelskiego I 8
- GÓRSKI Konrad (1895–1990) historyk literatury polskiej, prof. UJ, KUL, UMK I 255, 259
- GÖRLICH Joachim G. dziennikarz, eseista niemiecki rodem z Opolszczyzny, wyemigrował z Polski w drugiej połowie lat pięćdziesiątych II [143–149]
- GRABOWSKA Alina, dziennikarka, od 1969 pracownik RWE w Monachium II 90
- GRAETZ Heinrich (1817–1891) autor pierwszej wielotomowej syntezy dziejów Żydów, urodzony w Książu Wielkopolskim, mieszkał we Wrocławiu II 99
- GREENE Graham (1904–1991) angielski pisarz katolicki I 203–207
- GROBICKI Aleksander (1914–1995) podróżnik, reporter, po wojnie w Kanadzie, współpracował z kanadyjskim „Związkowcem” i innymi wydawnictwami emigracyjnymi II [108–109], 119
- GROBICKI Jerzy (1891–1972) zawodowy wojskowy 1918–1932, 1939–1945 w Polskich Siłach Zbrojnych, po wojnie w Kanadzie, historyk, drukował w „Zeszytach

- Historycznych”, „Przeglądzie Historyczno-Wojskowym” II [261–264], 265–267
- GRONOUSKY John Austin (1919–1996) polityk amerykański polskiego pochodzenia, 1965–1968 ambasador USA w Polsce I 352
- GROSTERN Stefan, dziennikarz prasy żydowskiej wydawanej w II RP II 116
- GROTEWOHL Otto (1894–1964) długoletni funkcjonariusz komunistyczny, do 1949 premier NRD II 246
- GROTOWSKI Jerzy (1933–1999) reżyser, pedagog, twórca Teatru Laboratorium, w 1997 wybrany na prof. Collège de France I 294
- GROTTGER Artur (1837–1867) malarz, grafik, autor cyklu rysunków romantycznych i patriotycznych I 398
- GRÜNBAUM Izaak (1879–1970) działacz syjonistyczny, 1919–1932 poseł na sejm RP, 1932 emigruje do Palestyny, 1948–1949 pierwszy minister spraw zagranicznych Izraela II 116
- GRYDZEWSKI Mieczysław (1890–1970) dziennikarz, wydawca i redaktor „Skamandra”, „Wiadomości Literackich”, od 1939 w Londynie, długoletni redaktor „Wiadomości” I 8, 104 II 320
- GRYNBERG Henryk (1936) poeta, prozaik, od 1967 w USA II 90, 141
- GRYZIEWICZ Stanisław (1904–1965) ekonomista, od 1939 na emigracji, głównie w Londynie, wykładowca na wielu uniwersytetach, redaktor Zeszytów Krajowych „Kultury” I 41 II 331
- GRZEGORZ XVI – CAPPELLORI Bartolomeo Alberto (1765–1846) papież od 1831 II 36
- GRZĘDZIŃSKI January (1891–1975) pułkownik, lewicowy pilsudczyk, publicysta, pisarz, w czasie wojny na Zachodzie, następnie w PRL, 1965–1968 współpracuje z „Kulturą”, w 1965 oskarżony o przekazywanie informacji korespondentom zagranicznym, w marcu 1968 wykluczony ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich I 103–104, 140, 265, [357–365]
- GRZYMKOWSKI Jerzy (1930) literat i działacz partyjny II 405

GRZYMULTOWSKI Krzysztof (1620–1687) dyplomata, w 1686 zawarł pokój wieczysty między Rosją a Polską, tzw. traktat Grzymultowski II 286

GULBINOWICZ Henryk (1928) sakra biskupia 1970, 1970–1976 administrator apostolski diecezji białostockiej, w 1976 zostaje arcybiskupem i metropolitą wrocławskim II 68

GUTTENBERG zu, baron, politolog niemiecki II 269–270

GWIAZDOWSKI Tadeusz (1889–1950) dyplomata, naczelnik wydziału i wicedyrektor departamentu politycznego MSZ, po 1939 na emigracji II 213

H

HABSBURGOWIE, dynastia niemiecka, jej gałąź lotaryńska panowała w Austrii 1765–1867 i Austro-Węgrzech 1867–1918 II 213

HAJNICZ Artur (1920) dziennikarz, żołnierz armii gen. Berlinga, 1956–1973 w „Życiu Warszawy”, 1981 sekretarz „Tygodnika Solidarność” I 241

HAMANN Johann Georg (1730–1788) niemiecki pisarz i filozof II 356

HAMILTON Alastair I 421

HEENAN John Carmel (1905–1975) ósmy arcybiskup Westminsteru, 1965 kardynał II 21

HEGEL Georg Wilhelm Friedrich (1770–1831) filozof niemiecki II 160, 384

HEINE Heinrich (1797–1856) niemiecki poeta, sympatyzował z polskimi ruchami wyzwoleniczymi II 144

HELLER Michał ps. Adam Kruczek (1922–1997) rosyjski historyk czasów najnowszych, w 1957 emigruje do Polski, w 1969 do Francji, gdzie wykładał na Sorbonie, długoletni współpracownik „Kultury” I 193 II 172

HEMAR Marian (1901–1972) poeta, satyryk, od 1939 poza Polską, od 1942 w Londynie I 344, 354

HENRYK LEW (1129–1195) książę saski i bawarski, podbił i kolonizował ziemie słowiańskie II 199

HERCEN Aleksander (1812–1870) rosyjski pisarz i publicysta, od 1847 w Paryżu, redaktor „Kołokoła”, walczył z carskim absolutyzmem, poparł powstanie styczniowe II 360

HERBERT Zbigniew (1924–1998) poeta, eseista I 277, 289, 292

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (1919) pisarz, 1940–1942 więzień łagru, następnie żołnierz armii gen. Andersa, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, odznaczony Virtuti Militari, 1945–1946 redaktor działu literackiego w „Orle Białym”, współzałożyciel „Kultury”, z którą współpracował 1947, 1956–1996, od 1955 w Neapolu, od 1966 włoski korespondent „Kultury” I 8, 16, 18, 194–195, 201, 308–309, 314, 377–379, 381 II 172, 297, 343

HEROD I WIELKI (ok. 73 p.n.e.) król Judei od 37, według Nowego Testamentu odpowiedzialny za tzw. rzeź niewińątek II 39

HERTZ Aleksander (1895–1983) socjolog i publicysta, od 1940 w USA, współpracował z „Kulturą” I 78 II 87

HERTZ Paweł (1918) poeta, eseista, tłumacz I 255

HERTZ Zofia (1911) 1933–1939 notariusz w Łodzi, w 1940 deportowana z mężem do Maryjskiej Republiki Autonomicznej, opuszcza ZSRR z armią gen. Andersa, w APW jest pracownikiem Oddziału Kultury i Prasy, 1945–1946 w redakcji „Dziennika Żołnierza”, 1946 współzałożycielka Instytutu Literackiego, współpracuje z J. Giedroyciem od czasów 2. Korpusu I 18

HERTZ Zygmunt (1908–1979) prawnik, do 1939 pracował w firmie Solvay, w 1940 deportowany ze Lwowa przez władze sowieckie, opuszcza ZSRR wraz z APW, której jest żołnierzem, wojnę kończy we Włoszech, 1946–1979 pracownik Instytutu Literackiego, którego był współzałożycielem I 18

HEYDENKORN Benedykt (1906) dziennikarz, przed 1939 członek klubu sprawozdawców sejmowych, 1939 niewola sowiecka, a następnie łagry, w armii gen. Andersa i 2. Korpusie pracuje jako dziennikarz, od 1949 w Kanadzie, 1957–1977 redaktor

„Związkowca”, wieloletni korespondent „Kultury” I [65–78]

HIRSZOWICZ Maria, socjolog, prof. UW, usunięta w 1968 w ramach czystek maoistycznych, w tymże roku emigruje do Anglii, prof. uniwersytetu w Raeding II 91, [152–167]

HIPOKRATES (ok. 460–377 p.n.e.) lekarz, twórca zasad etyki lekarskiej I 417

HITLER Adolf (1889–1945) przywódca niemieckich faszystów, organizator NSDAP, dyktator III Rzeszy I 35, 208, 354, 364, 416 II 39, 56, 101, 109, 115, 127, 130, 237, 244–247, 249, 282–284, 357, 367

HLASKO Marek (1934–1969) dziennikarz, pisarz, 1958 wyjeżdża z Polski i pozostaje na Zachodzie, jego książki wydawał wówczas Instytut Literacki I 78 II 293

HOCHBERG-MARIANNA Miriam (1913–1996) poetka, publicystka, historyk, 1936–1939 redaktor dodatku „Naszego Dziennika”, 1945–1948 pracownik Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie, od 1949 w Izraelu, dziennikarka, od 1969 do 1978 pracownik Instytutu Historycznego – Yad Vashem II [95–97], 108–109, 116–117

HOCHFELD Julian (1911–1966) socjolog, profesor UW, publicysta i działacz socjalistyczny, od 1948 w PZPR II 160

HOCHHUTH Rolf (1931) dramaturg niemiecki II 39

HOLLAND Agnieszka (1948) reżyser filmowy I 13

HOLLAND Henryk (1920–1961) dziennikarz komunistyczny, pracownik naukowy w Instytucie Socjologii PAN, po październiku 1956 zdecydowany przeciwnik partyjnej „konserwy”, zginął śmiercią tragiczną w niewyjaśnionych okolicznościach II 365

HOLÓWKO Tadeusz (1889–1931) publicysta, polityk, zamordowany przez nacjonalistę ukraińskiego II 189

HOSTOWIEC Paweł patrz STEMPOWSKI Jerzy

HORZELSKI Jerzy (1903–?) psycholog, publicysta, popularyzator dzieł naukowych i filozoficznych, przed 1939 współpracownik „Kwadręgi” i „Kuriera Poranne-

go”, od 1939 na emigracji, współpracował z „Kulturą” II 8

HOYLE Fred (1915) astronom i matematyk angielski II 23

HUMBOLDT Aleksander von (1769–1859) geograf i przyrodnik niemiecki II 244

HURKO Josif (1828–1901) generał rosyjski, 1883–1894 gubernator w Warszawie, prowadził bezwzględną politykę rusyfikacji II 57

HUSÁK Gustáv (1913–1991) funkcjonariusz słowackiej partii komunistycznej, 1954–1960 uwięziony, po zrehabilitowaniu w 1963 wraca do łask, 1971–1987 sekretarz generalny partii, od 1975 prezydent republiki I 381

HUXLEY Aldous (1894–1963) pisarz angielski, autor głośnej powieści *Nowy wschód świata* I 333

HYDE Douglas, angielski dziennikarz prasy komunistycznej, po wieloletnim członkostwie zrywa z partią w 1948 i nawraca się na katolicyzm II 319, 322, 325

I

ICZAS (YČAS) Martynas (1885–1941) publicysta, polityk walczący o niepodległość Litwy, 1917–1940 pełnił odpowiedzialne funkcje państwowe, 1940 emigruje, umiera w Rio de Janeiro II 231

ILARION – TROICKIJ Władimir (1866–1929) arcybiskup Wiereja od 1923, w tym samym roku aresztowany, zmarł w więzieniu leningradzkim II 44

INFELD Leopold (1898–1968) fizyk teoretyk, prof. UW, współpracownik A. Einsteina I 255, 259 II 366

IWAN IV GROŹNY (1530–1584) książę moskiewski I 263

IWANIUK Wacław (1915) poeta, eseista, tłumacz, w czasie wojny walczył pod Narwikiem, następnie w 1. Dywizji Pancerniej, od 1948 w Kanadzie, współpracuje z „Kulturą” II 331

IWANOWSKI Jerzy II 231

IWASZKIEWICZ Jarosław (1894–1980) pisarz, współtwórca grupy poetyckiej „Skamander”, po 1945 wieloletni redaktor „Twór-

czości", prezes ZLP, otrzymał liczne nagrody państwowe oraz Leninowską Nagrodę Pokoju I 251-254, 256, 258, 261-263, 311 II 288

J

JABŁOŃSKI Henryk (1909) historyk, prof. UW, działacz PPS i PZPR, poseł, pełnił wysokie funkcje w resorcie oświaty i nauki, 1972-1985 przewodniczący Rady Państwa I 256

JAGIELLONOWIE, dynastia II 134

JAGIELSKI Mieczysław (1924-1997) prof. nauk ekonomicznych, funkcjonariusz aparatu partyjnego i państwowego, 1959-1970 minister rolnictwa, 1970-1981 wiceprezes Rady Ministrów i przedstawiciel PRL w RWPG II 160

JAKIMOWICZ Jolanta, uczestniczka strajku w stocznim im. A. Warskiego w 1971 I 182

JAN, święty, apostoł II 123

JAN XXIII - RONCALLI Angelo Giuseppe (1881-1963) papież od 1958, inicjator II Soboru Watykańskiego II 7, 9, 28, 39-40, 43-45, 50, 69, 71

JAN II KAZIMIERZ (1609-1672) król Polski 1648-1668, toczył wojny z Kozakami, Moskwą i Szwecją, po abdykacji wyjechał do Francji II 213

JAN III SOBIESKI (1629-1696) pochodził z Małopolski Wschodniej, od 1668 król Polski, pobił Turków pod Chocimiem i Wiedniem II 213, 284

JAN ZYGMUNT, pseudonim I 201

JANTA-POLCZYŃSKI Aleksander (1908-1974) reporter, publicysta, poeta, po ucieczce z obozu walczył we francuskim ruchu oporu, od lat pięćdziesiątych w USA I 23

JAROSZEWICZ Piotr (1909-1992) oficer w armii gen. Berlinga, komunistyczny działacz państwowy, 1970-1980 prezes Rady Ministrów, 1981 usunięty z PZPR I 60, 178 II 72, 80, 160

JASIEŃCZYK Janusz wł. Stanisław Poray-Biernacki (1907-1996) prozaik, krytyk, publicysta, w 1940 jako wysłannik ZWZ przedostaje się do Palestyny i zaciąga do Brygady Strzelców Karpackich, od 1945 w Londynie II 331

JASIEŃSKI Bruno (1901-1939) poeta, bezpartyjny komunista, od 1929 w ZSRR, zmarł w łagrze I 205

JESPERSEN Otto (1860-1943) językoznawca duński, twórca języka międzynarodowego novial I 415

JASTRUM Mieczysław (1903-1983) poeta, pisarz, tłumacz I 140, 143, 255, 258, 262

JEDLIŃSKI Witold (1929-1995) socjolog, publicysta polityczny, do 1962 pracownik naukowy UW i PAN, członek zarządu Klubu Krzywego Koła, emigruje w 1962, do 1966 współpracuje z „Kulturą” I 26, 312 II 8, 45

JELEŃSKI Konstanty A. (1922-1987) krytyk, eseista, tłumacz, żołnierz 1. Dywizji Pancerniej gen. Maczka, 1952-1973 uczestnik Kongresu Wolności Kultury, długoletni współpracownik „Preuves” i „Kultury” I 13, 194, 311 II 87, [99-106], [107-127], [137-141], 331, 336-337, 343

JEZUS CHRYSZTUS I 94, 249 II 24, 36, 38, 40, 50-51, 53, 122-124, 138

JESZCZE jeden krajowiec patrz WOROSZYLSKI Wiktor

JĘDRUSZCZAK Tadeusz (1924) historyk dziejów najnowszych, prof. w Instytucie Historii PAN, aktywista PZPR, pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji w instytucjach i towarzystwach naukowych II 160

JĘDRUSZUK Władysław (1918-1994) biskup, pierwszy ordynariusz diecezji drohiczyńskiej, swoją działalnością objął część diecezji pińskiej znajdującej się w granicach ZSRR, tajnie wysyłał kapłanów przygotowujących się na studiach domowych II 68

JĘDRYSKA Alfred, górnik brygadzysta I 62

JOHNSON Lyndon Baines (1908-1973) amerykański polityk partii demokratycznej, 1963-1968 prezydent USA II 40

JORDAN Zbigniew (1911-1977) filozof, socjolog, eseista polityczny, żołnierz 1. Dywizji Pancerniej gen. Maczka, po 1945 redaktor, publicysta, wykładowca na uniwersytetach angielskich i kanadyjskich, współpracował z „Kulturą” I 26, 196, [221-242], 305, 315 II 337, 343-344

JOYCE James (1882-1941) pisarz irlandzki tworzący w języku angielskim II 301

JÓZEF, metropolita prawosławny, prawdopodobnie ORECHOW Josif (1871-1961), od 1959 metropolita Woroneża i Lipiecka II 44

JÓZEF I (1714-1777) król Portugalii od 1750, faktyczne rządy sprawował jego minister S. J. Pombal II 38

JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga (1918-1998) dziennikarka, eseistka, urzędnik federalny w Toronto, uczestniczka powstania warszawskiego, jeńiec niemiecki, po 1945 pozostaje na Zachodzie, od 1949 w Kanadzie, redaktor pierwszego polskiego pisma literackiego wydawanego w Kanadzie, stały współpracownik „Wiadomości” I 26

K

KADÁR János (1912-1989) węgierski funkcjonariusz komunistyczny, 1957-1988 I sekretarz partii II 363

KADEN Gustaw, dziennikarz krajowy II 99-100

KAIM Franciszek (1919-1996) wieloletni minister przemysłu ciężkiego i hutnictwa, 1981 wykluczony z PZPR I 173

KANT Immanuel (1724-1804) filozof niemiecki II 356

KANTAK Kamil (1881-1979) ksiądz, historyk, przed 1939 bibliotekarz seminarium duchownego w Pińsku, 1939-1943 kapłan wojskowy, jeńiec w ZSRR (Griazowiec), armia gen. Andersa, od 1943 Uniwersytet św. Józefa w Libanie, współpracował z „Wiadomościami” II 242, 249

KARCZASTAN Czesława, z Francji II 109

KARPIŃSKA Ewa patrz GIERATOWA Ewa

KARPIŃSKI Wojciech (1943) krytyk literacki, eseista I 194

KASMAN Leon (1905-1984) od 1921 w ruchu komunistycznym, 1939-1945 w ZSRR, po 1945 funkcjonariusz PPR i PZPR, wieloletni redaktor „Trybuny Ludu” II 103

KATARZYNA II (1729-1796) caryca Rosji od 1762, za jej poparciem Stanisław August Poniatowski został królem Polski, współinicjatorka rozbiorów Polski I 185

KATELBACH Tadeusz (1897-1977) legionista, związany z J. Piłsudskim, działacz BBWR i OZON, od 1939 emigrant, od 1952 komentator polityczny RWE II [231-236]

KATON STARSZY (ok. 234-149 p.n.e.) rzymski mąż stanu, pisarz, obrońca starożytności cnót I 432 II 312

KAWALKOWSKI Aleksander (1899-1965) działacz społeczny, dyplomata, publicysta polityczny, 1934-1940 konsul generalny w Paryżu i Lille, następnie na emigracji II 178

KAZIMIERZ III WIELKI (1310-1370) król Polski od 1333 II 213

KAŁOL Kazimierz (1920) prawnik, dziennikarz, wieloletni redaktor „Prawa i Życia”, zwolennik linii Moczara I 383 II 80, 138, 140

KEDROW, czekista II 48

KENNAN George F. (1904) dyplomata amerykański, 1952 ambasador w Moskwie, 1961-1963 w Belgradzie, autor planów sojuszy obronnych przeciw ZSRR II 191

KENNEDY John Fitzgerald (1917-1963) amerykański polityk partii demokratycznej, 1960 prezydent USA, w 1963 zamordowany I 352, 368 II 40

KENNEDY Robert (1925-1968) amerykański polityk partii demokratycznej, zamordowany jak jego brat John I 352

KEPA Józef (1928-1998) pracownik aparatu ZMP i PZPR, 1967-1976 I sekretarz warszawskiego komitetu PZPR II 160

KĘPIŃSKI Jan (1910-1989) genetyk, dyrektor Instytutu Fizjologii i Żywienia Zwierząt PAN, współzałożyciel KOR I 292

KIEREŃSKI Aleksander (1881-1970) polityk rosyjski, od lutego do listopada 1917 premier Rządu Tymczasowego, emigruje po zwycięstwie bolszewików, nie zaprzestając

- działalności, zmarł w Nowym Jorku II 184, 191
- KIRYL, duchowny prawosławny, prawdopodobnie Smirnow (1863–1941), metropolita Kazania od 1918, aresztowany po raz pierwszy w 1922, w 1930 usunięty ze stola przez Sergiusza, wkrótce aresztowany II 44
- KIJOWSKI Andrzej (1928–1985) krytyk literacki, eseista, 1977 współorganizator Polskiego Porozumienia Niepodległościowego I 138, 143–145, 393–394, 396
- KISIELEWSKI Józef (1905–1966) krytyk literacki, publicysta polityczny, związany ze Stronnictwem Narodowym, po 1945 w Londynie, redaktor „Przeglądu Polskiego”, następnie „Życia” I 333, 342–344
- KISIELEWSKI Stefan (Kisiel) (1911–1991) pisarz, kompozytor, publicysta polityczny, działacz katolicki, wieloletni współpracownik „Tygodnika Powszechnego”, poseł na sejm Koła „Znak”, drukował w „Kulturze” pod własnym nazwiskiem i pseudonimami, niektóre do dziś nie są rozszyfrowane I 11, 24, 26, 135, 138, 140, 142, 144, 253, 255–256, 258, 263, 268, 306, 393, 395 II 75, 91, 157–158, 160–161, 164–167, 294–295, [345–351], 353–358, 360–362, 367–368, 408, 410, 412
- KLEINER Juliusz (1886–1957) historyk literatury, filolog, edytor, prof. Uniwersytetu Lwowskiego, KUL, UJ II 124
- KLEMPERER Victor (1881–1960) filolog niemiecki pochodzenia żydowskiego, okres nazistowski przeżył w Niemczech, po 1945 ponownie został prof. uniwersytetu w Dreźnie, jego książka *LTI. Notatnik filologa* była światową rewelacją I 426
- KLENIEWSKI Jerzy patrz KRÓL Marcin
- KLEPACZ Michał (1893–1967) biskup łódzki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski podczas uwięzienia kardynała Wyszyńskiego II 46
- KLIMOW, major sowiecki II 241
- KLISZKO Zenon (1908–1989) długoletni funkcjonariusz komunistyczny, 1948 oskarżony o prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie, wykluczony z PZPR, następnie uwięziony, 1957–1970 członek Biura Politycznego, zastrzał Gomulki, w 1971 pozbawiony wszelkich funkcji, wykluczony z partii I 114, 136, 365 II 63
- KLONOWSKI H. T., biskup, duszpasterz Polonii amerykańskiej II 209
- KŁOSIEWICZ Wiktor (1907–1992) wieloletni funkcjonariusz komunistyczny, po 1945 zajmował wysokie stanowiska w aparacie władzy, 1950–1956 przewodniczący CRZZ, po 1957 pozostał w nomenklaturze II 103
- KOCIASZEK Frank, emigrant z USA I 126
- KOCIOŁEK Stanisław (1933) socjolog, od 1957 działacz organizacji młodzieżowych i PZPR, w lutym 1971 odwołany ze stanowiska sekretarza KC i mianowany ambasadorem w Belgii II 161
- KOESTLER Arthur (1905–1983) angielski pisarz i dziennikarz pochodzenia węgierskiego, początkowo sympatyk komunizmu, później zrywa z komunizmem, jego książka *Ciemność w południe* zyskała światową sławę, współtwórca Kongresu Wolności Kultury I 205, 331 II 24, 319, 321–322
- KOLBE Rajmund, ojciec Maksymilian (1894–1941) franciszkanin, założyciel kilku pism katolickich, zginął w Oświęcimiu, beatyfikowany II 64
- KOŁAKOWSKI Leszek (1927) filozof, eseista, prof. UW, usunięty w ramach czystek marcowych, od 1968 poza Polską, prof. Oxford University, od 1976 pełnomocnik KOR I 129, 133, 139–140, 143, 145, 239, 286, 313, 315, 360, 377, 379, 382–383, 395, [409–419], 427 II 160, 162, 296–297, [369–387], 390–391, 395–398, 403
- KOŁODZIEJSKI, profesor medycyny, zginął w 1940 w Starobielsku, w tym samym obozie zamordowano dwóch innych doktorów medycyny o tym samym nazwisku, nie wiadomo, którego wspominał J. Czap-ski I 204
- KOMINEK Bolesław (1903–1974) wieloletni biskup Wrocławia, od 1973 kardynał II 46
- KONIECPOLSCY, zasłużony ród z Małopolski Wschodniej II 213
- KONOPCZYŃSKI Władysław (1880–1952) historyk, prof. UJ II 195

- KONOPNICKA Maria (1842–1910) poetka, nowelistka rodem z Małopolski Wschodniej II 213
- KONSTANTYN WIELKI (280–337) cesarz rzymski o nieograniczonej władzy, reformator państwa, zapewnił chrześcijaństwu równe prawa II 36
- KONWICKI Tadeusz (1926) prozaik, scenarzysta, reżyser filmowy I 292
- KOPERNIK Mikołaj (1473–1543) kanonik kapituły warmińskiej, astronom, matematyk II 23, 196
- KORCZYŃSKI Aleksander patrz MELEŃ-KORCZYŃSKI Aleksander
- KORESPONDENT patrz BERKOWICZ Andrzej
- KORFANTY Wojciech (1873–1939) polityk śląski orientacji narodowo-katolickiej, przeciwnik J. Piłsudskiego II 222
- KORNACKI Jerzy (1908–1981) prozaik, eseista I 25
- KOROWICZ Marek S. (1903–1964) prawnik, do 1939 urzędnik państwowy, w czasie wojny we Francji, 1946 wraca do kraju, 1954 wyjeżdża do USA, zostaje prof. prawa na jednym z uniwersytetów I 24
- KORYTOWSKI Witold (1850–1923) konserwatywny polityk galicyjski, 1906–1908 minister skarbu II 213
- KORZENIOWSKI-NALĘCZ Apollo (1820–1869) pisarz, tłumacz, w powstaniu 1863 należał do „czerwonych”, ojciec Josepha Conrada II 254
- KOSARENKO-KOSAREWYCZ Wasyl (1891–1964) ukraiński działacz polityczny, po wojnie w RFN, od 1952 w USA II 189
- KOSIOR Stanisław (1889–1939) sowiecki funkcjonariusz komunistyczny, 1928–1938 sekretarz ukraińskiej partii, ofiara czystek stalinowskich I 205–206
- KOSOWY Henryk I 380–381, 383
- KOSSAK-SZCZUCKA Zofia (1890–1968) powieściopisarka, 1943–1944 więźniarka Oświęcimia, uczestniczka powstania warszawskiego, 1945–1956 w Anglii, od 1957 w Polsce I 255 II 194, 343
- KOSSOWSKA Stefania (1911) dziennikarka, krytyk literacki, od 1939 na emigracji, długoletnia współpracownica londyńskich „Wiadomości” II 333
- KOSTOW Trajczko (1897–1949) bułgarski i międzynarodowy funkcjonariusz komunistyczny, 1949 członek Biura Politycznego i wicepremier, aresztowany, torturowany i skazany na śmierć II 157
- KOSTRZEWA Robert (1959) socjolog, po 1980 w USA I 15
- KOSTRZYŃSKI Witold patrz ZARZYCKI Mieczysław
- KOSZELIWEĆ Iwan (1907–1999), do 1941 nauczyciel i krytyk literacki na Ukrainie, od 1947 w Monachium, 1955–1984 wydawca ukraińskich pism literackich, autor podstawowych dzieł poświęconych literaturze i ukraińskim dysydentom II 172
- KOŚCIUSZKO Tadeusz (1746–1817) generał, naczelnik sił zbrojnych w powstaniu 1794 I 398
- KOT Stanisław (1885–1975) historyk, profesor UJ, działacz ludowy, 1941–1943 ambasador w Moskwie i Kujbyszewie, 1945–1947 ambasador PRL w Rzymie, od 1947 na emigracji I 207
- KOTARBIŃSKI Tadeusz (1886–1981) filozof i logik, prof. UŁ i UW, 1957–1960 prezes PAN I 103, 225, 257, 259, 380 II 366
- KOTOWICZ Bronisław patrz SZCZYPORSKI Andrzej
- KOTOWYCZ Pawło, pisarz, publicysta, ukraiński działacz niepodległościowy II 189
- KOTT Jan (1914) historyk literatury i krytyk teatralny, wykładowca na UW, do 1955 gorliwy członek PPR i PZPR, 1957 występuje z partii, 1967 emigruje do USA I 208, 255, 258, 262, 264
- KOTWICZ Piotr, pseudonim I 335
- KOWALCZYKOWIE Jerzy i Ryszard (bracia), za próbę zamachu na funkcjonariuszy bezpieczeństwa w 1972 skazano Ryszarda na 25 lat więzienia, Jerzego na dożywocie, w 1983 Rada Państwa ułaskawiła Ryszarda, w dwa lata później Jerzego I 291, 295 II 404
- KOWALEWSKI Janusz (1910–1996) prozaik, publicysta, przed 1939 związany z KPP, 1939–1944 Lwów, łagry, armia gen. Andersa, od 1945 w Anglii, utrzymywał się

- z różnych zajęć, także z pracy fizycznej II 331, 333
- KOWALSKA Anna (1903–1969) powieściopisarka I 253, 255, 257–258
- KOWALSKA Janina patrz ŚWIDERSKA Hanna
- KOWALSKI Kazimierz Józef (1896–1972) biskup chełmiński, prześladowany w okresie stalinowskim, jeden z sygnatariuszy orędzia do biskupów niemieckich z 1966 II 14
- KOWALSKI Maciej ps. Jan Matis (1933) historyk, publicysta, 1970 skazany na 4,5 roku więzienia w tzw. procesie taterników I [265–268]
- KOWALSKI Marian patrz NAJDER Zdzisław
- KOZŁOWSKA Wanda II 331
- KOZŁOWSKI Stefan Władysław (?–1981) inżynier, oficer WP, w czasie wojny major Aleksander w NSZ, więzień obozów hitlerowskich, po 1945 tłumacz, 1959–1971 przedstawiciel „Kultury” w RFN II 176
- KOZŁOWSKI Wacław II 331
- KOŹNIEWSKI Kazimierz (1919), w czasie wojny żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego, po wojnie prozaik (nagroda państwowa 1952), dziennikarz, publicysta polityczny I 263
- KRAJEWSKI Stanisław (1950) matematyk, od 1975 związany z opozycją demokratyczną I 313
- KRAJOWIEC patrz KISIELEWSKI Stefan
- KRASICKI Ignacy (1928) publicysta i propagandzista PZPR, w 1968 pod pseud. Szafranski propagował program Moczara I 138–139 II 71, 102
- KRASIŃSKI Zygmunt (1812–1859) dramaturg, poeta I 364 II 335
- KRAŚKO Wincenty (1916–1976) dziennikarz, długoletni funkcjonariusz PZPR, 1971–1972 wicepremier I 136 II 62
- KRASZEWSKI Józef Ignacy (1812–1887) pisarz, publicysta I 45
- KRATOCHWIL, dyplomata czeski, który na początku lat pięćdziesiątych wyjeżdża na Zachód II 323
- KRAWCZYK Jacek (1954) psycholog, działacz „Solidarności”, od 1985 bibliotekarz Instytutu Literackiego I 18
- KROŃSKI Tadeusz (1907–1958) filozof, historyk filozofii, prof. UW II 160
- KRÓL Marcin ps. Jan Klewiński i Jerzy Klewiewski (1944) historyk myśli społecznej, prof. UW, działacz opozycji demokratycznej od 1968, redaktor „Res Publiki” i „Res Publiki Nowej” I 313, [421–437]
- KRUCZEK Adam patrz HELLER Michał
- KRYNICKI Ryszard (1942), poeta I 289
- KRZEMIEN-OJAK Sław (1931) filozof marksistowski, estetyk, prof. Instytutu Kultury II 160
- KRZYWICKI Ludwik (1859–1941) socjolog, ekonomista, lewicowy działacz społeczny, popularyzator marksizmu I 360, 427 II 160
- KRZYŻANOWSKI Julian (1892–1976) historyk literatury, prof. uniwersytetu w Rydze i UW I 255, 257, 259
- KUCZYŃSKA Teresa, historyk sztuki, prof. UW II 160
- KUCZYŃSKI Janusz (1930) filozof, prof. UW II 160
- KUKIEL Marian (1885–1973) generał WP, historyk, prof. UJ, 1942–1949 minister obrony w kolejnych ekipach rządowych na uchodźstwie, od 1951 prezes Instytutu Sikorskiego w Londynie II 333, 342
- KUMANIECKI Kazimierz (1905–1977) filolog klasyczny, prof. UW I 255, 259
- KUN Béla (1886–1939) funkcjonariusz węgierskiego i międzynarodowego ruchu komunistycznego, ofiara stalinowskiego terrorku I 205
- KUNCEWICZOWA Maria (1899–1989) powieściopisarka, od 1930 na uchodźstwie, od 1957 jej kontakty z krajem normalizują się, wkrótce wraca na stałe, 1974 nagroda państwowa I stopnia II 343
- KUSTRA Bronisław, powojenny emigrant osiadły w Wenezueli II 118
- KUROŃ Jacek (1934) pedagog, publicysta, działacz opozycji demokratycznej od 1964, wielokrotny więzień PRL, po raz pierwszy skazany w 1965, jeden z założycieli KOR I 129, 131, 201–202, 267, [277–296], 378, 427 II 30, 82, 163, 399–400, 403–405, 410–411

- „Nowymi Widnokręgami”, żołnierz armii gen. Berlinga II 102
- LEDERER Jiří (1922–1983) dziennikarz czeski, 1967–1968 redagował „Literarní Listy” II 90
- LEDNICKI Wacław (1891–1967) rusycysta, do 1939 prof. literatury na UJ, następnie na uniwersytetach amerykańskich II 47
- LEDÓCHOWSKI Włodzimierz (1910–1987) inżynier, od 1940 w PSZ, cichociemny, po 1945 w RPA I 78
- LEGEŻYŃSKI Stefan (1912–1976) poeta, krytyk filmowy, 1939–1945 łagiernik w ZSRR, żołnierz APW, po 1945 w Londynie II 333
- LEMPARTY Antoni, ksiądz „patriota”, 1950–1957 prezes przymusowego zarządu Caritas, honorowany i odznaczany przez władze PRL w latach sześćdziesiątych II 12, 15
- LENART Józef (1931) publicysta, działacz PZPR I 264
- LENIN Włodzimierz I. (1870–1924) teoretyk i organizator partii bolszewickiej, jeden z przywódców rewolucji październikowej i państwa sowieckiego I 105, 232, 253, 295, 297, 339, 409, 414, 421 II 39, 124, 244, 267, 320, 339, 356, 364, 378, 400
- LEŃSKI-LESZCZYŃSKI Julian (1889–1937) funkcjonariusz polskiego i międzynarodowego ruchu komunistycznego, 1929–1937 sekretarz generalny KPP, ofiara czystek stalinowskich I 205
- LEON XIII – PECCI Gioacchino (1810–1903) od 1878 papież II 36
- LEONARDO da Vinci (1452–1519), malarz, rzeźbiarz włoskiego renesansu I 317, 322
- LESZCZYŃSKI Stanisław (1677–1766) król Polski 1704–1709 i 1735–1736, następnie książę Lotaryngii II 202
- LEVITTOUX Henryk, major, chirurg z Warszawy, 1940 zamordowany w Starobielsku I 204
- LEWYCKI Borys (1915–1984) publicysta, sowietolog, ukraiński działacz polityczny, rzecznik przyjaźni z Polską II 172
- LIPiŃSKI Edward (1888–1986) prof. ekonomii politycznej na UW, członek PPS
- cieli KOR I 129, 131, 201–202, 267, [277–296], 378, 427 II 30, 82, 163, 399–400, 403–405, 410–411
- KUROWSKI Stefan (1923) ekonomista, publicysta, po 1956 związany z Klubem Krzywego Koła, doradca ekonomiczny Koła „Znak” I 228
- KURZYŃSKI Mieczysław (1921–1983) dziennikarz, działacz katolicki, 1953–1956 wraz z J. Dobraczyńskim wydawał „Tygodnik Powszechny”, po 1957 redaktor „Kierunków”, współzałożyciel PAX-u II 19–20
- KUZIŃSKI Stanisław (1923) 1954–1972 pracownik aparatu partyjnego, 1973–1980 prezes GUS II 160
- KWAŚNY J. patrz MICEWSKI Andrzej
- L**
- LANCKOROŃSCY, rodzina ziemiańska z Małopolski Wschodniej II 213
- LANGE Oskar (1904–1965) ekonomista marksistowski, 1938–1945 prof. uniwersytetu w Chicago, po wojnie SGPiS i UW, 1957–1965 zastępca przewodniczącego Rady Państwa I 228
- LANSDELL Henry, pastor angielski, działacz filantropijny II 251
- LAPTEK Henryk (1912) aktywista KPP, 1940–1944 urzędnik w agendach rządowych RP w Londynie, 1945–1956 w służbie dyplomatycznej PRL, 1957–1968 wykładowca historii w WSNS, 1968 emigruje do Szwecji, pracownik Instytutu Spraw Międzynarodowych II 160
- LASSALLE Ferdinand (1825–1864) teoretyk społeczny, współorganizator niemieckiej socjaldemokracji II 99, 124
- LAUTERBACH-ZAKRZEWSKI Stanisław (1896–1971) publicysta ekonomiczny, 1935–1939 redaktor „Polityki Gospodarczej”, 1939–1944 w ZSRR, APW, po wojnie w Anglii, od 1947 dokumentalista w „The Manchester Guardian” I 198–199
- LAUTRÉAMONT de wł. Isidore Ducasse (1846–1870) poeta francuski I 319
- LEC Stanisław Jerzy (1909–1966) poeta, 1939–1941 we Lwowie, współpracował z

- i PZPR, od 1975 działacz opozycji demokratycznej, współzałożyciel KOR I 229, 255, 257, 259, 290, 292 II 82
- LIPPMANN Walter (1889–1974) amerykański dziennikarz specjalizujący się w problemach ekonomicznych i politycznych, współtwórca teorii opinii publicznej I 353
- LISIEWICZ Mieczysław (1897–1975) dramaturg, pisarz, po wojnie w Anglii II 333
- LISIEWICZ Teodozja (1903–1975) poetka, 1939–1945 deportowana do ZSRR, żołnierz Pomocniczej Służby Kobiet, po 1945 w Londynie, 1967–1973 prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie II 333
- LITWIN Aleksander (?–1984) historyk Polski współczesnej, publicysta, przed emigracją w 1968 aktywista PZPR I 201 II 399–400, 404, 412
- LITWINOW Maksim (1876–1951) dyplomata sowiecki II 278–279, 285, 287
- LITWINOW Paweł (1933) wnuk Maksima, chemik, dysydent skazany na 4 lata osiedlenia na Syberii za protest przeciw inwazji na Czechosłowację, wyemigrował w 1974 II 287
- LIZOGUB, rosyjski szlachcic, przeciwnik Aleksandra II, skazany na śmierć przez powieszenie II 257
- LONDYŃCZYK patrz MIEROSZEWSKI Juliusz
- LORENTZ Stanisław (1899–1991) historyk sztuki, długoletni dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie I 158
- LUBECKI-DRUCKI Franciszek Ksawery (1779–1846) polityk konserwatywny, 1821–1830 minister skarbu w Królestwie Polskim, przeciwnik powstania listopadowego II 368
- LUDWIK XVIII (1755–1824) król Francji, po klęsce Napoleona obejmuje tron w 1814 II 245
- LUMUMBA Patrice (1925–1961) radykalny i niepodległościowy polityk z Konga belgijskiego, zginął w tajemniczych okolicznościach I 353
- LURCZYŃSKI Mieczysław (1907–1992) dramaturg, poeta, eseista, w czasie wojny więziony w Buchenwaldzie, po wojnie we Francji, współpracował z „Wiadomościami” I 26, [149–163], 165
- Ł
- ŁADOSZ Jarosław (1924–1977) filozof, logik, marksista, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego i UŚ II 160
- ŁAWRYNIENKO Jurij A. (1905–1987) ukraiński krytyk literacki, publicysta, więziony polityczny w ZSRR, od 1945 na emigracji, współpracował z „Kulturą” II 172
- ŁEPKIJ Bohdan (1872–1941) ukraiński pisarz i historyk literatury od 1899 w Krakowie, lektor, następnie prof. UJ II 194
- ŁOBODOWSKI Józef (1909–1988) poeta, eseista, tłumacz, za antysanacyjne poglądy relegowany z uniwersytetu i wojska, 1937–1939 współpracownik „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, redaktor tygodnika „Wołyń”, żołnierz kampanii wrześniowej, z Francji przedostaje się do Hiszpanii, 1949–1975 współtwórca i redaktor „Radia Madryt”, współpracował z „Wiadomościami” i „Kulturą” I 24, [29–40] II 172–173, [181–208], 216–217
- ŁOŚ Jan Stanisław (1890–1974) dyplomata, historyk starożytności, optował za szeroką autonomią dla Małopolski Wschodniej II 189
- ŁOZORAJTIS Stasys (1898–1983) litewski polityk, działacz emigracyjny II 234
- ŁUBIEŃSKI Konstanty (1910–1977) ekonomista, prawnik, działacz ruchu PAX i KIK, wieloletni poseł na sejm PRL Klubu „Znak”, 1971–1977 wiceprzewodniczący okręgowego FJN II 74
- ŁUBIEŃSKI Tomasz (1784–1870) generał, podczas powstania listopadowego pełnił odpowiedzialne funkcje II 368
- ŁUKASIŃSKI Walerian (1786–1868) major wojsk Królestwa Polskiego, założyciel Towarzystwa Patriotycznego, w 1822 osadzony w Twierdzy Szlisselburskiej, gdzie zmarł I 398
- ŁYDKA Adam, górnik I 62
- ŁYSAKOWSKI Marian, powojenny emigrant osiadły w Londynie II 333

M

- MACARTHUR Douglas (1880–1964) generał amerykański, naczelny dowódca sił alianckich na Pacyfiku, przyczynił się do klęski Japonii, następnie do jej demokratyzacji I 337, 344
- MACKIEWICZ Józef (1902–1985) pisarz, publicysta, brat Stanisława, do 1945 w Wilnie 1939–1940 redagował „Gazetę Wileńską”, później współpracował z „Gońcem Wileńskim” kontrolowanym przez Niemców, w 1945 emigruje, w Londynie współpracuje z tygodnikiem „Lwów i Wilno”, od 1955 z RWE w Monachium I 22, 197, 312 II 8, 9, [35–51], 177, [227–229], [237–252], [272–275], [338–340]
- MACKIEWICZ-CAT Stanisław (1896–1966) pisarz, publicysta polityczny, redaktor wileńskiego „Słowa” i londyńskiego „Lwowa i Wilna”, 1928–1935 poseł BBWR, 1939 więziony w Berezynie, na emigracji 1940–1941 i 1949–1951 członek Rady Narodowej RP, 1954–1955 premier i minister spraw zagranicznych, 1956 wraca do kraju, współpracuje z „Kierunkami” i „Kulturą”, używając pseudonimu Gaston de Cerizay, od 1964 jest obiektem policyjnego śledztwa I 27, [103–107], [251–264] II [53–57], 206
- MACUŻANKA Zenona, absolwentka Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR, długoletni pracownik aparatu partyjnego II 160
- MCGILL, prawdopodobnie William Lawrence (1899–1959) wysoki urzędnik federalny USA, dziennikarz II 120
- MADAJCZYK Czesław (1921) historyk czasów najnowszych, prof. w Instytucie Historii PAN, działacz PZPR II 160
- MADZIARSKI Zdzisław patrz MICEWSKI Andrzej
- MAGNASCO Alessandro (1667–1749) malarz włoski I 322
- MAHOMET (Muhammad ibn Abd Allah) (ok. 570–632) twórca i prorok islamu II 193
- MAJAKOWSKI Władimir (1893–1930) poeta rosyjski, piewca rewolucji, popełnił samobójstwo II 307
- MAJEWSKI Józef Z. ksiądz, pochodził z Ukrainy Zachodniej, będącej częścią II RP, w 1951 alumn seminarium rzymskokatolickiego w Pretorii II 175, 178, [209–211], 212, 214–216, 218, 221, 224–229
- MAJSKI Iwan (1884–1975) dyplomata sowiecki, historyk II 204
- MAKSYM biskup prawosławny, Michał A. Zizilenko (1885–1930) ur. w Kaliszu, 1922 tajnie wyświęcony, 1927 śluby zakonne, sprzeciwiał się polityce Sergiusza, aresztowany w 1929, zesłany na Sołowki, rozstrzelany II 44
- MALCOLM X. wł. Malcolm Little (1925–1965) amerykański polityk opowiadający się za utworzeniem niezależnego państwa murzyńskiego w USA przy użyciu wszelkich środków, zamordowany podczas podróży po Afryce I 353
- MALCZEWSKI Antoni (1793–1826) poeta, autor *Marii*, twórca poetyckiej „szkoły ukraińskiej” II 194
- MALCZEWSKI Rafał (1892–1965) malarz, prozaik, tatarnik, od 1939 na emigracji, od 1942 w Kanadzie II 107, [120–121]
- MALISZEWSKI Aleksander (1901–1978) dramatopisarz, poeta, podczas wydarzeń marcowych 1968 wiceprezes ZLP II 256
- MAO TSE-TUNG (1893–1976) poeta, teoretyk komunistyczny, przywódca rewolucji chińskiej, faktyczny szef państwa, w 1968 inicjator „rewolucji kulturalnej”, której efektem były tysiące ofiar, masowe deportacje i bezwzględna walka z partyjnymi przeciwnikami i inteligencją I 96, 342
- MANSTEIN Erich von (1887–1973) feldmarszałek niemiecki, 1949 skazany przez wojskowy sąd brytyjski na 18 lat więzienia za zbrodnie Wehrmachtu, zwolniony w 1953, od 1958 wojskowy doradca Bundeswehry II 227, 249
- MARIA TERESA (1719–1780) cesarzowa Austrii, współinicjatorka pierwszego rozbioru Polski I 389
- MARKIEWICZ Andrzej ps. Jerzy Plot (1928–?) dziennikarz, scenarzysta, 1961 skazany na 3 lata więzienia za współpracę z „Kulturą”, po 1980 nawiązuje z nią ponownie kontakt, w końcu lat osiemdziesiątych ginie w niewyjaśnionych okolicznościach I 25

- MARKS Karol (1818–1883) niemiecki myśliciel społeczny, twórca tzw. socjalizmu naukowego, działacz rewolucyjny, współtwórca I Międzynarodówki I 62–63, 114, 360 II 124, 138, 144, 165, 255–256, 320, 248, 355, 376, 380
- MARSHALL George (1880–1959) amerykański generał i polityk, twórca planu gospodarczej pomocy USA dla Europy zrujnowanej wojną, 1953 Pokojowa Nagroda Nobla I 351
- MATEJKO Aleksander, socjolog, do 1967 docent UW, następnie prof. uniwersytetu w Alberta w Kanadzie I 377, 379
- MATEUSZ, święty, apostoł II 38
- MATIASIAK Janusz (1934) dziennikarz mieszkający w latach pięćdziesiątych na Śląsku I [57–63]
- MATIS Jan patrz KOZŁOWSKI Maciej
- MAUGHAM Somerset (1874–1965) pisarz angielski I 333
- MAURIAC François (1885–1970) pisarz francuski, dziennikarz, 1952 Nagroda Nobla I 313
- MAY Karol (1842–1912) niemiecki autor książek podróżniczych i przygodowych I 124
- MAZEPA Jan wł. Jan Kołodyński (ok. 1644–1709) hetman lewobrzeżnej Ukrainy, wódz powstania antyrosyjskiego 1708, bohater wielu utworów literackich i dzieł malarskich II 202
- MAZOWIECKI Tadeusz (1927) publicysta, wieloletni redaktor „Więzi”, działacz katolicki, 1961–1972 poseł na sejm Kola „Znak”, od 1976 w opozycji demokratycznej II 75, 82
- MAZUR Franciszek (1895–1975) długoletni funkcjonariusz komunistyczny, 1950–1956 sekretarz KC PZPR, 1957–1965 ambasador w Czechosłowacji, należał do tzw. grupy natolińskiej I 118
- MACZYŃSKI Stefan C. z USA II 108
- MELCER Wanda (1896–1972) pisarka, reportażystka II 124
- MELEŃ-KORCZYŃSKI Aleksander (1909–1977) publicysta, wieloletni pracownik RWE w Nowym Jorku I 21
- MEYSTOWICZ Walerian (1893–1982) ksiądz, historyk, prof. Uniwersytetu Wileńskiego, po 1945 na emigracji II 48, 69
- MICEWSKI Andrzej (1926) historyk, publicysta katolicki, długoletni współpracownik „Tygodnika Powszechnego”, działacz PAX-u, członek Rady Społecznej przy Prymasie Polski, publikował w „Kulturze” pod różnymi pseudonimami I 28, [297–302] II 75, [79–84]
- MICHNA Andrzej, powojenny emigrant osiadł w Argentynie II 118
- MICHNIK Adam (1946) historyk, eseista, publicysta, od 1968 w opozycji demokratycznej, kilkakrotnie więziony II 162
- MICKIEWICZ Adam (1798–1855) poeta I 45, 137–138, 143, 208, 254, 292, 325, 358, 386 II 125, 148, 253–254, 256, 261, 283, 288, 335, 360
- MIĘCZKOWSKI Bogdan (1924) w czasie wojny w AK, uczestnik powstania warszawskiego, jeńiec niemiecki, po 1945 kończy studia ekonomiczne w Anglii, od 1954 w USA, pracownik naukowy I 199
- MIĘDZIŃSKA Janina (1892–1976) działaczka społeczna, publicystka, zajmująca się pracą kobiet i młodocianych, od 1939 w Londynie I 26
- MIEROSZEWSKI Juliusz (1906–1976) dziennikarz, publicysta polityczny, do 1939 w krakowskim „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym”, w czasie wojny wstępuje do Brygady Strzelców Karpackich i wraz z nią odbywa cały szlak wojenny, współredaguje „Ku wolnej Polsce”, „Orla Białego” i „Paradę”, po wojnie osiedla się w Londynie, od 1950 aż do śmierci londyński korespondent „Kultury” I 7, 13, 17, 26, [55–56], 78, 133, 193–197, 200–201, [243–250], [269–275], 305, 307, 309–312, 315, [329–334], [385–396] II 9, [21–30], 31–33, 89, 172–173, 175, 177–179, 216, [277–288], 292, 294–295, 297, 299, [319–326], 331, 333–335, 338, [341–344], 407, 411, 413
- MIEROSZEWSKI Leonard, stryj Juliusza I 385
- MIESZKOWSKI Józef, były więzień sowiecki I 207
- MIETKOWSKI Andrzej (1956) dziennikarz, tłumacz, od 1976 w opozycji demokratycznej II 172

- MIĘDZYRZECKI Artur (1922–1996) poeta, prozaik, tłumacz, 1939–1945 deportowany do ZSRR, żołnierz armii gen. Andersa i 2. Korpusu, bierze udział w kampanii włoskiej, 1950 powrót do kraju I 140, 143
- MIKOŁAJ – JARUSZEWICZ Borys (1892–1961) pochodził z Litwy, metropolita Kołomy i Krutycy, przedtem biskup kijowski i galicyjski, uchodził za bezwolne narzędzie reżimu sowieckiego, sprzeciwił się jednak antysemickiej akcji prowadzonej przez Chruszczowa, zmarł nagle II 43
- MIKOŁAJ I (1796–1855) car Rosji od 1825, zwolennik absolutyzmu, bezwzględnie tłumił wszelkie zrywy narodowe i wolnościowe II 36, 368
- MIKOŁAJCZYK Stanisław (1901–1966) polityk i działacz PSL, 1941–1943 członek Rządu RP w Londynie, 1945–1947 członek Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, jako prezes PSL pozostawał w opozycji wobec PPR i PPS, 1947 opuszcza nielegalnie Polskę, odtąd w USA, gdzie nie zaprzestaje działalności politycznej i antykomunistycznej I 37, 107, 211, 318, 342, 435 II 212, 214, 279
- MILTON John (1609–1674) poeta angielski, działacz obozu republikańskiego w czasie rewolucji 1640–1660 II 299
- MILLER Jan Nepomucen (1890–1977) krytyk literacki, eseista, związany z PPS, 1945–1947 poseł do KRN, 1965 skazany na 3 lata więzienia za publikacje w londyńskich „Wiadomościach” I 104
- MILLER Henry (1891–1980) pisarz amerykański I 430
- MILLS Charles Wrighte (1916–1962) socjolog amerykański I 83
- MIŁOSZ Czesław (1911) poeta, prozaik, tłumacz, po 1945 w służbie dyplomatycznej PRL, 1951 zostaje na Zachodzie, od 1960 prof. uniwersytetu w Berkeley, 1980 Nagroda Nobla I 13, 16, 24, 78, 133, 314, 334, 395, 421, 435 II 8, 87, 219, 247, 254–255, 292, [299–310], 312–326, [327–329], 330, 343
- MIŁOSZ Oskar (1877–1974) poeta, pisarz francuski pochodzenia litewskiego II 299
- MINC Hilary (1905–1974) dr nauk ekonomicznych, długoletni funkcjonariusz komunistyczny, projektodawca reform gospodarczych, 1945–1955, współtwórca stalinowskiego systemu w Polsce I 48 II 103, 157
- MINDSZENTY József (1892–1975) kardynał i prymas Węgier, 1948 uwięziony, zwolniony i zrehabilitowany podczas rewolucji 1956, po inwazji sowieckiej chroni się do ambasady amerykańskiej, w 1971 zmuszony do wyjazdu do Wiednia, tam umiera II 15
- MISTRAL Frédéric (1830–1914) poeta prowansalski, 1904 Nagroda Nobla II 183
- MOCHLIŃSKI Kazimierz, fizyk, pracownik naukowy, emigracja żołnierska, mieszka w Londynie II 331
- MOCHNACKI Maurycy (1804–1834) publicysta polityczny, krytyk literacki, rewolucjonista, członek sprzysiężenia Piotra Wysockiego I 398
- MOCZAR Mieczysław (1913–1986) gen., 1941–1945 dowódca oddziałów GL i AL, długoletni funkcjonariusz MSW, 1964–1968 minister spraw wewnętrznych, następnie w aparacie partyjnym i państwowym, przywódca nacjonalistycznego nurtu w PZPR I 175 II 56, 137–138, 140, 152
- MODELSKI Izidor (1888–1962) generał, polityk, do 1939 legionista, prezes Związku Hallerczyków, od 1937 wiceprezes Stronnictwa Pracy, 1939–1944 w Londynie, m.in. wiceminister obrony, 1945 wraca do Polski, 1946–1948 attaché wojskowy w Waszyngtonie, gdzie pozostał, wkrótce prezes Stronnictwa Pracy II 321–322
- MODZELEWSKA Natalia (1912–1992) tłumaczka literatury rosyjskiej, żona Zygmunta, matka Karola I 103, 262
- MODZELEWSKI Karol (1937) historyk, prof. UW, działacz opozycji demokratycznej, wielokrotny więzień PRL, po raz pierwszy skazany w 1965 I 103, 114, 129, 131, 267, 427 II 30, 163
- MODZELEWSKI Zygmunt (1900–1954) historyk, długoletni funkcjonariusz komunistyczny, 1945–1951 wiceminister spraw zagranicznych, następnie minister I 103, 114

MOŁOTOW Wiaczesław (1890–1986) komunistyczny funkcjonariusz sowiecki, wieloletni minister spraw zagranicznych, premier, współodpowiedzialny za stalinizm I 206 II 185, 357, 363

MONTESKIUZ (Montesquieu) Charles Louis de Secondat (1689–1755) francuski myśliciel, filozof, teoretyk monarchii konstytucyjnej I 253

MONIUSZKO Stanisław (1819–1872) kompozytor II 148

MORAWSKI Dominik (1922) dziennikarz, współzałożyciel KIK, publicysta katolickiej prasy krajowej, od 1963 w Rzymie, komentator polityki międzynarodowej w mediach włoskich, długoletni współpracownik „Kultury” II 10, [59–77]

MORO Aldo (1916–1978) włoski polityk chadecki, wielokrotny minister, zamordowany przez „Czerwone Brygady” II 55

MORTON Frederic II 21

MOSLEY Oswald (1896–1980) polityk angielski, w latach trzydziestych przywódca partii faszystowskiej II 228

MOSLY, politolog II 269

MOSTOWICZ Arnold (1914) lekarz, 1939–1945 w łódzkiej getcie, Oświęcimiu, po wojnie dziennikarz, 1955–1969 redaktor „Szpilek”, popularyzator nauki I 256

MOZART Wolfgang Amadeus (1756–1791) kompozytor austriacki I 60

MROŹEK Sławomir (1930) dramaturg, pisarz, karykaturzysta, 1968–1989 emigrant, miał z „Kulturą” bliskie kontakty I 97, 268 II 296, [389–393], 395–398

MURAD II (1401–1451) sultan turecki, zdobywca Bałkanów, reformator państwa II 36

MUSSET Alfred de (1810–1857) dramaturg, poeta francuski I 320, 323, 325

MUSSOLINI Benito (1883–1945) włoski przywódca faszystowski, od 1925 dyktator Włoch, 1945 zabity przez partyzantów włoskich II 36

MYŚLIK Tadeusz (1928) dziennikarz, działacz Polskiego Związku Katolicko-Społecznego, 1969–1976 poseł na sejm PRL Koła „Znak” II 75

N

NAGLEROWA Herminia (1890–1957) pisarka, przez łagry sowieckie do armii gen. Andersa, w 2. Korpusie redaktor „Ochotniczy”, od 1945 w Londynie II 333

NAGY Imre (1896–1958) komunistyczny funkcjonariusz węgierski, wielokrotny minister i premier, w 1956 stanął na czele rewolucji, w następstwie skazany na śmierć przez władze sowieckie, stracony I 216 II 129, 256

NAJDER Zdzisław (1930) historyk literatury, eseista polityczny, współorganizator Polskiego Porozumienia Narodowego, 1982 został dyrektorem RWE, 1975–1984 współpracował z „Kulturą”, drukował jako Bronisław Lasocki, Marian Kowalski, Socjusz II 408–409, 412

NAPOLEON I Bonaparte (1769–1821) polityk, twórca nowoczesnej armii, 1804–1814 cesarz Francuzów I 288 II 245, 247, 284

NAROŻAŃSKI Józef, po 1945 w Anglii, długoletni działacz Związku Ziem Południowo-Wschodnich II 225

NARUTOWICZ Gabriel (1865–1922) inżynier, działacz niepodległościowy, pierwszy prezydent RP, zamordowany przez nacjonalistę kilka dni po wyborach II 226

NASZKOWSKI Marian (1912) funkcjonariusz komunistyczny, 1939–1945 w ZSRR, armia gen. Berlinga, po 1945 w wojsku, generał, od 1956 w służbie dyplomatycznej I 112

NEKATAR biskup prawosławny II 44

NELKEN Jan Władysław, lekarz, 1940 zamordowany w Kozielsku I 204

NENNI Pietro (1891–1980) włoski polityk, socjalista, kilkakrotny sekretarz generalny partii, laureat Leninowskiej Nagrody Pokoju II 43

NERUDA Pablo (1904–1973) poeta chilijski, 1971 Nagroda Nobla II 229

NEWERLY Igor wł. Abramow-Newerly (1903–1987) pisarz, nagroda państwowa w 1952, ostatnią książkę *Zostało z uczty bogów* wydał w 1986 w Instytucie Literackim I 331

NEWTON Isaak sir (1642–1727) angielski matematyk, fizyk, astronom II 310

NIEDZIAŁKOWSKI Mieczysław (1893–1939) niepodległościowy działacz PPS i jej teoretyk, 1939 organizator Robotniczych Batalionów Obrony Warszawy, 24 grudnia 1939 rozstrzelany w Palmirach I 253

NIEMOJEWSKI Jerzy (1918–1989) dramaturg, poeta, tłumacz, 1942–1945 obóz koncentracyjny, po 1945 zostaje na Zachodzie II 333

NIESIECKI Kasper (1682–1744) jezuita, heraldyk I 385–386

NIEZBRZYCKI Jerzy ps. Ryszard Wraga (1902–1968) oficer II Oddziału Sztabu Generalnego, publicysta polityczny, 1939–1945 w PSZ, od 1945 we Francji, zrywa z „Kulturą” po „sprawie” Miłosza II [11–17]

NIKODEM – ROTOW Borys (1929–1979) biskup od 1960, metropolita Leningradu i Nowogrodu, 1960–1972 kierował departamentem spraw zagranicznych patriarchatu II 44

NOBEL Alfred Bernhard (1833–1896) szwedzki chemik, fundator Nagrody Nobla II 292

NORWID Cyprian Kamil (1821–1883) poeta I 320, 325 II 123, 256–257, 259

NOWACZYŃSKI Adolf (1876–1944) satyryk, dziennikarz endeckiej „Gazety Warszawskiej”, od 1939 w Anglii II 265

NOWAK Cass. P. powojenny emigrant z USA II [119–120], 122, 126

NOWAKOWSKI Marek (1935) prozaik, publikował w „Kulturze” pod pseud. Seweryn Kwarc I 289

NOWAKOWSKI Tadeusz (1920–1996) prozaik, reporter, 1940–1945 więzień obozów hitlerowskich, żołnierz 1. Dywizji Pancerniej, pozostaje na Zachodzie, od 1953 w Monachium, komentator polityczny RWE II 343

NOWAKOWSKI Zygmunt (1891–1963) pisarz, felietonista krakowskiego „Ikca”, od 1939 na emigracji, odgrywał ważną rolę wśród Polonii londyńskiej II 333

NOWARA M. czytelnik „Kultury” II 221, 223, 226

NOWICKI Jan (1894–1973) administrator apostolski w Lubaczewie, 1968 sakra biskupia, prof. Uniwersytetu Lwowskiego, KUL i ATK II 68

NOWIŃSKI Czesław (1907–1985) prawnik, filozof, prof. IFiS PAN II 160

NUSCHKE Otto (1883–1957) polityk NRD II 246

O

OCHAB Edward (1906–1989) długoletni funkcjonariusz komunistyczny, 1939–1944 w ZSRR, współorganizator ZPP, oficer w armii gen. Berlinga, po 1945 w wojsku (1949 mianowany generałem), w aparacie partyjnym i państwowym, od marca do października 1956 I sekretarz PZPR, 1964–1968 przewodniczący Rady Państwa, od 1968 na emeryturze I 103, 146–147, 329 II 103–104

OCHAB Teofil (1891–1978) śląski malarz, samouk I 61

OKULICZ Kazimierz (1880–1981) publicysta, działacz polityczny, wieloletni redaktor „Kuriera Wileńskiego”, poseł na sejm RP, od 1939 emigrant, działacz polityczny, 1954–1963 członek I i II Rady RP II 175

OKULICKI Leopold (1898–1946) generał, 1941–1944 więzień sowiecki, opuszcza ZSRR z armią gen. Andersa, w maju 1944 rzucony do Warszawy, ostatni komendant AK, w marcu 1945 podstępnie porwany do Moskwy, sądzony w tzw. procesie szesnastu, skazany na 10 lat, umiera w grudniu w moskiewskich Butyrkach I 206

OLSZEWSKI Józef (1916) długoletni funkcjonariusz komunistyczny, 1950–1957 I sekretarz KW PZPR w Katowicach, członek KC I 60

OLSZOWSKI Stefan (1931) 1956–1982 pracownik aparatu młodzieżowego i partyjnego, 1963–1971 kierownik Biura Prasy KC, 1976–1980 sekretarz KC, 1982–1985 minister spraw zagranicznych, od 1986 przebywa w USA II 88

OLUBEK Eugeniusz, funkcjonariusz aparatu partyjnego, długoletni pracownik KC I 174–175, 178

OPOZYCYJONISTA patrz KUŃ Jacek

OPPMAN Artur ps. Or-Ot (1867–1931) poeta, płk WP II 254

ORWELL George (1903–1950) pisarz angielski, autor słynnej książki *Rok 1984* demaskującej funkcjonowanie systemu totalitarnego I 78, 330–332, 426 II 26

ORZESZKOWA Eliza (1841–1910) powieściopisarka I 45

OSADCZUK Bohdan (1920) ukraiński dziennikarz, prof. historii najnowszej na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie Zachodnim, długoletni współpracownik „Kultury” II 88, 172, 176

OSMAŃCZYK Edmund (1914–1989) dziennikarz, publicysta polityczny, 1979–1980 członek Rady Państwa, 1977 Order Budowniczego Polski Ludowej I 226 II 103, 218

OSSOLIŃSCY rodzina arystokratyczna z Małopolski Wschodniej, wywodzili się z niej politycy, dyplomaci i mecenas kultury II 212–213

OSSOWSKA Maria (1896–1974) socjolog, etyk, prof. UW, 1952–1955 pozbawiona praw nauczania I 255, 259, 290, 292 II 162

OSSOWSKI Stanisław (1897–1963) 1946–1963 prof. UŁ i UW, 1952–1955 odsunięty od nauczania, założyciel Polskiego Towarzystwa Socjologicznego I 380 II 162

OSSOWSKI Zygmunt patrz MICEWSKI Andrzej

OSTROWSKI-NAUMOFF Jan (1901–1986) publicysta, filozof prakseolog, 1939–1945 żołnierz PSZ, od 1949 w Anglii, prof. Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, współpracownik „Orla Białego” II 333

OSTROWSKI Wiktor (1906–1992) prozaik, reportażysta, po kampanii wrześniowej w ZSRR, skąd wychodzi z armią gen. Andersa, 1946–1972 w Argentynie, następnie w Polsce, współpracował z „Kulturą” II 331

OŚMIAŁOWSKI Marian, czytelnik „Kultury” I 243

OWSIEJENKO Antonow patrz ANTONOW-OWSIEJENKO Władimir

P

PADEREWSKI Ignacy Jan (1860–1941) kompozytor, pianista, polityk, 1919–1920 premier RP, 1940–1941 przewodniczący Rady Narodowej na Uchodźstwie II 222

PALESTER Roman (1907–1989) kompozytor, 1939–1945 w Warszawie, 1945–1947 wykładowca Akademii Muzycznej w Krakowie, od 1949 w Paryżu, współpracownik RWE I 41

PANKOWSKI Marian (1919) poeta, krytyk literacki, więzień niemieckiego obozu koncentracyjnego, po wojnie w Belgii, wykładowca literatury i języka polskiego na Wolnym Uniwersytecie Brukselskim II 95–96, [121–122], 126, [129–135], 343

PANKRATOWA Anna (1897–1957) historyk sowiecki, autorka stalinowskich podręczników I 206

PAPÉE Kazimierz (1889–1979) dyplomata, w 1939 mianowany ambasadorem RP przy Stolicy Apostolskiej, sprawował tę funkcję do 1974, choć oficjalnie misję zakończył w 1958 II 59, 69

PARANDOWSKI Jan (1895–1978) pisarz, od 1933 aż do śmierci prezes polskiego PEN CLUB-u I 255, 257–258

PASSENT Daniel (1938) dziennikarz, publicysta polityczny, wieloletni współpracownik „Polityki” I 293

PASTERNAK Borys (1890–1960) poeta, pisarz rosyjski, 1958 Nagroda Nobla II 257

PASTERNAK Leon (1910–1969) poeta, komunist, w 1939 z Berezy Kartuskiej do Lwowa, współpracuje z „Nowymi Widnokręgami”, oficer oświatowy w armii gen. Berlinga I 136

PAWEŁ VI – MONTINI Giovanni (1897–1978) papież od 1963, kontynuator II Soboru Watykańskiego II 42, 45, 65, 71

PAWLIKOWSKI, przedstawiciel rodziny z Małopolski Wschodniej, z której wywodzili się działacze niepodległościowi, pisarze, naukowcy i artyści, nie wiadomo, o którego chodzi II 213

PAWLIKOWSKI Michał K. (1893–1972) dziennikarz, pisarz, 1924–1939 współpracownik wileńskiego „Słowa”, od 1939 poza

Polską, od 1949 w USA, 1951–1962 lektor slawistyki na uniwersytecie w Berkeley II 226, 261, [265–267]

PELIKAN patrz FLORCZAK Zbigniew

PERZANOWSKI Lucjan, dziennikarz, w PRL redaktor „Forum”, 1966 emigruje, wkrótce rozpoczyna pracę w RWE jako komentator polityczny I 26, [165–167]

PETACCI Clara, przyjaciółka Mussoliniego, wraz z nim zabita przez włoskich partyzantów II 36

PIASECKI Bolesław (1915–1979) działacz polityczny, przed 1939 przywódca ONR Falańga, 1941–1943 w konspiracyjnej Konfederacji Narodu, od 1952 prezes PAX-u, od 1971 członek Rady Państwa I 204–205, 243, 245–247 II 73, 110, 138, 140

PIASTOWIE dynastia II 134, 198

PIECK Wilhelm (1876–1960) niemiecki i międzynarodowy funkcjonariusz komunistyczny, 1949–1960 prezydent NRD I 32

PIEŃKOWSKI Stefan (1885–1940) dr medycyny, prof. UJ, major rezerwy, zamordowany w Katyniu I 204

PIGOŃ Stanisław (1885–1968) historyk literatury polskiej, prof. Uniwersytetu Wileńskiego i UJ I 255, 259, 386

PILAT Poncjusz (I w. n.e.), rzymski prokurator Judei, znany dzięki *Ewangelii* II 36

PILSUDSKI Józef (1867–1935) polityk, mąż stanu, członek PPS-Frakcja Rewolucyjna, organizator POW, jeden z twórców II Rzeczypospolitej, Naczelnik Państwa I 46, 193, 386, 390, 392, 394 II 204, 213, 222, 234

PINIŃSKI [Leon Jan?] (1857–1938) prawnik, konserwatywny polityk, 1898–1903 namiestnik Galicji II 213

PIOTR I zw. WIELKIM (1672–1725) car Rosji od 1682 I 332 II 55, 256

PIOTROWSKI Stanisław (1912) działacz ZSL, 1952–1957 wiceminister kultury I 118

PIOTROWSKI W. dr z USA II 108, 118

PISZCZEK Karol, żołnierz AK w okręgu lwowskim, 1949 nielegalnie opuszcza Polskę, osiedla się w Brazylii II [218–220]

PIUS XII – PACELLI Eugenio (1876–1958) papież od 1939, zdecydowany przeciwnik komunizmu II 36, 39, 42, 49

PLECHANOW Gieorgij (1856–1918) krytyk literacki, propagator marksizmu, działacz rosyjskiego i międzynarodowego ruchu socjaldemokratycznego I 253

PŁOT Jerzy patrz MARKIEWICZ Andrzej

POBÓG-MALINOWSKI Władysław (1899–1962) oficer WP, historyk, publicysta, w 1939 przedostaje się do Francji i odbywa kampanię 1940, współtwórca Radia Paryż I 24

POGORZELSKI Jan, z USA II 109

POKĄTEK Aniela, autorka skargi do rządu PRL I 124

POLEJKO, major I 21

POMBAL Sebastiano José de Carvalho e Melo, książę (1699–1782), portugalski mąż stanu za czasów Józefa I, odnowiciel państwa i monarchii, swoje plany realizował bezwzględnie, nie oszczędzając przeciwników, m.in. wyrzucił jezuitów II 38

POMIAN Grażyna I [7–18], [21–28], [193–202], [305–315] II [7–10], [87–92], [171–179], [291–297]

POMIAN Krzysztof (1934) filozof, historyk I 13 II 178

PONIATOWSKI Stanisław August patrz STANISŁAW AUGUST Poniąkowski

POPIEL Karol (1887–1977) polityk chadecki, założyciel Stronnictwa Pracy, od 1947 na emigracji II 72

POSPIESZAŁSKI Antoni (1912) do wojny nauczyciel gimnazjalny, po wojnie osiedla się w Londynie, 1952–1975 dziennikarz w sekcji polskiej BBC, współpracownik pism emigracyjnych, m.in. „Kultury” II 9, [31–34]

PRADZYŃSKI Jerzy ps. Berlińczyk (1908–1954) dziennikarz, publicysta, przed 1939 współpracownik „Polski Zbrojnej”, 1952–1953 berliński korespondent „Kultury” II 176, 331

PRUS Bolesław wł. Aleksander Głowacki (1847–1912) pisarz, publicysta I 333, 386

PRUTKOWSKI Józef (1915–1981) satyryk, autor komedii i utworów estradowych, redaktor pism satyrycznych, 1939 w ZSRR, 1941 obóz pracy, 1943–1946 dyrektor teatru 1. Armii LWP I 256

PROUST Marcel (1871–1922) pisarz francuski II 300

PRYMAS patrz WYSZYŃSKI Stefan

PRZECALSKA, koleżanka szkolna E. Gieratowej I 88

PRZYBOS Julian (1901–1970), poeta I 256–257

PRZYŁUSKI Bronisław (1905–1980) dramaturg, poeta, 1939–1944 jeniec w obozie Gross-Born, żołnierz 2. Korpusu, pozostał na emigracji II 333

PSTROKOŃSKI, plk, czytelnik „Kultury” II 227

PUSZKIN Aleksander (1799–1837) poeta rosyjski I 251 II 255

PUTA Józef, wielokrotny ambasador PRL, działacz PZPR I 118

PUTRAMENT Jerzy (1910–1986) pisarz, publicysta, 1939–1945 Lwów, współpraca z „Nowymi Widnokręgami”, armia gen. Berlinga, 1947–1950 ambasador we Francji, 1955–1956 i 1959–1980 wiceprezes ZLP, od 1972 redaktor tygodnika „Literatura”, członek KC PZPR i wieloletni poseł I 104, 136, 138, 140–141, 143–145, 256–259, 263

PYZIK S. działacz Polonii amerykańskiej II 209

Q

QUISLING Vidkun (1887–1944) norweski polityk faszystowski, jego nazwisko stało się synonimem kolaboracji I 21, 52

R

RADGOWSKI Michał (1929) dziennikarz, publicysta, 1957–1981 w „Polityce” I 232

RADZIWIŁŁ Bogusław (1620–1669) koniuszy litewski, stanął po stronie najeźdźcy szwedzkiego II 20

RADZYMIŃSKA Józefa (1921) prozaik, 1939–1945 żołnierz AK, walczyła w powstaniu warszawskim, jeniec niemiecki, po wojnie na emigracji, współpracowała z „Gazetą

Niedzielną”, „Życiem”, 1962 wraca do kraju II 331, [337–338]

RAJK László (1909–1949) komunistyczny funkcjonariusz partii węgierskiej, 1946–1948 minister spraw wewnętrznych, następnie zagranicznych, 1949 oskarżony o titoizm skazany na śmierć i stracony, 1956 zrehabilitowany II 157

RAKOWSKI Mieczysław F. (1926) dziennikarz, działacz partyjny i państwowy, 1958–1982 redaktor „Polityki”, ostatni sekretarz PZPR I 232, 289, 293 II 413

RATHENAU Walther (1867–1922) niemiecki polityk liberalny, dyplomata, zamordowany w 1922 przez dwóch nacjonalistów, jednym z nich był pisarz Ernest von Salomon I 324

REDAKTOR patrz GIEDROYC Jerzy

REED John (1887–1920) amerykański dziennikarz, komunista, autor głośnej książki *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem* I 217

RELIDZYŃSKI Józef (1886–1964) poeta, tłumacz, legionista, 1932–1939 naczelnik Centralnego Biura Filmowego MSW, 1939–1945 zesłaniec, żołnierz armii gen. Andersa, od 1948 w Anglii II 221, 226

REWSKA Hanna (1915–1970) geograf, w czasie wojny w oddziałach dywersyjno-sabotażowych AK, 1958 skazana na 3 lata więzienia za kolportaż „Kultury” I 9

RIBBENTROP Joachim von (1893–1946) członek ekipy niemieckich faszystów rządzących III Rzeszą, stracony w Norymberdze II 185

RIDGWAY Matthew (1895–1993) gen. amerykański, 1952–1953 naczelny dowódca sił zbrojnych NATO, blok sowiecki oskarżał go o użycie broni bakteriologicznej w Korei I 337

ROBESPIERRE Maximilien (1758–1794) jakobin, radykalny przywódca rewolucji francuskiej z 1789, zgilotynowany, ofiara własnych metod I 105

ROCKEFELLER John Davison (1839–1937) amerykański przemysłowiec i finansista, w 1913 założył fundację, której celem jest działalność filantropijna i oświatowa I 350

ROKOSSOWSKI Konstanty (1896–1968) marszałek ZSRR i PRL, 1949–1956 minister obrony narodowej PRL, członek Biura Politycznego PZPR, 1956 pod wpływem żądań społeczeństwa wraca do ZSRR, skąd uprzednio przybył I 30, 32, 39, 216, 341 II 103, 116, 341

ROMMEL Erwin (1891–1944) marszałek niemiecki II 238

ROMER Tadeusz (1894–1978) dyplomata RP, na emigracji działacz polityczny i społeczny, 1948–1954 wykładowca na uniwersytecie w Montrealu II 331

ROOSEVELT Franklin D. (1882–1945) polityk partii demokratycznej, 1933–1945 prezydent USA I 83

ROSENBERG Alfred (1893–1946) polityk niemiecki, teoretyk nazistowskiego rasizmu, skazany na śmierć przez Trybunał Norymberski II 122

ROSOL Tadeusz, dr, powojenny emigrant osiadły w Kanadzie II [214–215]

ROSS Michał, pseudonim II [407–414]

ROZWADOWSCY, ziemiańska rodzina z Małopolski Wschodniej II 213

ROZDZIENSKI Walenty wł. Walenty Brusiek (ok. 1560–1622) hutnik śląski, poeta I 61

RÓŻEWICZ Tadeusz (1921) poeta, dramatopisarz, prozaik I 401

RUBIN Mieczysław (1917–1990) kardynał, 1940–1941 więzień łagrów sowieckich, opuszcza ZSRR wraz z armią gen. Andersa, 1959–1964 rektor Papieskiego Kolegium w Rzymie, duszpasterz emigracji polskiej II 48–49

RUDNICKI Adolf (1912–1990) pisarz, eseista, od 1968 poza Polską I 225, 257–258

RUSSELL Bertrand (1872–1970) matematyk i filozof angielski, od początku XX wieku zaangażowany w obronę pokoju, przeciwnik broni nuklearnej I 364 II 21

RUTKOWSKI Henryk (1903–1925) działacz komunistyczny, stracony za próbę zamachu na prowokatora, jego współtowarzysze uznali go za wzór komunisty I 115

RYSAK Wojciech, pseudonim I 308, [375–383]

RYSZKA Franciszek (1924–1998) prawnik, historyk, prof. w Instytucie Historii PAN I 399

S

SACHAROW Andriej (1921–1989) fizyk rosyjski, twórca bomby wodorowej, od lat siedemdziesiątych zaangażowany w obronę praw człowieka w ZSRR, był pod nieustannym dozorem politycznym i policyjnym, 1975 Pokojowa Nagroda Nobla I 409

SAKOWSKI Juliusz (1905–1977) krytyk literacki, do 1939 w służbie MSZ, od 1939 w Londynie pełnił odpowiedzialne funkcje w Ministerstwie Informacji, od 1951 współpracownik „Wiadomości” II 333

SALOMON (?–930 p.n.e.) król Izraela, słynął z mądrości i sprawiedliwości II 124

SALOMON Ernest von (1902–1972) pisarz niemiecki, działacz orientacji nacjonalistycznej i antydemokratycznej, lecz przeciwnik faszyzmu, za udział w zabójstwie W. Rathenaua skazany w 1922 na 5 lat więzienia I 324

SALTYKOW-SZCZEDRIN Michaił J. (1826–1889) rosyjski pisarz satyryczny, związany z rewolucyjnymi demokratami II 398

SAMBOR Michał patrz CHMIELOWIEC Michał

SAMPSON Francis, kapelan amerykański II 241

SANDAUER Artur (1913–1989) historyk literatury, krytyk, eseista, prof. UW I 255–258, 262

SAPIEHA Adam (1867–1951) biskup krakowski, od 1946 kardynał II 12, 14, 16, 53

SARAGAT Giuseppe (1898–1988) włoski polityk, działacz socjaldemokratyczny, wielokrotny minister, 1964–1971 prezydent Republiki II 55

SCHAFF Adam (1913) filozof marksista, prof. UW, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, działacz PZPR, członek KC I 236, 238, 240, 256–257 II 160, 162

SCHILLER Friedrich (1759–1805) pisarz niemiecki II 148

SCHUSTER Ildefonso (1880–1954) kardynał, arcybiskup Mediolanu II 36–37, 49

SEIFERT Karol, proboszcz niemiecki II 241

- SERGE Victor (1890–1947) rosyjski pisarz piszący po francusku, 1933–1935 uwięziony w ZSRR, udaje mu się wydostać na Zachód, zmarł w Meksyku II 384
- SERGIUSZ (1867–1944) od 1918 metropolita Niżnego Nowogrodu, zwolennik współpracy z reżimem sowieckim, w grudniu 1926 aresztowany, załamuje się w śledztwie, wychodzi na wolność jako człowiek całkowicie posłuszny, od 1943 patriarcha Moskwy i całej Rusi II 44
- SFORZA, ród książęcy panujący w Mediolanie 1450–1535 I 322
- SIDOR Kazimierz (1915–1981) w czasie wojny w komunistycznej partyzantce, od 1945 w dyplomacji, dwukrotny ambasador PRL w Rzymie, znany z dywersyjnej akcji w 2. Korpusie II 69
- SIDZIKAUSKAS Vaclovas (1893–1973) dyplomata litewski, po wojnie w USA, działacz niepodległościowy II 231
- SIENKIEWICZ Henryk (1848–1916) pisarz, 1905 Nagroda Nobla I 45, 386, 411 II 20, 132, 144, 194, 335
- SIERPIŃSKI Wacław (1882–1969) matematyk, prof. Uniwersytetu Lwowskiego i UW I 255, 259, 369
- SIKORSKI Władysław (1881–1943) generał, przeciwnik J. Piłsudskiego i sanacji, 1939–1943 premier Rządu RP i Naczelnny Wódz, ginie w katastrofie lotniczej I 390 II 204
- SILONE Ignazio (1900–1978) włoski pisarz, publicysta, przed 1939 zrywa z komunizmem, którego uprzednio był zwolennikiem II 319, 321
- SILA-NOWICKI Władysław (1913) adwokat, działacz polityczny, 1939–1947 AK, Stronnictwo Pracy, WiN, 1947–1956 więzień, karę śmierci zamieniono mu na dożywocie, 1957 zrehabilitowany, wielokrotny obrońca więźniów politycznych w PRL II 73
- SINIAWSKI Andriej ps. Abram Terc (1925–1997) rosyjski pisarz i historyk literatury, za publikację swojej książki w Instytucie Literackim skazany na łagier (1966–1971), od 1973 w Paryżu I 331 II 368
- SKARBK-MICHAŁOWSKI Janusz, rodem z Małopolski Wschodniej, od 1945 w Anglii II [212–213], 226
- SKARBKOWIE, rodzina ziemiańska z Małopolski Wschodniej, wywodzili się niej działacze społeczni, naukowcy i filantropi II 213
- SKŁADKOWSKI-SŁAWOJ Felicjan (1885–1962) lekarz, legionista, bliski współpracownik J. Piłsudskiego, 1936–1939 premier, minister spraw wewnętrznych, 1939 internowany w Rumunii, od 1945 w Londynie II 97, 265–266
- SKWARNICKI Marek ps. Spodek (1930) literat, dziennikarz, długoletni współpracownik „Tygodnika Powszechnego” I 393
- SŁÁNSKÝ Rudolf (1901–1952) czeski i międzynarodowy funkcjonariusz komunistyczny, 1945–1951 sekretarz generalny KPC, 1952 oskarżony o zdradę i szpiegostwo, stracony II 167
- SŁONIMSKI Antoni (1895–1976) poeta, publicysta, stały współpracownik „Wiadomości Literackich”, 1939–1946 w Londynie, następnie wraca do kraju, 1956–1959 prezes ZLP, współzałożyciel KOR I 119, 137–138, 252–257, 259, 261–262, 264, 289, 292, 311 II 113, 148
- SŁOWACKI Juliusz (1809–1849) poeta I 251, 394 II 281
- SŁUCKI Arnold (1920–1972) poeta, 1939–1945 żołnierz Armii Czerwonej, następnie armii gen. Berlinga, 1966 występuje z PZPR, 1968 emigruje z Polski II 102
- SMETONA Antanas (1874–1944), 1919–1922 i 1926–1940 prezydent Litwy, od 1940 na emigracji II 231, 234
- SMOLKA Stanisław (1854–1924) prof. historii na Uniwersytecie Lwowskim, UJ II 213
- SMRKOWSKÝ Josef (1912–1974) czeski działacz komunistyczny, jeden z przywódców Praskiej Wiosny, usunięty z partii w 1970, prześladowany przez reżim Husaka I 268
- SOBIESCY, rodzina arystokratyczna z Małopolski Wschodniej, wywodziło się z niej wielu dowódców i mężów stanu, także król Jan III II 213
- SOKOŁOWSKI Mieczysław (1889–1981) w służbie państwowej RP, od 1939 na

- emigracji, działacz społeczny i polityczny, 1949–1954 dwukrotnie minister spraw zagranicznych II 231
- SNOW Edgar P. (1905–1972) dziennikarz amerykański, znawca Chin, sympatyk komunizmu II 278, 287
- SOKORSKI Włodzimierz (1908–1999) działacz komunistyczny, publicysta polityczny, autor propagandowych powieści, podczas wojny w ZSRR, armia gen. Berlinga, pracownik kolejnictwa sowieckiego, po 1945 w aparacie państwowym, 1952–1956 minister kultury, 1956–1972 przewodniczący Komitetu ds. Radia i Telewizji, za czasów Gierka nie odgrywał już żadnej roli politycznej I 365
- SOŁOWIJ Tadeusz ps. Jan Klonowicz (1909) ekonomista, w czasie wojny doradca ekonomiczny Delegatury Rządu na Kraj, więzień niemiecki, po wojnie pozostaje na Zachodzie, od 1948 w Kanadzie II 331
- SOLŻENICYN Aleksander (1918) pisarz rosyjski, więzień łagru, 1970 Nagroda Nobla, 1974 pozbawiony praw obywatelskich i deportowany z ZSRR I 199, 289, 292, 294, 393, 409, 415, 430 II 165, 288, 403
- SOSNKOWSKI Kazimierz (1885–1969) generał, związany z J. Piłsudskim, od 1939 na uchodźstwie, 1943–1944 Naczelnny Wódz II 278
- SPODEK patrz SKWARNICKI Marek
- STALIN Józef (1879–1953) sekretarz partii komunistycznej i faktyczny szef państwa 1922–1953, uznany za przywódcę międzynarodowego komunizmu, XX Zjazd KPZR rozpoczął proces jego demistyfikacji I 30, 32, 50, 71, 83–84, 105, 206, 210, 288, 297, 321, 332, 337–340, 343, 345, 347, 352, 377, 388, 416–417 II 40, 44, 110–111, 115, 127, 157, 165, 212, 244, 267, 279, 282, 285, 325, 340, 356–357, 363, 367, 371, 377, 380, 384
- STALIŃSKI Tomasz patrz KISIELEWSKI Stefan
- STANISŁAW AUGUST Poniatowski (1732–1798) król Polski 1764–1795, współtwórca Konstytucji 3 maja, po trzecim rozbiore abdykuje i wyjeżdża do Petersburga I 95
- STAŃCZYK (ok. 1480–1560) błazen ostatnich Jagiellonów I 263, 398
- STAREWICZ Artur (1917) 1939–1945 w ZSRR, kończy studia, członek WKP(b), w aparacie partyjnym PPR i PZPR zajmował odpowiedzialne funkcje, przeważnie związane z prasą i propagandą I 136, 360 II 103
- STASOWA Jelena (1873–1966) rosyjska i międzynarodowa funkcjonariuszka komunistyczna, była sekretarzem MOPR II 253–254
- STASZEWSKI Stefan (1906–1989) funkcjonariusz KPP, wielokrotnie aresztowany, w 1939 w ZSRR skazany na 8 lat łagru, 1946 wraca do Polski, gorliwy aparatczyk PPR i PZPR, od 1955 związany z reformatorskim ruchem PZPR, 1955–1957 I sekretarz komitetu warszawskiego, od 1958 redaktor w PWN, 1968 usunięty z partii i z pracy II 193
- STASZIC Stanisław (1755–1826) myśliciel społeczny, pisarz polityczny, rzecznik reform I 46
- STAWAR Andrzej (1900–1961) marksistowski krytyk literacki, tłumacz, działacz KPP, usunięty z partii pod zarzutem trockizmu, po wojnie bezpartyjny, swoją ostatnią książkę wydał w Instytucie Literackim, zmarł w Maisons-Laffitte II 367–368
- STEFANOWSKI Antoni (1885–1940) pułkownik rezerwy, dr medycyny, legionista, uczestnik wojny z bolszewikami, w latach trzydziestych prezes Związku Legionistów, osobisty lekarz J. Piłsudskiego, zamordowany w Katyniu I 204
- STEFczyk Franciszek (1861–1924) twórca chłopskich spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowych II 115
- STEFFER, górnik brygadzysta I 62
- STEMPOWSKI Jerzy ps. Paweł Hostowiec (1894–1969) dziennikarz, eseista, do 1939 korespondent zagraniczny PAT, współpracownik „Wiadomości Literackich”, 1939 przedostaje się do Szwajcarii, gdzie pozostaje, 1954–1969 współpracownik „Kultury” I 8, 78 II 331
- STOMMA Stanisław (1908) publicysta, działacz katolicki, kilkakrotny poseł na sejm PRL Koła „Znak”, długoletni współpracownik „Tygodnika Powszechnego” I 226, 301 II 46, 75

- STOPKA Andrzej (1904–1973) scenograf, malarz, karykaturzysta I 137
- STRASZEWICZ Czesław (1904–1963) pisarz, do 1939 współpracownik „Buntu Młodych”, „Polityki”, 1939–1944 w PSZ, 1945–1956 pracownik radia w Montevideo, 1956–1961 w RWE w Monachium, współpracował z „Kulturą” II [338], 343
- STRONSKI Stanisław (1882–1955) historyk literatury, prof. UJ, polityk konserwatywny związany ze Stronnictwem Narodowym, od 1939 na emigracji, 1939–1943 wicepremier, minister informacji, założyciel i prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (1950–1954) I 253
- STRUG Andrzej wł. Tadeusz Gałęcki (1871–1937) pisarz i publicysta, legionista, socjalista II 313
- STRYKOWSKI Julian (1905–1996) pisarz, komunista, którego droga od komunizmu rozpoczęła się w 1955 I 292
- STRZAŁKOWSKI Wiesław (1909–1988) poeta, wykładowca filozofii i psychologii, od 1939 na emigracji II 333
- STRZELECKI Jan (1918–1988) socjolog, eseiści, 1939–1944 członek Wolność-Równość-Niepodległość, po 1945 członek PPS i PZPR, od połowy lat siedemdziesiątych w opozycji demokratycznej I 292
- STRZELEWICZ Konrad, literat, dziennikarz prasy krajowej I 406
- STRZEMIECZNY Jan (1949) pedagog I 313
- STUDNICKI-GIZBERT Władysław (1867–1953) działacz polityczny orientacji konserwatywnej i proniemieckiej, od 1944 na emigracji I 253 II 181–182, 184, 227, 249
- SULEWSKI Wojciech (1930–1974) dziennikarz i historyk partyjny, często odnajdywał się na „czarnych listach” „Kultury” II 139
- SULIK Bolesław (1926) żołnierz AK w okręgu grodzieńskim, dziennikarz, publicysta, autor filmów dokumentalnych I 27, [169–183]
- SULKOWSKI Józef (1773–1798) uczestnik wojny polsko-rosyjskiej 1792, powstania 1794, jakobin, adiutant Napoleona I 404
- SULKOWSKI Tadeusz Tomasz (1907–1960) poeta, jeniec oflagu, żołnierz 2. Korpusu we Włoszech, od 1948 w Anglii II 333
- SUZIEDELIS Simas, emigrant litewski, publicysta II 234–235
- SWINARSKI Konrad (1929–1975) reżyser, scenograf I 294
- SZACKI Wiktor (1930) inżynier, od 1968 w Berlinie II 88
- SZCZEPAŃSKI Jan (1913) socjolog, prof. Uniwersytetu Łódzkiego, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, 1971–1983 wiceprzewodniczący FJN, 1977–1982 członek Rady Państwa I 225–226, 257, 259, 399–401
- SZCZEPAŃSKI Maciej (1928) dziennikarz, wieloletni redaktor pism partyjnych, 1972–1980 prezes Komitetu ds. Radia i Telewizji I 293
- SZCZYPIORSKI Andrzej ps. Bronisław Koto-wicz (1924) pisarz, publicysta, żołnierz AK, działacz opozycji demokratycznej I 27
- SZEKSPIR William (1564–1616) angielski poeta, dramaturg I 251 II 299
- SZEPTYCKI Roman Aleksander im. zakonne Andrzej (1865–1944) metropolita Kościoła grekokatolickiego, teolog, ukraiński działacz polityczny i społeczny II 203, 205
- SZERKUS Eugeniusz, członek komitetu strajkowego stocznii im. A. Warskiego w 1971, późniejszy przewodniczący rady pracowniczej I 177
- SZEWCHENKO Taras (1814–1861) ukraiński poeta, malarz, budzieli świadomości narodowej II 183, 195
- SZLACHCIC Franciszek (1920–1990) od 1945 funkcjonariusz milicji i organów bezpieczeństwa, 1971–1980 w aparacie partyjnym i państwowym I 178 II 63
- SZNAJDER, działacz Polonii amerykańskiej II 209
- SZULDRZYŃSKI Jan (1903–1986) prawnik, przed 1939 urzędnik w Ministerstwie Sprawiedliwości, w czasie wojny w PSZ, po wojnie kariera naukowa II 9
- SZWARCE Bronisław (1834–1904) w 1862 członek Centralnego Komitetu Narodowego, zesłaniec II 213

- SZWARCMAN Hanka, autorka wspomnień II 100, 102
- SZYDLAK Jan (1925–1997) zajmował wysokie stanowiska w aparacie partyjnym i państwowym, w 1981 wykluczony z PZPR I 174 II 62–64
- Ś
- ŚWIATŁO Józef wł. Fleischfarb (1905–?) komunistyczny funkcjonariusz, od 1945 do 1953 w organach bezpieczeństwa, wicedyrektor X Departamentu MBP, w grudniu 1953 ucieka na Zachód, jego relacje nadawane przez RWE były polityczną rewelacją w PRL I 345
- ŚWIDERSKA Hanna (1930) bibliotekarka, prozaik, w 1940 wywieziona w głąb ZSRR, ewakuowana wraz z armią gen. Andersa, od 1945 w Londynie, w „Kulturze” publikowała pod ps. Janina Kowalska, Janina Nowak I 15
- ŚWIERCZEWSKI Karol (1897–1947) generał, komunista, uczestnik rewolucji październikowej 1917, pozostaje w ZSRR, 1936–1938 w Hiszpanii, 1944–1945 dowódca 2. Armii LWP, od 1946 wiceminister obrony narodowej I 134
- T
- TARNAWSKI Wit (1894–1988) lekarz, krytyk literacki, tłumacz, do 1940 prowadził z ojcem zakład przyrodolecniczy, drukował w „Prosto z mostu”, 1942–1947 naczelny lekarz szkół junackich w Palestynie i Egipcie, prowadził Stowarzyszenie Społeczno-Literackie, od 1948 w Anglii, długoletni współpracownik „Kultury” I 332 II 331
- TARNOWSKI Adam (1892–1956) dyplomata zarówno przed 1939, jak i na emigracji, 1944–1949 minister spraw zagranicznych w kolejnych ekipach rządu RP II 231
- TATARKIEWICZ Władysław (1886–1980) filozof, historyk sztuki, prof. Uniwersytetu Poznańskiego i UW, 1950–1955 odsunięty od nauczania I 225, 250 II 162
- TAUBENSCHLAG Rafał (1881–1958) prawnik, do 1939 prof. UJ, po 1945 – UW I 386
- TAYLOR Alan John P. (1906–1990) angielski historyk nowożytny, prof. Oxford University I 396
- TEILHARD de Chardin Pierre (1881–1955) francuski jezuita, teolog, filozof i paleontolog, w 1962 św. Oficjum ostrzegło nauczających religii przed zgubnym wpływem jego koncepcji II 25
- TEJCHMA Józef (1927) długoletni działacz młodzieżowy i partyjny, następnie w służbie państwowej, 1974–1978 minister kultury I 11
- TERC Abram patrz SINIAWSKI Andriej
- TERLECKI Tymon (1905) teatrolog, historyk literatury, tłumacz, 1939–1949 redaktor tygodnika „Polska Walcząca”, 1955–1959 i 1965 prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, działacz NiD, 1964–1972 prof. Chicago University I 205 II 333, 343–344
- THARAUD Charles i Ernest (bracia), Charles zwany Jean (1877–1952) i Ernest zwany Jérôme (1874–1953) pisarze francuscy, autorzy licznych relacji z podróży, rzecznicy tradycjonalizmu w literaturze, bliscy nacjonalizmowi II 123
- THOMPSON Ewa ps. Sally Boss, prof. slawistyki w USA, wywodząca się ze środowiska emigrantów polskich I 25, [185–190]
- THORWALD [Jürgens?] niemiecki publicysta, autor kilku publikacji poświęconych Polsce II 241
- TICHON – BIELAWIN Wasyl I. (1865–1925) patriarcha Moskwy i całej Rusi, stolec w Moskwie objął w 1917, zdecydowany przeciwnik bolszewików, występował publicznie przeciw terrorowi i prześladowaniu wiernych, szybko uwięziony, prawdopodobnie otruty II 47
- TITKOW Walenty (1917) działacz komunistyczny, żołnierz armii gen. Berlinga, po 1945 w aparacie państwowym i partyjnym, 1960–1965 I sekretarz komitetu warszawskiego I 251
- TITO wł. Josip Broz (1892–1980) jugosłowiański funkcjonariusz komunistyczny, podczas wojny głównodowodzący frontu wyzwolenia, pełnił różne funkcje, lecz fa-

- którego był pierwszą osobą w Jugosławii I 216 II 355
- TOEPLITZ Krzysztof Teodor (1933) publicysta polityczny, eseista I 293
- TOKARCZUK Ignacy (1918) od 1965 biskup przemyski, od 1992 arcybiskup, metropolita przemyski, od 1996 arcybiskup senior II 82
- TOKARSKI, członek komitetu strajkowego stoczni im. A. Warskiego w 1971 I 176
- TOKARSKI Jan (1909–1975) dziennikarz, od 1939 poza krajem, współpracował z różnymi pismami emigracyjnymi i RWE II 181, 331
- TOLSTOJ Lew (1828–1910) rosyjski pisarz i myśliciel II 257–258
- TOMASZ z Akwinu, święty (1225–1274) włoski teolog, twórca systemu filozoficznego – tomizmu, doktor Kościoła II 22
- TRAUGUTT Romuald (1826–1864) ostatni dyktator powstania styczniowego, zginął na stokach Warszawskiej Cytadeli I 398
- TRESZKA Adam (1911–1984) po wojnie w Anglii, długoletni działacz Stowarzyszenia Lwowian i Stronnictwa Narodowego II 225
- TROCKI Lew (1879–1940) jeden z przywódców partii bolszewickiej i rewolucji październikowej, teoretyk i organizator, przeciwnik Stalina, odsunięty od władzy, wydany z ZSRR, zamordowany w Meksyku przez agenta NKWD, twórca IV Międzynarodówki I 205
- TRUMAN Harry (1884–1972) amerykański polityk partii demokratycznej, 1945–1953 prezydent USA I 337
- TUROWICZ Jerzy (1912–1999) wieloletni redaktor „Tygodnika Powszechnego”, działacz katolicki I 255 II 74, 89, 294
- TUROWSKI Konstanty (1907–1983) publicysta, chadecki działacz partyjny i związkowy, w latach stalinizmu więzień polityczny, po 1956 pracownik, a następnie dyrektor wydawnictwa KUL II 73
- TUWIM Julian (1894–1953) poeta, 1939–1946 w USA, po powrocie do kraju wyróżniany przez władze, 1951 nagroda państwowa I stopnia II 324
- TYRMAND Leopold (1920–1985) dziennikarz związany z „Tygodnikiem Powszechnym”, pisarz, od 1965 na Zachodzie, od 1966 w USA I 15, 194, 265
- U**
- UJEJSCY, prawdopodobnie chodzi o rodzinę, z której wywodził się Kornel Ujejski II 213
- ULATOWSKI Jan (1907–1997) historyk sztuki, publicysta, tłumacz, do 1939 w służbie dyplomatycznej, w czasie wojny żołnierz PSZ, redaktor „Orla Białego”, po wojnie we Francji I 305
- ULBRICHT Walter (1893–1973) od 1923 niemiecki i międzynarodowy funkcjonariusz komunistyczny, 1950–1973 sekretarz generalny partii w NRD I 272 II 41–42, 246
- UFLIK Adam, zastępca przewodniczącego komitetu strajkowego w stoczni im. A. Warskiego w 1971, 1976 zginął w niewyjaśnionych okolicznościach I 174, 176, 179, 181–182
- UNGER Leopold ps. Brukselczyk (1922) dziennikarz, długoletni współpracownik „Życia Warszawy”, w 1968 emigruje, od 1969 publicysta brukselskiej „Le Soir”, od 1970 współpracuje z „Kulturą” II 179
- URBAN Jerzy (1933) dziennikarz, publicysta polityczny, działacz państwowy 1981–1989 I 293
- URBAŃSKI, uczestnik strajku w stoczni im. A. Warskiego w 1971 I 182
- URSYN Józef patrz ZDZIECHOWSKI Paweł
- UZIEMBŁO Adam (1885–1971) publicysta, niepodległościowy działacz socjalistyczny, 1939–1944 w AK, od 1945 na emigracji w Londynie I 196 II 114–118]
- V**
- VALÉRY Paul (1871–1945) poeta francuski I 319
- VIAN Boris (1920–1959) pisarz, poeta francuski II 140
- VINCENZ Stanisław (1888–1971) krytyk literacki, eseista, od 1939 na emigracji II 331
- VOLTAIRE (Wolter) wł. François Marie Arouet (1694–1778) francuski pisarz, filozof i historyk I 410 II 137

- W**
- WAGNER Richard (1813–1883) niemiecki kompozytor, poeta, teoretyk sztuki II 148
- WAJDA Andrzej (1926) reżyser filmowy I 329
- WAŁASZEK Antoni, długoletni I sekretarz PZPR w Szczecinie, pozbawiony stanowiska w wyniku strajku grudniowego I 174
- WALDORFF Jerzy (1910) krytyk muzyczny współpracujący z „Polityką” od 1969 I 145 II 57
- WAŃKOWICZ Melchior (1892–1974) pisarz, reporter, w 1939 przedostaje się na Zachód, 1943–1946 korespondent wojenny PSZ, wraca do kraju w 1958 I 103, 253, 255–256, 263–264, 267 II 331
- WARSKI Adolf wł. Adolf Jerzy Warszawski (1868–1937), współzałożyciel KPP, funkcjonariusz Międzynarodówki Komunistycznej, ofiara czystek stalinowskich I 205
- WASILEWSKA Wanda (1905–1982) do 1939 powieściopisarka, dziennikarka, prokomunistyczna działaczka związkowa, od 1939 w ZSRR, redaktor „Nowych Widnokręgów”, współzałożycielka Związku Patriotów Polskich, 1940–1944 odgrywała dominującą rolę w środowisku polskich komunistów I 113
- WASIUTYŃSKI Wojciech (1910–1995) publicysta, redaktor prasy związanej z ONR, działacz ONR Falanga, od 1939 w USA, 1958–1973 zastępca kierownika polskiej sekcji RWE w Nowym Jorku I 46
- WAŻYK Adam (1905–1982) poeta, tłumacz, komunista, 1939–1945 w ZSRR, współpracownik „Nowych Widnokręgów”, oficer oświatowy w armii gen. Berlinga, do 1954 gorliwy realizator linii partii, 1957 zrywa z PZPR I 60, 225, 258, 262, 264, 360, 365
- WEIL Simone (1909–1943) pisarka francuska, filozof, myślicielka społeczna i religijna, twórczość jej przechodziła kilka faz, zbliżenie do katolicyzmu nie doprowadziło do przyjęcia chrztu I 432
- WEISSBERG-CYBULSKI Aleksander (1901–1964) fizyk, działacz niemieckiej partii komunistycznej, 1931 emigruje do ZSRR, 1937 aresztowany, 1940 wydany hitlerowcom, ucieka i ukrywa się w Polsce, 1946 wraca do Austrii, ale wkrótce osiedla się we Francji, autor *Wielkiej czystki*, która wywarła duży wpływ na prokomunistyczną inteligencję, Instytut Literacki wydał ją w 1967 I 206
- WERBLAN Andrzej (1924) politolog, prof. Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni funkcjonariusz partyjny, 1950–1980 (z wielkimi przerwami) w aparacie KC, 1974–1980 sekretarz KC, od 1983 bez żadnych funkcji politycznych i społecznych II 160
- WERGILIUSZ (70–19 p.n.e.) epik rzymski I 360
- WESOŁOWSKI Włodzimierz (1929) socjolog, prof. Instytutu Filozofii i Socjologii PAN II 160
- WĘDZIAGOLSKI Karol (1885–?) ziemianin z Wileńszczyzny, wychowanek petersburskiego Korpusu Kadetów, zwolennik demokratycznych przemian w Rosji, brał udział w rewolucji lutowej 1917, zdecydowany przeciwnik bolszewików, admirał J. Piłsudskiego, 1918 wraca do Polski, po 1945 osiedla się w Brazylii II 261
- WHITMAN Walt (1818–1892) poeta amerykański II 299
- WIATR Jerzy (1931) socjolog, prof. UW, 1977–1980 dyrektor Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu, publicysta i działacz PZPR II 160
- WICHA Władysław (1904–1984) wieloletni funkcjonariusz komunistyczny, 1954–1964 minister spraw wewnętrznych I 368
- WIECZOREK Janusz (1910–1981) funkcjonariusz partyjny, 1956–1980 szef Urzędu Rady Ministrów II 54–55
- WIEŁOPOLSKI Aleksander (1803–1877) polityk konserwatywny, zwolennik ugody z caratem, po 1863 na emigracji I 211, 398
- WIEŁOPOLSKI H. prenumeratorka „Kultury” II 323, 326
- WIENIEWSKI Ignacy (1896–1986) historyk literatury, tłumacz, 1941–1954 w agendach rządowych RP w Londynie, działacz społeczny II 333
- WIKTOR – SWIATIN Leonid (1893–1966) biskup prawosławny, od 1961 metropolita w Krasnodarze i w Kazaniu II 44

- WILANOWSKI Franciszek, aktywista PZPR, w 1971 członek styczińskiego komitetu strajkowego stoczni im. A. Warskiego I 176-177
- WILLEBRANDS Jean (1909) dr nauk teologicznych, biskup, sekretarz II Soboru Watykańskiego, 1969 kardynał, 1975 arcybiskup Utrechtu II 44
- WILHELM Janusz (1927–1978) dziennikarz, krytyk literacki, redaktor pism literackich, propagandzista PZPR I 252, 289
- WILSON Thomas W. (1856–1924) 1912–1920 prezydent USA, współtwórca Ligi Narodów, 1919 Pokojowa Nagroda Nobla I 394, 396
- WITASZEWSKI Kazimierz (1906–1992) przed 1939 komunistyczny działacz związkowy, 1939–1945 ZSRR, armia gen. Berlinga, po wojnie w aparacie związkowym i partyjnym, gdzie zajmował wysokie stanowiska, 1952–1956 wiceminister obrony narodowej, 1960–1968 kierownik wydziału administracyjnego w KC PZPR, w okresie Października należał do grupy natolińskiej I 114 II 103
- WITKIEWICZ Stanisław (1851–1915) malarz, krytyk sztuki, twórca i popularyzator stylu zakopiańskiego w budownictwie I 136
- WITOS Wincenty (1874–1945) działacz ludowy i państwowy, współzałożyciel i przywódca PSL „Piast”, następnie Stronnictwa Ludowego, minister i premier rządu RP, przeciwnik J. Piłsudskiego i sanacji, 1933–1939 na emigracji I 107, 387, 392 II 222, 355
- WITLIN Józef (1896–1976) poeta, tłumacz, od 1939 na emigracji II 343
- WIZUNAS, chorąży, inaczej Szymon Wizunas Moczydło-Szydłowski, za tym przybranym nazwiskiem ukrywał się ks. Świątek Mirski, bohaterski powstaniec 1863 i legendarna postać Lwowa przed 1914 II 213
- WRIGHT Richard (1908–1960) amerykański Murzyn, pisarz i publicysta, w latach czterdziestych zrywa z komunizmem II 321
- WŁASOW Andriej (1900–1946) generał sowiecki, w 1942 wzięty do niewoli, staje się wojskowym sojusznikiem Niemiec, po
- wojnie wydany Sowiecom przez Amerykanów, 1946 powieszony II 119
- WODICZKO Bohdan (1911–1985) dyrygent II 57
- WODOW Sergiusz (1898–1968) opuścił Rosję wraz z białą armią, przed II wojną sekretarz Narodowego Związku Młodych Rosjan, 1950–1960 redaktor „Russkoj Mysli” II 47
- WOJNAR-SUJECKA Janina, historyk myśli społecznej, prof. UW II 160
- WOJTYŁA Karol (1920) od 1963 arcybiskup, metropolita krakowski, od 1978 papież JAN PAWEŁ II II 53–54, 82
- WOLSKI Władysław wł. Antoni Piwowarczyk (1901–1976) funkcjonariusz KPP, 1933 skazany w ZSRR na 10 lat łagru, pod koniec wojny w partyzantce sowieckiej, od 1944 w Polsce, funkcjonariusz aparatu państwowego, 1949–1950 minister administracji publicznej PRL, 1950 wykluczony z PZPR, długoletni dyrektor biblioteki wojewódzkiej w Krakowie II 13, 15
- WORDSWORTH William (1770–1850) poeta angielski II 299
- WOROSZYLSKI Wiktor (1927–1996) poeta, publicysta, tłumacz, w młodości gorliwy komunista, tzw. pryszczaty, 1966 wykluczony z PZPR, następnie działacz opozycji demokratycznej, współzałożyciel niezależnego miesięcznika „Zapis” I 201, 289, 393 II [399–405]
- WOROSZYŁOW Kliment (1881–1969) długoletni funkcjonariusz partii komunistycznej, 1953–1960 przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR I 206
- WRAGA Ryszard patrz NIEZBRZYCKI Jerzy
- WRECONA Jewhen (1905–1975) ukraiński działacz niepodległościowy, więzień w Beresiu, organizator Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), po 1945 na emigracji, działacz polityczny i publicysta II 187–188, 192, 199, 202–204
- WROCZYŃSKI Czesław (1889–1940) dr medycyny, organizator Kasy Chorych, kapitan rezerwy, zamordowany w Katyniu I 204
- WYGODZKI Stanisław (1907–1992) poeta, prozaik, związany z KPP, 1943–1945

- obóz koncentracyjny, 1968 emigruje do Izraela I 141
- WYKA Kazimierz (1910–1975) historyk i krytyk literatury polskiej, prof. UJ, członek PPR i PZPR I 255, 257, 259
- WYSOCKI Piotr (1797–1874) kierował spiskiem, który doprowadził do powstania listopadowego, sybirak do 1857 I 398
- WYSPIAŃSKI Stanisław (1869–1907) dramaturg, poeta, malarz I 97
- WYSZYŃSKI Kazimierz (1890–1935) działacz polityczny, 1921–1922 adiutant J. Piłsudskiego II 233
- WYSZYŃSKI Stefan (1901–1981) arcybiskup gnieźnieński i warszawski, kardynał, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, zwany Prymasem Tysiąclecia, 26 września 1954 internowany, 29 października 1956 wznawia duszpasterskie obowiązki I 272, 301 II 10, 14, 16, 20, 45, 47–50, 55, 60–62, 65, 70, 80–82, 84, 113, 131
- Z**
- ZABŁOCKI Janusz Zbigniew (1926) publicysta, działacz Związku Katolicko-Społecznego, 1981–1989 jego prezes, 1965–1989 poseł na sejm Koła „Znak” I 284, 301 II 75
- ZABRZEŃSKI Aleksander, pseudonim I 307, [267–274]
- ZADROŻNY Stanisław (1908–1977) prozaik, dziennikarz, 1939–1944 żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego, jeńiec niemiecki, po wojnie na emigracji, 1952–1973 dziennikarz RWE i „Orla Białego” II [11–17]
- ZAGÓRSKI Jerzy (1907–1984) poeta, eseista, tłumacz I 140, 143, 255, 257–258
- ZAGÓRSKI-OSTOJA Włodzimierz (1882–1927) legionista, gen. WP, przeciwnik J. Piłsudskiego, aresztowany w 1926, w 1927 ginie w niewyjaśnionych okolicznościach II 265–266
- ZAHORSKA Stefania (1890–1961) dramaturg, od 1939 na emigracji II 333
- ZAKRZEWSKI Stanisław (1873–1936) historyk, prof. Uniwersytetu Lwowskiego II 213
- ZALESKI, agent ze stoczni im. A. Warskiego I 181
- ZALESKI Wojciech (1906–1960) dziennikarz, publicysta, działacz polityczny, przed 1939 związany z ONR-ABC, od 1939 na emigracji, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych współpracował z „Kulturą” II 331
- ZAŁEWSKI A. M. biskup, duszpasterz Polonii amerykańskiej II 209
- ZALUSKI Zbigniew (1926–1978) pułkownik LWP, historyk, eseista, słał trud żołnierski armii gen. Berlinga I 262, 288
- ZAMBROWSKI Roman (1909–1977) wieloletni funkcjonariusz komunistyczny, podczas wojny w armii gen. Berlinga, 1944 szef Wydziału Polityczno-Wychowawczego LWP, po 1945 zajmował wysokie stanowiska w aparacie partyjnym i państwowym, 1963–1968 wiceprezes NIK, 1968 odchodzi na przymusową emeryturę II 157, 163
- ZAMORSKI [Józef Kordian?] (1890–1983) legionista, generał, główny komendant Policji Państwowej, w czasie wojny dowódca PSZ na Bliskim Wschodzie, od 1945 w Londynie II 213
- ZAMORSKI Kazimierz (1914) obrońca Lwowa w 1939, przez sowieckie więzienie i łagier do 2. Korpusu, 1946–1952 w Anglii, następnie w Monachium, długoletni dziennikarz RWE, historyk czasów najnowszych II 331
- ZAREMBA Zygmunt (1895–1967) działacz socjalistyczny od wczesnej młodości, publicysta partyjny, 1939–1945 w kraju, współorganizator Batalionów Obrony Warszawy, jeden z założycieli organizacji Wolność-Równość-Niepodległość, redaktor jej prasy, bierze udział w powstaniu warszawskim, 1945 opuszcza Polskę, na emigracji nie zaprzestaje działalności politycznej II 299, [311–318], 331
- ZAPOROWSKI Bogdan (1929) politolog, 1957 wyjeżdża na Zachód, od 1961 w USA, pracownik naukowy I [335–356]
- ZARZEWSKI Stanisław patrz LAUTERBACH-ZARZEWSKI Stanisław
- ZARZYCKI Mieczysław ps. Witold Kostrzyński, tłumacz, publicysta, emigrant od 1945 I 24, [41–53]
- ZAWIEYSKI Jerzy (1902–1969) pisarz, działacz katolicki, w okresie okupacji czynny

- w podziemiu kulturalnym, 1947–1968 poseł Koła „Znak”, członek Rady Państwa I 263, 363 II 46, 71, 75
- ZAWISTOWSKI I 103
- ZAWISZA B. pseudonim II 296
- ZAWISZA CZARNY (?–1428) starosta spiski, symbol prawości i męstwa I 398
- ZBYSZEWSKI Wacław Alfred (1903–1985) dziennikarz, publicysta polityczny, od 1939 w Londynie, długoletni współpracownik „Wiadomości”, „Kultury”, innych pism emigracyjnych oraz RWE I 193, 181–185 II 249, 257, 346
- ZDZIECHOWSKI Paweł (1914–1972) prozaik, publicysta, tłumacz, podczas wojny w PSZ, po 1945 na emigracji, dziennikarz RWE, w „Kulturze” pisał jako Józef M. Ursyn II 331
- ZIELIŃSKA Ewa, uczestniczka strajku w stoczni im. A. Warskiego w grudniu 1970 i styczniu 1971 I 173, 182
- ZIELONOGÓRSKI K. pseudonim II 151–156
- ZONN Włodzimierz (1905–1975) astronom, dyrektor obserwatorium astronomicznego UW II 366
- ZWADA Jan, pseudonim II 296
- ZYGMUNT I STARY (1467–1548) król Polski i wielki książę litewski od 1506 I 263
- Z. W. patrz ZADROŻNY Stanisław i WRAGA Ryszard
- Ż
- ŻANDAROWSKI Zdzisław (1929–1994) od 1956 do 1980 w aparacie PZPR, 1981 wykluczony z partii II 160
- ŻELIGOWSKI Lucjan (1865–1947) generał WP, w trakcie konferencji ryskiej przyłączył Wilno do Polski, od 1939 na emigracji, członek Rady Narodowej, rzecznik porozumienia z ZSRR II 232
- ŻEROMSKI Stefan (1864–1925) pisarz I 386, 393 II 313, 335, 360
- ŻÓŁKIEWSCY, rodzina arystokratyczna z Małopolski Wschodniej, zasłużona w obronie Rzeczypospolitej II 213
- ŻÓŁKIEWSKA Wanda (1909–1989) prozaik, publicystka propagująca linię PZPR I 139
- ŻÓŁKIEWSKI Stanisław (1550?–1620) hetman polny koronny i kanclerz koronny, poległ w bitwie pod Cecorą II 202
- ŻÓŁKIEWSKI Stefan (1911–1991) historyk literatury, prof. UW, krytyk literacki, publicysta polityczny propagujący marksizm i linię partii, członek PPR od 1942, działacz partyjny, państwowy, organizator nauki, założyciel IBL I 233, 292
- ŻÓŁTOWSKI Adam (1881–1958) filozof i działacz polityczny, przeciwnik sanacji, traci katedrę na Uniwersytecie Poznańskim w 1933, od 1939 w Londynie, organizator ośrodka informacji naukowej, którym kieruje do śmierci II 333
- ŻUKROWSKI Wojciech (1916) pisarz, żołnierz AK, po wojnie oficer LWP, 1972–1989 poseł na sejm PRL II 405
- ŻYMIERSKI Michał, ps. Rola (1890–1989) generał, w PRL mianowany marszałkiem, podczas I wojny światowej w Legionach, podczas II – w AL i LWP, 1945–1949 minister obrony narodowej I 341
- ŻYWINA Józef (1917–1989) poeta, reporter, wydostaje się z ZSRR z armią gen. Andersa, od 1946 w Anglii II 331

Spis treści

Rozdział IV. Kościół a współczesność

Wstęp	7
Z.-W. [Ryszard Wraga i Stanisław Zadrozny]	
Droga krzyżowa	11
JÓZEF MARIA BOCHENSKI, OP	
List do Redakcji	19
JULIUSZ MIEROSZEWSKI	
Religia a polityka	21
ANTONI POSPIESZAŁSKI	
Dyskusja z Mieroszewskim	31
JÓZEF MACKIEWICZ	
Dla „Dobra Kościoła”?	35
STANISŁAW MACKIEWICZ	
Zapiski z kraju niewoli	53
DOMINIK MORAWSKI	
Kościół po rewolucji grudniowej	59
JÓZEF KWAŚNY	
<i>Divide et impera</i>	79

Rozdział V. Swoi i obcy

Wstęp	87
Ankieta „Kultury”	93
MIRIAM HOCHBERG-MARIAŃSKA	
List do Redakcji	95
KONSTANTY A. JELEŃSKI	
Od endeków do stalinistów	99
Problem antysemityzmu. Ankieta „Kultury”.	107

MARIAN PANKOWSKI	
Kto ty jesteś? Polak mały...	129
KONSTANTY A. JELEŃSKI	
„Hańba” czy wstyd?	137
JOACHIM GEORG GÖRLICH	
Autochtoni	143
K. ZIELONOGÓRSKI	
Sprawa Mazurów, Kaszubów, Ślązaków	151
MARIA HIRSZOWICZ	
Śladami mitu (W odpowiedzi Panu Stefanowi Kisielewskiemu)	157

Rozdział VI. Polska – sąsiedzi – Europa

Wstęp	171
JÓZEF ŁOBODOWSKI	
Przeciw upiorom przeszłości	181
Dyskusja o wschodniej granicy Rzeczypospolitej. Listy do Redakcji	209
TADEUSZ KATELBACH	
Dialog polsko-litewski	231
JÓZEF MACKIEWICZ	
Niemiecki kompleks	237
JÓZEF CZAPSKI	
Narodowość czy wyłączność	253
Rosja i Rosjanie	261
Zachodnia granica PRL	269
JULIUSZ MIEROSZEWSKI	
Rosyjski „kompleks Polski” i obszar ULB	277

Rozdział VII. Emigracja i Kraj o PRL

Wstęp	291
SPRAWA MIŁOSZA	
CZESŁAW MIŁOSZ	
Nie	299
ZYGMUNT ZAREMBA	
Wobec nowego uchodźcy	311
JULIUSZ MIEROSZEWSKI	
List z Wyspy	319

CZESŁAW MIŁOSZ	
Odpowiedź	327
Oświadczenie	330
Literatura emigracyjna a Kraj. Ankieta „Kultury”	333
JULIUSZ MIEROSZEWSKI	
Uchwała „Terlecki-Kisielewski”. Podsumowanie ankiety	341
STEFAN KISIELEWSKI I „KULTURA”	
STEFAN KISIELEWSKI	
Mój testament	345
Oprotestujemy <i>Testament</i> Kisielewskiego	353
DYSKUSJE O PRL	
LESZEK KOŁAKOWSKI	
Tezy o nadziei i beznadziejności	369
ŚLAWOMIR MROŻEK	
Słowo	389
LESZEK KOŁAKOWSKI	
Odpowiedź na <i>Słowo</i>	395
JESZCZE JEDEN KRAJOWIEC	
Czy w Polsce jest możliwa opozycja?	399
MICHAŁ ROSS	
Kilka uwag do programu	407
Indeks nazwisk i pseudonimów	415

